



Vanora Bennett



**Portret
nieznanej
damy**

Plan PIERWSZEGO PORTRETU RODZINY SIR THOMASA MORE'A, namalowanego przez Hansa Holbeina Młodszeo w Chelsea w latach 1527-1528; obraz spłonął w pożarze w XVIII wieku.



Elizabeth Margaret Sir John Anna Sir Thomas John Henry Dauncey Giggs More Cresacre More More Pattinson Cecily Margaret Alice Heron Roper More

CZEŚĆ PIERWSZA

Portret rodziny sir Thomasa More'a

1

W dniu spodziewanego przyjazdu malarza cały dom został wywrócony do góry nogami; wszędzie panował ruch i rwetes. Nawet niezbyt bystry obserwator od razu by zauważył, jak mocno domownicy przeżywają fakt, iż Niemiec uwieczni ich na obrazie. Gdyby spytano mnie o zdanie, odpowiedziałabym, że próżność przybiera różne postacie. Ale nikt mnie nie pytał, poza tym nikt by się nie przyznał do tak przyziemnej słabości. W naszym pobożnym domu wysoko ceniono skromność.

Oficjalnym powodem tej krzątania był pierwszy ciepły, niemal wiosenny dzień - choć mieliśmy dopiero styczeń - wymarzona okazja, by wymyć, wyszorować, wyczyścić, wypolerować i wytrzeć z kurzu nawet najmniej widoczne zakamarki. Dom był nowy, kosztował fortunę i miał zaledwie rok, nie wymagał więc wiele pracy, by się godnie zaprezentować. Mimo to od świtu wiejskie kobiety pucowały najdrobniejsze drewniane elementy wystroju wielkiej sali*, dopóki stojący na podwyższeniu stół, boazeria i framugi drzwi nie lśniły od wosku. Na górze służące trzepały poduszki i kołdry, odkurzały gobeliny, wietrzyły komnaty, wkładały do szuflad lawendowe gałki. Na podłodze rozsypywano świeże sitowie*. W wymiecionych do czysta kominkach układano wonne jabłoniowe szczapy.

* Wielka sala była pomieszczeniem używanym podczas uroczystych okazji, odpowiadała z grubsza współczesnemu saloniowi. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

* W XVI-wiecznej Anglii posypywano podłogi sianem lub sitowiem; podczas sprzątania wymiatano je i zastępowano świeżym.

Gdy wróciliśmy z jutrzni, słońce stało jeszcze nisko, ale z kuchni dobiegał już szczeł naczyń, stukot siekania, zdławione przedśmiertne krzyki ptactwa i sączył się zapach potraw bulgoczących na ogniu. My, córki (nieprzypadkowo tego dnia w najlepszych, haftowanych i naszywanych wstążkami sukniach), też wzięłyśmy się do roboty. Odkurzyłyśmy lutnie i wiole, uporządkowałyśmy nuty. Na dworze, zdradzając lekką nerwowość, dostojnym krokiem przechadzała się jejmość Alice (popatrując w kierunku, z którego miała przybyć łódź), a nieopodal uwijała się gromada parobków z Chelsea, zatrudnionych do prac ogrodowych. Jedni przycinali drzewo morwowe, wielką dumę ojca; łacińska nazwa tej rośliny brzmi *Morus*, czyli tak samo jak jego nazwisko po łacinie (uważał to za zabawne, iż po grecku słowo *moria* oznacza głupotę)**. Inni strzygli poddające się pokornie krzewy rozmarynu oraz podwiązywali drzewa rosnące szpalerem wzdłuż muru otaczającego sad, i przypominające wychudzonych więźniów. Grusze, jabłonie, morele i śliwy już zapowiadały przyszłe letnie soczyste rozkosze, na razie w formie pączków i zgrubień, bezbronnych wobec późnowiosennych przymrozków, nim przybiorą bardziej dojrzałe kształty.

** Sir Thomas More, Morus (1478-1535), filozof, polityk, pisarz, prawnik, wybitny humanista, autor słynnej *Utopii*. W latach 1529-1532 był lordem kanclerzem. Został stracony za odmowę złożenia przysięgi uznającej zwierzchnictwo króla nad Kościołem Anglii. Uznany za męczennika i kanonizowany w 1935 r., jest patronem polityków i wolności sumienia. Gdy zaczyna się powieść, przyjął właśnie funkcję sekretarza Henryka VIII.

Wszystkich ciągnęło do ogrodu i płynącej tuż za furtką rzeki, ale wcale nie do naszego odcinka niespokojnej wody, która - jak mówili wieśniacy - tańczyła w takt melodii zatopionych skrzypiec; trudno było po niej żeglować i niełatwo cumować tu łódź. Nie interesowały nas łódki, którymi wypływano na połowy łososi, karpia i okoni, ani malowniczy widok drugiego brzegu z lasami Surrey pełnymi dzikiego ptactwa, ciągnącymi się aż po wzgórze Clapham i Sydenham. Z niewielkiego wzniesienia, będącego ulubionym miejscem ojca, pilnie obserwowaliśmy wstęgę rzeki oraz rozpościerającą się za nią panoramę dachów, dymów i wież kościelnych Londynu, gdzie przedtem mieszkaliśmy. Ojciec nie mógłby żyć bez tego widoku. Ja zresztą też nie.

Pierwsi wyszli z domu, trzymając się pod rękę, Margaret i Will Roper, oboje wykształceni, skromni, piękni i wyraźnie szczęśliwi w ten obiecujący poranek, a przy tym jak zwykle grzeczni i układni. Moja przybrana siostra Margaret była najstarszą córką sir Thomasa More'a. Podobnie jak jej mąż miała dwadzieścia dwa lata, czyli była niewiele ponad rok młodsza ode mnie. Zdażyli się już zadomowić w swoim małżeńskim gniazdku i pewnie zapomnieli, jak to jest, kiedy się żyje samotnie. Po nich nadeszli: Cecily z niedawno poślubionym Gilesem Heronem i Elizabeth z mężem, Williamem Daunceyem, wszyscy młodszy ode mnie. Elizabeth, zaledwie osiemnastoletnia, uśmiechała się z wyższością osoby wtajemniczanej w sekretne rozkosze nowożeńców. Miała szczęście: udało się jej poślubić ukochanego jeszcze z czasów dzieciństwa, a jej mąż rozpoczął właśnie świetnie zapowiadającą się karierę i często bywał na dworze wśród wielkich i możnych tego świata. Za nimi kroczył dziadek, stary sir John More, dumny i dostojny w płaszczu podbitym futrem (osiągnął wiek, kiedy człowiek lęka się chłodu w wiosennym powietrzu). I był też John, najmłodszy z czworga latorośli, drżący z zimna w samej koszuli. Wpatrzony jak inni w górę rzeki, z roztargnieniem zrywał liście różanego krzaka i związał je ciasno, dopóki nie podeszła do niego jejmość Alice i zbesztawszy za poczynione szkody, nie odesłała do domu z poleceniem, by się cieplej ubrał, bo ostro dmucha. Anna Cresacre - wychowanka podobnie jak ja - z urokiem swych piętnastu lat, irytująco piękna w bogato haftowanej sukni, starała się przebywać jak najbliżej Johna. Nie musiała wcale przybierać wdzięcznych póz, melodyjnie szczebiotać i uśmiechać się słodko, gdy John znalazł się w pobliżu. Biorąc pod uwagę jej posag i majątności odziedziczone po rodzicach, ojciec na pewno wyda ją za Johna zaraz po osiągnięciu pełnoletności. Przecież po to bierze się pod swój dach bogate sieroty. Ze wszystkich podopiecznych tylko o moim zamążpójściu zdawał się nie pamiętać, ale ja i tak byłam za stara dla jego jedyne go syna. A zatem Anna Cresacre nie musiała się wysilać. W dodatku John spoglądał na nią z psim wręcz przywiązaniem i od razu było widać, iż młodzieniec ów, choć może nie najbystrzejszy, ma dość rozumu, by głęboko wierzyć, że kocha ją nad życie.

Gdy John wrócił, teraz ubrany stosowniej na tak zdradliwą pogodę, zmrużył oczy w blasku słońca, jakby światło sprawiało mu ból. W tym momencie zły nastrój towarzyszący mi przez całą zimę - gdy przeżyaliśmy podwójne wesele: Cecily i Elizabeth, a potem Boże Narodzenie w powiększonej już rodzinie - gdzieś przyszył i żal mi się zrobiło chłopca, który dopiero niedawno wyrósł na mężczyznę. „Znów boli cię głowa?” - spy-

tałam szeptem. Skinął potakująco, starając się jak najmniej zwracać uwagę otoczenia na naszą rozmowę. Głowa bolała go prawie zawsze; nie miał dobrego wzroku, nauka go męczyła, do tego ciągle się martwił, że mimo usilnych starań nie zadowoli ojca i nie zaimponuje pięknej Annie, a to wzmagало jego fizyczne dolegliwości. Ujęłam go pod szczupłe ramię i poszliśmy razem w stronę grządki, gdzie poprzedniej wiosny zasadziliśmy werbenę, która pomaga na ból głowy. Niestety, kępka ziół była całkiem zdrewniała, jeszcze w swej zimowej szacie. „W spiżarni zostało trochę suszonej - rzekłam cicho. - Po powrocie do domu zrobię ci okład. Poleżysz z nim po obiedzie”. Nie odpowiedział, tylko z wdzięcznością przycisnął mocniej moją rękę, aż poczułam dłonią kościste żebra.

Ten drobny gest życzliwości wyraźnie podniósł go na duchu, a i mnie świat zaczął malować się w jaśniejszych barwach. Jejmość Alice, wróciwszy z przechadzki po ogrodzie, dołączyła do naszej grupki, popatrując w stronę katedry Świętego Pawła. Zauważyłam, że nasza macocha inaczej się dziś uczesała. Była to druga żona ojca, którą poślubił tuż przed moim przybyciem do tej rodziny. Czwórka dzieci męża oraz jego podopiecznymi opiekowała się mądrze i czule jak rodzona matka. Bardzo nie lubiła - choć niby sama śmiała się z tego - gdy ojciec dokuczał jej z powodu rozmiarów jej nosa. Za to miała bardzo ładne czoło, harmonijnie sklepione i białe, więc by je korzystnie zaprezentować, zczesła włosy do tyłu (pojedyncze siwe pasma przyciemniała przyrządzanym przeze mnie wywarem z czarnego bzu).

Żarty ojca bywały okrutne. Nawet Anna Cresacre, niezmiennie spokojna i opanowana, rozplakała się kiedyś nad prezentem, który dał jej na piętnaste urodziny. Spodziewała się naszyjnika z pereł, o który dawno prosiła, dostała zaś nanizany na sznurek zwykły groszek. „Nie wejdziemy do Królestwa Niebieskiego, dbając wyłącznie o przyjemności i wygody” - stwierdził ojciec, przyglądając się jej czujnie jak dziki ptak. Wszyscy wiedzieli, że sam pod szatami nosi włosienicę i pije tylko wodę. Na szczęście Anna wykazała przytomność umysłu, szybko zapanowała nad emocjami, tak że podczas wieczery oznajmiła ze zwykłym wdziękiem: „To cenna lekcja. Będę o tym pamiętać”. A on nagroził ją promiennym uśmiechem, który sprawiał, że zapominało się o furii i znów było się gotowym zrobić dla niego wszystko. Skończyło się dobrze, ale to dlatego, że Anna Cresacre miała dość rozumu i sprytu. Ja jednak uważałam, że ojciec powinien odnosić się do swojej żony z większą delikatnością.

Tego dnia jejmość Alice mogła robić z włosami, co jej się żywnie podobało, bo ojca nie było. Wyjechał, co często się zdarzało, odkąd przeprowadziliśmy się do Chelsea. Ciągle miał tyle spraw na dworze, że nie zdołałam się w nich rozeznąć. A gdy wreszcie wracał - pobrzękując nowymi złotymi ostrogami, z którymi nie bardzo wiedział, co robić - najczęściej zamykał się w swojej samotni. Zbudował ją w ogrodzie i nazwał Nowym Pawilonem; tam się modlił, biczował i pościł. Prawie go nie widywaliśmy. Słyszałam, jak tego ranka obiecywał jejmości, że wróci, gdy tylko malarz się zjawi. Zauważyłam, że przygotowała jego najlepsze szaty: podbity miękkim futrem czarny płaszcz oraz kubrak z sutymi rękawami ze lśniącego aksamitu, zakrywającymi dłonie, których szorstkiej skóry trochę się wstydził. Miał zamiar posłać portret uczonym przyjaciołom w Europie, którzy wcześniej ofiarowali mu swoje. Fakt, że pragnął pokazać się na nim w reprezentacyjnym stroju, świadczył o tym, iż nie do końca wyrzekł się doczesnych słabości.

Wszyscyśmy zatem wpatrywali się tęsknie w rzekę i czekali w napięciu, bo bardzo chcieliśmy poznać. Hans Holbein* był młodym jeszcze malarzem; przysłał go do nas z Bazylei Erazm** - najmilszy nasz przyjaciel i nauczyciel.

* Hans Holbein Młodszy (1497-1543), malarz, jeden z głównych przedstawicieli renesansu i manieryzmu północnoeuropejskiego, związany ze środowiskiem humanistów. Od 1532 r. osiadł na stałe w Anglii, od 1536 był malarzem nadwornym Henryka VIII. Jego obrazy cechuje realizm, bogaty koloryt i dbałość o szczegóły. Wywarł wpływ na rozwój angielskiego malarstwa portretowego.

** Erazm z Rotterdamu (1467-1527), holenderski filozof, teolog, pisarz, pedagog, jeden z największych humanistów odrodzenia.

Chciał w ten sposób wyrazić swoje serdeczne uczucia do nas i przypomnieć dawne dobre czasy, kiedy ojciec obracał się wśród uczonych humanistów, a nie jak ostatnio - głównie wśród surowych biskupów o posępnych twarzach. Dawniej nowe idee i koncepcje zaliczały się do intelektualnych przyjemności, najbardziej zaś zażarta dysputa ojca z Erazmem dotyczyła kwestii tytułu książki ojca o nieistniejącej krainie (po wydaniu cieszyła się takim samym wzięciem jak dzieła Erazma)*. Teraz pragnęliśmy zaprezentować się godnie, jak przystało na absolwentów słynnej domowej szkoły, którą Erazm rozślawił w całej Europie, nazywając Akademią Platońską naszych czasów**. Kryła się też w tym chęć powrotu, choćby tylko na obrazie, do szczęśliwych dni.

* Chodzi o słynną *Utopię* (wyd. łac. 1516, ang. 1557), dzieło czytane w całej Europie.

** Sir Thomas More przywiązywał wielką wagę do edukacji dzieci i młodzieży płci obojga. Jego dzieci uczyły się w domu pod nadzorem prywatnego nauczyciela. Córki należały do najlepiej wykształconych kobiet w Europie, znały grekę i łacinę.

Nie do końca dzieliłam z innymi te oczekiwania. Wprawdzie patrzyłam na rzekę równie tęsknie jak oni, ale to nie malarza szukałam wzrokiem w przepływających łodziach. Tak czy owak wreszcie się zjawi, skoro zechciał robić w Anglii karierę; przybył z dobrymi rekomendacjami i potrzebował jedynie znanych twarzy, by zdobyć sławę. Nie, ja czekałam na kogoś innego. Nawet jeśli był to sekret i dziecinada - bo raczej trudno było przypuszczać, że marzenia się spełnią i ujrzę drogą mi twarz, którą nade wszystko pragnęłam zobaczyć - nie zmniejszało to w niczym intensywności, z jaką wpatrywałam się w każdą przepływającą łódź, szukając wzrokiem naszego dawnego nauczyciela. Mojej nadziei na przyszłość. Mężczyzny, którego kochałam.

John Clement zjawił się w naszym domu, gdy miałam dziewięć lat. Niedługo przedtem, po śmierci rodziców, trafiłam do rodziny Thomasa More'a, mieszkającej wówczas w Londynie. Na początku uczył łaciny i greki w szkole przy katedrze Świętego Pawła, założonej przez dziekana Johna Coleta przyjaźniącego się z moim ojcem. Szkołą tą żywo interesował się nie tylko ojciec, ale i sam Erazm oraz ich przyjaciele: Linacre, Grocyn i inni*.

* John Clement (?-1572), humanista, lekarz, nauczyciel dzieci Thomasa More'a i wykładowca Oksfordu; John Colet (1466-1519), humanista ang., dziekan katedry Świętego Pawła, stworzył nową egzegezę *Pisma Świętego*; Thomas Linacre (1460-1524), wykształcony we Włoszech lekarz i humanista, zapoczątkował odrodzenie studiów medycznych, nadworny medyk Henryka VIII; William Grocyn (1446?-1519), uczony, humanista, przyjaciel Erazma z Rotterdamu.

Uczeni przyjaciele ojca z entuzjazmem odnosili się do „nowej nauki”. Podczas koronacji obecnego króla, gdy ulice Londynu zawieszono złotogłowiem - wyraźny znak, iż skończyły się czasy skąpego Henryka VII - nabrali przekonania, że to początek złotego wieku: wszyscy będą mówić greką, studiować ekonomię oraz - oczyściwszy Kościół z dawnych błędów i nadużyć - żyć radośnie, długo i szczęśliwie. Erazm powiedział mi kiedyś o zaproszeniu do Anglii, jakie przysłał mu jego protektor lord Mountjoy** wraz z pięcioma funtami na koszty podróży. Świadczyło to o wielkich nadziejach związanych z nowym królem. „Niebiosa w głos się śmieją, ziemia się raduje, kraj płynie mlekiem i miodem” - pisał lord.

** William Blount, lord Mountjoy (1478-1534), uczonego, przyjaciel i mecenas Erazma z Rotterdamu, który nazywał go *inter nobiles doctissimus* - „najuczeńszym między szlachetnie urodzonymi”.

Z pewnością całe to mleko i miód zwarzyłyby się szybko, gdyby wiedziano, że niebawem wszystko się odmieni. Że pobłażliwie traktowana krytyka błędów, popełnianych przez Kościół, w ciągu zaledwie dziesięciu lat przerodzi się w zażartą wojnę religijną. Że jeden z europejskich uczniów Erazma, brat Marcin z Wittenbergi, ze swoją koncepcją reformy Kościoła pójdzie tak daleko, iż chłopcy na ziemiach niemieckich zaczną palić kościoły i obrażać papieża oraz wypowiedzą wojnę władzy duchownej i świeckiej. Że ojciec przestanie dążyć do uzdrowienia Kościoła, obejmie dworski urząd, wzbogaci się i stanie się jednym z najzaciętszych obrońców wiary katolickiej przed radykalnymi reformatorami, których teraz nazywał heretykami; zaszła w nim tak ogromna zmiana, że baliśmy się dyskutować o tym, czy choćby w ogóle ten temat poruszać. Że Erazm - jedyny z tego grona, który nie mógł zapomnieć o związanych z koronacją nowego króla nadziejach na wkroczenie w cywilizowany wiek dyskusji i tolerancji - opuści nas i wróci do Europy, po czym będzie dobrodusznie kpić ze swego przyjaciela, nazywając go „oddanym dworzanim” i nieustannie się dziwić, jak to wzniosłe idee mogły przerodzić się w tak smutną rzeczywistość.

Ale na początku humaniści wierzyli jeszcze w krainę mleka i miodu, a zatem należało powitać godziwie nowe czasy. Wtedy powstała szkoła u Świętego Pawła, a ojciec postanowił zapewnić stosowne wykształcenie dzieciom: własnej czwórce oraz przygarniętym sierotom, czyli Annie, Gilesowi i mnie. Namówił dziekana Coleta, by ten odstąpił mu jednego ze swoich nauczycieli, i tak powstała nasza domowa humanistyczna akademia.

John Clement zamieszkał na piętrze londyńskiego domu, w którym upłynęło nasze dzieciństwo. Dom ów miał skrzypiące podłogi; pełno w nim było wąskich ciemnych korytarzy i ukrytych pomieszczeń, a w ogóle przypominał statek, toteż nikogo nie dziwiła nazwa: Old Barge*. Pokój Johna Clementa znajdował się na drugim końcu korytarza w stosunku do naszych sypialni, obok komnat Erazma i Andrei Ammoniusa**. Gdy bawiliśmy się w pobliżu, pod ich drzwiami chodziliśmy na palcach, żeby nie przeszkadzać w rozmyślaniach.

* Barge - łódź, barka.

** Andrea Ammonius - włoski sekretarz kardynała Wolseya, przyjaciel i wieloletni korespondent Erazma z Rotterdamu, zmarł w 1517 r. na „gorączkę potową”.

John Clement był wysokim, barczystym, postawnym mężczyzną - takim łagodnym olbrzymem z orlim nosem i szlachetnymi rysami, o ciemnych włosach i jasnoniebieskich oczach, w których odbijało się niebo. Miał nieco pośepny wyraz twarzy, który można by było odczytać jako przejaw złego humoru, gdyby nie życzliwe, nieco znużone, dobrotliwe spojrzenie. Rówieśnik ojca, nieco przewyższał go wzrostem. Wprost tryskał energią. Popołudniami, miast uciąć sobie drzemkę po obiedzie, przemierzał długimi krokami Walbrook i Bucklersbury. Greckich i łacińskich liter uczył nas w ten sposób, że przypinał je do tarcz strzeleckich w ogrodzie i kazał nam trafiać do nich z łuku. Dla miejskich dzieci, wychowujących się w środowisku bogatych mieszczan i rajców, których wymagane przez prawo łuki i strzały wisiały zakurzone na ścianie i którzy nigdy nie wyciągnęliby miecza z pochwy, było to jedyne zetknięcie z arystokratyczną sztuką Marsa. Uwielbialiśmy te lekcje. Jejmość Alice wyrażała lekką dezaprobatę, ale ojciec tylko się śmiał.

- Niech popróbują wszystkiego, żono - mawiał.

- A czemuż by nie?

Atletycznie zbudowany i prędko w działaniu John Clement nie sprawiał jednak wrażenia, by palił się do walki. Umiał zdobywać autorytet, ale przede wszystkim odznaczał się ogromną cierpliwością i zawsze gotów był nas po ojcowsku wysłuchać. Od innych dorosłych - humanistów i uczonych zasiadających przy naszym stole - różnił się nieśmiałością; nie lubił mówić o sobie. Sporo czytał i studiował grekę, lecz przemyśleniami dzielił się z umiarem, traktując wielkie umysły z otoczenia ojca z szacunkiem i pokorą.

Zupełnie inaczej się zachowywał, gdy był z nami sam. Mówił tak ciekawie, że nie wiedząc kiedy, uczyliśmy się łaciny, greki, retoryki i gramatyki. Łączył naukę z zabawą, melodia słów miała swój kontrapunkt: nasze głosy oscyływały na granicy śmiechu, a głos nauczyciela wyznaczał ostateczne granice żartów.

Najciekawsza wszakże była nauka historii. Podczas lekcji retoryki - najpierw kilka lat uczyliśmy się retoryki i gramatyki, a potem przeszliśmy do wyższych sztuk, czyli muzyki i astronomii - odgrywaliśmy historyczne scenki (podobnie zresztą było z łacińskimi tłumaczeniami i początkami greki). Na podstawie ludowych opowieści o dawnych czasach John Clement snuł wspaniałe historie o męstwie i odwadze, a my, nie wyłączając najmłodszych dzieci, chciwie ich słuchaliśmy. Prawdziwe zdarzenia z naszego życia kazał nam przedstawić w formie opowiadania, któremu następnie należało nadać formę sztuki teatralnej, potem przetłumaczyć na łacinę, a następnie z powrotem na angielski. Gdy byłam mała i pewnego razu nie mogłam się opędzić od myśli o truskawkach dojrzewających w ogrodzie, uwieczniłam to moje łakomstwo. W szkolnym wypracowaniu napisałam, że niegodziwy król Ryszard III, który miał właśnie popełnić jakiś podły czyn, zawałał się i rzekł do biskupa Ely: „Mój panie, masz bardzo dobre truskawki w swoim ogrodzie w Holborn. Naszym życzeniem jest, byś nas nimi poczęstował”. Bardzo to wszystkich rozbawiło. Ojciec przyszedł wtedy do nas i pomógł zapisać ten epizod *exertationis gratia* - dla dobra wprawy. Stwierdził, że kiedyś na podstawie naszych zabaw, a także lekcji prowadzonych przez Johna Clementa w szkole Świętego Pawła, napisze i wyda prawdziwą historię Ryszarda III*. Tego dnia po obiedzie na stole pojawił się wielki talerz truskawek.

* Tak też się stało. Sir Thomas More napisał historię Ryszarda III, która posłużyła potem za kanwę sztuki Szekspira.

Ale John Clement łączył się w moich wspomnieniach nie tylko z zabawami i truskawkami. Miał on w sobie również coś smutnego: łagodność i niepewność - cechy, których próżno by szukać u bystrej młodzieży More'ów odznaczającej się ciętym językiem.

W pewien deszczowy poranek usłyszałam mój płacz. U siebie w komnacie oglądałam wtedy zawartość szkatułki przywiezionej jeszcze z Norfolk. Znajdował się w niej sygnet mego zmarłego ojca i przypomniałam sobie, że widziałam go u niego na palcu. Był też modlitewnik matki, której nie znałam, bo umarła przy moim narodzeniu. Ojciec twierdził, że jestem do niej podobna. Miała ciemne włosy, długi nos, kremową cerę; była szczupła, wysoka i z natury poważna, choć w jej oczach błyskały figlarne iskierki. Nie pamiętałam dobrze ojca (wiedziałam tylko, że był szlachcicem i zostawił mi posag wystarczająco duży, by po jego śmierci mogła zaadoptować mnie bogata londyńska rodzina), ale myśląc o nim, zawsze czułam ciepło w sercu. W pamięci zachowałam obraz rumianej twarzy i ciemnych włosów oraz wrażenie mocnego uścisku. Te niedźwiedzie objęcia - choć nieco mnie podduszały - dawały niezwykle poczucie bezpieczeństwa. Wiele razy rozmawialiśmy o mamie - utraconej, najdroższej nam osobie - z tak wielką miłością, że nasza tęsknota za nią niemal ją wskrzeszała. Z tej książeczki właśnie najczęściej się modliła. (W marzeniach widziałam ją zawsze w modlitewnej pozie, jak figurę w kaplicy, natomiast zupełnie nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mnie przytula czy ze mną rozmawia).

Miłość do mamy bardzo silnie związała mnie z ojcem. Byłam zupełnie nieprzygotowana na to, że pewnego ranka przywiozą go martwego. Na polowaniu skręcił kark podczas skoku. Głupia śmierć. Nikt mnie nie pocieszał. W wieku dziewięciu lat nie jest się już dzieckiem. Sama się ubrałam na pogrzeb i samodzielnie rzuciłam garść ziemi na jego trumnę. Potem przez jakiś czas żyłam jak we śnie, głównie podsłuchując niezrozumiałe rozmowy prawników i krewnych decydujących o moim losie. Jak sroczka zbierałam nieliczne pamiątki po rodzicach. Wreszcie odesłano mnie do innego domu, i w nim też czujnie nasłuchiwałam, co się mówi. Dawno temu, jeszcze przed ślubem, moja matka poznała w Londynie sir Thomasa More'a, i to on właśnie - zapewne powodując się życzliwością - wziął mnie do siebie. Od pierwszego dnia, kiedy zjawiłam się w Old Barge, polecił, bym zwracała się do niego: ojcze; patrzył na mnie z wielką dobrocią.

Oczywiście wtedy nie wiedziałam, że jest to człowiek sławny w całej Europie. Nie miałam też pojęcia, iż przebywając w jego otoczeniu, znajdę się wśród umysłowej elity i wraz z moimi nowymi siostrami staniemy się kiedyś najlepiej wykształconymi kobietami w chrześcijańskim świecie. Podczas pierwszego spotkania dostrzegłam jedynie, że ten obcy jeszcze dla mnie człowiek, do którego odtąd miałam mówić „ojcze”, ma dobrą twarz: łagodną, promieniejącą wewnętrznym światłem i pełną życia. Od razu zrobiło mi się ciepło w sercu. Sama jego obecność sprawiała - a takie wrażenie odnosił niemal każdy, kto miał z nim kontakt - że człowiek czuł się ważny i potrzebny. Nie przyćmił wspomnienia mego prawdziwego rodzica, jednak chętnie wymówiłam wtedy słowo „ojcze”. Budziło nadzieję, której biedne, zagubione dziecko z głuchej prowincji, jakim byłam, nie bardzo sobie uświadamiało.

Dorastanie w domu More'ów przyniosło mi wiele radości, jakiej nie mogłam sobie wyobrazić w wieku lat dziewięciu. Nie mam pojęcia, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie trafiła do tej niezwyklej rodziny, skupiającej wokół siebie najtęższe umysły epoki. Późniejsze relacje z ojcem nie spełniły jednak mych pierwszych nadziei. Był zawsze dobry i życzliwy, lecz zachowywał dystans. Żadnych uścisków, przytulania,

serdeczności; trzymał mnie na odległość wyciągniętego ramienia; pieśczęty i zabawy miał tylko dla własnych dzieci: Margaret, Cecily, Elizabeth i Johna.

Żartobliwe uwagi ojciec kierował przede wszystkim pod adresem ich macochy - wdowy osiem lat, od niego starszej - która na rok przed moim przybyciem wniosła mu w posagu spory majątek, a w domu zaprowadziła swoje porządki, praktyczność i ład. Goszczący u nas cudzoziemcy szybko się przekonali, iż z drugą panią More trudniej jest dojść do porozumienia niż z pierwszą, o której zachowali jak najlepsze wspomnienia. Nieraz dolatywały do moich uszu - gdy stałam cichutko pod drzwiami, nasłuchując, o czym szepczą do siebie po grecku Erazm i Andrea Ammonius - słowa „wiedźma” i „harpia z haczykowatym nosem”. Ojciec nie przejmował się nią tak jak jego goście. Swojej jejmości (to my, dzieci, nazywaliśmy ją tak żartobliwie i bardzo to do niej pasowało) nie pozostawał dłużny i stroił z niej żarty. Cenił wszak prostą kuchnię małżonki i bawił go jej niewyparzony język. Kiedy próby zainteresowania jej łaciną zawiodły, udało mu się podkształcić ją w muzyce. Nowy ożenek ojca zaspokoił podstawowe i proste potrzeby jego natury, ale też położył kres kilku dawnym przyjaźniom. Mnie oraz innym sierotom, wziętym na wychowanie, drugie małżeństwo ojca wiele dało. Trudno sobie wyobrazić kogoś dla nas lepszego niż jejmość, kto stworzyłby miłszy dom. Jednak nie traktowano mnie tu jak ukochane dziecko, podczas gdy ja dałabym wszystko, by ktoś mi okazał, że jestem naprawdę ważna.

Przez pierwsze lata pobytu u More'ów byłam zamknięta w sobie, ale dużo czytałam (czego na pewno nie robiłabym, gdybym została w Norfolk). Nie czując się w pełni zaakceptowana przez nowego ojca, miałam trudności z zaprzyjaźnieniem się z macochą, siostrami i braćmi. Puste serce było bezpieczniejsze. W nocy budziłam się z obolałą twarzą, tak mocno zaciskałam zęby. Ponieważ zgrzytałam we śnie, zdecydowano, że będę spać osobno. Samotność była z jednej strony przyjemna, ale z drugiej bardzo niemiła - gdy nachodził mnie dławiący żal i smutek, nie miałam przed kim udawać dzielnej.

Tamtego dnia byłam naprawdę nieszczęśliwa. I wtedy zjawił się mój nauczyciel, wysoki i postawny, o zwichrzonej ciemnej czuprynie. Gdy zobaczył, że płaczę, w jego oczach też pojawiły się łzy.

- Rozumiem, co czujesz, mała Meg - rzekł łagodnie, a słowa te sprawiły, że zawstydzenie ustąpiło miejsca ciekawości. - Ja też straciłem ojca, kiedy byłem mały. Jestem sierotą jak ty.

Przytulił mnie i od razu zrobiło mi się lepiej, prawie zapomniałam o smutkach. Pożyczył mi chusteczkę, bym wytarła oczy, i zabrał mnie na spacer.

- Chodźmy - zachęcił konspiracyjnym szeptem, trochę jak psotny chłopczyk. Gdy reszta domowników uciniała sobie poobiednią drzemkę, wymknęliśmy się tylnymi drzwiami. - Żeby tylko nikogo nie obudzić!

Miałam wówczas jakieś trzynaście lub czternaście lat. Były to pierwsze miesiące roku i jak to w Londynie dokuczało zimno i gęsta mżawka siekła nam twarze. Mimo deszczu ulica Walbrook (już wybrukowana, ale kiedyś płynęła tu rzeka*, na którą wpływały z Tamizy łodzie, o czym świadczyła nazwa naszego domu) śmierdziała uryną, w czym nie było nic niezwykłego, jako że zaledwie kilka jardów stąd znajdował się ściek, gdzie wylewano nieczystości. Zrozumiałe, że nie mieliśmy ochoty spacerować wśród niemiłych woni.

* Rzeczywiście w tym miejscu znajdowała się rzeka Walbrook; obecnie płynie pod ziemią.

- Powiedz mi... - zaczął, marszcząc czoło.

Pomyślałam, że chce zapytać o mego prawdziwego ojca, ale mój dorosły nauczyciel najwyraźniej pragnął mnie po prostu pocieszyć, a nie bardzo wiedział, co mówić. Nie zachęcałam go, gdyż trudno mi było rozmawiać o osobistych sprawach. Zdaje się, że to ja - rzadki przypadek, gdy podjęłam za kogoś decyzję - tak poprowadziłam Johna Clementa, że oddaliśmy się od smrodu Walbrook, zmiernając w kierunku pachnącej ziołami ulicy Bucklersbury i kościoła Świętego Stefana. Bruk był tu nowszy i gładszy, wonie znośniejsze i skuteczniej można się było schronić przed deszczem.

Na Bucklersbury mieli sklepy aptekarze i zielarze; w oknach stały wagi, na półkach przyprawy i zioła. Niektórzy prowadzili handel na ulicy. Za nami szedł obłąkany żebrak, strojąc groźne miny i krzycząc komicznie: „Róg jednorożca! Róg jednorożca!”. W końcu John Clement, śmiejąc się, dał mu drobną monetę, żeby zostawił nas w spokoju. Jednak człowiek ten, który przedstawił się jako Davy, stał się jeszcze bardziej natrętny i jeszcze głośniej krzychał. Ale to nie róg jednorożca był prezentem od Johna ani smocza woda, ani żaden wywar u renomowanych aptekarzy, ani suszony krokodyl wiszący w jednym sklepie pod sufitem, tylko śliczna, malowana w kwiaty buteleczka. John kupił ją u babiny na straganie stojącym nieco na uboczu, z dala od głównego nurtu przechodniów.

- Dzień dobry szanownej pani - zwrócił się do niej dwornie. - Szukam czegoś na ból serca.

Siwa, pomarszczona staruszka spojrzała na nas ze zrozumieniem i z błyskiem w wyblakłych oczach.

- Przepędzi smutki precz... pokrzepi na duchu - orzekła autorytatywnie. - Dodawać do wina. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, po sześć kropli.

Wręczył mi buteleczkę i uklonił się jak dorosłej osobie.

- Na smutki - rzekł pogodnie i dodał swoje ulubione motto: - Nie oglądaj się za siebie, jutro niesie nową radość. - Ale nie spojrzał mi w oczy, zupełnie jakby ten dorosły mężczyzna, mój nauczyciel, nagle się czegoś zawstydził.

Lekarstwo na ból serca pozostało w pięknej buteleczce. (Nie miałam odwagi wypić, ale i tak poskutkowało). Był to pierwszy prezent, jaki otrzymałam podczas wspólnych przechadzek, na które często wyruszaliśmy. Tak zaczęła się nasza wielka fascynacja sekretami ulicy aptekarzy. Szalony Davy, który miał dla swych klientów róg jednorożca, świńskie raciczki i nieprawdopodobne opowieści, oraz stara Nan handlująca barwnymi dekoktami byli moimi pierwszymi znajomymi. Później spotkaliśmy jeszcze wiele przedziwnych postaci zaludniających ulicę: alchemików, cyrulików, medyków, wrywaczy zębów, uczonych, szarlatanów i wróżbitów. Mijały tygodnie, mijały miesiące i w końcu poznaliśmy wszystkich tutejszych mędrców i szaleńców.

Chodziliśmy tam raz w tygodniu w czwartki; to był nasz sekret. Po obiedzie narzucałam płaszcz i przy drzwiach czekałam na Johna Clementa.

- Wyglądasz jak wierny pies czekający na swego pana - stwierdziła kiedyś Elizabeth na mój widok. Już w wieku ośmiu lat miała ostry języczek. - Aż mam ochotę cię kopnąć. - Uśmiechnęła się kwaśno. Nie przejęłam się tym.

Co czwartek dostawałam coś nowego i zaczęłam kompletować apteczkę. Kiedy miałam piętnaście lat, ojciec poprosił Johna Clementa, by latem towarzyszył mu jako jego sekretarz w zagranicznej podróży - była to pierwsza dyplomatyczna misja ojca do Calais i Brugii, świadcząca o wielkim zaufaniu króla, w którego bezpośrednim otoczeniu wtedy się znalazł. John przyjął propozycję z zadowoleniem, a mnie wyznał, że zupełnie się tego nie spodziewał. Na pamiątkę naszych spacerów dał mi wówczas prezent większy niż zwykle, a mianowicie wagę do odważania lekarstw. Odtąd miałam je kupować sama, a po jego powrocie, czyli gdzieś w okolicy żniw, o wszystkim mu opowiedzieć.

Ale John nie wrócił do nas tego lata. Ojciec przyjechał sam. Nie rozmawiał ze mną o Johnie - jakby nie zauważył naszej przyjaźni. Nieobecność nauczyciela wytłumaczył podczas wieczery, kierując swe słowa do wszystkich.

- John powinien poszerzyć swoje horyzonty - oznajmił. - Pomogłem mu znaleźć posadę nauczyciela w Oksfordzie. Niewielu tamtejszych wykładowców zna grekę.

Był dla mnie życzliwy jak zwykle i jak zawsze łagodnie zachęcał do dalszej nauki. Wiedząc doskonale, iż znacznie łatwiej jest mu dyskutować o filozofii i sprawach publicznych niż rozmawiać o uczuciach, nie miałam odwagi zapytać wprost, dlaczego John, pierwszy dorosły, z którym zawiązałam przyjaźń - jego dobroć i życzliwość sprawiały, że znów czułam się kochana jak w dzieciństwie - zniknął bez słowa pożegnania. Uciekłam zatem w świat książek i ponownie zamknęłam się w sobie. Ale mimo smutku z powodu drugiej już w moim świadomym życiu straty bliskiej dorosłej osoby, udało mi się w końcu podejść do tego filozoficznie i dojrzeć dobre strony. Wprawdzie przyjaźń z Johnem została brutalnie przerwana, lecz przetrwała fascynacja ziołami i sztuką leczenia. Niezręcznej i nieśmiałej - pomimo znakomitego wykształcenia - dziewczynie, jaką wtedy byłam, wiecznie niepewnej siebie i powściągliwej w okazywaniu uczuć, możliwość ulżenia najbliższym w drobnych codziennych dolegliwościach przynosiła wiele satysfakcji. Nie chodziło bynajmniej o popisywanie się umiejętnościami oraz iskierką wrodzonych zdolności, lecz raczej o okazanie bliskim serdeczności i troski.

John do mnie nie pisał, jednak pilnie nastawiałam uszu na wszelkie zasłyszane o nim wzmianki. Dowiedziałam się, że jego pierwszy wykład z greki miał najliczniejsze audytorium w dziejach uniwersytetu. Rok później dotarła do mnie wiadomość, że znowu udał się w podróż - co często czynili ludzie nauki. Pojechał do Włoch: do Padwy i Sieny, aby studiować medycynę. Greki nauczył się dawno - jeszcze zanim został naszym nauczycielem - na innym zagranicznym uniwersytecie, zdaje się, że w Niderlandach, lecz niewiele mówił o tym. Być może wyjechał, bo uznał, że nic nie trzyma go w Londynie. Nie miał rodziny ani bliskich przyjaciół, ja zaś dla niego byłam pewnie tylko osieroconym dzieckiem, potrzebującym odrobiny serca, i szybko o mnie zapomniał.

Mieliśmy po nim innych mentorów, którzy wtłaczali w nasze głowy geometrię, grekę, astronomię, łacinę, teologię i uczyli gry na wirginalu, dzięki czemu staliśmy się chlubnym przykładem tego, jak wiele daje nowe podejście do nauki i nauczania. Nasze życie było pozbawione prywatności, nawet gdy po przeprowadzce do Chelsea znaleźliśmy się z dala od dworu. Zawsze liczne oczy zwrócone były na nas. Ojciec publikował nasz szkolny dorobek i listy pisane do niego codziennie na lekcji; zawierały one rozprawy i wypracowania, a także tłumaczenia różnych myśli z łaciny na grekę, potem na angielski i znów na łacinę. Najlepsze wysyłał do Erazma, niby to narzekając na nasz okropny charakter pisma, ale tak naprawdę oczekując, że zadziwi filozofa

naszą pomysłowością i stylem - czemu oczywiście jego serdeczny przyjaciel uprzejmie dawał wyraz. Opublikował też własne, uprzednio starannie opracowane łacińskie listy pisane do nas - mówiące o jego głębokiej i czulej miłości, o tym, jak nas pieści, karmi łakociami, ubiera w jedwabie i tak dalej.

Zatem już na długo, nim narodził się pomysł namalowania rodzinnego portretu, ojciec miał zwyczaj chwalić się przed światem naszymi postępami. Chętnie wygłaszał tezę, że gleba kobiecego rozumu - nawet jeśli rzeczywiście jest słabsza duchowo niż mężczyzny - może wydać wspaniałe rośliny pod warunkiem, że się o nie dba i je pielęgnuje. Chlubił się tym, że skoro musi ukarać chłostą swoje dzieci, używa pawich piór. Doszło do tego, że taki model wychowania stał się modny, a metody nauczania ojca przejęli Eliotowie i Parrowie. Mała Katarzyna* i William Parr mieli dużą szansę stać się tak mądrzy jak my, jeśli tylko przyłożą się do nauki. Ojciec popierał także moje skromne medyczne zainteresowania - nie ograniczałam się do ziołowych wywarów, lecz sięgnęłam do Galena i Hipokratesa, których John Clement na pewno musiał studiować we Włoszech - oraz zachęcał innych do czytania ksiąg z tej dziedziny.

* Katarzyna Parr była ostatnią, szóstą żoną Henryka VIII, który podobno powiedział o niej kiedyś: „Piękny to widok, kiedy kobiety są takie uczone”.

Z żadnym nauczycielem nie zaprzyjaźniłam się tak jak z Johnem Clementem. Nikt na razie nie myślał o znalezieniu dla mnie odpowiedniego męża, choć w ostatnich miesiącach zawieranie matrymonialnych układów pochłaniało wiele czasu i starań zarówno ojca, jak i innych domowników. Pozostawiona sama sobie, pograżyłam się w tęsknocie za Johnem Clementem. Wierzyłam, że mnie kocha - choć chwilami wiara ta była bardzo trudna, skoro nie pisał, tylko skąpe wzmianki o nim docierały do nas w listach uczonych przyjaciół ojca z Bazylei i Brugii.

Tak było do wczoraj. (Aż niewiarygodne, że to zaledwie dzień wcześniej! A teraz czekałam z bijącym sercem, że go zobaczę).

W czasie wieczerzy Elizabeth niespodziewanie pochyliła się do mnie; pod nieobecność ojca jejmość Alice nie przestrzegала surowo zwyczaju czytania Pisma Świętego, a mąż Elizabeth, William, właśnie wstał od stołu i poszedł do swoich zajęć. Spojrzała na mnie znacząco i odezwała się tak cicho, że tylko ja ją słyszałam:

- Widziałam Johna Clementa w Londynie.

Niemal zakrztusiłam się grzonym piwem.

- Jakże to? - spytałam. - Przecież jest we Włoszech. Ma zostać medykiem.

- Już nie - odparła.

Elizabeth była zupełnie inna niż ja: drobna, zgrabna, o wykwintnych manierach, nie odznaczała się szczególnie wybitnym umysłem i przypominała kota, który zawsze spada na cztery łapy, sprawiając wrażenie, że robi to bez wysiłku. Najładniejsza z córek Thomasa More'a była też najbardziej obyta w wielkim świecie. Williama Daunceya, młodzieńca o wydatnym jabłku Adama i znacznym dochodzie, zdobyła praktycznie w ciągu jednego wieczoru. Flirtowała z nim podczas jakiejś dworskiej uroczystości, oczywiście w sposób, jaki przystoi młodej damie. Na jej prośbę zaraz po ślubie ojciec załatwił mu intratne stanowisko w urzędzie kanclerskim, a ona już pilnie rozglądała się za lepszą dla niego posadą. Od chwili mego przybycia do tego

domu wiedziałam, że nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Oddalałam od siebie natarczywą myśl, że z powodu zwykłej zazdrości o mleczną cerę i piękną twarz uważam, iż Elizabeth zawsze stawia na swoim i drapie jak rozszoszczony kociak, gdy nie może przeprowadzić czegoś po swojej woli. Wołałam żywić przekonanie, że to jej wady mnie od niej odstręczają. Pomyślałam więc, że pewnie nic więcej nie powie, jeśli się zorientuje, jak rozpaczliwie zależy mi na tym, by się czegoś dowiedzieć o Johnie.

Nie mogłam jednak oprzeć się pokusie, by nie spróbować jej wy badać. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, zapytałam:

- Tak? Ciekawe. I co robi teraz?

- Jest na dworze u króla. Zeszłego lata ukończył studia, więc wrócił do Londynu. - Zamilkła na moment. Zawsze wiedziała wszystko o dworskich stanowiskach. - Mówił, że zawdzięcza tę posadę ojcu.

Taktownie pominęłyśmy milczenie ojca w tej ważnej sprawie. To nas nieco zbliżyło. Bezpieczniej było zostawić pewne rzeczy niedopowiedziane. Odkąd przeprowadziliśmy się do Chelsea, w naszym domu często zdarzały się chwile wymownej ciszy.

- Był na ucztach, na którą ojciec kazał nam iść miesiąc temu, zaraz po naszym ślubie. Miało to pomóc w zdobyciu dla Williama i Gilesa miejsc w następnym parlamencie. - Aż trudno mi było stłumić bolesną zazdrość, gdy usłyszałam słowa tak troskliwej żony dbającej o dobro męża. - Jeszcze zanim zaczęliśmy na dobre wieczerzać, ojca zawezwano do króla. - Znów umilkła na chwilę, spoglądając na złotą obrączkę. - Wtedy zjawiał się John Clement. Omal nie padłam z wrażenia... - Urwała i spojrzała w okno. Słońce świeciło prosto na nas. - Jest znacznie goręcej niż zwykle o tej porze roku, nie uważasz? - stwierdziła, choć w pomieszczeniu było raczej chłodno i jeszcze nieprzytulnie, jako że dotąd nie sprowadziliśmy kotar, draperii i obrazów (stąd też pomysł z zaproszeniem Holbeina). - Trochę się postarzał - przyznała i nagle wyraźnie się rozmarzyła. Przekręciła obrączkę na palcu. - Widziałam go potem jeszcze kilka razy.

Przyjechała do domu przed trzema dniami. Ojciec wysłał ją wraz z Cecylią w niedzielę wieczorem - wcześniej, niż pierwotnie zamierzał - aby pomogły w przygotowaniach do przyjazdu malarza. Niewiele ją widywałam. Przesiadywała głównie u siebie, modląc się lub rozmawiając z siostrami, i nie szukała mego towarzystwa. Czemu tak długo zwlekała z przekazaniem mi tej wiadomości? I dlaczego akurat teraz doszło do tej rozmowy? Wietrzyłam podstęp, przypuszczałam, że chce wy badać moją reakcję. Nie wiedziałam, czego się spodziewa, ale nie zamierzałam dać się zwabić w pułapkę.

- Chyba nie ma zamiaru zostać „oddanym dworzaninem”? - spytałam, nie patrząc na nią. Tak Erazm żartobliwie przezwał ojca, gdy ten wstąpił na służbę do króla. Próbowałam zaśmiać się swobodnie, lecz zabrzmiało to wymuszenie. Elizabeth nie zauważyła fałszu, ale nie miała nastroju do śmiechu. Była spokojniejsza i łagodniejsza niż zwykle; z roztargnieniem rozgrzebywała łyżką już i tak zrujnowaną potrawę z wołowiny - zawsze jadła jak ptaszek.

- Nie sądzę... Wiesz, że on całkiem nieźle tańczy? Twierdzi, że chce praktykować medycynę. Stara się o przyjęcie do Królewskiego Kolegium Lekarzy*.

- A czy założył rodzinę? - spytałam, wstrzymując oddech.

* Założona w 1518 r. staraniem Thomasa Linacre'a pierwsza organizacja skupiająca lekarzy londyńskich, wydająca zezwolenia na praktykowanie sztuki medycznej.

Zadanie tego pytania było chyba błędem. Znowu szybko spuściłam oczy i wtedy zobaczyłam, że palcami nerwowo skubię broszkę. Jakby nigdy nic odpięłam ją i położyłam na stole.

Pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się z zadowoleniem niczym rybak, gdy zdobycz tkwi już na końcu haczyka. Zagryzła wargę, po czym spojrzała na mnie z miną niewiniątka.

- Mówił, że bardzo chciałby zobaczyć nasz nowy dom. Zamierza nas odwiedzić.

Czekałam na ciąg dalszy. I tak przed chwilą posunęłam się za daleko, nie miałam zatem zamiaru o nic więcej wypytywać. Skupiłam uwagę na ogrodzie zalanym słońcem.

Moje milczenie sprowokowało ją do podjęcia wątku.

- Pytał o ciebie - ciągnęła, wyraźnie nie chcąc wypuścić wędki. Niespokojne oczy uważnie przyglądały mi się spod rzęs, które tak zalotnie potrafiły trzepotać. - Kiedy zapowiadał się z wizytą.

- O! - Serce zabiło mi z radości. Teraz już mogłam urwać się z haczyka. Z prawdziwą rozkoszą niby obojętnie wzruszyłam ramionami. - Wątpię, czy będziemy mieli sobie teraz wiele do powiedzenia. Tyle czasu już minęło od naszej nauki... - Uśmiechnęłam się swobodnie. - Ale oczywiście chętnie posłucham o jego podróżach.

- Interesował się, co robisz. Mówiłam mu, że stałaś się medyczną sławą. I jak wyleczyłaś ojca, przeczytawszy Galena*. Był zachwycony.

* Galen, wł. Claudius Galenus (130-200 n.e.), wybitny lekarz rzymski pochodzenia greckiego; jego dorobek wywarł wpływ na medycynę średniowiecza i odrodzenia.

Rzeczywiście parę lat temu wyleczyłam ojca z gorączki; zaglądałam przy tym do Galena. Dzieło nosiło tytuł *De differentiis februm*. Ojciec wrócił z dyplomatycznej podróży do Francji wycieńczony, rozpalony, spocony, chory i żaden z wezwanych doktorów nie potrafił mu pomóc. Zaimponowałam im, gdy orzekłam, że cierpi na chorobę zwaną przez Galena zimnicą trzeciacką. Nie zgadzałam się z Galenem, że w takim przypadku trzeba oczyścić organizm, puszczając krew; wydało mi się to zupełnie niepotrzebne. Podałam wyciąg z kory wierzbowej kupiony na Bucklersbury. Zielarka zapewniała, że środek ten znakomicie schłodzi krew pacjenta. I tak się stało - już następnego dnia ojciec wstał z łóżka. Nie zdradziłam nikomu, jakie to było proste; uznaliby, że sama jestem prosta. Pozwoliłam im zatem wierzyć w Galena i jego trzydniową gorączkę.

- Twierdzi, że to dzięki tobie zabrał się do medycyny. Podobno chodziliście razem na Bucklersbury i rozmawialiście z zielarzami. - Przez cały czas Elizabeth bacznie mi się przyglądała. - Bardzo chciałby cię znowu zobaczyć. Zapowiedział, że przyjedzie w czwartek. Ale śmiał się przy tym, więc może nie mówił tego poważnie.

Znowu zapadła cisza. Odsunęłam talerz.

- Miło by było znów zobaczyć Johna. Tęsknię do dawnych czasów, kiedy częściej bywali u nas goście. A ty nie? - Sięgnęłam po odłożoną na stół broszkę. Mój brak zainteresowania szczegółami zapowiedzianej wizyty zgasił jej starannie skrywaną ciekawość.

Oczywiście od tamtej chwili nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Tego ranka obudziłam się wcześniej niż zwykle i pełna nadziei - ponieważ to był czwartek.

Wszystko potoczyło się inaczej, niż się spodziewałam. Kiedy naszym oczom ukazała się długo wyczekiwana łódź sunąca wolno wzdłuż brzegu, wysypaliśmy się przed furtkę jak rozentuzjasmowany komitet powitalny i zastygliśmy na pomoście w niecierpliwym oczekiwaniu.

Pasażerów było dwóch. Siedzieli niewygodnie ściśnięci obok tobołków i skrzyń piętrzących się na dnie łodzi. Chyba się nie znali, bo ze sobą nie rozmawiali. Byli ubrani po cudzoziemsku i obaj jednocześnie zaczęli zbierać swoje rzeczy, szykując się do zejścia na brzeg.

Jejmość Alice najwyraźniej się zastanawiała, który z nich jest naszym gościem, szukając wzrokiem sztalug i innych atrybutów malarskich.

Jeden z przybyłych był mniej więcej w moim wieku, krępy, dość silnej postury; miał kanciasty podbródek, pokryty krótkim, jasnym, lekko kręcącym się zarostem. Oczy ginęły mu w fałdach nabrzmiąłych powiek, policzki były rumiane, a nos krótki, perkaty. Drugi podróżny był wysoki, po uszy opatulony starym płaszczem, który zasłaniał mu twarz. Dopiero gdy wstał, rozkołysawszy przy tym łódź, i energicznie zeskoczył na brzeg, rozpoznałam wydatny orli nos i smutne oczy, w których odbijało się niebo. Nawet o jeden dzień się nie postarzał.

- John? - odezwałam się niepewnie, a tuż za mną rozległy się radosne okrzyki.

- John! - zawołała Elizabeth i niepomna, iż mężatce nie przystoi takie zachowanie, porzuciwszy ramię Williama, podbiegła w stronę wysokiego przybysza. On najpierw się cofnął, po czym serdecznie ją uściskał, otwierając szeroko ramiona, jakby chciał przygarnąć jeszcze więcej swych dawnych uczniów.

- Mała Lizzie! - wykrzyknął i na jego twarzy wykwitł uśmiech.

Rozejrzał się niecierpliwie, jakby czekał, że pozostali też padną mu w objęcia.

Naszą grupkę ogarnął nastrój radości i podniecenia, zupełnie jakbyśmy się spodziewali nagrody pocieszenia, a dostali pierwszą i najważniejszą. Wszyscy otoczyli przybysza ciasnym kołem, niczym wygłodniałe drapieżniki gromadzące się wokół ofiary. Nic innego się w tym momencie nie liczyło, bo oto wróciły stare dobre czasy. Tuż po siostrze powitały podróżnego Margaret Roper i Cecily Heron. Z wielką radością uściskał wszystkie trzy, aż się zdawało, że porwie je i podniesie do góry. Puścił je jednak szybko, może się zreflektował, iż nie są to już małe dziewczynki, lecz młode damy; albo się wystraszył, że przez te czułości wszyscy powpadają do wzburzonej rzeki.

- Niemożliwe, John Clement! - odezwała się jejmość Alice, a mnie przez moment się wydało, że widzę łzy w jej oczach. Zdziwiłam się, bo jejmość była z natury trzeźwa i opanowana. Ten wilgotny błysk, który zapewne mi się przywidział, przywiódł wspomnienie pewnego wydarzenia z dawnych lat. Gdy byłam młodsza, usłyszałam kiedyś z galerii, jak jejmość rozmawia o mnie z Johnem Clementem. Nie wiedziała, że ich słyszę, on raczej też nie; choć potem nie byłam tego taka pewna. Pamiętam, że wielką pociechą było dla mnie to, iż ta

praktyczna, rozsądna kobieta martwi się moimi nocnymi koszmarami i skrytością. Najwyraźniej ufała naszemu nauczycielowi i liczyła się z jego zdaniem. Bardzo się lubili.

- Clement! - wykrzyknął stary sir John z zaskoczeniem, jakie w jego wieku bywa czasem jedynym powodem ożywienia się. I też ruszył w jego stronę.

John Clement skłonił się nisko jejmości (zawsze miał bardzo dobre maniery) i jeszcze niżej dziadkowi. A potem, porzuciwszy tę ceremonialność, objął serdecznie oboje. Niewiele brakowało, a zaczęłyby ich przytulać.

Nastąpił ogólny rozgardiasz, przez który ledwo przebijały się poszczególne głosy. Nie było końca serdecznym uściskom, poklepywaniom i całusom. Padały wszystkie te słowa, jakie mówi się przy takiej okazji.

- Nic a nic się nie zmieniłeś!

- Wyglądasz coraz młodziej!

Nagle gwar ucichł. Gość rozglądał się, jakby kogoś mu brakowało. Gdy mnie zobaczył, rozpromienił się.

- Meg... przyjechałem we czwartek... - zaczął. Opuścił bezradnie ramiona. Nie rzucał się, by porwać mnie na ręce jak małą dziewczynkę. Zaczęłam więc iść w jego stronę, nieprawdopodobnie szczęśliwa.

Tymczasem jejmość Alice zdążyła odzyskać panowanie nad sobą i sytuacją, przynajmniej w takim stopniu, by we właściwy sposób odezwać się do niespodziewanego gościa.

- Panie Johnie - rzekła żartobliwie, odgradzając nas od siebie, i uszczypnęła go lekko w policzek. - Cóż ty sobie wyobrazasz, ściskając nasze córki niczym dziewczki z Southwark? I co w ogóle robisz tutaj? Zjawiasz się nagle nie wiadomo skąd, a tyle lat nie mieliśmy od ciebie ani słowa. Nieważne zresztą, dlaczego... Bardzo, bardzo się wszyscy cieszymy. Nie... czekaj... nic teraz nie mów. Chodźmy do domu, opowiesz nam w ciepłe przy ogniu. Przecież nie będziemy stać i rozprawiać na brzegu rzeki. Na miłość boską, toż to styczeń! Co też nas opętało, żeby sterczeć tak długo na zimnie! - Wzniosła oczy do nieba i ująwszy go pod ramię, ruszyła energicznym krokiem. Za nimi podążył dziadek i reszta towarzystwa rozświergotana jak stadko ptaków. - Jakby to już była wiosna! - usłyszałam jej słowa dobiegające z czoła pochodu.

Zostałam sama na pomoście, chłostana wiatrem wiejącym od rzeki tak ostrym, że zdawał się nieść w sobie igielki lodu. Oprócz mnie był tylko przewoźnik, wyładowujący skrzynie i worki, oraz krępy pasażer, który sprawiał wrażenie równie jak ja skonfundowanego nagłym odwrotem towarzystwa.

- Za pozwoleniem - odezwał się łamaną angielszczyzną, szukając czegoś po kieszeniach i sakiewkach. - Miałem stawić się w domu sir Thomasa More'a w Chelsea. Czy dobrze trafiłem? - Wyciągnął złożony wielokrotnie list, a ja z daleka dostrzegłam kochane, drobne pismo Erazma. Przybysz patrzył na mnie z nadzieją.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęłam w nagłym poczuciu winy. Mój wzrok padł na jeden z pakunków: długa drewniana rama ciasno zawinięta w sukno. Narzędzia malarza. Biedaczysko trzęsie się z zimna w swoim lichym płaszczu, a wszyscy sobie poszli, zostawiając go na brzegu. - Hans Holbein? To wy, panie?

Po chwili udało się jakoś opanować sytuację.

- Jakże mi przykro - rzekłam cicho, zmieszana i zażenowana, a on roześmiał się serdecznie. Śmiech był równie potężny jak jego postura, dochodzący z głębi brzucha; nie wyglądał na kogoś, kto się łatwo czymkol-

wiek przejmuje. Sprawiał wrażenie mądrego i sympatycznego. Miał duże dłonie i grube palce, odpowiednie do zawodu malarza, który musi często i długo rozcierać kolorowe proszki w moździerz, a potem je mieszać. Wtedy nie wiedziałam jeszcze wiele o malowaniu, ale od razu wyczułam, że jest dobry w swoim fachu.

Gdy szliśmy razem z przystani, wrócił mi radosny nastrój. Cieszyłam się na myśl, że w domu zastanę Johna Clementa i że prędzej czy później będziemy mieli okazję porozmawiać. Hans Holbein szedł obok, starając się skurczyć swą ogromną postać. Za nami podążał z pakunkami chudy przewoźnik, który usiłował się tłumaczyć:

- Pomyślałem, że wezmę ich obu, skoro jechali w jedno miejsce. A co tam, powiedziałem sobie, oszczędzę im kilka pensów.

Mistrz Hans niósł na ramieniu sztalugi lekko, bez wysiłku, jakby nic nie ważyły. Chłonał roztaczający się przed nami pejzaż, na który ja też spojrzałam teraz zupełnie innymi oczami, jakbym widziała go po raz pierwszy. Na teren posiadłości weszliśmy przez furtkę (nie przez bramę główną z kordegardami, których ciemne sekrety budziły mój lęk i do których nie ośmieliłam się zaglądać). Przecieliśmy trawnik obok rabat i klombów - bezlistne drzewa i pokurczone krzaki pozostały za nami, ustępując miejsca przyszłym jaskrom, liliom, lewkoniom i różom cukrowym - i podeszliśmy schodami pod górę. Dom miał szeroką fasadę z czerwonej cegły: ganek i po dwa duże okna z każdej strony. Ganek porastały młode jeszcze pnącza jaśminu i wiciokrzewu, zasadzone w zeszłym roku zaraz po naszej przeprowadzce do nowego domu, który wymownie świadczył o coraz wyższej pozycji ojca na dworze. Niebawem miały się odwdzięczyć kaskadą kolorów i słodkich zapachów.

- Nie znam dobrze angielskiego. Przepraszam. - Mistrz Hans mówił tak wolno, że trzeba było uważnie skupić się na jego słowach. Wcale mi to nie przeszkadzało, z przyjemnością spoglądałam na jego spokojną twarz i słuchałam dźwięcznego głosu. - Co za śliczny dom. Jaka tu cisza! Pewnie jesteście, pani, bardzo szczęśliwa, mieszkając w tak pięknym miejscu.

Rozmowa z nim była niczym zanurzenie się w kadzi ciepłej polewki. Zawiesistej, na aromatycznym mięsie i z pachnącymi jarzynami - jedzenie może nie najwykwintniejsze, ale pożywniejsze i zdrowsze niż najwymyślniejsze pawie jęczyczki w miodzie. Kiedy otwierałam drzwi wejściowe, przepelniały mnie radość i spokój.

- Tak - odparłam. Dawno nie czułam się tak dobrze. - Wszyscy kochamy ten dom. Proszę dać mi płaszcz, zostawić swoje rzeczy tutaj i ruszać do stołu. Musicie być głodni i zmęczeni, panie.

Z jadalni dobiegał już gwar i zapach potraw wnoszonych na stół. Malarz się zatrzymał, jakby coś wprawilo go w zakłopotanie.

- Zechciejcie mi, pani, wybaczyć, ale mam jedno pytanie, zanim zasiądziemy do wieczerzy, Proszę powiedzieć, kim jest ten drugi gość?

- Ach, to stary przyjaciel rodziny. Nazywa się John... Clement. - Mówiłam specjalnie wyraźnie, by cudzoziemiec dobrze zrozumiał, rozkoszując się jednocześnie tym, że mam okazję wypowiedzieć na głos to nazwisko. Holbein nadal stał w miejscu. Rozmyślał nad czymś, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- John Clement - powtórzył. - Coś mi to mówi. Rysowałem kiedyś portret Johna Clementa. Młodego chłopca, który teraz mógłby być w moim wieku. Pierwsze zlecenie od mistrza Erazma. Czy to może syn owego dżentelmena?

- Nie - zaśmiałam się i pokręciłam zdecydowanie głową. - Ten John Clement nie ma syna; nie jest żonaty. To musiał być ktoś inny albo pomyliliście, panie, nazwiska. Ale, mistrzu Hansie, proszę, wejdźcie do środka. Możecie nie wierzyć, ale moja rodzina nie może się doczekać, żeby was poznać. A ja już czuję zapach jadła na stole.

- Tak - spojrzał mi w oczy. - Musiałem się pomylić.

W końcu udało się doprowadzić go do jadalni. Jejmość Alice najpierw poleciła mu, by umył ręce, a potem usadowiła przy stole, zasypując wyjaśnieniami, przeprosinami i dobrodusznymi wymówkami. Zaraz pojawił się przed nim półmisek z parującą pieczenią. Ze względu na cudzoziemca rozmowy były pełne kurtuazji, głośne i wyraźne: panował nieco wymuszony nastrój, jak to na ogół bywa, gdy obcy sobie ludzie spotykają się po raz pierwszy. W pewnej chwili jejmość się wymknęła, aby napisać liścik do ojca, że spodziewany gość już przybył, a nadto zjawił się drugi gość, niespodziewany - i wysłać pachołka z tą wiadomością do miasta. Przy stole zebrali się wszyscy, łącznie z Nicholasem Kratzerem, astronomem, który się cieszył, że będzie mieć okazję porozmawiać po niemiecku*. Nim dotarłam do stołu, pozostało tylko jedno wolne miejsce - po tej samej stronie co John Clement, ale na drugim końcu. Niezbyt dobrze go stąd widziałam, a o rozmowie oczywiście nie było mowy. Siedział między Elizabeth a Margaret. Elizabeth z ożywieniem rozprawiała za troje, wdzięcznie zaróżowiona. Nie słyszałam, by John wyrzekł choć jedno słowo. Było gwarno i ja nie mogłam się połapać, o czym kto mówi. Mistrz Holbein siedział naprzeciwko mnie. W milczeniu z iście wilczym apetytem pochłaniał ogromne ilości mięsiwa i wielkie kawały chleba, którym wycierał sos z talerza. Raz czy dwa, żując chleb, obrzucił Johna Clementa długim, uważnym spojrzeniem. Najwyraźniej coś wciąż nie dawało mu spokoju.

* Nicholas Kratzer (1487?-1550), niem. matematyk, astronom, zegarmistrz. Większą część życia spędził w Anglii jako astronom Henryka VIII. Należał do kręgu intelektualistów i uczonych związanego z Thomasem More'em.

Po obiedzie - gdy wszyscy zalegli na popołudniową drzemkę i zapanował kojący spokój, jak to zwykle bywało, gdy jejmość Alice zasnęła - cicho zesłam na dół, włożyłam płaszcz i buty, tak jak dawniej robiłam co czwartek. Ręce lekko mi drżały, kiedy nakładałam biały gronostajowy czepek i upychałam pod nim włosy, a serce biło szybciej niż zwykle. Tyle czasu minęło, ciekawe, jak to będzie teraz. John Clement nie miał tu swego lokum, nie wiedziałam zatem, skąd mógłby się wyłonić, jak kiedyś, gdy przed wyjściem naciągał niezdarnie płaszcz, zaczepiając przy tym łokciem o balustradę i klnąc pod nosem. Czy dziś wyjdzie do mnie i z nieśmiałym znanym mi uśmiechem porwie mnie gdzieś? I dokąd pójdziemy? A może już o mnie zapomniał i nie pozostanie mi nic innego jak tylko zdjąć kaptur i wracać na górę.

Panowała niezmacona cisza, ale coś sprawiło, że się obejrzałam. W korytarzu prowadzącym do kaplicy, znajdującej się po drugiej stronie wielkiego holu, w cieniu pod galerią stała Elizabeth. To jej wzrok poczułam na plecach.

- Hau, hau - powiedziała z nieprzyjemnym błyskiem w oczach i wycofała się w rozświetlony świecami mrok. A więc pamiętała i wiedziała. Nim zamknęły się drzwi, usłyszałam jeszcze nosowy głos Williama odmawiającego modlitwę.

Zacisnęłam usta, postanawiając nie przejmować się tą złośliwością, ale zrobiło mi się bardzo smutno. W płaszczu było gorąco. Czekałam na próżno, patrząc bezradnie na korytarz i galerię. W końcu postanowiłam, że sama się przejdę po ogrodzie. Nikt nie posądzałby mnie zresztą o żadne inne plany (z wyjątkiem Elizabeth). Nagle zachciało mi się płakać.

Po chwili zapomniałam o Elizabeth, gdyż niespodziewanie drzwi wejściowe się otworzyły, a do wnętrza wpadł powiew powietrza i słoneczne światło. Oczy patrzące na mnie od progu, zwykle poważne, teraz wyraźnie się śmiały.

- Czy panna Meg pozwoli towarzyszyć sobie w czwartkowej przechadzce? - spytał John Clement, a ja natychmiast uległam magii jego głosu. A więc w ogrodzie na mnie czekał. Nie zapomniał o naszym sekrecie. Podał mi dwornie ramię. - Dawno już nie spacerowaliśmy.

Szliśmy w milczeniu smagani wiatrem. Chciałam go zapytać o wiele spraw i o tylu rzeczach pragnęłam mu powiedzieć. Ale skoro miałam go tak blisko, nie było pośpiechu.

- Dobrze jest... - zaczął tonem jeszcze łagodniejszym niż zwykle, patrząc prosto przed siebie, i nagle urwał. (Jakby spowił nas jakiś tajemniczy obłok przyjemnego zażenowania, unikaliśmy patrzenia na siebie. Rzucałam tylko ukradkowe spojrzenia z boku, chłonąc każdy szczegół jego twarzy, z radością odnajdując dobrze znany zarys policzka, nosa, szyi i podbródka, jakbym pieściła je oczami. Jego ciemne włosy były niemal dokładnie takie, jak zapamiętałam, tylko teraz na skroniach przyprószone siwizną. Oczy też takie same: jasnoniebieskie i przenikliwe, z poruszającym do głębi smutkiem). - Dobrze jest - powtórzył - być z kimś, z kim człowiek czuje się tak swobodnie, że niepotrzebne są słowa. Brakowało mi tego.

Określenie „swobodnie” było dokładnym przeciwieństwem tego, co ja czułam w tej chwili; jednakże zawstydzienie, skądinąd przyjemne, nie pozwalało mi się do tego przyznać. Wątpiłam też, czy on rzeczywiście

czuje się aż tak swobodnie w moim towarzystwie. Nie patrzył mi w oczy, a i ja unikałam spoglądania na niego. Ale to jego wyraźne onieśmienie było bardzo miłe.

Usiłował dostosować swój energiczny, wydłużony krok do mojego tempa. Widać było, że się stara zanadto nie rozpędzać. Szliśmy tak blisko siebie, że moja spódnica muskała jego nogi. Odwracałam się ku niemu, chroniąc twarz przed wiatrem. Moja dłoń unosiła się jak pozbawiona ciężaru nad jego ramieniem, bojąc się stopić z tym ciepłem, które biło od nas obojga. Niżej, tam gdzie dotykały się czasem nasze biodra, przenikał mnie idący od niego życiodajny prąd, którym rozkoszowałam się w milczeniu.

- Mógłbym tak iść z tobą bez końca. - Słowa te niemal wyszeptał.

Mruknęłam coś cichutko, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie mogłam mu przecież wyznać: „Od lat czekam na twój powrót i gdyby śmierć przyszła po mnie teraz, w tym właśnie momencie, umarłabym szczęśliwa tylko dlatego, że znów cię zobaczyłam”. Moja małomówność jednak wcale mu nie przeszkadzała, gdyż - co dostrzegłam - rzucał na mnie tak jak ja na niego ukradkowe spojrzenia, jakby uczył się mojej twarzy, by mieć o czym później rozmyślać. Szczęście zalało mnie łagodną falą.

- Ależ zimno - zaśmiał się.

Dotarliśmy nad rzekę; tu pod dębem ciągnęło się całe poletko przebiśniegów, a za nimi pobłyskiwała woda. Wzmagający się wiatr szarpał cudzoziemskim beretem Johna. - Usiądźmy gdzieś w zacisznym miejscu - zaproponował. - Może w kordegardzie przy bramie? Tej po prawej stronie?

Nie bardzo rozumiałam, co się ze mną dzieje. Wiedziałam tylko, że niczego bardziej nie pragnę, niż znaleźć się z nim sam na sam gdzieś z dala od wiatru, gdzie mogłabym się wreszcie zdobyć na odwagę, spojrzeć mu w oczy i szczerze porozmawiać. Już miałam skinąć głową na znak zgody i przysunąć się do niego, gdy uzmysłowiłam sobie, o czym on mówi. Za nic na świecie nie poszłabym do tej kordegardy.

- Nie! - odparłam ostro. - Nie można tam wchodzić - dodałam spokojniej, zauważywszy jego zdziwienie. Bardzo starałam się opanować. - Ojciec trzyma tam... Nie, chodźmy stąd. Nie mogę ci na razie o tym powiedzieć.

Pociągnęłam go w przeciwnym kierunku, a on ze śmiechem pozwolił mi się prowadzić. Znowu czułam tę rozkoszną bliskość ukochanego. Do drugiej kordegardy było jakieś trzysta jardów.

- A do tej możemy? - spytał bez tchu, obejmując mnie w pasie, kiedy skierowaliśmy się w tamtą stronę. Było mi tak dobrze, gdy czułam jego ramię opasujące moje plecy i mocny nacisk palców na biodrze. - Co tutaj twój ojciec trzyma?

Miał tu swoje zwierzęta: lisa, łasicę, fretkę i małpę, uwiązane na łańcuchach, króliki w drewnianych klatkach, a na dachu gołębnik pełen białych ptaków.

Pewnego razu, dawno temu, jeszcze w ogrodzie przy Bucklersbury, Erazm oglądał ze mną ptaki ojca. Napisał potem: „Mają swoje sympatie i wrogów, zupełnie jak my”. Bardzo podobała mu się opowieść o małpie spuszczonej z łańcucha, która gdy zauważyła, że łasica dobiera się do klatki z królikami, w ostatniej chwili zasłoniła deską dziurę w klatce i w ten sposób uratowała im życie. Zwierzęcy humanizm - jedna z tych historii, które Erazm szczególnie cenił. I lubił je także ojciec, dopóki jego życie nie stało się tym, czym było teraz.

We wschodniej kordegardzie panował spokój, pachniało sianem, paszą i drewnem - same sielskie aromaty. Usiedliśmy blisko siebie na ławce, słuchając, jak wiatr chłoszcze wodę. John Clement cały czas obejmował mnie ramieniem.

Wolną ręką poluzował płaszcz, po czym odwrócił się w moją stronę. Przyciągnął mnie do siebie, a moje ciało poddawało się z instynktowną radością. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech. Nachylił się i potarł nosem o mój nos. Oczy miał przymknięte, usta znalazły się na tyle blisko, że mógł mówić najcichszym szeptem.

- A więc, dorosła panno Meg Giggs, o czym teraz porozmawiamy? - Uśmiechnął się i tylko ten uśmiech widziałam. - Podobno gdy starałem się zostać doktorem, ty też zajmowałaś się sztuką lekarską. - Palcami przesunął po moim biodrze i przytulił mnie jeszcze mocniej. - Opowiedz mi. Ale najpierw chcę, żebyś wiedziała... - urwał na chwilę - ...że wyrosłaś na prawdziwą piękność. - I dopiero teraz spojrzął mi prosto w oczy.

Nie wiem, jak to się stało, ale w następnej sekundzie całowaliśmy się, a mnie tak się zakręciło w głowie, że przywarłam do niego całą sobą, odbierając jednocześnie postrzegane różnymi zmysłami wrażenia: szorstki dotyk materiału cudzoziemskiego kaftana czy gorąco mojej własnej krwi. Całkiem się zatraciłam w tej bliskości napiętych jak struna ciał; była w tym i twardość, i miękkość, i wilgoć, i szorstkość, i delikatność. Czulałam się dumna i szczęśliwa, iż potrafię sprawić, że jego serce głośno bije, a dłonie mocno drżą.

Z westchnieniem rozdzieliliśmy się, spoglądając na siebie ukradkiem, poprawiając nieład w ubiorze, zacierwienieni i rozbawieni własnym zażenowaniem.

- Och, Meg - szepnął John. - Nareszcie wiem, że jestem w domu; ty zawsze byłaś moim domem.

Takie właśnie słowa pragnęłam usłyszeć, odkąd wyjechał blisko pół mego życia temu. Pędząc żywot na wsi w smutnym staropanieństwie i patrząc, jak inni pławią się w szczęściu jak pączki w maśle, straciłam nadzieję, że kiedykolwiek on czy inny mężczyzna powie mi coś takiego. Z dnia na dzień stawałam się coraz bardziej samotna, dziwaczałam i gorzkniałam. Tym bardziej chciałam wierzyć w te cudowne rzeczy, które mi teraz mówił. Nie zagłuszyły one jednak innego głosu - urągliwych słów Elizabeth: „Zeszłego lata ukończył studia, więc wrócił do Londynu”. A potem: „Mówił, że zawdzięcza tę posadę ojcu”.

Zastanawiałam się, jak zadać mu cisnące się na usta pytanie. Bałam się, naprawdę się bałam, czy otrzymam szczerą i uczciwą odpowiedź, a jednocześnie bardzo chciałam znaleźć się znów w jego ramionach i zatracić w pocałunku.

- Powiedz mi... - zaczęłam, niepewnie poruszając się po nieznanym mi terenie. Nie przeszło mi przez gardło: „Jesteś w Londynie od pół roku, mieszkasz zaledwie godzinę drogi łodzią stąd i nie dałeś znaku życia. Nie pisałeś, a teraz twierdzisz, że spaceruje z małą dziewczynką tak wiele dla ciebie znaczyły, iż cały ten czas myślałeś o mnie”. Zaczęłam raz jeszcze, najdelikatniej, jak umiałam: - A jak ci się wiodło w służbie u króla przez ostatnie miesiące?

Wprawiłam go w lekkie zakłopotanie. Pokiwał głową, jakby w myślach coś rozważał, po czym pocałował mnie, ale zupełnie niewinnie, zaledwie muskając wargami.

- No więc jest to synekura, dopóki nie znajdę czegoś lepszego. Mam ją dzięki uprzejmości twojego ojca, przez wzgląd na dawne czasy. Ale ty wcale nie o to chcesz spytać, tylko czemu przyjechałem dopiero teraz. Mam wyjaśnić, skąd się tu nagle wziąłem.

Przytaknęłam z powagą i wielką ulgą, że odczytał moje myśli. John Clement milczał chwilę; w ciszy dobiegał jedynie szelest słomy w króliczych klatkach.

- Widzisz, Meg... - rzekł w końcu. - Nie mogę ci dać satysfakcjonującego wytłumaczenia. Jeszcze nie teraz. Ale zaufaj mi. Pierwszy raz poprosiłem o twoją rękę dziesięć lat temu, kiedy wyjechałem z twoim ojcem za granicę. - Wstrzymałam oddech. Tego się nie spodziewałam, serce zabiło mi żywiej. Specjalnie pochyliłam głowę, żeby ukryć zaskoczenie (on zresztą też spuścił wzrok). - Odpowiedź twego ojca brzmiała wtedy: nie - ciągnął dalej. - Uważał, że najpierw powinienem zdobyć odpowiednią pozycję, a dopiero potem pomyśleć o ożenku. Podsunął pomysł studiowania medycyny, skoro interesują mnie leki i ziołarstwo. zaproponował, bym wyjechał do Europy, a później, stosownie wykształcony, wrócił do Anglii. Tak też postąpiłem i przysięgam, że cały ten czas nosiłem w sercu twój obraz. Chciałem tu przybyć od razu po przyjeździe do Londynu - westchnął. - Ale twój ojciec wciąż nie pozwalał.

W tym momencie nie mogłam się powstrzymać, by na niego nie spojrzeć; zapewne zobaczył wyraz moich oczu.

- Dlaczego? - Byłam przekonana, że z niespodziewanego szczęścia mój głos będzie zduszony, tymczasem zabrzmiał twardo i mściwie.

- Widzisz, są pewne sprawy, o których nie wiesz... - Urwał i znów spuścił wzrok. - Twój ojciec życzy sobie, bym najpierw dostał się do Królewskiego Kolegium Lekarzy - podjął po chwili, tonem zdradzającym lekki niepokój. - I to nie tylko jako zwykły członek, lecz mam znaleźć się w radzie. Bardzo się staram. Prowadzę wstępne rozmowy z doktorem Buttsem, medykiem króla*. Nie jest to łatwe. Nie było mnie w Anglii przez wiele lat. Muszę przekonać, że jestem dobrym lekarzem, kogoś, kto mnie prawie nie zna. A twój ojciec jest nieubłagany. Mówi, że najpierw muszę coś w życiu osiągnąć.

* William Butts (ok. 1486-1545), dworzanin i lekarz króla Henryka VIII. Występuje także jako postać w *Sławnej historii życia Henryka VIII Szekspira*.

Była to postawa typowa dla środowiska ojca. Za najważniejsze uważano sprawy umysłu, wykształcenia i pracy. Teoretycznie całkowicie się z tym zgadzałam. Zawsze cieszyło mnie zdobywanie wiedzy, która dla kobiet była niedostępna, podobnie zresztą jak dla większości mężczyzn. Jednak teraz, gdy wizja zwykłego codziennego szczęścia kusila bliskością, była niemal w zasięgu ręki, wymagania ojca stawiane Johnowi wydawały się nazbyt wysokie i wbrew naturze.

- Mówiąc szczerze, nie powinno mnie tu być. Obiecałem, że na razie będę się trzymać z dala. Ale odkąd spotkałem Elizabeth... - spojrział w dół i butem rozgarnął słomę - ...nie mogłem przestać myśleć o tym, że jesteś tak niedaleko, dosłownie kawałek drogi rzeką. Przyszło mi do głowy, że twój ojciec przebywa na dworze i że zbliża się czwartek... Cóż, złożmy to na karb impulsywności człowieka zakochanego. Nie mogłem się oprzeć, musiałem przyjechać i pójść z tobą na spacer.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Kręciło mi się w głowie i nie potrafiłam złożyć w jedną całość jego słów i własnych odczuć. Miałam też żal do ojca, a przez to nie mogłam się skupić na szczęściu przebywania z ukochanym. John przyglądał mi się uważnie.

- Powiedz, że mi wierzysz - szepnęła.

- Powiedz, że mnie kochasz - usłyszałam własne słowa, zbyt natarczywe, jak oceniłam z pogardą dla samej siebie. Zachowałam się jak dziecko, które nic nie rozumie z opowiadanej bajki, tylko domaga się szczęśliwego jej zakończenia.

- Ależ kocham cię - zapewnił gorączkowo. - Zawsze cię kochałem. I to małe dziecko oplakujące swój sierocy los, i tego bystrego podlotka ciekawie oglądającego aptekarskie kramy, i pannę uwielbiającą zadawać trudne pytania. I kocham tę młodą piękną kobietę, jaką jesteś teraz. - Poglądził moje włosy, odsłonięte, gdy czepek spadł mi z głowy i leżał na podłodze zasłanej słomą. - Zawsze będę cię kochał. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Wiem, jestem od ciebie dwa razy starszy i niezupełnie jeszcze ustabilizowany w życiu... ale jeśli tylko mnie zechcesz, nic mnie nie powstrzyma, by znów prosić o twoją rękę. I jeszcze raz, i jeszcze, aż do skutku. Tego możesz być pewna. - Znów porwał mnie w ramiona, okrywając płaszczem, a jego twarz znalazła się tuż przy mojej.

- Przestań - wyszeptałam bez tchu, opierając się ostatkiem sił. Przyszło mi do głowy kolejne, jeszcze ważniejsze pytanie. - Powiedz mi, dlaczego godzisz się, by ojciec ci dyktował, co masz robić, i niemal wydawał rozkazy? Wiesz, jak on ceni dyskusję i dobre argumenty. Nie możesz spróbować go przekonać?

Nastąpiło coś dziwnego. Twarz mu nagle zszarzała, a moja na nowo odkryta miłosa wrażliwość wyraźnie mi podpowiadała, że w tym momencie miły się ode mnie oddala.

W jego oczach pojawił się wyraz rezygnacji.

- Jestem mu to winien. Muszę spełnić jego prośbę - rzekł bardzo cicho. - Trudno wyrazić w słowach, ile dla mnie zrobił przez te wszystkie lata. Może zabrzmiało to dziwnie, skoro jesteśmy niemal w równym wieku, ale przez większość mego życia był dla mnie niczym prawdziwy ojciec. Nie mogę mu się sprzeciwić.

- John - odezwałam się głosem silnym i zdecydowanym, choć byłam bliska rozpaczki. Gorączkowo myślałam, jak najlepiej powiedzieć mu o tym, co się teraz u nas działo. - Zaczekaj, a pokażę ci nowe oblicze ojca.

Tym razem to ja otworzyłam drzwi, wpuszczając do środka podmuchy wiatru i słoneczne promienie. Wraz z mężczyzną o niespokojnych oczach wyszłam na światło dnia.

- Posłuchaj! - szepnęłam.

Wspięłam się na palce przy oknie i dałam znak Johnowi, żeby się zbliżył.

Wróciliśmy do zachodniej kordegardy. John ociągał się, zaskoczony, że prowadzę go do miejsca, które zaledwie godzinę wcześniej budziło we mnie lęk. Uznałam jednak, że musi poznać prawdę. Odsunęłam się nieco, by mógł zajrzeć do ciemnego wnętrza, i wzięłam go za rękę. Dotyk ten uświadomił mi, jak bardzo pragnę kontaktu z tymi długimi, delikatnymi palcami. Z żalem odłożyłam na później miłosne marzenia. Nie był to ani czas, ani miejsce po temu.

Zastygliśmy w oczekiwaniu, wiatr głąskał nas po policzkach i rozwiewał płaszcze. W którymś momencie usłyszeliśmy szept napływający spoza okna. Pełne smutku i rozpacz, ciche zawrodozenie w londyńskiej gwarze: „Panie, w nieskończonym miłosierdziu Twoim, ześlij na mnie śmierć... Panie, w nieskończonym miłosierdziu Twoim, ześlij na mnie śmierć... Panie, w nieskończonym miłosierdziu Twoim, ześlij na mnie śmierć”. Przez cały ostatni tydzień, gdy ojca nie było, jęk ten rozlegał się od rana do wieczora. Za każdym razem, gdy przechodziłam tędy, słowa te raniły mi boleśnie serce, a później wracały w snach.

Widziałam tylko ramiona Johna i tył jego głowy, ale niemal czułam, jak on dostaje gęsiej skórki. Wolno się odwrócił, na jego twarzy malował się strach, a usta bezdźwięcznie zadały pytanie:

- Co to jest?

- Zajrzyj do środka, ale ostrożnie - odparłam równie cicho. - Żeby cię nie spostrzegł, bo się przerazi. - John się nachylił. Aż za dobrze wiedziałam, co zobaczy, gdy wzrok przywyknie do półmroku: drewniane dyby i uwięzionego w nich wycieńczonego człowieka; obciążony skórą żywy szkielet w podartej odzieży, przekrwione, na wpół przymknięte oczy, opuchnięte wargi poruszające się w niekończącej się modlitwie.

John zbladł i cofnął się - ja również.

Oddalił się śpiesznie, posłusznie ruszyłam za nim. Po przejściu około dwudziestu kroków przystanął i zachekał na mnie.

- Heretyk? - spytał szeptem.

Kiwnęłam głową.

- Nazywa się Robert Ward i jeszcze w zeszłym tygodniu miał warsztat szewski na Fleet Street. Aresztowali go na potajemnym spotkaniu modlitewnym u garbarza. Ma sześcioro dzieci.

- Po co twój ojciec przywiózł go tutaj? - W jego ściszonej głósie dosłyszałam litość i to dodało mi odwagi. - Dlaczego nie jest w więzieniu?

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy przewinęło się ich tu z pół tuzina. Ojciec nam o nich nie mówi, nie wspomina nawet o ich obecności. Ogrodnikowi, który przynosi im jedzenie, powiedział, że chce ich przekonać, by odstąpili od zła. Przypadkiem się dowiedziałam... - Czułam, że policzki mi płoną, jednak John na szczęście nie spytał, jak to się stało, że usłyszałam rozmowę nieprzeznaczoną dla moich uszu ani ile czasu usuwałam potem z włosów liście i drobne gałązki morwy. - Podobno przywozi ich tutaj po to, by przesłuchać... jak się wyraził... dla ich własnego dobra.

- Cóż... - John przystanął i spojrzał mi w oczy. Z trudem nadażał za tymi rewelacjami i zdaje się szukał jakiegoś sensownego wyjaśnienia. - A jeśli ma powody, by postępować w ten sposób? Człowiek ten został skatowany. Może tu jest bezpieczniejszy.

Przemawiał przez niego rozsądek i wyraźnie chciał mnie pocieszyć. Przyjemnie się poczułam, że uważnie na mnie patrzy, słucha, co mi leży na sercu, i stara się zrozumieć. Ale jego tłumaczenie wydało mi się zbyt proste. Zawahałam się, po czym odważnie skoczyłam na głęboką wodę.

- A jeśli...? - Nie wiedziałam, jak dokończyć zdanie, spróbowałam zatem jeszcze raz. - Przebywa tu już od kilku dni. Więc kiedy, twoim zdaniem, mógł zostać pobity?

John coraz bardziej poważniał.

- To straszne, co mówisz, Meg. Czy chcesz przez to powiedzieć, że ojciec go tak zmasakrował?

- Nie wiem - przyznałam z rozpaczą. Teraz, gdy na głos sformułowałam moje podejrzenia, najgorsze i najsilniej dręczące mnie myśli wydały się absurdalne... ale jednak nie do końca. - Czasem mi się zdaje, że to jest możliwe. Wiele rzeczy się tutaj zmieniło, o których jeszcze nie wiesz.

Złote słońce łudziło ciepłem, ale ziemia, dudniąca głucho pod naszymi krokami, była twarda jak żelazo, a oddech Johna przemieniał się w białą mgiełkę.

Miałam mu coś jeszcze pokazać, więc poprowadziłam go dalej, a on po drodze kręcił głową, jakby się przed tym wszystkim bronił. Musiał jednak chyba wiedzieć o wojnie, jaką ojciec wypowiedział heretykom, odkąd dziesięć lat temu brat Marcin zaczął otwarcie walczyć z zepsuciem kleru, a Europa pograżyła się w religijnych zamieszkach. Zapewne przez myśl by mu nie przeszło, do czego doszło rozprawianie się ojca ze złem. Zaufany sługa królewski sir Thomas More - nie tylko doradca monarchy, mający wstęp do królewskich komnat, lecz także poseł do Izby Gmin i pasowany na rycerza kanclerz księstwa Lancaster* - cały swój czas i siły poświęcał na zatykanie szczelin, którymi do Anglii mogłaby się sączyć herezja.

* Ustanowione w XIII wieku księstwo Lancaster należało do dóbr koronnych, a kanclerz księstwa był ich zarządcą. Obecnie jest to godność tytułarna w rządzie. Urząd ten sprawował m.in. Winston Churchill.

Szewców i innych prostaczków prześladował nie ten dobry ojciec, który w domu z nami jadł, śmiał się i rozmawiał (choć teraz znacznie mniej niż kiedyś), pogodny, dobroduszny kpiarz, jakiego znaleźliśmy od lat. To przez przypadek natknęłam się na jego ofiary i zdałam sobie wtedy sprawę, że stał się kimś innym: obcym, przerażającym, wpatrzonym w ciemność.

Więźniowie, których widziałam w kordegardzie, byli małymi płótkami chwytanymi na ulicach Londynu; ofiarami tajnych agentów ojca, kryjących się wśród garbarzy skór, sukienników i handlarzy ryb. Prześladowane zło miało postać ubogich prostaczków, którzy w zaciszu domowym usiłowali żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Pojmany zmuszano do przejścia ulicami wśród okrzyków gawiedzi. Nieszczęśnicy dźwigali na ramionach wiązki polan, będących symbolem wiecznych płomieni, jakie czekają heretyków, którzy nie odwołują swoich błędów.

Nie rozumiałam kryjącej się za tym wielkiej polityki. Nie pojmowałam także, w jaki sposób potężny gmach duchowej i doczesnej władzy Kościoła rzymskiego może być zagrożony przez tych wystraszonych kupców i rzemieślników. Trudno było nie litować się nad nimi.

Ojciec przesłuchiwał nie tylko prostaczków, lecz także ludzi, których wygląd i przekonania przypominały nas samych z dawnych czasów. Na takich podobno szczególnie był zawzięty. Młodzi, zdolni, wykształceni na uniwersytetach, mający - jak sam mówił - „nowomodne umysły” i „skłonni do fantazji”, mogli jego zdaniem poczynić najwięcej szkód. Należał do nich Cuthbert Bilney*, aresztowany po wygłoszeniu buntowniczego kazania w Londynie; było też wśród nich sześciu studentów Cambridge więzionych w piwnicy własnego college'u za posiadanie heretyckich ksiązek. Być może rzeczywiście ludzie nauki najbardziej narażeni byli na wpływy herezji. Jednak z przerażeniem myślałam o tym, że ojciec może stać się obrońcą nie tylko najlepszych, ale i najgorszych tradycji Kościoła katolickiego. Bałam się, iż dołączy do grona tępych i bezwzględnych przedstawicieli kleru i władzy; tych samych, z których poważnych dysput o liczbie aniołów na czubku szpilki obaj z Erazmem tak bardzo sobie pokpiwali.

* Właśc. Thomas Bilney (ok. 1495-1531), kaznodzieja, męczennik, odrzucał kult relikwii i świętych, ale pozostał rzymskim katolikiem. Dwukrotnie był aresztowany: za pierwszym razem został zmuszony do odstąpienia od błędów, za drugim - spalony na stosie.

- Oczywiście chciałabym wierzyć, że kierują nim szlachetne pobudki - ciągnęłam zasapaną, gdy przystanęliśmy na chwilę. - Że zabiera tych ludzi z więzienia, ponieważ tam nie są bezpieczni. Że próbuje dać im szansę, przekonuje i namawia do odwołania błędów, ratując w ten sposób ich dusze. Ale jeśli kryje się za tym coś jeszcze? Jeśli osobiście ich torturuje, gdy nikt nie widzi? Jeśli stał się czymś więcej niż „oddanym dworzanim”? - Wzięłam głęboki oddech. - A jeśli męczenie ludzi zaczęło mu sprawiać przyjemność?

John pokręcił głową.

- Niemożliwe - orzekł stanowczo i objął mnie pocieszająco. - Rozumiem twój niepokój, Meg, ale uwierz mi, to niedorzeczne. - Zorientował się, że nie rozwiął do końca moich podejrzeń, więc dodał: - Przypomnij sobie, jak łagodnie potraktował młodego Ropera. Niektórzy mówią wręcz, że jest zbyt miękki na swój urząd.

Uśmiechnęłam się. Ciekawe, skąd John słyszał o luterzańskim epizodzie Willa Ropera, który zdarzył się kilka miesięcy temu. Nie sądziłam, iż ktoś spoza naszej rodziny dowie się o tym, że Will, który właśnie otrzymał tytuł adwokata, został zatrzymany i postawiony przed kardynałem Wolseyem za uczestnictwo w heretyckim spotkaniu modlitewnym niemieckich kupców w Londynie. Tylko dzięki ojcu puszczono go wtedy wolno, dając mu jedynie upomnienie, podczas gdy inni aresztowani z nim musieli przejść w procesji z ładunkiem drewna na plecach wśród szyderczych okrzyków tłumu.

Oficjalnie o tym nie wiedziałam. Ale Will był dość gadatliwy, zwłaszcza gdy zapalił się do nowej idei, stale więc perorował, jakim to nadużyciem jest pobieranie opłat za modlitwę za dusze zmarłych, bo przecież czyściec istnieje jedynie w umysłach chciwych mnichów. Utrzymywał, że nie wierzy w świętych obcowanie, czyli złączenie w ciele Kościoła żywych i umarłych, jako że wiara jest sprawą między Bogiem a wiernymi. Nie

zgadzał się z tym, że istnieje tylko jeden Święty Kościół Rzymski. Twierdził, że księża i mnisi są niepotrzebni, nie trzeba szanować dawnych tradycji i należy zerwać z przeszłością.

Will naprawdę tak uważał. Prowadził długie rozmowy z ojcem, który cały czas wykazywał spokój i opanowanie. Nieraz ich widziałam, jak spacerowali po ogrodzie; ojciec obejmował Willa ramieniem i spoglądał na niego z z troską.

- Dysputy z twoim mężem prowadzą donikąd - oznajmił w końcu Margaret. - A zatem nie będę z nim więcej dyskutować.

Chyba więc modlitwy ojca i jego wyrozumiałość ostatecznie sprawiły, że mój szwagier odstąpił od zakazanych idei i na nowo odnalazł żarliwą wiarę w jej dawnej, dobrze znanej postaci (nie bez znaczenia było jego bezgraniczne uwielbienie dla ojca).

- Fanatyk przecież by tak nie postąpił. - John mówił bardzo łagodnie. - Nie okazałby takiej pobłażliwości. - Wyraźnie czekał na sygnał, że rozproszył moje troski. No i uśmiechnęłam się w końcu. Argument o dobroci i wyrozumiałości ojca niemal mnie przekonał. Ale niezupełnie.

- Coś mi się tu jednak nie zgadza - zawahałam się. - Jego stosunek do Willa to jedno, a postępowanie w innych sprawach to drugie. Na przykład to, co robi w Nowym Pawilonie, dokąd nie wolno nam wchodzić, i w Londynie na królewskim dworze - tego nie rozumiem.

Na twarzy Johna znów pojawił się niepokój, który zapewne ode mnie mu się udzielił. Wiedziałam, że nie zachowuję się lojalnie wobec ojca, interesując się jego sprawami, o których nikomu z rodziny nie mówiłam. Odkąd przenieśliśmy się do Chelsea, nieraz go śledziłam. Zaprowadziłam teraz Johna w głąb ogrodu, chcąc mu pokazać inne moje odkrycie i licząc na to, że właśnie ono pomoże mu zrozumieć, dlaczego tak bardzo niepokoję się obecnymi skłonnościami ojca i zarzuceniem przez niego ideałów, które zawsze przyświecały naszej mądrej i szczęśliwej rodzinie.

Poszliśmy do Nowego Pawilonu, sanktuarium ojca, dokąd uciekał od życia na dworze. Była to jego prywatna kaplica, galeria, biblioteka, miejsce rozmyślań i modłów; tu pisał swe broszury. Nagie ściany przypominały klasztorną celę: jedna ława i prosty stół. Najpierw długo się modlił, a potem przy stole pisał otwarte listy, wylewając z siebie plugawy jad. Wprost nie mogłam uwierzyć, że takie słowa mogły wyjść spod jego pióra.

Luter pisze, iż ma aprioryczne prawo obrzucać koronę królewską gnojem. My zaś mamy aposterioryczne prawo głosić, iż pelen gnoju język tego wyznawcy aposterioryzmu odpowiedniejszy jest do wylizania tyłka mulicy, dopóki on sam nie nauczy się poprawnie wyciągać aposteriorycznych wniosków z apriorycznych założeń.

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka. John w małym wnętrzu wydawał się jeszcze wyższy. Bez słowa wskazałam palcem pokryty brązowymi plamami bicz wiszący na drzwiach. Była to kolejna nowa rzecz, jeśli chodzi o ojca: broń wymierzona przeciwko sobie i własnym słabościom, przed cielesnymi żądzami, które powstrzymały go od wstąpienia do stanu duchownego.

Jakież skrywane żądze i czyje ciała były przyczyną tego biczowania się do krwi? Z bólem pomyślałam o tych biednych, Bogu ducha winnych ramionach i plecach - i tak już poranionych przez włosienicę - kato-

wanych odrażającym zakrwawionym rzemieniem. Wizja ojca zadającego sobie cierpienie w samotności była równie przerażająca jak widok umęczonego więźnia kordegardy.

Ojciec trzymał tu heretyckie broszury i pisma oraz zakazane księgi pochodzące z konfiskaty. Na lekturę i polemikę z nimi otrzymał specjalną dyspensę od biskupa Tunstalla. W tym miejscu modlitwy i odosobnienia zgromadził kompletną bibliotekę herezji, łącznie z Biblią przetłumaczoną przez Williama Tyndale'a* na angielski - jeden z nielicznych egzemplarzy ocalałych przed ogniem na dziedzińcu katedry Świętego Pawła. Resztę kardynał Wolsey rzucił w płomienie, na co patrzyło trzydzieści tysięcy londyńczyków, w tym ojciec.

* William Tyndale (1492?-1536), pisarz religijny i tłumacz Pisma św. Popularyzował idee luterzańskie. Naraził się królowi krytyką zabiegów o unieważnienie małżeństwa z Katarzyną Aragońską. Został aresztowany, oskarżony o herezję i stracony - najpierw go uduszono, a potem ciało spalono na stosie.

Na stole leżał brulion listu do Erazma; błagał w nim przyjaciela, by ten zdecydowanie opowiedział się po jednej stronie - przeciwko Lutrowi. Czytałam to pismo już wcześniej i byłam wstrząśnięta ostrością sformułowań. Ojciec pisał, że uważa wszystkich heretyków za *absolutnie odrażających do tego stopnia, że dopóki się nie opamiętają, pragnę ich nienawidzić, jak tylko to możliwe.*

Nienawidzić, zaiste. Zadrzałam. Przypomnił mi się Robert Ward, przerażony szewczyzna przetrzymywany w kordegardzie i modlący się o śmierć.

Ojciec tylko marnował atrament, starając się przekonać Erazma. Z listów filozofa nie wynikało, by istniał choć cień szansy na jego publiczne poparcie jakiegokolwiek krucjaty przeciwko reformatorom religijnym. Sam przeżył ogromne rozczarowanie: z jednej strony do Lutra i Zwingliego, a z drugiej - do ojca. Podobnie jak resztą do wszystkich humanistów, którzy stali się fanatykami. Stąd Erazm określał znanych ewangelików mianem „demagogów” i „miałkich ludzi”, twierdząc, iż są „całkowicie pozbawieni szczerości”, ale jednocześnie krytykował „niewybredne, irytujące” ataki ojca na nich, które „mogłyby Lutra uczyć zajadłości”.

Żał mi go było. Opuszczony przez uczniów, którzy porzuciwszy dawne ideały, popadli w religijne skrajności, siedział w Bazylei i daremnie szukał godnych siebie umysłów; ludzi, którzy umieliby się jeszcze cieszyć greckim piśmiennictwem i arabską geometrią, ceniliby umiar, rozsądek, zdrową kpinę, naukę, śmiech, poszukiwanie odpowiedzi, piękno, prawdę i całą resztę zapomnianych dawno marzeń tamtego pokolenia. Tych samych marzeń, w których wychował nas ojciec i których sami byliśmy żywą ilustracją. Niemiecki malarz miał je uwiecznić, portretując rzeczywistość zagrożoną bezpowrotnym odejściem w przeszłość.

- Spójrz tylko - szeptałam, wyciągając kolejne tomy pism ojca i otwierając je na najgorszych stronach. - I tutaj. I na to.

W środku było wystarczająco jasno, by można było odczytać litery, ale John z westchnieniem zaniósł księgi do stołu przy oknie.

- Widzisz? - niecierpliwiłam się, a mój szept sykiem odbijał się od nagich ścian. - Zatracił zdrowy rozsądek.

Na jego pozwolenie możemy czekać w nieskończoność. Poza tym nic już się nie liczy. Oszałał z nienawiści.

Od dawna tak myślałam o ojcu, ale ponieważ dotąd nie miałam się komu zwierzyć, doznałam wielkiej ulgi, że nareszcie moje wątpliwości mogą wypowiedzieć na głos, i to do ukochanego.

John wzruszył ramionami i uśmiechnął się pobłaźliwie, jak dawniej, gdy źle odpowiedziałam na lekcji. Pokręcił głową.

- Na tym polega jego praca - rzekł krótko, rzucając kartkę z plugawym nonsensem o aposterioryzmie Lutra. - Pisz to William Ross, nie Thomas More.

Kolejna rozsądna uwaga rozpraszająca moje lęki i obawy, a jednocześnie sygnał, że John sporo wie o działalności ojca. Nie mogłam zaprzeczyć. Ojca poprosił król - więc nie była to jego inicjatywa - aby odpowiedział na pisma Lutra wymierzone przeciwko papieżowi. Prawdą również było, że wstydził się niewybrednego języka, fanatyzmu oraz kiepskiej argumentacji, i w związku z tym teksty pisane w służbie króla i narodu podpisywał innym nazwiskiem. Jednakże czerwieniłam się ze wstydu, czytając listy Williama Rossa, zacieklego fanatyka, bo przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że pod tym nazwiskiem kryje się Thomas More. A jednak John rozdzielał te dwie osoby. Czy to możliwe, by ojciec nie poszedł na aż tak wielkie ustępstwa, jak myślałam?

- Niebezpieczeństwo herezji nie jest tylko wytworem jego wyobraźni - rzekł John łagodnie, wyczuwając szczelinę w mojej zbroi. - Człowiek w kordegardzie niewątpliwie budzi litość. Ale pamiętajmy, że za nim również stoi ciemność, która może ogarnąć Kościół.

- Jakże to? Za wymizerowanym szewczykiem z Fleet Street? - oburzyłam się, znów przechodząc do defensywy.

- Szewc z Fleet Street też może być ciemnością - odparł John poważnie. - I pociągnąć za sobą wielu ludzi. Jesteś młoda, miałaś szczęście dorastać w czasach pokoju i wychowywać się w wykształconej rodzinie, gdzie sporo się czytało, świadomej, iż w historii zdarzały się różne wierzenia i poglądy, że były państwa o rozmaitych ustrojach. Uczylaś się o greckich bogach, rzymskich prawodawcach, uczonych mędrkach Wschodu i gwiazdach poruszających się po niebie w uporządkowany sposób. Wydaje ci się, że cywilizacja jest wszędzie. Twoje życie jest bezpieczne, wiara ugruntowana, a tymczasem nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie to rzadkie. Nie żyjesz w strachu przed zamętem, ogarniającym i niszczącym wszystko dokoła, wciąż nękającym wielu z nas. Nie wiesz, co czują ludzie, którzy boją się bezbożników siejących chaos po to, by zawładnąć światem. Nie myślę o biedocie, przesądnej i niepiśmiennej, ale o tych, którzy nie mieli możliwości poznać Seneki, Boecjusza ani algebry. Tych, którzy dorastali w czasach wojny*, nim nastąpił ten niezwykły w naszych dziejach okres pokoju, i którzy nie odebrali tak starannego wykształcenia jak ty. Mówię o ludziach doświadczonych wojną. Podobnie jak twój ojciec i ja.

* Mowa o wojnie domowej, zwanej Wojną Dwóch Róż (1455-1485), między zwolennikami Yorków (biała róża w herbie) i Lancasterów (czerwona róża), dwóch młodszych linii dynastii Plantagenetów. Walki mocno osłabiły kraj, doprowadziły do upadku książęce i arystokratyczne rody.

- Ależ przecież ty i ojciec też macie ogromną wiedzę! Znacznie większą niż ja! - wykrzyknęłam zawiedziona jego tokiem rozumowania.

- Tak, ale my nie byliśmy od początku wychowywani w ten sposób, i to jest ta różnica - odparł z pewnością siebie, która zamknęła mi usta. - Wyrośliśmy w świecie owładniętym lękiem przed ciemnością. Śmierć czaiła się na każdym kroku. Londyn mogli nagle otoczyć żołnierze gotowi powiesić każdego mężczyznę, zabić każdą kobietę, przebić mieczem każde dziecko i podpalić każdy kościół. Zamknięte w klasztorach książki były czymś niezwykle rzadkim, a jedyną nadzieję na zbawienie duszy dawał jeden prawdziwy Kościół i księża, którzy mieli prawo orędować u Boga. Ludzie z naszego pokolenia wprost zachłysnęli się nowymi ideami i nową wolnością myślenia, które przyniósł czas pokoju i spokoju. Jednak nie zapomnieliśmy o strachu, w którym dorastaliśmy. Zawsze w nas tkwił. Nie można spać spokojnie, dopóki szerzy się bunt przeciwko Kościołowi. Nie oczekuj tego od nas.

Urwał i czekał na znak, że się z nim zgadzam. Ale nie poddałam się jeszcze, mimo iż jego wywody uświadomiły mi, że mam jedynie częściową wiedzę.

- Ale ojciec, Erazm i wy wszyscy mówiliście zawsze o konieczności wypłenicia zepsucia z Kościoła - zaprotestowałam żałośnie. - I nikt nie uważał tego za zbrodnię. Więc dlaczego jest inaczej, gdy kilku szewców zbierze się na modlitwie u garbarza?

Westchnął i znów zaczął cierpliwie tłumaczyć.

- To już nie jest kilku szewców ani kilka modlitewnych spotkań. Ani nie są to padające przy biesiadnym stole żarty z księży kupczących odpustami. Sprawy poszły znacznie dalej. To, co się teraz dzieje, wymierzone jest przeciwko Bogu i Jego Kościołowi. Na niemieckich ziemiach chłopskie watahy ogarnęło szaleństwo; tłuszcza pali kościoły i morduje wiernych. Przeniewierczy mnisi łamią celibat i żenią się z zakonnkami, które przedtem ślubowały, że będą oblubienicami Chrystusa. Wszystkim nam zagraża dawny chaos, ów strach, którego ty nigdy nie zaznałaś. Nawet gdybym cię przekonał, trudno byłoby ci dostrzec niebezpieczeństwo, gdy jesteś tu, w spokojnej Anglii. Tylko ktoś, kto na własne oczy widział, co się działo w Europie, nie będzie mieć cienia wątpliwości, że nad całym chrześcijańskim światem zebrała się ciemność. Nad Anglią również. Twój ojciec słusznie się obawia i ma rację, że z tym walczy. Nie moglibyśmy mieć lepszego niż on przywódcy w wojnie z heretykami właśnie dlatego, że jest to uczony i prawy człowiek, ten sam, który cię wychował. Dobry, delikatny, szlachetny i mądry. Dlatego nigdy nie uwierzę w to, czego ty się lękasz... że zadawanie bólu mogłoby mu sprawiać radość. Odrzuć od siebie tę myśl, jest pozbawiona sensu.

Był o wiele bardziej pewny swoich racji niż ja moich. Zawstydziła mnie też jego lojalność wobec ojca. Spuściłam wzrok.

- To prostsze, niż ci się zdaje, Meg - dodał. - Ty i ja będziemy jeszcze szczęśliwi. Żadne z nas już nigdy nie będzie samotne. Ale musimy być posłuszni i nie wolno nam przysparzać mu zgrzyot. On walczy w wielu miejscach. Nie tylko szewcy są niebezpieczni; jest gorzej: herezja wszędzie podnosi swój wstrętny łeb... nawet na dworze.

Wyprostował się i spojrział w stronę drzwi. Najwyraźniej źle się czuł, naruszając prywatny teren ojca. Gdy wyszliśmy na światło dnia, ujął mnie pod ramię i zaczął opowiadać o najnowszych wydarzeniach na królewskim dworze.

- Henryk VIII jest zakochany w pięknej damie dworu. Dokoła róże, strumienie słodkiego wina, tańce do białego rana, zgrabne nóżki migają spod sukni z głębokim wycięciem, kuszą do miłości puchowe łoża z bal-

dachimem. Henryk VIII kocha się na zabój w pięknej damie dworu, lecz ona nie zamierza ulec mu wśród róż na puchowym łożu zapraszającym do miłości, toteż król chce się pozbyć królowej, by móc się powtórnie ożenić.

Król jest dumny i niecierpliwy. Nie znosi odmowy. Cierpi z miłości; twierdzi, iż to z powodu Księżki Kapłańskiej, która głosi: „Ktokolwiek bierze żonę swego brata, popełnia kazirodztwo... będą bezdzietni”*. To właśnie król chce oficjalnie usłyszeć, bo ma już dosyć królowej, więc teraz przeszkadza mu, że była najpierw małżonką jego brata Artura.

* Wszystkie cytaty Pisma Świętego za *Biblią Tysiąclecia*, wyd. Pallotinum. Poznań-Warszawa 1988.

Odkąd król zapragnął ponownie się ożenić, pierwsze małżeństwo królowej dręczy jego sumienie. Dawniej nie burzyło spokoju niczyjego sumienia, papież bowiem oficjalnie ogłosił, iż tamto małżeństwo Katarzyny nie zostało skonsumowane, a zatem nie było związkiem ważnym przed Bogiem. A teraz król ma wątpliwości i zalecając się do pięknej panny o szczupłej twarzyczce, oczach czarownicy i dziwnym znamieniu na szyi, coraz głębiej wierzy, iż to Bóg pokarał go za grzeszny związek z żoną brata, odmawiając mu dotąd prawowitego syna.

Królowa Katarzyna: pobożna, wykształcona, liczy już ponad czterdzieści lat. Hiszpanka, ma potężnych przyjaciół na dworze i w całej Europie, lecz po dwudziestu latach w łożu króla dała mu jedynie córkę. I martwi się.

Jej rywalkę, piękną, inteligentną, uroczą Annę Boleyn, otacza koteria ambitnych karierowiczów, ludzi groźnych i niebezpiecznych, którzy z obleśnymi uśmiezkami popychają ją w ramiona króla.

Na Nowy Rok byłem w Hampton Court i widziałem ich razem - dodał John ponuro. - Wszyscy przywdziali maski, ale król się nie krył. I nie krył swoich uczuć do damy w żółtej sukni.

- Ale co dama w żółtej sukni może mieć wspólnego z nami? - zapytałam.

- Niestety, bardzo wiele, Meg - odparł. - Za sprawą damy w żółtej sukni wojna twego ojca z herezją staje się o stokroć bardziej niebezpieczna. Król jej słucha... a ona ma kontakty z heretykami. Wykorzystując to, że król pragnie zarówno pozbyć się królowej, jak i zachwiać pozycją Kościoła rzymskiego i papieża, sący mu najgorszą truciznę. Podsuwa różne książki. Jeśli umocni swoje wpływy, kto wie, jak daleko herezja się rozprze-strzeni i w jakim chaosie nas pogrąży. Pokój, nad którym twój ojciec pracował całe życie, jest zaledwie iluzoryczną ugodą zawartą przez ludzi. A w naturze ludzkiej zawsze czai się bestia.

Słowa te niewiele mi mówiły. Skubałam fałdę płaszcza. Nic a nic nie rozumiałam.

- Mówisz o polityce - rzekłam nadąsana. - Nie o zwykłym życiu. Nie o naszej miłości ani o małżeństwie.

- Meg, polityka to jest życie. Jeśli nie będzie pokoju, nie będzie też miłości, małżeństwa, dzieci... Powinnaś dziękować Bogu, że jesteś za młoda, by pamiętać tamte czasy... okres wojny - odparł pośpiesznie. - Każdy, kto je przeżył, poświadczy moje słowa. Przez to szaleństwo straciłem rodzinę - zadrzał. - A to najgorsze, co może człowieka spotkać.

Stracił swoich bliskich? Był w takim wieku, że mogło się to zdarzyć, ale nigdy o tym nie mówił. Wiedziała jedynie, że po śmierci swego ojca został przygarnięty przez jego przyjaciół. Kiedyś spytałam go o dzieciństwo. Pokręcił głową. „Było zupełnie inne niż moje obecne życie. O wiele bardziej wolę to, co jest teraz”. Tylko tyle mi wówczas powiedział.

- Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że apetyty króla zwrócą się gdzie indziej i kryzys minie - ciągnął. - Na razie staraj się nie osądzać ojca zbyt surowo. Pewne rzeczy, które robi, mogą wydać się okrutne, ale od tego zależy wyrwanie z korzeniami zabłąkanych na angielskiej glebie trujących pędów zła, nim oplotą one króla. Niech się na tym skupi, a my zaczekajmy na stosowniejszy moment.

Okręcił mnie wokół siebie i spojrzał mi pytająco w oczy.

- Meg, Meg, nie bądź taka przerażona! Miej wiarę. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze. Poślubię cię. Szkoda jedynie... - dodał, pochylając się i delikatnie całując mnie w czoło - że nie może się to stać dzisiaj.

Stałam ze spuszczoną głową, radując się rozkosznym momentem bliskości; pewność w głosie ukochanego budziła w moim sercu miłe ciepło, podobnie jak jego płaszcz szarpany niesfornym wiatrem otulał i grzał moje ciało. Na trawniku przesuwwały się cienie chmur gnanych wiatrem po ciemniejącym niebie. Wciąż trudno mi było uwierzyć, że on naprawdę jest przy mnie i darzy mnie takim samym uczuciem, jakim ja zawsze darzyłam jego. Ta myśl była wprost rozkoszna. Trochę mnie uspokoił, że ojciec nie zmienił się w mściwego okrutnika, choć do końca nie wyzbyłam się swych obaw. Nadal dręczyły mnie niepewność i niepokój; z całej duszy jednak pragnęłam wierzyć Johnowi Clementowi, ponieważ wyznał, że mnie kocha, i ponieważ ja jego kochałam.

- Powiedziałaś, że ojciec... - szepnęłam, stojąc tak blisko, że czułam jego zapach; nie mogłam się skupić i sama już nie bardzo wiedziałam, o co mam pytać. - ...Co to za rzeczy, o których nie wiem...? Czy chodzi o Kolegium Lekarzy, czy o coś jeszcze?

Zawahał się. Przez chwilę zdawało mi się, że dojrzałam w jego oczach dziwny błysk, jakby chciał coś przede mną ukryć. Uśmiechnął się jednak i pokręcił głową.

- Nie, nic więcej - stanowczo odpowiedział. - Nie masz się czym przejmować.

Przytuleni do siebie, spoglądaliśmy w stronę domu, wiedząc, że czas wracać. Właściwie powinnam się cieszyć ze spotkania, ale trwało ono tak krótko i tyle spraw pozostało niedopowiedzianych, że moja radość nie mogła być pełna, gdyż towarzyszył jej smutek. Wróciliśmy na ścieżkę i wtedy, trzymając go pod ramię, powiedziałam:

- Wiesz, tęsknię do dawnych niewinnych czasów, zanim... Gdy przejmowaliśmy się głównie tym, jaką by sztukę wystawić po wieczery... Kiedy najgorszym nieszczęściem była łasica grasująca w ogrodzie... Kiedy w sądzie ojciec zajmował się zwykłymi przestępstwami... Kiedy pisał dla przyjemności pisanie, a nie po to, by walczyć słowami...

- Moja najmilsza panno, coś mi się widzi, że tęsknisz za Utopią - roześmiał się John, a ja pomyślałam, że pewnie ze mnie się śmieje. O Utopii pisał ojciec w swojej najsłynniejszej książce, która powstała tego lata, kiedy John wyjechał. Pojawia się tam epizodyczna postać wzorowana na moim nauczycielu, określona jako

„mój chłopiec John Clement". Ojciec przedstawił tam idealny świat, niemal tak doskonały jak nasze dawne dobre czasy.

Jakoś jednak nie było mi do śmiechu.

- Owszem, tęsknię. Kto by nie tęsknił?

W tym momencie wiatr powiał ostro i John z trudem doprowadził rozwiane połę płaszcza do porządku.

- Chodźmy - rzekł, jakby nie dosłyszał moich słów. - Bo wiatr nas porwie.

Ale słyszał na pewno, ponieważ po kilku krokach dodał smutno:

- Tęsknota to niebezpieczna rzecz. Nigdy nie oglądaj się za siebie.

Może zresztą przywidział mi się ten jego chwilowy chłód, bo gdy dotarliśmy do drzwi i z dala od ostrych podmuchów próbowaliśmy złapać oddech, znów się uśmiechał, a twarz mu promieniała. Pogładził moje włosy, które wymknęły się spod czepka, i położył mi palec na ustach.

Pewnie stalibyśmy tak długo, wpatrując się w siebie miłośnie, gdyby nagle nie rozległ się dźwięk duetu lutni: czyjeś palce dotykały strun wolno i z wahaniem*.

- Posłuchaj! - wykrzyknął z zachwytem i otworzył drzwi, aby lepiej słyszeć. Nie musiałam zgadywać, co znaczy niezbyt zgrany duet lutni w naszym domu. Wrócił ojciec.

* Lutnia była w tym czasie w Anglii jednym z popularniejszych instrumentów. Uczono się na niej grać już w bardzo młodym wieku.

4

W wielkiej sali pojawili się nowi przybysze, spośród których zdecydowanie wyróżniał się jeden - miał gęste ciemne włosy, silnie zarysowany podbródek, długi nos i przenikliwe oczy zdolne przejrzeć każdy sekret duszy. Człowieka tego otaczała niezwykła aura i wszystkie spojrzenia niezmiennie kierowały się w jego stronę.

Kiedy ojciec, w charakterystyczny sposób odrzuciwszy głowę do tyłu, śmiał się - co robił dość często - jego wesołość udzielała się obecnym. Gdy weszliśmy z Johnem do sali, akurat się nie śmiał. Oboje z jejmością Alice siedzieli na krzesłach z wysokimi oparciami i skupiając na sobie uwagę zebranych, zmagali się z nieposłusznymi instrumentami. Ojciec nie miał dobrego słuchu, ale bardzo lubił grywać duety z żoną i z radosnym uśmiechem zmuszał odporne palce do podjęcia wysiłku. Świadom swych ograniczeń, gotów był w każdej chwili potraktować te muzyczne popisy - podobnie jak wiele innych rzeczy - jako świetny pretekst do żartów z ludzkiej niedoskonałości.

Roztaczany przez niego czar działał na wszystkich. Rozglądając się po znajomych twarzach, wśród których znalazł się mistrz Hans, zauważyłam, że ojciec przywiózł Rastella i Heywooda* oraz swego zaufanego sekretarza, garbatego Johna Harrisa, a także nieodłącznego grubego błazna Henry'ego Pattinona. Był również uwielbiający swego pana, wierny służący John a Wood, który teraz wyraźnie skarżył się komuś na stan butów ojca, widocznych spod szat, i zapewne jak zwykle roztaczał plany uzupełnienia jego garderoby, czemu ojciec zawsze się opierał. Na widok ojca uleciało ze mnie wszelkie zarzewie buntu. Sama jego promienna obecność sprawiała, że niczego nie brakowało już do szczęścia, a mrok komnaty rozjaśniały nie tylko świece i ciepło było nie tylko od bużującego w kominku ognia. Jak wszyscy pozostali gotowa byłam zapomnieć o całym świecie i cieszyć się, że ojciec jest zadowolony i radosny.

* John Heywood (1497-1580), ang. poeta i dramatopisarz; William Rastell (1508-1565), drukarz, który wydrukował cztery sztuki Heywooda.

Tymczasem John, stojący przede mną, zadrżał niespokojnie. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, lecz przeszył mnie dziwny lęk, gdy zobaczyłam, że ojciec patrzy na niego znad gryfu.

Taktu jednak nie zmylił, palce cały czas dotykały strun. Chwilę przyglądał się niespodziewanemu gościowi, po czym pochylił głowę w lekkim ukłonie i rzekł z wielką dobrocią:

- Witaj, Johnie.

Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jego oblicza, nawet wtedy, gdy skierował wzrok w dół i skupił się na instrumencie.

Było to zwykle przywitanie, lecz John drgnął jak smagnięty biczem. Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, spoglądając tęsknie w stronę drzwi, jakby już chciał wyjść.

W końcu muzyka rozplynęła się w oklaskach, a ojciec się podniósł, cały czas trzymając lutnię w dłoni. Spodziewałam się, że do nas podejdzie. Na twarzy Johna widziałam natomiast wyraźnie poczucie winy.

Jednak ojciec nie od razu do nas podszedł. Najpierw zwrócił się do zachwyconego mistrza Hansa i przeprosił za marny poziom muzycznych popisów.

- Zapewniam was, panie, że teraz nastąpi coś lepszego - zakończył. Mój wuj, drukarz John Rastell, oraz jego zięć John Heywood znali plany ojca. Okazało się, że jak za dawnych dobrych czasów, gdy spędzaliśmy wieczory w rodzinnym gronie, odegramy sztukę.

- Zagrajmy *Cztery P**! - zawołał młody John More, podekscytowany jak rozbrykany żrebak.

Była to sztuka Johna Heywooda, napisana po wyjeździe Johna Clementa i przez całe lata popularna w naszej rodzinie. Prześmiewała handel fałszywymi relikwiami uprawiany przez wędrownych mnichów. Młody John, z szerokim uśmiechem na dziecinnej jeszcze twarzy, która sprawiała wrażenie zbyt drobnej dla mężczyzny, jął wymachiwać kielichem.

- Tu mamy puchar weselny Adama i Ewy!... A to... - podniósł szkatułkę, śmiejąc się głośno - ...mógłby być wielki palec Trójcy Świętej!

Stary John More go uciszył. Widocznie ustalono wcześniej, co będziemy grać (i nie miało mieć to związku z religią). Chwilę później wszyscy zaczęli szykować się do sztuki *Dwanaście wesółych figli wdowy Edith*. Rolę starej oszustki, która sprowadza na złą drogę naszych służących, dostała jejmość Alice, z czym jak zwykle dobrodusznie się pogodziła**.

* Pełny tytuł brzmi *The Play called the foure PP; a newe and a very mery interlude of a palmer, a pardoner, a potycary, a pedler*.

** *The Twelve Merry Jestes of Widow Edith*, sztuka Waltera Smitha, której akcja rozgrywa się między innymi w domostwie sir Thomasa More'a. Autorem był prawdopodobnie handlarz artykułów piśmiennych i sąsiad Williama Rastella.

- Pewnie to kara za mój charakter sekutnicy - posłała nam znaczące spojrzenie. - Muszę się poprawić. - Mrugnęła porozumiewawczo, poklepała po ramieniu ojca, który zrobił potulną minę, i dodała: - Ależ żartuję, drogi mężu.

Dopiero gdy przygotowania trwały już na dobre, w czym brali czynny udział dwaj pozostali Johnowie, ojciec wreszcie do nas podszedł. Mój John nie ruszał się z miejsca, czując się nieswojo wśród tej gorączkowej krzątaniny.

- John! - Ojciec otworzył ramiona i obdarzył go uśmiechem. - Co za niespodzianka! Witaj w naszych skromnych progach.

Objął serdecznie swego protegowanego, który wyraźnie był zaskoczony, po czym dobrodusznie poklepał go po plecach i uśmiechnął się także do mnie.

- John Clement - rzekł, wymawiając to nazwisko z lekko żartobliwą nutką - zawsze sprawiał niespodzianki. Od pierwszego spotkania; pamiętasz, kiedy to było, John?

Przeszył nas jakiś dziwny prąd, jakby pod maską łagodności czaiła się groźba - choć może poniosła mnie fantazja. John słuchał słów ojca z uśmiechem, lecz był spięty. Czujnie nastawiłam uszu. Niewiele wiedziałam o tajemniczej przeszłości mego ukochanego, toteż każda informacja miała dla mnie wielką wagę.

- Było to w domu arcybiskupa Mortona*, Meg - ciągnął ojciec. - Miałem... może dwanaście lat? Nieraz już słyszałaś o arcybiskupie Mortonie, moim pierwszym panu i jednym z najznakomitszych ludzi, którym miałem zaszczyt i przywilej służyć. Człowiek o wielkim doświadczeniu i wiedzy, przezorny i mądry. Panie, świeć nad jego duszą. - Nastrój stawał się coraz bardziej niezwykły. Miodopłynny głos ojca, będący wielką zaletą w zawodzie prawnika, ścichł nieco, jakby wabił nas, by wejść głębiej w opowiadaną historię.

* Synów szlacheckich często wysyłano na dwór lorda lub ważnego dostojnika, by nabrali ogłady. Sir Thomas More wychował się w domu arcybiskupa Mortona.

Ojciec był wtedy paziem, chodził w rajtuzach i kubraku obszytym futrem. W komnacie w zachodniej wieży pałacu Lambeth przygotowywał właśnie na noc łożo dla arcybiskupa, który był także lordem kanclerzem starego króla. Młody chłopak, zmęczony po ciężkim dniu - najpierw nauka, potem usługiwanie podczas wieczerzy - marzył, by jak najszybciej pójść spać (paziowie spali w swoim dormitorium). Pamiętając wszakże nauki o dobrym wychowaniu i obyczajności, wiedział, iż nawet gdy jest bardzo zmęczony, nie wypada opierać się o ścianę, kaszlać ani spluwać, a gdy ktoś się do niego zwraca, trzeba się uprzejmie uklonić, odpowiadać spokojnie i grzecznie. (Panicz More miał wrodzone dobre maniere, zatem rychło stał się ulubieńcem swego pana, który znał się na ludziach i mawiał zawsze: „Kto tego dożyje, przekona się, iż usługujące wam teraz pachole będzie wielkim człowiekiem”). Toteż gdy arcybiskup polecił mu zanieść tacę z winem, mięsem i chlebem do sali audiencyjnej - wyłożonej dębem komnaty, z której nigdy nie korzystano o tej porze - nie okazał niechęci, tylko posłusznie wykonał rozkaz.

W sali zastał dwóch wysokich, niewiele starszych od siebie młodzieńców w zakurzonym po podróży odzieniu i z przypasanymi mieczami. Wyraźnie zmęczeni, siedzieli na ławie. Gdy wszedł z tacą, najpierw spojrzeli na niego, potem na siebie i wtedy w ich oczach pojawił się gniew.

Młody More nie domyślał się, kim są tajemniczy goście. Nigdy ich nie widział - ani w szkole, ani wśród paziów usługujących podczas uczt. Zresztą byli zbyt dorośli na paziów. Włosy mieli krótko przycięte jak dojrzali mężczyźni. Nie byli to raczej dawni paziowie, którzy przyjechali złożyć arcybiskupowi swe uszanowanie - nie zjawialiby się tak niespodziewanie w środku nocy. Poza tym maniere mieli zbyt wyniosłe, by mogli je nabyć w słynącym z uprzejmości domostwie arcybiskupa.

- Wina! - rozkazał władczo starszy młodzieniec, który miał siedemnaście lub najwyżej osiemnaście lat. Młody More skłonił się i nalał wina.

- Wina! - powtórzył młodszy, czarnowłosy, o przenikliwym spojrzeniu, wyraźnie niezadowolony, że jest tylko jeden kielich. Wskazał przy tym władczym gestem swoje stopy, jakby More był psem wołanym do nogi.

Ale panicz More nie dał zbić się z tropu.

- Dwaj spragnieni, a tylko jedno naczynie - uśmiechając się uprzejmie, rzekł z dwornością zalecaną w ksiązkach. - Można temu zaradzić, muszę tylko pobiec do kuchni po drugi kielich.

Wtedy od strony otwartych drzwi dobiegł głośny śmiech. Żaden z nich nie zauważył arcybiskupa w długiej nocnej koszuli, który stojąc w progu, przyglądał się tej scenie.

- Brawo, chłopcze! - zawołał donośnym głosem. - Swoją postawą zawstydziliś niektórych tu obecnych. Ów młodzieniec... - wskazał jednego z gości; ten mocno się zmieszał, iż przyłapano go na niegodnym szlachcica pomiataniu młodszym - ...wyraźnie zapomina, jakie nosi nazwisko.

Czarnowłosy chłopak ze wstydem spuścił wzrok.

- Powiedz, jak się nazywasz, John - rzekł Morton. - Niechże i Thomas pojmie, w czym rzecz.

- Johannes... - zaczął młodzian. Zawahał się jak ktoś, kto niezbyt pewnie się czuje, mówiąc po łacinie. - Johannes Clemens.

Johannes Clemens. Jan Miłosierny. Arcybiskup Morton spojrział na More'a, zezwalając łaskawie, by paż się roześmiał. More uczynił zadość życzeniu swego pana, którego najwyraźniej bawił rozdźwięk między pięknym nazwiskiem ciemnowłosego chłopca a jego niezbyt stosownym zachowaniem. Starszy również zaczął się śmiać. Na koniec John Clement - ku zdumieniu młodego More'a - rozchmurzył się i wykazał większą fantazją, niż można się było spodziewać, dołączając do ogólnej wesołości, której sam był przedmiotem.

- ...To mi się w nim spodobało i od tamtej pory jesteśmy przyjaciółmi - zakończył ojciec. Słowa swe kierował bardziej do mnie niż do Johna, ale zauważyłam, że John jakby się odprężył w miarę zbliżania się opowieści do końca. Przyszło mi nawet do głowy, czy nie obawiał się innego zakończenia, takiego, które mogłoby go postawić w niezbyt korzystnym świetle. - Widzę, Johnie, że nadal jesteś człowiekiem nieprzewidywalnym: zjawiasz się bez uprzedzenia. - Ojciec mrugnął do mnie, zachęcając do wspólnego śmiechu z zażenowania naszego gościa. - Wciąż lubisz zaskakiwać.

- A tamtej nocy skąd przybyłeś? - spytałam milczącego Johna, ogromnie ciekawa dalszych rewelacji z jego przeszłości. - I dokąd jechałeś?

- Cóż - odparł za niego ojciec. - Działo się to zaraz po wojnie, wśród ogólnego chaosu i zamieszania. Po śmierci ojca John razem z bratem wychowywali się u przyjaciół rodziny. Nadszedł jednak czas, by John wstąpił na uniwersytet. Zatrzymał się wtedy w Londynie po drodze do Lowanium, gdzie uczyniono z niego uczzonego męża... miłosiernego i uczzonego męża... - Tu ojciec zachichotał - ...którego cała nasza rodzina tak bardzo pokochała.

W tym momencie podeszła do nas Elizabeth i przerwała rozmowę.

- Czy nie zagrałbyś jednego ze służących, Johnie? - spytała słodkim głosem i nim lekko spłoniony John zdążył odpowiedzieć, narzuciła nań płaszcz służącego i powiodła do grupki aktorów. Obejrzał się na ojca, jakby pytając o zgodę - ojciec skinął głową, przyzwalając na udział w sztuce.

Zostaliśmy sami. Ojciec spojrział na mnie.

- Sama teraz widzisz, Meg, jak to jest - powiedział dobrotliwie. - Wiele lat temu obiecałem arcybiskupowi, że otoczę Johna Clementa opieką. I tak już będzie... kto wie, może zawsze. John wiele przeszedł, a cierpienie często pozostawia w duszy człowieka bolesny ślad. Trzeba z nim postępować bardzo ostrożnie... i zadbać, żeby wszystkie dawne rany zostały zaleczone. Jesteś mądrą kobietą, Meg. Na pewno to rozumiesz...

Spojrział mi głęboko w oczy. Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli, ale łagodna dobroć malująca się na jego twarzy przypomniła mi o tym, jak wspaniałomyślnie potraktował odstępstwo Willa Ropera. Przyszło mi też do głowy, że może ojciec przed czymś mnie ostrzega.

- Długo rozmawialiśmy dziś po południu - wyznałam, nie bez pewnego oporu, starając się pokryć niechęć do zwierzeń dyplomatycznym uśmiechem. Ojcu można było powierzyć sekret, w końcu ani razu się nie zdradził, że John od lat porusza z nim sprawę naszego ślubu. - Cieszę się bardzo, widząc go po tak długiej nieobecności. Ciekawa byłam jego opowieści.

Ojciec cały czas przyglądał mi się uważnie i pytająco. Wytrzymałam to spojrzenie i on pierwszy odwrócił wzrok.

- To dobrze - stwierdził dość obojętnie, po czym wrócił do gości.

Reszta wieczoru upłynęła wśród oklasków, dowcipnych facecji, zabawy i śmiechu. A ja nie mogłam zapomnieć jego baczego spojrzenia; ani oczu Johna Clementa, unikających mego wzroku; ani spojrzeń wymienianych między Elizabeth a ojcem; ani dziwnego, niezrozumiałego dla mnie wyrazu oczu Elizabeth, badających twarz moją i Johna; ani oczu ojca, od czasu do czasu spoczywających w zamyśleniu na obliczu Johna Clementa. Ani oczywiście mistrza Hansa przyglądającego się nam wszystkim badawczo. Po wieczerzy obserwował Johna, jakby analizując linie kompozycyjne postaci, starał się też zgłębić jego duszę. Sama poczułam się dość niezręcznie, gdy malarz długo wpatrywał się w moje ręce złożone na kolanach. Przekonywałam siebie, że jest to wyłącznie spojrzenie artysty pragnącego jak najlepiej nas namalować.

John Clement nie zabawił długo. Zaraz po przedstawieniu, gdy kostiumy złożono w szufladach i skrzyniach, a służba nakrywała stół do wieczerzy, podszedł do ojca, jak przypuszczałam po to, by wymówić się od zostania z nami. Zbliżyłam się, chcąc posłuchać, o czym mówią. Ojciec gestem zaprosił mnie, bym do nich dołączyła.

- John musi jechać - oznajmił tonem dobrotliwym i ciepłym, a jednocześnie nieznoszącym sprzeciwu. - Wielka to dla nas radość, że znalazł czas i przyjechał się przywitać po powrocie do Londynu. Nie możemy się doczekać następnej wizyty, prawda, Meg? - Zamilkł i posłał Johnowi kolejne, niezrozumiałe dla mnie spojrzenie, po czym dodał: - Kiedy już się zadomowi w kraju po tak długiej nieobecności i zostanie członkiem Królewskiego Kolegium Lekarzy.

Wyszłam z Johnem i pomogłam mu włożyć płaszcz. W półmroku, bez świadków, wybrałam śmiałość, podniosłam głowę i napotkałam jego wzrok. Wpatrywał się we mnie, a w jego oczach była miłość i pewna ulga.

- Sama widzisz, mała Meg - rzekł łagodnie, trzymając jedną rękę na kłamec. - Jest tak, jak mówiłem. Trzeba trochę poczekać. Doktor Butts obiecał, że na wiosnę będę mógł kandydować. Bądź cierpliwa, przecież nie będzie to trwać wiecznie... a wtedy nasze sprawy się ułożą. - Objął mnie, żegnając się czule. - Napiszę - szepnął i otworzył drzwi, wpuszczając do środka nocny wiatr. - Wkrótce przybędę. Obiecuję.

Po chwili był tylko czarną figurką na tle mrocznego ogrodu, zmierzającą w kierunku wody. Zostałam sama, nieco tym wszystkim oszołomiona, ale pełna beztróskiej nadziei niczym prosta wiejska dziewczyna, że odtąd będę żyła długo i szczęśliwie.

Gdy wróciłam do wielkiej sali, podeszła do mnie Elizabeth.

- Mistrz Hans cały wieczór robił do ciebie cielejące oczy - zauważyła z nieprzyjemnym uśmiechem.

Próbowała wprawić mnie w zażenowanie. Była bystrą obserwatorką i celowała w złośliwych uwagach. Na szczęście jednak w tym momencie mistrz Hans nie robił do mnie cielejących oczu, uszczęśliwiony, że ojciec

z nim rozmawia. Przy ojcu bowiem każdy czuł się pewnie i odważnie. Na stole leżała miniatura portretu Erazma, którą malarz przywiózł arcybiskupowi Warhamowi, oraz szkic do portretu arcybiskupa; miał w rewanżu zawieźć go Erazmowi do Bazylei. Zlecenie to udało mu się zdobyć w ciągu pierwszych dwóch tygodni pobytu w Anglii (Warham, jeden z życzliwych ojcu kościelnych hierarchów, miał dobre serce, a nawet gdyby nie miał, wypadło się jakoś odwdzińczyć Erazmowi). Teraz mistrz Hans przyciężkawą angielszczyzną z zapalem roztaczał artystyczną wizję zamówień ojca. Umiał dbać o swoje interesy, bo już była mowa o dwóch portretach: wizerunek ojca miał zostać rozesłany do innych humanistów w Europie, a planowany od początku obraz całej rodziny był przeznaczony do wielkiej sali. Pokazał swoje dzieło *Noli me tangere*, gdzie świetlisty Chrystus cofał się przed dotknięciem zmysłowej Marii Magdaleny. Obraz bardzo się ojcu podobał, więc zanosilo się na kolejną korzystną dla malarza transakcję. Siedziałam cichutko jak myszka, słuchając, o czym mówią.

- W Mantui widziałem taki fresk - opowiadał Holbein i w oratorskim ferworze począł przedstawiać na stole solniczki i noże, by lepiej zilustrować swoje słowa. - Wciąż o nim myślę... Księżę i jego ukochana małżonka w centrum... a wokół zgromadzona rodzina... Z lewej strony nachyla się postać czekająca na rozkazy... - Zamilkł, oczekując słów aprobaty po czym dodał: - A w samym środku, gdy patrzy się na obraz wprost, jest karzeł księcia! I wybuchnął śmiechem, jakby to był dobry żart.

Pomysł był dość zaskakujący. Zapadła cisza, wszystkie oczy zwróciły się na ojca: czekaliśmy na jego reakcję. Milczał, po chwili twarz mu się rozjaśniła i też się roześmiał, ciepło, ze zrozumieniem; taki śmiech sprawiał, że topniały ludzkie serca.

- Błazen w środku! Cóż za świetny pomysł! - wykrzyknął z entuzjazmem, jakby dopiero w tym momencie odpłynęły odeń troski związane z życiem na dworze, choć i przedtem nie zdradzał żadnych oznak smutku czy zakłopotania. My także zaczęliśmy się śmiać, widząc jego radość.

- Przekonajmy się, jak by to wyglądało - zaproponował ojciec z szelmowską miną, wyraźnie tym zachwycony. - Henry! - Skinął na grubaska stojącego z boku. - Widzicie, panie - zwrócił się do mistrza Hansa. - Mamy tu króla błaznów.

W tym momencie doznałam olśnienia, dostrzegając w Henrym Pattinsonie, z lekka niewydarzonym osobniku, którego ojciec ogromnie lubił, groteskową parodię samego króla Henryka. Czy dlatego ojciec trzymał go przy sobie? I co miał na myśli, wygłaszając przed chwilą dość śmiałą uwagę? I czy mistrz Hans już wcześniej zaplanował sobie, że umieści Henryka Błazna między nami?

Teraz mistrz Hans przejął dowodzenie i porozstawiał nas na wyznaczonych miejscach. Henry Pattinson patrzył na niego niezbyt rozgarniętym wzrokiem. Ojciec i Margaret Roper znaleźli się naprzeciwko siebie, ustawieni pod niedużym kątem (zadziwiające, jak szybko mistrz Hans odgadł, kto jest największą miłością ojca). Ja stałam obok Elizabeth, pochylając się w stronę dziadka i mówiąc coś do jego ucha; reszta rodziny otaczała nas.

Podczas największego zamieszania Elizabeth szepnęła do mnie:

- A gdzie John Clement?

- Wyjechał - wyjaśniłam cicho.

- Jak to? Nie pożegnał się nawet? - spytała głośniejszym głosem i odwróciła głowę w moją stronę, psując w ten sposób kompozycję. Mistrz Hans popatrzył na nas z wyrzutem i poprosił, byśmy nie zmieniały pozycji.

- Musiał wracać - dodałam półgłosem, zastygając w sztucznej pozie i patrząc w dół na aksamitne szaty dziadka.

- Proszę się nie ruszać! - zawołał mistrz Hans.

Elizabeth spojrzała na niego.

- Wybaczcie, mistrzu Hansie - rzekła zmęczonym głosem. - Nie czuję się dobrze. Chyba pójdę już do siebie.

Odłączyła się od grupy i wyszła. Była bardzo blada. Za nią po chwili podążył małżonek.

W tej sytuacji powinien nastąpić koniec próby, ale ojciec szybko znalazł zastępstwo. Tak go zafascynował pomysł malarza, że nie chciał teraz przerywać. Obaj z mistrzem Hansem rozumieli się doskonale, o czym świadczyły radosne i znaczące spojrzenia, kiedy obraz zaczął nabierać kształtu.

- John! - zawołał ojciec z uśmiechem (było kilku Johnów) - zastąpisz Elizabeth?

Uczestnicy stali wytrwale na miejscach, dopóki Holbein, wyjąwszy kawałek kredy i tabliczkę ze starej skórzanej sakwy, nie wykonał pobieżnego szkicu. Obraz rodziny wielkiego humanisty miał być czymś zupełnie nowym, tak samo niezwykłym i nowatorskim jak nowy sposób myślenia i widzenia świata. Jakże to było odległe od przeznaczonych do prywatnych kaplic hieratycznych wizerunków świętych, do których pozowali pobożni fundatorzy. Wieczór przeciągnął się do późna. Wreszcie ojciec pod pretekstem, że musi napisać kilka listów, wymknął się do Nowego Pawilonu, a po jego wyjściu w sali zrobiło się jakby ciemniej. Wszyscy od razu przypomnieli sobie, że są bardzo zmęczeni, i udali się na spoczynek.

Leżąc bezsennie (nie mogłam zasnąć, tak mocno biło mi serce na myśl o wydarzeniach tego dnia i planach wspólnej przyszłości z Johnem), w pewnym momencie usłyszałam, że zajmująca sąsiednią komnatę Elizabeth wymiotuje, a potem rozległo się szuranie nocnego naczynia i nosowy szept Williama. Słów nie rozróżniałam, ale w uspokajającym tonie głosu przebijało zdenerwowanie, jakby mówił ktoś, kto właśnie dowiedział się czegoś bardzo ważnego. Nagle mnie olśniło, jaka mogła być przyczyna tej nagłej niedyspozycji.

- Elizabeth - szepnęłam. - Elizabeth? Jak się czujesz?

Było jeszcze ciemno: tuż przed czwartą, na długo przed pierwszymi promieniami słońca, ale już jakiś czas potem, gdy przebrzmiały w korytarzu ciche kroki ojca, udającego się do Nowego Pawilonu, gdzie modlił się i pracował. Wkrótce w domu powinien się zacząć ruch.

Od dawna nie spałam. Leżałam otulona kołdrą aż po zziębnięty czubek nosa. Przepęniała mnie radość, rozkoszowałam się ciszą, przerywaną jedynie skrzypieniem podłogi, i wciąż od nowa przeżywałam mój wielki sekret. A z komnaty Elizabeth znów dochodziły te same odgłosy co wczoraj. Teraz bez przerwy.

Narzuciłam szal na ramiona i zapukałam do niej, chcąc sprawdzić, czy nie mogę jej jakoś pomóc. W końcu to ja miałam domową apteczkę i zdobyłam stosowną wiedzę medyczną.

Nie odpowiadała. Zadrżałam z zimna. Z dołu dochodziły odgłosy rozpalania w kuchni ognia. W końcu ku mojej uldze w komnacie słychać było czyjeś kroki. Ale to nie Elizabeth ukazała się w uchylonych drzwiach, lecz William; był niewyspany, blady, miał zaczerwienione oczy i włosy w nieładzie.

- O, Meg - odezwał się grzecznie, ale bez cienia entuzjazmu. - Czym mogę ci służyć?

- Pomyślałam... - zaczęłam. - Usłyszałam, że któreś z was choruje. Czy Elizabeth potrzebuje pomocy?

Uśmiechnął się. Być może dlatego, że zawsze miał taki sposób bycia, ale odniosłam wrażenie, iż spogląda na mnie z wyższością.

- Wszystko jest dobrze. - Najwyraźniej silił się na cierpliwość. - Nic się nie dzieje. Wracaj do łóżka...

Byłam niemal pewna, że zaraz usłyszę: „i bądź grzeczna”.

- Dobrze. - Nieco speszona, badawczo przyglądałam się jego twarzy, ale nic z niej nie zdołałam wyczytać. - Ale gdybym mogła się na coś przydać... Mam różne leki.

- Dziękuję ci. - Zakończył rozmowę. - Na pewno zwrócimy się do ciebie. Nie marznij dłużej.

I cicho zamknął mi drzwi przed nosem.

Elizabeth nie zeszła na śniadanie. William poszedł z nami na mszę o siódmej - było jeszcze ciemno - a ona została u siebie. Nie podał przyczyny jej nieobecności. Ojciec służył do mszy i towarzyszył księdzu przy ołtarzu. W rodzinnej kaplicy (podwójne kolumny otoczone były rusztowaniami, jako że kamieniarze mieli wykuwać na nich jego herb) bez przeszkód mogłam ukradkiem przyjrzeć się Williamowi. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu i prócz lekko zaczerwienionych oczu nic nie zdradzało nocnych przeżyć. Jego twarz pozostawała obojętna i bez wyrazu. Gdy dzwoniły dzwonki, zapalały się świece i pochodnie, ksiądz podnosił hostię - święty znak ciała Chrystusa na ziemi, wedle wierzeń prostaczków posiadający moc leczenia chorób i uzdrawiania ślepoty - a wierni zastygali w radosnej adoracji, William cały czas miał na ustach ten sam chłodny uśmiešek co zawsze. Zimna ryba, pomyślałam, nie martwiąc się tym, że za nim nie przepadam. Jego ojciec pełnił dość ważną funkcję w królewskim skarbcu. Rozmowy z Williamem zwykle były banalne, on sam zaś wyniosły i zadowolony z siebie, toteż jego towarzystwo nie sprawiało mi przyjemności. Nie pierwszy raz zadałam sobie pytanie, co piękna, dowcipna Elizabeth w nim widzi i co nią kierowało, że go wybrała (prócz

chęci zadowolenia ojca, że poślubia syna królewskiego urzędnika). Teraz, gdy sama czułam się taka szczęśliwa, jeszcze bardziej było mi jej żal.

Po powrocie z kaplicy poszłam do niej. Siedziała przy kominku, doprowadzona już jako tako do porządku. Twarz miała bladą i powitała mnie bez większego entuzjazmu. Nocne naczynie, przykryte poplamioną szmatą, wydzielalo przykrą woń.

Nie miała ochoty na moje towarzystwo, ale nie protestowała, gdy zbadalam jej puls i sprawdziłam temperaturę (skórę miała lepka, lecz raczej chłodną). Gdy się nią troskliwie zajęłam, jej niechęć do mnie nieco opadła i jakby się nawet trochę odprężyła.

- Pewnie zjadłam coś niezdrowego - stwierdziła.

Nie zaprzeczałam. To jej sprawa, czym wytłumaczy mdłości.

- Pozwól, że zaparzę imbiru - zaproponowałam. - Przyniesie ci ulgę. Czy myślisz, że mogłabyś coś zjeść i nie zwymiotować?

Skrzywiła się i przyłożyła rękę do brzucha. Pokręciła przecząco głową.

- Zaraz przyniosę apteczkę i zaparzę imbir - zdecydowałam. - Posiedzę z tobą, dopóki nie wypijesz.

Moja apteczka zawierała wiele przydatnych medykamentów: środki na gorączkę, febrę, dreszcze, odmrożenia, ból zęba i ból serca - a wszystko to pełne wspomnień z Bucklersbury. Ponadto noże, kociołki, moździerz i aptekarską wagę od Johna Clementa. Miałam też korzeń imbiru w słoiku: lek drogi, lecz na mdłości skuteczniejszy niż inne środki, lepszy nawet niż liście wiązu i rumianek. Pokroiłam go na cieniutkie płatki i włożyłam do małego garnuszka, z przyjemnością dotykając przyprawy pochodzącej z dalekiego świata. Czynności te działały na mnie kojąco, podobnie jak ciche trzaski iskier i zapadających w płomień polan. Miałam nadzieję, że siostrze też udzieli się ten nastrój.

W głębi duszy byłam zadowolona, że Elizabeth nie ma sił, by rozmawiać o Johnie Clemencie. Korzystając z tego, że wytworzyła się między nami spokojna, przyjazna atmosfera, zaczęłam opowiadać o leczniczych właściwościach imbiru, który jest doskonałym środkiem napotnym. Sam król zaleca go przeciwko zarazie; kompres przyłożony na twarz lub klatkę piersiową usuwa z organizmu nadmiar flegmy a co najważniejsze - imbir jest najskuteczniejszym lekarstwem na skurcze żołądka.

Zawiesiłam kociołek nad ogniem. Elizabeth kręciła się niespokojnie i w pewnym momencie zajrzała do mego lekarskiego skarbczyka.

- Ileż ty masz tutaj tych słoiczków - zauważyła słabym głosem. - I pamiętasz, co jest w którym? Nigdy nie pomyli ci się, dajmy na to, ten... i ten? - wyciągnęła na chybił trafił dwa słoiczki.

Pokręciłam głową, pewna swojej wiedzy i biegłości.

- To byłaby bardzo niebezpieczna pomyłka - odparłam. Elizabeth wybrała kalinę śliwolistną i miętę polej, zwaną miętą płucną. - Zwłaszcza w przypadku tych dwóch - dodałam, popisując się swoją wiedzą. - W lewej ręce trzymasz lek, który zapobiega poronieniom. A w prawej taki, który wywołuje u kobiet krwawienie. Wiejskie kobiety za pomocą poleju pozbywają się niechcianej ciąży. Chyba nie chciałabyś się tak pomylić?

Natychmiast odstawiła słoiczki z udanym przestraczem. Ale się przy tym uśmiechnęła.

- To straszne. I co masz tu jeszcze? Może... eliksir miłości? - spytała, siląc się na lekki ton.

Znów pokręciłam głową.

- O takie rzeczy musisz poprosić babę znachorkę - odparłam niby równie niefrasobliwie. Przyjrzałam jej się uważnie. Była jeszcze bardzo słaba, ale miała w oczach coś dziwnego. Gdybym nie znała jej tak dobrze, pomyślałabym, że jest to rozpacz zwierzęcia schwytanego w pułapkę. - Ty przecież nie potrzebujesz napoju miłosnego - dodałam. - Jesteś niedawno po ślubie, masz dobrego męża.

Znów w ciemnych oczach pojawiła się ta sama co przedtem desperacja, tyle że tym razem wyraźniejsza. Duży strach.

- Owszem... ale czasem... - z wahaniem zaczęła formułować myśl, której najwyraźniej nigdy dotąd nie ośmieliła się przyoblec w słowa. - Dużo myślę... jakim mężem okaże się William. Właściwie niewiele wiemy o tym, kogo poślubiamy...

Umilkła. Znów stała się dumna i wyniosła. Schwytane w pułapkę zwierzątko zostało zamknięte w klatce.

- Meg - uśmiechnęła się obojętnie. - Woda się gotuje.

Rzeczywiście. Żal i niedopowiedziane sekrety musiały ustąpić wobec ostrej woni imbirowego naparu.

Zapach tego leczniczego środka unosił się w powietrzu przez cały ranek. To był dzień medycyny.

Godzinę później, kiedy ciepło okryta Elizabeth usnęła, zesłam do bawialni; zastałam tam Margaret Roper, siedzącą samotnie i patrzącą przez okno. Obok leżała wiola i nuty. Ale nie słyszałam, żeby grała.

- Poczulałam zapach imbiru - odezwała się jak zawsze uprzejmie i miło. Ze wszystkich siostr ją lubiłam najbardziej. Była niemal moją rówieśnicą i to z nią najczęściej dzieliłam komnatę, a czasem zasypiałam przytulona do niej. Cicha, wrażliwa, pełna życzliwości i skromności cieszyła się opinią (co skutecznie rozgłaszał ojciec) najlepiej wykształconej kobiety w Anglii. - Domyślam się, że byłaś u Elizabeth. Jak ona się czuje?

- Miała mdłości - odparłam, nie wdając się w szczegóły. Niech Elizabeth sama tłumaczy swoje przypadłości. - Teraz zasnęła.

Oczy Margaret zapłonęły.

- A mnie też naparzysz imbiru? - Uśmiechnęła się i zamilkła na moment, z wahaniem dobierając słowa, nim dopuściła mnie do swego sekretu. - Z tego samego powodu.

Jej śniada, szczupła twarz tak się rozpromieniła, że aż przyjemnie było na nią patrzeć.

- O, Margaret! Będziesz miała dziecko! - zawołałam, wyciągając do niej ramiona.

Byłyśmy w trakcie przyrządzania leku i podniecających rozmów, kiedy w drzwiach pojawiła się Cecylia i pociągnęła nosem.

- Cóż za cudowny zapach - rozległ się w ciszy jej głos, a ja od razu się domyśliłam, co się kryje za jej radością. - Od rana mam straszne mdłości. Czy dla mnie też znajdzie się trochę?

Tego dnia trzy przyszłe matki nie towarzyszyły nam przy obiedzie. Niemal wszyscy już wiedzieli, że Margaret i Cecylia są w błogosławionym stanie. Ojciec, który długi czas spędził u mistrza Hansa, pozując do szkicu, dowiedział się ostatni. Równie szczęśliwy i promienny jak one, odmówił gorącą dziękczynną modlitwę w intencji młodych matek i ich dzieci - swoich wnuków. Odstąpił nawet od swego zwyczaju picia tylko wody i spełnił toast winem razem z zięciami Willem i Gilesem, którzy aż pękali z dumy. Tylko Williama Daunceya przy tym nie było. Jak na dobrego męża przystało, siedział przy chorej żonie.

Po południu zaczekałam, aż Dauncey zejdzie na dół, i wtedy znów zajrzałam do Elizabeth. Leżała na łożu i odzyskała już nieco rumieńców. Ale była smutna.

- Cały dzień parzyłam imbir - pochwaliłam się. - Słyszałaś już? Margaret i Cecily są w ciąży. Ciągłe mają mdłości i nie mogą tknąć niczego innego.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- No, to już wiesz - odrzekła bezbarwnym głosem. - Ja też jestem w ciąży.

- A zatem w październiku będzie troje dzieci! - wykrzyknęłam, udając zaskoczenie.

- Tak - potwierdziła obojętnie. Potem wzdrygnęła się. - Źle się czuję - poskarżyła się żałośnie. - Zrobisz mi jeszcze imbiru?

Troskliwie otuliłam ją kołdrą.

- Poleż wygodnie w cieple! - zarządziłam. - Zaraz przygotuję.

Milczała, gdy kroiłam korzeń i sporządzałam napar. Myślałam, że zasnęła, toteż zdziwiłam się, słysząc za plecami głos jeszcze żałośniejszy niż przedtem.

- Czy to do ciebie przyjechał wczoraj John Clement? Długo się wahałam, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

A gdy wreszcie podeszłam do łoża z parującym płynem, obmyśliwszy wpierw nieco mijającą się z faktami odpowiedź, już spała.

6

- A więc będzie to portret brzemienny w skutkach - stwierdził mistrz Hans, wprowadzając mnie do małej komnaty, gdzie urządził pracownię, całkiem przyjemną, choć panował tu spory bałagan. Na środku stały sztalugi (z wczorajszym szkicem do portretu ojca), wszędzie walały się kostiumy i rekwizyty. Farby przygotowywał na stole pod oknem: miał niemal tyle samo słoików, proszków, olejków, moździerzy i kociołków, ile ja zgromadziłam w swojej apteczce. Od razu poczułam się swojsko.

Zaśmiałam się wesoło.

- Tak, tak... tyle dzieci naraz! Musicie się pośpieszyć, mistrzu, bo dom rychło zmieni się w pokój dziecienny.

W tym momencie zaczerwieniłam się, gdyż wyobraziłam sobie, że mój brzuch się zaokrągla, a znajome, piękne męskie dłonie z dumą dotykają mego pełnego łona, aby poczuć ruch nowego życia. Przyłożyłam chłodne dłonie do policzków i starałam się odsunąć od siebie ten obraz, ale moje opanowanie już prysło.

Malarz chrząknął. Patrzył na mnie, widząc nie mnie, lecz linie i barwne plamy. Nie obchodził go pełen zakłopotania rumieniec, analizował moją osobę z malarskiego punktu widzenia, co mnie wprawiało w zakłopotanie. Gestem wskazał krzesło.

- Czy mogłabym zobaczyć najpierw portret ojca? - zapytałam trawiona ciekawością.

Spowaźniał i przecząco pokręcił głową. Stanął przed obrazem zakrytym kawałkiem płótna, jakby chciał go przede mną chronić.

- Jeszcze nie - odparł. - Jest niegotowy.

- A kiedy zaczniecie malować? - dopytywałam się.

Jakby zdziwiło go moje pytanie, spojrział na mnie inaczej, skupiając wzrok na twarzy. Następnie kiwnął głową i zaraz nią pokręcił.

- Tak - odparł trochę bez sensu. - Później. Zrobiłem dopiero pierwszy szkic. Dużo jeszcze przy nim pracy. To ważne. Rozumiecie, pani?

Rozumiałam i nie miałam za złe odmowy. Musiał wystarczyć mu jeden dzień na uchwycenie podobieństwa ojca, który już odjechał na dwór. Dla nas będzie miał więcej czasu, bo nigdzieśmy się nie wybierali. A dobrze namalowana twarz znanej osobistości przyniesie mu następne zamówienia.

Siedziałam bez ruchu, boleśnie drętwiejąc, niemal zasypiając, ale w duszy czaiła się nadzieja, że kroki, chwilami zbliżające się do drzwi, będą należeć nie do służących czy kogoś z rodziny, ale do Johna Clementa, który wrócił nagle, by oznajmić wszem i wobec, że wkrótce mnie poślubi. Mistrz Hans opowiadał coś monotonnym głosem, zapewne chcąc mnie zająć, bym łatwiej wytrzymała siedzenie bez ruchu. Czasem patrzył mi prosto w oczy, a ja wtedy traciłam wątek rozkosznych marzeń o tym, że Margaret Roper serdecznie gratuluje mnie i Johnowi zaręczyn, Cecily śmieje się z mojej dziewczęcej wstydlivości, a młody John More, jak zwykle, nie może się nadziwić. Przeważnie jednak malarz skupiony był na papierze albo na jakimś fragmencie mojej osoby, przy czym niezmiennie spoglądał dziwnym, obojętnym wzrokiem. Słuchając go jednym uchem, bujałam wysoko i daleko na różowej chmurce szczęścia.

Mistrz zaczął od przypomnienia dobrze znanych rzeczy o ojcostwie, o tym, że ojcowie wszystkiego uczą swoje dzieci i bardzo je kochają. Potem rzeczowo i konkretnie opowiedział o śmierci własnego ojca i o reakcji jego żony, która z ulgą stwierdziła, że nie trzeba będzie już więcej posyłać mu pieniędzy i uszczuplać skromnych funduszy. Wspomniał, że trudno było odebrać dobytek ojca i materiały malarskie od jego ostatnich zleceniodawców antonitów w Issenheim*.

* Mowa o Hansie Holbeinie Starszym (ok. 1465-1524), malarzu i rysowniku. Jego twórczość (obrazy, rysunki, malowidła ołtarzowe) nosi cechy późnego gotyku. Antonicy byli zakonem zatwierdzonym pod koniec XIII wieku; prowadzili szpitale, zajmowali się chorymi.

- Dwa lata słałem listy do burmistrza, nim wszystko zostało załatwione - pokręcił głową. - Elsbeth by nie darowała.

Mówił też o wczorajszym szkicu. Gęsto ponakłuwał go szpilką i po skończeniu posiedzenia ze mną miał przypiąć szkic na podobraziu - będzie to jakby mapa twarzy ojca. Następnie rozpyli na papierze pył węglowy i przetrze go przez dziurki. Dzięki temu na zagruntowanym podłożu powstanie idealne odwzorowanie zarysu oblicza. I dopiero wtedy mi go pokaże.

A potem zamilkł, zapomniał o mnie i skupił się na rysowaniu.

Pozowanie trwało tak długo, że miałam czas przemyśleć dziwną rozmowę, jaką poprzedniego dnia odbyłam z jejmością, kiedy poszłam do kuchni po dodatkowy garnuszek do parzenia imbiru. Wracała właśnie ze spiżarni z mózdzkami kapłonów na wieczere; towarzyszył jej orszak służby niosącej dwa bezgłowe kapłony, cukier, koszyk pomarańczy oraz słoje z goździkami, gałką i cynamonem. Jejmość zabierała się do nadzoro-

wania kuchennych prac - krojenia, podgrzewania, gotowania i duszenia - których efektem miał być wystawny posiłek. Przy takim gościu jak mistrz Hans, ceniącym zawiesziste potrawy mięsne, wreszcie miała okazję popisać się kulinarnym kunsztem. Często mawiała, że ojciec nie docenia jej kuchni: brał tylko odrobinę jednej potrawy, i to tej, która na stole stała najbliżej niego (wiadomo jednak było, że uwielbia jej omlety). Najwyraźniej planowała przyrządzenie czegoś wyjątkowego dla mistrza Hansa i już nie mogła się doczekać swego tryumfu. Ujrawszy mnie przy palenisku, zadumaną nad dwoma miedzianymi garnuszkami, które starannie przed przyjazdem mistrza Hansa wyszorowała piaskiem (nie dlatego, że spodziewała się, iż gość zajdzie do kuchni, po prostu musiała rozładować przepelniającą ją energię), odesłała służbę po więcej gałki. Nie знаła łaciny i szczerze pogardzała książkową nauką, ale za to miała wrodzoną wrażliwość i doskonale wyczuwała nastroje innych. Od razu więc się zorientowała, że chętnie zostanie z nią sam na sam. Choć zaskoczyła ją moja obecność w kuchni, nie zadawała żadnych pytań, tylko zaproponowała uprzejmie:

- Weź mniejszy, jeśli potrzebujesz do swoich dekoltów. Tego większego używam do kremu. - I czekała, co ja powiem.

Przez moment byłam zakłopotana. Naturalnie wolałam nie mówić, że parzę imbir dla trzech jej pasierbic, gdyż równałoby się to ogłoszeniu, że są w błogosławnym stanie, a przecież one same powinny ją o tym powiadomić. Ale coś dobrotliwego w spojrzeniu jejmości - zrozumienie i spokojna rzeczowa życzliwość, która tak mnie ujęła już pierwszego dnia, kiedy zjawiłam się w domu na Bucklersbury - podsunęło mi myśl, że powinnam jej się zwierzyć, podobnie jak Johnowi, z trosk o ojca. Liczyłam na to, że ona też wyśmieje moje obawy. Gdy szczęście stało się możliwe i było całkiem blisko, rozsądne wydało mi się poczynienie pewnych kroków, by po nie w końcu sięgnąć.

Choć miałam wielką ochotę, jednak nie potrafiłam spytać otwarcie, po co ojciec przetrzymuje więźnia w kordegardzie. Trudno było odgadnąć, czy ona cokolwiek o tym wie. Zbliżyłam się zatem do tematu o tyle tylko, o ile byłam w stanie się odważyć.

- Gotujesz, matko, dla naszego gościa? - zapytałam niewinnie. - Miło popatrzeć, jak pochłania twoje potrawy z wilczym apetytem. Dobrze, że ojciec cieszy się z portretu. - Starannie doбираłam słowa. - Już dawno nie zajmowało go nic prócz spraw króla. Czasem aż się boję... - Wzięłam głęboki oddech i skoczyłam na głęboką wodę: - Czy nie wydaje ci się, matko, że ojciec... stał się bardziej surowy, odkąd przenieśliśmy się do Chelsea?

- Surowy? - powtórzyła lekkim tonem, jakbym tym pytaniem wprawiła ją w dobry humor. Zachęta do zwierzeń, którą - przynajmniej tak mi się zdawało - dostrzegłam wcześniej w jej oczach, teraz znikła; myślami wyraźnie była gdzie indziej. Uśmiechnęła się, ujęła pod boki i z satysfakcją rozejrzała się po nowej, wielkiej i wygodnej kuchni. - No więc jeśli nawet jest tak, jak mówisz, najwyższa po temu pora. Nie mam nic naprzeciw, gdy mieszka u nas dobry, pracowity rzemieślnik... taki mistrz Hans na przykład. Ale czas już pozbyć się tych darmozjadów i zająć własną karierą. O wiele przyjemniej jest żyć z dala od miasta, bo tu nie każdy, komu to strzeli do głowy, przychodzi z wizytą albo wręcz wprowadza się i mieszka bez końca. Nie, na pewno nie tęsknię za całym tym londyńskim rozgardiaszem.

Westchnęłam. Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam. W ogóle nie dotyczyła ścigania heretyków. Lecz jejmość wsiadła już na swego ulubionego konika i szeroko rozwozowała się nad próżniactwem naszych dawnych gości, cudzoziemskich humanistów. Mówiła w komiczny sposób, chwilami zupełnie jak żona sekutnica.

- Erazm i ta reszta - wyjaśniła, choć obie doskonale wiedziałyśmy, o kogo chodzi. Pokiwała przy tym głową, jakby cały świat, łącznie ze mną, uważał ich za dopust boży. Zaśmiała się szyderczo. - Wszyscy ci prze-mądrzali byli księża. Niby tacy mądrzy. Mówią zawile i puszą się, a diabeł z uciechy tylko łapy zaciera. Oni nawet tego nie widzą. Rozpróżniaczona hołota i tyle.

Wzięła od służącego dwie gałki muszkatołowe, podziękowała skinieniem głowy i odłożyła je na stół, po czym ciągnęła dalej wzburzona jak zwykle, gdy wypłynął ten temat.

- Nie to co ci, których ojciec znał w młodości... Linacre i dziekan Colet... Anglicy, zacności ludzie. - Najwyraźniej, wzięwszy moje milczenie za poparcie, coraz bardziej się zapalała. - O tak, o nich można powiedzieć same dobre rzeczy: zakładali szkoły dla ubogich chłopców, leczyli chorych. John Clement też. To przyzwoity, dobry człowiek.

Zamilkła. Spuściłam oczy i utkwiałam wzrok w podłodze, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że jejmość bacznie mi się przygląda. W duchu liczyłam na to, że jej bystre oko nie wypatrzy, jak wielkim szczęściem dla mnie jest samo usłyszenie jego nazwiska. Budziło okruchy wspomnień, o których nawet nie odważyłabym się napomknąć macosze, takich jak dotyk warg, szorstkość policzka, mocne tulące mnie ramiona, rozkoszny męski zapach skóry i drzewa sandałowego. Ale nawet jeśli dostrzegła jakieś oznaki zakochania, nie dała nic po sobie poznać. Nabrała tchu i perorowała dalej:

- Sercem jestem za ludźmi, którzy robią coś dobrego dla innych. A na tamtych szkoda mi czasu. Na cudzoziemców. Wiecznie tylko gadają, wszystko im jedno, co jedzą, w ogóle nie zauważają, co się przed nimi stawia. Nic tylko greka i greka, a „proszę” czy „dziękuję” to nie łaska? Całą noc potrafili trzymać mi męża na czczym gadaniu... jakaś tam filozofia, tłumaczenia poezji, przywracanie porządku w Kościele... A palcem nie kiwną, żeby komuś konkretnie pomóc.

Przymknęła oczy z wyrazem komicznej rozpacz, a mnie się zrobiło wesoło. Te jej żale znałam na pamięć, ale że jejmość miała niebywały talent narratorski - śmiałam się za każdym razem, kiedy je słyszałam.

- Ooo, jak mnie czasem swędziały palce, żeby wytargać za uszy tego Erazma, kiedy zaczynał dokuczać twemu ojcu, że stał się „oddanym dworzaninem”. - Wykonała gest, jakby teraz miała zamiar wytargać kogoś za uszy. - Twój ojciec był najlepszym prawnikiem w Londynie na długo przedtem, nim ich tu wszystkich licho przyniosło. I lepiej niech myśli o swojej karierze, a nie przesiaduje bez końca z tymi gadułami i rozprawia nie wiadomo o czym. Ostatnie, czego bym sobie życzyła, to żeby ten zasuszony starzec odciągał go od uczciwej pracy. Ten był najgorszy ze wszystkich, ale Bogiem a prawdą, żadnego z nich nie zniosłabym dłużej - ciągnęła znacznie poważniejszym już tonem. - Wieczne gadanie, a to o jakimś reformowaniu, a to o zmianach, a to o ulepszaniu czegoś tam, albo jak by tu miło czas spędzić. Jak na mój gust zbyt wielkie mieli o sobie mniemanie. Nic, tylko ciągle wszystko krytykowali. A moja zasada brzmi: Bierz życie, jakie jest. Chodź do kościoła; dawaj jałmużnę ubogim; pracuj rzetelnie, ucz się i rozwijaj, jeśli Bóg pozwoli. I ciesz się tym, co ci daje. Miej dzieci, kochaj rodzinę, opiekuj się starymi rodzicami. Jeśli chcesz, to wystawiaj wieczorami sztuki i graj na lutni. Ale niech ci nie chodzą po głowie głupie pomysły, że trzeba odrywać innych od ich życia.

Podniosłam rękę, chcąc przerwać ten potok wymowy. Postanowiłam bardziej szczerze niż przedtem zadać pytanie. Chwila wydawała się odpowiednia, gdyż wypowiedź dobiegła już do zwykłego zakończenia.

- Jestem tego samego zdania. Czy nie sądzisz jednak, matko, że ojciec bardziej przejmuje się pewnymi sprawami teraz niż w czasach, kiedy mieszkał z nami Erazm? - spytałam szybko. - Chodzi o ściganie heretyków. Nigdy go nie ma, a gdy przyjedzie, to godzinami przesiaduje w Nowym Pawilonie, pisze gniewne listy i pamflety. Dawniej nigdy nie był zły ani rozgniewany. Rozmowy z Erazmem zawsze wprawiały go w dobry humor. Nie martwi cię to?

Tym razem unikała mojego spojrzenia. Jejmość Alice w zasadzie nie kłamała, ale mógł jej się zdarzyć drobny przypadek grzechu pominięcia prawdy, podyktowany troską. Tym bardziej że nie dzieliłaby się swymi lękami ze mną, a może nawet nie przyznałaby się do nich przed samą sobą. Powinnam to była przewidzieć. Zbyt pragmatyczna, by biadać z powodu czegoś, na co nie miała wpływu, mocno stała na ziemi i zawsze widziała jasne strony życia. Kto wie, może po to wygłosiła całą tę tyradę na temat Erazma, żeby wykręcić się od odpowiedzi na moje pytanie.

Toteż się nie dziwiłam, kiedy zamiast odpowiedzi sięgnęła po kapłona i mały tasak, który położył na stole drugi chłopak i natychmiast umknął z kuchni. Nieco teatralnym zamachem zaczęła rytmicznie odcinać nogi i skrzydła.

- Powiem tylko, że o wiele lepiej być sługą króla, przyjacielem biskupów i robić coś sensownego - oznajmiła stanowczo, uderzając tasakiem. - Arcybiskup Warham to rozsądny człowiek, pełen bojaźni bożej. - Tasak uniósł się znowu - ...John Fisher, Cuthbert Tunstall... - i spadł ponownie; aprobująco spojrzała na zręczne cięcie - ...to też dobrzy ludzie. - Starannie ułożyła kawałki mięsa w garnku. - Nawet kardynał Wolsey - dodała żartobliwie. - Wołała wrócić do pogodnych kuchennych pogawędek, bo w tej atmosferze dobrze się czuła. - Może i jest to chciwy krętacz, ten Wolsey, i za bardzo przywiązany do dóbr doczesnych jak na duchownego, ale przynajmniej zna się na kuchni. - W jej głosie dzwięczał wyraźny tryumf. - Na Gromniczną trzy razy dobierał kapłona w pomarańczowym sosie! I za każdym razem, gdy go potem widziałam, bardzo chwalił.

Zakończywszy swe wywody tą pogodną kulinarną puentą, jejmość dumnie uśmiechnięta podeszła do paleniska i poleciła kuchcikowi zawiesić kociołek z kapłonami. Na pewno starała się zrobić wrażenie szczerzej i otwartej, ale - jak każdemu, kto otarł się o dwór - nieobca jej była sztuka dyplomatycznych półprawd i uników. Najwyraźniej nie zamierzała dać się wciągnąć w dyskusję o ojcu i moich obawach. Nie było zatem okazji do poruszenia sprawy uwięzionego w kordegardzie, gdyż rozmowa została w tym momencie zakończona. Jejmość posłała kuchcika po opał i wodę, cały czas unikając mego spojrzenia. Wskutek jej tyrady rozplynęła się bez śladu krótkotrwała pociecha płynąca z zapewnień Johna Clementa, że ojciec trzyma tu więźnia wyłącznie dla jego własnego dobra.

Hans Holbein spoglądał na niespokojną twarz wysokiej, szczupłej angielskiej panny o wyrazistych oczach, która starała się siedzieć nieruchomo, choć najwyraźniej jakaś troska marszczyła jej czoło. Nie wiedzieć czemu przypominała mu się Magdalena: krągłości ramion i piersi, miód w oczach, delikatny zapach fiołków i róż. Oraz kłamstwa. Na szyi siniaki w kształcie ust i zakłopotanie, kiedy spytał, skąd się wzięły; idiotyczne tłumaczenia - wypowiedziane tak gładko, iż niemal gotów był uwierzyć, że to od ukąszeń komarów. Skłębiona, ciepła jeszcze pościel na łóżku w ten wieczór, kiedy padli na nie oboje po dniu spędzonym w

drukarni z Bonifacusem, Myconiussem i Frobeniusem*. Więcej „śladów po komarach” na piersiach, brzuchu i pośladkach. Gorący czerwony ślad jego ręki na białym policzku, jej obie dłonie przyciśnięte do miejsca, gdzie ją uderzył, nim, trzasnąwszy drzwiami, zbiegł po schodach, niemal wyjął z bólu. Ostatnie wspomnienie to zranione oczy Magdaleny, patrzące na niego i nierozumiejące.

* Bonifacius Amerbach (1495-1562), prawnik i profesor uniwersytetu z Bazylei, przyjaciel Erazma, którego ten uczynił swoim jedynym spadkobiercą. Hans Holbein namalował jego portret; Oswald Myconius (1488-1552), teolog, reformator i kaznodzieja, protestancki zwolennik Zwingliego. W Bazylei poznał Erazma z Rotterdamu i Hansa Holbeina; Johannes Froben (1460-1527), drukarz i wydawca działający w Bazylei. M.in. wydawał dzieła św. Augustyna i Erazma z Rotterdamu, który był ojcem chrzestnym jego syna. Hans Holbein wykonywał dla niego drzeworyty.

Cóż, po prostu taka była. Trudno czegoś więcej od niej wymagać. Miała swoje podejście do życia, a wkrótce nastały ciężkie czasy: niewiele trafiało się okazji do pozowania malarzom. Więc kiedy parę miesięcy później wziął ją pod swoje skrzydła burmistrz Meyer („młoda wdowa anielskiej urody” ...stary głupiec), Hans bez protestu namalował ją w rodzinnej kaplicy jako Madonnę, która miała bronić od nieszczęść burmistrza, jego dwie żony oraz żyjące i nieżyjące dzieci*. W zaciszu własnego domu Jacob Meyer mógł wierzyć, w co chciał. Hans Holbein nie miał zamiaru dyskutować z tak dobrym zleceniodawcą. Wiedział jednak, że odtąd nigdy nie spojrzy bez sceptycyzmu na żaden wizerunek świętych. Pewnie nie namaluje już więcej obrazu religijnego. Miał dość przebierania kobiet wątpliwej cnoty w niebieskie szaty i udawania, że to Matka Boska. Wszystko to gra, bajki dla dzieci. Wolał przedstawiać prawdziwe twarze i prawdziwych ludzi, jakich Bóg stworzył, by się uwodzili i dręczyli wzajemnie. Bez kostiumów i sztuczności: chciał pokazywać prawdę.

* Jacob Meyer, burmistrz Bazylei, zamówił u Holbeina obraz Madonny, do którego pozowała kobieta wątpliwej reputacji, Magdalena Offenburg. Na obrazie przedstawiony jest także fundator z synami oraz jego pierwsza żona i druga żona z córką.

Dla domowników był twardy i nieprzyjemny. Krzyczał na biedną Elsbeth, która gorzkniała, a jej ręce stawały się coraz bardziej szorstkie i zniszczone od farbowania skór. Nie znosił zapachu skóry, nawet jedzenie w domu nią pachniało, co kojarzyło mu się z ubóstwem. Denerwował go płacz małego Philipa; ciągle strofował starszego syna, że za mało zajmuje się dzieckiem. Znienawidził wzniosłe, intelektualne rozmowy z uczonymi humanistami, których dotąd podziwiał. W głębi duszy to ich winił za swoją niedolę - w końcu to oni zaczęli tę rewolucję dysputami o zepsuciu wśród duchowieństwa i potrzebie oczyszczenia Kościoła. No i proszę, dokąd ich te idee zawiodły? Zgrabnie sformułowane tezy podburzyły tłumy i teraz przerażeni są wszyscy, nawet najbardziej zagorzali reformatorzy. Z ambony w Wittenberdze brat Luter ostro ganił wojnę chłopską, na próżno próbując powstrzymać barbarzyńskie hordy przed niszczeniem cywilizacji.

Hans Holbein nie mógł ścierpieć i tych mądrych, i tych głupich twarzy humanistów; złościły go przebierane przez nich łacińskie imiona, brzmiące w jego uszach pretensjonalnie. Pod ich wpływem Prosy, jego rodzony brat, nazwał się Ambrosius. Hans nie miał takich ambicji i nie znosił, gdy nazywano go Olpeusem. Skoro koniecznie już ma nosić starożytnie miano, to odpowiadałoby mu jedynie nadane Albrechtowi Dürerowi - Apelles, największy malarz starożytności, nadworny artysta Filipa Macedońskiego i słynny portrecista. Milcząc

gniewnie, wychylał jeden kufel za drugim, wściekły na tego wymoczką Myconiusa za jego kiepski żart: „Nie-
„Nieszczęsny, rażony miłością Olpeius... topi smutki w piwie”.

A potem nie było pracy albo trafiała się rzadko. Życiem publicznym zawładnęła teraz nienawiść - zwłaszcza gdy po rewoltach chłopskich hordy obrazoburców włóczyły się po ulicach, tłukąc witraże, paląc religijne obrazy i rąbiąc rzeźby świętych. Bogatym niespieszno było chwalić się zamożnością i malować freski na domach. Koniec ze zleceniami w kościołach, których wnętrza ogoławano i bielono. Coraz więcej pracowni malarskich zamykano. Szytaczki artyści, niczym zwyczajni cieśle, wykonywali proste prace stolarskie. Czasem brakowało już sił, by walczyć o zlecenia na ryciny do ksiąg albo na malowanie szyldów gospód - jedyne, jakie jeszcze się czasem zdarzały.

A kiedyś było tak dobrze! Zaledwie trzy lata wcześniej - przed rokiem klęski, w którym ustawienie planet w znaku Ryb przyniosło chaos i zniszczenie. Kiedy Magdalena na każde skinienie gotowa była ułożyć się w odpowiedniej pozie na aksamitach czy jedwabiach. Kiedy zamówień było tak dużo, że opłacało się zatrudnić modelkę. Ledwo wtedy nadążał z ich wykonaniem. Zrobił ilustracje do Nowego Testamentu przełożonego na niemiecki przez Marcina Lutera, w wydaniach zarówno Adama Petriego, jak i Thomasa Wolffa. Od tego ostatniego - pięknego mężczyzny, największego galanta Bazylei, blondyna o drapieżnych zębach, lśniących oczach i z ciemnym znamieniem na prawym policzku - dostał dodatkową zapłatę, jak również wylewne podziękowanie za wielki sukces wydawniczy. Mógł kupić suknię Magdaleny i Elsbeth dać więcej pieniędzy na dom. A ilustracje były naprawdę dobre.

Po raz pierwszy przeczytał wtedy dokładnie Nowy Testament (nie był zbyt biegły w łacinie, aż się z niego śmiano w gronie humanistów skupionych wokół wydawnictwa Frobena), a potem malował jak szalony. Nareszcie mógł ukazać prawdy wiary poznane dzięki samodzielnej lekturze Pisma Świętego, bez pośrednictwa księdza czy kaznodziei. Poczul się oświecony, oczyszczony, przemieniony.

Potem sytuacja się pogorszyła, ale Hansowi Holbeinowi jeszcze się powodziło dłużej niż innym, gdyż otrzymał zamówienie na wykonanie fresku do ratusza. Niestety, rajcy przestraszyli się śmiałości jego pomysłu: chciał namalować obłudnych, lecz powszechnie szanowanych Żydów z przypowieści o jawnogrzesznicy, ostrzeganych przez Chrystusa: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”. No i obłudni, choć powszechnie szanowani rajcy zerwali kontrakt. Woleli patrzeć na pustą ścianę niż na obraz przypominający, że ich bezgrzeszność też może zostać zakwestionowana. I pieniądze się skończyły.

Ostatnią kroplą przepelniającą czarę goryczy okazały się ryciny z cyklu *Taniec śmierci*. Było ich czterdzieści jeden; w tę pracę włożył całą swą wyobraźnię i pasję. Zabrał się do niej po śmierci ojca. Tylko tak mógł pokazać prawdę o obecnych czasach widzianą swoimi oczami, i zrobił to bez żadnych sugestii ze strony zamawiającego. Dwa lata ogromnego trudu, wspólnie z Hansem Lützelburgerem, który wykonał klocki drzeworytnicze, zaowocowały bezlitosną satyrą na występki i grzechy niegodnych kapłanów, a także wielkich i możliwych - z pozoru pobożnych - tego świata oraz ich ślepych zauszniaków. Wszyscy ci zadufani w sobie obłudnicy zostali przedstawieni w momencie, gdy przychodzi po nich śmierć. Arogancki papież, który koronuje cesarza i wymachuje bullą, otoczony jest diabłami. U sędziego śmierć się zjawia, gdy ten przyjmuje łapówkę od bogacza, a ubogi podsądny patrzy na to żałośnie. Zakonnik, który z racji swego powołania powinien być na tę chwilę przygotowany, usiłuje zbiec ze skarboną. Nikt nie chciał wydać rycin. Rada miejska była zbulwerso-

wana. Teraz, gdy było już za późno, postanowili posłuchać rady Erazma, który wcześniej ich namawiał, by nie publikować radykalnych broszur. Kiedy zeszłego lata Hans Lützelburger zmarł w nędzy, wierzyciele jak sepy rzucili się na jego rzeczy. Klocki do *Tańca śmierci* zabrała lyońska firma wydawnicza; Hans Holbein nie miał z tego ani grosza.

- Wyjedź gdzieś - radził mu spokojnie Erazm. - Najlepiej na rok, dopóki tu nie ucichnie. Nauczysz się czegoś nowego, znajdziesz nowych protektorów. Zapomnisz o złamanym sercu.

Erazm stale podróżował. Ciągłe musiał być w ruchu. Właśnie po trzech latach spędzonych w Lowanium wrócił do Bazylei, która była stosunkowo cywilizowanym miastem, cieszącym się wolnością myśli. Lowanium stało się zbyt wojownicze w swej katolickości jak na gust filozofa, który teraz się martwił, że i Bazylei grozi przegięcie w drugą stronę. Nie miał nic przeciwko podróżom i wiele jeździł po świecie. No, ale on był sławą, wszędzie znalazł dach nad głową i życzliwe przyjęcie, jako że każdy chciał się grzać w blasku jego autorytetu. Dla Erazma więc zmiana miejsca nie stanowiła problemu.

Kiedy filozof wygłaszał ulubioną maksymę: „Żyj, jakbyś miał umrzeć jutro, ucz się, jakbyś miał żyć wiecznie”, Holbein przerwał mu w pół słowa:

- A dokąd miałbym pojechać?

Hans Holbein nie bał się nowych wyzwań. Obaj z Prosym jeszcze jako młodzi ludzie urządzili się w Bazylei po bankructwie ojca w Augsburgu, nawet kiedy ten stary kutwa - stryj Sigismund - pozwał go do sądu o marne trzydzieści cztery floreny. Hans bez trudności zdobywał wtedy zlecenia na freski lub dekoracje kaplic, choć nigdy przedtem tego nie robił i nie miał doświadczenia. Ale poradził sobie, zyskał zaufanie, potrafił zareklamować swój talent. Żaden klient nie był rozczarowany ostatecznym rezultatem. Niewielki tobolek miał zawsze spakowany, gotów do drogi. Był już we Włoszech i we Francji, gdzie poznał malarstwo południa. Teraz potrzebował jedynie praktycznej wskazówki.

- Jedź do Aegidiusa do Antwerpii - odparł Erazm. - Pozna cię z Quentinem Massysem, który kiedyś malował nas obu*. Quentin to dobry malarz i chętnie ci pomoże. Albo do Londynu do Morusa, który przedstawi cię, komu trzeba; Anglia to kraj bogatych ludzi.

* Pieter Gillis (ok. 1486-1533), zwany Petrus Aegidius, humanista i przyjaciel Erazma i Thomasa More'a, który zadedykował mu pierwszą część swojej *Utopii*; Quentin Massys (1465?-1530), wybitny malarz, założyciel szkoły malarskiej w Antwerpii. Jego obrazy charakteryzuje duża precyzja detali, staranna perspektywa i wielka ekspresja. W 1517 r. namalował portrety Erazma i Pietera Gillisa dla sir Thomasa More'a.

Hans Holbein przyjął od Erazma pożyczkę, po czym bez większego żalu rozstał się z Elsbeth, dziećmi i zapachem garbarni. Żona znowu była w ciąży, ale sobie poradzi. Miała swój warsztat, toteż jakoś się utrzyma, a jego zarobki z podróży później jej to wynagrodzą. Wstydził się teraz swojej namiętności do młodszej, piękniejszej kobiety. Nie chciał do tego wracać, więc musiał uciec także od przypominających mu o tym pokornych, zranionych oczu Elsbeth. Przemieszczał się wolno, podróżując wozem lub na piechotę. Pieter Gillis (Hans Holbein nie miał zamiaru nazywać go Aegidusem) nie okazał się szczególnie przydatny. W końcu dotarł do Anglii i na szczęście szybko dostał zlecenie od arcybiskupa Warhama. Od początku wyglądało na to, że w

Londynie sprawy ułożą się pomyślnie. Jak powiedział Erazm: choć jest tu zimno i błoto leży na ulicach, ale panuje spokój, a ludzie są zamożni. W ciągu ostatnich miesięcy nie zdarzyło mu się myśleć o Magdalenie dłużej niż przez krótką chwilę.

Zirytowało go zatem, że znów przypomniał sobie o niej, patrząc na tę angielską dziewczynę, tak bardzo do niej niepodobną. Panna Meg Giggs o białej twarzy, prostym, zgrabnym nosie i ciemnoniebieskich oczach, płonących żywą inteligencją, pochyliła się właśnie lekko, jakby chciała go o coś spytać. Pewnie obmyślała konstrukcję zdania, zrozumiała dla cudzoziemca, który powoli przyswajał sobie jej język, a łacinę znał kiepsko.

- Czy nie sądzicie... - Przez wzgląd na niego mówiła wolno i wyraźnie. Odgarniała przy tym nieświadomym gestem niesforne czarne włosy, które wymykały się spod czepka. Wyglądała dość poważnie (nie dbała o siebie, a przecież - jak zauważył - mogłaby być naprawdę ładna, gdyby się postarała). - ...że to oznaka próżności... zamówić swój portret?

Już podczas pierwszej wieczery przebywający w domu Morusa astronom Nicholas Kratzer ostrzegł go szeptem po niemiecku:

- Wszyscy będą was tu wciągać w dysputy filozoficzne. Ale na miłość boską, nie poruszajcie poważnych tematów, dopóki nie pogadamy na osobności o tym, co się tu dzieje. Nie dajcie się zwieść! Czasem luźna pogawędka może stać się przyczyną poważnych kłopotów. - Zabrzmiało to groźnie. Teraz jednak tak go rozbroił poważny wyraz twarzy Meg, zadającej to wybitnie niedziewczęce pytanie, że nie bał się ani trochę. Roześmiał się serdecznie.

- Mówię poważnie. - Poczula się urażona; rumieniec oburzenia nadał jej twarzy niezwykłą miękkość, aż stała się prawie ładna. - To nie jest wcale głupie pytanie! - Mówiła coraz szybciej i mądrzej, przy tym coraz bardziej kraśniała. - Przecież Tomasz à Kempis napisał, że... powinniśmy wyrzec się świata i nie puszyć się pięknnością czy osiągnięciami. - I zaczęła cytować: -,O to się staraj, o to proś, tego pragnij, abyś zdołał uwolnić się od wszelkiego posiadania i nagi mógł pójść za nagim Jezusem, umrzeć dla siebie, a dla mnie żyć wiecznie. Wtedy rozwieją się wszystkie próżne rojenia, niepokoje i zbyteczne troski"*. To miałam na myśli. Jeśli się ze mną zgodzicie, przyznacie, że portret jest bluźniącą Bogu próżnością.

* Tomasz à Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1980, przeł. Anna Kamieńska.

Umilkła i spojrzała na niego prowokacyjnie. Hans Holbein nigdy dotąd nie widział kobiety tak patrzącej, która by jednocześnie nie była zalotna. A w dodatku takiej, która by czytała *O naśladowaniu Chrystusa*. Meg uwodziła umysł, nie ciało. Erazm opowiadał mu o szkole w domu More'a. Tak to jest, gdy uczy się kobiety łaciny, greki i sztuki dyskursu. Nie śmiał się już, odłożył ołówek i skłonił głowę z szacunkiem. Tylko lekki uśmiech błąkał się na jego wargach.

- Jesteście, pani, szlachetnie urodzoną młodą damą - zaczął. Rad był z tej rozmowy; tak samo za dawnych czasów cieszyły go toczące się w wydawnictwie Frobeny dyskusje, do których teraz tęsknił. - ...A umysł macie godny teologa.

Kiwnęła głową, raczej ze zniecierpliwieniem niż w podziękę za komplement.

- Ale jakie jest wasze zdanie? - nalegała.

Hans Holbein zaczął się zastanawiać. Przypomnił sobie, jak z Prosym robili w pracowni ojca setki szkiców; nie dla pieniędzy, lecz po prostu ćwicząc rękę, a działa się to wtedy, gdy uchwycenie podobieństwa było uważane nie za wielką sztukę, lecz za jarmarczną sztuczkę. Pomyślał też o stryju Sigismundzie, który po paru latach spędzonych w Wenecji przywiózł stamtąd nową humanistyczną koncepcję, że twarz powinno się malować tak realistycznie, by ujrzeć w niej wewnętrzną prawdę - obraz Boga w Jego stworzeniu. Stryj dorobił się majątku na portretach znanych osób, od papieża poczynając, na Jakobie Fuggerze, najbogatszym kupcu Augsburga, kończąc*.

* Rodzina bankiersko-kupiecka, której jednym z bardziej znanych przedstawicieli był Jakob zwany Bogatym (1459-1525). Być może z bocznej linii Fuggerów wywodzą się osiadli w XV w. w Polsce Fukierowie.

Był niemal bożyszczem dla młodego Hansa. Ale malarz dobrze wiedział, dlaczego artyści teraz porzucali swoją sztukę. Prosy kilka lat temu przestał malować, ponieważ - jak często grzmiał w gospodarstwie tonem irytującym, nieznoszącym sprzeciwu, wałąc pięścią w stół - nie chciał więcej dostarczać „bałwochwalczych” wizerunków. Szczególną zaciekłość przejawiał po uwięzieniu go za publiczne oskarżenie kleru o szerzenie zabobonów i zmuszeniu do przeprosin. Nie tylko on reagował w tak skrajny sposób, niszcząc samego siebie. Również inni malarze przestali pracować, aby przyczynić się do oczyszczenia Kościoła ze zła. Przynajmniej tak głosili. Hans jednak uważał, że Prosy, podchmielony, niepotrzebnie wychodził z gospody na ulicę. A już z pewnością nie powinien był w prostacki sposób wymyślać księżom. Nigdy nie umiał zabiegać o zamówienia i wiecznie trapiły go kłopoty finansowe, a poza tym żywił żal do ojca, gdyż czuł się przez niego odepchnięty i traktowany jak gorszy syn. Toteż bez trudu dał się przekonać, że „sztuka to bluźnierstwo”. A według Hansa artyści porzucający sztukę w imię czystości religijnej byli po prostu nieudacznikami, którzy nie potrafili zdobyć zleceń. Mieli przynajmniej pretekst, żeby nie obwiniać siebie za własne niepowodzenia.

- Myślę, że Erazm słusznie zrobił, zamawiając swoje portrety oraz ryciny, które potem sprzedawano - odparł wolno, z namysłem dobierając słowa. Coraz poważniej traktował rozmowę z tą dziwną angielską panną. - Wielki to dla mnie zaszczyt, że mogłem go malować. Nie wierzę, by słuszne było wyrzekanie się świata przeznaczonego nam przez samego Boga. Przecież nasza w nim obecność jest częścią Jego planu. W twarzy człowieka można zobaczyć Boga. A skoro Stwórca patrzy łaskawie na swoje stworzenia, na piękno i talenty ludzi, którym dał tę ziemię, to dlaczego my nie mielibyśmy tego robić?

Czuł się z lekka zażenowany swoją niespodziewaną elokwencją, ale i zadowolony, gdy otrzymał nagrodę w postaci powolnego, aprobującego skinienia głową. Opowiedział jej więc, jak bliżej poznał Erazma, trzykrotnie malując jego portret w ciągu ostatnich dziesięciu lat. „Oho, gdybym jeszcze tak wyglądał, zaraz wziąłbym sobie żonę” - zażartował Erazm, oglądając pierwszy obraz. A później zamówił następne.

Zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu, a malarza zachwycił blask jej oczu. I nie wiedzieć czemu, przyszło mu na myśl, że właśnie ona potrafiłaby zrozumieć, iż tak się można zatracić w kształtach i kolorach, że się nie zważa ani na upływ czasu, ani na pustkę w żołądku. Że malowanie może być pasją, może być modlitwą.

Rzekła łagodnie:

- Bardzo chciałabym obejrzeć kiedyś inne wasze dzieła.

Zerwał się i podszedł do piętrzącego się w kącie stosu szkicowników i odbitek książkowych rycin. Wybrał te, z których był najbardziej zadowolony. Sięgając po nie, zdumiał się, że drżą mu ręce.

Dziwnym zbiegiem okoliczności na wierzchu leżały trzy wizerunki Magdaleny. Oprócz Madonny zamówionej przez Jakoba Meyera znajdował się tu obraz z początków ich znajomości, na którym była Wenerą o łagodnych oczach, uśmiechniętą, wyciągającą uwodzicielsko rękę w stronę widza. Był też portret namalowany z chęci zemsty w tych pełnych bólu i goryczy dniach, kiedy pracował nad Madonną. Także uśmiechnięta, ale z zimnym spojrzeniem; też wyciągająca rękę, lecz tym razem jakby domagała się pieniędzy. Po raz pierwszy, gdy patrzył na swoje dzieło, nie pomyślał o przeszłości ani nie powróciły dawne emocje. Miał uczucie, jakby się odkrył przed Meg Giggis i z niepokojem oczekiwał jej reakcji. Ale nawet jeśli zauważyła przekaz zawarty w tych trzech obrazach, powstrzymała się od komentarzy. Jej uwagę przyciągnął obraz Madonny.

- Piękny - orzekła spokojnym, naturalnym tonem. Rysunek był nowatorski i Meg zauważyła, że to Dzieciątko Jezus swoją pulchną rączką, a nie Matka Boża, błogosławi rodzinę fundatora. - Podoba mi się ta kompozycja - wyznała ze wzruszeniem. Wyraziła podziw dla głębi szkarłatu i purpury szat. Pochwaliła tło namalowane w stylu włoskim, jak swego bratanka nauczył stryj Sigismund: świetliste niebo w żywych barwach, z rozświetlonymi słońcem gałęziami i liśćmi dębu.

Dopiero gdy wzięła do ręki następny obraz - małą kopię fresku przedstawiającego Chrystusa w grobie - zrobiło mu się niewyraźnie, ale to z innych powodów. Na poły z fascynacją, na poły z przerażeniem chłonęła widok zamkniętego w ciasnej skrzyni ciała, sinej twarzy i siniejącej rany po włóczni oraz szeroko otwartych martwych oczu. Hansowi Holbeinowi przypomniało się ostrzeżenie Kratzera, by nie dawał się wciągać w filozoficzne dysputy ani nie zdradzał się z mniej popularnymi przekonaniem religijnymi. Tymczasem obraz ten bardziej niż inne jego dzieła mówił o koncepcji szokującej nawet niektórych humanistycznych wolnomyślicieli: że religia powinna zostać odarta ze wszystkiego, co nie dotyczy bezpośredniej relacji Chrystusa do człowieka - z całej tej nadbudowy, jaką jest Kościół od wieków pełniący funkcję pośrednika. Oczywiście było, że na obrazie widnieje człowiek, a nie Bóg. Szybko wyciągnął rękę, chcąc zabrać teczkę. Ale ona, zatopiona w kontemplacji, nawet tego nie zauważyła. Zrozumiał, że popełnił nietakt, i tak się przejął własnym zuchwalstwem, iż gwałtownie cofnął dłoń, jakby się oparzył.

Spojrzała na niego nieświadoma jego zmieszania.

- Jesteście wspaniałym malarzem, mistrzu Hansie - rzekła z uczuciem. - Nie spodziewałam się, że aż tak wielki z was mistrz.

Dopiero teraz dostrzegła pot na jego twarzy i przyśpieszony oddech, co mogła uznać za reakcję na komplement. Uśmiechnął się i wziął od niej teczkę. Aż ścierpł ze strachu, gdy sobie uświadomił, co tam jeszcze jest. Dalej zaś były ryciny *Tańca śmierci*, a między nimi frontispis Nowego Testamentu Lutra (Eleuteriusza, czyli Wolnego, jak zwano brata Marcina, gdy jeszcze zaliczał się do grona humanistów). Byłoby to zdecydowanie niebezpieczne, gdyby More'owie dowiedzieli się, iż on brał w tym udział.

Sięgnął ponad jej ramieniem - mimo zdenerwowania i strachu rzuciło mu się w oczy, że Meg ma niezwykle długie i smukłe palce, a to odkrycie jeszcze bardziej przyśpieszyło bicie jego serca - i zamknął teczkę, odetchnąwszy z ulgą.

- Czy... mogłabym zobaczyć resztę? - W policzkach pokazały się dołeczki.

- Innym razem - odparł, uśmiechając się uprzejmie. Znacząco wskazał sztalugi. - Najpierw musimy popracować.

Zdziwił się, gdy zawołano ich na południowy posiłek. Ranek minął jak z bicza strzelił, a on naszkicował zaledwie kilka linii. Odprowadzając Meg Giggs, w holu ujrzał Nicholasa Kratzera. Astronom przyglądał mu się z lekko drwiącym uśmiechem.

Meg udała się na górę, pokonując schody długimi, zamaszystymi krokami.

- Muszę się nieco ogarnąć, nim siądę do stołu! - zawołała z uśmiechem, oglądając się przez ramię.

Kratzer dogonił malarza.

- Wpadła wam panna w oko? - rzucił prowokacyjnie.

Hans Holbein zaprzeczył, unikając jednak jego wzroku. Polubił Kratzera i przypuszczał, że się zaprzyjaźnią, mieszkając pod jednym dachem. Ale z pewnych rzeczy nie miał ochoty się zwierzać. Absurdem byłoby, gdyby rzemieślnik zdobiący freskami ściany domów zakochał się w damie. Za wysokie progi... Nie chciał wyjść na głupca. Nie chciał czuć się jak głupiec.

- Nie - odparł stanowczo, nie patrząc na Kratzera. - Wykonuję tylko swoją pracę.

Tego wieczoru, gdy porządkowałam apteczkę, nie mogłam znaleźć buteleczki z polejem.

Dało mi to pretekst, na który czekałam. Napisałam do Johna Clementa, prosząc, by jak za dawnych czasów dokupił dla mnie brakujący medykament na Bucklersbury Street. Liczyłam na to, że wraz z lekiem przyśle odpowiedź. Długo zastanawiałam się, czy wspomnieć mu o wykrętnych odpowiedziach jejmości, kiedy próbowałam poruszyć temat ojca, ale w końcu postanowiłam tego nie robić. Nie chciałam, by myślał, że nie dzielam jego wiary w ojca. Zrelacjonowałam zatem drobiazgowo - starając się pisać równo i ładnie, a zapisane kartki po rozłożeniu zajęły prawie cały stół - pozowanie do portretu oraz nadmieniłam o niektórych pracach mistrza Hansa. Napisałam, co mówił o ojcu i o tremie, jaka go ogarnęła, gdy malował. Napomknęłam o ciągłym parzeniu imbiru w ostatnich dniach i o trzech ciężach, a potem przeszłam do spaceru nad rzeką, na który tego poranka udałam się w towarzystwie mistrza Hansa. Patrzyliśmy na fale rozbijające się na kamieniach, a towarzyszyli nam John i Anna Cresacre (zawsze ich zabierałam na spacer od czasów, gdy byli bardzo młodzi i najchętniej wspinali się na drzewa i biegali po trawniku). Umyślnie odwracałam wzrok, gdy ich spragnione siebie ramiona szukały się ciągle. (Gotowości do uprzejmego niewidzenia pewnych rzeczy zawdzięczałam to, iż ostatnio stałam się ich ulubioną przyzwoitką). Nie napisałam natomiast - choć wiele o tym myślałam podczas pieczętowania listu - że odwracanie wzroku przychodziło mi dość łatwo. Ten brak tchu, rumieńce na policzkach i blask wpatrzonych w siebie oczu młodej pary sprawiały, że czułam się tak dziecinnie szczęśliwa jak oni. Choćbym się jednak nie wiem jak usilnie starała i spoglądała w inną stronę, nie mogłam nie widzieć zastępów wyimaginowanych Johnów Clementów we wszystkich łodziach płynących do nas z Londynu; mój ukochany był niezmiennie wysoki, szczupły i pochylony pod naporem wiatru, a im bliżej podpływał, tym tęskniej patrzył na mnie oczami błękitnymi jak niebo.

Ale nawet zatraciwszy się całkiem w snuciu słodkich marzeń - o których każdy zakochany myśli, że są jedyne na świecie - cały czas niepokoiłam się, gdzie mogła zniknąć buteleczka z polejem. Także wtedy, gdy wszyscy się już położyli, brak poleju spędzał mi sen z powiek. Dręczyły mnie również inne troski, natarczywe

jak brzęczące komary; w ciągu dnia przestawałam je zauważać, a teraz atakowały ze wzmożoną siłą. Obraz wpatrzonych we mnie z miłością oczu Johna Clementa bladł, przesłonięty niepokojącym wspomnieniem człowieka w kordegardzie, ojca piszącego w Nowym Pawilonie i dzieł mistrza Hansa.

Tak czy owak nie mogłam spać. Moje myśli uprawiały gonitwę, a ciało kipiało niewyładowaną energią. Musiałam coś zrobić. Zaczekałam, aż mistrz Nicholas zamknie się z mistrzem Hansem. Nasłuchiwałam pod drzwiami, dopóki nie otworzyli butelki przyniesionej przez malarza. Kiedy rozległ się stuk szklanic i śmiech, zesłam na palcach na dół i udałam się do pracowni. Nie mogłam przestać myśleć o martwym Chrystusie.

Pragnęłam też zobaczyć obrazy, których mi nie chciał pokazać.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, jak ten człowiek prosto pojmował świat. Pierwsza wpadła mi w ręce rycina przedstawiająca papieża otoczonego diabłami i wymachującego bullą. Dalej był rytowany frontispis Nowego Testamentu po niemiecku. Nie znałam niemieckiego, ale każdy by zrozumiał, co znaczą słowa: *Das Neuw Testament*. A do tego data 1523, a zatem musiało to być dzieło Lutra. Odkrycie to tak mną wstrząsnęło, że dopiero po dłuższej chwili spostrzegłam, jak niezwykle piękne i starannie wykonane są postacie świętych Piotra i Pawła. Dziełem szatana były w takim samym stopniu jak ciągoty Willa Ropera do herezji. Nie znaczyło to wcale, że ojciec - jeśli rzeczywiście zgodnie z moimi podejrzeniami stał się głównym prześladowcą heretyków - powstrzymałby się od podjęcia stosownych kroków, dowiedziawszy się, czym przed przybyciem do Chelsea zajmował się zatrudniony przez niego malarz. Miałam wielką ochotę zapytać mistrza o to, w jakiego Boga wierzy. Nigdy nie rozmawiałam z tymi ludźmi (Will Roper w swoim luterańskim okresie się nie liczył - był kochanym, głupiutkim młodzikiem przeżywającym okres buntu), a bardzo chciałam posłuchać, jaki jest ten Bóg, w którego wierzą heretycy. Z drugiej jednak strony to lepiej, że nikt z nas nie poruszał tego tematu. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Zamknęłam teczkę równie pośpiesznie jak przedtem mistrz Hans.

Biorąc pod uwagę kary nałożone ostatnio na niemieckich kupców w Steelyard* za przemykanie heretyckich książek do Londynu, mistrz Hans igrał z ogniem, i to w sensie dosłownym. Dla mnie było oczywiste, że po to przywiózł do Anglii swoje dzieła, by je pokazać ewentualnym klientom i otrzymać kolejne zlecenia. Ale dowodziło to, że nie miał pojęcia o niebezpieczeństwie, jakie na siebie ściągnie, gdyby ktoś niepowołany zobaczył jego obrazy. Jeśli nasz dobroduszny malarz o szczerzej twarzy miał przetrwać w tych niespokojnych czasach, trzeba go było chronić przed nim samym.

* Hanzeatycki kantor na terenie Londynu, będący w zasadzie enklawą otoczoną murami.

Niezupełnie rozumiejąc, dlaczego pragnę mu pomóc - prócz tego, że podobała mi się jego bezpośredniość - schowałam teczkę pod stołem i położyłam na niej szkicowniki, aby utrudnić dostęp zbyt ciekawskim oczom. Na wierzchu umieściłam znalezioną w pracowni czaszkę. Nakryłam stół sporym kawałkiem materiału - pełno ich tu było - zasłaniając starannie cały stos. Wracając na górę, nie zapalałam świecy, bo zdradziłyby moją obecność, i gdybym się na kogoś natknęła, być może musiałabym odpowiedzieć na niepożądane pytania.

Dopiero gdy z bijącym sercem znalazłam się u siebie, pożałowałam, że nie spojrziałam na portret ojca, by móc w liście opowiedzieć o nim Johnowi. Ale było już za późno. Wiedząc to, co teraz wiedziałam, nie miałam najmniejszej ochoty wracać na dół.

- Zdziwiłem się, że nie wyszliście, pani, zeszłej nocy, taki był hałas - powiedział mistrz Hans. Spuchnięte (na skutek siedzenia do późna z mistrzem Nicholasem) oczy malarz utkwili w rysunku. Zdaje się, nawet nie zauważył, że jego rysunki zostały ukryte pod stołem.

- Jaki hałas? - zapytałam.

- Wasza siostra spadła ze schodów - wyjaśnił. Poczulałam na sobie jego uważny wzrok. - Może wypila za dużo wina. Niedobrze pić, kiedy dziecko jest w łonie.

- Nic nie słyszałam - przyznałam, mocno zaniepokojona. Albo za bardzo byłam pochłonięta pisaniem listu, albo już spałam. - Mówicie o Elizabeth? - Nie zeszła na śniadanie.

Mistrz Hans potwierdził. I nagle przysła mi do głowy myśl, gdzie mógł się podziać polej. Musiałam go odzyskać. Nie powiedziałam wówczas Elizabeth, że to nie tylko środek wywołujący poronienie, lecz także niebezpieczna trucizna, która może spowodować wewnętrzny krwotok i zabić matkę wraz z nienarodzonym dzieckiem.

Malarz pewnie dostrzegł mój niepokój, bo zaczął mnie pocieszać.

- Stłukła sobie tylko kostkę, więc pomogłem jej wrócić do sypialni. Stało się to, gdy wychodziłem od Kratzera... Spadła z najwyższego stopnia. Ale mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

- Biedna Elizabeth. - Staralam się, by zabrzmiało to naturalnie i swobodnie. - Nic nie słyszałam. Musiałam spać bardzo głęboko. Czy zechcecie mi wybaczyć na chwilę, mistrzu Hansie? Pójdę na górę i sprawdzę, jak ona się czuje.

Leżała na łóżku i spała. Oddychała tak naturalnie i swobodnie, jak ja starałam się mówić przed chwilą. Nie budziłam jej, tylko zajrzałam pod łóżko i znalazłam tam moją buteleczkę. Elizabeth pewnie ją wykradła. Odetchnęłam w ulgę, przekonawszy się, że jest pełna. Zniosłam ją do siebie, schowałam i starannie zamknęłam apteczkę. Klucz zabrałam ze sobą.

- Wszystko w porządku, mistrzu Hansie - oznajmiłam, sadowiąc się w odpowiedniej pozycji.

Zmarszczył brwi. Od razu podjął poprzedni temat.

- Zapewne ma jakieś zmartwienie, skoro biega w nocy po korytarzu i spada ze schodów - orzekł. - Wiem, że jest szczęśliwą mężatką i powinna radować się ze swego stanu. A takie przypadki zdarzają się kobietom, których nie cieszy macierzyństwo.

Pomyślałam, że jak na kogoś, kto pozostaje w błogiej nieświadomości niebezpieczeństwa wiszącego nad własną głową, mistrz Hans jest niezwykle bystrym obserwatorem.

- Siostrze czasem trudno jest ze sobą rozmawiać, podobnie zresztą jak braciom. - Tu rozległ się jego dudniący śmiech. - Mojemu bratu w ogóle nie udaje się przemówić do rozumu! Ale może porozmawiacie z nią i upewnicie się, czy nie dzieje się coś złego.

- Porozmawiam z nią, gdy się obudzi - obiecałam, wzruszona jego dobrocią. - Ona jest szczęśliwa. Nie musicie się martwić.

Szkoda, że sama w to nie wierzyłam.

Kiedy z mistrzem Hansem opuściliśmy pracownię, zobaczyłam przez okno, że kucharka Mary wróciła z targu. Dwóch pacholków zdejmowało z wozu paczki i koszyki i zanosilo je do kuchni. W tym momencie ujrzałam Elizabeth, która wyszła na spacer. Mary ją zawołała i z wielkiej sakwy leżącej na siedzeniu wyjęła dwa

listy i buteleczkę. Szybko wręczyła je Elizabeth. Ta uważnie je obejrzała; zwłaszcza długo oglądała butelkę. Oddała ją z ociąganiem, podobnie jak jeden z listów, a drugi wzięła i wolno ruszyła w stronę domu, przysłaniając oczy od słońca. Weszła do środka i od razu mnie dostrzegła.

- Mary ma dla ciebie coś z miasta - rzekła, unikając mego wzroku, i skierowała się ku schodom. Gdy wychodziłam po przesyłkę, wydało mi się, że od Elizabeth, odwróconej do mnie tyłem, dobiega tłumione łkanie.

- Dla panienki też jest list miłosny, panno Meg - bezceremonialnie oznajmiła Mary. Była poczciwa i dobrodusza i każdy list nazywała miłosnym. - A do tego napój. - Zachichotała.

W buteleczce był zamówiony polej. W jednej chwili zapomniałam o całym świecie i niecierpliwie sięgnęłam po pismo. Opanowałam się jednak i najpierw oddaliłam się od Mary, skrzyłam w główną alejkę, po czym pośpiesznie je otworzyłam. *Moja Najdroższa Meg* zaczynał się krótki liścik skreślony kanciastym pismem, którego obraz od dawna nosiłam w sercu.

Aż trudno mi uwierzyć we własne szczęście: po pierwsze, że zobaczyłem się z Tobą i mam teraz o czym myśleć i marzyć, a po drugie, że spotkała mnie przyjemność dostania wieści od Ciebie. Oto lek, o który prosiłaś. Z szybkości mojej odpowiedzi łatwo odgadniesz, iż od razu udałem się na Bucklersbury. Pierwszą napotkaną tam osobą był szalony Davy - żyje i miewa się dobrze, choć ma o wiele mniej zębów i znacznie więcej zmarszczek. Gdy się dowiedział, że robię zakupy dla Ciebie, prosił, by Ci przekazać wyrazy najwyższego szacunku i usiłował mi sprzedać róg jednorożca, aby zapewnił Ci wieczną młodość. Powiedziałem mu, że wyglądasz nadzwyczaj pięknie, jesteś wcieleniem młodości i że lepiej niech zachowa róg dla siebie. Uparcie twierdził, że zęby stracił tylko dlatego, iż wdał się w bójkę. Już go nie pytałem, jak stracił włosy.

Śmiałam się na głos, a duszę miałam pełną słońca. Wbiegłam w boczną alejkę, by żadne niepowołane oczy nie widziały moich rumieńców i szaleńczych uśmiechów.

Trochę trwało, nim wróciłam do domu z listem starannie ukrytym w fałdach sukni. Oszołomiona słońcem i upojona radością, schowałam go w apteczce razem z nową buteleczką poleju. Z komnaty Elizabeth dobiegały głosy, a właściwie jeden - jej. Strasznie na coś narzekała: ostatnio często popadała w taki ton.

Nie chciałam przeszkadzać, pamiętając niby grzeczną, lecz bardzo stanowczą odmowę Williama, gdy pierwszy raz zaoferowałam pomoc. Ale teraz go nie było, pojechał do Londynu. W dodatku, kiedy wyszłam na korytarz, zobaczyłam, że drzwi Elizabeth są otwarte. Zebrałam się więc na odwagę i zajrzałam do środka.

Zdziwiłam się, zastawszy u niej mistrza Hansa. Siedział na krześle obok łoża, na którym ona leżała. W dużych dłoniach trzymał wędnący już bukiet zebranych pod domem przebiśniegów; najwyraźniej o nim zapomniał. Zapewne przyszedł tu z kwiatami wkrótce po niej. Nachylony w jej stronę, mówił coś cichym głosem. Ona miała oczy zaczerwienione, lecz była opanowana i uśmiechnęła się do mnie z godnością.

- O, Meg - rzuciła swobodnie. - Czy mogłabyś poszukać małego wazonika? Spójrz, co mi przyniósł mistrz Hans. Czyż nie są śliczne?

- Mówię właśnie pani Elizabeth - odezwał się malarz z lekkim zakłopotaniem, ale odważnie patrząc mi w oczy - że dziecko to najpiękniejsze, co człowieka może w życiu spotkać. Prawdziwy cud. I jakże powinna być szczęśliwa, że będzie to jej udziałem.

Lekko się zaczerwienił. Zdziwiona tym jego niespodziewanym entuzjazmem dla rodzicielstwa, zapytałam:

- Nie wiedziałam, że macie też dzieci, mistrzu Hansie. - Nieco niechętnie, jakby wolał nie poruszać tego tematu, skinął potakująco głową. - W Bazylei? - dopytywałam, a on spuścił wzrok i znów przytaknął.

- Proszę opowiedzieć raz jeszcze... niech Meg też się dowie... jak to było, kiedy pierwszy raz ujrzeliście małego Philipa - wtrąciła Elizabeth. Policzki miała zaróżowione i wpatrywała się w malarza, czekając niecierpliwie na dalszy ciąg rozmowy, którą przerwałam. - Kiedy akuszerka go wam pokazała...

- Orzekła: wykapany ojciec... A ja nie mogłem uwierzyć, że to małe białe zawiniątko w ogóle może być człowiekiem. Wtedy zobaczyłem jego oczy. Popatrzył na mnie ciekawie niebieskimi szeroko otwartymi ślepkami. I te maleńkie usteczka. I małe rączki o takim samym kształcie, jak moje wielkie, niemieckie, niedźwiedzie łapska, ha, ha! - Mistrz Hans aż się rozpromienił i oczy zalśniły mu od wspomnień. - Wtedy zrozumiałem, czym jest miłość.

- To piękne - szepnęła Elizabeth. - A wasza żona? Czy ona tak samo czuła?

I zagłębili się w długą rozmowę o rodzeniu dzieci, modlitwie, przemijającym bólu i o tym, co czuje kobieta, kiedy zobaczy dziecko noszone pod sercem tyle miesięcy. Nie byłam im do niczego potrzebna, tym bardziej że obce były mi doznania, o których mówili. Ale z zadowoleniem stwierdziłam, że Elizabeth sprawia wrażenie podniesionej na duchu. Być może ostatnio po prostu bała się dolegliwości związanych z ciążą, przeżywała lęk przed bólem porodu czy utratą własnego dzieciństwa. Cokolwiek to było, mistrz Hans odgadł właściwie. Być może nie zachował się najstosowniej, odwiedzając ją w sypialni, ale wyraźnie odniósł dobry skutek.

Delikatnie wyjęłam zwiotczałe przebiśniegi z jego ręki i wstawiłam do niewielkiego naczynia przy łóżku Elizabeth. Chcąc zrobić miejsce na kwiaty, przesunęłam list leżący na stoliku, a wtedy rozpoznałam dobrze znajome kanciaste pismo. List od Johna. Stłumiłam mimowolne westchnienie i ukradkiem go zabrałam.

Mruknęłam coś pod nosem i wymknęłam się. Nie było potrzeby wysilać się na żadne usprawiedliwienia. Mistrz Hans na moment obrócił za mną głowę, natomiast Elizabeth chyba w ogóle nie zauważyła mojego odejścia, tak głęboko była pogrążona w rozmowie.

Nie odczuwałam najmniejszych skrupułów, żeby przeczytać list. John Clement był dla mnie tak wielką zagadką, że nie mogłam przepuścić żadnej okazji, by się czegoś więcej o nim dowiedzieć. Nie miałam ani racjonalnych, ani moralnych oporów; cel był zbyt ważny. List okazał się krótki i oficjalny, krótszy niż napisany do mnie. Zaczynał się od *Droga Elizabeth*.

Piszę, aby Ci pogratulować. Słyszałem, że jesienią Ty i William będziecie mieli dziecko. Na pewno pamiętasz z naszych lekcji moje ulubione hasło: patrz przed siebie, nigdy wstecz. Twój mąż to dobry człowiek i otwiera się przed nim świetna przyszłość. Życzę Wam Obojgu wiele szczęścia w życiu rodzinnym.

Gdy doczytałam do tego miejsca, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie wahałam się zaglądać do cudzej korespondencji, gdy mogła odnosić się do mnie; życie jest zbyt niepewne, by nie dbać o siebie wszelkimi możliwymi sposobami. A tymczasem przekonałam się, że były to bardzo oficjalne życzenia, sprawa czysto prywatna i w ogóle mnie nie dotycząca. Zrobiło mi się głupio, gdy porównałam moje wścibstwo z serdecznym współczuciem okazanym przez mistrza Hansa, człowieka wszak wśród nas obcego. Wróciłam do komnaty

Elizabeth i poprawiając jej poduszki i kołdrę, upuściłam list na podłogę przy łóżku. Uzna, że spadł, i nie domyśli się, że go czytałam. Potem z ulgą zostawiłam ich oboje pogrążonych w snuciu i słuchaniu budzących lęk opowieści o porodach, odejściach wód i kleszczach. Niezbyt odpowiadało to moim gustom, ale, o dziwo, Elizabeth, zwykle bardzo wybredna, wyraźnie się nimi zainteresowała. Gdybym miała inny charakter - była mniej zamknięta i mniej skłonna do racjonalizowania - czułabym się nawet trochę zazdrosna, że tak zręcznie udało jej się skupić na sobie uwagę człowieka, z którym się zaprzyjaźniłam. Ale nie byłam zazdrosna. Cieszyłam się, że Elizabeth dobrze zrobią te ponure opowieści, lecz sama nie chciałam ich słuchać.

Poszłam więc do ogrodu i tam, znalazłszy słoneczne miejsce z dala od kordegardy, zapomniałam o wszystkim, rozkoszując się ciepłem słońca i pierwszymi wiosennymi kwiatami. Szepcząc: „kocha, nie kocha”, obrywałam płatki stokrotek, niczym usychająca z tęsknoty dziewczka folwarczna, a potem czytałam mój list wciąż od nowa, aż nauczyłam się go na pamięć.

Hansowi Holbeinowi ogromnie było żal tej nieszczęsnicy skulonej w łożu, nienawidzącej życia. Nie mógł do końca zrozumieć tego, co wylewało przed nim zbolące serce.

- To ja odnalazłam Johna Clementa i zaprosiłam go tutaj... A tymczasem on nie zwracał na mnie uwagi, tylko cały czas rozmawiał z Meg... A potem wyjechał bez słowa pożegnania. Oni wszyscy są tacy sami: rozprawiają o filozofii z mądrą Meg Giggs i prowadzą dysputy po grecku z uczoną Margaret Roper. Kto by tam tracił czas dla zwykłej dziewczyny... której jedyną zaletą jest ładna buzia. A teraz przysłał mi ten idiotyczny napuszony liścik, zupełnie jak ktoś obcy. Jakbym była obca. Jakbym nic dla niego... - Hans Holbein pojął sens jej słów; sam podobnie cierpiał z powodu Magdaleny. I kiedy z oczu Elizabeth spłynęły łzy, które ukradkiem otarła, zapragnął przytulić ją serdecznie i zapewnić, że każdy zdrowo myślący mężczyzna powinien ją kochać za piękne oczy i śliczną buzię. Ale nie mógł jej nic takiego powiedzieć. Kim zresztą jest, by mówić córce swego chlebodawcy takie rzeczy? To zadanie jej męża. Nietrudno było się jednak domyślić, że Elizabeth źle skierowała swoje uczucia. Kto zatem miałby pocieszać mężatkę rozpaczającą, że mężczyzna niebędący jej mężem trzyma ją na dystans (nie zachowując go wobec mądrej, czytanej siostry) - tego nawet Hans Holbein, przy całej szczeroci i zdrowym rozsądku, nie umiałby powiedzieć. Jego też zafascynował wdzięk, rozumne oczy i zadziwiająca bystrość Meg Giggs, więc doskonale pojmował, że inny mężczyzna również mógł znaleźć się pod jej urokiem.

Osobiście nie widział nic pociągającego w Johnie Clemencie. Starszy od niego mężczyzna, który przybył tu razem z nim, mógł mieć szlachetne, pięknie ukształtowane rysy i imponująco zbudowane ciało. Mógł mówić po grecku i znać się na medycynie. Ale jego blade, uprzejme oczy nie miały tego błysku inteligencji, jaki dostrzegało się w oczach More'a, Erazma czy na przykład panny Meg. Można śmiało powiedzieć, że nie jest to intelekt na miarę wielkich umysłów z jego otoczenia. Medyk sprawiał wrażenie, jakby w życiu stoczył niejedną bitwę i dobrze poznał gorzkość porażki. Gdyby Hans Holbein zdobył się na obiektywizm, przyznałby się zapewne do niechętnego podziwu dla człowieka, który - jak malarz to wyczuwał - nauczył się znosić klęskę z godnością, a jego zwycięstwem była umiejętność przystosowywania się do nowych okoliczności. Ale Hans Holbein uprzedził się do niego, powodowany typowo męską rywalizacją. Nie miał zamiaru przyznawać Johnowi Clementowi prawa do domniemania niewinności. Orzekł, że to nieciekawo osobnik i że dla obu kobiet byłoby lepiej, gdyby też to dostrzegły.

Jednak jego opinia o Johnie Clemencie wcale nie pomogłaby Elizabeth. O kobietach tak naprawdę wiedział jedno: najpotężniejszym w ich życiu uczuciem jest miłość do dzieci. Jedyne, co mógł zrobić dla Elizabeth, to ją przekonać, że macierzyństwo jest wielkim szczęściem i że sama się nawet tego nie spodziewa. Przez kilka następnych dni starał się codziennie jej towarzyszyć w popołudniowej przechadzce po ogrodzie. Znajdywał dla niej ptasie jajka i piękne kamyki. Szkicował malutkie, dopiero co urodzone cherubinki. I tłumiąc poczucie winy z powodu zostawienia w Bazylei Elsbeth z dwojgiem dzieci do wykarmienia i trzecim w łonie, mówił i mówił o radości dawania nowego życia.

Z ulgą spełniał codziennie ten dobry uczynek, tym bardziej że malowanie szło mu opornie. Wiele kłopotu sprawiał portret sir Thomasa. Nie tak to sobie wyobrażał, kiedy Erazm namówił go do nawiązania kontaktu ze swoim wykształconym, dowcipnym, a jednocześnie szalenie skromnym przyjacielem humanistą. Malarz zaczął żałować, że dwie noce z rzędu pił z Nicholasem Kratzerem, słuchając zatrważających historii przyniesionych od Niemców ze Steelyard. Ponoć jego chlebodawca na czele zbrojnych ludzi wdarł się do londyńskiej enklawy Hanzy. Kupcy siedzieli właśnie przy wieczerzy w domu przy Cousin Lane, obok nadrzecznej przystani z drewnianym żurawiem. Byli głodni i zmęczeni po całym dniu wyładowywania zboża, wosku i płótna oraz przewożenia zapasów do magazynów. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł sir Thomas More w otoczeniu zbrojnych ludzi. Polowanie na heretyków.

- Przybywam z polecenia kardynała. Wiemy, że ktoś od was psuł pieniądze; mamy także wiarygodne informacje, iż wielu waszych trzyma u siebie książki Marcina Lutra. Wiadomo też, że owe książki sprowadzacie, na skutek czego szerzą się błędy wiary i herezje wśród poddanych Jego Królewskiej Mości.

Aresztował trzech kupców, których jego ludzie natychmiast zabrali. Do świtu sporządził kolejną listę podejrzanych. Rano zjawił się znowu i z zaciśniętymi ustami patrzył uważnie, jak zbrojni pachołkowie przeszukiwali pomieszczenia i rozbijali skrzynie. Kolejnych ośmiu Niemców powędrowało do kardynała Wolseya, który udzielił im surowego napomnienia.

Niedobrze się stało, że się o tym dowiedział. Jeszcze gorzej, że Kratzer - którego giętki umysł i dowcip zyskały mu przychylność i opiekę nie tylko sir Thomasa, ale także kardynała Wolseya, i który otwarcie przyznawał, iż uwielbia towarzystwo sir Thomasa i rozmowy z nim oraz uważa go za jednego z największych współczesnych myślicieli - pochwalił się (wprawdzie szeptem i bezpiecznie po niemiecku, jako że nie warto się narażać opiekunowi szanowanemu w całym chrześcijańskim świecie, nawet gdyby nie był tak przyjazny jak More), że napisał do bożyszcza Hansa Holbeina, czyli do Albrechta Dürera, aby pogratulować opowiedzenia się za reformacją, życzyć łask bożych i wytrwania w ewangelickiej wierze. Cała potajemna wiedza malarza o oskarżeniach niemieckich kupców ze Steelyard, że przemycają herezję do Anglii, uwidoczniła się na portrecie. Twarz sir Thomasa spoglądająca ze sztalug była obliczem prześladowcy: niewyspane oczy i wąskie usta, a do tego napięte ramiona i ręce.

Nawet kompozycja wyszła inaczej, niż zaplanował. W rogu zamierzał umieścić *memento mori*, ale zwykły do tego rekwizyt - czaszka przypominająca, iż ten świat to tylko marność - gdzieś się zapodział w tym bałaganie. Ktoś musiał ją zabrać albo on sam ją zarzucił. Nigdy nie był biegły w szukaniu ani nie miał pojęcia, gdzie w Londynie mógłby dostać ludzką czaszkę - może w Steelyard, gdzie przynajmniej rozumie, co do niego mówią. Ale byłaby to duża polityczna nieostrożność, gdyby się choć zbliżył do tego miejsca.

Nie mógł więc pozbyć się uczucia niepokoju. Ogarniało go co rano podczas posiedzeń z Meg, dręczyło na popołudniowych spacerach, natrętnie trzymało się wieczorami - już niemal pewien był, że obrazu nie ukończy.

A kiedy nie martwił się portretem More'a, trapił go sentyment Meg Giggs do Johna Clementa. Meg promieniała szczęściem. Zauważył, że co rano niecierpliwie czeka na powrót kucharki z miasta. Gdyby znał ją bliżej, wiedziałby, czy blask w oczach rzeczywiście oznacza zakochanie. Ale nie umiał zajrzeć do jej serca; było równie trudne do odczytania jak świetliste plamy słońca na wodzie.

Nie odważył się spytać wprost. Bał się, że swoją śmiałością wywoła gniew w tych pięknych oczach. Czuł też, że nie tak łatwo byłoby skłonić ją do zwierzeń, to nie ten typ kobiety. Ale w miarę jak jej portret zaczynał nabierać kształtu, Hans Holbein coraz chciwiej łowił wszelkie o niej informacje.

- Czy wiecie, pani - mieszając farbę, zaczął odwrócony do niej plecami - że sporządziłem podobiznę Johna Clementa przeszło dziesięć lat temu w Bazylei?

- Wspominaliście już o tym - odparła żywo, a jemu aż serce zamarło, że tak się poruszyła, słysząc to nazwisko.

- Cóż, jak się okazało, niezupełnie była to jego podobizna - tłumaczył dość niejasno. - Dopiero teraz wasz ojciec wszystko mi objaśnił. Ale naówczas myślałem, że on tak wygląda. Widzicie, robiłem frontispis do bazylejskiego wydania *Utopii*.

Skutecznie skupił na sobie jej uwagę.

Od pierwszego dnia Holbein nieustannie się głowił, czy tutejszy John Clement (stary) ma cokolwiek wspólnego z tamtym Johnem Clementem (młodym), którego portret zrobił podług wskazówek Erazma przed dziesięcioma laty, zaraz po ukazaniu się *Utopii*. Książka More'a sprzedawała się tak dobrze, że Johannes Froben postanowił na tym zarobić. To Erazm załatwił z nim wydanie i pozwolenie More'a na publikację. W książce tej portugalski żeglarz gaduła opowiada o fantastycznej Utopii - państwie, gdzie żyje idealnie zorganizowane społeczeństwo - samemu Morusowi oraz jego przyjacielowi Pieterowi Gillisowi z Antwerpii (postać autentyczna), a także Johnowi Clementowi, którego autor nazywa *puer meus*.

- Więc naturalnie narysowałem chłopca z długimi włosami, najwyżej piętnastoletniego. Mam go gdzieś tam. - Hans Holbein zamachał bezradnie w stronę powiększającego się chaosu farb, obrazów i rekwizytów, odnotowując przy tym nagły, tajemniczy uśmiech Meg Giggs. - Po przyjeździe tutaj spotkałem prawdziwego Johna Clementa. A on nie jest młody... mógłby być moim ojcem! Więc się bardzo zmartwiłem, bo to znaczy, że źle wykonałem pracę. Bałem się nawet, że wasz ojciec wyrzuci mnie z miejsca za to, że jestem kiepskim malarzem, ha, ha, ha!

Uśmiechnięta Meg z coraz większą przychylnością słuchała opowieści o domniemanej zawodowej porażce.

- Ależ mistrzu Hansie - sprostowała łagodnie. - To tylko takie wyrażenie. Ojciec miał na myśli, że John Clement jest jego protegowanym... a nie, że młodym chłopcem. John Clement był jego sekretarzem podczas podróży do Niderlandów, kiedy ojciec pisał *Utopię*. Ale tego nie mogliście wiedzieć. Mielicie rację, ilustrując słowa *puer meus* obrazkiem chłopca. Nikt was nie może za to winić.

Te życzliwe, pocieszające słowa wywołały w nim przyływ sympatii do Meg, choć nie zaspokoila jego ciekawości, co ona sądzi o Johnie Clemencie.

- Tak - zgodził się, postanawiając jednak drażnić temat dalej. - To samo powiedział mi wasz ojciec. Bardzo to uprzejmie. Ale mimo wszystko czułem się niezręcznie. Byłem pewien, że Erazm kazał mi narysować chłopca...

Nie odpowiedziała w sposób zrozumiały dla Hansa Holbeina. Usadowiła się wygodniej, zastygła w tej pozycji i z błogim uśmiechem zaczęła marzyć o czymś bardzo osobistym.

- Ty cała promieniejesz, Meg - stwierdziła Margaret Roper. - To chyba dzięki spacerom, na które tak często chodzisz. Wpływ słońca. Wyglądasz tak radośnie!

Spojrzała na Cecyli leżącą obok na łożu, oczekując od niej poparcia, ale Cecyli tylko słabo się uśmiechnęła.

- Pewnie dlatego, że przed oczami macie ciągle mnie; jest mi stale niedobrze i z dnia na dzień bardziej zieleńię na twarzy. Każdy by wyglądał promiennie w porównaniu ze mną.

Siedziałam na brzegu łoża. Podałam im właśnie kolejną porcję naparu imbirowego, co weszło już w zwyczaj. Cecyli przyjrzała mi się bacznie. Nie była tak bystra ani tak miła jak Margaret, ale kiedy poddano jej jakąś myśl, zaprzęgała do pracy wyobraźnię.

- To jednak prawda - stwierdziła z figlarnym błyskiem w oku. - Masz rację, Margaret. Meg nie zaciska tak ust, jak przez całą zimę. I coś mi się zdaje, że od dawna nie ruszała na mnie nosem... - Mrugnęła porozumiewawczo.

- Co to znaczy, że nie ruszała na ciebie nosem? - zapytałam podejrzliwie, spodziewając się drwin.

Spojrzały po sobie i wybuchnęły śmiechem; dwie ciemne główki trzęsły się i podskakiwały radośnie na poduszce niczym dwa małe szczeniaczki.

- ...O proszę... - wystękała Cecyli. - O tak. - Ściągnęła poważną zwykle twarz, zacisnęła usta i poruszyła nozdrzami, aż czubek nosa zrobił się biały. - Zawsze tak robisz, kiedy jesteś zła - zachichotała znowu. - Nie wiedziałas?

- Za każdym razem tak było, kiedy na weselu próbowaliśmy cię z kimś poznać - potwierdziła Margaret. - Kolejni niedoszli konkurenci odchodzili zniechęceni twoją miną. Nie pamiętasz?

Zdumiona pokręciłam głową. Rozpoznałam siebie w parodii wykonanej przez Cecyli, ale nie miałam pojęcia, że wygląda to tak groźnie i odpychająco. A z niekończącego się ciągu zimowych uczt pamiętałam jedynie nudne towarzystwo licznych młodzieńców - normalnie tkwiących gdzieś po kątach, bo nikt na poziomie nie rozmawiałby z nimi - i to, że uprzejmie usiłowałam wykręcić się od spędzenia z nimi więcej czasu niż to konieczne. Ani razu nie przyszło mi do głowy, że Margaret i Cecyli starają się znaleźć męża dla mnie wśród swych nowych kuzynów. Dłuższą chwilę zmagalam się z własną dumą, aż wreszcie z uśmiechem uznałam swoją winę.

- Naprawdę tak robię? I rzeczywiście odstraszyłam wszystkich konkurentów? - spytałam, chichocząc razem z nimi. - Ojej!

- Doprowadziłaś nas do prawdziwej desperacji - westchnęła z ulgą Margaret.

- Byliśmy gotowi odpuścić sobie...

- Byłaś taka nieprzystępna...
- ... Giles cię nazwał Lodową Królową...
- ... Will cię bronił...
- ... A wtedy zrobiłaś awanturę Willowi, że ci przedstawił swojego kuzyna Thomasa...
- ... No i przestał cię bronić...

Leżałam obok nich, trzymając się za boki. Wszystkie trzy jęczałyśmy ze śmiechu.

Cecily przekręciła się na brzuch i wzięła kilka głębokich wdechów.

- Ooo, muszę przestać - stęknęła między napadami chichotu. - Od tego śmiechu jest mi niedobrze. - Spoważniała, oparła głowę na rękę i spojrzała na mnie badawczo. - Więc co się zmieniło? - zapytała. - Nam możesz powiedzieć, Meg, co wprawiło cię w tak dobry nastrój! - Zamilkła na chwilę, po czym dodała melodramatycznie: - Może jesteś... za-ko-cha-na?

Atmosfera była tak przyjemna i tak dobrze się w ich towarzystwie czułam, że niemal przestałam się mieć na baczości i już, już miałam się przyznać, że rzeczywiście jestem zakochana. Po raz pierwszy w życiu gotowa byłam się zwierzyć moim przybranym siostram. Ale one cały czas chichotały, a pytanie Cecily jeszcze bardziej je rozbawiło. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, obie znowu padły na poduszki i dosłownie turlały się ze śmiechu. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale ustrzegło mnie to przed wyznaniem, które właśnie zamierzałam uczynić.

- Jak postępuje malowanie portretu ojca? - zapytała Meg pod koniec czwartej sesji pozowania. - Pokażecie mi go wkrótce?

W szary pochmurny poranek światło było znacznie słabsze niż zazwyczaj. Z lekkim błyskiem w oku opowiedziała Holbeinowi wydarzenie sprzed lat, świadczące o dużym poczuciu humoru sir Thomasa More'a. Kiedyś rozmawiał on w Coventry z pewnym franciszkaninem, który utrzymywał, że bardzo łatwo jest się dostać do nieba dzięki Matce Boskiej. Wystarczy codziennie odmawiać różaniec (i wrzucać pensa do franciszkańskiej sakiewki za każdym razem, kiedy się recytuje *psalterium beatae virginis*). *Ridiculum* - orzekł sir Thomas rzeczowo, gdy mnich przytoczył wszystkie „dowody” na to, że interwencja Najświętszej Panienki w wielu przypadkach działała cuda. Dyskusję, jak na prawnika przystało, zakończył stwierdzeniem, że mało jest prawdopodobne, by niebo było takie tanie.

Hans Holbein wybuchnął śmiechem. Opowieść bardzo mu się spodobała.

- Odpowiedź godna przyjaciela Erazma - zachichotał. Tak też powiedziałby on sam albo Kratzer, gdyby mieli podobną łatwość dobierania słów. Ale zauważył także jej troskę i smutek w spojrzeniu, gdy cichym „tak” potwierdziła jego słowa. Oboje wiedzieli, że dzisiejszy sir Thomas, obrońca Kościoła, był już zupełnie inny.

Nie rozumiał, dlaczego, ale w tym momencie coś jakby ich połączyło, jakaś tajemnica, więc odruchowo zgodził się, gdy spytała, czy może zobaczyć portret.

- Zazwyczaj nie mam takich oporów, gdy chodzi o moją pracę. Ale z tym obrazem mam kłopot - wyznał, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. - Znam waszego ojca, rozmawiałem z nim i wiem, że to mądry, dobry człowiek, który lubi się śmiać. Sam zaśmiewałem się do łez z opowieści o wyroku, który sir Thomas wydał, kiedy jego małżonka przygarnęła psa z ulicy i pozwała ją za to żebraczką, utrzymując, że to jej pies. Zasądził on wówczas, że jejmość Alice musi odkupić psa, i wszyscy byli zadowoleni. Taką

sprawiedliwość to ja rozumiem, ha, ha! Tymczasem mój obraz jest strasznie poważny. I w żaden sposób nie umiem ożywić twarzy uśmiechem.

Wstała z krzesła i podeszła bliżej. Stojący tuż obok niej malarz zachwycił się bielą jej szyi. Miał wielką ochotę niby niechcący, niby to sięgając do sztalug, dotknąć jej ramienia. Opanował się i odsunął na bok.

- Zobaczcie sami - poprosił, przymykając oczy.

Patrzył w okno, nie mając odwagi zerknąć w jej stronę. Starał się usłyszeć coś, co świadczyłoby o jakiejś reakcji na obraz. Cichutki, równomierny oddech niewiele mówił.

W końcu rzucił na nią ukradkowe spojrzenie. Stała zamyślona przed obrazem, trzymając w ręku płótno okrywające go przed chwilą, i wolno kiwała głową.

Bez trudu rozpoznała ojca: w czarnym nakryciu głowy i czarnym futrzanym płaszczu ze złotym łańcuchem, świadczącym o jego kanclerskim urzędzie, na tle zielonej zasłony. Malarz odniósł wrażenie, że posmutniała, widząc, iż podobizna surowego, zafrasowanego sir Thomasa jest wierna.

- Macie wielki talent do ukazywania prawdy, mistrzu Hansie - odezwała się w końcu, zdając sobie sprawę, że on cały czas na nią patrzy. Głos miała zgaszony. - Ojciec zajmuje się trudnymi sprawami i bardzo się zmienił. Widać to w jego twarzy, prawda?

Ich oczy się spotkały; w jej spojrzeniu wyraźnie wyczytał, że ona zna przynajmniej część okrutnych plotek krążących o sir Thomasie, o chłostaniu heretyków przywiązanych do drzew w ogrodzie czy też o osobistym uczestniczeniu w torturach podczas przesłuchań w Tower. Odwrócił wzrok.

Ze spuszczoną głową usiadła na swoim miejscu. W pewnej chwili spojrzała na niego i jakby w przypływie zaufania powiedziała niemal szeptem:

- Ludzie mówią niedobre rzeczy o ojcu, prawda? Pewnie coś słyszeliście?

Zrozumiał, że ona chce go wybadać, ale nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozłożył bezradnie ręce. Nie miał pojęcia, jak ten uroczy, dowcipny człowiek, który mu pozował do portretu, mógł być jednocześnie postrachem Steelyard. Lubił More'a; podobało mu się to, że kiedy jego umysł zapala się do różnych idei, błyszczą mu oczy. Na tym polegał paradoks.

- Oszczercy są wszędzie - wymamrotał. - Jeśli rzeczywiście chcecie znać o kimś prawdę, najuczciwiej jest powiedzieć mu wprost o potwarzach. I jeśli się tej osobie wierzy i ufa, należy też wierzyć w jej słowa. Wtedy można nie zważać na oszczerców.

Nie odpowiedziała od razu. Długo wpatrywała się w swoje ręce, aż przyszło mu do głowy, że myśli już o czymś innym. W końcu odezwała się smutno:

- Cóż, z pewnością namalowaliście prawdę na jego twarzy... on jej nie zaprzeczy. Nie zmieniajcie nic w obrazie. - Nagle się rozjaśniła. - Ale przyszło mi do głowy coś, co moglibyście też umieścić, a co by mu się spodobało.

Pomysł dodał jej skrzydeł, zerwała się z miejsca i ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekajcie chwilę! - zawołała.

Czekał zatem, nieco zaskoczony, a jednocześnie pełen nowych nadziei, zarówno współczując Meg, jak i ciesząc się z tej zmiany jej nastroju.

Wróciła z dwoma kawałkami ciężkiego czerwonego aksamitu, roześmiana i zadowolona.

- Co to jest? - spytał zdumiony.

- Rękawy, naturalnie - odparła natychmiast. - Spójrzcie!

Naciągnęła je na płócienną roboczą koszulę Hansa Holbeina. Rzeczywiście były to rękawy ze szkarłatnego aksamitu: wielkie, obfite, szerokie i bufiaste na górze, ściągnięte przy łokciach, z długim, miękko się układającym mankietem. Miały specjalne guziczki do przypinania do stroju, tylko że stroju nie było. Pierwszy raz widział coś takiego.

Obserwował poruszającą się głowę Meg, gdy zaczepiała guziczki o koronki jego koszuli. Bronił się przed podsuwanymi przez wyobraźnię obrazami, że ona go rozbiera - albo jeszcze gorzej - ale w jej ruchach było coś tak sugestywnego, że aż pot wystąpił mu na skronie. Szybko odwrócił twarz i spojrział przez okno.

- O właśnie! - Cofnęła się. On także się cofnął i spojrział na siebie. Od nadgarstków do ramion był wielmożą, grandem, gdyż co najmniej jedną ósmą jego ciała pokrywała najdoskonalsza włoska tkanina. Reszta była tym samym prostym rzemieślnikiem, ubranym w skromne płótno i skórę.

Zaśmiała się, widząc jego zdumioną minę.

- To zabawna historia. - Była tak szczęśliwa, jakby wróciły dawne dobre czasy. - Jak wiecie, ojciec nadal reprezentuje w sądzie londyńskie cechy. Kilka lat temu, przed wojną z Francją, przyjechał do Londynu cesarz Karol i wtedy wybrano ojca, by wygłosił mowę o przyjaźni między oboma władcami. Dostał dziesięć funtów na koszty reprezentacyjnego ubioru. Ale oczywiście nie wystarczyło tego na całą szatę... poza tym nie wiem, czy zauważyliście, że ojciec nie znosi się stroić. Więc zamówił tylko rękawy. Za dziesięć funtów. Uwielbia je. Wkłada je na zwykłe ubranie, gdy ma wystąpić w sądzie. Służący ich nie cierpi... Biedny stary John a Wood uważa, że ojciec kpi sobie z państwowego urzędu. Lecz ojciec twierdzi, że to zabawne, a w dodatku doskonale leczy z próżności. Zgadzam się z nim.

Mówiła z lekka wyzywająco; jak ktoś, kto wie, że bliska osoba budzi kontrowersję, i stara się sprowokować zarzuty czy kpiny. Ale on był daleki od tego. Patrzył na swoje czerwone aksamitne ramiona, myśląc nad tą koncepcją. Zaczynała mu się podobać.

- Więc... po prostu czerwone rękawy... wystające spod płaszcza? - spytał. Miał to już przed oczami, wręcz idealne rozwiązanie. Lecz był jeszcze jeden problem. - Tak... tak... to dobre. Muszę jednak poszukać też czaszki... - myślał głośno. - Żeby dodać *memento mori*. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała. Moja wina, straszny ze mnie bałaganiarz. Nigdy nie mogę niczego znaleźć.

Bez większego zapalu zaczął grzebać w swoich rzeczach. Speszył się, gdy przyłożywszy rękę do ust, zaczęła się śmiać.

- Niczego nie zauważyliście, mistrzu Hansie? - spytała. - To ja schowałam waszą czaszkę. Jest pod stołem, na stosie obrazów. Przykryłam wszystko, żeby nikt tam nie zaglądał. Nie powinniście zostawiać tego tak na wierzchu. Nie mówię o czaszce, tylko o obrazach. Możecie mieć kłopoty.

Stał jak skamieniały. Zalewały go fale zimna i gorąca. Zatem widziała obrazy.

Zauważył, że Meg się uśmiecha - jakby konspiracyjnie. Odetchnął z ulgą raz i drugi, a ona podjęła przerwana myśl.

- Skoro o tym mowa, to jeśli mistrz Nicholas zabierze was do Londynu, nie jedźcie do Steelyard - ostrzegła ściszym głosem. - Ojcu nie podoba się to, co się tam dzieje, zwłaszcza po historii z Willem Roperem. Musicie bardzo uważać.

Zgodził się z nią, znów napotykał jej uważne spojrzenie. Teraz był już pewien, że dobrze wiedziała o tych wszystkich mrocznych pogłoskach.

- Nie popełniajcie błędu, myśląc, że ojciec zawsze jest tym szlachetnym człowiekiem i uczonym, jakiego widzicie w domu - dodała. - Konzachty z luterskimi ideami mogą was wpędzić w poważne kłopoty. Nie ryzykujcie.

Cały czas kiwał głową.

- Jeśli wątpicie w moje słowa, to zajrzyjcie do dalszej kordegardy podczas spaceru. - Nagle urwała, jakby posunęła się za daleko. - Chyba zbliża się pora obiadu - rzekła zupełnie innym tonem. Hans Holbein posłusznie jak niewolnik wyszedł za nią. Wtedy uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie czerwone rękawy, więc wrócił i dłuższą chwilę wojował z nimi, szarpiąc i ciągnąc guziczki serdelkowatymi palcami, które z wielu powodów niezdolnie drżały.

Powinam była milczeć. Wiedziałam to od początku. Ale dałam się ponieść chwili. Mistrz Hans wydawał się taki naiwny, a ja pragnęłam, by dobrze zrozumiał, na jakie niebezpieczeństwo może się narazić.

Następnego ranka służba podniosła alarm, że więzień uciekł z kordegardy. Ktoś wyłamał dyby, które zwisały teraz na zawiasach. Sznury zostały przecięte, drzwi stały otworem. Kucharka Mary i pokojówka Nan miały mnóstwo nowin, co było dość dziwne, zważywszy, iż przed tą ucieczką nikt się nie przyznawał, że wie o obecności więźnia. Jak to się stało, że drzwi nie zostały zamknięte? - pytano. Czy ogrodnik zostanie zwolniony?

Poszłam do kordegardy, nim zaczęło się ostatnie pozowanie. Cóż to była dla mnie za ulga, że nie ma już tam tego nieboraka modlącego się o śmierć; żywiłam nadzieję, że człowiek ów miał tyle rozumu, by nie wracać na Fleet Street i dać się znów aresztować, i że znalazł gdzieś jakąś bezpieczną kryjówkę. Zabrałam sznur, schowałam do worka i zamknęłam drzwi. W drodze powrotnej niedaleko kordegardy zauważyłam w krzakach coś błyszczącego; była to szpachelka malarska, zastrzona z jednej strony. Ją też schowałam do worka.

Jak w każdy piątek ojciec przyjechał do domu. Siedział przy kominku, patrząc w ogień, wciąż jeszcze w płaszczu podróżnym i ubłoconych butach. Wyglądał na zmęczonego, ale był spokojny. Rozmawiał z ogrodnikiem zaraz po zejściu z łodzi, lecz skończyło się na reprimendzie. Bardzo chciałam wcielić w czyn radę mistrza Hansa i spytać ojca wprost, kim był ten człowiek, jakie stawiano mu zarzuty i przede wszystkim dlaczego przetrzymywano go u nas. Aż serce biło mi gwałtownie. Jednak odwaga mnie zawiodła i to Will Roper - dobry, łagodny Will, teraz najbardziej zagorzały katolik na świecie i najgorętszy *wielbiciel* ojca - okazał się najodważniejszy. Nieśmiało wyraził zaniepokojenie z powodu ucieczki heretyka powierzonego pieczy ojca, a my wszyscy pomrukiem wyraziliśmy mu poparcie, jednak ojciec zareagował tak, jakby strata więźnia była mało istotna.

- Jakże mógłbym mieć pretensje, że ktoś przebywający długo w nader niedogodnych warunkach skorzystał z okazji i czmychnął? - odparł.

Zawstydzony Will uśmiechnął się niezręcznie. Potem wszyscy rozeszliśmy się do codziennych zajęć.

Przede wszystkim bez słowa oddałam szpachelkę mistrzowi Hansowi. Zaczerwienił się aż po nasadę rudych włosów i położył ją na stole.

- Pamiętacie naszą wczorajszą rozmowę? - spytałam, chcąc, by potraktował to jak ostrzeżenie.

Skinął głową i spuścił wzrok. Był naprawdę przerażony własną nieostrożnością.

- A co do *memento mori* - ciągnęłam nieco cieplejszym tonem, nie chcąc go bardziej straszyc. - Przyszedł mi do głowy inny pomysł. Coś bardziej wyrafinowanego niż czaszka. - Z gracją kramarza z Bucklersbury wyciągnęłam z worka sznur. - Po łacinie „sznur” jest *funis* - objaśniłam. - A „śmiertelny” to *funus*. Możecie zrobić *memento mori* ze sznura. Wzbudziecie podziw znajomością łaciny... - urwałam - ...i może nauczy to was, by nie zostawiać pewnych rzeczy.

Znów się zmieszał. Otworzywszy usta, oddychał ciężko. W sumie był to prosty i szczerzy człowiek, zbyt lękliwy, by nadawać się do dyplomacji czy intryg. Spoglądał to na mnie, to na trzymany w ręku sznur. Kiedy wreszcie zrozumiał, że może mi zaufać, z wyraźną wdzięcznością mrugnął porozumiewawczo. W końcu parsknął głośnym śmiechem.

- *Funus* - śmiał się. - *Funis*. To może być dobre.

Dwa tygodnie później wizerunek ojca był na ukończeniu, lecz rodzinny portret - znacznie bardziej złożone przedsięwzięcie - wciąż jeszcze na etapie początkowym. Mistrz Hans zastosował się do moich sugestii: dodał sznur zwisający luźno przy zielonej zasłonie i ubrał ojca w czerwone aksamitne rękawy. Tak się stało, że wszystkie te elementy zgrabnie zgrały się w jedną całość. Podobnie jak on z dumą patrzyłam na obraz.

Siedziałam przy oknie pogrążona w lekturze, gdy usłyszałam, że Elizabeth wraca z poobiedniego spaceru po ogrodzie. Trochę przytyła, była pogodniejsza i miłsza, nawet dla mnie. Wobec mistrza Hansa żywiła (tak jak ja) wdzięczność za jego życzliwe oddanie.

- Jeśli to będzie syn - usłyszałam, gdy malarz pomagał jej zdjąć płaszcz - umyśliłam sobie, by nadać mu wasze imię, mistrzu Hansie.

Rozbawiło mnie to serdecznie. Więc nie straciła dawnego upodobania do pustych komplementów. Trudno sobie wyobrazić, by syn dumnego Williama Daunceya nosił chłopskie i cudzoziemskie imię Hans. Omal nie roześmiałam się na tę absurdalną myśl, a wtedy usłyszałam resztę.

- Johannes. - Cichy głosik aż zapiszczał radośnie. - To po łacinie. Ale oczywiście mój syn będzie Anglikiem, prawda? Więc nazwę go John.

Ledwo zdążyłam przywyknąć do nowego, żywszego rytmu codziennego życia, jaki ustalił się w Chelsea - do porannych posiedzeń z mistrzem Hansem: najpierw ojca, potem moje, następnie rodzonych dzieci, czyli Elizabeth, Margaret, Cecily, młodego Johna oraz jego narzeczonej Anny Cresacre, a na koniec starego sir Johna i jejmości - kiedy niespodziewanie wszystko ustało, równie nagle, jak się zaczęło.

Pewnego późnego czwartkowego popołudnia na początku lutego - było ciemno i mokro, rzeka wylewała wezbrane fale na brzeg, a wiatr smagał drzewa - ojciec wrócił przemoczony do suchej nitki, lecz błyski w jego oczach wskazywały, że ma nowy pomysł. Najpierw jednak doprowadził się do porządku po podróży i nieco ogrzał przy ogniu, a dopiero potem zasiadł do wieczerzy. Wyraźnie aż go rozsadzało od środka, ale spokojnie się przyglądał, jak jejmość Alice droczy się przy stole z astronomem.

- Bogiem a prawdą, mistrzu Nicholasiu, tak długo jesteście w naszym kraju, że wypadałoby mówić trochę lepszą angielszczyznę - mówiąc to, jak zwykle mrugała porozumiewawczo. Bardzo lubiła mistrza Nicholasa i mistrza Hansa; ceniła ich konkretne podejście do życia oraz pewną jeszcze bardziej konkretną zaletę - dzięki swemu wzrostowi mogli sięgnąć po coś, co akurat było jej potrzebne, a znajdowało się wysoko w kredensie. Byli zupełnie inni niż oderwani od rzeczywistości, wiecznie bez grosza przy duszy, na co dzień gadający łaciną humaniści, na których zawsze chętnie wyrzekała. Obaj Niemcy zaś lubili jej nieco rubaszny i dobroduszny humor.

- Ach, pani, wszak uczę się angielskiego zaledwie dwadzieścia lat. - Wyraźnie zadowolony z tych przekomarzanek mistrz Nicholas umyślnie wymawiał słowa z silnym niemieckim akcentem, uśmiechając się dwornie. - Czyż to możliwe, by nauczyć się tak straszliwego języka w tak krótkim czasie?

Ta krótka wymiana zdań wywołała u mistrza Hansa - który ze zwykłym, isticie gargantuicznym apetytem pochłaniał w milczeniu kolejne potrawy - wybuch wesołości. Doskonale wiedział, że jego angielszczyźnie też sporo brakuje. Śmiech mistrza Hansa był tak zaraźliwy, że pozostali również zaczęli się śmiać. Ojciec uśmiechnął się z zadowoleniem, a po wieczerzy poprosił Kratzera i Holbeina na rozmowę.

Następnego dnia był piątek i deszcz lał rzeświście. Na długo przed świtem ojciec udał się do Nowego Pawilonu, gdzie modlił się i umartwiał, więc to od mistrza Hansa dowiedziałam się o zapadłych postanowieniach.

Gdy przed południem weszłam do pracowni, aby prosić go na obiad, nie zastałam Cecily, która powinna była wtedy pozować. Pomyślałam, że zrezygnował z malowania ze względu na słabe światło - w środku dnia musieliśmy palić świece wszędzie, także w wielkiej sali. Okazało się jednak, że mistrz pakuje farby do skórzanych sakw. Każdy słoiczek owijał w szmatkę i ostrożnie wkładał do środka. Sztalugi i ołówki były już przygotowane do drogi. Twarz jego promieniała, a krótki jasny zarost wydawał się bardziej jedwabisty niż zwykle. Nawet dobiegający z kuchni zapach gotowanego karpia - przyznał mi się wcześniej, że nie lubi ryb - nie był w stanie zepsuć mu dobrego humoru.

- Co się stało, mistrzu? - spytałam zaskoczona.

- Jedziemy do króla! - odparł nieco za głośno i nieco zbyt wesoło. Sam się spieszył tym wybuchem entuzjazmu i spuścił wzrok. - Obaj z Kratzerem. Wasz ojciec ma dla nas pracę. Na dworze! - Nie mógł ukryć radości.

- Jakże to...? - wyjąkałam, doznając bardzo samolubnego i dziecinnego rozczarowania. - A co z portretem ojca? I z dokończeniem naszego?

- Później - odparł. Nagle spojrzał mi głęboko w oczy, jakby się starał dojrzeć w nich odpowiedź na jakieś dręczące go pytanie. O wiele spokojniej dodał: - To tylko miesiąc lub dwa. Nim lato minie, dokończę rodzinny portret. Będzie piękny. Wasza podobizna... - urwał na chwilę - ...też będzie piękna. - Znów się zawahał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że właściwie powinnam cieszyć się razem z nim.

- Będzie tu bez was nudno, mistrzu Hansie - rzuciłam lekko. - A cóż to za praca na dworze?

Chodziło o traktat pokojowy, który ojciec i kardynał Wolsey mieli negocjować z francuskimi ambasadorami. Ojciec był tak pewien pomyślnego dla Anglii wyniku tych rozmów - jak również tego, że mistrz Hans w lot pojmie subtelność sytuacji i wymyśli jakąś zabawną antyfrancuską aluzję - że postanowił już teraz zaangażować jego i mistrza Nicholasa, choć planowane dzieło malarskie miało być dopiero uwieńczeniem dyplomatycznych zabiegów. Myślano o astronomicznym fresku na plafonie w Greenwich, gdzie miały toczyć się rozmowy. (William Dauncey opowiadał nam o tych przygotowaniach, trochę kpiąco - lecz nie bez podziwu - wyrażając się o hojności króla, co było wyraźnym echem opinii jego ojca zajmującego się przychodami i wydatkami królewskiego domu).

Nie było jeszcze sali ani nawet pawilonu, w którym traktat miał być podpisany. Zatrudniono setki rozmaitych rzemieślników: garbarzy, kowali, odlewników, złotników, snycerzy, cieśli, malarzy. Stworzona przez nich oprawa miała podkreślić dyplomatyczny sukces ojca. Ponieważ w jego własnym interesie leżało osiągnięcie do tej pracy twórców najwyższego lotu, uznał, że warto odłożyć ukończenie rodzinnego portretu i najpierw doprowadzić do pomyślnego załatwienia spraw państwowych. Była to zarazem wielka szansa dla mistrza Hansa, za co malarz powinien być ojcu wdzięczny. Widziałam list do Erazma, do którego ojciec napisał po przyjeździe mistrza; wyrażał w nim opinię, że to znakomity artysta, lecz jednocześnie wątpił, czy mu się w Anglii powiedzie. Nie przypuszczałam wtedy, że tak szybko i konkretnie pomoże mu rozwinąć skrzydła.

Starałam się nie żywić do ojca żalu, że nie pomógł Johnowi. Podobnie jak mistrz Hans wreszcie zaczęłam wierzyć, że życie zaczyna układać się po mojej myśli. Ojciec wprawdzie nie zwierzał się z matrymonialnych projektów co do mojej osoby, ale czułam, że John jest naprawdę zdeterminowany, by mnie zdobyć. Na pewno spełni warunki stawiane przez ojca i dostanie się do Królewskiego Kolegium Lekarzy.

Doktor Butts jest teraz dla mnie bardziej życzliwy - napisał John w liście, który otrzymałam tego ranka.

Sądzę, że go polubisz. Jest dobrotliwy, poważny, ma długą siwą brodę. Prawdziwy pasjonat swojej pracy, dość niezaradny w innych dziedzinach życia i raczej trudno się z nim rozmawia, ale jest bardzo uprzejmy i życzliwy. Zawsze broni swoich uczniów, gdy wpadną w tarapaty. A ponieważ niebezpieczeństw czyha wiele, stale się o kogoś martwi. Czasem odnosi się wrażenie, że Królewskie Kolegium Lekarzy to matecznik religijnego radykalizmu. Doktor Butts nie mówi mi o wszystkim, słyszałam jedynie plotki, że kiedy znika gdzieś na cały dzień, to znaczy, że kołacze do wszystkich możliwych drzwi i prosi o pomoc w wybronieniu jakiegoś

nieszczęśnika oskarżonego o herezję. Wczoraj wieczorem wrócił po dwudniowej nieobecności i był bardzo przybity. Zaprosiłem go na wieczerzę do gospody Pod Kogutem. Staralem się go rozweselić, nie zadawałem kłopotliwych pytań i odniosłem wrażenie, że jest mi wdzięczny i za jedno, i za drugie. Kiedy wstawaliśmy od stołu, uściskał mnie serdecznie. Zaprosił do siebie, by spokojnie omówić, jak mam się najlepiej zaprezentować przed uczonym gronem. Sama więc widzisz, że to dobry, wartościowy człowiek. Pod wieloma względami różni się od Twojego ojca, ale jego zaangażowanie i wrodzona dobroć przypominają sir Thomasa, choć zajmują go zupełnie inne sprawy. I mam wrażenie, że mnie lubi - może dlatego, że zapaleńców geniuszy zawsze pociągał mój spokój. Tacy ludzie cenią rzeczowe uwagi i sprawia im przyjemność, gdy ktoś inteligentny ich wysłucha. Doktor Butts okazuje mi życzliwość i jestem przekonany, że może mi pomóc.

Moim zdaniem dostanie się Johna do Kolegium Lekarzy było właściwie sprawą przesądzoną (ale za każdym razem, kiedy o tym myślałam, krzyżowałam palce i spluwałam przez lewe ramię, aby odstraszyć złe moce). Jeszcze trochę, a przestanę się tak bardzo trapić, że ojciec traktuje mnie inaczej niż własne dzieci. Nie będę się już bała, że odsunięta na bok, starając zbliżyć się do niego, znów napotkam jakieś ciemne sprawy. Wszystko się zmieni, gdy przybędzie po mnie ukochany. Ojciec nie stanie przecież na drodze mego szczęścia. Co rano budziłam się z nadzieją w sercu, że jest to jedynie kwestia czasu.

- Sir Thomas twierdzi, że czeka mnie zamówienie na duży batalistyczny fresk - opowiadał dalej mistrz Hans z tryumfem w głosie. - A kto wie, co jeszcze wyniknie z tak wielkiego przedsięwzięcia? Obaj z Kratzerem dostaniemy cztery szylingi dziennie. Cztery szylingi dziennie! Sześć, prawie siedem razy więcej niż zarabiałem dotąd. Cztery... szylingi... dziennie. - Oczy mu załśniły. Dopiero teraz zauważyłam, że spodnie i koszulę miał wiele razy łatane drobnymi, starannymi ściegami.

Podczas wieczerzy, mimo ponurej pogody i postnego piątkowego jedzenia, mistrz Nicholas był w większej euforii niż mistrz Hans. Siedzieli obaj na końcu stołu uśmiechnięci i pochłaniali karpia, rozmawiając cicho po niemiecku, co wystawiało na próbę cierpliwość jejmości Alice, która jednak starała się tego nie okazywać.

Wyjechali siódmego lutego, w niedzielę. Tego dnia wypadały pięćdziesiąte urodziny ojca, które mieliśmy uczcić odsłonięciem przynajmniej jednego obrazu, ale ponieważ oba wymagały dokończenia, a większość domowników nas opuszczała, rano odmówiliśmy tylko wspólnie modlitwę za powodzenie rozmów z Francuzami. Swoje obrazy mistrz Hans schował albo u siebie, albo u mistrza Nicholasa, bo po ich wyjeździe pracownia opustoszała (została tylko czaszka zapomniana pod stołem), tak zresztą jak cały dom. Ojciec przebywał w Greenwich z francuskimi ambasadorami i swym zwierzchnikiem kardynałem Wolseyem (sprytnym i przebiegłym, chciwym, dumnym purpuratem w sobolowym kołnierzu, stale wachającym naszpikowaną wonnościami pomarańczę, jako że bał się morowego powietrza i nie znosił niemiłych woni motłochu). Will Roper towarzyszył mu jako drugi sekretarz. Nawet William Dauncey pojechał do Greenwich. Natomiast ich młode małżonki udały się z wizytą do teściów (gdy się okazało, że są przy nadziei, cała rodzina zaczęła im okazywać wielkie zainteresowanie).

Zanosilo się na to, że w domu zapanuje cisza i spokój, gdyż prócz mnie pozostała tylko jejmość Alice i służba. Wcale mnie to nie martwiło. Przynajmniej będę mogła bez przeszkód zagłębiać się w myślach i marzeniach: rozkosznych, pełnych nadziei na przyszłość, jako że widać już było wyraźnie, iż sprawy układają

się pomyślnie. Przestaną się przejmować tajemnicą zachodniej kordegardy i zakradać się do Nowego Pawilonu. Zajmę się czytaniem, haftowaniem i będę chodzić na wiosenne spacer, kiedy tylko pogoda na to pozwoli. Pomyślałam sobie jednak, że będzie mi brakowało mistrza Hansa.

Tak więc zostałyśmy we dwie (oraz młody John i Anna Cresacre, ale oni przebywali głównie w pokoju szkolnym). Gdy skończyła się mokra wiosna i zaczęło gorące lato, wystąpiły przypadki gorączki potowej*.

* Poprawna nazwa „angielskie poty” (*sudor anglicus*). Choroba ta po raz pierwszy wystąpiła po przejęciu korony przez Tudorów (stąd przez ich przeciwników uważana była za karę boską), umierała na nią głównie arystokracja, a biednych dotykała w niewielkim stopniu. W Anglii zanikła, ale pojawiała się jeszcze na kontynencie europejskim, dotarła nawet do Gdańska.

Z gorączką potową zetknęłam się, gdy pierwszy raz pojawiła się w Londynie. Miałam wtedy czternaście lat, mieszkaliśmy przy Bucklersbury, a John Clement był moim nauczycielem. Przeżywaliśmy straszne chwile. Ammonius okrutnie męczył się przez całą dobę przy szczelnie zamkniętych oknach, a my wzywaliśmy doktorów i ciągle biegaliśmy z zimnymi napojami i kataplazmami. Na ogół choroba zabijała w pierwszym dniu, czasami nawet w ciągu kilkadziesiąt minut. Chorzy dostawali wysokiej gorączki, pocili się obficie, cierpieli męki pragnienia i popadali w malignę. W końcu zasypiali i umierali.

Gdy nadeszła ostatnia godzina Ammoniusa, byliśmy przy nim we dwoje - ja i jego przyjaciel John Clement. Panował przeraźliwy zaduch. Wiele się wtedy dowiedziałam o gorączce potowej i teraz wszystko mi się przypominało. John opowiedział mi o pierwszym wybuchu choroby w 1485 roku na samym początku panowania starego króla. Lud uznał to wówczas za znak, że rządy Henryka VII będą ciężkie. Drugi raz choroba zbierała żniwo w 1517 roku, kiedy mieszkaliśmy przy Bucklersbury. W tym samym roku Marcin Luter wypowiedział wojnę Kościołowi i wedle słów ojca nieszczęścia winni byli heretycy i ich nauka zatruwająca dusze.

Ammonius krzychał: „Kłamcy, kłamcy, kłamcy!”, a my nie wiedzieliśmy, o kim czy do kogo mówi. W pokoju było ciemno, byliśmy bardzo zmęczeni. Musieliśmy go trzymać siłą i obmywać chłodną wodą. Ale nie zważaliśmy na nic, dopóki w umęczonym, drżącym ciele kołatało się życie. W pewnym momencie zaczął słabnąć.

- Jestem zmęczony - rzekł i nagle stał się tak ciężki, że oboje z Johnem nie mogliśmy go podnieść.

- Nie zasypiajcie - błagałam, a po policzkach płynęły mi łzy. - Proszę.

John też płakał.

- Nie wolno ci spać! - powtarzał z mocą. - Słuchaj, co mówię! Nie śpij!

Jednak Włoch nikogo nie słuchał. Powieki mu opadły, nie zdołaliśmy go dobudzić. Wiadomo było, że już nie otworzy oczu.

Nigdy nie czułam się taka bezradna jak wtedy. Dyszałam z wysiłku, gdy kładliśmy na posłanie ciało ciężkie jak kamień. Okryliśmy go, jakby była jeszcze jakakolwiek nadzieja. Po twarzy mego nauczyciela spływały łzy, a ja nasłuchiwałam, czy z ust nie dobiegnie choćby szmer; ale słyszeć było tylko zmęczone oddechy nas dwojga. Później John mi wyznał, że właśnie wtedy postanowił zostać lekarzem. Z pewnością zdarzenie to miało wpływ na moje medyczne zainteresowania, lecz w tamtej chwili czułam jedynie gorzki ból dotkliwej porażki. A ojciec wolał widzieć kryjącą się za tym wszystkim herezję.

Usłyszawszy, że mieszkańcy Londynu uciekają przed nowym wybuchem choroby i koczują w naszej wiosce, pośpieszyłam im z pomocą. W tej sytuacji nie mogłam się zaszyć w domowym zaciszu. W Chelsea było jeszcze bezpiecznie, a głodny tłum potrzebował dachu nad głową. Bujając w różowym obłoku marzeń o przyszłym szczęściu, czułam w sobie rozpieńającą wprost energię. Do Johna pisałam codziennie, lecz nie wspominałam o tym, że noszę do wioski jedzenie i że wraz z jejmością Alice wymogliśmy na zarządcy, by oddał uchodźcom na nocleg drugą stodołę, tę obok dużego pola. Akurat w tym czasie ważyły się losy wyboru Johna do Kolegium, więc prosiłam go nawet, by nie odpowiadał na moje listy, dopóki sprawa jego stanowiska nie zostanie pomyślnie załatwiona, i sama nie informowałam o niczym, co mogłoby go zaniepokoić. Miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Wolałam, żeby skupił się na przyjęciu go do Kolegium, a nie rozpraszał moimi kłopotami.

Kiedy po zakończeniu rokowań pokojowych ojciec wrócił do Chelsea - reszta rodziny bawiła jeszcze na wsi, a Will i Margaret Roper byli na Bucklersbury (czego im szczerze zazdrościłam) - jejmość Alice poprosiła go, by mi zabronił chodzić co dzień do uciekinierów.

- Powinnaś bardziej uważać na siebie, Meg - rzekł dobrotliwie ojciec, spotkawszy mnie śpieszącą z prowiantem do Chelsea.

Ale nie położył ręki na moim ramieniu ani nie zatrzymał stanowczo; o takim prostym goście ojcowskiej poufałości i troski marzyłam od lat, stale czując się odrzucona, zwłaszcza że swoje dzieci często przytulał, nawet gdy już dorosły. Nie odwoził mnie jednak od tych wypraw, więc z nich nie rezygnowałam. Może mimo pomyślnego zakończenia rokowań z Francuzami zbyt wiele obowiązków miał na głowie, by się jeszcze mną przejmować. Król zlecił mu zajęcie się unieważnieniem małżeństwa z królową Katarzyną. Ojciec nie odmówił wprost, ale wiele osób zauważyło, że od tej chwili jego zaciekłość w walce z heretykami znacznie się wzmogła. Któryś z uchodźców powtórzył mi plotkę, że ojciec przeszukał dom Humphreya Monmoutha*, jednego z protektorów Williama Tyndale'a, i już nie zdążył wyciągnąć z kominka płonących papierów. „Niech dobry Bóg pomoże mu powstrzymać heretyków - mówił cicho ten człowiek, patrząc przy tym na mnie uważnie. - Ileż nieszczęścia ściągają na nasze głowy. Śmierć, choroby, przekleństwo od Boga. Niech Bóg wspiera sir Thomasa!". Sądził pewnie, że takie słowa chcę usłyszeć; brzmiały one tak nieszczerze, że aż byłam ciekawa, do jakiego Boga sam się modli. Niedawno nastąpiły nowe aresztowania: lollardów w Londynie i członków herezyckiego bractwa z Colchester**. Ale w kordegardzie nie pojawili się nowi więźniowie (za każdym razem, gdy tam zaglądałam, wewnątrz było puste i czysto zamiecione; ojciec widocznie wyciągnął naukę z niedawnych doświadczeń). Jednak wydarzenia dziejące się z dala od Chelsea były tak odległe - inny świat, inne reguły gry - że niewiele miały wpływu na naszą codzienność. Zachowanie ojca w tym czasie bywało dziwne. Jeśli mnie w ogóle zauważał, to ograniczał się tylko do chwili uprzejmej rozmowy, jak z kimś obcym. Stale otrzymywał listy, które - jak przypuszczałam - zawierały wykazy osób wyznaczonych do aresztowania i skazańców. Oczywiście miał aż szkliste z przemęczenia. Jednak sama jego obecność napawała otuchą.

* Humphrey Monmouth, bogaty kupiec mający liczne kontakty zagraniczne, wiele razy pomógł Tyndale'owi. Oskarżony o herezję, został uwięziony i stracił cały majątek.

** Lollardyzm, plebejski ruch religijny o zabarwieniu społecznym, powstał ok. 1380 r. pod wpływem nauk Johna Wiklefa. Lollardowie m.in. odrzucali dogmat o przeistoczeniu, celibat księży, żądali przetłumaczenia Pisma św. na angielski, zrzeczenia się majątku przez Kościół. Przygotowali grunt pod reformację w Anglii. Miasto Colchester od pocz. XIV w. było ośrodkiem lollardyzmu. W XVI w. działała tam grupa heretycka składająca się z 19 mężczyzn i 14 kobiet. Spotykali się oni na modlitwach w domach prywatnych i czytali angielską Biblię Wiklefa.

Czułam się dziwnie spokojna i podniesiona na duchu, widząc go siedzącego przy stole, idącego wcześniej rano do samotni, spędzającego wieczór w domu w dobrze znanych codziennych szatach - po prostu wiedząc, że jest z nami, a nie gdzieś daleko, gdzie zajmuje się niezrozumiałymi dla mnie rzeczami, przyodziały w obcy, oficjalny dworski strój. Także dobrze znane narzekania wiernego sługi na zarost i niestosowny przydzwiek pana sprawiały, że dom stawał się mniej pusty, mniej cichy i szary. Chwilami było niemal jak za dawnych czasów, nim ojciec zaczął robić karierę na dworze. Ale dla mnie najważniejsze stało się teraz oczekiwanie na szybki sukces Johna i sprawy ojca zeszyły na plan dalszy. Nawet jego działania podejmowane dla powstrzymania fali herezji przestały tak bardzo mnie niepokoić.

Wiele się mówiło o gorączce potowej w Londynie.

I o wybuchu zarazy, jakby gorączki było mało. Ojciec bardzo się martwił, a jednak w jego głosie pojawiła się wyraźna i niezbyt chrześcijańska nuta nadziei, gdy przy śniadaniu odczytał nam list w wiadomością, że Anna Boleyn zapadła na gorączkę potową. (Dziwnie mnie tym poruszył, podobnie jak następnego dnia, gdy w jego oczach widniało rozczarowanie na wieść, że chora przetrwała kryzys). Ucieszyłam się, kiedy napisał do Margaret, Cecyli i Elizabeth oraz ich mężów, by jak najszybciej przybyli do Chelsea. Bardzo byłam też zadowolona z wiadomości od mistrza Hansa: zapowiedział, że skróci swoją podróż związaną z malowaniem portretów, w którą wyruszył po wykonaniu zamówienia w Greenwich. Pisał, że chętnie do nas wróci i dokończy rodzinny portret. Marzyłam o tym, by ojciec znów zgromadził wokół siebie rodzinę i przyjaciół. Lubiłam grzać się przy jego wewnętrznym ciepłe, nawet jeśli dla mnie miał tylko mały i nie za gorący płomyk.

Chcieliśmy znowu być razem, całą rodziną. Tęskniliśmy do tej odrobiny radości, jaką sobie wzajemnie dawaliśmy. Wiosna - pod koniec bardzo gorąca - już od początku była niełatwa. Plony z okolicznych pól nie zapowiadały się dobrze. Kiełki wzeszły anemiczne, a wyrosły z nich rośliny karłowate i zdeformowane; ziemia popękała wskutek suszy. Bydło było mizerne, krowy prawie nie dawały mleka, a ich ryk przypominał krzyk rozpacz. Liście jabłoni poszarzały od chorobliwego nalotu. W kwietniu w ciągu zaledwie jednego tygodnia ceny zboża poszły w górę dwukrotnie.

- Ojciec mówi - szeptała jejmość - że złe plony i zmarniałe bydło to kara boska za rozprzestrzenianie się herezji.

I wznosiła oczy do nieba, jakby nie zgadzała się z tym twierdzeniem, ale chyba musiała choć trochę w to wierzyć, inaczej by nie powtarzała jego słów. Nigdy dotąd nie rozwodziła się o karach bożych, ale teraz każdy stawał się przesądny. Mieliśmy wówczas w stodole ponad setkę ludzi do nakarmienia. Bywając tam codziennie, napatrzyłam się na poszarzałe, zatroskane twarze pochylone nad miską polewki. Każdego dnia rozpytywałam, czy nikt nie zachorował.

Właśnie w stodole ponownie spotkałam Johna Clementa.

Przyglądałam się motylowi, który dzielnie machał skrzydełkami, walcząc z podmuchami wiatru. Ludzie z hałasem tłoczyli się wokół kotła, a dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec, zabrawszy przydzielone pajdy chleba i miski z polewką, usiadło na skraju ścieżki w cieniu zarośli. Też patrzyły na motyla - taka chwila wytchnienia w męczącym upale.

W pewnym momencie chłopiec mnie spostrzegł.

- O, panienko! - zawołał. - Panienko! - Pomachał ręką, w której trzymał chleb. Pewnie miał do mnie jakąś sprawę, ale był w rozterce, bo nie chciał zostawić jedzenia. Spiesznie przełknął resztę polewki, po czym wstał. Podeszłam bliżej.

- Moja siostra zachorowała. - Wylizał miskę i nie wycierając, schował ją do worka, po czym łapczywie dojadł chleb. - Mama kazała pięknie poprosić, coby panienka przyszła i zobaczyła.

Dotychczas nie mieliśmy przypadku gorączki potowej, tylko panował ogólny strach przed nią. Ruszyliśmy zatem z chłopcem po spękanej, suchej ziemi, gdzie prawie każdy krok wzbijał tumany kurzu. Nocowali w stodole, ale rankiem matka wyniosła chore dziecko na dwór i tuż obok cuchnącego rowu zrobiła ze szmat coś w rodzaju szalasu. Dziewczynka mogła mieć najwyżej pięć, sześć lat; umorusana blondyneczka z zaczerwienionymi oczami. Kiedy odchyliłam szmaty, okazało się, że z trudem oddycha.

- Strasznie krzyczała w nocy. - Chuda, bezzębna matka mogła mieć tyle lat co ja, ale była tak zniszczona i spracowana, że wyglądała o wiele starszej. - Darła się wniebogłosy. Skarżyła się na ból w szyi i dostała dreszczy. Wyniosłam ją tutaj, owinęłam ciepło i położyłam na słońcu. Prawie się nie rusza.

Dotknęłam czoła dziecka. Zimno występujące na początku choroby już mijało - skóra stawała się gorętsza; chwilę przytrzymałam dłoń. Wyczuwalny puls był coraz szybszy.

- Ale to nie gorączka potowa, bo przecież jest zimna, a nie gorąca? - z nadzieją dopytywała się matka. - Może ma panienka coś, co by można jej dać? - Pokazała wzrokiem kosz. Miałam w nim kawałki czystego płótna i łagodne środki ziołowe, nic, co mogłoby pomóc na gorączkę potową. Zresztą nic skutecznie nie działało.

Odjęłam wilgotną od potu dłoń od czoła dziewczynki i pokazałam matce. Mała pociła się coraz bardziej i cały czas jęczała. Matka chwilę patrzyła na moją rękę, nim zrozumiała, co oznaczają błyszczące kropelki, po czym ją odepchnęła i dławiąc łkanie, upadła na kolana. Objęła dziecko i kołysała, tuląc do piersi. Jęczała przy tym żałośnie:

- Janey, Janey, nic się nie bój, kochanie. Janey, będziesz zdrowa... - Przestałam dla niej istnieć.

Na moment ogarnęła mnie panika. Nie wiedziałam, co mam robić.

- Idź i przynieś jak najwięcej wody - rozkazałam przerażonemu chłopcu, bezradnie obserwującemu matkę wijącą się na ziemi. Musiałam zarządzić cokolwiek, by wypełnić przeraźliwą pustkę, która nagle powstała, i choć o chwilę opóźnić przyznanie się, że tak naprawdę nie potrafię pomóc. - Zaraz będzie jej się chciało pić.

Pobiegł, gnany strachem. Po chwili usłyszałam, że wraca; zdziwiłam się, że tak szybko. Jednak kroki były dziwnie ciężkie. Gdy padł na mnie cień, długi nawet jak na poranne, nisko jeszcze stojące słońce, obejrzałam się, ale patrząc pod światło, nie widziałam twarzy. Jednak tę sylwetkę poznałabym wszędzie - wysoka, o lekko pochylonych plecach, do tego wydatny nos i czarne włosy.

- Meg - wymówił John Clement tylko to jedno słowo.

Przysłoniłam oczy. Bardzo chciałam się dowiedzieć, jak mu się powiodło w Kolegium Lekarzy, ale teraz nie było czasu na zadawanie pytań, a z jego spokojnych oczu nic nie mogłam wyczytać. Pochylił się nad matką skuloną obok dziecka. Miał kosz z lekami.

- Przyszedłem pomóc - rzekł łagodnie do kobiety leżącej na ziemi. Przeszła łkać i podniosła głowę. Po chwili słowa do niej dotarły. Delikatnie ułożyła dziecko na prowizorycznym posłaniu i wstała. Widać było, że gotowa jest spełnić każde jego życzenia.

- Jak wam na imię? - spytał.

- Mary - odparła niewyraźnie.

- A zatem, Mary, to będzie tak - zaczął z wyraźną energią. - Janey przez cały dzień będzie mieć gorączkę, ale jeśli przeżyje do rana, temperatura jej spadnie. Do tego czasu będziemy o nią walczyć ze wszystkich sił. Zgoda?

Skinęła głową.

- Chłopak zaraz przyniesie wodę. To ważne, bo mała będzie chciała pić i niech pije jak najwięcej. Żeby łatwiej jej było oddychać, ułożymy ją w pozycji półsiedzącej. A teraz najważniejsze: ona nie może zasnąć. Przyjdzie taki moment, że zechce spać, lecz to ją zabije, więc nie można jej na to pozwolić. Czy to jasne?

Znow kiwnęła głową.

- A gdzie wasz mąż?

- Zmarł - odparła cicho. - Tydzień temu w Deptford.

- Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie - westchnął John. W Deptford już od wielu dni panowała potowa gorączka. Nie wiedziałam, że w naszej stodole są ludzie stamtąd. Przeżegnałam się.

- A światłość wiekuista niechaj mu świeci - szepnęła w odpowiedzi. Histeria minęła, na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji. Usiadła na ziemi i zaczęła kołysać główkę dziecka na swoich kolanach.

Chłopak z dwoma pomocnikami przytargał trzy skórzane worki z wodą.

- Bardzo dobrze - pochwalił John. - A teraz odejdźcie stąd i pilnujcie, żeby nikt się nie zbliżał. To wasze zadanie. My zajmiemy się Janey. Niech wszyscy wracają do stodoły!

Ludzie się rozeszli. Matka przytuliła syna; miał najwyżej osiem lat. Milczeli. John dał im nadzieję, podobnie jak mnie.

Chciało mi się płakać, ale się nie rozplakałam. Wszystko za szybko się działo i zbyt było nierealne - jak można umierać w wiosennym słońcu wśród motyli?

- Meg - odezwał się tym samym energicznym tonem. - Jak długo możesz zostać?

Kiwnęłam głową, zachwycona jego męską urodą i szczęśliwa, że jest blisko. Moje skiniecie oznaczało: „Jak długo będę potrzebna”.

- A co masz tam? - gestem pokazał mój kosz.

- Płótno. Mydło. Nic szczególnego. - Miałam jeszcze korę wierzby, o której baby mówiły, że pomaga na gorączkę. Ale pewnie uznaliby to za zabobon, więc nie chciałam się przyznać.

- Ja mam pijawki. Jeżeli kryzys szybko nadejdzie, upuścimy krew.

Większość lekarzy była przekonana, że w przypadku zakażenia krwi upuszczenie oczyszcza ją i przywraca równowagę humorów*. John miał doskonale wykształcenie medyczne, naprawdę się na tym znał i stał za nim cały autorytet szkoły sienneńskiej. Milczałam. Nie byłam zwolenniczką puszczania krwi, zwłaszcza w takim brudzie, wśród smrodliwych wyziewów i tumanów kurzu osiadającego na twarzy i włosach. Toż to wylęgarnia chorób! Zakryłam ręką nos.

* Według Galena zdrowie zależało od równowagi czterech humorów, czyli soków, w organizmie: krwi, flegmy, czarnej i żółtej żółci.

- Zobaczmy jeszcze, jak to się potoczy - stwierdził, być może w związku z moim brakiem entuzjazmu. Długo na mnie patrzył. Właśnie takie pełne miłości spojrzenie wyobrażałam sobie podczas tej samotnej wiosny, a gdy teraz je ujrzałam, ogrzało mi serce. - Musimy porozmawiać, kiedy to się skończy.

Znów skinęłam głową. Serce biło mi mocno. Twarz miałam równie spokojną jak on, tylko przyspieszony puls w skroniach świadczył o tym, że żyję tak intensywnie, jak nie żyłam od miesięcy.

Wytarłam koszulą wychudzone ciało dziewczynki. Sama spociałam się pod szmacianym dachem. Było wczesne popołudnie. Matka kołysała dziecko rytmicznie i śpiewała cichutko. Na mnie nie zwracała uwagi, zajęta córeczką. W szeroko otwartych oczach Janey pojawił się strach. Oddychała z trudem, w piersi coś jej bulgotało, jakby miała tam wodę. Szeptala tylko: „Nie... nie... nie!“. Była coraz bardziej przerażona. Nie mogła już pić. Zaduch stawał się nie do zniesienia. Unosił się fetor psującego się mięsa czy rozkładającej się krwi.

Usłyszawszy kroki, wyjrzałam spod koca.

- Odwróć ją i przetnij koszulę na plecach. Puścimy krew! - zarządził.

Nie kwestionowałam jego decyzji.

- Mary - odezwał się znowu. - Odwróćcie Janey i połóżcie ją sobie na kolanach. Będziemy puszczać krew.

Wykonała polecenie, nie przerywając swojego żalnego śpiewu i kołysania. Ostatkiem sił dziecko do niej przywarło.

Odsunęłam koszulę i wytarłam małe plecki. Od razu pojawiły się nowe błyszczące krople. To było beznadziejne.

- Zrób mi miejsce - poprosił John, wchodząc z sakwą do szałasu. Podał mi naczynie z pijawkami i kazał wkładać po jednej do szklanych baniek. Sam przystawiał bańki w rzędkach na plecach dziecka.

Kilka pijawek nie chciało się przyssać, wtedy stukał cierpliwie w szkło, dopóki nie wpiły się w skórę. Pijawek było za mało, więc zaczął robić małe nacięcia. W tej ciasnocie oddychało się z trudem. Miałam wrażenie, że za chwilę zemdleję. W końcu głowa dziecka opadła na pierś matki. Kobieta zaczęła płakać.

- Zemdlała... ona zemdlała... co się dzieje?

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją John i zdjawszy opite pijawki, opatrzył ranki kawałkami płótna z mojego kosza. - Tak ma być. Śpiewajcie dalej. Ona słyszy.

Umyliśmy dziecko, odwróciliśmy na plecy i ciepło okryte ułożyliśmy w ramionach matki. Dziewczynka lżej teraz oddychała - nadal głośno, ale już bez takiej paniki. Wciąż się mocno pociła i była bardzo blada.

- Meg - odezwał się John. - Wyjdź na powietrze i odpocznij. Rozprostuj nogi. Trzeba oszczędnie gospodarować siłami.

Wygramoliłam się spod szmat, zmęczona, zakrwawiona i brudna. Dziwne wrażenie zrobił na mnie znajomy widok stodoły i kotła do gotowania. W progu kulili się przerażeni ludzie. Od kilku godzin o nich w ogóle nie myślałam.

- O zachodzie słońca znów puścimy jej krew - orzekł John spokojnie, jakby w ogóle nie tracił nadziei.

- Skończyło mi się płótno - zauważyłam. Mogłam skupiać się jedynie na drobnych, konkretnych sprawach.

Ujął mnie pod ramię. Był dzielny za nas oboje. Czułam, że ta jego odwaga i praktyczność i mnie się udziela.

- Nie martw się. Kazałem jakiejś kobiecie uprać zużyte płótno w strumieniu. Szybko wyschnie na słońcu.

Wciąż oszołomiona wolno szłam ścieżką. Popołudniowe powietrze orzeźwiło mnie nieco i już chciałam wracać, gdy nagle usłyszałam zawodzenie - rozpaczliwy zwierzęcy jęk, oznaczający, że Janey umarła.

Biegiem ruszyłam z powrotem. Zastałam je w tej samej pozycji - córka w ramionach matki; teraz Mary zbolalym głosem krzyczała: „Nie... nie... nie!” i potrząsała małym nieruchomym ciałkiem, jakby chciała przywrócić mu życie. John siedział za nią, obejmując ją tak, jak ona obejmowała martwe dziecko. Chciałam podejść, ale zatrzymał mnie wzrokiem.

- Poszukaj chłopca - wyszeptał bezgłośnie.

Skierowałam się w stronę ludzi tłoczących się u wejścia do stodoły, uświadamiając sobie, że nawet nie znam jego imienia.

Nie musiałam jednak nikogo o niego pytać. Stał samotnie i patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby czekał na mnie. Ludzie bali się do niego zbliżyć. Z ociąganiem ruszył w moim kierunku. Aż za dobrze wiedziałam, co biedny dzieciak czuje.

- Jesteś teraz potrzebny matce - powiedziałam możliwie jak najłagodniej. - Tak mi przykro.

Słońce już zachodziło, gdy zmierzaliśmy do domu. Tam, skąd szliśmy, kopano dół na cmentarzu. Byłam obolała, zmęczona i miałam poczucie przegranej, zdając sobie sprawę, że przed chwilą otarłam się o śmierć. Podziwiałam Johna za to, że tyle wysiłku włożył w próbę ocalenia dziewczynki. Za bardzo byłam w tej chwili wyczerpana - zarówno fizycznie, jak i psychicznie - żeby zastanawiać się nad powodem jego przyjazdu. Po prostu cieszyłam się, że jest.

- Nie mogliśmy nic zrobić. - Chciałam go jakoś pocieszyć.

Pokręcił głową.

- Wiele się nauczyłem od śmierci Ammoniusa, ale to wszystko za mało - rzekł ze smutkiem. - Nigdy nie wiemy tyle, ile trzeba. Połowa tych ludzi może umrzeć w ciągu paru dni.

Gorycz jego słów sprawiła, że spojrzałam na niego. Na jego twarzy malowała się złość, że nie zdołał uratować dziecka. Nigdy go przedtem takiego nie widziałam.

- Znów zaczniesz się gadanie, że to klątwa Tudorów, gniew boży, kara za grzechy. Jak zawsze! - Mówił jakby do siebie, a w jego głosie dźwięczała pełna goryczy pogarda. - Wiecznie te same zabobony. Nikt nie pamięta, że już o wiele gorzej bywało.

- Ojciec też uważa, że to wyrok boski - odparłam lekko zdyszana, gdyż prawie biegłam, żeby nadążyć za jego wielkimi krokami. - Mówi, że to kara za herezję.

- Wątpię, czy to biedne dziecko jest coś winne - powiedział z gniewem, po czym popadł w posępną zadumę, wciąż przeżywając swoją porażkę.

Gdy udało mi się złapać nieco tchu, przerwałam milczenie.

- Wejdiesz ze mną do środka? - Zaskoczyło mnie, że pytam. Nie rozmawialiśmy o tym wcześniej. Po prostu oboje ruszyliśmy w stronę domu, co wydawało się naturalne. Moje pytanie przywróciło go do rzeczywistości.

- Tak - potwierdził i nareszcie się uśmiechnął. - Twój ojciec mnie zaprosił. Dwór opuszcza Greenwich, bo w Londynie panuje zaraza i król się boi. Sir Thomas uznał, że tu się przydam ze względu na uchodźców. Dobrze jest mieć pod ręką członka Królewskiego Kolegium Lekarzy.

Po tych słowach znów się zachmurzył.

- Temu biednemu dziecku wcale nie pomógł lekarz z Kolegium - stwierdził i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku, jakby ogarnął go większy gniew.

Chwytałam go za ramię i zmusiałam, żeby przystanął i spojrzął mi w oczy.

- A więc udało się? - wyszeptalam bezgłośnie, a świat dokoła upojnie zawirował. - Przyjęto cię? I ojciec zgodził się na twój przyjazd?

Jego twarz nieco się rozjaśniła. Uśmiechnął się tak jakoś niebywale słodko, a w jego oczach pojawiło się niebo.

- Przyjęli mnie. Z radością i dumą jechałem tu dziś rano - powiedział łagodniejszym tonem. - Nie mogłem się doczekać, kiedy ci powiem, jaki jestem teraz ważny... No i wreszcie ciebie wart... - Ponownie się zasepił i wzruszył ramionami, ale największa złość już mu minęła. - A tu się okazuje, że żaden ze mnie wielki lekarz. Tyle tylko, że przeszedłem pomyślnie próbę wyznaczoną przez twego ojca.

Położył drżące dłonie na moich ramionach.

- Więc jeśli jeszcze mnie chcesz, Meg, jestem twój.

Wiele razy i na wiele sposobów wyobrażałam sobie swoją reakcję na tę nowinę. Lecz teraz, kiedy śmierć tak brutalnie wdarła się w nasz świat, trudno było zdobyć się na wybuch radości. Byłam brudna, zmęczona i zdawało mi się, że na nas obojgu to nieszczęście wycisnęło swoje piętno. Jednak słowa Johna miały w sobie podnoszącą na duchu moc i dawały siłę.

- Tak - odpowiedziałam. - Chcę cię! Wejdźmy do domu.

- O, mamy gościa - rzekł ojciec, kiedy weszliśmy. Nie był zaskoczony pojawieniem się nowej osoby. Nie zwrócił także uwagi na stan naszej garderoby. - Witaj, Johnie, w naszych progach.

Zastanawiałam się, co ojciec naprawdę myśli, gdy wita nas tak spokojnie. Czy domyśla się, że wiem o jego układzie z Johnem? Czy zechce mi kiedyś sam o tym powiedzieć? A jeśli tak, to kiedy? Teraz był tak

zajęty, że ledwo na mnie spojrział. Z kolei jejmość Alice pochłaniało w tej chwili wydawanie poleceń służącym, które nosiły pościel na górę, więc też na nas nie zważała.

- We wschodnim pokoju brakuje jeszcze kilku rzeczy - mówiła zwykłym, rzeczowym tonem. - Proszę zanieść tam miskę i dzbanek z wodą. - Ponieważ jednak nie miała kamiennej twarzy dyplomaty jak ojciec, od razu poznałam po zadowoleniu widocznym w jej oczach, że przyjazd Johna nie był dla niej taką niespodzianką jak dla mnie.

- Za godzinę będzie wieczerza - oznajmiła. - Chyba że jesteś bardzo głodny, Johnie? Jeśli tak, to każe zaraz przynieść ci coś na zimno.

John grzecznie odmówił. Pewnie nie mógł myśleć o jedzeniu po dzisiejszym popołudniu.

- Czy są jeszcze jacyś goście? - spytałam, zastanawiając się, po co tyle rzeczy nosi się na górę. Uśmiechnęła się i odprawiła służące ruchem ręki.

- Mistrz Hans przysłał wiadomość, że przybędzie niebawem, a Will i Margaret już przyjechali z Londynu - odparła z ożywieniem.

- Byłem u uchodźców i tam spotkałem Meg - zwrócił się John do ojca, puszczając mimo uszu nasze domowe sprawy. - Obawiam się, że wieści są złe.

Jejmość Alice umilkła. Dopiero teraz spostrzegła mój oplakany wygląd. Oboje z ojcem słuchali uważnie.

- Zmarło dziecko - ciągnął John. - Dziś po południu. Nagle.

- Dziewczynka, miała pięć czy sześć lat - dodałam. - Z Deptford. Jest tu jej rodzina.

Nie wyglądali na zaskoczonych, ale posmutnieli, a ja się domyśliłam, że ogarnął ich strach. Zadumaliśmy się nad skutkami, jakie mogło wywołać dotarcie na naszą spokojną wieś choroby, która wielkie spustoszenia poczyniła w Londynie. Ojciec i jejmość oboje zareagowali z ogromną prostotą, za którą wybaczano im wszelkie sztuczki i podstępny i za którą się ich kochało.

- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie - rzekł ojciec. - Czy to gorączka potowa? - Doskonale znał odpowiedź.

- Od razu ją pochowali? - spytała jejmość. Praktyczne podejście kogoś, kto obawia się rozprzestrzenienia choroby. - Czy są inni chorzy?

Wieczera minęła w milczeniu. W obliczu zagrożenia poczuliśmy się sobie bardzo bliscy. Ojciec do głębi poruszony zmówił modlitwę za odwrócenie plagi choroby, a my jak echo odpowiadaliśmy „amen”.

- Zaufajmy Panu. Jego święta wola może nas uratować - zakończył.

John i Will nie przywieźli dobrych wieści z miasta: ulice opustoszały, sklepy i gospody zabito na głucho, apteki i kramy z ziołami oblegali zrozpaczeni ludzie. Ojciec pomodlił się jeszcze za Elizabeth, Williama, Cecyli i Gilesa, przebywających daleko od nas.

- Całym sercem pragnę, byście byli bezpieczni. Bardzo bym chciał mieć was wszystkich blisko - powiedział. - Ale w tej sytuacji nie ma co nakłaniać ich do powrotu. Polećmy ich boskiej opiece i poprośmy dobrego Boga, by zechciał nas oszczędzić. Zawierzmy Jego łasce.

- Zostańcie tu, jak długo zechcecie, i jak długo będzie to konieczne - dodał zwykłym głosem, kierując te słowa także do Johna, który siedział między mną a Margaret i słuchał słów ojca, a jednocześnie dbał o to, by

mój talerz nie był pusty. Spoglądał na mnie tak, jak spragniony człowiek patrzy na naczynie z wodą. A ja odpowiadałam mu podobnymi spojrzeniami i kiedy podałam mu półmisek - ze skowronkami w cieście, co było specjalnością jejmości - nasze palce się zetknęły.

- Cieszę się, że z nami jesteś, Johnie - mówił dalej ojciec. - Będziesz potrzebny. I dobrze, że masz Meg do pomocy.

John spojrział mi w oczy i patrzył znacznie dłużej, niżby wypadało. Zarumieniłam się i skromnie spuściłam głowę.

Po wieczery wyszliśmy do ogrodu. Było ciepło i bezwietrznie. Nocne niebo płonęło gwiazdami, powietrze przesyciła ciężka woń pierwszych czerwonych róż, z dala dobiegał szum rzeki. Jednak mimo tego oszałamiającego, niewiarygodnego wprost piękna i spokoju cały czas mieliśmy świadomość, że niedaleko stąd, tam gdzie mrugają światła wioski, niedawno wykopano grób dla małej dziewczynki, a płacząca matka i przeżony brat pozostali wśród niechętnego im tłumu, na który padł blady strach.

Nic wszakże nie mogło zgasić płonącego we mnie ognia; bolesne wspomnienia powoli bladły i rozplywały się, a ich miejsce zajmowały rozkoszne nadzieje zapowiadane przez obejmujące mnie ramię.

- Nie powinniśmy przebywać poza domem tak późno - westchnęłam, na próżno starając się wykrzesać z siebie choćby odrobinę stanowczości.

John też westchnął. Nie widziałam jego twarzy - była zbyt wysoko, choć tak blisko - tylko zarys podbródka. Silne ramię ujmowało mnie w pasie, a cudowne poczucie bliskości kusiło, by musnąć jego usta, po czym zatracić się w pocałunku pod rozkołysanymi gwiazdami.

- Masz rację - przyznał. - Trzeba wstać wcześniej rano i pójść tam. Powinniśmy się wyspać.

Odsunął się, a ja aż zadrżałam. Ów smutek nagłego rozdzielenia trwał zaledwie ułamek sekundy, bo zaraz porwał mnie w ramiona, chętną i szczęśliwą, śmiejącą się radośnie, a śmiech ten wkrótce stłumiony został w gorącym uścisku.

- Może dopiero za chwilę...? - szepnął. Dostrzegłam na jego wargach leciutki uśmiech. - Jeszcze nie teraz... - Pochylił się, wtulił swoje usta w moje, a ja wsunęłam mu palce we włosy, mocno przyciskając jego głowę.

Czterech ludzi kopało grób na skraju cmentarza. Dwaj z nich stali w dole głębokości trzech czy czterech stóp; po obu stronach wznosiły się kopczyki świeżej ziemi. Mężczyźni spocili się od pracy, choć powietrze było jeszcze rześkie. Na głowach mieli chustki, osłaniające przed porannym słońcem. Ten grób był większy niż poprzedni.

John przystanął i spojrział pytająco, a wtedy jeden pokręcił przecząco głową.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił i przeżegnał się.

Przyśpieszyliśmy kroku. Stodoła opustoszała. Drewno na opał oraz kocioł przeniesiono na drugą stronę pięcioakrowego pola. Ludzie czekający na posiłek siedzieli w cieniu żywopłotu. Szmer ich głosów przypominał szum rozdrażnionego roju pszczół.

Przy stodole, obok cuchnącego rowu z owadami, zostali tylko nieszczęśnicy z Deptford: matka i syn. Chłopiec zapewne sam przyniósł wodę ze strumienia. Lśniła w słońcu w dwóch wiadrach, prawie tak dużych jak on. Równie blady jak wczoraj, stał bezradnie, a jego chude ramiona drżały. Sprawiał wrażenie, że stał tak

całą noc. Matka miała zaczerwienione oczy, włosy w nieładzie i przerażoną twarz. Kuliła się w szalasię ze szmat, usiłując owinąć się strzępami łachmanów, po czym zrzuciła je z siebie, oszalała z bólu i strachu. Gdy nas ujrzała, oczy jej rozbłyły nadzieją.

- Pomóżcie memu chłopcu - błagała. - Ci łajdacy nie dają mu jadła. Uciekli i zabrali mu nawet miskę.

- Nie frasujcie się - uspokajał ją John. Przykrył kobietę i otarł jej czoło kawałkiem płótna z mego kosza. Nie tylko rozpacz po stracie córki i strach były przyczyną jej stanu. Właśnie wystąpiły na niej poty. - Zajmiemy się nim.

Zostawiwszy ich, zaczęłam przedzierać się przez pokrzywy, łopuchy, trybulę i jaskry na drugą stronę pola, gdzie w kotle bulgotała tłusta polewka na mięsie gołębim i warzywach. Ludzie szeptali coś między sobą, niechętnie na mnie popatrując. Gdy się do nich zbliżyłam, zza kotła wyszedł młynarz Roger.

- Roger, nalejcie zupy do miski! - poleciłam.

- Niech sobie lepiej stąd idą, panienko - odparł; w otwartych ustach błysnęły jedyne dwa zęby. - To oni sprowadzili śmierć. Nie chcemy ich tutaj!

- Nalejcie zupy! - powtórzyłam z naciskiem.

Nie chciał. Duże, mięsiste dłonie nerwowo skubały koniec sznura, którym był przepasany.

- Kobieta też zachorowała - dodałam. - Nie mogą teraz odejść.

Przeżegnał się i znów pokręcił głową. Podeszłam i podniosłam z ziemi miskę.

- Nie sprzeciwiaj się woli bożej! - rzekłam gniewnie. Był niespokojny, ale nie protestował, gdy sama napełniłam miskę polewką.

- Zabiorę chłopca - obiecałam na odchodnym. Nie sądziłam, by matka przeżyła.

Lecz chłopiec i tak nie zjadł. Gdy wróciłam, z matki lał się pot, a John właśnie rozciął jej koszulę. Postawiłam miskę na ziemi. Już miałam go prosić, żeby nie puszczał jej krwi, ale się powstrzymałam, bo czyż moja skromna wiedza o ziołach mogła się równać z jego kilkuletnimi studiami i praktyką zawodową? Kobieta nie jęczała, nie płakała i nie uciekała od ostrza, spod którego pociekła czarna krew. Zemdlała, tak jak być powinno. Ale już nie odzyskała przytomności. Pół godziny po naszym przyjściu Mary z Deptford umarła. Oboje z Johnem podnieśliśmy się z ziemi pokonani. Chłopiec stał nieruchomo, z przerażeniem patrząc na zakrwawione płótno. Sięgał mi zaledwie do pasa.

Zostawiłam Johnowi sprawę pochówku. Nie było to trudne zadanie, jako że grób wykopano, zanim wystąpiły objawy choroby. Pewnie z ulgą ją tam w końcu, biedaczkę, wrzucono i zasypano ziemią. Wszyscy poczuli się wtedy bezpieczniej.

Na razie nie ustalałam z Johnem żadnego planu działania. Bez słowa wzięłam chłopaka za rękę i ruszyłam w drogę powrotną. Nie bardzo wiedziałam, co z nim zrobić. Nie mogłam zabrać go do domu ani zostawić samego. W końcu zaprowadziłam to biedne dziecko - cały czas idące za mną posłusznie - nad rzekę do zachodniej kordegardy. Otworzyłam drzwi. Żelaza zniknęły, na podłodze wały się tylko resztki posłania.

- Możesz tu zostać. - Mój głos zabrzmiał dość szorstko. Chłopak stał bez ruchu. - Tu będziesz bezpieczny - zapewniłam i zajrzałam do kosza; nie było w nim wiele: kawałki czystego płótna, buteleczka naparu z kory wierzbowej, którą zawsze nosiłam przy sobie, pajdka chleba. - Masz tu chleb. Zaraz przyniosę wodę i lekarstwo.

Przyniosłam wiaderko wody od ogrodnika. Aż się spociłam z gorąca i wysiłku. Chłopak nadal stał i patrzył tępo.

- Siadaj! - poleciłam. - I wypij to! - Podałam mu napar z kory. Opierał się, ale przyłożyłam mu buteleczkę do ust i wypił. - A teraz połóż się, przykryj i leż spokojnie. Wieczorem przyjdę do ciebie.

Gdy zamykałam drzwi, wciąż patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Przeciągnęłam na zewnątrz łańcuch, żeby wyglądało, iż kordegarda jest zamknięta na głucho. Odeszłam stamtąd, szczerze żałując, że tak mało wiem o leczeniu chorych, a jednocześnie przepełniał mnie gniew, zapewne wywołany litością i współczuciem dla tych nieszczęśników. Wróciłam do domu.

Nie mogłam nic przelknąć, ale zesłam na południowy posiłek. Była w tym jakaś ulga, że można jeszcze zachować coś z normalnego życia - łatwiej wtedy wytrzymać pustkę w duszy powstałą wskutek smutnych przeżyć. Margaret ujrzała mnie pierwsza.

- Gdzie jest John? - spytała. Pokręciłam głową. Zrozumiała. Nie trzeba było wyjaśniać, że stało się coś złego. Dotknęła mego ramienia. - Meg - rzekła łagodnie. - Robisz wiele dobrego, ale wyglądasz na bardzo zmęczoną. Proszę, oszczędzaj się. Mistrz Hans jest tutaj - dodała, starając się skierować rozmowę na bardziej pogodny temat. - Zdaje się, że odniósł wielki sukces. Ma nową garderobę i nieco mu się przytyło.

Pokiwałam głową. Nie miałam siły myśleć o mistrzu Hansie i jego karierze. Zbyt wiele spadło na mnie obowiązków i trosk. Trzeba się umyć i przebrać. Trzeba zaparzyć więcej kory wierzbowej. Trzeba sprawdzić, czy jest jeszcze czyste płótno. Trzeba się dowiedzieć, czy John nie wykrył nowych przypadków choroby (i czy nie było przejawów buntu) wśród ludzi mieszkających w stodole.

Jednak serce mi zmiękło, gdy na mój widok malarz aż drgnął z radości i wykrzyknął: „O, panna Meg!”. Siedział przy stole i zdążył już nałożyć sobie na talerz sporą porcję wołowiny. Widząc mnie, zapomniał o jedzeniu. Zerwał się, niemal jak do tańca. Natychmiast zasypał mnie opowieściami o Norfolk, gdzie namalował prawie całą miejscową szlachtę (czyli musiał zaprzyjaźnić się z krewniakami Boleynów podczas pobytu na dworze, ale nie chciałam go wypytywać, w końcu to jego sprawa).

- Czy wiecie, mistrzu Hansie, że urodziłam się w Norfolk? - zapytałam, zapominając na chwilę o troskach, zdziwiona, że to powiedziałam. Lata minęły, odkąd ostatni raz myślałam o moich rodzinnych stronach. - Niedaleko Burnham. Znam więc to hrabstwo.

- Burnham! - powtórzył z zachwytem. - Ależ ja byłem w Burnham! Ach, gdybym tylko wiedział, sporządziłbym dla was szkic waszego domu rodzinnego! Norfolk jest piękne. Teraz znam tam wszystkie ważne osobistości. Malowałem ich portrety!

Poprawił się w angielskim. Nauczył się nowych słów.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - rzekł dumnie, popisując się tym powiedzeniem. - Żle, że spotykamy się w czasach choroby, ale to wielka radość znowu widzieć was, pani. Cieszę się, że wracam do naszej pracy. Już niemal o niej zapomniałem, ha, ha, ha! Czuję się, jakbym wrócił do domu.

Jego wymowne spojrzenie przypomniało mi złośliwą uwagę Elizabeth, że mistrz Hans robi do mnie cięłe oczy.

Spuściłam wzrok, nieco zmieszana, ale jeszcze zdążyłam zauważyć zaskoczenie na twarzy mistrza Hansa, gdyż w tym momencie wszedł John i od razu zbliżył się do mnie.

Na widok ukochanego natychmiast zapomniałam o mistrzu Hansie, nie mogąc się doczekać najnowszych wieści. John był zmęczony, ale spokojny i opanowany.

- Na razie nie ma więcej przypadków. Później tam pójde, żeby się upewnić. Ale chyba nic złego się nie dzieje.

Ujął moją dłoń. Nie patrząc w stronę mistrza Hansa, doskonale wiedziałam, że cicho opuścił salę.

Ten dzień przyniósł kolejne złe wieści, ale już nie z obozowiska przy stodole. Po południu, kiedy przybrałam korę wierzbową, Margaret zaczęła nagle odczuwać dziwne zimno. Gdy przyszedłam do niej, wezwana przez służącą, zaczęła się pocić.

Odesłałam Willa na dół, żeby nie przeszkadzał, a służbie kazałam przynieść wodę i płótno. Stojąc przy jej łóżku, patrzyłam bezradnie, jak rzuca się pod kołdrę, i modliłam się gorąco.

Pomyślałam o Mary z Deptford i jej córce, o tej okropnej, bolesnej śmierci, gdy mdlały i krwawiły pod nożem. John na pewno znacznie lepiej ode mnie znał się na leczeniu, ale prawdę mówiąc, zastanawiało mnie jego bezkrytyczne podejście do Galena, greckiego lekarza, który wsławił się w Rzymie tym, że krojąc przed publicznością żywe prosięta, chciał zdobyć wiedzę konieczną do zrozumienia i skutecznego uśmierzenia bólu. Dzięki niemu medycyna poszła zupełnie nowym torem - przestali nią rządzić bogowie - bo oparła się na przesłankach racjonalnych i zgodnych z naturą. Niepokoili mnie jednak wiara Johna w radykalne metody leczenia, polegające głównie na puszczaniu krwi, z którą miały spływać wszelkie nieczystości ciała.

Intuicja mi podpowiadała, że Margaret nie powinna trafić pod nóż. Nim zjawił się wezwany przeze mnie pachołek, zdecydowałam, że na razie nie będę posyłać po Johna. Przecież tajemniczą gorączkę ojca wyleczyłam bez uciekania się do drastycznych metod Galena - po prostu podałam napar wierzbowej kory. Po jego wypiciu ojciec zasnął spokojnie, a potem obudził się wypoczęty i bez gorączki. A chłopiec z Deptford? Jemu też kazałam wypić napar z wierzby.

Odesłałam zatem służącego i zesłałam na dół do mistrza Hansa, który właśnie rozstawiał sztalugi w dawnej pracowni. Tylko jemu mogłam zaufać i zlecić to zadanie. Wprawdzie dużo mówił, ale umiał też myśleć. Pewna byłam, że posłucha mnie bez zadawania zbędnych pytań. Mój widok go zaskoczył; malarz sprawiał wrażenie, jakby chciał ze mną o czymś porozmawiać.

- Proszę was, mistrzu, o nic mnie nie pytajcie - uprzedziłam go, przechodząc do rzeczy. - Nie ma na to czasu. Jak najszybciej pójdziecie do zachodniej kordegardy, a potem wróćcie tu i powiedzcie, coście tam widzieli. I nikomu ani słowa. Pośpieszcie się!

Udałam się do Margaret, a zaraz po mnie zjawił się ojciec. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie; mocno pobladły, z trudem hamował łzy i był tak zrozpaczony, jakby padł ofiarą jakiejś strasznej niesprawiedliwości lub najbliższa mu osoba została niesłusznie skazana. Rzucił się na kolana przy łóżku i tulił w dłoniach mokrą od potu głowę córki. Nie było z nią żadnego kontaktu; pogrążona w malignie, mamrotała modlitwy przeplatane słowami bez sensu.

Delikatnie odsunęłam ojca na bok. Gorąco pragnęłam przytulić go i pocieszyć, ale nie było czasu. Usiadłam w głowach łóżka i zwilżonymi kawałkami płótna ocierałam pot z czoła chorej, po czym rzucałam zużyte kawałki na podłogę.

Ojciec klęczał, płacząc i modląc się. W którymś momencie wstał i spojrzął na mnie, potem na Margaret coraz bardziej rozpaloną. Zaczął nerwowo chodzić po komnacie, a po twarzy spływały mu łzy. Było to do niego niepodobne. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, opowiadający zabawne historie i ukazujący światu radosną twarz - teraz zachowywał się jak wdowa w ciężkiej żałobie; był tak samo nieprzytomny z lęku o córkę jak ona z choroby.

- Margaret - krzyczał niemal. - Nie odchódź! O Boże, oszczędź ją! Jeśli umrze, wszystkie sprawy tego świata stracą dla mnie sens. Ocal ją, Panie, błagam!

- Ojczy... - odezwałam się, na co on zareagował przerażeniem. Staralam się mówić jak najbardziej pewnym głosem. - Ojczy, nie rozpaczaj. Niech się dzieje wola boża, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by uratować Margaret. - Z ulgą stwierdziłam, że dotarły do niego moje słowa, gdyż już tylko łkał cicho.

Ktoś zapukał do drzwi. W progu stał mistrz Hans wyraźnie wystraszony krzykami dochodzącymi z komnaty. Musiał rozpoznać głos ojca.

- Nic nie wiedziałem... - powiedział cicho. - Tak mi przykro...

- To nie on, lecz Margaret. Ale nieważne - odparłam niecierpliwie. - Co widzieliście?

Jeszcze bardziej się wystraszył i patrzył na mnie, jakbym zupełnie zwariowała.

- Nnn... nic - wystękał w końcu. - Było tam posłanie, butelka... wiadro...

Zatem chłopak sobie poszedł. Nie zachorował, więc kora wierzbową pomogła. A to oznaczało, że mogę odważyć się zaufać mojemu lekarstwu bardziej niż wiedzy Johna Clementa.

- Mistrzu Hansie, bardzo wam dziękuję. - Pod wpływem impulsu pocałowałam go w policzek i zostawiwszy go zdziwionego na korytarzu, pomknęłam do swojej komnaty po przestudzony napar wierzby.

Margaret wypila lek. Połowa spłynęła, połowę udało się wlać w nieprzytomne usta. Gorąco modliłam się w duchu i nadal ocierałam jej pot. Był taki moment, kiedy słyhać było tylko modlitwy ojca. Był taki moment, kiedy słyhać było tylko jego niespokojny oddech. Był taki moment, kiedy wydawało się, że nawet tego nie słyhać.

- Meg - odezwał się nagle głosem tak normalnym, że aż mnie tym przestraszył. - Czy ona nie żyje?

- Nie - odparłam przerażona normalnym brzmieniem własnego głosu. - Zasnęła. Ale to chyba zdrowy sen.

Łóżko było mokre od potu, a w komnacie panował straszny zaduch. Margaret, wciąż rozpalona, oddychała cicho i spokojnie jak dziecko. Ojciec po raz pierwszy od paru godzin przyjrzał jej się uważnie i pomału strach ustępował z jego twarzy. Skierował wzrok na mnie i w jego lśniących oczach zobaczyłam ogrom uczucia, jakie żywił do pierworodnej córki. Przez chwilę myślałam, że mnie obejmie i przytuli. Ale on tylko szepnął: „Ona żyje”, podszedł do okna, przeżegnał się, po czym się odwrócił i powiedział do mnie:

- To cud! Tobie go zawdzięczam. Ty ją uratowałaś!

Patrzył na mnie - rzecz dotąd niespotykana - z miłością. Oboje byliśmy straszliwie wyczerpani napięciem ostatnich godzin, gdy w zaciemnionym pokoju doglądaliśmy nieprzytomnej Margaret. Ja też odpowiedziałam mu spojrzeniem pełnym oddania i czułości.

Zaraz jednak wróciłam do rzeczywistości. Racjonalna strona mej natury podpowiadała mi, że jego reakcja była podyktowana nie miłością do mnie, lecz lękiem o ukochane dziecko. Za chwilę przestanie tak na

mnie patrzeć i będzie tak jak dawniej. Poza tym musiałam zrobić ważną rzecz, więc pierwsza odwróciłam wzrok, szukając dzwonka. Zadzwoiłam na służbę. Zawstydzona moim postępkami (choć w głębi ducha przekonana, że uczyniłam słusznie), dopiero teraz posłałam po Johna. Godzinę później przybył w pośpiechu, sprowadzony przez wystraszonego pachołka, aż purpurowego na twarzy z przejęcia. Sprzątałam już wtedy płótna i wiadro. Następnego ranka Margaret czuła się o wiele lepiej.

- Życie to wielki dar. - Z namaszczeniem i wielką pobożnością rozpoczął ojciec modlitwę przy wieczerzy. - Bóg w łaskawości swojej przywrócił nam to życie. Gorąco Mu za to dziękujemy. - Głos miał przyciszony, a zaczerwienione od płaczu oczy, spoglądające na mnie z czułością, lśniły w świetle świec.

Margaret jeszcze spała. Ale już wiedzieliśmy, że się obudzi i że ona i dziecko przeżyją (z pomocą bożą). Will Roper patrzył na mnie z taką samą wdzięcznością jak ojciec. Nikt nie powiedział wprost, że to ja ocaliłam Margaret (mimo to cały czas napawały mnie dumą słowa wzruszonego ojca, wypowiedziane przy łożu chorej), ale jako że siedziałam przy niej i wycierałam pot, uznano, iż pomogłam jej przetrwać kryzys. Tylko niedomagający się żadnych wyjaśnień mistrz Hans, który domyślił się, że misja, jaką mu zleciłam, miała coś wspólnego z ozdrowieniem Margaret, patrzył na mnie z nabożnym niemal zachwytem. Siedzący koło mnie John milczał; rad był, że zastał Margaret żywą, ale martwił się, że przybył za późno, by ją leczyć. Czułam się winna, że go oszukałam, nie wzywając od razu; cieszyłam się jednak, iż zaufałam własnemu rozumowi. Margaret mogła nie przeżyć upuszczenia krwi. Uścisnęłam mu rękę pod stołem, pragnąc go pocieszyć, i z ulgą poczułam uścisk w odpowiedzi. Tamtego wieczoru gotowa byłam nieść pociechę wszystkim; upajał mnie własny sukces, nastrój miałam tak bajeczny jak pieśń słowika za oknem.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc jedliśmy w milczeniu. W końcu ciszę przerwał mistrz Hans. Jego palce i usta lśniły od tłuszczu - poza nim nikt nie miał apetytu, natomiast on ze zwykłym animuszem pochłaniał wołowinę i pieczone gołębie. Chrząknął, powąchał kapryfolium i rzekł z pewną nieśmiałością:

- Dobrą i piękną rzeczą jest pamięć o rodzinie. Prawie ukończyłem obraz, pozostały jedynie detale. Po wieczerzy zapraszam wszystkich na oglądanie.

Zebrawszy nas w pracowni, mistrz Hans dłuższą chwilę zapalał świece. W niewielkim pomieszczeniu zrobiło się ciasno, gdy weszło sześć dorosłych osób. Obrazki znowu leżały w nieładzie na stole. Zamknęłam teczkę i położyłam na niej czaszkę. Spojrzał na mnie z wdzięcznością i wrócił do ustawiania świec i sztalug.

Obraz stał odwrócony i oparty o ścianę. Przygotowawszy sztalugi, malarz umieścił na nich swe dzieło, cały czas zakryte kawałkiem surowego płótna. Zdjął zasłonę z lekkim ukłonem.

Rodziny portret okazał się niezwykle - chyba jedyny taki na świecie. Nie nawiązywał wprost do religii - z wyjątkiem tego, że jejmość Alice klęczała - ale i tak widziało się obecność Boga w naszym codziennym życiu. Namalował nas w wielkiej sali; twarze, spojrzenia, sposób trzymania głowy zostały oddane wiernie. Na pierwszym planie Margaret i Cecily, obok jejmość z włosami odgarniętymi z kształtnego czoła i lekkim uśmiechem na twarzy. Elizabeth stoi z drugiej strony; jak zwykle piękna, lecz wyniosła i zamknięta w sobie. Przy niej ja - pochylałam się nad dziadkiem i coś mu tłumaczę. Pośrodku ojciec, między dziadkiem a młodym Johnem, a Anna za jego plecami; ojciec uroczysty, poważny i nie tak ponury jak na swoim portrecie. W miejscu zbiegu linii kompozycji stoi, spoglądając wprost na widza, jasnobrody błazen Henry Pattinson.

Westchnęłam głęboko z wrażenia, i nie ja jedna to zrobiłam. Zaledwie kilka tygodni temu omawialiśmy pomysł kompozycji - zdawałoby się - żartobliwie, a oto mieliśmy przed sobą właśnie taki obraz naszego życia: budzący tęsknotę za dawnymi dobrymi czasami. Rodzina znów w komplecie, piękne twarze jaśniejące miłością. Ojciec zaczął od podziwiania wdzięcznej główki rozmodlonej Margaret, ja natomiast najpierw popatrzyłam na zgrabny profil i miłą buzię teraz wśród nas nieobecnej Cecily, a potem, z mniejszą ochotą, na Elizabeth. Piękne oczy osadzone nad idealnie prostym nosem patrzyły czujnie, śliczne usta pozbawione były uśmiechu. Nagle sobie uświadomiłam, że na obrazie wygląda na nieszczęśliwą; jakby źle się czuła w naszym gronie i dlatego wycofała się na jego skraj. Przyszło mi do głowy, że rodzonej córce Thomasa More'a mogło być równie trudno w tej rodzinie, jak mnie czasem bywało - choć z zupełnie innych powodów. U niej brało się to stąd, że wołała salonowe rozmówki od poważnych dysput i lepiej znała się na galiardzie* niż na grece. Po raz pierwszy w życiu zatęskniłam za nią tak jak za Cecily. Zapraǳnęłam szczerze z nią porozmawiać, wyznać, jak bardzo byłam czasem zazdrosna o jej urodę, spróbować ocieplić nasze stosunki choćby odrobinę.

* Galiarda - taniec dworski popularny w Europie w późnym renesansie i baroku.

Popatrzyłam po zebranych; wszyscy, pogrążeni w głębokiej zadumie, kontemplowali obraz. Milczałam, nie chcąc zakłócać ich myśli i doznań.

Nie znałam się zbyt na malarstwie, ale wydawało mi się, że obraz jest już skończony, łącznie z detalami tła: za naszymi głowami widniały rozmaite przedmioty. Wiadomo jednak, że obraz ukończony jest dopiero wtedy, gdy tak orzeknie zleceniodawca. Ciekawa więc byłam reakcji ojca i jejmości. Zauważyłam, że oboje są jakby z lekka zakłopotani.

- Powinniście, mistrzu... - odezwała się jejmość Alice, przerywając ciszę tak nagle, że aż podskoczyłam - ... dodać w tle lutnie na półce. - Głos miała lekko zaczepny, zapewne przez te emocje, które obraz w nas wzbudził, a które wprawiły ją w zakłopotanie. Chciała zmienić tę podniosłą atmosferę, jaka zapanowała, i sprowadzić nas na ziemię. Nie lubiła ulegać wzruszeniom. Być może, podobnie jak ojciec, bała się, że zburzą bezpieczny porządek świata. - Należałoby oddać sprawiedliwość muzycznym talentom mego drogiego małżonka. - Zaśmiała się nieco nerwowo.

Ojciec w lot pojął, do czego zmierza, też się roześmiał i spróbował wprowadzić bardziej krotochwilny nastrój.

- Skoro już dodacie te instrumenty - stwierdził dobrodusznie - to może by posadzić jejmość Alice na krzesło? Pozując, uskarżała się na ból w kolanach.

Wszyscyśmy się roześmiali.

- Wedle życzenia - zgodził się dwornie mistrz Hans. Oczywiście bez kłopotu mógł domalować lutnie i krzesło dla jejmości, ale przecież tak naprawdę nie chodziło o żadne poprawki. Obraz był doskonały. Ojciec po prostu poczuł się za bardzo odsłonięty i wystawiony na widok publiczny. W milczeniu wróciliśmy do podziwiania dzieła. Poszukałam wzroku mistrza Hansa, ale on pogrążył się w swoich marzeniach. Spoglądał kolejno na nasze zamyślane i zachwycone twarze, kiwając przy tym głową. Umiał w nas dostrzec potrzebę miłości i pragnienie zachowania dobrych wspomnień. Doskonale wiedział, że obraz wywarł zamierzony efekt.

Kiedy nieco później ojciec, przeprosiwszy towarzystwo, udał się do Nowego Pawilonu, wymknęłam się za nim, zostawiając Johna z resztą rodziny. Poczułam przyływ odwagi. Pomyślałam, że to jedyna okazja, kiedy ojciec nie jest zbyt zajęty i może porozmawiać ze mną na osobności.

- Ojcie! - zawołałam cicho za nim.

Odwrócił się. Zmierzchało.

- Meg? - odezwał się równie cicho i zaczął na mnie.

Od dawna chciałam mu zadać mnóstwo pytań, lecz nie miałam śmiałości. Nieskończenie wiele razy wyobrażałam sobie rozmowę o człowieku w kordegardzie, o herezji, o polityce, o kardynale Wolseyu, o królu i jego miłości, wreszcie o Johnie. Teraz szliśmy razem pod gwiazdami, atakowani przez komary - zbyt oddaleni od siebie, by ująć się pod ramię, ale z wolna zmierzający w stronę większej bliskości - i wreszcie mogliśmy porozmawiać szczerze.

- Jakie to szczęście, że żyjemy i że Margaret jest z nami - rzekł z namaszczeniem, niemal szeptem, jakby się modlił. - Jakże wielkim darem jest ta twoja umiejętność leczenia ludzi.

- I obecność Johna Clementa - odpowiedziałam szeptem, czując miłe ciepło w sercu i przyływ nadziei, że uda się skierować rozmowę na najbardziej pożądaną dla mnie temat. On jednak go nie podjął.

Po dłuższej chwili, dość niepewnie, spróbowałam znowu.

- Wiele osób wokół ciebie, ojcie, ma nadzwyczajne uzdolnienia. Czyż obraz mistrza Hansa nie jest zadziwiający...?

Westchnął, jakbym odkryła sekret, który wcale nie radował jego serca.

- Będę z tobą szczery, Meg. Oczywiście biegłość w jakiejś dziedzinie to wielki dar boży, ale niektóre nowomodne talenty i nowomodni geniusze przysparzają sporo kłopotów, zwłaszcza gdy powstają dzieła działające na zmysły odbiorcy jak głośny, niespodziewany krzyk prosto w ucho. Jak dzisiaj obraz Hansa Holbeina. Mam chwilami wątpliwości, czy on tylko opowiada widzowi swoją wizję świata... czy też wpycha mu ją na siłę.

Nie patrzył na mnie, wzrok utkwiał w wypalanej, suchej ziemi. Szłam równym krokiem, starając się nie okazywać zaskoczenia. Nie przypuszczałam, że obraz, w którym ja widziałam wyraz pobożności, a który sam zamówił, wywoła w nim uczucie zagrożenia. Obudziła się we mnie dawna nieufność i podejrzliwość o upodobanie do okrucieństwa i zaniepokoiłam się o nierozważnego Niemca, który tak bardzo się cieszył, że jego dzieło zrobiło na nas wrażenie. A jednak człowiek idący obok mnie mówił z taką wiarą i ufnością, jak kochający ojciec przemawia do dziecka. Stłumiłam niepokój i słuchałam dalej.

- W obrazie podoba mi się to, że każdy ma w nim swój udział. A zatem jest to nasza wspólna twórczość. - Mówił tak, jakby kierował te słowa do siebie. - Piękno katedry powstaje dzięki ciężkiej pracy setek ludzi, których imion wcale nie musimy znać. W śpiewie chóralnym żaden głos nie dominuje, a jest on piękny. Potęgą cechu służy mistrzom i czeladnikom.

Znów westchnął, a jego westchnienie było smutne jak deszcz rozpluwający się w słonecznym ogrodzie.

- Ojcie, wszak słyniesz z tego, że twój dom jest otwarty dla wybitnych ludzi. Przyjeżdżają do ciebie uczeni mężowie z całej Europy. I nie po to, by popisywać się wiedzą i umiejętnościami, lecz by ci je ofiarować.

Bo jesteś jednym z nich i umiesz właściwie ich ocenić. Pragną twego towarzystwa, chcą być blisko ciebie, bo też jesteś geniuszem jak oni. - Bardzo starannie dobieierałam słowa.

- Ach, nie! - zamachał ręką, skromnie zaprzeczając. - Nie mam w sobie ani krzty geniuszu. Jestem skromnym prawnikiem i urzędnikiem państwowym. I coraz częściej czuję się jak człowiek, którego epoka już minęła. Tęsknię do dawnych czasów, kiedy pracowało się wspólnie i świat szedł do przodu, bo wszyscy zgodnie pełnili wolę bożą.

Po raz pierwszy zwrócił twarz w moją stronę. Malował się na niej upór i zdecydowanie.

- Jak ci to wytłumaczyć, Meg? W latach mojej młodości w kraju toczyła się wojna, a więc powinniśmy byli czuć się znacznie mniej pewni swego losu i bardziej zagrożeni niż dziś, w czasach pokoju i obfitości - ciągnął. - Tymczasem wcale tak nie było. Co rano chodziłem do szkoły przy kościele Świętego Antoniego, a Londyn był prawdziwym miastem bożym. Klasztory męskie i żeńskie, siedziby cechów, kościoły... Wszyscy... mężczyźni, kobiety i dzieci... znali swoje miejsce i swoją rolę. Wiedzieliśmy, ile waży bochenek chleba i jaka jest wysokość kwoty wypłacanej ojcu narzeczonej i opłaty za mszę za zmarłych. Znaliśmy też słowa Pisma Świętego, wiedzieliśmy, ile trwa nauka czeladnicza w cechu powroźników, i mieliśmy szacunek dla naszych ojców, monarchów i dla ksiąząt Kościoła. Takim życiem obdarzył nas Bóg. Nawet podczas wojny żyliśmy z Nim w pokoju.

Doszliśmy do drzwi Nowego Pawilonu. Ojciec szukał klucza przy pasku. Czułam się niezwykle wyróżniona tym, że odkrywa przede mną swoje myśli. Bardzo chciałam, aby trwało to jak najdłużej.

- Teraz wydaje mi się, że świat jest pełen hałaśliwych, sprzecznych i znoszących się nawzajem głosów, które krzyczą: „słuchaj mnie!”, „nie, mnie!”, „nie, mnie posłuchaj!”. Czasami ma się wrażenie, że zapanowała anarchia. Niektóre głosy pochodzą od złego. Pretendenci do tronu, którzy wiele razy próbowali odebrać tron naszym królom. Wiarołomni księża prowadzący do rozłamu w świętym Kościele. Luter, Tyndale, ludzie pogrążeni w ciemności. Nie wszyscy są z gruntu źli. Jak na przykład młodzi, którzy mogą korzystać z wszelkich możliwych swobód naszych czasów, lecz nie mają należnego szacunku dla świętego Zakonu Bożego. Wydaje im się, że mogą go lekceważyć i przede wszystkim chcą pokazać siebie. Jak młody Holbein. Pod wieloma względami to właśnie tacy... jak Holbein... budzą mój największy niepokój. Bo jeśli chce się przywrócić utraconą harmonię świata, zaprowadzić na nowo szlachetne zasady i prawa łączące ludzi między sobą i z Bogiem oraz odpędzić ciemności, to aż się prosi, by potępić człowieka, który otwarcie wyklina to wszystko... Lutra. Ale co zrobić z Holbeinem?

- Ach, ojciec... - rzekłam bezradnie. Trochę go rozumiałam, że w indywidualności artysty widzi zagrożenie, które może przerodzić się w herezję takiego Marcina Lutra czy Williama Tyndale'a. Ojciec został wychowany zupełnie inaczej i inaczej odbierał świat. Wzruszał mnie jego szacunek i posłuszeństwo wobec dziadka, czego nie wahał się okazywać publicznie. Stary sir John, niegdyś despotycznie rządzący rodziną, surowy człowiek starej szkoły, który za najlepsze środki wychowawcze uważał chłostę, głód i trudy życia, zawsze zajmował pierwsze miejsce w kościele i przy stole. Spełniano każdą jego zachciankę, stosowano się do jego opinii. I nawet gniewne stuknięcie laską w niczym nie zmieniało postępowania ojca - starał się zapewnić starcowi wszelkie możliwe wygody. A przecież ojciec nie wychowywał się w tak cieplarnianych warunkach jak my. Jeszcze przed śmiercią matki często zostawał pod opieką piastunek. Nie było żadnych cukierków ani

marcepanów, gdy dobrze nauczył się lekcji - był za to strach przed chłostą, gdyby o tym zapomniał; i to nie pawimi piórami, którymi ze śmiechem wymachiwał w naszą stronę, ale kijem. Nasze dzieciństwo było zupełnie inne; ojciec nagradzał nas szczerze za rozwijanie talentów i zdolności, co znaczyło, że nie godził się z taką surowością. Jednak w dzieciństwie wbito mu do głowy tyle pokory i szacunku dla porządku świata - znacznie więcej, niż dotąd zdawałam sobie sprawę - że pewne rzeczy jego zdaniem nie powinny nigdy się zmieniać, bo taka jest wola boża. Dlatego lękał się odwagi, z jaką twórcy, tacy jak mistrz Hans, podchodzili do spraw sztuki.

Zrozumiałam to teraz, co nie oznaczało wcale, że się z nim zgadzałam. Nerwowo gniotłam w palcach suknię.

- Mistrz Hans to dobry, życzliwy człowiek, ojciec - zaprotestowałam słabo. - Z pewnością wykorzystuje swój talent zgodnie z zamiarami bożymi. Nie ma w nim nic bezbożnego.

Zaśmiał się cicho, co mnie trochę uspokoiło.

- Nie sądzę, by był bezbożnikiem. Nic takiego nie powiedziałem. Wiesz, Meg, że jestem człowiekiem ostrożnym w wyrażaniu opinii. Holbein to dobry człowiek i zdolny malarz - ciągnął dalej dobrotliwym tonem. - Lubię go. Mam na myśli jedynie to, że patrząc na niego, widzę, jak bardzo się wszystko zmieniło od czasów mojej młodości. Jego obraz świata jest według mnie zbyt egoistycznie własny. Niepokoi mnie, że Holbein uważa, iż życie to wolność. Takiej wolności właśnie się obawiam, bo ona może zniszczyć łączące nas więzi i posłać wszystkich w otchłań na wieczne zatracenie.

Wszedł do środka i zaczął zapalać świece. Mój wzrok padł na *Noli me tangere* Holbeina. Kupił to dzieło pierwszego dnia pobytu malarza w naszym domu - promienny Chrystus cofający się przed zmysłową Marią Magdaleną.

- Nie wszystkie jego prace budzą mój niepokój - dodał ojciec na pociechę, zauważywszy, że patrzę na obraz. Sam też na niego spojrział. - Tu na przykład widać, iż malarz uznał swój talent za dar od Boga. Podoba mi się ta pokora. Jest to dzieło człowieka, który swe uzdolnienia oddał w służbę Bogu i pragnie wyrazić Mu swą wdzięczność. W tym wypadku widzę w mistrzu Hansie pokrewną duszę...

Nabrałam odwagi i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Ale, ojciec - podjęłam dyskusję. - Portret naszej rodziny wcale nie miał być religijny. Nawet jeśli ci się nie podoba, nie możesz odpowiedzialnością obarczać jedynie mistrza Hansa. Nie pamiętasz? Sam go przecież namawiałeś do malowania w ten sposób. Przez cały wieczór uzgadnialiście szczegóły, a potem wszyscyśmy się tak właśnie ustawili. Bawił cię pomysł, by w sercu rodziny znalazł się błazen. To wasze wspólne dzieło.

Zapadła cisza. Ojciec spuścił wzrok, westchnął i zmęczonym gestem potarł czoło, jakby tam czał się ból. Potem popatrzył na mnie, a ja odpowiedziałam śmiałym spojrzeniem.

- Zmierzasz prosto do sedna, Meg - rzekł z jakimś dziwnym żalem. - I być może masz więcej racji, niż myślisz, a ja nie mam odwagi się przyznać, że jest w tym też moja wina. Dawniej byłem zwolennikiem krzewienia wolnej myśli, eksperymentowania... może za bardzo. W szczęśliwych czasach naszej młodości każda zmiana wydawała się ekscytująca, wszystko było świeże i niewinne. Teraz, gdy słyszę te same pełne zapału okrzyki: „Ja! Ja!” ...albo gdy widzę, jakich zniszczeń dokonują ci, którzy tak naprawdę spełniają dzieło szatana... dręczy mnie myśl, w jakim stopniu zawiniłem wobec Pana tą zabawą w naprawianie i zmienianie. W

jakim stopniu moja własna próżna ciekawość odpowiada za otwarcie puszek Pandory i wypuszczenie zła, które pofrunęło w świat...

Patrzył z takim bólem i cierpieniem, że na ten widok moje oczy napełniły się łzami. Nie umiałam znaleźć słów, które odegnałyby jego troski, lecz w przypływie śmiałości wzięłam go za rękę. Drobny to gest pociechy, ale miałam nadzieję, że go zrozumie.

Skórę miał wysuszoną i chłodną. Nie cofnął ręki i nie odwrócił wzroku, a mnie się zrobiło rażniej na sercu, bo ból w ciemnych oczach nieco zelżał.

- Świat się zmienia - rzekłam cicho. - Nie ma w tym niczyjej winy... To nie dlatego, że ktoś coś złe zrobił... po prostu nie da się cofnąć czasu... Nie miej do siebie żalu, ojczu. Nie jesteś niczemu winien.

Patrzył na mnie z uwagą. W jego spojrzeniu z wolna ból ustępował i znów pojawiło się znajome, lekko krytyczne rozbawienie, z jakim traktował życie.

- Widzę, że ty też jesteś dzieckiem tego nowego świata, Meg - powiedział już prawie zwyczajnym tonem. - Wiem... - podniósł dłoń, powstrzymując cisnące się na usta oczywiste w takiej sytuacji słowa - ...że dzięki wykształceniu, jakie ci dałem. Widzę, że uważasz mnie za starego i staroświeckiego człowieka. Być może taki jestem. Być może.

Na jego ustach zagościł cień uśmiechu, a mnie ogarnęła nagle wielka i radosna pewność. Ten człowiek nie mógłby popełnić żadnego okrucieństwa. John ma rację. Za szybko wyciągnęłam wnioski i zupełnie niepotrzebnie od miesięcy żyłam w strachu, że do duszy ojca zakradła się ciemność. A to dlatego, że nie wiedziałam, po co tak naprawdę ojciec sprowadził więźnia do naszej kordegardy. Teraz, po tej szczerej rozmowie tylko we dwoje, nabrałam pewności, że ojciec jest zbyt rozsądny, by stać się fanatykiem. Ulga, jaką przyniosło to odkrycie, była wprost niebywała.

Jak długo staliśmy w kręgu światła rzucanego przez świece, patrząc na siebie niemal tak, jak byśmy byli kochankami? Tylko postacie z obrazu Hansa Holbeina mogłyby na to pytanie odpowiedzieć.

- Pomodlisz się ze mną, Meg? - poprosił łagodnie, puszcżając moją rękę. - Podziękujemy za wyzdrowienie Margaret.

Gardło miałam ściśnięte. Skinęłam głową i uklękliśmy. Starając się nie patrzeć na bicz wiszący za drzwiami, modliłam się wraz z nim, byśmy wszyscy wierzyli w to samo, zachowali pokój między sobą i przymierze z Bogiem. Moje usta szeptały łacińskie słowa, które ludzie wymawiali od setek lat, a myśli powędrowały do Londynu z czasów dzieciństwa ojca. Do bożego miasta.

Już samo przejście odchodzącymi od Świętego Pawła ulicami Ave Maria i Paternoster było aktem modlitwy. Wierzyłam, że portret naszej rodziny pędzla mistrza Hansa jest także dziełem bożym, wyrażonym w zupełnie nowej formie podziękowaniem za szczęśliwe czasy. Czułam się też wyróżniona i zaszczycona tym, że ojciec mówił ze mną o własnej wizji Boga i o swojej tęsknocie za utraconą niewinnością dzieciństwa. Był to kolejny dowód na to, że mój Bóg uśmiecha się do mnie i czyni moje życie lepszym. Nawet jeśli w tym spotkaniu zabrakło serdecznego uścisku, o jakim marzyłam od dziecka, była to największa bliskość, do jakiej przybrany ojciec kiedykolwiek mnie dopuścił.

- Co powiedziała by ojciec? - Pijana szczęściem patrzyłam, jak John rozprostowuje moje ramię, na którym tańczyły plamy słońca przesianego przez liście, i bardzo wolno przesuwa palcem po skórze. Gdy dotknięcie dotarło w okolice nadgarstka i dłoni, zadrżałam z rozkoszy i przymknęłam oczy.

- On wie - wymruczał w odpowiedzi. Palec dotarł do końca drogi. John uniósł moją rękę do ust. Lekko pocałował niewielką wypukłość obok kciuka, dotykając językiem skóry i delikatnie skubiąc ją zębami. Przerwał rozpromieniony. - Oczywiście, i ty wiesz, Meg, że on wie.

Zabawne, ale tak właśnie było. Tamtego ranka nagle wszystko stało się proste. I stopniowo stawało się coraz prostsze - w cienistym lasku, dokąd poszłam za nim w drodze powrotnej z wioski, w której na szczęście nikt więcej nie zachorował, rozkosznie senna od brzęczenia owadów i widoku słońca odbijającego się w złotej wodzie rzeki. Pokiwałam głową, jakbym świetnie rozumiała. Wydawało mi się, że rozumiem.

John ujął moją rękę, jeszcze czującą na sobie jego pocałunek, i położył ją sobie na biodrze. Drugą ręką dotknął mojej talii i przesunął ją w dół. Było to jak taniec, w którym nasze ciała znały wszystkie kolejne kroki. Oparłam się o pień drzewa, a on stał blisko, tak blisko, że czułam na sobie bicie jego serca. Patrzył mi w oczy i na jego ustach błąkał się lekki, radosny uśmiech, kiedy szeptał między oddechami:

- Pewnie kazałby mnie wychłostać, gdyby nas zobaczył... Ale przecież tak właśnie miało być. Wydał za mąż wszystkie córki, ciebie zachowując dla mnie. Wie, dlaczego tu przyjechałem. Po ciebie.

Jego słowa przynosiły pociechę i ulgę, że nie zapomniano o mnie w rodzinie, gdy ojciec układał kolejne małżeństwa; że w tym wszystkim był jakiś cel. Gorące słońce na moich ramionach było wprost rozkoszne i wydawało mi się, że w bliskości ukochanego zmieniam się w strugę płynnego miodu, że rozpływam się w pocałunkach, którymi okrywał moją szyję.

Jakiś czas później, patrząc na leżące na ziemi części garderoby i na własną nagość, pomyślałam z uczuciem zdziwienia, że nie miałam pojęcia, że to jest tak. Wtuliłam się głębiej w silne, męskie ramiona, pełna wspomnień będących doznaniem bez słów, szczęściem samym. Gęste czarne włosy na jego piersi przechodziły w linię biegnącą w dół przez płaski brzuch. Miał jasną skórę i pokryte ciemnymi włosami silne ramiona i nogi. Poruszył się, uchylił powieki, podniósł rękę i z uśmiechem przyciągnął moją twarz. Przesunął dłonią po moim ciele, wodząc za nią wzrokiem, zatoczył kręgi wokół piersi i zaśmiał się cicho z wyraźnym zachwytem, jaki i ja odczuwałam.

- Piękne - rzekł sennie. - I moje. - Znow zamknął mnie w ramionach.

Kiedy się obudziłam, leżał oparty na łokciu i patrzył czule, a we mnie wezbrało szczęście.

- Wygląda na to, że będziemy małżeństwem lekarzy - stwierdził. Zupełnie nie przejmował się tym, że jest nagi, jakby w ogóle nie czuł podmuchu burzącego wlosy. Zawstydziałam się swojej nagości i zaczęłam szukać koszuli. Wstyd mi było z jeszcze jednego powodu: że nie byłam wobec niego szczerą i nie przyznałam się, jak wyleczyłam Margaret. Z drugiej jednak strony bałam się mówić o korze wierzbowej komuś tak uczonemu; lękałam się, że wyśmieje mój lek; uzna, że to zabobon starych bab. Poza tym, będąc na jego miejscu, poczułabym się zapewne urażona, gdyby jakaś nieuczona dziewczyna dokonała tego, czego ja, wiedząc od niej znacznie więcej, nie zdołałabym zrobić. Nie do końca miałam rację: przecież choroba zabijała jednych, a innych oszczędzała; była to po prostu wola Boga, niekoniecznie mająca coś wspólnego z naparem, jaki podałam Margaret. A John i tak wykazał się wielką odwagą, ryzykując własne życie i zdrowie, by leczyć chorych

biedaków z Deptford. Naciągałam pośpiesznie bieliznę, gubiąc się nieustannie wśród rękawów, guzików i tasiemek, i zastanawiałam się, co zrobić z tym fantem, kiedy usłyszałam jego głos.

- Powiesz mi, co jej podałeś?

Pytał ze zwykłej ciekawości.

- Twój ojciec mówił, że dałeś jej do picia jakiś wyciąg... - kontynuował. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że patrzy na mnie z wielką życzliwością i dobrocią. Dobrze pamiętałam to spojrzenie ze szkolnych czasów. Zawsze tak patrzył, gdy czekał na odpowiedź na jakieś szczególnie ważne pytanie. - Chętnie się dowiem - dodał, a ja zrozumiałam, że mówi szczerze i że na pewno mnie nie wyśmieje.

Odpowiedziałam jednak z ociąganiem.

- No... więc, kiedy czekałam... że dotrze do ciebie wiadomość... podałam jej korę wierzby. Dawno temu mówiła mi o tym pewna kobieta na Bucklersbury. Podobno schładza krew. Wcześniej już ją wypróbowałam... a teraz byłam w rozpacz i bardzo chciałam pomóc... Chyba po prostu miała szczęście. - Głos mi zamarł.

Uśmiechnął się bez cienia wyższości czy szyderstwa. Wyraźnie go to zaintrygowało. Doceniłam w tym momencie, jak niewiele John ma w sobie pychy, i zachwyciła mnie jego prostota. Odetchnęłam z ogromną ulgą, że nie poczuł się zagrożony zastosowaniem przeze mnie skutecznego leku, o którym on nie pomyślał. Taka skromność mogła wiązać się z jego dojrzałością i dotychczasowymi przeżyciami: dorastał zaraz po wojnie domowej i na własnej skórze poznał nieszczęścia, których my, urodzeni w czasach pokoju, nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić.

- Kora wierzbowa - powtórzył. - Masz dobrą rękę do leczenia i intuicję. Trzeba powiedzieć o tym doktorowi Buttsowi, skoro mamy współpracować. Można by stosować ją częściej i sprawdzić, dlaczego pomaga. Miałabyś coś przeciwko temu, Meg?

Zgodziłam się natychmiast, cała w rumieńcach, ale już nie ze wstydu z powodu nagości, lecz dlatego, że zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Z dumą pomyślałam, że moje zwykłe domowe środki mogą mu pomóc w pracy. Nabrałam śmiałości i przyznałam się jeszcze do czegoś.

- Ucieszyłam się, że przetrwała kryzys, zanim puściłeś jej krew. Bardzo się tego boję.

Zamiast mnie skrytykować za głoszenie medycznych herezji pokiwał głową w zamyśleniu.

- Tak - westchnął. - Często sam się zastanawiam, czy to jest rzeczywiście skuteczne.

Zauważył moje zawstydzenie i najwyraźniej postanowił nie peszyć mnie więcej, bo wziął koszulę, strzepnął i zaczął wkładać. Był szczęśliwy i zadowolony.

- John... - zaczęłam. Intymność, jaka się między nami wytworzyła, dodała mi odwagi, by zadać pytanie, którego dotąd nie ośmieliłam się wypowiedzieć. - Mamy się pobrać, więc chętnie dowiedziałabym się czegoś o twojej rodzinie. Nic o tobie nie wiem, ani skąd pochodzisz, ani kim są twoi krewni. Pojawieś się w moim życiu jako człowiek dorosły, nauczyciel... Gdzie byłeś przedtem?

Samo pochodzenie Johna nie miało dla mnie większego znaczenia. Wielu znanych ludzi pochodziło znikąd. Pojawiali się na zgliszczach pozostałych po walkach, które unicestwiły połowę arystokracji, doprowadziły do upadku wielkich fortun i wywołały chaos w całym kraju. Kardynał Wolsey był synem rzeźnika, jego sekretarz Thomas Cranmer - synem szynkarza. Dziadek ojca był piekarzem. John zawsze należał

do naszego grona i to wystarczało; ale jeśli mieliśmy się stać jednym w oczach Boga, to chciałam cokolwiek wiedzieć o rodzicach, siostrach, braciach i miejscu, z którego pochodził.

Rozejrzał się dokoła, a wiatr rozwiewał poły jego koszuli. Czułam na sobie jego zapach budzący wspomnienie naszej bliskości. Podszedł do mnie i pomógł zawiązywać tasiemki.

- Mamy całe życie na takie opowieści, więc nie musimy się śpieszyć. - Zauważyłam, że starannie dobiera słowa. - Rodzinę straciłem jeszcze za młodu. Mój ojciec zmarł. Miałem dobrego ojczyma, ale jego też straciłem. Później mieszkałem u mojej ciotki w Burgundii... aż do jej śmierci. - Patrzył w dal nieobecny wzrokiem. - Studiowałem na uniwersytecie w Lowanium i podróżowałem. W czasach młodości jeździłem wszędzie, usiłując... - urwał na chwilę - ...odnaleźć kogokolwiek z rodziny. Szukałem ludzi pamiętających mnie z okresu tuż po wojnie. Nie tylko w Niderlandach. Zjeździłem wzdłuż i wszerz całe królestwo, byłem w Irlandii, byłem w Szkocji. Bez rezultatu. Z krewnych pozostał mi tylko brat, z którym nigdy nie byliśmy w dobrych stosunkach... - Zamyślił się. - Dziwne... teraz jest w Londynie. Po powrocie bardzo chciałem się do niego zbliżyć. Ale między nami panuje chłód. Powstała zbyt wielka przepaść, chyba nie do pokonania.

Trochę go rozumiałam. Patrząc na jego zafrasowaną twarz, pomyślałam o Elizabeth i obiecałam sobie, że przy następnym spotkaniu spróbuję zrobić coś, żeby poprawić nasze wzajemne stosunki.

- No i tak to było - westchnął John, już w pończochach, sięgając po spodnie. - Erazm powtarzał mi... twój ojciec też to mówił... że znajdę nową rodzinę wśród ludzi nauki. - Wstał, strzepnął ubranie i podał mi spódnice równie zręcznie jak panna służąca. - Rzeczywiście, poczułem się wśród was jak we własnym domu i zacząłem nowe życie. Ale najważniejsze, że... mam ciebie. - Uśmiechnął się, mówiąc te słowa. A ja byłam niewiele mądrzejsza niż przedtem; może on już na zawsze pozostanie zagadką? - Teraz my będziemy dla siebie rodziną. - Pocałował mnie w czoło. - Zupełnie mi to wystarczy.

Obrócił mnie plecami do siebie i fachowo zajął się sznurowaniem tasiemek gorsetu.

- Wciągnij powietrze! - polecił, chowając wystający kawałek koszuli pod stanikiem sukni.

Zadziwił mnie zręcznością i praktyczną wiedzą na temat kobiecego ubioru.

- Moglibyście być panną służącą, mistrzu Johnie - stwierdziłam dość kwaśno.

Śmiejąc się, wiązał tasiemki, jakbym była lalką. Nie wstydził się swojej umiejętności sznurowania sukni ani mocowania kołnierzyka, o czym przekonałam się chwilę później. Był z siebie bardzo zadowolony. Podjął z ziemi mój czepek, nałożył i poprawił, chowając pod nim włosy. Przyszło mi wtedy do głowy, że chce mi przez to coś powiedzieć.

- Ha, no cóż - odparł z uśmiechem na moje pytające spojrzenie. Był w doskonałym nastroju. - Dla dobra prawdy muszę ci wyznać, Meg, że nie zawsze byłem wierny wspomnieniom o tobie.

Niechętnie tego słuchałam. Wołałabym nie wiedzieć, ale też nie chciałam uchodzić za naiwną gęś. Całe moje dotychczasowe szczęście gdzieś się podziało.

- Włochy... - bąknęłam nieśmiało, starając się, by nie zabrzmiało to jak wyrzut.

Szybko wyjaśnił, najwyraźniej nie rozumiejąc moich intencji.

- Nie... we Włoszech akurat żyłem jak mnich... Tutaj, na dworze króla Henryka. W tym gnieździe rozpusty, znanym w całej Europie z tego, że przyciąga ludzi świeżo wzbogaconych, pragnących się pokazać w wielkopańskim blasku, złaknionych kariery, chwytających każdą nadarzącą się okazję. Aż nazbyt dobrze się

przekonałem, jak bardzo opowieści te są prawdziwe. Dworskie zabawy niezmiennie kończą się tak samo: strumienie wina, szaleństwo i rozpusta. A najbardziej rozwiązały się mężatki. Najpierw flirtują niewinnie, kryjąc twarze pod maskami, a nad ranem, rozgrzane winem, zrobią wiele, byle tylko znaleźć się w czyimś łożu... albo w ogrodzie różanym skąpanym w świetle księżycy... powolne wszystkiemu, co tylko podszeptnie rozpalona trunkiem wyobraźnia mężczyzny. Ja też uległem, przyznaję... - Jakieś wspomnienie nasunęło mi się w tej chwili, bo wyraźnie skruszony ujął w dłonie moją przerażoną twarz. - Och, Meg, nie patrz tak na mnie... nie sądz zbyt surowo. Taki właśnie wieczór przywrócił mi rozum. Dzięki niej... Przypomniała mi ciebie. Pojąłem, że pora z tym skończyć, że czas najwyższy odnaleźć dorosłą pannę Meg i poprosić o jej rękę.

Pocałował mój nos i spojrzał głęboko w oczy.

- Zadałem ci ból - rzekł ze smutkiem. - Powinienem być ugryźć się w język. Prawda bywa czasem trudna do zniesienia.

Odsunęłam się od niego i podniosłam z ziemi płaszcz. Upokorzył mnie i choć bardzo się starałam, nie zdołałam tego ukryć. Dopiero co, tu w lesie, oddałam się temu mężczyźnie; pomyślałam o bólu traconego dziewictwa, o czerwonych śladach pocałunków na piersiach i szyi, o splamionej bieliźnie. Nagle przeraziłam się, że za jakiś czas mężczyzna ten powie innej kobiecie to samo, co mnie: Przypomniała mi ciebie.

- To już należy do przeszłości, Meg - zapewnił mnie z żarem. Trzymał się z dala i nie próbował mnie dotykać, ale trafnie odgadł, jakie myśli szaleją mi po głowie. - Nigdy się nie oglądaj wstecz. To nie było nic ważnego. Inne kobiety dla mnie nie istnieją, gdy mam ciebie.

Otuliłam się płaszczem. John stał w pończochach, wysokie buty i płaszcz leżały porzucone wśród wygniecionej trawy i liści. Przypominał wielkiego bociana albo kruka; wysoki, czarny, niespokojny. Bardzo chciałam mu wybaczyć.

- Czy nie powinniśmy już iść? - spytałam, zmuszając się do uśmiechu. Wyraz ulgi na jego twarzy sprawił mi przyjemność. Sięgnął po buty i komicznie podskakując w jednym, wkładał drugi.

- Chyba czas... - odpowiedziałam, nim jeszcze zdążył doprowadzić się do porządku - ...powiedzieć ojcu, że się zgadzam, i poprosić o pozwolenie na nasz ślub. Zrobisz to dziś wieczorem?

Pragnęłam zostawić za sobą samotność i nie być już zdaną na łaskę innych.

- Dobrze. - Narzucił płaszcz na ramiona i ułożył starannie fałdy. Na jego twarzy pojawił się wyraz stanowczości i uśmiechnąwszy się do mnie, podał mi dwornie ramię. Ruszyliśmy w drogę powrotną. - Masz rację, żono - rzekł poważnie. - Słusznie mówisz. Dziś wieczorem.

Rozstaliśmy się przy bramie. John poszedł w stronę Nowego Pawilonu poszukać ojca, ja pośpieszyłam do siebie, ledwo dotykając stopami ziemi.

Zdjęłam suknię i stanęłam przed lustrem. Plecy i pośladki miałam podrapane, we włosach tkwiły żółta trawy, na piersiach widniały czerwone ślady, a między nogami krył się piekący ból. Za to usta były pełne i czerwone, a oczy lśniły niesamowitym blaskiem; i gdy przyniesiono wodę do kąpieli, nieco ociągałam się z zaturzeniem, bo chciałam jak najdłużej zachować zapach mego ukochanego. Umyłam się jednak starannie, długo szorując skórę, aż nabrała różowego koloru. W końcu zęby zaczęły mi szczekać od zimnej wody. Wytarłam się więc i namaściłam balsamem, gotowa wkroczyć w nowe życie, w którym nie będzie już skrywanych głęboko nadziei i lęków. Wybrałam żółtą suknię; miałam ją na sobie owego styczniowego dnia, kiedy on się zjawiał. Do

tego włożyłam mały sznurek pereł, które dostałam od ojca, gdy osiągnęłam pełnoletność, a których nie miałam okazji dotąd nosić. (Przypomniłam mi się dąs Anny Cresacre, gdy otrzymała od ojca sznurek groszków zamiast spodziewanych pereł, i doszłam do wniosku, że miałam od niej znacznie więcej szczęścia). Podmalowałam barwiczką usta i policzki. Daleka od zwykłej powściągliwości w zachowaniu, z uśmiechem szczęścia okręciłam się wokół siebie, ciesząc się dotykiem i szelestem wirującego jedwabiu. Pragnęłam wyglądać jak najpiękniej, gdy przy stole ojciec oznajmi wszystkim nowinę.

Nie miałam ochoty rozmawiać z nikim, dopóki zaręczyny nie zostaną oficjalnie ogłoszone, więc postanowiłam zaczekać u siebie do wieczery. Nie mogłam jednak skupić się ani na robótce, ani na lekturze. Czas włócił się niemiłosiernie. Parę pokoi dalej Margaret, leżąca jeszcze w łóżku, wesoło sobie podśpiewywała; służąca trzepała coś na korytarzu, a jejmość Alice na dole katowała lutnię. Podeszłam do okna i zobaczyłam w dole mistrza Hansa i mistrza Nicholasa. Cofnęłam się nieco, bojąc się, że mnie zauważą i zaproszą na wspólny spacer. Z ukrycia obserwowałam dwie wiewiórki biegające wesoło po trawniku, a potem wspinające się na drzewo. Słońce stało jeszcze dość wysoko na niebie. Wciąż za wcześnie było na szczęk naczyń w wielkiej sali, zwiastujący koniec popołudnia.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Zeszłam na dół, udałam się do zalanego słonecznym blaskiem ogrodu i przez jakiś czas rozkoszowałam się wonią róż i śpiewem ptaków. Wszystkie wrażenia, jakie w tej chwili odbierały moje zmysły, przypominały mi - budząc sekretne dreszcze - rozkoszny dotyk naszych ciał w lesie tego ranka; gdy siedzący na gałęzi szpak zerknął na mnie ciekawie oczkami jak dwa ciemne koraliki, natychmiast powróciło wspomnienie oczu Johna.

Wtedy zobaczyłam ojca, który z listem w ręku wolno szedł w stronę Nowego Pawilonu. Rażnym krokiem, niemal tańcząc po drodze pośród stokrotek i jaskrów, ruszyłam w jego kierunku. Stałam tak lekko, że mnie nie słyszał, więc aż podskoczył, gdy zniemacka położyłam dłoń na jego ramieniu i powiedziałam: „Ojcze!”. Odwrócił się. Spodziewałam się ujrzeć radość i entuzjazm, usłyszeć jego błogosławieństwo. Tymczasem nic z tego: był nieogolony, przygaszony i zatroskany.

- Ojcze, czy... - zawahałam się, widząc jego posępne spojrzenie - ...spotkałeś Johna?

Oczywiście, że nie spotkał, uświadomiłam sobie, zła na własną głupotę. Przecież John czekał na niego w Nowym Pawilonie, a on dopiero teraz tam szedł.

Po twarzy ojca przemknął cień współczucia i żalu.

- Wiem, że rozmawiałaś poważnie z Johnem - rzekł smutno, zupełnie jakby nie dosłyszał mego pytania. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. - Obawiam się jednak, że mam złe wieści. - Pokazał list. - Edward Guilford nie żyje.

Nic z tego nie rozumiałam. O co chodzi? Nawet nie wiedziałam, kim jest Edward Guilford. Ojciec co dzień otrzymywał listy z doniesieniami o kolejnych ofiarach gorączki potowej. Dlaczego nagle przejął się śmiercią jakiegoś nieznanego człowieka? Co to miało wspólnego ze mną i z moim pytaniem?

Najwidoczniej jednak uważał, że powinnam coś wiedzieć. Kiedy się upewnił, że tak nie jest, wyraźnie się rozgniewał.

- Nawet nie wiesz, kto to?

Zaprzeczyłam. Szczęście zaczynało się z wolna oddalać. Już miałam go prosić o jakieś wyjaśnienie, gdy dodał z jeszcze większą złością:

- Nie teraz, Meg.

Nigdy jeszcze nie widziałam, by ojciec był dla kogoś nieuprzejmy. A teraz bez słowa odwrócił się na pięcie i szybko poszedł do Nowego Pawilonu. Całkowicie tym zaskoczona, stałam w miejscu i patrzyłam za nim. Gdy był już blisko drzwi, z cienia wysunęła się jakaś postać i zbliżyła do niego. J o h n . Serce znów zabiło nadzieją. A John wszedł z ojcem do środka i zamknęli za sobą drzwi.

Poszłam nad rzekę. Przepęniały mnie niespokojne myśli i uczucia, których nie potrafiłam sprecyzować. Z roztargnieniem przyglądałam się przepływającym łodziom rybackim. W pewnym momencie podszedł do mnie uśmiechnięty mistrz Hans. Bez większych ceremonii spytałam od razu:

- Kto to jest Edward Guilford?

W końcu siedział dwa miesiące na dworze, to powinien wiedzieć. Nie zawiodłam się. Nie pytał o nic, tylko był wyraźnie zadowolony, że może popisać się swoją wiedzą.

- Sir Edward Guilford to jeden z najbardziej wpływowych ludzi na dworze. Przewodniczył w rozmowach w Greenwich. Wysoki, postawny, czarne włosy. - Poczul się ważny i sprawiało mu to przyjemność. - Wiele razy go widywałam.

- Dziękuję - skłoniłam lekko głowę.

Ale nadal nic z tego nie rozumiałam.

Zostawiłam mistrza Hansa nad wodą i wracając ścieżką obok Nowego Pawilonu, zajrzałam do środka. Z mrocznego wnętrza dobiegały głosy, ale zbyt ciche, by można było rozróżnić słowa. Chwilę się pokręciłam, lecz ponieważ nic nie zapowiadało rychłego końca rozmowy, oddaliłam się.

Do domu wróciłam od strony bocznego wejścia. Zatrzymałam się w progu, żeby popatrzeć na słońce zapadające za horyzont i wydłużające się cienie. Za bardzo byłam niespokojna, żeby podziwiać piękno natury, ale nie chciałam jeszcze wracać. Wreszcie się doczekałam. Wyszli z Nowego Pawilonu, ojciec zatrzymał się, żeby zamknąć drzwi na klucz, natomiast John szybkim krokiem ruszył w moją stronę, więc wybiegłam mu na spotkanie.

Nie zatrzymał się, wyraźnie zamierzając iść dalej. Oczy miał zaczerwienione i spuchnięte, na policzkach widniały mokre ślady łez. Ale to nie z mojego powodu płakał. Patrząc przed siebie pustym wzrokiem, po prostu mnie wyminął.

- John...! - zawołałam i pobiegłam za nim.

- Nie teraz, Meg - rzekł równie szorstko jak przedtem ojciec.

Wydawszy z siebie odgłos przypominający tłumione łkanie, przyspieszył kroku i znacznie zwiększając dystans między nami, uciekł do domu.

Jedno spojrzenie na twarz ojca wystarczyło, by nastrój przy stole stał się ponury. Najwyraźniej też nikt nie wiedział więcej ode mnie, co się stało. Mistrz Hans robił komiczne miny, zapewne mające wyrażać zaskoczenie, ale zaprzestał, kiedy nie okazałam zainteresowania. Johna nie było. Zdawało się to zupełnie nierealne, jakby do snu o szczęściu zakradł się jakiś straszny koszmar. Bardzo źle się czułam wystrojona w żółtą suknię i perły i usiłowałam jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Prawie nie odrywałam oczu od talerza i

staralam się nie myśleć o bólu - wspomnieniu grzechu - między nogami. Posiłek spożyliśmy w grobowym milczeniu.

- Dziś wieczorem wszyscy pójdziemy do kaplicy. - Ojciec odsunął nietknięte jedzenie. - Odbędzie się pogrzeb sir Edwarda Guilforda, który zmarł na gorączkę potową. Świeć, Panie, nad jego duszą.

Wszystkie głowy się uniosły, stołownicy dawali sobie ukradkowe znaki. Will Roper i Margaret (już wstała po chorobie, ale przy stole siedziała jeszcze w domowym stroju, otulona ciepłym szalem) wymienili zdziwione spojrzenia. Co to miało znaczyć? Oni musieli wiedzieć, kim był Edward Guilford, ale dopiero teraz się dowiedzieli, że zostanie pochowany w naszej rodzinnej kaplicy. Rzecz zupełnie niesłychana. Ojciec niczego więcej nie wyjaśnił. Obaj Niemcy, zapomniawszy o dobrych manierach, gapili się na nas wszystkich; jejmość Alice spuściła głowę i utkwiała wzrok w talerzu.

Przywdzialiśmy czarne płaszcze i oświetlając sobie drogę pochodniami, udaliśmy się do wioski. Margaret też poszła, mimo że była jeszcze słaba. Will prowadził ją pod rękę, jejmość szła z mistrzem Nicholasem, a pochód otwierali ojciec z Johnem, który dołączył do nas, gdy wyruszaliśmy. Był otulony płaszczem, który zasłaniał mu prawie całą twarz. Znów minął mnie bez słowa. Do nikogo się nie odzywał. Ramiona mu drżały.

Specjalnie szłam na szarym końcu, jak najdalej od niego, bo było to dla mnie zbyt upokarzające. Zamykaliśmy pochód z mistrzem Hansem.

- Nic nie rozumiem - szepnął bezradnie. - Co to za pogrzeb?

Pokręciłam głową na znak, że też nie rozumiem. Cały czas patrzyłam tylko przed siebie. Ogarniało mnie na przemian to dziwne otępienie, to uderzenie gorąca i przyływ wstydu. Czułam się zraniona i nieszczęśliwa. Za dużo wysiłku kosztowało mnie panowanie nad sobą, bym jeszcze mogła prowadzić rozmowę. Nie zachęcałam zatem mistrza Hansa do wynurzeń.

- Czy to przez ten pogrzeb dręczy was, pani, taki smutek? - Nie rezygnował, jak zwykle boleśnie szczerzy. Na dodatek szeptał bardzo głośno i wszystko było słyhać.

Znów zaprzeczyłam, choć wzruszył mnie swoją troską. Ostatnią wszakże rzeczą, jakiej bym sobie teraz życzyła, były osobiste pytania zadawane niemal na głos w obecności całej rodziny. Bałam się, że się rozplacę, i gotowa byłam zrobić wiele, żeby tylko uniknąć kolejnego upokorzenia.

- Nikt nie wie, co ma znaczyć ten pogrzeb - powiedziałam cichutko przez zaciśnięte zęby.

W kaplicy było jeszcze dziwniej, i to wcale nie z powodu księdza w żałobnym ornacie ani trumny otoczonej wianuszkami świec; i nie dlatego, że drzwi rodzinnego grobowca, zasnutę oparami kadzidła i wilgoci, były już otwarte i przygotowane na przyjęcie obcego człowieka. Najbardziej niezwykli byli ludzie klęczący we wnętrzu i pogrążeni w modlitwie. Sami mężczyźni, nieznajomi, wszyscy wysocy i przyodziani w czarne szaty. Przybyli niedawno z miasta, gdyż pod kaplicą stały parszające niespokojnie konie, pokryte kurzem drogi. Doglądali ich dworscy paziowie; spod czarnych płaszczy wystawały kolorowe pończochy i rękawy liberii. Obok w cieniu kryła się zbrojna eskorta. Żołnierze milczeli, lecz szcęk broni i lśnienie zbroi w mroku zdradzały ich obecność.

Obcy kolejno wstawali z klęczek, podchodzili do ojca i Johna i obejmowali ich w uścisku. Nachylone głowy szeptały coś do siebie. Ręce okryte czarnymi płaszczami dotykały pleców Johna, który nisko chylił głowę.

Gdy przebrzmiały ciężkie kroki przybyszów i ksiądz zaintonował *De profundis* („Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, o Panie, słuchaj głosu mego...”), ktoś ścisnął mnie za ramię.

- Spójrzcie tylko - szepnął mistrz Hans. Oczy miał tak szeroko otwarte, że zdawało się, iż zaraz wyskoczą z jego kwadratowej twarzy. Nie poruszył ręką, tylko uniósł prawy wskazujący palec i wymierzył go w stronę obcych.

Jeden z czarnych kapturów na chwilę opadł. Nim został z powrotem naciągnięty, zobaczyłam twarz mężczyzny stojącego obok Johna. Czerwona i nalana, o małych przenikliwych oczach i lisiorudym zarostem. Widziałam tę twarz zeszłej zimy w Chelsea. Człowiek ten spacerował po naszym ogrodzie z ojcem, swoim „starym przyjacielem”, omawiając trudną kwestię swego małżeństwa. Na zawsze pozostanie mi w pamięci twarz ojca, poważna i niespokojna, oraz mięsista ręka spoczywająca na jego ramieniu i od czasu do czasu poklepująca dobrodusznie.

- Widzieliście? - wyszeptał zdławionym z przejęcia głosem mistrz Hans. - Czyż to nie król?

Był bystrzejszy, niż się spodziewałam. Ale jakkolwiek niewiele rozumiałam z tego, co się dzieje, uznałam, że lepiej, by nie wiedział, że król jest tutaj. Powodowana zaskakująco dla mnie samej silną, rodzinną lojalnością, stanowczo zaprzeczyłam, zmuszając się do uspokajającego uśmiechu.

- No, nie! - szeptał gorączkowo. - To na pewno on. Widziałem go w Greenwich. To nie może być nikt inny.

Nie odpowiedziałam. Po skończonym nabożeństwie uciekłam stamtąd, jeszcze zanim ksiądz zaintonował ostatnie łacińskie słowa: „Jeśli zachowasz pamięć o grzechach, Panie, Panie, któż się ostoi?”. Gdy w zakrystii ksiądz i ministranci zdejmowali szaty, śpiewając *Kyrie eleison*, a pochodnie jeźdźców wracających do Londynu oddalały się w ciemności, ja szybko zmierzałam ścieżką w stronę domu.

Pogrążony w bólu John zapewne pierwszy opuścił kaplicę. Przedemną majaczyła jedynie postać ojca idącego z pochodnią. Pozostali domownicy, rozmawiając przyciszonymi głosami, dopiero wychodzili.

Niemal biegłam, chcąc dogonić ojca. Co chwila potykałam się na kamieniach i korzeniach, gałęzie drzew i krzaków chłostały mnie w ciemności, a do oczu napływały łzy, których tak bardzo nie chciałam pokazywać światu. Po raz drugi tego dnia złapałam ojca za ramię, tym razem niemal wbijając mu palce w ciało.

- Meg, kochana moja - rzekł z wielką dobrocią. Czy przygotowywał mnie w ten sposób na okrutny wyrok, że nie zgadza się na ślub? Strasznie bałam się spytać wprost, ale było to nie do uniknięcia.

- Powiedz mi, ojczu, błagam... - dyszałam, bezskutecznie starając się zapanować nad oddechem. - Ja muszę wiedzieć... Całe życie czekałam. Nic nie rozumiem... - Jego twarz ściągnęła się boleśnie. - Miał cię dziś prosić... I wtedy... to wszystko... - Ku własnemu przerażeniu zaczęłam niepowstrzymanie szlochać. Ojciec przyśpieszył kroku. - Musisz mi powiedzieć... Czy mogę wyjść za Johna?

Słowa te wreszcie padły. Przeraziłam się, że ojciec zostawi mnie bez odpowiedzi i po prostu odejdzie. Myśl ta wywołała łzy wstydu.

Nic takiego się nie stało. Zaskoczyłam go tak bardzo, że stanął jak wryty i oświetlił pochodnią moją twarz. Długą chwilę się przyglądał, po czym delikatnie otarł mi łzy. Spojrzał na swoje wilgotne palce. Przyłożył dłoń do czoła, jak człowiek walczący z bólem głowy.

Jego słowa znów niczego nie wyjaśniły.

- Oświadczył ci się... akurat teraz? - spytał z niedowierzaniem. Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie, a nie do mnie. - I co? Nic ci nie powiedział o Guilfordzie? - Był naprawdę rozgniewany. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Twarz mu pociemniała, uwidoczniła się na niej pasja, jaką być może oglądali heretycy w izbie tortur. Chwycił mnie mocno za rękę i bez słowa pociągnął w stronę Nowego Pawilonu.

Drzwi były otwarte, wewnątrz paliła się świeca. John Clement siedział w płaszczu, opierając na stole ukrytą w ramionach głowę, zobojętniały na resztę świata niczym śpiący ptak. Musiał słyszeć nasze kroki, ale nawet nie drgnął, gdy weszliśmy do środka. Podziałał na niego dopiero głos ojca, zimny i ostry jak brzytwa. Wtedy zrozumiałam, że to nie na mnie ojciec się gniewa, lecz na Johna.

- John - odezwał się ojciec surowo. - Meg mówi, że się jej oświadczyłeś. Przecież miałeś jej najpierw wyznać prawdę... A ty nic nie powiedziałeś. Ona musi się dowiedzieć o pewnych rzeczach. Chociażby o Guilfordzie. Zostawiam was.

Wyszedł. Rozległ się trzask zamykanych drzwi, a wtedy John Clement podniósł zaczerwienione oczy i spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

CZEŚĆ DRUGA

Dama z wiewiórką i szpakiem

8

Czasami rzeczywisty człowiek z krwi i kości jest mniej wiarygodny niż wywołany z mroków przeszłości. John Clement mrugał powiekami, ledwo rozpoznając twarz młodej kobiety. Była śmiertelnie blada i wystraszona, usta jej nerwowo drgały. Przed chwilą był w zupełnie innym czasie i miejscu. Mały chłopiec grający w ciupy z bratem Edwardem. Dwaj bracia przykucnięci na zamkowym korytarzu, gdzie hulał wiatr.

A za drzwiami krzyki i klótnie dorosłych.

Głosy były różne i stale się zmieniały. Ojciec krzyczał gniewnie i walił pięścią w stół; często towarzyszył temu rumor przewracanych mebli albo świst ostrza tnącego materiału. Stryjowie byli inni. Stryj Ryszard, posępny i ponury, a przy tym ostrożny niczym najmłodszy szczeniak w miocie, gryzł palec lub wargi i z wyraźną przyjemnością powiadał - z niemiłym północnym akcentem - o niewygodnych faktach oraz domagał się podjęcia konkretnych działań. Stryj Jerzy był jak wieczny chłopiec, który uparcie twierdził, że się pomylił; po każdym zdemaskowaniu prób grożenia, zastraszania, przekupstwa i szpiegowania na dwie strony - po każdej ujawnionej zdradzie. Nie wpływało to na jego dobry humor, przeciwnie - wywoływało kolejne ataki furii. Z dwóch babek jedna miała głos skrzypiący jak metalowe zawiasy, a druga była niby potulna i skrzywdzona przez los, dopóki nie wpadła w gniew, a wtedy przypominała jadowitego węża.

W takich sytuacjach oczy Edwarda odpowiadały spokojnie na spojrzenie przerażonego młodszego brata. Żaden z nich nie miał wpływu na życie dorosłych. Na ich bezwzględną żądzę krwi.

Trudno byłoby wymienić wszystkie miejsca, gdzie słuchali klótni po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Stale się przenosili, i wszędzie było tak samo - przeważnie w odwrocie lub w ataku, często mając do czynienia ze zdradą dawnego przyjaciela, sojusznika lub członka rodziny. Przerażone dzieci usiłowały jakoś za tym nadążyć, zrozumieć gromy rzucane na głowę kogoś, kto niedawno wypadł jak burza, czerwony z gniewu, grożąc zemstą, a nieobecny nie mógł się bronić przed zarzutami. Chłopcy usiłowali zrozumieć cokolwiek z relacji o najświeższych potyczkach. Nie chodziło wcale o to, po czyjej stronie była racja. Mieli na tyle zdrowego rozsądku i niezdrowej goryczy, by wiedzieć, że dorośli rzadko miewali rację. Po co zatem doszukiwać się winnych czy wysłuchiwać kłamliwych usprawiedliwień. Dzieci potrzebują o wiele prostszych wiadomości: czy życie znów się nie wywróci wskutek kolejnej bitwy i czy za tydzień nie znajdą się na innym, też pełnym przeciągów zamkowym korytarzu.

Wzrastali w atmosferze niepewności i strachu, tylko ich poziom wiedzy i świadomości się zmieniał. On był trzy lata młodszy czyli za mały by go darzyć zaufaniem. To Edwardowi mówiono różne rzeczy (tylko złe). „Ty będziesz kiedyś głową tej przeklętej rodziny, więc ci się to przyda” - bełkotał ojciec, popadając po pijanemu w ckliwy nastrój, ale był taki tylko w stosunku do Edwarda. Wylewał wtedy żale przed chłopcem, który z niechęcią tego słuchał, wcale nie chcąc być głową przeklętej rodziny. Nie interesowało go też, kogo oj-

ciec ściga, kogo chce zabić, z kim zamierza prowadzić wojnę, albo dlaczego najlepszy przyjaciel nagle stał się śmiertelnym wrogiem. Nie lubił siedzieć przy jednym stole z tym budzącym strach człowiekiem, miażdżącym w zębach kości kurcząt i wlewającym w siebie kolejne beczułki wina. Był dzieckiem cichym, małym i szczupłym. Chciał spokoju.

John Clement dobrze pamiętał swoją zazdrość, ale też i ulgę, że nie musi wysłuchiwać wszystkiego. Jako mały chłopiec gorąco pragnął znaleźć się w mocnym ojcowskim uścisku i słuchać wypowiedzianych ochryplym szeptem sekretów, nim pijany ojciec zapadnie w sen. Wolał natomiast nie pamiętać o pewnym rodzicielskim sekrecie, odkrytym niechcący. Miał wtedy osiem lat i włóczył się po korytarzu, pogwizdując pod nosem i zaglądnąc do kolejnych komnat. Czuł się jeszcze nieswojo po pogrzebie Anny. W jednej z komnat pod oknem zobaczył nakryty czymś, poruszający się kształt. Przyjrzał się bliżej - kształt okazał się ojcem, który dziwnie się kołysał i dyszał. Chłopiec zobaczył też nogę i rękę należące do kogoś, kto znajdował się pod spodem.

A także głowę z długimi, ciemnymi, kobiecymi włosami, odwróconą do niego tyłem. Uciekł i wciąż pogwizdując, wrócił do siebie. Ale ojciec zdążył go zauważyć. W komnacie John podszedł do okna i zaczął się bawić otrzymanym niedawno w podarunku sztyletem ze stosownymi insygniami wyrytymi na rękojeści. Wyciągnął go z pochwy, wsunął z powrotem i wyjął; znów wsunął i wyjął, z przyjemnością słuchając cichego szelestu. Nie myślał o niczym i zdziwił się, gdy do komnaty wpadł ojciec, poprawiając jeszcze na sobie strój, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na miejscu. Obrzucił chłopca niespokojnym wzrokiem.

- Zdaje się, że coś widziałeś. - Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie przepuścił żadnej kobiecie, i przymykali na to oko, ale on się bał, że się żona dowie.

- Nie! - John Clement zachował ten moment w pamięci. Mały chłopiec patrzył niewinnie na dorodną, rumianą twarz ojca, niby spokojnie i obojętnie, ale w środku aż wił się z obawy, że mogłoby dojść do dalszej rozmowy. - Nie wiem, o czym mówisz, ojcze. - Ulga, kiedy dorosły mężczyzna przyjął jego wyjaśnienie i wyszedł.

Nadal nie potrafił ocenić, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo, że był młodszym synem. Z jednej strony pomogło mu to zachować niewinność i trwać w niewiedzy o najgorszych ekscesach dorosłych. Ale z drugiej strony napełniło go goryczą jego uczucia do Edwarda, z którym przechodził wszystko. Groziło tym, że gdy dorosną, zaczną na wzór poprzedniej generacji niszczyć się nawzajem - krzyczyć, walić pięścią w stół i grozić bronią - jakby cała ta złość wspólnie znoszona latami była zatrującym duszę dziedzictwem, od którego nie ma ucieczki. Najpierw zapadło między nimi milczenie, potem się rozstali, gdy on wyjechał na kontynent, a na koniec zapanowała między nimi niechęć; wytworzyła się przepaść, nad którą nie dało się przerzucić mostów nawet wtedy, gdy po wielu latach przyznał, że Edward miał rację i warto było wyrzec się pewnych spraw w imię świętego spokoju i normalnego życia.

Jak na ironię to właśnie Edward pragnął pogrzebać przeszłość i wszystko zacząć na nowo. A John Clement, który dopiero w wieku dorosłym nauczył się, że za wszelką cenę należy unikać konfliktów, był - co teraz gorzko sobie wyrzucał - zapalonym, rozgorączkowanym raptusem. To on domagał się sprawiedliwości, zemsty, odpłaty za krzywdy. To on uważał Edwarda za tchórza i - co było niewybaczalne - wykrzyczał mu to w twarz. To on był winien rozdźwięku między nimi.

Edward nie żył i już niczego nie da się naprawić. Nie ma szansy, by z ponurego rodzinnego dziedzictwa wynikło coś pozytywnego; nie ma też z kim pogadać o dawnych dziejach. Pozostało tylko gorzkie wspomnienie pobytu w pałacu Lambeth i bólu w oczach Edwarda, gdy arcybiskup poszedł spać, a wtedy on buńczucznym młodzieńczym tonem rzucił słowo, które odbiło się głośnym echem w wysoko sklepionym wnętrzu: „Tchórz!”. Rano, gdy się zbudził, Edwarda nie było. A teraz został sam.

Czarnowłosa dziewczyna w białym czepku wpatrywała się w niego. Lęk malujący się na jej twarzy wywołał w nim litość. Dosyć, dosyć! Czas skupić się na tym, co go czeka teraz. Jest mężczyzną w poważnym wieku, a w ciągu tych lat, które minęły, odkąd grał z Edwardem w ciupy w coraz to innych, pełnych przeciągów zamkach Anglii, ta dziewczyna zajmowała jego myśli i marzenia.

- Meg - odezwał się. Słowa przychodziły mu z trudem, ale jej imię, ku swemu zdziwieniu, wymówił niespodziewanie łatwo i dzięki niemu wrócił do terażniejszości, w której kochał tę kobietę. - To był mój brat.

Westchnęła. Tego się nie spodziewała. Po chwili się uspokoiła i odprężyła. Zaczęła rozumieć i przestała się bać; znów patrzyła na niego z ufnością.

Podeszła bliżej i nachyliła się. Przez ułamek sekundy ujrzał jej twarz promieniejącą macierzyńską niemal czułością. Objęła go serdecznie i przytuliła jak małe dziecko. Dobrze mu było w jej ramionach, więc zwlekał z tym, co teraz musi nieodwołalnie nastąpić i czego bardzo się bał. Mignęło mu wspomnienie guzików poddających się palcom i żarliwych niebieskich oczu, gdy leżała na leśnej trawie. Nie mógł jednak sobie teraz pozwolić na rozpamiętywanie tamtych chwil; oto wzywa go terażniejszość. Najwyższa pora, by obecne nadzieje zwyciężyły smutną przeszłość. Lęk zasnuł rozkoszny obraz. Wiedział, co jest tego przyczyną, ale nie potrafił przeciwstawić się fali smutku. Czas zatem wszystko wyznać, jak nakazał sir Thomas. Tylko że gdy ona się dowie, może odejść. Na tę myśl zadrżało mu serce.

- Tak mi przykro - szeptała, tuląc go czule. - Strasznie mi przykro. Nie wiedziałam, że to twój brat.

Żałował, że nie widzi wyrazu jej twarzy, ale bał się podnieść wzrok. Wymawiając słowa współczucia, starała się panować nad głosem, by nie zdradzić swej wielkiej ulgi. Myślała pewnie, że wie już wszystko, i uwierzyła w przyszłe szczęście. Nie chciał jej tego psuć.

- To ten brat, o którym mówiłeś, tak? Z którym próbowałeś się pogodzić po dawnych kłótniach? - dodała dobrotliwie, kładąc dłoń na jego głowie. Skinął potakująco. - Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy... Nie czyń sobie wyrzutów... To nie twoja wina.

Nagle coś sobie przypomniała i nieco się cofnęła.

- Czy... właśnie o tym ojciec kazał ci ze mną rozmawiać? - W jej głosie zabrzmiał niepokój.

Nie potrafił odpowiedzieć, a ona wzięła to za potwierdzenie.

- Przecież nie zrobiłeś nic złego - uspokajała go. - Dlaczego był taki zagniewany?

Zebrał się w sobie, podniósł się, objął ją i przytulił. Stali oparci o stół.

- Nie wiem, jak mam ci to wytłumaczyć - szepnęła.

Spojrzała na niego z ufnością, która wprost bolała.

- Nie musimy już mieć przed sobą żadnych sekretów, prawda? - powiedziała cicho i spróbowała się uśmiechnąć.

- Bardzo chciałbym nie mieć przed tobą żadnych sekretów - westchnął. - Ale żyję na tym świecie znacznie dłużej niż ty i nazbierało się tego trochę. Niestety, nie jestem ideałem.

Wzięła go za rękę i przeplotła palce. Nie spuszczała z niego oczu. Ciężko mu jej spojrzenie, więc odwrócił wzrok. Popatrzył na jej białą dłoń i westchnął ciężko.

- Twój ojciec ma rację. Jeśli naprawdę mam być wobec ciebie uczciwy, muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć. - Mówił dość głośno, ale i tak odnosił wrażenie, że nie zdoła zagłuszyć bicia swego serca. - Bardzo bym nie chciał, by to cokolwiek zmieniło między nami - dodał szybko. Słowa płynęły teraz wartkim strumieniem; rozpacz to sprawiła. - Muszę ci wyznać pewne sekrety z mojej przeszłości. Pamiętaj jednak, że już zdecydowaliśmy wspólnie, co chcemy robić dalej. Liczy się teraźniejszość i przyszłość, a nie to, co zostawiamy za sobą. Oboje nie mieliśmy łatwego życia.

Zgodziła się z nim. Była nieco zażenowana, ale wciąż ufna, i nawet się uśmiechnęła.

- Czy chcesz mi powiedzieć o kobietach, które kochałeś? - spytała. - To dla mnie nieważne.

- Nie - pokręcił głową. - Widzisz... Czy pamiętasz z naszych lekcji, co mówiliśmy o... książętach w Tower? Mieliśmy nawet taką zabawę.

- Książęta zabici przez Ryszarda*. - Ochoczo podjęła temat w nadziei, że miłe wspomnienia z lat szkolnych go rozchmurzą. - Okrutnego, podstępnego stryja.

* Chodzi o synów Edwarda VI, małoletniego Edwarda V i Ryszarda księcia Yorku, którzy zostali uwięzieni w Tower na rozkaz stryja Ryszarda Glouceстера, sprawującego regencję. Obaj chłopcy zaginęli bez wieści.

Nie, chyba nie tędy droga. Sam nie wiedział, jak zacząć. Dawno nikomu tego nie mówił. Niewiele osób wiedziało, a tym, którzy wiedzieli, nie trzeba było tłumaczyć. Musi zacząć z innej strony.

- Mój brat miał na imię Edward - oznajmił.

- Wiem - odparła zaskoczona. - Sir Edward Guilford.

- Nie dziwi cię, że nosił inne nazwisko niż ja? - Machina poszła w ruch i nie wiadomo, jak to się skończy. Może uda się coś uratować, jeśli uczciwie powie wszystko.

Wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, czemu zadaje tak dziwne pytanie.

- Twoja matka wyszła po raz drugi za mąż? - W głosie jej zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie.

- Nie - odparł. Wyrecytował szybko: - To nie jest jego prawdziwe nazwisko.

Spojrzała uważnie.

- Czyżby nazywał się Edward Clement? - zapytała takim tonem, jakby spodziewała się potwierdzenia oczywistej diagnozy.

- Nie. - Zamknął oczy i wyrzucił z siebie: - Plantagenet. Edward Plantagenet.

Wszystko nagle odpłynęło, świat zamarł i pozostało jedynie pulsowanie krwi w uszach. Poczł kropelki potu zbierające się nad brwiami. Panowała całkowita cisza. Wreszcie podniósł wzrok. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Królewicz z Tower? - wyszeptała. Pokiwał głową.

- A ty kim jesteś? - Głos jej zamarł.

- Ryszardem - odparł gorzko. - Kiedyś nosiłem tytuł księcia Yorku.

Pomyślałam, że zwariował, że z tego żalu stracił rozum. Albo też zmyślił tę nieprawdopodobną historię, aby ukryć przede mną coś znacznie gorszego. A może i jedno, i drugie? Sama już nie wiedziałam, co myśleć. Od tego wszystkiego kręciło mi się w głowie.

Jedno było pewne: gdy imiona te wreszcie padły, odczuł ulgę. Wyprostował się, jakby pozbył się ciężaru przygniatającego barki. Oczy utkwione w mojej twarzy patrzyły wyzywająco („chcesz, to wierz, nie chcesz - nie wierz”), a jednocześnie błagalnie („uwierz mi”).

- Ależ oni zniknęli bez wieści... - Znieruchomiałam jak przerażony królik w pysku psa. Po chwili wrócił mi głos. - Zabito ich czterdzieści lat temu. Sam nas tego uczyłeś.

Zza okna, z ciemnego ogrodu dobiegały szelesty i nocne odgłosy zwierząt; w dali rozległ się niesamowity skowyt lisa. Powróciły wspomnienia ze szkolnych lat, kiedy to John zachęcał nas do czytania i otwierał przed nami nowe horyzonty. Jeśli tamta lekcja była kłamstwem, w takim razie cały ten, jakże ważny dla mnie, świat zdobytej wiedzy mógł być pełen innych zdrad i pułapek. Skoro tamto było kłamstwem, to ten stojący przede mną mężczyzna - w tej chwili się nie kulił, co zawsze budziło we mnie czułość i opiekuńczość - był człowiekiem zupełnie mi obcym.

Nowy John kiwnął głową.

- Ach, lekcja... - westchnął z żalem, a ja nie uwierzyłam, że jest mu przykro. Oszukańcza lekcja musiała należeć do strategii przetrwania. Drobnny epizod długiej historii. Oto czym była dla niego. - Wiedziałem, że o to zapytasz. Na ten pomysł wpadł twój ojciec, kiedy wziął mnie pod swoje skrzydła po moim powrocie do Anglii. Wszystko to wymyślił i tego kazał uczyć dzieci w szkole Świętego Pawła. Was też tego uczyłem. W ten sposób miała się rozejść pogłoska, że Edward i ja nie żyjemy. Opowiadając to wam, mogłem dopracować szczegóły, rozwiewając wątpliwości i odpowiadając na pytania. Dzięki temu mądre dzieci w domu sir Thomasa More'a... i w szkole Świętego Pawła... znając od dzieciństwa taką wersję wydarzeń, uważały ją za prawdę. Wystarczyło przekazać tę wiedzę następnemu pokoleniu, by powstały nowe dzieje Anglii. Poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy, i znacznie szybciej. Nawet tak mądry człowiek jak twój ojciec nie przewidział, do jakiego stopnia rzecz całą uwiarygodnicie*. Zaśmiał się niewesoło.

* Niedokończona książka Thomasa More'a *Historia króla Ryszarda III*, a potem tragedia Williama Szekspira *Król Ryszard III* utrwaliły w powszechnej świadomości obraz stryja-zabójcy. Podczas prac w Tower w XVII wieku odkryto w ziemi dwa dziecięce szkielety, jednak nie potwierdzono, że są to szczątki królewiczów.

- Szczycił się dokonaniem swoich dzieci, zadowolony był zwłaszcza wtedy, gdy z tak niezachwianą pewnością uśmierciliście małych królewiczów.

Mogłam to sobie wyobrazić: uśmiech na twarzy ojca, kiedy wymyślona przez niego historia stała się rzeczywistością, i tajoną satysfakcją, kiedy z ufnością powtarzaliśmy wyuczoną lekcję. Nie do śmiechu mi jednak było i nie potrafiłam cieszyć się z jego sprytu. Myśl, że za pomocą takich zabaw manipulowano mną i w dodatku robili to ludzie, których kochałam najbardziej na świecie, pęczniała we mnie, jakbym miała w sobie

piłkę ze świńskiego pęcherza, która podczas nadmuchiwania miażdżyła wszystkie żywotne organy w moim ciele. W ile jeszcze takich kłamstw uwierzyłam? Zacisnęłam dłonie na blacie stołu. Wzięłam głęboki oddech.

- Na tym nie koniec - dodał John Clement niemal z dumą. - Kiedy już „zabiliśmy” Ryszarda księcia Yorku, twój ojciec dokończył dzieła, zmieniając mnie w kogoś innego w swojej *Utopii*. Pamiętasz? To było latem, kiedy zabrał mnie za granicę. Występuję tam jako... „mój chłopiec John Clement”... W Antwerpii razem z nim i z Pieterem Gillisem słuchamy opowieści Rafała Hythlodæusa. Wszyscyśmy ją czytali i wiemy, ile tam żartów. Utopia... nieistniejąca kraina nad brzegiem nieistniejącej rzeki, rządzona przez nieistniejącego księcia nieistniejącego ludu. Ale najlepszym żartem było to, co zrobił ze mną. Czy zastanawiało cię, dlaczego nazwał mnie „moim chłopcem”? To nie tylko taki zwykły zwrot. To ocalenie. Nie zwiódłby tym nikogo, kto mnie zna; nikt, kto widzi siwiznę w moich włosach, nie pomyśli o mnie jak o chłopcu, ani o tym, że mógłbym nim być trzynaście lat temu, gdy książka powstała. Przed powrotem do Anglii w zeszłym roku wiodłem ciche i spokojne życie, nie spotykając się z nikim poza środowiskiem uniwersyteckim. Mało kto wiedział, ile naprawdę mam lat. A książka cieszyła się wielkim wzięciem w Europie. Tysiące ludzi ją czytały. „John Clement” - to jedyna wzmianka o mnie. Nikt podczas lektury nie zwraca szczególnej uwagi na moje nazwisko. Ale je sobie przypomina, słysząc później, i wtedy wydaje mu się, że muszę być znacznie młodszy, niż jestem w istocie. Za młody na Ryszarda księcia Yorku. Zwłaszcza jeśli ktoś miał w ręku europejskie wydanie z ilustracją przedstawiającą piętnastoletnie długowłose pacholę. *Utopia* była genialnym pomysłem. Dała mi bezpieczeństwo, czyniąc mnie nieistniejącym księciem.

Przez moment pomyślałam o pytaniu mistrza Hansa, jego zdziwieniu i mojej naiwnej pewności. Ta jego ilustracja. Chłopiec Clement. Wróciłam do teraźniejszości, gdzie John Clement patrzył na mnie wyczekująco, spodziewając się zachwyty wspaniałym intelektem ojca.

- Jeśli to prawda... - zaczęłam spięta i zdenerwowana, tak mocno ściskając blat, że palce miałam bladonie i zimne mimo gorącej nocy. - Jeśli rzeczywiście jesteś księciem Ryszardem... - Kiwnął potwierdzająco głową. Nie patrząc na niego, zacisnęłam ręce na piersi, jakbym pragnęła sama się utulić. - W takim razie, co naprawdę zdarzyło się w Tower?

Milczał chwilę, zastanawiając się. Nie pamiętał dokładnie tamtych wydarzeń, tylko zagrożenie i strach. Wszystko było groźne i straszne. Nikt się nie spodziewał, że ojciec umrze tak nagle. Każdy stał się wówczas intrygantem i wrogiem. Stryj Ryszard natychmiast zwrócił się przeciwko matce i jej krewnym. Główną stawką w tej rozgrywce był Edward.

Radykalna zmiana nastąpiła dziewiątego kwietnia. Stryj Ryszard przebywał wtedy na północy Anglii w swojej siedzibie w Middleham. Wcześniej, zaraz po Bożym Narodzeniu Edwarda odesłano do zamku Ludlow pod opieką brata matki, Anthony'ego Woodeville'a hrabiego Rivers. Matka zawsze dbała o to, by członkowie rodu brali czynny udział w wychowywaniu następcy tronu - niechętną sobie szlachtę lubiła kłuć w oczy pozycją i wpływami swoich krewnych. Pozostałe dzieci - w tym także on, naówczas dziesięcioletni - zostały z matką w Londynie. Wiedział więc tylko tyle, ile powiedziała mu matka. Otwierała przy tym szeroko oczy, unosila znacząco brwi, oddychała szybko i urywanie. Tulila dzieci do piersi, po czym odpychała je, by mogły zobaczyć, jak bardzo cierpi. Jakby jej uczucia były najważniejsze na świecie.

Dwa dni po śmierci ojca, kiedy rozpoczęto przygotowania do pogrzebu, lud londyński obwołał Edwarda królem. Edward V. Tak wiele pogrzebów było w ich dzieciństwie, że przywykł do wkładania czarnego stroju i na pamięć znał łacińskie słowa psalmu *De profundis clamavi ad te, Domine, Domine*. Rok wcześniej zmarła najstarsza siostra, Mary; a rok przed nią odeszła Anna, mała dziewczynka, którą poślubił w wieku lat czterech, aby ojciec mógł zagarnąć posiadłości pozostawione przez jej zmarłego ojca. Matka mówiła, że są rzeczy gorsze od śmierci. Miał szczęście, rzekła raz kwaśno, że uniknął straszliwych przeżyć, jakie były udziałem jej i jego sióstr, jeszcze zanim się urodził, kiedy wojska Neville'a* chciały pozbawić ojca tronu, a stryj Ryszard czekał niecierpliwie, żeby poślubić córkę Neville'a i zostać królem. Ojciec uciekł wtedy do Flandrii, a ona schroniła się z córeczkami w Westminsterze i tam urodził się Edward.

* Richard Neville (1428-1471), hrabia Warwick i Salisbury, bratanek Cecylii Neville, matki Edwarda IV, był jedną z ważniejszych postaci Wojny Dwóch Róż.

- Byłam całkiem sama - dodała dramatycznie, jakby żadna z towarzyszących jej osób się nie liczyła.

Rywalizujący o dobrą pozycję niczym figury szachowe członkowie rodziny przenieśli się do Londynu. Znowu doszła do głosu dawna nienawiść między rodziną ojca a krewnymi matki. Yorkowie nie mogli jej darować, że ta panna znikąd, o szczupłej twarzyczce i smukłej talii, przez swoje potajemne małżeństwo z Edwardem obróciła wniwecz strategiczne plany mariażu z francuską księżniczką. Obwiniali ją, że przez nią dorwała się do władzy i stanowisk cała ta zgraja jej krewnych, zagrażających prawowitym władcom Anglii.

Dwa tygodnie po śmierci ojca Rivers wyruszył z nowym królem z Ludlow w zbrojnym orszaku liczącym dwa tysiące ludzi.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu - powtarzała matka, niemal płacząc, kiedy dostała tę wiadomość. - Z Anthonym będzie bezpieczny.

Okazało się, że nie był. Tydzień później stryj Ryszard i jego przyjaciel Henry Stafford, księżę Buckingham, przejęli Edwarda i aresztowali Riversa. Matka płakała i niespokojnie przemierzała komnatę, załamując ręce. Pamiętał, jak starał się ją pocieszyć. Sam był przestraszony, ale i trochę znudzony tym wszystkim. Chwytał jej dłonie małymi rączkami i nieśmiało, jak to dziecko, błagał:

- Nie płacz, mamó, nie płacz!

Doskonale pamiętał, jak wolno i dramatycznie podnosiła piękne oczy, a potem z namaszczeniem tuliła go w swych przyobleczonych w żalobę matczynych ramionach.

- Miłość matki nie zna granic - deklamowała patetycznie. - Nie mogę się nie martwić.

Mały Ryszard aż zeszywniał z przerażenia, gdy usłyszał, że stryj na czas małoletności Edwarda został lordem protektorem królestwa i zabrał młodego króla spod opieki Woodville'ów, twierdząc, iż robi jedynie to, o co prosił go zmarły brat. Zwierzanie się z tych lęków nie przyniosłoby nic dobrego, więc milczał.

Po następnych czterech dniach królewski orszak przybył do Londynu. Matka nie czekała, pogrzeb bowiem już się odbył w Windsorze. Ale całe miasto było gotowe na przyjęcie nowego króla. Czwartego maja lord major, rajcy i pięciuset mieszkańców, przyodzianych w aksamity, wyszli powitać Edwarda. Na jego cześć

wydano ucztę. Przez kilka dni przebywał ze stryjem Ryszardem w pałacu Crosby, potem ulokowano go w królewskich apartamentach w Tower.

Mały Ryszard tych wydarzeń nie widział. Matka zabrała ich do Westminsteru - zgodnie z taktyką, która kiedyś się sprawdziła - i dalej prowadziła walkę z bezpiecznego schronienia.

- Nie przeżyłabym, gdyby któreś z moich dzieci wpadło w ręce tego podstępного lisa - łkała. Mały Ryszard zauważył, że jego starsza siostra Elizabeth jeży się na te słowa; omal się wtedy nie roześmiał. Odkąd sięgał pamięcią, odważna, choć dziecinna Elizabeth kochała się w starym, ponurym i nudnym stryju Ryszardzie o wąskiej ostrej twarzy. Marzyła, że stryjenka umrze i ona zostanie jego żoną.

Kilka dni później matka wezwała go do siebie. W rękę trzymała list, jej oczy lśniły skrywaną nadzieją.

- Mój synu - powiadomiła go uroczyście. - Pojedziesz i zamieszkas z Edwardem w królewskich apartamentach.

Zdziwił się niepomiernie.

- Mam wiadomość od Edwarda i od Ryszarda - rzekła tonem sugerującym, że sprzeciw nie wchodzi w grę. - Edward czuje się samotny. Poza tym, jak pisze stryj, obaj potrzebujecie jeszcze nauki. Powinniście być razem.

Nie przypomniał jej, co niedawno jeszcze mówiła o stryju Ryszardzie, wiedząc, że tylko by ją rozgniewał. Zdławiwszy lęk i złe przeczucia, pozwolił się odesłać. Miał dziesięć lat.

Edward naprawdę był samotny. I aż się rozjaśnił na widok brata wchodzącego do wielkiej, rozbrzmiewającej echem komnaty. Był jakiegoś sześć cali wyższy niż na Boże Narodzenie i znacznie szczuplejszy. Obaj nie należeli do dzieci okazujących uczucia. Starszy brat uśmiechnął się i powiedział jedynie:

- Ciupy?

Grali, potem czekali, grali i czekali i nic nie wiedzieli. Później się dopiero dowiedział, że wszyscy ważni stronnicy Edwarda zostali aresztowani: Thomas Stanley, biskup Yorku Thomas Rotherham, biskup Ely John Morton, dawny sekretarz ojca Oliver King, który zaczął pracować dla Edwarda i nagle przestał, a nawet Jane Shore*.

* Jane Shore była najsłynniejszą kochanką Edwarda IV.

W tym czasie zauważył jedynie, że zrobiło się cicho. Nadszedł dzień przymiarki szat koronacyjnych, a więc musiało to być przed dwudziestym drugim czerwca. Kiedy krawcy skończyli upinanie i poprawianie, strażnicy dziwnie unikali wzroku chłopców. Nauczyciel, gruby Włoch, który co rano przychodził do Tower na mszę i na lekcje, przekazał im list od matki. Podał go ukradkiem, gdy wychodzili z kaplicy. Napisany był w pośpiechu.

Krążą bezpodstawne i krzywdzące plotki o waszym urodzeniu. Nie wierzcie w nic, co usłyszycie. To kłamstwo, wierutne kłamstwo! Nikomu nie ufajcie.

Przeczytali go razem. Spojrzeli po sobie, uśmiechając się zuchowato z dziecinną brawurą. Edward bez słowa odłożył list i otworzył książki. Jednak po lekcji łaciny podszedł do Włocha, który właśnie szykował się do wyjścia.

- Doktorze Gigli - zaczął cicho i z godnością stosowną do swej nowej pozycji i roli. - O jakich plotkach mowa jest w liście matki?

Włoch, zazwyczaj rozmowny, wił się jak na mękach, tęsknie spoglądając w stronę drzwi. Jednak się złamał. W końcu nie zaszedłby tak wysoko, gdyby nie spełniał książęcych życzeń. Otóż biskup Bath i Wells Robert Stillington zeznali, że ich ojciec zawarł potajemne małżeństwo, zanim - również potajemnie - ożenił się z ich matką. Podobno dwadzieścia jeden lat temu ojciec w obecności biskupa wyraził chęć poślubienia pięknej młodej wdowy, lady Eleonor Butler. Gdy już ją posiadał, nie zależało mu na tym, by uświęcić małżeństwo w kościele. Zamiast uroczystych zapowiedzi i bulli papieskiej, błogosławiącej królewski ślub, młodą kobietę czekała surowa klasztorna cela, gdzie spędziła resztę życia. Dotychczasowe milczenie Stillingtona kupione zostało biskupstwem i uposażeniem wynoszącym trzysta sześćdziesiąt pięć funtów rocznie. Teraz, gdy król nie żył, biskupa zaczęło gryźć sumienie. Nikt nie uwierzyłby w tę historię, zapewniał doktor Gigli, „gdyby ojciec waszej królewskiej mości...”. Tu angielszczyzna nie była dostateczna, więc tylko wzruszył pulchnymi ramionami, a potem sugestywnie nakreślił w powietrzu kształt kobiecego ciała. Gdyby rozmawiał z kimś innym, pomyślał Ryszard, pewnie by w tym momencie zachichotał.

Tego dnia zwykle gadatliwy doktor Gigli śpiesznie opuścił swoich uczniów w obawie, by ta kłopotliwa rozmowa nie posunęła się za daleko. Ale chłopcy nie potrzebowali dalszych wyjaśnień. Jeśli to prawda - ojciec popełnił bigamię, a oni są nieprawym potomstwem.

- Nie przejmuj się. - Ryszard pocieszał brata mężnie, choć daleko mu było do odwagi. - Pamiętasz, co napisała matka? To tylko plotki. - Ale tego dnia nie zagrali w ciupy.

Edward spędził całe popołudnie na modlitwie, a nazajutrz rano przystąpił do spowiedzi. Ryszard, leżąc na łóżku, bawił się kamykami, które służyły im do gry.

Podczas południowej mszy towarzyszył im stryj Ryszard. Był w chmurnym nastroju i chłopcy nie wiedzieli, jak mają się zachować. W końcu stryj rzekł do Edwarda:

- Widzę, że już wiesz. Nie należy źle mówić o umarłych, ale bardzo mi przykro. Pomódlmy się wspólnie. - Po modlitwie dodał równie ponuro: - Biskup stanie przed parlamentem. Odbędzie się dokładne przesłuchanie, a wtedy mogą wybuchnąć zamieszki. Wyślę was na ten czas z Londynu, dopóki się nie uspokoi.

Edward, milczący jak zwykle, przyjął te słowa z wyraźną ulgą. Ryszard uważnie przyglądał się oczom stryja i jego zaciśniętym ustom i doszedł do wniosku, że tak naprawdę stryj wcale się nie martwi - wręcz przeciwnie. Zrozumiał, że przesłuchanie biskupa wcale nie będzie takie dokładne. Miał też mgliste przecucie, że nadzieje jego siostry Elizabeth związane ze stryjem (w końcu była nieodłączną latoroślą ich ojca) pójdą znacznie dalej. Teraz zapewne będzie marzyła, że zostanie nie tylko żoną, ale i królową.

Do spisku włączył się biskup Ely, niedawno wypuszczony z więzienia. Mrużąc oczy, mówił dużo i autorytatywnie (jak jednak młody Ryszard zauważył, z lekka był przerażony rozwojem wypadków). Miał wątpliwości, jak ma zwracać się do matki chłopców: czy jak do królowej wdowy, czy zwykłej lady Elizabeth. Wiele z nią rozmawiał i wymyślili pewien plan.

Jego przeprowadzenie wymagało czasu. Kiedy w cztery dni po planowanej koronacji Edwarda stryj został koronowany jako Ryszard III, chłopcy byli jeszcze w Tower. Spędzili tam całe upalne lato, a w tym czasie - jak się później okazało - stryj Ryszard pozbawił głów Hastingsa, Buckingham, Riversa, Greya i Vaughana.

Byli w Tower tak długo, że Ryszard nabrał ostatecznej pewności - dzięki doktorowi Gigliemu znoszącemu londyńskie plotki - iż opowieści biskupa Stillingtona stanowiły dla stryja pretekst do przejęcia tronu. W październiku wywieziono ich z Londynu.

John Clement miał świadomość, że Meg przede wszystkim będzie chciała się dowiedzieć, co się działo później i dokąd się udali.

Trudno byłoby o wszystkim opowiedzieć: o ich wędrówkach, o posłańcach ciągle przynoszących coraz to nowe wieści, o decyzji matki o oddaniu pod opiekę stryja Ryszarda również siostr, czy też o sprzecznych z tym pogłoskach, że weszła w układy z Henrykiem Tudorem, pretendentem Lancasterów planującym inwazję z Francji, i że za niego zamierza wydać Elizabeth. Zachował wspomnienia wyrywkowe, jak na przykład to, kiedy na zwykłych koniach bez oznak obaj z Edwardem, dla zmylenia otuleni zgrzebnymi pelerynami, przejeżdżali obok pałacu Crosby - obecnie siedziby stryja Ryszarda - opuszczając potajemnie Londyn. Dobrze pamiętał tamtą gorycz i gniew oraz determinację, by wrócić, odplacić stryjowi pięknym za nadobne i odzyskać tron.

Starszy brat, Edward, nie chciał zemsty. W przeciwieństwie do młodszego, Ryszarda, wierzył stryjowi. To Edward się poddał i ustąpił.

Najbardziej męczyła Johna Clementa pamięć o tym, jak zadreśla Edwarda, namawiając go do buntu. Przekonywał, że należy poczekać na właściwy moment, ale już teraz trzeba zacząć myśleć, jak odzyskać tron, wymierzyć sprawiedliwość i dokonać słusznego odwetu. Mały Ryszard był wybuchowy i uparty; do tego dochodziła bezsilna wściekłość, że jest tylko młodszym bratem, nie ma żadnych praw i nie może pomóc krzywd wyrządzonych Edwardowi.

- To wbrew boskiemu porządkowi - syczał wściekle.

Wiecznie modlący się Edward odpowiadał wtedy szeptem:

- Ryszardzie, odpuść. Nie wiemy, po czyjej stronie jest racja. Zdajmy się na wolę bożą.

John Clement chrząknął. Spojrzał na poważną twarz Meg oświetloną jedyną świecą. W tym momencie usłyszał śpiew ptaków, co mu uświadomiło, że zaraz nadejdzie świt. Spokojnym, monotonnym głosem - zupełnie pozbawionym emocji - dalej snuł opowieść o swojej trudnej przeszłości.

- Wziął nas do siebie przyjaciel rodziny. Zналиśmy go od dawna. Gdyśmy byli mali, bawiliśmy się z jego dziećmi. Przyjechał konno z Yorku i zabrał nas do swego domu w Gipping w hrabstwie Suffolk. Służący nazywali nas lord Edward i lord Ryszard i nie zadawali pytań. To było proste. Mieszkaliśmy tam przez dłuższy czas jeszcze po tym, gdy dwa lata później zginął stryj Ryszard*. Naszym opiekunem był sir James Tyrrell.

- Przecież to sir James Tyrrell was zabił! - Zabrzmiało to jak zarzut, a jej oczy błysły gniewnie. - Giles Forrest i John Dighton dusili poduszkami, ale Tyrrell im zapłacił.

- Ależ skąd! - zaprzeczył gorąco. - To tylko opowieści. Tyrrell był dobrym i szlachetnym człowiekiem.

- To dlaczego, wymyślając tę historię, przypisaliście tak niewdzięczną rolę człowiekowi, który oddał wam wielką przysługę?

* Ryszard III zginął w bitwie pod Bosworth. Podobno w czasie walk korona spadła mu z głowy i po bitwie została nałożona na skronie Henryka Tudora, późniejszego Henryka VII, który poślubił Elżbietę York, kończąc w ten sposób Wojnę Dwóch Róż.

Spuścił wzrok i dłuższą chwilę milczał, zanim odpowiedział.

- Widzisz - zaczął niepewnie, starając się odsunąć od siebie wspomnienie o tym, jak serdecznie do niego odnosił się Tyrrell. - Nie miałem wiele do powiedzenia. Ta cała historia... wynikała z pewnej potrzeby. Gdy twój ojciec włączył się w tę sprawę... i trzeba było coś wymyślić... James Tyrrell dawno nie żył. Nie mogło go to już zranić. Ale nigdy nie czułem się z tym dobrze.

Niechętnie pokiwała głową. Zrozumiał, że mu wierzy, tyle że jest tym mocno poruszona. Dodało mu to odwagi.

- Do władzy doszedł Henryk Tudor, który poślubił moją siostrę Elizabeth. Oficjalnie oznaczało to koniec wojny między stronnictwami Lancasterów i Yorków. Ale przedtem musiała zostać uznana za legalne dziecko, bo tylko wtedy miało to sens, gdy prawowita księżniczka z rodu Yorków poślubia zwycięzcę z domu Lancasterów. I teraz zwróć uwagę na to, przed jakim dylematem stanął Henryk. Gdyby odwołał *Titulus Regius* - statut uchwalony przez parlament, na mocy którego bratankowie Ryszarda uznani zostali za bastardów, a on sam objął tron - prawowitym królem powinien zostać mój brat Edward. Wprawdzie krążyły pogłoski, że zostaliśmy zamordowani, ale przecież tak naprawdę Edward żył. Każdy król wywodzący się z naszej rodziny zabiłby nas bez wahania, gdyby przyniosło mu to korzyść. Yorkowie nigdy nie mieli skrupułów. Ale Henryk był inny. Mówiono o nim, że jest wyrachowany, chciwy i skąpy, ale także ostrożny. Nie był to w sumie człowiek zły. W dodatku bał się kobiet: swojej matki i mojej matki. One nas uratowały. Moja matka wysłała biskupa Ely na rozmowę z jego matką. John Morton został wtedy arcybiskupem Canterbury i praktycznie rządził krajem, ale wciąż żywił dawne sympatie dla Yorków. Kiedyś był zaufanym człowiekiem mego ojca. Uzyskał tyle, że w zamian za zgodę na małżeństwo z Elizabeth Henryk pozwolił, byśmy zaczęli nowe życie, stosowne dla ludzi szlachetnie urodzonych. Arcybiskup nadał nam inne nazwiska i wziął nas do swego domu.

Nie było w tym wielkiego ryzyka. Zmieniliśmy się. W czasie wojny zniknęli mali chłopcy, a po wojnie, w której wielu szlachetnie urodzonych młodych mężczyzn zginęło, pojawili się dwaj młodzi ludzie pod wąsem. Był to zupełnie nowy świat i dom też był nowy. Właśnie budowano pałac w Lambeth, toteż przybyło tam wiele nowych twarzy. Guilfordowie zgodzili się, by Edward uchodził za ich syna. Arcybiskup długo nie mógł znaleźć rodziny, która by mi użyczyła nazwiska... Tyrrell się wymówił... więc Morton sam je wymyślił. I był dobrej myśli. Twierdził, że nawet gdyby ktoś zauważył nasze podobieństwo do Plantagenetów, nie oznaczałoby to jeszcze niebezpieczeństwa... tak wielu chodziło po świecie królewskich bastardów. Wiedzieli o nas tylko najbliżsi krewni, ale ich milczenie było pewne, gdyż cenili władzę i wpływy, jakie dało im małżeństwo Elizabeth. Sir James Tyrrell otrzymał stanowisko namiestnika Guisnes i wyjechał do Francji. Moja matka nie należała do kobiet dyskretnych. Naraziła się Henrykowi i wtedy zamknięto ją w opactwie w Bermondsey, przypuszczam więc, że tamtejsze zakonnice, pochodzące ze szlachetnych rodów, sporo o nas wiedziały. Natomiast każdy, kto żył w normalnym świecie, wolał zapomnieć o przeszłości. Gdy wreszcie skończyła się wojna, ludzi interesował przede wszystkim handel, sojusze dyplomatyczne i nauka. Anglia stała się zupełnie innym krajem, gdy jej władcy przestali się wzajemnie mordować. Nikt nie chciał nowych walk. - Urwał i zamyslił się. - Pół roku spędzaliśmy u Mortona, a resztę czasu w Gipping. Zaczęliśmy...

W oknie zamajaczyło dochodzące z zewnątrz światło i John usłyszał, że ktoś idzie ścieżką.

- Twego ojca poznałem w pałacu Lambeth u arcybiskupa Mortona - mówił dalej, nasłuchując zbliżających się kroków. - Po wyjeździe z Londynu Edward chciał się ukryć na wsi, polować i modlić się. Ja wolałem zobaczyć świat. Nie wyrzekłem się wtedy nadziei na odzyskanie pewnego dnia tronu... mimo że Edward tego nie chciał. Oczywiście nie mogłem się otwarcie przyznać, mówiłem więc, że chcę poznać nową naukę i zastanowić się nad swoją przyszłością. Kiedy miałem szesnaście lat, Morton zgodził się, bym pojechał do Lowanium na uniwersytet. Moja ciotka Małgorzata była księżną Burgundii i pod jej opieką mogłem czuć się bezpiecznie (liczyłem, że pomoże mi odzyskać tron - zawsze nienawidziła Tudorów). Nim wsiadłem na statek, spędziłem kilka dni w Lambeth. Twój ojciec przebywał tam jako paź. Już wtedy Morton powtarzał, że stworzony jest do rzeczy wielkich. Był to człowiek mądry. „Gdy mnie nie będzie - mawiał - mam nadzieję, że pokieruje tobą More”. Ktoś zatrzymał się pod drzwiami.

- Tak też się stało - zakończył John Clement głośno. Ojciec musiał słyszeć te słowa, nim wszedł do środka.

Był bardzo zmęczony, miał sińce pod oczami, a na sobie wczorajsze szaty - nie przywiązywał wagi do stroju, gdy nie musiał pełnić publicznej służby. Ale gniew mu już przeszedł, opanował się i wyciszył, zapewne po kilku godzinach spędzonych na modlitwie. Od razu wrócił do poprzedniej rozmowy, przy czym teraz mówił głosem wyważonym i spokojnym.

- Powiedziałeś Meg? - spytał poważnie. - Przykro mi, jeśli potraktowałem cię zbyt surowo, ale chyba rozumiecie, jak to jest ważne dla nas wszystkich.

John Clement odruchowo się wyprostował i odsunął od Meg. Skłonił się, jak zwykle, z wielkim szacunkiem.

- Powiedziałem Meg o Edwardzie - potwierdził.

Nie spuszczał oczu z sir Thomasa, a jego przybrana córka cały czas w zamyśleniu leciutko kiwała głową.

Thomas More podszedł do niej. Przycupnięta na brzeżku stołu przypominała ptaka na gałęzi szykującego się do snu.

- Czy rozumiałaś? - spytał dobrotliwie, a ona pochyliła się nieco, jakby czekając, że obejmie ją ramieniem i pocieszy. More przysiadł obok, zajmując uprzednie miejsce Johna Clementa. - Czy na pewno rozumiesz, jakie życie wybierzesz, decydując się na to małżeństwo?

Poruszyła głową, ale tak, że John Clement nie potrafił powiedzieć, czy to znaczy tak, czy nie. Oczy miała szeroko otwarte, ale bez wyrazu.

Zauważył, że More nie objął Meg ani nie przytulił. Nerwowo tylko pocierał jedną dłoń o drugą i ten nieświadomy gest ujawniał, jak bardzo bliska jest mu przybrana córka. Patrzenie na to, jaką trudność sprawia sir Thomasowi okazanie miłości, było nieco krępujące, i John Clement odwrócił wzrok. Nie miał tego za złe swemu protektorowi: zbyt go cenił i szanował.

- Problemem będą nie tylko sekrety przeszłości, konieczność ukrywania prawdy i lęk, że wszystko się wyda - mówił dalej sir Thomas niezmiernie łagodnym i spokojnym głosem. - Na razie było dobrze, choć nie zawsze łatwo. Sytuacja została szczęśliwie opanowana. Edward siedział na wsi, a John wyjechał. Ale teraz wszystko się zmieniło. Pojawiły się nowe zagrożenia. W kraju szerzy się zaraza, rozprzestrzenia się herezja i

ludzie gadają, że Bóg karze Tudorów. Mówi się, że to uzurpatorzy, co tylko jątrzy dawne rany. W dodatku król pragnie jak najszybciej rozwiązać małżeństwo z królową za zgodą papieża lub bez. Dlatego boję się, iż da posłuch heretykom zgromadzonym wokół lady Anny. Jeżeli król... zwróci się w stronę herezji... - I jak na dobrego oratora przystało, zawiesił głos dla bardziej dramatycznego efektu, patrząc przy tym Meg głęboko w oczy. - ...Wtedy wszyscy katoliccy władcy zaczną rozglądać się za kimś, kto mógłby go obalić. Tudorowie zaprowadzili pokój i dobrobyt, jakich Anglia dotąd nie знаła. Służenie im z całych sił uważam za swój obowiązek i zaszczyt, choć zdobyli tron podbojem, nie prawem krwi królewskiej. Jeśli w Anglii dojdą do głosu religijne podziały, a ludzie dowiedzą się o istnieniu prawowitego księcia Plantageneta - z Europy zaczną napływać katolicy, by wesprzeć go przeciwko Henrykowi Tudorowi. Do wczoraj nie dotykało was to bezpośrednio... interesowałby ich Edward. Lecz teraz biedny Edward nie żyje, a ostatnim Plantagenetem jest John Clement.

John postąpił krok naprzód, chcąc coś powiedzieć, ale sir Thomas go powstrzymał.

- Tak, tak, Johnie. Wiem, że to ostatnia rzecz na świecie, jakiej byś pragnął. I że nie chcesz dać się wciągnąć w sprawy państwowe i intrygi królów. Ale tajemnice mają to do siebie, że wychodzą na jaw. Szczęście nam dotąd sprzyjało, lecz ponieważ żyją ludzie, którzy znają prawdę, w każdej chwili wszystko może się wydać. Jeśli do tego dojdzie, to nie tylko katoliccy władcy mogą stanowić zagrożenie. Obecny król Anglii nie będzie miał takich skrupułów jak jego ojciec. Zawsze powtarzam, że jeśli za moją głowę mógłby otrzymać zamek, już jutro by mnie jej pozbawił. A gdyby uznał, że zagrażasz tronowi, twoja spadłaby jeszcze dzisiaj.

John się wycofał, słysząc te słowa niezaprzeczalnej prawdy. Sir Thomas już na niego nie patrzył, tylko z niepokojem przyglądał się stojącej obok młodej kobiecie, zaciskającej jedną dłoń na blacie stołu, a drugą na materiale sukni.

- Rozumiesz, Meg? - Głos sir Thomasa opadł niemal do szeptu. - Od początku tego właśnie pragnąłem dla ciebie. Sam ci go wybrałem na męża i dlatego sprowadziłem do naszego domu. Cieszyłem się, widząc, jak stajecie się sobie coraz bliżsi. Ale wtedy chwila nie była odpowiednia. John był w gorącej wodzie kąpany i skory do bitki. Nie miałem pewności, czy się już wyszumiał i uspokoił, i czy rzeczywiście gotów jest żyć zgodnie z naszym planem. Nie chciałem, byś poślubiła kogoś, kto w jakimś momencie może zechcieć wrócić do intryg i rozgrywek o polityczną władzę, zwłaszcza teraz, gdy na świat chrześcijański czyha tak wiele zagrożeń. Nigdy nie naraziłbym cię na takie niebezpieczeństwo. Jako królewicz nie mógłby cię poślubić... zbyt wysoki ród dla zwykłych ludzi takich jak my. Na szczęście stał się zwykłym domowym nauczycielem. Ale wciąż jeszcze nie byłem przekonany. Zdawać się mogło, że spoważniał, jednak od czasu do czasu zdradzał niepokojące objawy, i to dość groźne. Więc przed udzieleniem zgody na to małżeństwo musiałem sprawdzić, czy rzeczywiście chce pozostać Johnem Clementem.

Sir Thomas urwał.

- Stało się to w wieczór po śmierci Ammoniusa - podjął po chwili cichym, pozbawionym emocji głosem, spuszczać wzrok. Słowa te wywołały na skroni Johna Clementa kropelki potu i obudziły w nim palący wstyd. - Tak naprawdę tylko John wie, co zaszło tamtej nocy, jeśli w ogóle coś pamięta. Przyprowdziła go do mnie nocna straż, bo wywołał burdę w gospodzie przy Cheapside. Rozpoznano w nim nauczyciela z naszego domu, a że byłem wtedy szeryfem Londynu, więc naturalnie trafił do mnie*. Był pijany jak bela i w

gospodzie poturbował dwóch mężczyzn. Najpierw oblał ich czerwonym winem, tak że ich odzież wyglądała jak nasiąknięta krwią, potem złapał za włosy i stuknął głowami. Następnie wyciągnął nóż. Dopiero szczęściu ludzi zdołało go obezwładnić i rozbroić, po czym wszyscy wyglądali, jakby się wykapali w winie. Spytałem go, czemu tak postąpił, a on burknął tylko, że go obrażono. „Gdybym miał swój miecz - bełkotał niewyraźnie. - Posiekałbym ich na kawałki”. To samo, jak twierdzili strażnicy, wykrzykiwał w gospodzie.

* Sir Thomas More od 1510 r. pełnił funkcję zastępcy szeryfa Londynu.

More zamilkł na chwilę, przyglądając się Meg.

- Niedobrze jest, gdy domowy nauczyciel dzieci londyńskiego prawnika wszczyna burdy w gospodzie - mówił dalej spokojnie, nie doczekawszy się reakcji. - Ale przechwałki o noszeniu miecza... jak szlachcic... są już niewybaczalne.

John Clement pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć czy sprostować, jednak More ciągnął bezlitośnie:

- Dlatego tamtego lata zabrałem go za granicę. I nie pozwoliłem mu wrócić, dopóki nie przejdzie pomyślnie próby czasu. Bałem się, że jeśli znów wybuchnie gniewem, skutki będą dla niego opłakane. Dla ciebie też. Wygląda na to, że mu się udało. Ma tytuł doktora, miejsce w Królewskim Kolegium Lekarzy... I przez wszystkie lata wytrwał w swoich małżeńskich zamiarach... A zatem wierzę, że stał się człowiekiem, jakim chciał być. Ludzie znają mnie jako pisarza, prawnika, polityka... a tak naprawdę moim największym osiągnięciem, z którego jestem ogromnie dumny, jest John Clement, człowiek nauki, który stoi przed tobą. Rezultat pracy mojego życia. Spełnienie moich nadziei.

Meg cały czas miała oczy spuszczone i siedziała nieruchomo. Widać jednak było, że słucha uważnie.

Gdyby podniosła głowę, zobaczyłaby szybką wymianę spojrzeń między More'em a Clementem - pytający wzrok pierwszego oraz przeczący ruch głową i błaganie w oczach drugiego. Sir Thomas głęboko westchnął i podjął wątek, znów patrząc na Meg.

- Jeśli weźmiesz tę decyzję, musisz pogodzić się z tym, że twój wybranek od dzieciństwa przyzwyczajony jest do życia pełnego sekretów i niechętnie będzie wracał do przeszłości. Teraz, gdy już wiesz, pragnę ci zareczyć, że nic mi więcej nie wiadomo o jego życiu, co mogłoby stanąć na przeszkodzie waszego związku.

Dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała na ojca. John Clement niewiele mógł wyczytać z jej twarzy. Otuchy dodało mu jedynie to, że sir Thomas wydawał się wyraźnie zadowolony.

- Konieczne było, byś poznała zagrożenia - ciągnął More, nie zważając na jej milczenie. - Jesteś dorosła i powinnaś wiedzieć, czego chcesz. Nie stanę ci na drodze, jeśli nadal pragniesz tego małżeństwa.

Urwał. Oboje z przybraną córką nie spuszczała z siebie wzroku. John Clement czekał niemal bez tchu. Meg nie powiedziała nic, nawet się nie poruszyła.

- A więc, Meg? - pytał More łagodnie, lecz stanowczo. - Czy chcesz poślubić tego oto Johna Clementa?

Cisza. Przedłużająca się tak, że John Clement usłyszał śpiew ptaków i zwrócił uwagę na drobiny kurzu tańczące w pierwszych promieniach słońca wpadających przez okno. Na moment puste, przejmujące spojrzenie zwróciło się na niego, po czym Meg znów wpatrywała się w ojca.

Ukryła twarz w dłoniach. John Clement, sam bliski płaczu, już miał do niej podejść i pocieszyć.

Ale nim się zdążył poruszyć, opuściła ręce i wstała. Wbijając nieprzytomny wzrok w ich obu, wykrzy-
czała:

- Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem, kim on jest!

I łkając, wypadła z pawilonu w rozszalałą zieleń ogrodu.

9

Siedzący pod morwą Hans Holbein osłonił oczy, spoglądając za oddalającym się Kratzerem. Westchnął, ujął ołówek i wrócił do szkicowania.

Kratzer wyszedł z domu jeszcze przed śniadaniem, aby porozmawiać z malarzem o traktacie astronomicznym, który zamierzał napisać dla króla. Chciał, aby Holbein go zilustrował. Idąc do ogrodu, spotkał stajennego, zwolennika poglądów Lutra, i gdy po rozmowie z nim dotarł do dumającego w cieniście zakątku Holbeina, kipiał oburzeniem.

- Aresztowano wieśniaków z Rickmansworth! - zawołał gorączkowo. - Są w więzieniu. Zostaną powiesz-
szeni.

Niedaleko Rickmansworth znajdowała się jedna z rezydencji kardynała Wolseya. Żądny doczesnej władzy kardynał, a zarazem lord kanclerz* - o nalanej twarzy, z nosem wiecznie utkwionym w wonnej pomarańczy, aby nie czuć zapachów roztaczanych przez bliźnich - był dla Kratzera uosobieniem wszelkiego zła w Kościele i w państwie. (Holbein się z nim zgadzał, choć lubił się droczyć z przyjacielem, przypisując mu znacznie większą niż w rzeczywistości nienawiść do zepsucia i chciwości kleru, odbierającego biedakom ostatni kawałek chleba i pazerne na władzę, choć przecież osoby duchowne powinny się wyrzec dóbr tego świata). Wieśniacy z Rickmansworth mieli podobne poglądy i dali im wyraz. W Londynie od paru dni aż huczało o tym, że w nocy podpalili przegrodę chórową i krucyfiks w miejscowym kościele**.

* Lord kanclerz jest jednym z najstarszych urzędów Anglii. Powołuje go monarcha, jest opiekunem Wielkiej Pieczęci Królestwa, odpowiada za funkcjonowanie i niezawisłość sądownictwa. Po kardynale Wolseyu, w latach 1529-1532, kanclerzem był sir Thomas More.

** Byli to zwolennicy lollardyżu, a atak ten wymierzony był przede wszystkim w bałwochwalcze ich zdaniem figury Chrystusa i świętych znajdujące się na przegrodzie chórowej. Podpalili także ołtarz główny, szaty liturgiczne i organy.

Holbein, wysłuchawszy relacji Kratzera, wzruszył ramionami. Mimo niechęci do kardynała nie wzbudziła w nim współczucia oczywista głupota tych ludzi. Wiadomo przecież, jaka kara czeka za profanację. Po co umierać, skoro można żyć? Wrócił do cieniowania szkicu i jednym uchem słuchał opowieści wzburzonego astronoma. Od rozmowy z sir Thomasem trudno mu było się skupić.

Ostatnie szczegóły rodzinnego portretu zostały dopracowane. Nie musiał wprowadzać poprawek, o których była mowa tamtego wieczoru, gdy sir Thomas pierwszy raz zobaczył obraz. Nazajutrz rano More przyszedł do ogrodu, gdzie malarz siedział w chłodnym cieniu. Był życzliwie usposobiony, wręcz przyjacielski.

- Ponownie obejrzałem wasze dzieło, mistrzu Hansie. Holbein skłonił lekko głowę i stał się czujny. Był dumny ze swojej pracy i z wrażenia, jakie zrobiła na członkach rodziny, gdy ujrzeli siebie widzianych jego oczami. Nie uszło jednak jego uwagi, że sir Thomas i jejmość Alice poczuli się lekko zakłopotani. More mówił dalej z ogromną życzliwością:

- Meg bardzo chwali wasz talent... twierdzi, że potraficie pokazać Boga w twarzy zwykłego człowieka... Dziś rano blisko godzinę spędziłem przed waszym obrazem i muszę przyznać, że się z nią zgadzam. To arcydzieło.

Słowa te wzruszyły malarza. Rozpromienił się i nagle ze strachem sobie uświadomił, że skoro More aprobeuje obraz, wkrótce przyjdzie mu się pożegnać z Chelsea.

- A nie chcecie, bym domalował wiole i lutnie w tle? I dodał krzesło dla jejmości? - spytał z rozpaczą. Dopiero teraz zauważył pękatą sakiewkę, którą More trzymał w ręku. Chciał odwlec moment zapłaty i tę chwilę, gdy będzie musiał pomyśleć, co robić dalej. - Wykonałem już szkic do tych zmian - rzekł śpiesznie. W szkicowniku odnalazł stosowny arkusik i pokazał. More uśmiechnął się i machnął ręką.

- Wasz obraz już jest piękny, mistrzu Hansie - zapewnił. - Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym domagał się zmian. Chociaż - tu w jego oczach pojawił się figlarny błysk - szkoda, by tak owocna współpraca miała się zakończyć. Polubiłem nasze rozmowy, i to bardziej, niż myślicie. Podobnie z przyjemnością śledziłem postępy waszej pracy. Z całego serca pragnąłbym, abyście do nas znów zawitali. Kto wie...? Jeśli nie wymyślimy czegoś lepszego, może rzeczywiście domalowalibyście te lutnie? Więc zostawcie mi ten szkic.

Nie były to słowa podyktowane wyłącznie uprzejmością. Kryła się w nich także życzliwość i przyjaźń szlachetnego mecenasa, co nie zmieniało faktu, że oznaczały rozstanie. Pozostało oprawić obraz i zacząć się pakować, a to potrwa najwyżej dwa dni. Trudno mu więc było zabrać się do pracy. Może to przez ten upał. A może za bardzo prześladowała go twarz Meg, promieniejąca szczęściem i uśmiechnięta, gdy dziewczyna śpieszyła do chorych z energią i ochotą, czego tak bardzo jemu brakowało. Miał niedobre przeczucia co do Johna Clementa. Z każdym dniem coraz niechętniej spoglądał na irytująco urodziwego nauczyciela. Podejrzewał go o skłonność do igrania z kobiecymi uczuciami i o to, że świadomie rozkochał w sobie siostrę Meg, a teraz może zawrócić w głowie jej samej. Bardzo go to gryzło.

- Uważasz zatem, że winniśmy ogłosić naszą solidarność z tymi ludźmi i wyjechać z Londynu, co? - niezbyt grzecznie odezwał się do astronoma. - W domu czeka na mnie żona i malutkie dziecko, którego jeszcze nie widziałem. Mój pobyt w Anglii dobiega końca. Ty też nie możesz tu siedzieć w nieskończoność. Opowieści, które się obecnie słyszy w Londynie, świadczą o tym samym szaleństwie, od którego uciekliśmy: przekłęci durnie i fanatycy skaczący sobie do oczu i gardeł w imię Boże. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, ta sama ohyda. A my tkwimy bezpiecznie tutaj i udajemy, że wierzymy w to, w co tak naprawdę nie wierzymy. Uczciwiej byłoby stąd wyjechać.

Zaśmiał się na widok niezadowolonej miny Kratzera.

- Ale nie wyjedziemy, prawda? - ciągnął szyderczo. Napadł na przyjaciela, choć tak naprawdę, o czym dobrze wiedział, zły był na siebie za to, że się zakochał. - Chętnie sobie wmawiamy, że trzyma nas podziw i uznanie dla Thomasa More'a, choćby największym wstrętem napawał widok palenia Biblii. W głębi duszy

dobrze wiemy, jaka jest rzeczywistość, tylko nie mamy odwagi głośno tego powiedzieć. Tkwiemy tu, ponieważ jest to dla nas korzystne. Za dobrze nam, byśmy mieli wyjeżdżać.

Dotknięty tymi słowami Kratzer bezradnie opuścił ramiona.

- Trudno rozmawiać z tobą, przyjacielu, kiedy jesteś w takim nastroju. Strasznie to... cyniczne, co mówisz. Doprawdy, nie rozumiem, co się ostatnio z tobą dzieje.

Po tych słowach astronom się oddalił, a Holbeinowi zrobiło się przykro. Kratzer to dobry człowiek. Nie zasłużył na takie traktowanie.

Znowu rysował jej twarz. Z pamięci. Przedłużał każde pociągnięcie ołówka, jakby to była pieszczota (w jego pracowni pełno było teraz jej portretów). Rozkoszując się chłodem i nieco melancholijnym odcieniem zieleni cienistego zakątka, leniwie rozmyślał, co dalej ma ze sobą robić, wiedząc dobrze, że nic więcej tu nie działo. Dodał kolejną kreskę przy oku.

Naraz usłyszał szelest kroków na trawie i krótki zdławiony szloch. Za chwilę miał ją przed oczami. Szczupła dziewczęca postać, mocno pobladłe lica, zgrabny prosty nos i te oczy... O mało na niego nie wpadła i od razu zamarła w bezruchu, spotkawszy go w miejscu, które najwyraźniej uważała za swoje i gdzie zamierzała szukać schronienia.

- Panno Meg - odezwał się, a tak był wniebowzięty jej obecnością, że dopiero po chwili zauważył ślady łez na policzkach.

- Och... - zaczęła się wycofywać, nie mając ochoty na rozmowę. - Ja...

Widząc, w jakim jest stanie, nie zamierzał jej puścić. Zerwał się, zrzucając na ziemię szkicownik, i chwycił ją za ramiona.

- Panno Meg? Co się stało? Co zaszło?

Nie miała siły stawiać oporu. Ręce jej bezwładnie zwisły i bał się, że się osunie na ziemię. Oczy miała smutne i zalęknione. Nerwowo zaciskała zęby, jakby się bała, że zaczną szczekać. Holbein się domyślał, że to nie jego widok wzbudził tak silne emocje.

- Proszę mi powiedzieć! - domagał się, potrząsając nią.

Pociągnęła nosem. Starła się opanować, lecz tylko więcej łez spłynęło po policzkach.

- Nie... to nic - siąknęła nosem, próbując się uśmiechnąć. - Nic takiego - przelknęła łzy. - Przeżyłam wstrząs... dowiedziałam się o czymś... za chwilę będzie już dobrze.

Elizabeth, pomyślał od razu Holbein, usłyszawszy słowa: „dowiedziałam się”. Już wie, że Elizabeth kocha się w Johnie Clemencie. A może jeszcze coś?

- A więc wiecie - rzekł najciszej i najserdeczniej, jak umiał, oczami duszy widząc siebie, jak podchodzi do przekłętego medyka i z całej siły wymierza mu cios. Co za rozkoszny obraz!

- Co takiego? - spytała szeptem. Mięsień w jej twarzy drgnął nerwowo i w tym momencie Holbein zrozumiał, że się pomylił. Szkoda, że w porę nie ugryzł się w język. Tak już się przyzwyczaił do tego podejrzenia, że zaczął uważać je za pewnik. Na wszelki wypadek postanowił delikatnie wybać sprawę.

- Nie... nic - zapewnił śpiesznie. - Niefortunnie się wyraziłem, ten mój angielski, ha, ha! Wydawało mi się... że chodzi o panią Elizabeth...

- Elizabeth? - powtórzyła, nie okazując zainteresowania. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Holbein aż poczerwieniał, zażenowany, że się tak idiotycznie wygadał. - Dlaczego akurat Elizabeth? - zapytała obojętnie, nie oczekując odpowiedzi. Po prostu musiała coś mówić, żeby wstrzymać łzy.

- Może to w takim razie ci ludzie z Rickmansworth? - zapytał bez większej nadziei i zaraz się zorientował, że ona wciąż go nie rozumie. - Wasz ojciec i oni... - zaczął wyjaśniać, ale głos mu zamarł, gdy chłodno na niego spojrziała. Pomyślała, że chodzi o jakiś występki przeciwko religii, ale najwyraźniej osłabła już jej dawna czujność wobec toczących się w Londynie sporów.

- Mój ojciec jest dobrym, szlachetnym człowiekiem, mistrzu Hansie - rzekła cicho i stanowczo, przymykając oczy. - Nie wiem, co takiego słyszeliście, ale na pewno nie zrobił nic złego. - Znowu posmutniała i w jej piersi wezbrał szloch. - Za chwilę mi przejdzie - rzekła słabym głosem i nieco się odsunęła. - Za chwilę...

Ale Holbein nie słuchał lub raczej nie posłuchał. Nagle ogarnęła go szalona nadzieja, że może John Clement odrzucił miłość Meg. Myśl ta była tak porywająca, że miast puścić córkę swego protektora coraz mocniej ją przyciągał.

Trwało to dopóty, dopóki nie oparła się o jego tors, nie posłyszał bicia jej serca, nie poczuł jej piersi napierających na niego i ciepła jej ciała. Dopóki jej twarz nie uniosła się jak bańka powietrza wyrrywająca się z wody, a jego usta się nie zniżyły. Dopóki nie poczuł odpowiedzi na swój pocałunek. Dopóki...

Wolałabym wymazać z pamięci to, co się działo, nim zdołałam się uwolnić.

Byliśmy jednym światem złożonym z oddechów, ust, ramion i bicia serca, a wielkie dłonie mocno przyciskały mnie do masywnego ciała, nim zaczęłam się oddzielać. Stało się to dopiero w momencie, kiedy dotknąwszy drżącą ręką głowy znajdującej się bardzo blisko, z przerażeniem wyczułam szorstkie, sztywne włosy zamiast delikatnych i miękkich. A gdy się cofnął i położył jedną dłoń na moim ramieniu, a drugą ujął mnie pod brodę, kątem oka zobaczyłam porośnięte rudawymi włosami palce z nierównymi paznokciami ubrudzonymi węglem do rysowania i dotarło do mnie, że nie należą do tego, któremu wolno mnie było dotykać. Wtedy wrócił mi rozum. Jedyne ręce, jakie pragnęłam czuć na swoim ciele, były szczupłe, o długich palcach i należały do Johna.

Jeszcze chwilę stałam, zastanawiając się nad sobą. Moje serce ogarnął dziwny spokój, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam. Rewelacje, które usłyszałam w nocy, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Opowieść Johna wstrząsnęła mną, a nasza przyszłość była wielką niewiadomą. Ale to wszystko. Wprawdzie zareagowałam bardzo emocjonalnie, gdy się okazało, że najprzyjemniejsze wspomnienie z dzieciństwa opiera się na fałszu, jednak musiałam przyznać, że w tworzeniu tego fałszu nie było złych intencji. Postąpił tak, bo musiał. Oszukiwał, ale nigdy w złej wierze. Kochał mnie. Znajdując się w ramionach mężczyzny, którego nie kochałam, miałam wrażenie, że moje serce skacze z radości, bo wreszcie zrozumiałam własne uczucia. Że tęsknię za ciałem Johna. Uświadomiłam sobie głęboki sens życia, który przez moment wydawał się bezpowrotnie stracony. Teraz wiedziałam, że odzyskałam go znowu.

Biedny Hans Holbein odgadł, że od niego uciekam. Jego uśmiech przygasł, twarz posmutniała. Puścił moje ramię. Na swój sposób był człowiekiem subtelnym.

- A więc nie - szepnął żałośnie i westchnął. - Rozumiem. Przepraszam. - Cofnął się kilka kroków; staliśmy w takiej odległości, jakby nas dzieliła szerokość grobu. Gwałtownie poczerwieniał.

- Przykro mi - powiedziałam naprawdę szczerze. Był to jeden z najmiłszych i najlepszych ludzi, jakich znałam, i za nic na świecie nie chciałam ranić jego uczuć, nawet jeśli przeżyty przed chwilą moment bliskości wzbudził we mnie niechęć. - Nie chciałam... Już sama nie wiem, czego chciałam... Powinnam była... - pokręciłam bezradnie głową. - To znaczy, nie powinnam była. - Musiałam głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić. - Otóż, chcę wam coś wyznać. - Gorąco pragnęłam przekonać go o moim szacunku i sympatii. Sytuacja stała się krępująca dla nas obojga, wołałam więc postawić sprawę uczciwie. - Zdradzę wam mój wielki sekret. Wychodzę za mąż za Johna Clementa.

Milczał. Zmarkotniał, ale nie był zdziwiony. Moje słowa bardziej zdumiały mnie samą niż jego.

Zatopiony we własnych myślach kiwał jednostajnie głową i wydawał z siebie ciche tk-tk-tk, dotykając językiem zębów. Mocno zacisnął rękę.

- No, tak. Rozumiem - odezwał się wreszcie. - To miłość.

- Owszem - potwierdziłam. Słońce przyjemnie grzało mi włosy, w sercu czułam podobne ciepło. Z lekkim niedowierzaniem spoglądał na moją zapłakaną twarz, dziwiąc się pewnie, dlaczego płaczę nad tak dobrą nowiną. - To łączy szczęścia - rzekłam pośpiesznie, ocierając policzki. - Przeżyłam lekki wstrząs. Nie spodziewałam się... - Zamilkłam, bojąc się, że już za wiele powiedziałam.

Nadal kiwał w zamyśleniu głową.

- Ja też wam coś wyznam - rzekł melancholijnie po kilku kolejnych tk-tk. - Od jakiegoś czasu myślę o powrocie do Bazylei.

Zaskoczył mnie zupełnie. Tam jego kariera była zagrożona - tutaj rozwijała się pomyślnie, wręcz zasypywano go zamówieniami na portrety; ta decyzja wydała mi się dość dziwna. Nie zadawałam jednak żadnych pytań. Aby wyrazić swe rozczarowanie, wykrzyknęłam tylko: „O!” - co było niezbędnym minimum. Nie pociągał mnie jako mężczyzna, ale był mi bliski jako człowiek i jego los leżał mi na sercu. Może zatęsknił za rodziną? A może powód był jeszcze bardziej osobisty, związany ze mną? W takim razie wołałam nic o tym nie wiedzieć.

Trudno orzec, czy był rozczarowany, że nie czynię mu wymówek i nie namawiam, by został. Nie widziałam jego twarzy, gdyż odwróciwszy się, gorączkowo szukał czegoś w wielkiej skórzanej sakwie, w której nosił szkice i przybory malarskie. Głowę miał pochyloną, mięśnie pleców napięte, pochłonięty był szukaniem. Uśmiechnęłam się z ulgą; pewnie przyszedł mu do głowy jakiś nowy pomysł. Nie był to człowiek, któremu nieudany pocałunek mógł zrujnować życie.

Wreszcie mruknął z zadowoleniem, wyciągnął z sakwy arkusz papieru i podał mi.

- To dla was. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Od jakiegoś czasu nad tym pracowałem.

Zobaczyłam cudo nie obraz; czyste żywe barwy przelane na papier. Ja w białym futrzanym czepku i prostej czarnej sukni, a w tle błękitne letnie niebo i kilka zielonych liści rozświetlonych słońcem. Głęboko zamyślona, patrzyłam w dal. Na gałęzce za mną siedział szpak i spoglądał tak, jakby zamierzał zeskoczyć mi na ramię; wyraźnie chciał zwrócić na siebie moją uwagę. Dopiero po chwili zauważyłam drugie zwierzątko: rudą wiewiórkę, siedzącą na moich kolanach i chrupiącą orzeszek. Wiewiórka była uwiązana na łańcuszku, którego koniec trzymałam w dłoni.

Nie wiem, jak on to sprawił, że szpak miał natarczywe, pytające spojrzenie Johna. Patrzyłam na obraz jak w transie, niezwykle mnie poruszył.

- Mistrzu Hansie - wyszeptałam. - Jakież to piękne!

- Prezent na pożegnanie - rzekł smutno. - Nic mnie tu więcej nie trzyma. Już dziś po południu mógłbym odpłynąć do Londynu. Czas zerwać łańcuch.

Zaczerwieniłam się wtedy, bo nagle zrozumiałam, kogo przedstawia wiewiórka. Wstyd mi się zrobiło, że gdy w ostatnich dniach swego pobytu mistrz Hans z wielką starannością malował moje dłonie, szyję, dobierał barwę skóry - ja ledwo zauważałam jego istnienie.

- Pamiętajcie o mnie - dodał.

Skinęłam głową w milczeniu. Omal się nie rozplakałam, gardło miałam ściśnięte.

- Będzie mi was brakowało, mistrzu Hansie - powiedziałam w końcu. Teraz, gdy było już za późno, wiedziałam, że to szczerza prawda. Starłam się włożyć w te słowa całą moją sympatię i szacunek. - Jeśli znajdziecie kiedy wolną chwilę, napiszcie do mnie z Bazylei. Dajcie znać, jak wam się wiedzie...

Zabrzmiało to niezbyt przekonywająco. Pokiwał głową, a ja po jego oczach poznałam, że nie napisze. Byłoby to zresztą mało prawdopodobne, bo nie brał do ręki pióra, jeśli nie musiał.

Ukloniliśmy się sobie z daleka. Zbyt niezręcznie czuliśmy się, by się dotknąć.

- Jeszcze raz dziękuję - rzekłam cicho. - Pewnie zobaczymy się dziś w domu.

Popatrzył na mnie, a ja w jego spojrzeniu odczytałam: „Zrobię wszystko, by tego uniknąć”.

Wyobraziłam sobie naszą ostatnią chwilę spędzoną razem. Najważniejsze to przeżyć ją z godnością. Zamierzałam oddalić się z obrazem w ręku, spokojnie i bez pośpiechu krocząc po zalanym słońcem trawniku, świadoma, czego chcę w życiu. Idąc do ojca i mego przyszłego męża, będę czuć na sobie odprowadzające mnie spojrzenie Hansa Holbeina, które nie może przeszkodzić w raz podjętej decyzji.

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Hans Holbein odezwał się pierwszy, cichym zdławionym głosem:

- Do widzenia.

Odszedł przez trawnik w stronę domu, nie oglądając się za siebie. Nigdy nie patrz wstecz, zwykł mawiać John. A ja, przyciskając obraz do piersi, stałam samotnie i spoglądając na jego silne ramiona oddalające się z mojego życia, doznałam nagle dziwnego i nie do końca zrozumiałego poczucia straty.

CZEŚĆ TRZECIA

Noli me tangere

10

Ów pamiętny świt w ogrodzie stanowił koniec mojej samotnej młodości. Wróciwszy do Nowego Pawilonu, podeszłam do wysokiego mężczyzny stojącego w cieniu plecami do mnie, wpatzonego w *Noli me tangere* mistrza Hansa. Uświadomiłam sobie wtedy, że nie wiem, jak mam się do niego zwracać.

- Ryszardzie...? - powiedziałam cicho z wahaniem.

Nie drgnął, ale nieruchome ciało stało się czujne.

Dopiero gdy się zbliżyłam, odwrócił zmęczoną twarz. Badawczo spojrzął mi w oczy i musiał dostrzec w nich przyzwolenie, bo wziął mnie w ramiona.

- Nie nazywaj mnie tak - szepnął mi do ucha. - Jestem John Clement. Byłem nim, zanim się urodziłaś. Całe życie znałaś Johna Clementa. - Wtulona w fałdy szerokiego płaszcza, słysząc bicie jego serca, czułam, że się uśmiecha.

Zebrałam się na odwagę.

- Wyjdę za ciebie - wyszeptalam.

- Bogu dzięki - westchnął. I zaraz dodał: - Dziękuję ci. Nie wracał do naszej nocnej rozmowy, więc ja spróbowałam to zrobić.

- Czy myślisz, że będą starali się ciebie odnaleźć? - spytałam nieśmiało. - I zechcą, żebyś został królem? Zaprzeczył, ale bardziej po to, by skończyć temat, niż odpowiedzieć na moje pytanie.

- To zamknięta sprawa - rzekł stanowczo, jakby przekonywał nie tylko mnie, ale i siebie. - Dawno martwa i pogrzebana jak teraz Edward. I niczego nie zmieni. W ogóle nie musimy zaprzętać sobie tym głowy, wbrew temu, co mówi twój ojciec.

Zgodziłam się z nim, bo nawet jeśli nie był całkowicie o tym przekonany, przecież nie może żyć mrzonkami i fantazjami.

- Zapomnij o tym, Meg - powiedział pewnym siebie głosem. - Ja już zapomniałem. Łatwo oszaleć, kiedy człowiek ciągle myśli o przeszłości. Pragnę zwykłego życia i zwykłego szczęścia. Może to błąd, że nie wyznałem ci tego wcześniej, ale nie chciałem, byś się martwiła. Niech nie niszczy nam szczęścia coś, co zdarzyło się wiele lat temu. Dla mnie to naprawdę nie jest ważne. Nie oglądam się wstecz, w ogóle nie myślę o tamtych sprawach. I ty też zapomnij - dodał, mocno zaciskając usta.

A jednak, gdy znów wiedziałam, czego chcę w życiu, ogromnie mnie korciło, by dowiedzieć się więcej. Na końcu języka miałam naiwne pytanie: Czy to naprawdę był król w kaplicy? - ale się powstrzymałam, żeby nie zachować się jak mistrz Hans podczas pogrzebu. John nie miał ochoty wracać do przeszłości, wołał mówić o teraźniejszości, a później pewnie jeszcze trudniej będzie coś z niego wydobyć. Spróbowałam zatem ponowić próbę.

- Czy zastanawiałaś się... - Zaczerwieniłam się z powodu własnej śmiałości. - Jeśli będziesz... jeśli będziemy mieli syna, czy pewnego dnia nie powiesz sobie: przecież ten chłopiec powinien być królem Anglii?

Westchnął i milczał chwilę. Mnie się zdawało, że tysiące myśli przelatywały mu przez głowę. Wszak człowiek ten - gdyby los nie zrzucił inaczej - mógł zostać królem, a mnie wówczas nie wolno byłoby dzielić z nim życia. Kiedy wreszcie odpowiedział, twarz miał pogodną i spokojną.

- Nie - odparł stanowczo. - W zupełności wystarczy świadomość: oto syn Meg i mój, wnuk Thomasa More'a. - Pocałował mnie w usta, jakby chciał powstrzymać przed zadawaniem dalszych pytań.

John krył się ze smutkiem z powodu śmierci brata, lecz przez parę dni często widziałam u niego zaczerwienione oczy. Tamtego ranka po naszej rozmowie od razu udał się do siebie, mówiąc, że chce się przespać i pomodlić. Przed odejściem pocałował mnie jeszcze raz. („Mamy całe życie przed sobą, więc może zachowajmy pozory przyzwoitości w ciągu następnych kilku tygodni?” - szepnął, a w jego oczach pojawiły się dawne ogniki).

Potem przez jakiś czas grzałam się w słońcu, jakby ciepło mogło roztopić wszystkie rozterki ubiegłej nocy. Gdy wróciłam do chłodnego domu, byłam lekko oślepiona blaskiem dnia i dopiero po chwili zauważyłam ojca.

- Zgodziłam się - oznajmiłam z tą powściągliwością w okazywaniu uczuć, jakiej zawsze od nas oczekiwał.

Kompletnie zaskoczona byłam tym, co potem nastąpiło: mocno mnie uścisnął, z radosnym okrzykiem, czego do tej chwili nie zaznałam. Na policzku poczułam jego szorstką brodę i zobaczyłam łzy na twarzy.

- Jestem taki szczęśliwy... ze względu na ciebie... ze względu na niego - wyszeptał. - Ze względu na nas wszystkich.

Odpowiedziałam serdecznym gestem, znacznie bardziej wzruszona tą niespotykaną wylewnością niż zgodą na małżeństwo. Nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek przedtem objął mnie i przytulił.

Zamknięta w jego ciepłych ramionach, poczułam wstyd. Jak mogłam być taka podejrzliwa? Wszystko nagle stało się jasne: ojciec był dobrym człowiekiem i mogłam mu zaufać, podobnie jak mogłam polegać na zaufaniu Johna do niego. Było to jak odzyskanie zdrowia po ciężkiej chorobie. Zupełnie jakbym wyzwoliła się od melancholii, która sprawiała, że człowiek był „samotny, przerażony, zazdrosny, chciwy i ponury na twarzy” - jak pisał Galen, albo też od hysterii, będącej według tegoż uczonego skutkiem wędrówki macicy. Nareszcie zrozumiałam, że bicz i włosiennica są jedynie świadectwem wielkiej pobożności. Plugawe i prostackie listy, które tak mnie przerażyły, wyrażały - tak jak mówił John - oficjalne stanowisko władz, a ponieważ nie były to poglądy ojca, pisał je pod pseudonimem. Szewc brutalnie pobity w imię boże zapewne padł ofiarą okrucieństwa więziennego dozorca i ojciec go zabrał, by w ciszy i samotności przemyślał swoje błędy. Odsuwałam od siebie wspomnienia dyb i sznura, które także znajdowały się w kordegardzie. Skąd się tam wzięły, nie potrafiłam do końca wytłumaczyć, nie mogłam też całkiem wymazać ich z pamięci. Ale wcale nie okazały się takie skuteczne. W końcu przecież człowiek ten uciekł, czyż nie?

I tak moje wątpliwości odeszły w niepamięć. Wreszcie miał nastać spokój, ten błogi stan, w którym trudno uwierzyć, że kiedyś cierpiało się z powodu staropanieństwa i całowało o świcie z malarzem pod drzewem morwowym. Nagle, sama nie wiedząc jak, znalazłam się w świecie, gdzie czekało mnie tylko

szczęście. Wszyscy zresztą byli z tego powodu szczęśliwi i chętnie to okazywali. Łzy, zawsze czające się we mnie i w każdej chwili gotowe trysnąć z czujnych, suchych oczu, znikły bez śladu.

- Zawsze pragnęłam tego dla ciebie - oświadczyła jejmość Alice pod koniec wieczery. Uśmiechnięta i jakby odmieniona, wzięła mnie w swoje objęcia i nad moją głową mrugała wesoło do ojca. (Ojciec, otaczający właśnie ramieniem znacznie wyższego odeń Johna, też wyglądał inaczej niż w nocy, choć ukazywanie pogodnej twarzy nie zawsze było u niego zupełnie szczere. Może zresztą tak mi się tylko zdawało w zwodniczym świetle świec). Jejmość Alice nie wspomniała o żałobie Johna. Nie wypowiadała się ani na temat ciemnego stroju, ani podkrążonych oczu. Pochłaniały ją życiowe obowiązki, które dawały jej najwięcej przyjemności.

- Trzeba pomyśleć o wielu sprawach - oznajmiła ochoczo. - Pościel, garnki, sztuce, gospodyni, służące. No i gobeliny. Tak, gobeliny koniecznie, inaczej będzie wam zimno. Od razu trzeba temu zaradzić, żebyś nie musiała ciągle walczyć z przeciągami.

- Jak to? Gdzie? - spytałam zdezorientowana.

Spojrzała na mnie, a potem na ojca, w tym momencie wbijającego wzrok w ziemię z miną kuglarza, któremu udała się wyśmienita sztuczka.

- Panie mężu - odezwała się z udanym oburzeniem. - Czyżbyś nic nie powiedział?

Odwróciła się do mnie, kręcąc z dezaprobatą głową.

- Old Barge - wyjaśniła, jakby to była rzecz naturalna od samego początku. - Ojciec uważa, że po ślubie tam będzie najchętniej zamieszkali. To jest nasz prezent.

Gdy oboje z Johnem z radością i niedowierzaniem podeszliśmy do ojca - chociaż raz nie mógł wykrztusić ani słowa. Przytulił nas tylko w niezgrabnym uścisku, zdając się w ten sposób mówić, że oto wkraczamy w czasy, kiedy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Cichy ślub odbył się w słoneczny, wrześniey poranek w kościele w Chelsea. Obecni byli Roperowie, Heronowie i Rastellowie, oczywiście ojciec z jejmością, dwie moje siostry z mężami, młody John More z Anną Cresacre (już zaręczeni) i stary sir John, wsparty na lasce, ale jak zawsze trzymający się prosto. Ucałował nas gorąco po wyjściu z kościoła i życzył dużo szczęścia. Elizabeth źle się czuła: przeproszała w liście, że nie może przyjechać. Nie zwróciłam na ten fakt szczególnej uwagi. Po uroczystości popłynęliśmy rzeką do naszego przyszłego domu, gdzie Mary i jejmość Alice przygotowały weselną ucztę. Z każdym zanurzeniem wiosła malowniczy brzeg Surrey coraz bardziej się oddalał, a w miarę zbliżania się do miasta woda stawała się coraz mętniejsza. Ze szczęścia chciało mi się śmiać, gdy szliśmy do naszego nowego domu, w którym mieliśmy spędzić pierwszą poślubną noc.

Aż w głowie mi się kręciło od wrażeń i upału; do tego dochodził jeszcze ciasno zasznurowany gorset, pusty żołądek i zmęczenie podróży. John ścisnął moje ramię i wymieniliśmy znaczące spojrzenia, po czym oboje popatrzyliśmy na stary poczciwy dom na rogu Bucklersbury i Walbrook. Znajomy widok wysokich okien, czerwono-brązowych elewacji i strzelistych kominów napełnił nasze serca radością. Budynek stał naprzeciwko kościoła, na którego ścianach znaczone kiedyś poziom przypluwów. Miejsce to jak żadne inne wywoływało wiele wspólnych wspomnień.

Nastało już popołudnie i zapewne w odczuciu londyńczyków ulice były ciche, lecz naszym wydelikacowanym na wsi uszom bardzo głośne wydawały się dochodzące odgłosy: z jednej strony szum rzeki, a z drugiej gwar Cheapside. Dla londyńskiego oka ludzie na ulicach, odziani w zgrzebne wełniane płaszcze, kolorowe rajtuzy i liberie, nie byli niczym niezwykłym. Mnie zdawali się wielkim tłumem. Nagle z uliczki za kościołem Świętego Stefana wyłonił się Szalony Davy, jak ongiś sprzedający przechodniom przedziwne medykamenty, i widząc nas, wrzasnął z pijacką uciechą:

- Ależ to wraca do nas mała panna Meg! Witamy, pani! Dobrzeście się spisali, paniczu Johnie! - Zerwał nakrycie głowy i podrzucił wysoko. John zrobił krok w jego stronę, wyraźnie niezadowolony, a ojciec spojrzął na przekupnia tak surowo, że ten natychmiast wycofał się w zaułek, krzycząc co sił w płucach:

- Niech Bóg wam błogosławi!

Poczułam się, jakby miasto przyjmowało mnie z otwartymi ramionami. Ojca i Johna rozbawił niespodziewany występ Szalonego Davy'ego.

- Panicz John! - podśmiewał się ojciec, kiedy tłoczyliśmy się przy misie i dzbanie, myjąc ręce przed czekającą nas ucztą. W uszach nadal brzmiały mi entuzjastyczne okrzyki Szalonego Davy'ego, kiedy John kładł na mój talerz kawałki piersi łabędzia, wieprzowinę i flaczki, a do tego kawałki jabłek i pudding z pigwy. Wśród nieustannie wznoszonych toastów skrzekliwy głos starego przekupnia wydawał mi się realniejszy niż ta nierzeczywista jak z marzenia senna biesiada, podczas której weselni goście wciąż od nowa życzyli mnie i memu małżonkowi wiele szczęścia.

W następnych miesiącach niejeden raz zaznałam tego szczęścia, gdy John, przymknawszy jasne, nieprzeniknione oczy, sunął palcem po moim ramieniu lub plecach, wprawiając mnie w pełne namiętności drżenie. Garnęłam się wtedy do niego całą sobą z przemożnym pragnieniem, by mnie całował. W zaciszu sypialni zatracaliśmy się w uściskach, a jedynym świadkiem naszej bliskości była służąca zjawiająca się rano. Trudno mi było uwierzyć w to wszystko. Zbierałam słodkie jabłka w ogrodzie, przyglądając się złociejącym jesiennym liściom. W bawialni powiesiłam kopię portretu ojca - dar od jejmości, mapę świata, którą kazali sporządzić dla nas Roperowie, oraz - nie bez pewnego wahania - mój portret ofiarowany mi przez mistrza Hansa tuż przed jego wyjazdem z Anglii. (Niepotrzebnie się przejmowałam. „Ależ piękny - powiedział John z niekłamanym podziwem. - Mistrz Hans ma wielki talent”). W bawialni znalazły również miejsce leki i trzysta księzek gromadzonych przez Johna całymi latami. Rozstawiłam krosna i tkalam. Mełłam ziarno w kuchni, grałam na lutni, wyszywałam dziecinne kaftaniki. Staliśmy się częścią świata. Było tak pięknie, że czasem wydawało się to nieprawdziwe.

Rytm naszego życia wyznaczały zajęcia Johna w Kolegium i współpraca z doktorem Buttsem, głównym lekarzem królewskim. Mąż sporo czasu spędzał w towarzystwie uczonych medyków. Rozmawiali, czytali, robili doświadczenia i leczyli najważniejsze osobistości w kraju. Jak przedtem oddany był ojcu, tak teraz bezgranicznie zaufał doktorowi Buttsowi - staremu, wiecznie roztargnionemu uczonemu, dla którego najważniejsi w życiu byli pacjenci i rodzaje kuracji i który całymi nocami wertował uczone traktaty. Odnosiłam wrażenie, że ta niezwykła solidność doktora, człowieka pozbawionego fantazji, daje Johnowi oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Jak mówił doktor, życie nauczyło go jednego, a mianowicie, żeby nie zabiegać o królewski uśmiech - bo nie będzie drzeć o życie, gdy król zmarszczy brew. Toteż nie było obawy, że tego lekarza władca

zaliczy do grona swoich przyjaciół, co mogłoby spowodować w naszym życiu równie burzliwe zmiany, jak w domostwie sir Thomasa More'a, gdy ten zaczął się cieszyć względami króla. Stary lekarz nie był typem dworzanina.

W porównaniu z uczonymi mężami, skupiającymi się wokół ojca, doktor Butts był większym dziwakiem, miał mniej analityczny umysł i bardziej lubił się popisywać. Nie wypowiadałam wszakże na głos swych wątpliwości, jako że wielu rzeczy z dziedziny medycyny po prostu nie znałam i ponieważ John, który miał ogromną wiedzę po latach nauki na zagranicznych uniwersytetach, szczerze podziwiał umysłowość starszego kolegi.

- Nie jestem wybitnym uczonym, Meg - John mówił o sobie skromnie. - Raczej nie stworzę niczego, o czym by potem rozprawiano latami. Znam swoje możliwości. Jestem naśladowcą i nie mam cech przywódczych. Po prostu lubię pracować z mądrymi ludźmi, takimi jak twój ojciec czy doktor Butts, bo to jest niczym grzanie się przy ogniu większym, niż samemu zdołałoby się rozpalić.

Ceniłam tę skromność i dumna byłam, dowiedziawszy się, że wraz z doktorem zaczęli korespondować z Andreaszem Vesaliusem, Flamandem studiującym w Padwie, oraz z Berengariem da Carpi, autorem opisu anatomii człowieka; oni obaj zajmowali się naukami Galena, chcąc znaleźć ich słabe punkty*.

* Andreas Vesalius (1514-1564), anatom flamandzki, prof. uniwersytetu w Padwie, wprowadził sekcję zwłok jako metodę badawczą. W 1543 roku wydał przełomowy dla medycyny i biologii traktat anatomiczny; Berengario da Carpi (1470-1530), autor anatomicznego dzieła *Comentari* napisanego na podstawie przeprowadzonych sekcji.

- Do napisania do nich skłonił mnie twój sukces, gdy wyleczyłaś Margaret z gorączki potowej bez uciekania się do upuszczania złych humorów - przyznał wielkodusznie John. - Butts szczerze się tym zainteresował. Gdybyś była mężczyzną, pewnie znacznie lepszy lekarz byłby z ciebie niż ze mnie. Masz wielkie wyczucie. Przez to, że jesteś kobietą, nauka ponosi wielką stratę. Ale mnie to nie martwi. A ciebie? - I schował twarz w moich włosach.

Ubrany w ciemny płaszcz wychodził rano - po jutrzni, śniadaniu i przejrzeniu paru książek. Przed wyjściem całował mnie w usta, a czasem - jeśli służącej akurat nie było i nikt nie patrzył - także szyję i piersi; potrafił paść na kolana i całować moją stopę, kostkę, łydkę, posuwając się aż do uda. Uśmiechał się rozkosznie na widok moich rozchylnych ust i zaróżowionych policzków, po czym szeptał czule: „Do wieczora, moje kochanie... czekaj na mnie”. I wymykał się w chłód poranka. Prowadziliśmy długie rozmowy w nocnej ciszy, w blasku kominka lub świec, gdy zaspokojone miłością ciała spoczywały leniwie w skłębionej pościeli.

Lubił ironizować i nie zawsze odnosił się do innych z szacunkiem, czym mnie nieco zaskoczył. Chętnie opowiadał anegdoty niepozbawione nutki złośliwości, która wywoływała mój uśmiech. Kiedyś zapytałam go, jak ojcu wiedzie się na dworze, a John ze śmiechem opowiedział o lekcjach astronomii, do których dawania nakłonił go król zawsze żądny wiedzy.

- Pół nocy siedzi na dachu i pokazuje Henrykowi, gdzie szukać Marsa i Wenus. Gdy go o to spytasz, godnie i ze skromnością twierdzi, że wypełnia swoje obowiązki. Ale wyraźnie go cieszy, że może pokazać królowi, iż Thomas More jest nieporównanie wszechstronniejszym sługą niż kardynał Wolsey. Umie zabiegać

o królewskie łaski. Moja diagnoza brzmi: choroba dworska. Każdy na dworze, choćby z początku wydawał się niezależny, zawsze na nią zapada.

Nasze rozmowy nie wychodziły poza sprawy związane z obecnym życiem. Wszelkie pytania o przeszłość zbywał śmiechem.

- Proszę nie oglądać się wstecz, jejmość Clement. - I delikatnie kładł palec na moich ustach. A ja byłam tak bardzo szczęśliwa w pierwszych miesiącach małżeństwa, że nie drażyłam tematu.

Jego powściągliwość nie uległa zmianie nawet wtedy, gdy po powrocie wieczorem w dzień Matki Boskiej Gromnicznej zastał mnie w bawialni przed portretem ojca pędzla mistrza Hansa, tym z czerwonymi rękawami. Stałam zapłakana, ściskając w rękę chusteczkę.

- Co się stało? - spytał od progu, a niepokój w jego głosie wzruszył moje serce. Podbiegł i chwycił mnie w ramiona. - Co się dzieje, Meg? - Odwrócił moją twarz i spojrzał mi w oczy.

- Chyba będziemy mieli dziecko - pociągnęłam nosem, sama zaskoczona tym smutkiem, który nagle ogarnął mnie na myśl o nabrzmiałych piersiach, ciągłym zmęczeniu i mdłościach (cały dzień wymiotowałam na zapach jedzenia, a jednocześnie marzyłam, by wreszcie coś zjeść i uspokoić żołądek). Przytulił mnie mocniej, ale nie na tyle mocno, bym nie mogła zobaczyć, że twarz mu jaśnieje takim blaskiem jak rozświetlone świecami wnętrze kościoła Świętego Stefana widocznego z naszego okna.

- Jestem taki szczęśliwy... - zaczął z radością w głosie.

- Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jakie będzie nasze dziecko - jęknęłam, pełna lęków i obaw. - Prawie nie pamiętam, jak wyglądali moi bliscy, a twoich w ogóle nie znałam. Kiedy się urodzi... - przeżegnałam się, chcąc odegnać złe moce - ...jeśli wszystko pójdzie dobrze... nie będę wiedziała, do kogo jest podobne.

- Ciii - wymruczał, z dumą głaszcząc mój brzuch. - Uspokój się, kochana moja - szepnął w zamyśleniu. - Ciii.

Zaparzył mi imbiru, który znalazł na dnie apteczki. Sam go pokroił w cienkie plasterki, zalał wrzątkiem i czekał, aż naciągnie w cynowym kociołku. Ja cały czas siąkałam nosem i gdy wzięłam od niego kubek, tak wzruszył mnie ten gest, że znowu musiałam ocierać oczy. Delikatnie zabrał mi chusteczkę i zaczął scałowywać łzy.

- No już, już... - mruczał kojąco, aż w końcu uśmiechnęłam się nieśmiało. - Proszę natychmiast przestać płakać. Zaraz ci powiem, do kogo będzie podobne nasze dziecko.

Usiadł na tureckim dywanie, opierając głowę o moje kolana. Spojrzał na mnie tak, jakby uspokajał zasmucone dziecko, i uniósł palec.

- Nasze dziecko będzie miało ciemne włosy... i niebieskie oczy, takie jak mamy oboje - opowiadała cicho. - I twój śliczny prosty nos. - Przesunął palcem po grzbiecie mego nosa. - I twoją jasną skórę. - Dotknął mego policzka. - I twoje różane usteczka.

Musnął moje wargi.

- Będzie miał długie nogi... będzie zmyślny i mądry... spotka w życiu kobietę, która da mu szczęście - szeptał, mrugając do mnie porozumiewawczo. - Natomiast nie będzie zadawał kłopotliwych pytań, jak jego matka. Będzie przystojny, dobry, mądry i szczęśliwy... nie po kim innym, tylko po mnie i po tobie. Pamiętaj. -

Pochylił ku sobie moją twarz. Odpowiedziałam mu uśmiechem, spokojna, jakby udzielił mi się jego nastrój. - Ważne jest jutro. Wczoraj odeszło bezpowrotnie. Nie ma co się dręczyć.

Nie dręczyliśmy się. Więcej nie próbowałam pytać o jego przeszłość. Całą wiosnę i lato przeżyliśmy z dala od rzeczywistości, pogrążeni we własnym szczęściu. Nie zwróciliśmy specjalnej uwagi na dzień, w którym biedna pobożna królowa, ukłękawszy przed sądem, zaklinała się, hiszpańsko akcentując słowa, że jako dziewica weszła do królewskiego łóża. Nie przywiązywaliśmy wagi do opowieści o niesmaku na twarzy króla, gdy publicznie ją odepchnął. Nie przejmowaliśmy się zbytnio, gdy postępowanie rozwodowe przedłużało się, opóźniane przez legata papieskiego. Nic nas nie obchodziło, kiedy tłumy kobiet udały się do domu nad rzeką, gdzie mieszkała Anna Boleyn, by wznosić okrzyki przeciwko „przeklętej francuskiej ladacznicy” - choć przemaszerowały tuż pod naszymi oknami; w końcu zresztą spotkały się z królewską strażą. Puszczaliśmy mimo uszu pogłoski o tym, że księża wynoszą ze świątyń religijne wizerunki, aby je ocalić przed heretyckimi wandalami; i o tym, że wierni wbijają gwoździe w posągi uważane dotąd za cudowne, aby się przekonać, czy zaczną krwawić; a także o tym, że parafianie kościołów Wszystkich Świętych przy Honey Lane, Świętego Benedykta, Świętego Leonarda i Świętego Magnusa skarżą swych duszpasterzy o bezprawne ściąganie zbyt wygórowanych opłat na rzecz Kościoła. Spaliśmy, budziliśmy się, byliśmy ze sobą jak mąż i żona, czuliśmy, jak dziecko rośnie i kopie we mnie, i wydawało się nam, że ta sielanka będzie trwać zawsze. Dopiero gdy się urodził nasz syn, po raz pierwszy nawiedziło mnie przecucie, że wcale może tak nie być.

Było wczesne jesienne popołudnie. Małe jasnoszare chmurki wesoło pędziły po niebie. W sypialni płonął ogień na kominku, z ulicy dobiegały rozmowy, ale słowa docierały do mnie niewyraźnie. Zresztą i tak nie miałabym siły nasłuchiwać, o czym ludzie mówią. Spoczywałam na wysokich poduszkach, wciąż czując w środku rozdzierający ból, i wsparta na łokciu patrzyłam na maleńką twarzączkę, napiętą i zmęczoną po ogromnym wysiłku. Przysunęłam dzieciątko do siebie, a ono ufnie przytuliło się do mojej piersi. Spaliśmy tak razem całą noc i cały dzień, mały Tommy i ja, od czasu do czasu budząc się i spoglądając na siebie w zachwycie i zadziwieniu. Duże, ciemnoniebieskie oczy patrzyły bardzo uważnie, a ja na widok zaciśniętych wokół mego kciuka maleńkich paluszków i porośniętej puchem główki wpadałam w taki zachwyt, że nie mogłam oderwać wzroku. Położna twierdziła, że oczy odziedziczył po mnie. Nie wspomniała jednak, że nosek miał Johna: mały, cudny, orli, będący miniaturką potężnego nosa ojca. Wyglądał rozkosznie na małej twarzączce: troszkę dziwnie, ale za to nadawał jej wyraz dumy. Wprost nie mogłam się na niego napatrzeć. Po ojcu odziedziczył też proporcjonalnie duże usta, ciemną karnację oraz długie smukłe ręce i nogi.

- Ależ śliczny będzie z niego chłopak - mówiła położna, wyraźnie dumna z naszego wspólnego sukcesu, jakim był pomyślny poród.

Szczęście ogarnęło cały dom. Z kuchni dobiegały wesołe śpiewki, a gdy grzano dla mnie wodę do kąpieli, słyszałam radosne szepty, zupełnie jakby to było jakieś wielkie święto.

Na schodach pod drzwiami rozlegały się kroki i śmiechy.

- Ciii. - Dobrze mi znany kobiecy głos dobiegający z dołu strofował niesforne dziecko. - Tommy nie!

Usłyszałam świergot spłoszonych ptaków w wielkiej klatce stojącej w bawialni i cieniutki dziecięcy głosik:

- Ćwir, ćwir, ptaszki! Ćwir, ćwir!

Wreszcie służące otworzyły drzwi, by sprawdzić, czy nie śpię, po czym wniosły balię i ustawiły przy kominku. Po chwili zajrzała do mnie Margaret Roper. Na rękę trzymała malutką Alice, a obok niej dreptał Tommy, niezadowolony, że oderwano go od świetnej zabawy na dole. Margaret śmiała się uszczęśliwiona.

- Twoje zięby są w śmiertelnym niebezpieczeństwie - ostrzegła wesoło, mierzwiąc włosy synka; podeszła na palcach do łóżka, usiadła obok mnie i długo przyglądała się dziecku. Przy Alice, która do dzisiaj wydawała się taka maleńka, mój Tommy wyglądał jak laleczka. W porównaniu z jego buzią jej okolona czarnymi lokami twarzyczka sprawiała wrażenie wręcz ogromnej.

Maleństwo od razu złapało Margaret za palec.

- Spójrz, Tommy - powiedziała cicho do synka, który stał koło niej, przyglądając się z zaciekawieniem małemu przybyszowi, jakby to była ruszająca się zabawka. - To twój nowy kuzyn. Też Tommy. Widzisz, kochanie? Przywitaj się z nim. - Duży Tommy ujął rączkę małego Tommy'ego i zdziwił się, że maluch tak mocno chwycił go. Margaret się rozpromieniła. Objęła mnie drugą ręką i ucałowała serdecznie. - Dobrze wyglądasz - pochwaliła. - Policzki masz zaróżowione. Przespałaś się trochę? Jak się czujesz?

Skrzywiłam się żartobliwie.

- Podobno to był lekki poród - zaśmiałam się słabo, starając się traktować temat żartobliwie, choć wiedziałam (wraz z wodą przyniesiono mi lustro), że mam ciemne sińce pod oczami i nie wyglądam najlepiej. Nikt jednak na to nie zważał; wszyscy spoglądali na mnie z radością i podziwem. - Ale nie będę się spierać.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Dziękuj Bogu, że nie było gorzej - odparła, a ja dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak straszne katusze musiało przejść jej biedne drobne ciało podczas obu porodów, z których jeden trwał dwa, a drugi trzy dni. Uścisnęłam ją gorąco.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęłam odruchowo, przepełniona wdzięcznością także za tę nową istotkę i nową miłość w moim życiu.

Margaret trzymała dziecko, kiedy się myłam. Po mszy John przyprowadził ojca; byłam już wtedy czysta, pachnąca i przebrana w nową koszulę, którą siostra specjalnie dla mnie wyhaftowała.

John usiadł na łóżku i objął mnie. Margaret przysunęła dla ojca stołek. Wszystkie oczy zwrócone były na dziecko; zachwytem i pochwałam nie było końca. A ja, spoczywając w ramionach mego męża i mając dziecko przy sobie, nie mogłam się nadziwić, w jak prosty sposób życie może stać się piękne - wystarczy, że moi bliscy są obok mnie. Mogłabym tak leżeć tygodniami z małym Tommym przy piersi i nie odczuwać potrzeby, by wyjść na ulicę, oczyścić się w kościele po połogu i wrócić do normalnego życia.

Błogostan ów przerwała Margaret.

- Czy słyszycie? - Poderwała się raptownie i zaniepokojona podeszła do okna. Podnieśliśmy głowy, zaskoczeni jej podniesionym głosem, co było u niej niezwykle. Chciała wyrzeć na ulicę.

- Nie! - zaprotestował stanowczo John. - Żadnych przeciągów.

Nie zważała na jego słowa.

- Posłuchajcie tylko, co ludzie krzyczą. - Była wyraźnie zdenerwowana. - Słyszeliście? - Nic z tego nie rozumieliśmy. Margaret mocowała się z zasuwką. John też coś usłyszał, bo wstał i pomógł jej, ale uchylił okno zaledwie na kilka cali, żeby nie wpuszczać chłodnego powietrza.

Chwilę nasłuchiwał wrzawy dobiegającej z ulicy, a ja tuliłam maluśkiego Tommy'ego, aby się nie przeziębził. Nagle na twarzy Johna pojawił się wyraz zdumienia, a jednocześnie konsternacji. Do okna podszedł ojciec; nie widziałam jego twarzy, tylko tył głowy w aksamitnym nakryciu. Uważnie nasłuchiwał z ogromnym przejęciem.

Chyba byłam ostatnią osobą, która rozumiała wrzaski dobiegające z zewnątrz, ale od początku zdawałam sobie sprawę, że nie są to zwykłe nawoływania przekupniów zachwalających swój towar.

- To prawda! Purpura go nie ocaliła!

Wrzawa, okrzyki radości przemieszane z drwinami. Słowa, które do mnie docierały, były naprawdę dziwne.

- Koniec Wolseya! - wydierał się ktoś w tle. - Przysięgam na Boga Wszechmogącego!

John wychylił się i huknął:

- Davy! Ciszej tam! Zakłócasz spokój! Co za bzdury wygadujesz?

Jeszcze większy hałas; kroki oddalające się od naszego okna. Wyobraziłam sobie ludzi stojących na ulicy i zadzierających głowy. Szalony Davy nie przejął się reprimendą, tylko wyrzekął z niesmakiem na głupotę otaczającej go gawiedzi. Doskonale mogłam sobie wyobrazić tryumf w obłąkanych oczach, że trafił mu się wreszcie poważny słuchacz.

- To nie bzdury, doktorze Johnie! - wrzasnął; tym razem zrozumiałam. - Sam słyszałem przy St Paul's Cross*! Wszyscy na Cheapside tylko o tym mówią! Idźcie i posłuchajcie, jeśli mi nie wierzycie! - Zamilkł na chwilę w oczekiwaniu na efekt.

** Miejsce przy katedrze Świętego Pawła, gdzie wygłaszano kazania i zbierały się tłumy.*

- No i co się stało?! - zawołał niecierpliwie John. - Dalejże, wykrztuś z siebie, człowieku!

- Kardynał Wolsey aresztowany! - rozległa się gromka tryumfalna odpowiedź.

Teraz okrzyki radości przeważały nad drwinami. Nie było w Londynie człowieka bardziej nielubianego niż otyły, zachłanny na władzę lord kanclerz - syn rzeźnika i jedyny dostojnik na dworze bliższy królowi niż ojciec. Nawet ojciec, przy całej swojej wyrozumiałości, nie miał dla kardynała wiele szacunku. Zmarszczył lekko brwi i uśmiechnął się półgębkiem. John sięgnął do sakiewki, rzucił Davy'emu monetę i w milczeniu zamknął okno. Choć zostało zamknięte, wydawało się, że w pokoju zapanował chłód. Patrzyliśmy na ojca, który zachowywał spokój.

Ciszę przerwała Margaret.

- Czy to prawda, ojcze? - spytała nieśmiało, kładąc białą dłoń na jego ramieniu.

Z czułością spojrział na jej twarz okoloną skromnym czepkiem i potwierdził.

- Wygląda na to, że król otwarcie okazał niezadowolenie swemu słudze - odparł, unosząc brew zupełnie jak Erazm. - Bo mimo iż ksiądz kardynał jest wytrawnym i zręcznym graczem, nie potrafił zakończyć sprawy małżeństwa króla.

Urwał. Nie miał ochoty dalej się wypowiadać.

- W takim razie - naciskała odważnie Margaret - kto zostanie lordem kanclerzem?

- Margaret - rzekł ojciec z łagodnym wyrzutem. - Dobrze wiesz, że nie mogę ci na to pytanie odpowiedzieć. Dziś wieczorem mam stawić się u króla. Może wtedy dowiem się czegoś więcej.

Nie przyznałby się nigdy, że zależy mu na tym stanowisku.

- Jedno wam powiem, moje dzieci... - rzekł, wstając i zbierając się do wyjścia. - Dałbym się wsadzić do worka i utopić w Tamizie, gdyby dzięki temu trzy życzenia mogły się spełnić w chrześcijańskim świecie. Po pierwsze, żeby walczący ze sobą książęta zawarli pokój... Po drugie, by zniknęły wszystkie heretyckie błędy rozdierające Kościół i przywrócona została jedność wiary... I po trzecie, by kwestia małżeństwa króla została doprowadzona do szczęśliwego końca.

Sklonił się. Nie sądziłam, by jego wizja szczęśliwego zakończenia sprawy tego małżeństwa była zgodna z oczekiwaniami króla, ale nikt nie skomentował tych słów. Nie słychać było kroków, gdy schodził na dół. Ojciec, gdy chciał, potrafił poruszać się cicho jak kot.

Nieco później, zgarnawszy dzieci, które pora już była kłaść spać, Margaret zauważyła z nadzieją w głosie:

- To będzie on, prawda?

Ale to słowa Johna: „To będzie on, prawda?”, wypowiedziane potem, gdy zostaliśmy sami, bardziej wryły mi się w pamięć. Mój mąż był bardzo poważny.

- Najwięksi mędrcy potrafią być wielkimi głupcami. Twój ojciec sam nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia stał się dworzaninem. I powiem ci jedno: tak bardzo ciągnie go do władzy, że nie oprze się tej propozycji. Nie będzie zważał na to, że tak naprawdę od nowego kanclerza król oczekuje głównie jak najszybszego wyniesienia na tron Anny Boleyn. Pewnie wydaje mu się, że zdoła wykorzystać stanowisko, by odwieść króla od powziętych zamiarów.

Pamiętam, że nie przejęłam się wtedy poważnym tonem Johna. Okrywałam pocałunkami główkę Tommy'ego, myśląc sennie, że pachnie samym szczęściem, które sprawia, iż ból, wciąż obecny w moim ciele, przestaje być istotny.

Podniosłam jednak głowę, gdy John mówił dalej z absolutną pewnością:

- Nic nie powstrzyma króla od poślubienia tej kobiety. Od razu to widać, wystarczy na niego spojrzeć. Jest to człowiek niebezpiecznie zmysłowy. Najmądrzej byłoby trzymać się z dala od zamieszania, jakiego narobi jeszcze Henryk. - Patrzył w ogień i może to czerwony blask z kominka nadawał jego twarzy niesamowity wygląd, a może winne były ponure myśli. - Boję się, by twój ojciec nie poleciał zbyt blisko słońca. - Trącił nogą jedno z na wpół spalonych polan, które z sykiem płomieni, wzbijając snop iskier wpadło do paleniska. I dodał: - Żeby nie spadł na ziemię i nie rozbił się.

- Napisz do niej koniecznie, mój chłopcze - rzekł filozof. Siedzieli przy stole po wieczerzy, którą gospodarz ledwo skubnął (Holbein jak zwykle nie żałował sobie), a jego oblicze rozjaśnione płomieniem świecy miało więcej życia niż twarz niejednego młodzieńca. Erazm odznaczał się wielkim osobistym urokiem i darem przekonywania. - Na przykład o tym, że bardzo podobał mi się twój obraz.

Holbein nie mógł się powstrzymać, by od czasu do czasu nie rzucać okiem na niewielką kopię portretu rodzinnego More'ów, opartą o dzbanek stojący na stole. Przez cały dzień żegnał się ze swoim dziełem. Spojrzał na szklanice i drgnął niespokojnie. Z uporem pokręcił głową.

- Znacie mnie przecież - zamruczał. - Nie umiem pięknie pisać.

Było to pierwsze spotkanie z Erazmem po powrocie Holbeina do Bazylei. Uczzonego mocno przeraziło to, co dzieje się w mieście, w którym tak bujnie kwitła niegdyś myśl humanistyczna i które przez osiem lat było mu domem. Smuciły go nieodwracalne szkody, jakie wyrządzili zarówno w fizycznej substancji miasta, jak i w jego atmosferze ewangeliccy radykałowie gwałtownie domagający się zmian. Dlatego, gdy w kwietniu buntownicy zaprowadzili nowe prawa, Erazm, otulony swoim nieśmiertelnym futrem, opuścił Bazyleę i udał się do spokojniejszego Fryburga, też leżącego nad Renem.

- Nie było nikogo, kto by nie drżał o życie, kiedy uzbrojony motłoch zajmował plac - opowiadał tego wieczoru. Oczywiście, że wielki uczoney nigdy nie wybaczy zniszczenia katedry, rozbicia wspaniałego alabastrowego ołtarza i rzucania posągami w witraże. Nic dziwnego, że ludzie zaczęli nazywać ewangelików protestantami.

- Bluźnierczo naigrywano się z wizerunków świętych, nawet z przedstawienia Ukrzyżowania - mówił Erazm wstrząśnięty i oburzony tym, że istota ludzka obdarzona rozumem może wyznawać ideologię pięści i krzyku. Do tej pory prześladował go zapach dymu z ognisk, w których spłonęło wszystko, co zostało uznane za marność tego świata. Nie pogodził się z tym, że odtąd trzeba będzie się modlić w pustym kościele o białych ścianach.

Nieobecność filozofa była jedną z tych rzeczy, nad którymi Holbein szczerze ubolewał, gdy powrócił do Bazylei, w której panował teraz *Reformationsordnung*. Bo malarz miał też inne powody do smutku. Prosy zginął podczas bójki w gospodzie. Stary Johannes Froben, wydawca i drukarz, nie żył. Bonifacius Amerbach wycofał się z życia zawodowego i choć oficjalnie nie wyjechał, przebywał głównie we Fryburgu. Dwaj najlepsi mecenas Holbeina: Jakob Meyer i Hans Oberried, odmówili przyjęcia zreformowanej wiary i stracili stanowiska w Radzie. Od czasu zamieszek uniwersytet pozostawał zamknięty. Drukarze podlegali ścisłej cenzurze. Dawny duch opuścił tych wszystkich, których spodziewał się zastać dyskutujących o życiu i świecie w drukarniach oraz nad szklanice piwa w gospodzie. To, o czym kiedyś marzyli i gadali całymi nocami, odchodziło w przeszłość. Bazylea nie była już ich domem. Nowe władze duchowne zbyt czujnie i surowo przyglądały się publicznej moralności, by można było poczuć się swobodnie. Dla Holbeina świat się wprawdzie jeszcze nie kończył, ale dawało mu to dogodny pretekst do narzekań. Więc gdy odwróciwszy się na ulicy za dziewczęcą ciemną główką lub wysoką smukłą postacią, stwierdzał, że nie jest to Meg z dalekiej Anglii,

mruczał gniewnie: „przekłęci fanatycy”, jakby władze winne były nieszczęść, jakich doświadczył w ostatnich miesiącach.

Spojrzał na prezent sir Thomasa More'a dla starego przyjaciela - małą kopię rodzinnego portretu, na którym Meg z pochyloną głową pokazywała coś w książce staremu sir Johnowi. Wizerunek nosił przy sobie i wymował kilka razy dziennie, gdy pił samotnie w gospodzie. Patrzył z bólem, którego nie potrafił nazwać, a jednocześnie z zawodową dumą. Piwem zalewał cienie zalegające w duszy. W przypiływie poczucia winy, że jest złym mężem i ojcem, namalował Elsbeth i dzieci. Miał być to wyraz jego miłości, tymczasem wyszło to, co skrywał w sercu: zniszczona życiem *Hausfrau* i płaczące dzieci, bez ojca, który pokochał inną kobietę i siebie za to nienawidził.

Przez kilka miesięcy Holbein opierał się zapraszającym listom od Erazma. Już na pierwszy rzut oka poznawał delikatne pismo i powtarzał sobie wtedy, że nie ma najmniejszej ochoty tłuc się łodzią po Renie tylko po to, by we Fryburgu narzekać z uchodźcami z Bazylei na ciężkie czasy. Liczył na szczęście tutaj, bo choć malarzom nie było łatwo - jako że kościoły masowo bielono - od czasu do czasu dostawał zlecenie z drukarni i trochę zarabiał. W głębi duszy jednak czuł, że z innego powodu unika odwiedzin u swego znakomitego protektora. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć filozofowi o pobycie w Anglii, żeby się nie zdradzić ze swoim złamanym sercem. Poza tym żał mu było rozstawać się z obrazem. Więc najpierw upychał listy Erazma pod skóry w pokoju na parterze domu przy St Johannes Vorstad. Potem, gdy mała Catherine, której wszędzie było pełno, znalazła je, podarła i kawałki porzuciła po podłodze, zmięte wrzucił do dzbana stojącego wysoko w kuchni. Tym razem natrafiła na nie Elsbeth. Przy wieczerzy bez słowa położyła przed nim na stole trzy wygładzone i wyprostowane listy, po czym utkwiała w nim umęczone i pełne wyrzutu spojrzenie. Znów ogarnęła go złość. Czemu ona wiecznie musi tak na niego patrzeć? Nabył przecież nowy dom za to, co przywiózł z Londynu. Miała nową brązową suknię, kupioną za pieniądze uzyskane ze sprzedaży jego aksamitnego kubraka. Nie tknąwszy nawet przygotowanej przez nią potrawy, gniewnie wepchnął listy do kieszeni i wybiegł z domu; minąwszy składnicę książek Frobena, udał się do miasta i zszedł nad rzekę. Był głodny, więc wstąpił do garkuchni na placek z mięsem. Wśród miłych zapachów pieczonej wieprzowiny i szumu rozmów nędznie odzianych mężczyzn, którzy podobnie jak on uciekli od żon, z wolna się uspokajał.

Wyciągnął listy i przeczytał je. Przepelnione były serdeczną życzliwością typową dla Erazma, który nie miał w sobie krzty dumy czy próżności, czego można by się spodziewać po tak sławnym człowieku. Filozof pisał, że bardzo chciałby posłuchać opowieści o Londynie, dowiedzieć się, co słyhać ostatnio u sir Thomasa i jego rodziny oraz jak się miewa sam Holbein. „Bonifacius i inni pytają o ciebie” - przeczytał w jednym z listów i zmiękło mu serce.

Nie lubił pisać. Myśli przelewał na papier w sposób tak niezręczny, że go to żenowało. Nie było zatem rady, trzeba jechać do Fryburga. Wrócił do domu. Bez większego entuzjazmu objął Elsbeth i przytulił - zawsze tak robił, gdy chciał ją przeprosić, na co ona odpowiadała nieco wymuszonym uśmiechem oznaczającym przyjęcie przeprosin, choć niekoniecznie wybaczenie - po czym poprosił, by spakowała jego rzeczy. I wsiadł na pierwszą łódź.

W ten właśnie sposób znalazł się w wygodnym domu (gdzie został nakarmiony i napojony), który ojcowie miasta oddali do dyspozycji znamienitego gościa; na wieczerzy był także Amerbach. Pokazał im kopię

obrazu, którą przywiózł dla Erazma od More'a, a oni szczerze wyrazili swój zachwyt. Snuł opowieści o Londynie, długo i zawile rozwodząc się nad przepychem królewskiego dworu, swoimi zawodowymi sukcesami i największymi atrakcjami wielkiej, brudnej, zatłoczonej angielskiej stolicy, starając się jak najmniej mówić o rodzinie swego mecenasa. Jakoś mu się to udawało. Przez cały czas miał Londyn przed oczami, na skutek czego czuł się bliżej Meg. Uchodźcy zaś wcale nie narzekali, tak jak się spodziewał. Jedynie na przechadzce przed wieczerzą Erazm rzekł w zamyśleniu, spoglądając na rzekę: „Strasburg, Zurych, Berno, Konstancja, Sankt Gallen, a teraz Bazylea. Wszędzie ten sam szal religijny. Trudno w dzisiejszych czasach o miejsce, gdzie można myśleć swobodnie. Ale tu jeszcze nie jest najgorzej.

Zatem Holbein nie musiał słuchać krytyki miasta, do którego wrócił, co przyjął z ogromną ulgą. Choć sierpniowy wieczór był gorący, Erazm kazał rozpalić w kominku. Holbein, który sobie podpiał, z przyjemnością grzał się w ciepłe ognia i odnowionej przyjaźni. Wzruszał go widok Erazma otulającego się futrzanym płaszczem, który stale się zsuwał. Uczony marzył, nawet gdy nie było zimno. To dlatego, że taki chudy, pomyślał siedzący wygodnie na ławie Holbein, zadowolony z własnego, potężnego ciała. Amerbach już ich opuścił, udając się na spoczynek. Malarz po raz pierwszy od powrotu z Anglii poczuł się, jakby był w domu.

- Opowiedz mi coś więcej, drogi Olpeiusie - odezwał się Erazm, zasiadając przy stole po odprowadzeniu gościa do drzwi. - Może o Morze? - Holbein wiedział, że Erazm uwielbia gry słów; najślynniejsza jego książka miała tytuł *Moriae Encomium*, co znaczyło „Pochwała głupoty”*. Tytuł ten, wymyślony w domu More'a i uzupełniony komplementami pod adresem gospodarza, rozsławił imię sir Thomasa w całej Europie, a mógł znaczyć także „Pochwała More'a”. Erazm nazywał go swoim największym przyjacielem i najmądrzejszym człowiekiem w Europie. Filozof zaśmiał się ze swojego żarciku i utkwivszy wzrok w zaczerwienionej twarzy Holbeina, czekał cierpliwie.

* *Pochwała głupoty* Erazma z Rotterdamu była m.in. satyrą na ówczesne szkolnictwo i wychowanie młodzieży, przedstawiającą świat jako arenę powszechnej głupoty.

Holbeinowi zbyt błogo było w tej chwili, by miał się przejmować, że Erazm pozna jego sekret. Oparłszy łokcie na stole, zaczął z entuzjazmem opowiadać o przyjaciółach filozofa. O pięknym domu i ogrodzie w Chelsea, o specyficznym poczuciu humoru jejmości Alice, o wybitnym umyśle sir Thomasa i o niezwyklej przyjemności, jaką sprawiało dyskusowanie z nim na każdy temat; o duetach wygrywanych na lutniach i o względach, jakimi prawnik cieszył się na dworze.

- Oczywiście kupcom ze Steelyard nie podobało się, że ukrócił sprowadzanie religijnych ksiązek. - Wspomniał o tym, chcąc być uczciwym w swojej relacji. - Obaj z Kratzerem zastanawialiśmy się, czy bardzo surowo traktował ludzi, którzy je czytali. - Urwał, ciekaw reakcji Erazma.

Uczony pokiwał głową ze zrozumieniem, nie bacząc na krytyczną nutę w głosie gościa.

- Taaak. Mnie też czasem dziwi to, co on ostatnio pisze o religii - stwierdził spokojnie, czekając na dalszy ciąg.

Chciwie chłonał każde słowo i Holbein zastanawiał się, czy opowiedzieć o więźniu w kordegardzie. W końcu zdecydował, że to pominie. Szczerłość i prawda, owszem, zgoda, ale plotkarzem nie jest. Nie wiedział

właściwie, co kryło się za tym epizodem, miał też wątpliwości, czy mieszkańcy Rickmansworth zasługują na współczucie. Nie mógł uwierzyć, by człowiek tak szlachetny jak More z zupełnie nieszlachetnych pobudek trzymał w zamknięciu człowieka z twarzą zbitą jak kotlet. Jednak żaden inny powód nie przychodził mu do głowy. Zmienił temat.

- No cóż, o tym nic nie wiem - odparł. - Ale powiem wam coś. Nieraz, dyskutując wieczorami z Kratzerem, zarzucaliśmy More'owi brutalność w prześladowaniu ludzi, natomiast teraz, gdy widzę, jaki zamęt sięją w Bazylei, gotówem przyznać, że być może miał słusność.

Erazm parsknął śmiechem, Holbein zatem szybko się wycofał.

- Sir Thomas jest pełen osobistego uroku - ciągnął już swobodniej. - Ludzie go kochają. Podczas nauki łaciny uczniowie dostają do tłumaczenia zdania w rodzaju: More obdarzony jest boskim geniuszem i niezwykłą erudycją.

- Drogi przyjacielu, mam nadzieję, że przed śmiercią dane mi będzie jeszcze go zobaczyć - rzekł Erazm z nostalgią. - Jak również jego dzieci. Pamiętam nieduże czarnowłose dziewczynki...

- Dziś dorosłe mężatki - wtrącił Holbein i nieco się zachmurzył. - Pewnie już mają dzieci.

- Margaret, Cecily... mała Lizzie... - Erazm westchnął. - Nawet mały Johnny. Jak mądrze mój przyjaciel wybrał sieroty, które wziął pod opiekę. Same dobre partie dla jego własnych dzieci. Majątek po rodzicach i danie im wykształcenia... bardzo korzystne połączenie. Również mała... - urwał, spoglądając na Holbeina bystro jak zaciekawiony ptak. - Mała...

- Meg - dopowiedział głucho Holbein, przeklinając swe zdradzieckie serce za to, że bije tak głośno. - Meg Giggs.

- Taaak. - Erazm przeciągnął to słowo. - Meg Giggs. Urocze dziecko. I bardzo mądre. Pamiętam, że dość późno się zjawiała... - spojrzał na spłonionego malarza. - Mówię na córki „małe” oczywiście wyłącznie z przyzwyczajenia. Niemądre to, skoro na obrazie widać, że są znacznie wyższe i ładniejsze od nas! - zachichotał cicho.

- Ma dwadzieścia parę lat. - Te słowa Holbein wypowiedział trochę za głośno. Wpadł w popłoch, czując piekące łzy pod powiekami. Gniewnie wytarł nos w chustkę. - Letnie przeziębienie - bąknął. - Tuż przed moim wyjazdem się zaręczyła. To już będzie ponad rok temu. Pewnie dawno wyszła za mąż.

- Za Johna Clementa - dokończył Erazm, unosząc lekko brew.

Holbein potwierdził, niezaskoczony wcale, że Erazm wie, miał przecież przyjaciół w całej Europie, z którymi utrzymywał kontakt listowny.

- Zaprzyjaźniliśmy się - dodał, ocierając twarz wielką pasiastą chustką. - To znaczy pani Meg i ja. Bo co do Clementa to, prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem... - urwał, uświadomiwszy sobie, że może zdradzić za dużo.

Erazm uprzejmie pokiwał głową. Lekki uśmiech, jaki się pojawił na mądrej twarzy starego człowieka, sprawiał wrażenie, że uczyony wie i rozumie więcej, niż zostało powiedziane. Brew podniósł jeszcze wyżej.

- To dobry mąż dla Meg? Jak sądzisz? Holbein przytaknął bez większego entuzjazmu.

- Raczej tak - przyznał ze smutkiem. - W każdym razie twierdziła, że go kocha. - Urwał. Nie powinien o tym mówić.

- Utrzymujesz z nią kontakt? - Erazm pytał dalej dobrotliwie. - Zdaje się, że była ci życzliwa? Gdzie zamieszkali po ślubie? Jak jej się wiedzie w małżeńskim stanie?

Holbein się przestraszył, że za tymi pytaniami kryje się coś więcej.

- Nie - mruknął, nie patrząc na Erazma. - Nie utrzymuję. Nie wiem, o czym miałbym do niej pisać.

Uczony zaśmiał się znowu, tym razem z lekką nutą złośliwości.

- Drogi Olpeiusie - rzekł. - Powinieneś przewyciężyć swój strach przed pisaniem. Przecież jesteś mądrym człowiekiem. A podróże na nic ci się zdadzą, jeśli nie poszerzysz swego świata i będziesz trzymać nowych przyjaciół na dystans.

Wygłosił jeszcze kilka takich uwag. Gdyby wypowiedziała je Elsbeth, Holbein odebrałby to jako zręczenie. A tak tylko nieśmiało przeczył.

- Cóż, wielka szkoda, że takie masz podejście - westchnął w końcu Erazm, z wdziękiem uznając swą porażkę. Sięgnął po dzban, by dolać gościowi. - Znałem Johna Clementa, gdy był o wiele młodszy. Liczyłem, że mi pomożesz odświeżyć stare znajomości. Tymczasem... - Skupił się na nalewaniu, a Holbein zauważył, że dłonie pokryte brązowymi plamami lekko drżą.

- Ale co tam! Chciałbym jednak prosić cię o pewną przysługę. - Erazm przybrał poważny ton. - Przyjedź tu jeszcze raz i namaluj mój portret. - Urwał i zakaszłał. - To znaczy, kiedy będziesz miał wolną chwilę - dodał uprzejmie. - Rozumiem, że jesteś bardzo zajęty.

Serce malarza przyspieszyło bieg. Ma znów malować Erazma? I znów możni wielbiciele uczonego z całej Europy będą podziwiać jego dzieło? Dostanie godziwą zapłatę, co uwolni go na kilka tygodni od chodzenia po drukarniach i błagania o zlecenia, na jakie w Londynie w ogóle by nawet nie spojrział. Ostatnio proponowano mu poprawienie tarczy miejskiego zegara! Uciec z Bazylei, z domu, od rodziny? Ależ tak, choćby jutro! Miał już szczerze dosyć dręczących wspomnień ciemnej dziewczęcej główki znikającej w głębi ogrodu. Przyjął propozycję, starając się nie okazywać, jak bardzo jest mu na rękę.

- Dobrze, przyjadę w ciągu najbliższych miesięcy - obiecał, po czym uznawszy, że mogło zabrzmieć to niewdzięcznie, dodał śpiesznie: - Naturalnie to dla mnie wielki zaszczyt. Postaram się jak najprędzej.

- Pewnie jesteś zmęczony... Ja też niedługo powinienem się kłaść. - Sędziwy filozof przez chwilę przyglądał się wolno gasnącej świecy, jednej z trzech, które przetrwały, po czym stłumił ziewnięcie. - Ale posiedź ze mną jeszcze trochę i napij się, a ja poproszę cię o inną przysługę. Chcę napisać krótki liścik do More'ów z podziękowaniem za obraz. Jeśliś łaskaw, wyślij go jutro, gdy wrócisz do domu, dobrze?

Holbein obiecał, że tak uczyni. Uczony wstał z ławy, wziął jedną z dwóch palących się jeszcze świec i podszedł do stojącego w rogu pulpitu, na którym przygotowane były papier, atrament i gęsie pióra. Pisząc, trzymał się prosto, a pokryta żyłkami dłoń zwawo poruszała się nad papierem. Holbein przyglądał się jego twarzy, na którą padało z dołu światło, wydobywające nierówności skóry oraz zmarszczki na policzkach, skroniach i wokół oczu. Nie mógł się nadziwić, że Erazm tak szybko pisze, bez żadnej przerwy.

- Gotowe. - Uczony posypał piaskiem zapisaną stronę. Odwrócił się i spojrział na Holbeina jak czujny ptak. - Widzisz? Nie jest to wcale takie trudne. Cieszę się z twojego przyjazdu i z tego, że będziesz mnie malował. I jeszcze jedno...

Holbeinowi humor znacznie się poprawił. Skoro nie ma dla niego miłości w tym nowym, protestanckim, przerażającym świecie, który kiedyś sam tak bardzo pragnął stworzyć, przynajmniej zrobi wszystko, by przebywać wśród wybitnych ludzi. Dopiero w tym momencie, po upływie ponad roku od powrotu, poczuł, że naprawdę żyje.

- Jeżeli okaże się, że przed naszym następnym spotkaniem znalazłeś czas, by napisać do kochanej... Meg Giggs... Meg Clement... - Erazm utkwił swoje ptasie spojrzenie w malarzu. - Chętnie dowiedziałbym się, jak ona się miewa. - Naturalnie - dodał po chwili - doskonale rozumiem twoją radość z powrotu do domu, rodziny i przyjaciół. Ale kto wie... może niedługo poczujesz, że... w Bazylei czegoś ci brak.

Wyraz oczu uczonego powiedział malarzowi, że jego sekret został odkryty. Erazm pojął, że Holbein od swego powrotu - choć bardzo nie chciał się do tego przed sobą przyznać - niczego nie pragnie mocniej, niż wrócić do Londynu i prośbą, groźbą czy też siłą skłonić Meg, by zmieniła zdanie.

- Teraz, kiedy jej ojciec został lordem kanclerzem Anglii... - Erazm z naciskiem wymawiał te słowa, jakby chciał uświadomić malarzowi, jak cenna to znajomość. - More'owie będą mieć lepszą pozycję i więcej możliwości, by wesprzeć twoją karierę. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może stać się na odwrót. Czasy są niespokojne, i w Anglii, i w Bazylei. Meg i jej mąż mogą wkrótce bardziej niż kiedykolwiek potrzebować prawdziwych przyjaciół. Tak czy owak, drogi chłopcze, rada moja jest taka: trzymaj rękę na pulsie. Pisz. Dołącz krótki liścik od siebie, kiedy mój będziesz wysyłać. Nie ma w tym nic złego.

Holbein zgodził się, niby nadal z niechęcią, ale nie czuł już takich oporów jak przedtem. Poza tym nie może się ciągle sprzeciwiać filozofowi, jeśli chce dostać zamówienie na portret. Napisanie listu na prośbę Erazma da mu przynajmniej pretekst, żeby choć w ten sposób być bliżej Meg. Nie rozumiał wprawdzie, o co Erazmowi tak naprawdę chodzi, ale nie miało to większego znaczenia. W zawołanej formie prośby otrzymał wyraźne polecenie, które powinien sumiennie wykonać - postara się zatem napisać błyskotliwie i ciekawie, tak by zrobić na niej jak najlepsze wrażenie.

- Cóż, nie jestem skrybą - westchnął, chowając pergamin do sakwy. - Ale skoro twierdzicie, że to nie szkodzi, może rzeczywiście tak jest. Chyba powinienem spróbować. - Nagle zrobiło mu się lżej na duszy, choć wolał nie dociekać, dlaczego.

Dopiero gdy następnego dnia wracał łodzią (z listem schowanym w sakwie obok chleba, sera i piwa, które Erazm niemal siłą wcisnął mu na drogę), patrząc na czaple szukające ryb na płyciźnie, a świeży powiew znad rzeki orzeźwił go z wczorajszych oparów wina - przypomniał sobie, że miał spytać Erazma, kiedy, jak i gdzie poznał Johna Clementa.

Prawie nie zauważali mojej obecności. Siedziałam we wnęce okiennej bawialni i haftowałam w coraz słabszym świetle dnia. John pilnie łowił każde słowo doktora Buttsa wykładającego piskliwym głosem swoje teorie o przyczynach epidemii dżumy i sposobach leczenia tej choroby. Nie przeszkadzało mi, że doktor o niczym innym tak chętnie nie mówił, jak o swojej wiedzy na temat ludzkiego ciała. Liczyłam, że sama dowiem się czegoś z ich fachowych rozmów. Ale szczerze mówiąc, już na początku się rozczarowałam, słuchając tych uczonych wywodów.

Może dlatego, że byłam zbyt sceptyczna i lubiłam łączyć wskazówki z uczonych ksiąg z własnym rozsądkiem. A może za długo się nasłuchiwałam porad ulicznych znachorów. W medycynie najbardziej fascynowało mnie stawianie diagnozy, będące prawdziwie intelektualnym wyzwaniem wymagającym dokładnej analizy objawów. Byłam zwolenniczką stosowania łagodnych i roślinnych medykamentów, tradycyjnie uważanych za uspokajające i lecznicze, jak na przykład *aqua vitae* do przemywania ran i łagodzenia bólu zęba czy ziołowe płyny i maści na swędzącą wysypkę przy wietrznej ospie lub odrze. Oczywiście moja wiedza była skromna i zdecydowanie niewystarczająca, aby leczyć królów i dworzan stanowiących klientelę doktora Buttsa. Jednak pewne teorie wykładane w medycznych szkołach, uznawane przez poważnych lekarzy, wydawały mi się dziwnie podobne do zabobonów z ulicznych straganów. Była w nich astrologia i magia, zdarzał się nawet róg jednoroźca, którym handlowały typy takie jak Szalony Davy. I trudno mi się było do nich przekonać.

Wbiłam igłę w haftowany właśnie kwiatek, zastanawiając się, skąd się biorą moje wątpliwości co do wiedzy doktora Buttsa. Nie miałam tyle doświadczenia, by stwierdzić, czy puls dziecka ma rytm jak stopa w wierszu, zwana daktylem, a u dorosłego jest to jamb, co doktor - jak nam powiedział - wyczytał w dziele uczonego Pietra d'Albano*. Nie miałam możliwości osądzić, czy rzeczywiście jest dziewięć prostych i dwadzieścia siedem złożonych odmian muzycznego rytmu w pulsie, stanowiących element *musica humana* naszych ciał (określa się je terminami odnoszącymi się do stworzeń, takich jak mrówka, koza czy robak), a rytm ten ponoć zmienia się z wiekiem. Nie miałam pojęcia, co wywołuje dżumę, lecz jakoś nie żywiłam przekonania do teorii doktora głoszącej, że o tym, czy dany człowiek zachoruje podczas epidemii, decyduje jego horoskop oraz równowaga czterech płynów w ciele.

* Pietro d'Albano był lekarzem, profesorem uniwersytetu w Padwie.

- Już za ciemno na szycie - odezwałam się cicho. - Zechciejcie mi wybaczyć... - Byli do tego stopnia pochłonięci rozmową, że nie zwrócili na mnie uwagi i dopiero, gdy byłam przy drzwiach, doktor Butts powiedział z roztargnieniem:

- Dobranoc, droga pani.

John wpatrzony był w niego niczym wierny pies i nawet się nie odwrócił w moją stronę. (Zastanowiło mnie wtedy, czy mój mąż równie głupio wygląda, kiedy na mnie w ten sposób patrzy, co zdarzało mu się dość często).

Schowałam robótkę i idąc na górę, cały czas rozmyślałam o ich rozmowie. Szykując się do spoczynku, zastanawiałam się, czy to naturalne, że John powinien znać poglądy swego nowego mistrza, tym bardziej że będąc jak ja sierotą, zawsze miał przy sobie starszego, doświadczonego opiekuna. Tłumaczyłam też sobie, że doktor Butts musi reprezentować oficjalne stanowisko wykształconych medyków. Mimo to jego koncepcje leczenia niektórych chorób wydawały mi się w najlepszym razie dziecinne i niemądre, a czasem wręcz okrutne i szkodliwe.

Kiedy jakiś czas później John przyszedł i położył się przy mnie, zamknęłam oczy i udawałam, że śpię.

Nie miałam ochoty na niego patrzeć, zniechęcona tym cielecym uniżeniem, które dziś dostrzegłam - w tym momencie jego twarz straciła dla mnie swoje piękno. Uczeni z otoczenia ojca w ten sposób nie patrzyli. Ich nigdy nie opuszczał twórczy sceptycyzm badacza. Tak zaczęła się pierwsza noc od ślubu, kiedy nie byliśmy ze sobą blisko.

Margaret roześmiała się, słysząc moje pytanie.

- Wielkie nieba, nie! - wykrzyknęła, kładąc dłonie na brzuchu zaokrąglonym nową ciążą. - Prawdę mówiąc, Meg, z wielką ulgą wyrwałam się z tej gorączkowej atmosfery, jaką ojciec stwarza wokół siebie. Uciekłam od jego obsesji. Nie brak mi tego ani trochę.

- A nie brak ci mądrych, głębokich dyskusji i poszukiwania prawdy? - nalegałam. - Nie żal ci, że nasi mężowie tacy nie są?

Uśmiechnęła się i oko jej błysnęło. Od wyjazdu z Chelsea i przeprowadzki do domu Willa w Esher przestała się zachowywać, jak przystało najlepiej wykształconej kobiecie Anglii. I ładniej wyglądała; wprost promieniała szczęściem. Pokręciła głową.

- Kocham Willa takiego, jaki jest - odparła, nie obrażając się. - Oczywiście kocham ojca, ale on jest trudny - dodała, zauważając mój brak przekonania. - Wiecznie czymś pochłonięty... nie zjawia się na posiłki... całe noce przesiaduje w Nowym Pawilonie i pisze... ciągle sprasza do domu dziwnych ludzi, którzy potem mieszkają całymi latami. Wiem, jakie to męczące dla jejmości, choć nie daje tego po sobie poznać. Nigdy nie ma męża ani domu tylko dla siebie. To nie jest życie dla żony. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, Meg, to żałuję jedynie, że Will nie zrobił tego co John i nie znalazł sobie mądrego mistrza, którego by podziwiał i szanował. Najlepiej kogoś daleko za granicą, żeby pisał i niezbyt często podróżował. Will zdecydowanie za wiele czasu spędza z ojcem, załatwiając jego sprawy. Wolalabym, żeby dłużej był z nami i żebym nie musiała ciągle jeździć z dziećmi do Londynu czy do Chelsea. A najbardziej chciałabym urządzić piękny ogród w Well Hall - rozmarzyła się. - Żeby dzieci miały się gdzie bawić. Ściągnęłabym wtedy Willa, by stale nie przesiadywał z ojcem.

Roześmiała się. Naprawdę tak myślała; żalowałam, że nie mam jej pogody ducha.

Zostałam wezwana do człowieka, którego przyniesiono na desce i złożono pod drzwiami kościoła. Był beśnieżny suchy grudzień, ale tak mroźny, że ziemia zrobiła się twarda jak żelazo, a ptaki niemal zamarzały na nagich gałęziach. Po przejściu ledwie kilku kroków drżałam z zimna, mimo ciepłego płaszcza.

Stały tam dwie kobiety, wyglądające dość porządnie, otulone w szare opończe. Jedna, sądząc po figurze i sposobie poruszanie się, mogła być w moim wieku; druga zapewne była jej matką. Jednak w bólu i rozpacz były jak siostry dotknięte nieszczęściem. W ciemny, wczesny poranek niewiele jeszcze widziało się ludzi na

ulicy. Kobiety czekały już pewnie dość długo, bo Szalony Davy, nim zapukał do naszych drzwi, wołał, żeby ojciec i John przedtem wyszli. Chociaż raz nie śmiał się głupkowato. Pokazał je palcem i czmychnął.

- Mówił, że znacie się, pani, na ziołach - odezwała się młodsza. - Czy możecie coś dla niego zrobić? - wskazała otulony szczelnie kształt leżący przed kościołem. Była bardzo zmęczona, ręce kryła pod płaszczem; spuchnięte od łez, podkrążone oczy spoglądały z bólem, ale i z iskierką nadziei. Starsza kobieta milczała. Oddychała ciężko, ujawniając się pod boki. Twarz miała purpurową: trudno było orzec, czy z zimna, czy z wysiłku. Odniosłam wrażenie, że one same przyniosły tego mężczyznę.

Domyśliłam się, że człowiek ten jest na granicy śmierci. Kazałam go zanieść do suchego, zacisznego pomieszczenia przy stajni, gdzie czasem leczyłam biedaków przychodzących z prośbą o pomoc. (Ciągłe zgłaszał się ktoś, kto gdzieś słyszał, że leczyłam chorych na gorączkę potową, i prosił o kataplazm lub o opatrzenie ran). Kiedy po przeniesieniu chorego służący odeszli, odkryłam koc. Nigdy nie widziałam takich obrażeń i przez myśl by mi nie przeszło, że kiedyś zobaczę. Aż zbierało mi się na mdłości. Chwilę stałam bez ruchu, patrząc ze zgrozą. Wydawało się, że rany zadano metodycznie. Ciało było dosłownie zmiażdżone, ręce złamane w dwóch miejscach: powyżej nadgarstków i nad łokciami, nogi nad kostką i nad kolanem. Z czerwonosinego ciała sterczały złamane żebra. Z odbytu i uszu sączyła się krew. Żył jeszcze; zniekształcone usta wydawały ciche jęki, a miejsca, gdzie powinny być oczy i nos, stanowiły jedną wielką krwawą opuchliznę.

- Przemycę mu rany - wyszeptałam, przerażona bestialstwem, które nie mieściło mi się w głowie. Wyraz mojej twarzy zgasił promyk nadziei w oczach kobiet. - Spróbuję ulżyć mu w cierpieniach... dam wyciąg z maku. Ale trzeba wezwać księdza.

Spłoszyły się i rozejrzały niepewnie, a potem popatrzyły na siebie, jakby znalazły się w pułapce. Zaprzeczyły ruchem głowy. Podeszły do nieszczęśnika i stanęły między mną a nim, jakby mu coś z mojej strony groziło.

- W takim razie tylko go umyję - westchnęłam, chcąc je uspokoić, i poszłam po wodę do stajni. Gdy brałam cebrzyk, gniady przyglądał mi się łagodnymi oczami. W zimnym powietrzu koński oddech zmieniał się w obłok pary, podobnie jak mój. Kiedy wróciłam z wiadrem, rozchlapując wodę, kobiety stały przy rannym tyłem do mnie i szeptały coś do niego. Natychmiast się odsunęły i umilkły. Ale usłyszałam ostatnie słowo: amen.

Ręce mi drżały, gdy zbliżałam się do zmasakrowanego ciała. Przede wszystkim nie chciałam zadać większego bólu; bałam się dotykać ran. Nim przyłożyłam zwilżone płótno do twarzy, otworzył usta i spuchnięte szczeliny, które kiedyś były oczami. Wszeptał coś; były to niezrozumiałe dźwięki, a nie słowa, tak strasznie miał poranione usta. Kobiety przypadły do niego; wszystkie trzy widziałyśmy, jak silny dreszcz nim wstrząsnął, po czym znieruchomiał, a z ust i uszu wyszły bąbelki lepkiej krwi. Białe obłoczki oddechu przestały się pojawiać.

- Umarł - rzekła młodsza.

Głos dobywający się z jej pobladych warg był głuchy, lecz zadziwiająco donośny. Spojrzała na mnie z rozpaczą, jakby czekała, że zaprzeczę. Kiedy potwierdziłam, podeszła do zmarłego i trzęsącą się ręką dotknęła zakrwawionego czoła. Ręka była posiniaczona i poraniona niemal tak jak twarz nieżyjącego; zapewne od

dźwigania ciężkiego ciała mężczyzny. Kobieta dotknęła napuchniętych szparek, jakby chciała zamknąć mu oczy i przywrócić godność śmierci. Starsza też podeszła, pochyliła się nad zmarłym i pocałowała go w czoło.

- Mój Mark... - rzekła, nie roniąc ani jednej łzy, i wyprostowała się.

Pewnie była jego matką.

- Czy wiecie... - wyszeptalam, w najwyższym stopniu przejęta śmiercią, jak i pełną dławionego gniewu rozpaczą kobiet - ...co się stało?

Młodsza spojrzała na mnie, jakby się nade mną litowała; a może była to pogarda.

- Nie wiecie to? - spytała. - Naprawdę nie?

Zaprzeczyłam ruchem głowy, lecz najwidoczniej mi nie uwierzyła.

- No to przyjdźcie tam, gdzie mieszkamy, i przekonajcie się - rzekła głośno i zuchwale. - Napatrzycie się do syta. - Wzrok jej jeszcze bardziej stwardniał. Zaśmiała się sucho, co przypominało szczeknięcie. - Naprawdę nie wiecie? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Miał okoliczność z córką śmieciarza, a cóż by? - Nadal nic nie rozumiałam, a ona wzruszyła ramionami i burknęła. - Spytajcie waszego ojca. On będzie wiedział.

Jej ton mnie zranił; pomyślałam jednak, że pewnie przemawia przez nią żal, iż nie potrafiłam uratować życia mężczyzny. Dotknęłam ramienia matki i poczułam, że cała drży.

- Możemy pochować go tutaj - zaproponowałam, lecz ona stanowczo zaprzeczyła ruchem głowy. Nie była w stanie mówić, tak wielkie było jej cierpienie, ale najwyraźniej nie życzyła sobie pochówku przy kościele Świętego Stefana. - Ja zapłacę... - Kolejny przeczący ruch. - To każę go odwieźć do domu, dobrze? - W pierwszej chwili się zgodziła, zaraz jednak odmówiła. Ukryła twarz w poranionych dłoniach i znieruchomiała. Przypominałam sobie, że wcześniej nie zgodziły się na księdza. Skoro odmówiły ostatniego namaszczenia, nie będą także chciały katolickiego pogrzebu. Pomału zaczynałam rozumieć. To heretycy. Młodzieńca poddano torturom, a potem wyrzucono na ulicę. Może chcieli, żeby wydał swoją rodzinę. Pewnie bezpieczniej dla nich będzie nie wracać do swego mieszkania. Matka nie bardzo wiedziała, dokąd pójść.

- Weźmiemy go same - zdecydowała w końcu, gotowa dalej ponieść swój krzyż.

Przekonywanie jej nie miało sensu. Wiedziała, na jakie ryzyko się naraża. Mogłam zrobić tylko jedno.

- Najpierw opatrzę wam ręce - oznajmiłam stanowczo. - Inaczej daleko go nie zanieście.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegłam przez dziedziniec do kuchni, gdzie przy ogniu siedziała piastunka z Tommym. Staralam się nie myśleć o tym, co by się ze mną działo, gdyby ktoś przyniósł mego synka w takim stanie. W spiżarni odkroiłam dwa spore kawały sera, złapałam dwa małe bochenki chleba i razem z niedużą butelką piwa owinęłam to kawałkiem płótna. Wzięłam też więcej czystego płótna do opatrzenia ran. Z całym tym naręczem pobiegłam do bawialni po leczniczą maść. Bałam się, że kobiety odejdą, nim wrócę.

Ale one czekały, wpatrując się w swego syna czy brata. Były trupio blade niczym upiory. Otuliły go starannie płaszczem, jakby się obawiały, że zmarznie. Pozwoliły przemyć sobie ręce, nasmarować maścią i przewiązać czystym białym płótnem. Przygotowałam pakunek z jedzeniem tak, by mogły go sobie przewiesić przez ramię. Starsza kobieta spojrzała mi prosto w oczy.

- Mówił, że macie dobre serce - rzekła cicho. - I że nic złego nas nie spotka, jak tu przyjdziemy. Prawda, Nan?

Młodsza nie odpowiedziała ani na mnie nie spojrzała, tylko podeszła do głowy zmarłego i zabandażowaną ręką uniosła deskę, jakby sprawdzała jej wytrzymałość.

- Chodźmy, matko! - poleciła. Starsza kobieta wzięła węzełek z jedzeniem i ujęła drugi koniec deski; nie sądziłam, by udało im się zejść daleko, zbyt były słabe. Nim wyszły na dwór, z trudem przenosząc swój ciężar przez wąskie drzwi, skinęła mi jeszcze na pożegnanie głową.

- Niech was Bóg błogosławi - westchnęła cichutko, choć może tak mi się tylko zdawało.

Wróciłam do kuchni, gdzie było przyjemnie gorąco i rozchodziły się smakowite zapachy, zupełnie jakby ta straszna historia w ogóle się nie wydarzyła. Ciepło i domowy spokój wydawały się aż nierealne. Jak najszybciej chciałam wyrzucić z pamięci obraz dwóch nieszczęśliwych kobiet, które dźwigały ciało, by je gdzieś pogrzebać. Wzięłam Tommy'ego z rąk piastunki i przytuliłam. Dotknęłam nosem jego noska i patrząc na śpiącego synka, odmówiłam w duchu żarliwą modlitwę z prośbą, by był bezpieczny.

- O, Meg! - wykrzyknął John. - Och... - Zsunął się ze mnie i ucałował mój nos tak samo czule, jak ja całowałam nosek Tommy'ego. Ujął moją twarz w dłonie.

Kompletnie zapomniałam o dystansie, jaki ostatnio wytworzył się między nami. Dwa dni tęskniłam do niego, kiedy wyjechał z doktorem Buttsem; bardzo pragnęłam jego powrotu i chciałam mu opowiedzieć, co tutaj się zdarzyło.

- W Essex - odparł krótko, kiedy ubłocony wjechał na dziedziniec, a ja spytałam, gdzie byli. Pograżony w myślach i cichszy niż zazwyczaj, nie powiedział nawet, kogo leczyli. A ja, przejęta własnymi przeżyciami i tym, że mam mu o nich opowiedzieć, wcale nie dopytywałam.

Na chwilę zatonełam w tych pięknych jasnoniebieskich oczach, lśniących jeszcze rozkoszą i pełnym zadowolenia uśmiechem. Przesunęłam dłonią po jego pośladkach i plecach, z przyjemnością dotykając umięśnionego, szczupłego ciała, a potem musnęłam pieszczotliwie jego brwi, policzek i podbródek.

Ale smutek wciąż we mnie tkwił. Musiałam zadać mu pewne pytanie. Oparłam się na łokciu.

- John... - zaczęłam.

- Mmm? - usłyszałam w odpowiedzi pomruk, zdradzający nadzieję na coś miłego. Pewnie się spodziewał, że opowiem mu o nowym wyczynie naszego mądrego synka, a on zrewanżuje się anegdotą o doktorze Buttse, i wtedy się pośmiejemy. - Słucham cię.

- Co to jest córka śmieciarza? - spytałam z drżeniem w sercu.

Natychmiast stał się czujny. Nadal leżał oparty na łokciu i obejmował mnie w pasie, ale wyraz jego oczu się zmienił.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - John często odpowiadał pytaniem na pytanie.

Głos miał niby spokojny, ale zdecydowanie poważniejszy.

- Ano... - zawahałam się. - Słyszałam na ulicy...

Spojrzał na mnie surowo.

- Meg - rzekł z wyrzutem, a ja poczułam się tak, jakbym znów znalazła się w szkole. - Żadnych sekretów.

Zatem opowiedziałam mu całą historię. Kiedy skończyłam, przeżegnał się.

- Źle, że trafiło to na ciebie. - Był zdenerwowany. - Wolałbym, żebyś nic nie wiedziała o tych wszystkich okropnościach. Sam wolę o nich za wiele nie wiedzieć. - Zadrzał.

- Więc co to jest córka śmieciarza? - nalegałam. - Urządzenie wynalezione przez Leonarda Skeffingtona w Tower... - Urwał znowu. - ...Do przesłuchiwania więźniów.

Czekałam na ciąg dalszy, lecz nie było mu śpieszno. W tym momencie wyglądał podobnie jak owej pamiętnej nocy, gdy opowiadał o swojej przeszłości. Potem już cały czas był zwykłym Johnem Clementem i zbywał śmiechem wszelkie moje próby dowiedzenia się o nim czegoś więcej.

- Widzisz, Meg, trudno mi o tym mówić - podjął ze ściśniętym gardłem. - Sam pomysł zadawania tortur przyprawia mnie o mdłości.

- Ale ja muszę wiedzieć. Widziałam ciało tego człowieka. - Nie podobał mi się mój własny głos; był ostry i napastliwy. Jednak chciałam poznać prawdę.

Westchnął niechętnie i odwrócił wzrok.

- No dobrze. Jest to metalowe urządzenie z otworami na ręce i nogi. Można nim ścisnąć człowieka tak, że miażdży kończyny i klatkę piersiową i łamie kości. - Ton głosu miał suchy i naukowy. Niemal czułam, jak wzdraga się przed tą krwawą wizją.

- Na heretyków? - spytałam równie sucho.

Zwożono ich ostatnio zewsząd, a z wszelką nieprawomyślną działalnością wydawniczą surowo się rozprawiano. Palono każdy znaleziony egzemplarz książek Simona Fisha* i Williama Tyndale'a. Mało kto wierzył, by król był głównym prześladowcą. Krążyły różne plotki. Szeptano sobie na ucho, że król dostał od Anny Boleyn ostatnią zakazaną książkę Tyndale'a, przeczytał ją i zgadza się z niektórymi tezami zbuntowanego kaznodziei, ale nie z tą, że Kościół rzymski to ucieleśnienie zła i w związku z tym powinien zostać zburzony. Uznanie monarchy wzbudził raczej pogląd, że kler nie powinien mieszać się do polityki. Sama już nie wiedziałam, w co wierzyć, lecz te pogłoski były mocno niepokojące. Jeszcze bardziej przerażał widok więźniów. Raz widziałam takiego: jechał na koniu zwrócony twarzą do ogona, a do kubraka przypięte miał znalezione przy nim zakazane teksty, niczym żywa heretycka księga. Niezręcznie próbował osłaniać związanymi rękami głowę przed pecynami błota i zgniłymi owocami, jakimi obrzucała go gawiedź z Cheapside, kiedy konia prowadzono do St Paul's Cross. Na ulicznych stosach płonęły książki, a ludzie ciągle szeptali o aresztowaniach.

* Simon Fish (zm. 1531), ang. reformator religijny, propagujący Biblię Tyndale'a. Oskarżony o herezję, zmarł na dżumę jeszcze przed procesem.

- Przeważnie tak. - Unikał mego wzroku. - Nie jesteś zmęczona? - spytał. - Chodźmy spać. - I nie czekając na moją odpowiedź, zdmuchnął świecę.

W przytulnej i bezpiecznej ciemności objął mnie i przyciągnął do siebie. Serce biło mu jak u spłoszonego konia, którego tylko delikatna pieszczota może uspokoić, więc pogłaskałam go czule.

- Obiecaj mi coś, Meg - szepnął.

- Co tylko zechcesz - odparłam cicho, ukołysana zapachem i ciepłem miłości.

- Trzymaj się z dala od kłopotów - odezwał się poważnym, stanowczym głosem. - Ostatnio sporo o tym myślałem, ponieważ sam omal ich sobie nie napytałem. Wiesz, dokąd pojechaliśmy? Powiem ci. Doktora Buttsa wezwano do Essex do kardynała Wolseya; prosił, bym mu towarzyszył. Jest mu ogromnie zobowiązany. Ma przyjaciół wśród ludzi nowej religii i mówi, że kardynał traktował ich łagodniej, niż spodziewa się tego po twoim ojcu. Nie mogłem odmówić, bo doświadczyłem od niego wiele dobrego. I wiesz co? Biedny stary Wolsey jest umierający. Nie sądzę, by zdołał przyjechać do Londynu na swój proces. Ale szybko zrozumiałem, że popełniłem błąd, zgadzając się na ten wyjazd. Sir Thomasowi również winien jestem wdzięczność i nie chcę robić sobie z niego wroga. Przez całą drogę rozważałem tylko to, ile ryzykuję, że nie potrafiłem odmówić Buttsowi. Byłem wściekły na własną głupotę. Teraz, gdy mam ciebie i Tommy'ego, muszę myśleć przede wszystkim o was. Nie jestem już narwanym, impulsywnym młodzikiem. Chcę trzymać się z dala od tych wszystkich spraw i cieszyć moją rodziną. Ty też powinnaś robić to samo. Nie wpuszczajmy zła za próg. Bądźmy szczęśliwi w naszym domu. Proszę, nie kuś losu!

Wymruczałam coś, co mógł wziąć za zgodę, i głaskałam go delikatnie, dopóki nie pogrążył się we śnie. Jego słowa pozwoliły mi na moment oderwać się od własnych przeżyć. Dziwne, ale poczułam szacunek dla doktora Buttsa za to, że pojechał do swego dawnego protektora, mimo iż kardynał wypadł z łask. Poruszyła mnie także reakcja sumienia Johna. Ale nie byłam pewna, czy zrobiłabym to, o co mnie prosił, gdyby zapukano do moich drzwi. Czy zdołałabym odmówić pomocy potrzebującemu.

Nie mogłam zasnąć. John kręcił się i rzucał niespokojnie, a do mnie nie wiedzieć czemu wciąż uporczywie powracały w myślach słowa tamtej kobiety: „Spytajcie waszego ojca. On będzie wiedział”.

Ojciec i nowy biskup Londynu John Stokesley rozpoczęli kolejną kampanię skierowaną przeciwko heretykom. Ojciec pracował całe dni, załatwiając pozostałe po kardynale Wolseyu zaległości w sprawach sądowych przekazanych do Izby Gwiazdzistej* i urzędu kanclerskiego. Wieczory spędzał w Chelsea lub u nas w Londynie i przy wieczerzy narzekał na bałagan, jaki zastał w dokumentach. Takiego widzieliśmy go co dzień: uśmiechniętego, uprzejmego lorda kanclerza, faworyta króla, sprawnie wypełniającego swoje obowiązki. Jednak teraz, gdy miał władzę kanclerską, robił coś jeszcze (co mogło się podobać królowi lub nie, w zależności od tego, czy prawdziwe były plotki, że król czyta Tyndale'a i się z nim zgadza), a mianowicie próbował skutecznie ukrócić handel zakazanymi książkami.

* Trybunał zbierający się w sali Pałacu Westminsterskiego ozdobionej gwiazdami, sądzący przestępstwa przeciwko państwu i monarsze, ścigający także fałszerzy monet. Sąd ten mógł stosować tortury także wobec szlachcica.

Po ślubie z tak wielkim zapalem zajęłam się domowymi sprawami, że w codziennej krzątaninie puszczałam mimo uszu strzępy informacji docierających z różnych stron. Teraz zaczęłam je ze sobą łączyć i powróciły dawne niepokoje. Przypomniałam sobie, że ojciec pod innym nazwiskiem pisał pełne jadu i agresji polemiki wymierzone w religijnych adwersarzy, żarliwie oskarżając heretyków o różne rzeczy. Przedtem wołałam uwierzyć, że wypełnia rozkazy króla i przesycone nienawiścią pisma należą do oficjalnej polityki dworu. Chyba jednak byłam naiwna. Ojciec sporządził nowy indeks zakazanych ksiąg, za których posiadanie

groziło więzienie. To on stał za aresztowaniami i to jego szpiedzy przesiadywali w portowych gospodach, słuchając, o czym się mówi. Mogło przecież tak być - a może było - że wyrażał swą nienawiść, łamiąc ludziom kości. Leżałam nieruchomo w kojącej, ciepłej i bezpiecznej ciemności, a gdzieś w środku zalewała mnie czarna żółć. Tamta kobieta obwinała ojca i miała rację. Nieważne, czy osobiście zadawał tortury, to i tak on lub ktoś z jego podwładnych wydał rozkaz skatowania człowieka, którego śmierć widziałam tego ranka. Nieważne, czyja ręka dokręcała śruby - odpowiedzialność spoczywała na nim. Wolsey nie miał nic do powiedzenia, król był niezdecydowany, zatem rozkazy wydawał ojciec.

Z kąta dobiegło kwilenie. Wstałam z łóżka i wzięwszy Tommy'ego na ręce, siadłam z nim na fotelu przed kominkiem. Przez chwilę nic dla mnie nie istniało poza malutkimi rączkami ugniatającymi moją pierś i ciałkiem napiętym, kiedy malec rytmicznie wyciągał ze mnie mleko. Wróciłam do poprzednich rozmyślań, ale byłam już dużo spokojniejsza. Mrok podejrzeń rozjaśniły jasne wspomnienia, będące niczym migoczące światełka: ojciec siedzący w fotelu i rozbawiony tym, że dziecko usiłuje ssać tasiemkę od jego kaftana; ojciec wchodzący na palcach z bukietem fiołków, kiedy leżałam w łóżku po porodzie; ojciec obejmujący mnie i dziecko; ojciec ze śmiechem opowiadający o wizycie w gospodzie przy St Botolph Wharf i szynkarce, która mówiła, nie robiąc przerwy nawet na oddech. Ze wspomnieniami pojawiła się nadzieja. Człowiek, którego dobroć i szlachetność poznałam jeszcze lepiej od dnia mego ślubu, po prostu nie mógłby ulegać ślepej, irracjonalnej furii. Nie było w nim żadnej niegodziwości. Nie mógł rozkazać, by więźnia zamknięto w żelaznym urządzeniu i ścisano, dopóki nie popękają kości, jeśli nie było naprawdę ważnego powodu. Trzeba tylko poznać ten powód.

Dawna ja - dziewczyna, która nie wierzyła, że zaufanie i szczęście są możliwe - teraz poszłaby do gabinetu ojca i w poszukiwaniu dowodów przejrzała papiery zostawione na biurku. Przez chwilę rozważałam taką możliwość, ale zarzuciłam tę myśl. Odłożywszy do kołyski Tommy'ego, opitego mlekiem i śpiącego smacznie, wróciłam do łóżka, wsunęłam się w objęcia Johna i próbowałam zasnąć, wiedząc już, co chcę zrobić. Miałam zamiar wybrać szczęście, tak jak mówił John. Ale nie w ten sposób, jaki on proponował, czyli godząc się na niewiedzę. Byłam szczęśliwa i nie chciałam tchórzostwem kalać tego błęgiego stanu. Postanowiłam zebrać się na odwagę i spytać ojca o prawdę, a następnie uwierzyć we wszystko, co mi powie.

Rano zabrałam Tommy'ego i pojechałam z nim do Chelsea.

Mimo dojmującego zimna Szalony Davy tkwił na swym posterunku. Widząc mnie, natychmiast oderwał się od muru, o który stał oparty, i uśmiechnął się głupkowato, jakby wczoraj nic niezwykłego się nie zdarzyło. Był to człowiek niski, krępy, miał krzywe nogi, znaczne braki w uzębieniu i siwiejące włosy. Razem ze starą matką mieszkał niedaleko w nędznym zaułku. Nie wiadomo, dlaczego wybrał handel dziwnymi specyfikami, a nie jakieś inne zajęcie. Właściwie nigdy nie widziałam, by ktoś kupował od niego ciemne płyny i proszki śmierdzące zgniłymi jajami, które rozstawiał, gdzie się dało, przeważnie na murkach i parapetach. Zawsze kręcił się w pobliżu i trudno było nie słyszeć jego szalonych opowieści i plotek, gdyż wykrzykiwał je gromkim głosem, gdy znalazł słuchaczy. Zawsze pierwszy wiedział, o czym mówi ulica. Zielarze lubili starego plotkarza, ja też, choć się go trochę bałam.

Zbliżył się do mnie i głupkowaty uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Zrobiliście, co w waszej mocy - rzekł cicho, chociaż raz nie na całą ulicę. Pokiwał głową z mądrą miną. - Mówiłem im, że pomożecie. Bo macie dobre serce. - Lekko się skłonił i dotknął pomarańczowej czapki; wtedy zauważyłam, że jego ręce są posiniaczone i krwawią.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Z jednej strony chciałam jak najszybciej ruszyć w drogę, bo jeśli miałam rozmawiać z kimś o tych kobietach, to wołałam z ojcem, a nie z nim. Z drugiej zaś strony intrygowało mnie, co Davy wie na ten temat. Zastanawiałam się, jak tu sprytnie zadać pytanie, a tymczasem on mnie uprzedził. Mówił bez cienia niechęci czy wrogości, ale też bez zwykłej teatralności.

- Jest dużo gorzej, odkąd nie ma starego Wolseya. - Przyjrzał mi się badawczo i dodał: - Podobno wasz ojciec torturuje ludzi w ogrodzie w Chelsea.

- Nie! - zaprzeczyłam nerwowo i poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

Nie chciałam myśleć o kordegardzie. Nie chciałam, żeby ten szaleniec zburzył mój spokój. Musiałam najpierw porozmawiać z ojcem, zanim pozwolę, by wróciły dawne wątpliwości.

Pokiwał w milczeniu głową, jakby potwierdzając coś, co nie miało nic wspólnego z moją odpowiedzią. Przynął się bliżej, tak że wyraźnie poczułam zapach zepsutych jajek, uryny i piwa.

- Podobno znów zapłoną stosy - wyszeptał.

Zupełnie mnie zaskoczył. Czegoś takiego się nie spodziewałam, jako że w naszych czasach nieliczne były przypadki palenia na stosie. Poczułam się bezradnie. Tommy zaczął się kręcić, więc poprawiłam go sobie na rękę.

- Nic o tym nie wiem - odparłam głucho i co prędzej się oddaliłam.

Ojciec pracował w wielkiej sali. Jego nowy eksperyment polegał na przeniesieniu miejsca urzędowania z Lincoln's Inn Hall do domu, na skutek czego rozpatrywanie spraw trwało krócej. Podobno wprawił króla w dobry humor tym, że z zaległych z czasów Wolseya ponad dziewięćset spraw sądowych zdołał już załatwić ponad połowę. Nakryty zielonym suknem wielki stół zavalony był stosami ksiąg i dokumentów. Przy ścianie stały cztery krzesła, które zajmowali ojciec i trzech prawników w urzędowych strojach. Jeden odczytywał pozew. Pełno tu było obcych ludzi, wszyscy słuchali uważnie, niektórzy szeptali. Miałam wrażenie, że patrzę na rodzajowy obrazek. Gdy prawnik skończył, ojciec się uśmiechnął i powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Osoby stojące najbliżej zareagowały śmiechem.

- Podaję im posiłki w dawnej pracowni mistrza Hansa - oznajmiła z dumą jejmość Alice, gdy stojąc w progu, podziwiałam ten niezwykle żywy obraz. - Sporo z tym ambarasu, jak się zapewne domyślasz.

Zaprowadziła mnie tam i pokazała stół, pod którym chowałam kiedyś rysunki mistrza Hansa, zastawiony teraz półmiskami z wołowiną, koszykami z chlebem, szklanicami i butelkami.

- Powiedziałam, żeby się sami częstowali, gdy załatwią swoje sprawy. - Kołysała Tommy'ego z babciną czułością. - Straszne głodomory ci prawnicy! Nie uwierzyłabyś, ile mięsa potrafią pochłonąć na raz. - Spojrzała na mnie porozumiewawczo, po czym wzniosła oczy ku niebu niby to z rozpaczą, co świadczyło, że jest zachwycona tym nowym życiem.

Przeszliśmy do jej bawialni.

- My zjemy dziś osobno - wyjaśniła. - Będzie normalna gorąca wieczerza. Twój ojciec ma gościa. Właśnie przyjechał. Sir James Bainham, przypominasz go sobie?

Pamiętałam go raczej słabo. Prawnik z Middle Temple, który miał córkę w wieku moim i Margaret; bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy małe, ale jej imię kompletnie umknęło mi z pamięci. Myślałam, że już dawno wycofał się z zawodu. Miał rzadkie siwiejące włosy, śmiał się nerwowo i piskliwie. Podczas największego natężenia gorączki potowej przyjechał do nas i razem z Johnem zastanawiali się, jak najlepiej pomóc ludziom ze wsi. Człowiek z gruntu dobry. W zeszłym roku ojca nie zachwyliła wieść, że Bainham powtórnie się ożenił, a jego wybranką została wdowa po heretyku Simonie Fishu (który w swej broszurze zaprzeczał istnieniu czyścica i oskarżał księży o wyciąganie od łatwowiernych ludzi pieniędzy za modlitwy za zmarłych). Byłam niezadowolona, że Bainham tu jest. Przyjechałam nie tylko z rodzinną wizytą, lecz także wyjaśnić dręczące mnie wątpliwości. Kiedy uda mi się spotkać z ojcem, jeśli jego wolną od zajęć godzinę spędzimy na towarzyskich rozmówkach?

Sir James stał obok krzesła, na którym zawsze siadywała jejmość, haftując - tamborek leżał gotowy, kosz był otwarty, motki kolorowego jedwabiu czekały porządnie ułożone na małym stoliku obok. W przytulnym kobiecym wnętrzu gość sprawiał wrażenie intruza i wprowadzał element niepokoju. Chudy, o plecach wygiętych w charakterystyczny sposób jak usłużny znak zapytania, był wyraźnie zdenerwowany i wystraszony. Przysięgłabym, że na jego twarzy pojawiła się ulga, że idziemy z dzieckiem. Ale może z natury był strachliwy.

- Prawdziwa to dla mnie radość widzieć panią Meg - odezwał się z dobrze wyćwiczoną kurtuazją. - Wyrosłaś, pani, na prawdziwą piękność. I Pan Bóg pobłogosławił słodkim dzieciątkiem.

Umilkł - wyraźnie mając nie większą ochotę na rozmowę ze mną niż ja z nim - i pochylił się nad dzieckiem. Tommy rozkosznie się uśmiechnął i wyciągnął tłustą łapkę, chcąc pochwycić wielki nos, który pojawił się w jej zasięgu. Sir James udał, że nic się nie stało, ale się wycofał. Miał dziwny nerwowy tik: zaciskał ręce mocno, jakby chciał je unieruchomić, ale nad twarzą nie mógł zapanować.

Nieco się zaniepokoiłam jego stanem i wtedy usłyszałam kroki ojca. Miałam nadzieję, że mimo wszystkich niepewności i wątpliwości sama jego obecność poprawi mi nastrój. Jednak ojciec, choć lekko rozjaśnił się na mój widok, był wyjątkowo poważny. A sir James nerwowo przestąpił z nogi na nogę i twarz mu stężała, jakby starał się ukryć swoje uczucia.

- Meg! - wykrzyknął ojciec i przyśpieszył kroku. - Co za miła niespodzianka! - Objął serdecznie mnie i Tommy'ego.

Następnie zwrócił się do sir Jamesa; coś dziwnego zobaczyłam w spojrzeniach wymienionych przez dawnych kolegów.

- Nieczęsto miewam odwiedziny mego wnuka, sir James - wyjaśnił ojciec. - Czy możemy zatem załatwić nasze sprawy nieco później?

Co za ulga, pomyślałam, że ojciec, najwyraźniej czytając w moich myślach, domyślił się, iż chcę porozmawiać z nim sam na sam. Sir James naturalnie się zgodził i ponownie skłonił. Dopiero teraz zauważyłam, że gość nie zdjął płaszcza, zupełnie jakby gotował się do ucieczki.

- Jejmość Alice zaprowadzi was, panie, na skromną wieczerzę, jaką podejmujemy prawników - rzekł ojciec z uśmiechem, ale jego oczy pozostały zimne. - Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

Jejmość Alice doskonale zrozumiała, że to wydano polecenie, i natychmiast wyprowadziła onieśmiałego gościa.

Ojciec spojrział teraz na mnie. Bruzdy widoczne na jego twarzy świadczyły o wielkim zmęczeniu, mimo to patrzył tak czule, iż chyba musiałam się pomylić co do jego oczu, gdy rozmawiał z biednym sir Jamesem.

- Zjedźmy razem wieczerzę, Meg. - Wziął ode mnie Tommy'ego, serdeczny i czuły, jak to było między nami od dnia mego ślubu. - Chcę się nacieszyć tobą bez tych wszystkich ludzi.

- Dobrze. - Byłam teraz spięta i zdenerwowana niemal jak sir James. Nie przemyślałam wcześniej, co mam powiedzieć. - Ojczy, chciałam cię o coś spytać... - zawahałam się.

Zachęcił mnie skinieniem głowy i ostrożnie kołysząc dziecko, słuchał uważnie. Gorąco pragnęłam, by jego słowa rozproszyły moje lęki i sprawiły, że znów poczuję dawną miłość.

- Wczoraj pod moje drzwi przyniesiono człowieka potrzebującego pomocy - zaczęłam, usiłując mówić jak najspokojniej i bardzo starannie dobierając słowa. - Wnieśliśmy go do środka, ale zmarł. Przedtem był torturowany. Pytałam, dlaczego go tak męczono, i usłyszałam, że powinnam spytać ciebie.

Westchnął i cofnął się nieco, nie przestając kołysać Tommy'ego.

- Oj, Meg, Meg - powiedział z lekkim wyrzutem. - W niedobrych czasach żyjemy, jeśli córka kwestionuje słusność postępowania ojca.

Poczułam w sobie chłód. Chyba coś źle zrozumiałam? Czy on naprawdę przyznał się, że jest za to odpowiedzialny?

- Najpierw Will, teraz ty - ciągnął ze smutkiem. - On przynajmniej w końcu zobaczył sens naszych działań. Wiesz, zastanawiałem się wtedy, a teraz nurtuje mnie to jeszcze bardziej, czy wy, dzieci, macie pojęcie, co budzi wasze współczucie?

- No więc co? - spytałam buńczucznie, zdziwiona własnym gniewem. Słowa te padły, nim zdążyłam pomyśleć. - Zawsze byliśmy tacy dumni z twojej dobroci i sprawiedliwości, a tu nagle widzę człowieka... chłopca jeszcze... który skatowany umiera na moich rękach. A ludzie mówią, że ty za tym stoisz.

Nie zganił mnie za ton. Odpowiadał spokojnie.

- To nie to samo, co sądzić piekarza oszukującego na wadze albo awanturników wywołujących burdę w gospodzie. - W tym momencie spojrział na mnie błagalnie. - Zrozum, Meg. Łagodność wobec drobnego oszusta czy złodziejzka to jedno. Ale trudno patrzeć beczynn timer, jak panoszy się zło, które zniszczy wszystkie prawa i zasady stanowiące o naszym życiu. Nie można pobłażać heretykom i tylko kazać im obiecywać poprawę. To nie są biedni chłopcy, za jakich ich uważasz. To narzędzia ciemności. Usiłują zdusić prawdziwe światło, w którym zawsze żyliśmy. Jeśli ich nie zniszczymy, zburzą Kościół, w którym żyjemy od półtora tysiąca lat. Nie mamy wyboru.

Zamilkł. Pewnie czekał, że wycofam się z zarzutów, zgodzę się z nim i przyznam, że bardzo byłam niemądra. Ale nie mogłam spełnić jego oczekiwań, choć ten płynny jak miód głos brzmiał bardzo przekonująco i szczerze. Wciąż nie mogłam dostrzec ogromu zła, o którym mówił. Widziałam jedynie krew płynącą z ciała skatowanego chłopca.

- Czy wydałeś rozkaz, by zapłonęły stosy? - spytałam nieswoim głosem. Wydawało się to nieprawdopodobne. Davy musiał bredzić. W dawnych, okrutnych czasach na stos szli członkowie sekty lollardów za to, że ośmielili się domagać Pisma Świętego w języku angielskim. Ale przecież to przeszłość.

Westchnął i pokręcił głową, a ja przez ułamek sekundy myślałam, że zaprzecza. Gdy dalej kręcił głową, pojąłam, że oznacza to pełne żalu przytaknięcie.

- To nie moja wina... - zaczął.

- A więc to prawda - przerwałam mu, czując gorąco na policzkach.

Nie zwracał uwagi na moje słowa.

- Niedaleko Gravesend pojmany został ksiądz nazwiskiem Thomas Hitton - ciągnął, cały czas kołysząc dziecko. - Podejrzewano go o kradzież płótna, tymczasem się okazało, że w płaszczu ma niewidoczne kieszenie, a w nich pełno listów do heretyków przebywających za granicą, w tym do Williama Tyndale'a.

Tyndale był mrocznym upiorem, złym wilkiem, którym straszono dzieci, i największym nieprzyjacielem ojca. Odstępca od Kościoła, ksiądz, który przeszedł na stronę wroga. Ukrywał się w Europie przed angielskimi szpiegami i prowokatorami. A do Anglii stale napływały tłumaczone przez niego Biblie i modlitewniki, schowane w beczkach, baryłkach, skrzyniach i paczkach, które wyładowywano w cichych morskich zatoczkach albo pod nosem ojca w Steelyard.

- Przesłuchał go najpierw arcybiskup Canterbury - mówił ojciec z twardą goryczą, którą mistrz Hans genialnie potrafił oddać na portrecie. - Na początku tygodnia przekazano go władzom świeckim. Egzekucja odbędzie się dwudziestego trzeciego lutego w Maidstone. Jedynym tłumaczeniem Hittona jest: „Nie powinno się odprawiać mszy”. Czarna owca wśród kleru. Budzi najwyższy wstręt.

Ojciec się do mnie uśmiechał, ale jego oczy pozostawały śmiertelnie poważne.

- Decyzja ta nie zależała ode mnie - powiedział. - Ale gdyby tak było, wydałbym taki sam wyrok. Każdy, kto uważa, że prości niepiśmienni chłopcy mają prawo krytykować księży i określać swoją relację z Bogiem, godzi w Kościół, którego wszyscy jesteśmy członkami. Nie tylko burzy to porządek dzisiejszego świata, lecz także zrywa więzi łączące żyjący lud boży z dawnymi chrześcijanami, od świętego Augustyna poczynając; z tymi wszystkimi, którzy przed nami wierzyli w to samo co my teraz. Gdy tych więzi zabraknie, skalane zostanie ciało Chrystusa na ziemi... przepadnie na zawsze piękno łaciny, wspólnego języka łączącego wiernych... pozostaną jedynie obłąkane wymysły i bełkot. *Anarchos*.

Mówił bardzo sugestywnie. A mnie przyszedł na myśl Davy skulony przy wejściu do kościoła Świętego Stefana, zachwalający róg jednorożca i wykrzykujący inne brednie. Czy rzeczywiście chciałam zdradzić krąg ludzi świątłych i przejść na stronę szaleńców, takich jak Davy, których wyobrażenie o Bogu jest nieskładne i poplątane? Odwróciłam się, by ukryć ten moment słabości i niechciane lzy napływające do oczu. Próbując się uspokoić, spojrzałam za okno. Nie byłam gotowa przyznać się do porażki. Opanowałam się i powiedziałam cicho:

- Myślałam, że jesteś humanistą. Nie oprawcą.

Tym go rozgniewałam. Podszedł do mnie, chwycił wolną ręką za ramię i gwałtownie odwrócił do siebie. Teraz widziałam jego twarz z bliska - była zaczerwieniona z gniewu. Z jego ust popłynął potok słów.

- Głupia, naiwna dziewczyno! Czy ty rozumiesz, co mówisz?! - krzyczał. - Hitton to diabelskie nasienie! Męczennik cuchnący siarką! - Wydał usta z niesmakiem. Na czoło wystąpił mu pot. Kropelki śliny padały na moją twarz. - Człowiek ten opętany jest przez ducha kłamstwa i jego nieszczęsna dusza poszybuje prosto ze stosu w ogień wieczny! Zasluguje na potępienie!

Zamilkł i spojrzał na mnie, jakby sobie przypominał, gdzie się znajduje. Oddychał równo i głęboko, starając się opanować. Nozdrza mu pobieleły. Otarł wilgoć z czoła. Znów stał się mądrym, spokojnym ojcem, który mnie wychował. Ja jednak miałam przed oczami agresywnego, obcego mi człowieka, który dosłownie moment wcześniej stał w tym samym miejscu. Dostrzegł i zrozumiał strach i obrzydzenie malujące się na mojej twarzy. Zrobił krok w moją stronę. Cofnęłam się.

W nagle zapadłej ciszy rozległ się płacz Tommy'ego. Obudziły go podniesione głosy i napięcie, jakie pewnie wyczuwał.

Oboje przemówiliśmy jednocześnie.

- Przepraszam, że krzyczałem.

- Oddaj mi dziecko!

Podeszłam - tak jakbym przekraczała przepaść, która między nami powstała - wzięłam Tommy'ego i cofnęłam się pod okno. Odwróciłam głowę, żeby na niego nie patrzeć. Nie protestował. Wiedziałam, że stoi tuż za mną, ale nie miałam ochoty się do niego odzywać.

- Tommy jest bardzo dla mnie drogi - zaczął nieśmiało, podczas gdy synek zanosił się coraz głośniejszym płaczem. - Wszyscy jesteście dla mnie ważni.

Nie poruszyłam się.

- Meg... - zaczął błagalnym tonem. Kołysałam Tommy'ego coraz energiczniej, przemawiałam do niego czule, cały czas odgradzając go sobą od ojca. Ale nie mogłam uciec od jego głosu. - Co to w ogóle znaczy dla ciebie: humanista? O co mnie oskarżasz? Jedyne, czego pragnęliśmy z przyjaciółmi w latach mojej młodości, to doprowadzić do pogodzenia nauki Kościoła ze spuścizną starożytnych mędrców. Marzyliśmy o wymieceniu wszystkich tych pajęczyn, które zalegały po kątach. O pozbyciu się brudu nagromadzonego przez stulecia. Sposobem na to miało być ukrócenie mnichów bogacących się ciężką pracą zwykłych ludzi, księży, którzy ledwo umieli przeczytać Pismo Święte, oraz handlarzy fałszywymi relikwiami. Tak, zgadzam się. Były liczne nadużycia. Ale myśmy dążyli do przywrócenia czystości w Kościele, do pogłębienia naszej wiary. A nie do jego zniszczenia.

Nie chciałam dłużej słuchać. Słowa jego były jak zawsze starannie wyważone i spokojne. Gdyby mówił dalej, dałabym się przekonać. Lecz nic z tego, w co jako posłuszna córka powinnam wierzyć, nie pasowało do krwawiącego ciała zamęczonego na śmierć chłopca. Ani do okropnego wyrazu twarzy ojca, do krzyku i do wyroku: „Zasługuje na potępienie”. Kołysałam Tommy'ego, starając się myśleć tylko o tym, żeby go uspokoić. Siebie także.

- Meg... - próbował wciągnąć mnie do rozmowy. - Oboje mamy szczęście, że należymy do nielicznych wykształconych ludzi, którzy patrzą na świat w sposób mądry i subtelny, lecz także z szacunkiem i pokorą. My wiemy, jak daleko możemy się posunąć, ale nie każdy na to zasługuje. Nie można oddawać Boga w ręce motłochu.

Przestałam kołysać Tommy'ego, ale wciąż stałam odwrócona do ojca plecami. Synek już nie płakał, tulił się do mnie. Pogłaskałam go po główce i powiedziałam coś do niego cicho.

- Piękne dziecko - odezwał się ojciec. Spojrzałam na niego przelotnie. Tak mocno zaciskał dłonie, że aż mu kostki pobieleły. - Czy kiedykolwiek... - zaczął i urwał, jakby co innego przyszło mu do głowy. - Nie

pomyślałaś, Meg, o niebezpieczeństwie, na jakie go narażasz? Czy ten argument nie przekonuje cię do potępie-potępienia heretyków, nawet gdyby nie było innego?

Nie chciałam odpowiadać i nadal nie odwracałam się. W końcu jednak rzuciłam przez ramię:

- Co chcesz, ojcze, przez to powiedzieć? - Głos miałam szorstki i dźwięczał w nim strach.

- Wiesz zapewne, że król się waha. Gniewa się na papieża za odmowę unieważnienia ślubu, więc gotów jest czytać książki, które ta kobieta mu podsuwa. A co będzie, jeśli rzuci nas wszystkich w objęcia luteranizmu?

- No, a co takiego będzie? - Teraz się odwróciłam.

Mając pewność, że go słucham, ściszył głos, by w ten sposób mnie zmusić do zbliżenia się do niego.

- Czy katolicycy królowie się z tym pogodzą? - mówił dalej, odpowiadając na moje spojrzenie. - Sporo czasu upłynęło, nim inne dwory królewskie uznały Tudorów za prawowitych władców Anglii. Nasz Henryk od początku swego panowania musiał walczyć z tymi, którzy głosili, że korona została bezprawnie zagarnięta. Skutecznie zwalczał pretendentów do tronu, stawiał opór najazdom i zagrożeniom z zewnątrz. Ale teraz, gdy nie ma szansy na prawowitego dziedzica, sytuacja się skomplikowała. Na europejskich dworach pełno jest intrygantów rozpowszechniających pogłoski, że Bóg jest przeciwko niemu. Gdyby stał się luteraninem, nasi wrogowie szybko znaleźliby katolickiego władcę na jego miejsce. Znow żylibyśmy w strachu, że gdzieś w jakimś cichym zakątku wybrzeża przybiją wrogie okręty. Ale to nie wszystko. Co by się stało, gdyby wówczas ktoś wytropił Johna? I wyszłoby na jaw, że John jest jedynym ocalałym Plantagenetem? Wtedy Tommy też znajdzie się w tej grze.

Urwał i spojrzał na mnie. Nie zareagowałam.

- Nie rozumiesz? - naciskał.

Nachylił się ku mnie z nadzieją na pojednanie.

- Proszę, nie... - rzekłam cicho. Cedziłam słowa z zimną determinacją, a on, słuchając mnie, bladł coraz bardziej. - Nigdy... więcej... nie... staraj... się... mnie... przekonać... ojcze... że... robisz... to... wszystko... dla... mnie.

Raniłam go świadomie.

- Nie to miałem na myśli - rzekł błagalnie. - Meg...

Ale ja mocniej przytuliłam synka i nie patrząc na ojca, powiedziałam:

- On jest głodny.

Cokolwiek w tym momencie wyczytał z mojej twarzy, wystarczyło, by uznał swoją porażkę. Usłyszałam jego kroki oddalające się w stronę drzwi.

- Zostawiam cię, byś go nakarmiła - powiedział. - Ja zjem z prawnikami.

Wychodząc z bawialni z Tommym, który po jedzeniu zapadł w błogi sen, oczy miałam zaczerwienione, a policzki w plamach. Chciałam jak najszybciej, nie rozmawiając już z nikim, wyjść stąd, uciec jak najdalej i spokojnie wszystko przemyśleć. Ujrawszy Johna a Wood śpiesznie podążającego korytarzem, ukryłam się pod schodami i czekałam, dopóki nie wszedł na górę. Niósł dwa wspaniałe aksamitne stroje, które ojciec kazał uszyć w związku z nowym stanowiskiem; przelewały się przez ręce pokryte brązowymi plamkami, jak ciemna piana. Chude plecy służącego zginały się pod niesionym ciężarem, ale palce pieszczotliwie dotykały futrzanego

obszycia, a twarz była tak radosna - z powodu nowej garderoby pana - że przez moment radość ta udzieliła się i mnie, choć nie bez pewnego ukłucia bólu.

Okazało się, że nie tak łatwo jest wymknąć się niezauważenie z domu, który po objęciu przez ojca nowego stanowiska pełen był służby. Nim zdążyłam opuścić kryjówkę, otworzyły się inne drzwi i zaledwie kilka jardów ode mnie przepłynął gwarny strumień prawników w stronę wielkiej sali. Znow się wycofałam, tułac do piersi śpiące dziecko, a serce zabiło mi szybciej z lęku, że mogłabym się teraz spotkać twarzą w twarz z ojcem.

Nie doszło do tego.

- Niebawem dołączę do was, panowie. - Z daleka usłyszałam jego głos, jak zawsze uprzejmy, a potem cichy stuk zamykanych drzwi wejściowych i oddalające się kroki dwóch osób.

Odczekałam chwilę. Gdy wreszcie wszędzie zapadła cisza, a moje serce uspokoiło się nieco, zebrałam się na odwagę i cichutko wyszłam z zacisznej kryjówki, kierując się w stronę wyjścia.

Wpadłam prosto w objęcia jejmości Alice.

Wszyscy rozeszli się do swoich spraw, tylko ona stała w holu przy oknie, patrząc na ogród; niezwykle był to widok osoby wiecznie czymś zajętej i zabieganej.

Zauważyłam ją dopiero w momencie, gdy usłyszawszy moje kroki, odwróciła się z uprzejmym uśmiechem, jak na panią domu przystało - gotowa wskazać gościowi drogę do umywalni albo do wygodki, czy też podać coś do picia. Za późno było na ucieczkę. Ale gdy objąwszy mnie serdecznie, zaprowadziła na ławę w okiennej wnęcie, i gdy ujrzałam prawdziwą troskę malującą się na jej twarzy, odechciało mi się uciekać. Nie wstydziłam się łez. W tym momencie najbardziej na świecie pragnęłam, by ktoś zajął się mną życzliwie i pocieszył.

- No cicho, cicho, już, już - mruczała, dotykając pieszczotliwie mego ramienia. - Czym się tak smucisz? Daj mi małego na chwilę. I wytrzyj oczy...

Podawała mi haftowaną chusteczkę.

- Coś z dzieckiem? - Popatrzyła najpierw na mnie, potem na mego synka. Tommy spał jak aniołek, na buźce miał resztki mleka, dowód, że właśnie podjadł, więc od razu odgadła, że nie w tym rzecz, i przyjrzała mi się badawczo. - Nie z jego powodu płaczesz. Więc czemu?

- Próbowałam rozmawiać z ojcem - zatkałam bezradnie. - I wszystko poszło źle. Pokłóciliśmy się.

Kiwała głową i trzymała moją rękę. Wydawało mi się, że dostrzegam błysk zrozumienia na jej twarzy.

- A tak dobrze się wam układało - westchnęła współczująco. Nie spytała, o co poszło. Nigdy nie skrytykowałaby ojca za jego plecami, choć przy wszystkich łajała go czasem dobrodusznie.

Musiałam jej powiedzieć. Nic innego mi nie pozostało.

- Mają spalić człowieka na stosie - wyrzuciłam z siebie. Jej twarz stężała (choć, jak się zorientowałam, nowina jej nie zaskoczyła). - A ojciec mówi, że to słuszne. Przecież nigdy dotąd tak nie postępował, prawda? Dostrzegłam w nim teraz coś nowego: okrucieństwo, którego przedtem nie było. Czy tylko ja to widzę?

Pokręciła głową, jakby mocno się temu dziwiąc. Jejmość, odznaczająca się zawsze zdrowym rozsądkiem, nie lubiła niejednoznacznych sytuacji.

- Cóż - odezwała się w końcu, a jej długi namysł utwierdził mnie w przekonaniu, że ona też się martwi.

- Sama nie zawsze rozumiem, co jest dobre, a co złe. Nie jestem politykiem. Uważam, że kto postępuje źle, powinien zostać ukarany. Ale z drugiej strony nie wszystko wydaje mi się słuszne. Domyślałam się, czemu jesteś taka rozżalona. Wiesz, był u nas ten nowy biskup... Stokesley... O niczym innym nie mówiło się przy stole. Tylko heretycy i heretycy, zagrożenie i zagrożenie. Za każdym razem, kiedy ksiądz biskup wymawiał słowo „zagrożenie”, z pasją wbijał nóż w porcję placka z mięsem. Nim w ogóle zaczął jeść, posiekał go na kawałeczki. Nie mogę powiedzieć, by mi przypadł do gustu. Małe chytre oczka, zapadnięte policzki. Nie podobało mi się, że łaje służących o byle głupstwo. To człowiek, który lubi przemoc. Widać, że radość sprawia mu wzbudzanie strachu. A Ellen powiedziała mi później, że chwali się głośno tym, iż po gospodach mówią na niego „młot na heretyków”. Ale wiesz, jaki twój ojciec jest w stosunku do przyjaciół. Nie da powiedzieć słowa przeciwko temu biskupowi. Więc cóż mogę zrobić?

Bezradnie wzruszyła ramionami i pogłaskała mnie po ręce.

- Nie ty jedna się martwisz - ciągnęła dalej, wyglądając przez okno. - Właśnie przyjechał William Dauncey. Sądzę, że też chce z ojcem porozmawiać i przemówić mu do rozumu.

Byłam zaskoczona. Nie przyszło mi do głowy, że Will Dauncey odważy się krytykować poczynania swego protektora. Był bardzo pragmatyczny i doskonale wiedział, co mu się przysłuży, a co nie. Ale jejmość nie zwróciła uwagi na moje zdziwienie. Jak zwykle widziała wszędzie dobre strony i szlachetne intencje.

- Jednak jeśli ojciec myli się w tej sprawie - dodała, starając się mówić swobodnie - to z całą pewnością szybko to sobie uświadomi. Nigdy niczego nie robi, nie przemyślawszy wprzód wszystkiego starannie. Znasz go przecież. A jak przychodzi co do czego, to król słucha jego, nie Stokesleya.

Otuliła mnie płaszczem, starannie opatulając dziecko, jeszcze raz objęła czule i długo machała na pożegnanie, stojąc w progu, gdy szłam przez ogród w stronę rzeki. Dzięki tej rozmowie poczułam się jeśli nie spokojniejsza, to przynajmniej mniej samotna.

Nastrój ten prysł, gdy podążając po zmarzniętej trawie w stronę przystani, ujrzałam za drzewem morwowym dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie.

Wiał wiatr i nie słyszałam wszystkiego, ale kiedy doleciał do mnie pierwszy strzęp rozmowy, od razu wyobraziłam sobie wyblakłe, szarozielone oczy Willa Daunceya. Mówił dość głośno, jednak bez goryczy czy rzucania oskarżeń.

- ...Twierdzą jedynie, że nie tego król oczekuje. - Dopiero w tym momencie zobaczyłam wyraźnie twarz ojca. Usta miał mocno zaciśnięte, był tak samo rozgniewany i uparty jak w sprzeczce ze mną. Will ciągnął dalej: - ...Potrzebny mu kanclerz, który wykonuje jego rozkazy... nie krzyżowiec... Dla niego sprawy teologiczne nie są takie ważne, chyba że dotyczą jego samego... lubi cię i ceni, ale łaska królewska nie trwa wiecznie.. nie żąda, tylko dobro państwa, on potrzebuje następcy tronu... Anglii potrzebny jest książę... To jest teraz najważniejsze.

Ojciec patrzył w dal. Nie było to oblicze człowieka, który słucha czyichkolwiek rad. Ani takiego, który za swój najświętszy obowiązek uważa służenie królowi, a myśl, by zapewnić mu dziedzica, uznaje za ważniejszą od ratowania Kościoła. Pomyślałam, że jest to twarz fanatyka.

Patrzyłam na wiosła tnące wodę i rozbryzgujące ją za każdym wynurzeniem. Przyglądałam się kawałkom drewna unoszącym się na powierzchni i śmieciom przepływającym obok łodzi.

Moje serce było zlodowaciałe jak ulice miasta. Wróciły do mnie wszystkie uszczypliwości, które dziś wypowiedziałam w gniewie; utwierdzałam się w tym, że oto nareszcie wiem, co się dzieje. I nie pozwolę się dłużej traktować, jakbym była głupia i naiwna.

Kiedy z cienia wynurzył się Szalony Davy i zobaczyłam jego oczy płonące ciekawością, w pierwszej chwili chciałam uciec. Jednak zostałam. Spojrzałam na niego i wolno pokiwałam głową, czyniąc to z takim samym namysłem, z jakim on mi się przyglądał. Każde z nas wiedziało o czymś, o czym to drugie chciało się dowiedzieć; tyle że nie umieliśmy się o to spytać.

- Przyjdę tu jutro, to porozmawiamy - rzekłam w końcu.

Oddalił się w mrok i tylko słychać było podzwanianie jego sakwy z lekami. A ja weszłam bramą dla służby i odgrodziwszy się od ciemności ulicy ciężkimi dębowymi wrotami, z niewysłowioną ulgą wkroczyłam w krąg ciepłego światła na dziedzińcu. Właśnie wprowadzano do stajni klacz Johna imieniem Moll, otuloną derką, napojoną i uwolnioną od siodła. Niemał biegiem wpadłam do domu.

John zastał mnie w bawialni, gdy siedziałam samotnie i patrzyłam w okrutne oczy ojca na portrecie. Przyniósł ze sobą dziecko.

- Piastunka położyła go już spać i nikt nie słyszał, że płacze - rzekł spokojnie.

- Ojciec kazał palić ludzi na stosie - odparłam.

Zapadła cisza.

- No już, już, mój skarbie - przemówił czule John, nie do mnie, tylko do dziecka.

Wymościł z futer wygodne gniazdko i w nim ostrożnie go ułożył. Spojrzenia bezgranicznego szczęścia i zaufania, jakie przy tym wymienił z synkiem, sprawiły mi ból. Nie potrafiłam w tym momencie być ani szczęśliwa, ani ufna. Odwróciłam wzrok.

- Na pewno nie jest głodny. Dopiero co karmiłam go na górze. - Zbyt byłam udęczona, by czymkolwiek się w tej chwili zajmować. - John, czy ty słyszałeś, co powiedziałam? Ojciec kazał palić ludzi.

- Wiem. - Wyprostował się i starał się mówić spokojnie. - Wszyscy o tym mówią. Dowiedziałem się od doktora Buttsa.

- Ale tak nie można!

John spojrzał na mnie z bezbrzeżną dobrocią i troską, jaką okazuje się komuś w żałobie, chcąc go pocieszyć. Usiadł koło mnie i powiedział:

- Ciii, Meg. Dziecko będzie płakać.

Założyłam ręce.

- Mój ojciec humanista ma zamiar spalić człowieka na stosie.

- Zatem musiał uznać, że to konieczne - odparł John wciąż tym samym łagodnym tonem.

- Co masz na myśli, mówiąc „konieczne”?

- On jest lordem kanclerzem. Kimże ja jestem, bym miał podważać jego osąd?

- Ciebie by może posłuchał. A nuż udałoby ci się go powstrzymać.

- Nie jestem politykiem. Nie chcę robić, mówić ani myśleć niczego, co by nas naraziło na niebezpieczeństwo.

- W takim razie jesteś tchórzem!

- Może. - Spojrzał na dziecko. Nie widać było, by ta obelga wyprowadziła go z równowagi. - Dla mnie najbardziej liczy się rodzina. Jednego się w życiu nauczyłem: nie wolno narażać tego, co się kocha...

- Byłam świadkiem, jak Will Dauncey próbował przekonać ojca. Nie bał się. Czemu ty się boisz?

- Ponieważ nie jestem dzieckiem jak ty i Will - odparł niewzruszenie. - Ponieważ pamiętam, w jakim strachu żyje się pod rządami słabego władcy. Ponieważ twój ojciec jest najmądrzejszym doradcą króla, uczynił Anglię Tudorów silną i bezpieczną. I ufam, że tak będzie dalej. Jeśli Thomas More mówi, że coś jest niebezpieczne dla kraju, to mu wierzę.

Zaśmiał się niewesoło.

- Kiedy żył stary król Henryk, co jakiś czas najeżdżali nas Szkoci, Burgundczycy albo Francuzi pod pretekstem, że Tudorowie to uzurpatorzy, a oni pragną odzyskać tron dla prawowitego władcy. I przywozili ze sobą jakiegoś młodego człowieka. Najzabawniejsze, że wielu owych młodzieńców utrzymywało, że jest mną. Nieistotne było jednak, kim są naprawdę. Magia królewskości niezwykle silnie działa na ludzi. Każdy z nich mógłby znaleźć się na tronie, gdyby miał odpowiednią liczbę żołnierzy i pociągnął za sobą wystarczająco dużo ludzi. Pomyśl, Meg, co by się wtedy stało. Nie tylko ze mną, ale ze wszystkimi. Może tak łatwiej ci będzie zrozumieć.

Milczałam, choć nadal rozsadzał mnie gniew. Jego spokój i pewność siebie przypomniały mi nasze dawne lekcje oparte na historii Ryszarda III. John mówił tak samo bez emocji i łagodnie jak w pokoju szkolnym:

- Te sprawy to rozgrywki królów, a wszystko dzieje się jak w teatrze na oczach ludzi. Biedni się tylko przyglądają, a kto mądry, ten się nie wtrąca. Bo jeśli ktoś pnie się za wysoko i próbuje włączyć do sztuki, nie umiając zagrać roli, to jedynie zakłóci przedstawienie i sobie zaszkodzi.

- Więc twoim zdaniem mądrzy ludzie nie powinni się wtrącać...? - upewniłam się.

- Otóż to - przytaknął. Widocznie uznał, że się z nim zgadzam, bo czule uściśnął moje dłonie.

- Mamy w takim razie udawać, że nic się nie dzieje? - dopytywałam się uparcie.

Drgnął nerwowo, ale potwierdził. I podczas gdy dziecko leżało sobie cichutko przy buzującym ogniu, mój mąż, aby skuteczniej mnie przekonać, opowiedział, skąd się wzięło u niego takie podejście do życia.

- Za młodu straszny był ze mnie paliwoda - mówił zapatrzony w ogień płonący na kominku. - Wiecznie niespokojny i skory do gniewu, a do tego pewien, że wszystko można osiągnąć, jeśli się chce. Gotów byłem na każde ryzyko, porwać się na każde szaleństwo. Kiedy straciliśmy wszystko, co się w naszym odczuciu słusznie nam należało, i... by ocalić życie... zostaliśmy wysłani na wieś... jak zwykli chłopcy... ogarnęła mnie nieznana dotąd wściekłość. Dręczony nienawiścią i gniewem, byłem niczym mały wąż zamknięty w skrzynce i czekający, by zaatakować, gdy ktoś podniesie pokrywkę.

Edward był inny. On się pogodził, tyle że płakał, rozchorował się i cały czas się modlił. Teraz go rozumiem. Starszy i z całą pewnością mądrzejszy ode mnie, zdawał sobie sprawę, jak wielkie mieliśmy szczęście, że w ogóle przeżyliśmy, więc zwrócił się do Boga. Ale dla mnie niepojęte było to, że mój starszy brat...

najbliższy mi człowiek... tak łatwo podporządkował się stryjowi Ryszardowi. Szalałem wprost z furii na myśl, z czego nas ograbiono. I snułem mordercze plany mające doprowadzić do tryumfального powrotu Edwarda na scenę polityczną. Dosłownie dyszałem żądzą zemsty. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat, głos mi jeszcze nie zgrubiał i raczej nie nadawałbym się na dowódcę zbrojnych mężów osadzających Edwarda na tronie - nawet gdyby udało się takowych skrzyknąć. Kompletne szaleństwo! W dodatku żadne działania i tak nie miałyby sensu, skoro brat nie był tym zainteresowany. W końcu to on miałby być królem, nie ja. A on mnie nie słuchał. Ze złości chciałem go zamordować i raz niemal tak by się stało. Odciągnięto mnie siłą, gdy zbyt mocno potrząsałem nim podczas bójk w ponurym korytarzu któregoś z zamków. W ogóle się nie bronił.

Guilfordowie wzięliby nas obu, lecz ja nie chciałem. Poprosiłem arcybiskupa Mortona, żeby wyszukał mi inne miejsce. Oznajmiłem, że nie chcę mieszkać pod jednym dachem z tchórzem. Zapewne ksiądz arcybiskup wystraszył się mojej agresji i pychy. Ale najprawdopodobniej było mu po prostu mnie żal. I tak, dumny z siebie, trafiłem do Gipping do Tyrrellów. I nie dość że nie zyskałem królestwa, to jeszcze straciłem brata.

Po rozstaniu z Edwardem czułem się bardzo samotnie. Bałem się, co było zrozumiałe. Od dawna zabroniono mi kontaktów z matką i siostrami, a teraz dobrowolnie wyrzekłem się jedyne go członka najbliższej rodziny, którego wolno mi było znać. Nie zmieniłem zdania nawet wtedy, gdy arcybiskup Morton zaczął mnie namawiać, bym pojechał do Guilfordów i pogodził się z bratem. „Nie - odparłem dumnie. - Wolę zagranicę, jeśli koniecznie muszę gdzieś jechać. Prędzej pojedę do ciotki do Burgundii, niż znów zamieszkać z Edwardem”. Do tego doprowadziła mnie duma i ambicja. Najpierw straciłem brata, potem opuściłem swój kraj.

To nie wszystko. Przed wyjazdem do Burgundii zacząłem korespondować z matką. W tym czasie była znów na dworze, szczęśliwa, że dzięki układowi, jaki zawarła z pomocą arcybiskupa Mortona z królem Henrykiem, jej córka została królową Anglii. Wypisywałem do niej straszne rzeczy. Zarzucałem, że dla zaspokojenia własnych ambicji wyrzekła się synów, wyparła się prawdy, zdradziła pamięć męża i sprzeniewierzyła się Bogu. Była trudną kobietą, ale nie zasłużyła na tyle zarzutów. Mimo wszystko spotkała się ze mną i usiłowała mnie przekonać. Ja jednak jej nie wybaczyłem, pozostałem głuchy na błagania. Podniosłem na nią głos, nie dlatego że zamierzałem być nieugięty. Sądziłem, że to początek rozmów i będziemy negocjować. W takiej postawie nie widziałem nic złego, po prostu tak zostaliśmy wychowani. Matka też przeprowadzała swoje plany krzykami i szantażem, zawsze tak się załatwiała sprawy w naszej rodzinie. Ale nie było dalszego ciągu, bo o naszym spotkaniu dowiedział się Henryk, a on grał według zupełnie innych zasad. Stary król, gdy ktoś go rozgniewał, był konsekwentny i nieprzejednany. Orzekł, że matka złamała umowę i musi ponieść za to karę. Nigdy jej więcej nie zobaczyłem. Mnie bez ceregieli wyeksponowano do Burgundii, ją zamknięto w klasztorze Bermondsey. Kontrolowano jej korespondencję, więc nie mogliśmy do siebie pisać. A później umarła.

John wpatrywał się w płomień. Na jego policzkach pojawiły się łzy. Niemal o mnie zapomniał. Mówił do siebie.

- A więc przez swoją buńczuczność straciłem także matkę. A ona przeze mnie straciła wszystko, co jeszcze jej pozostało.

Ścisnęłam go za rękę. Spojrzał na mnie z żywym błyskiem błękitu w oczach. Zaśmiał się, ale był to śmiech niedobry, szyderczy, pełen bólu.

- I wiesz co? - ciągnął. - Na próżno cały ten bunt i chęć walki ze światem w imię szalonej idei. Los okrutnie sobie ze mnie zadrwił.

- Co się potem stało? - spytałam szeptem.

- Matce nie pozwolili nawet być na pogrzebie Elizabeth, ale mnie udało się spotkać z siostrą przed jej śmiercią. Gdy się dowiedziałem, że powiła martwe dziecko i jest coraz słabsza, co koń wyskoczy pogałem do Anglii. Miałem glejt wystawiony na służącego, przebrałem się więc w jego strój i hajda w drogę. Całe szczęście, że wiadomość o chorobie do mnie dotarła dość szybko. Moja siostra była królową Anglii, toteż na burgundzkim dworze wiele się o niej mówiło, tym bardziej że ciotka żywo się wszystkim interesowała. W tym czasie byłem już dwudziestodwuletnim mężczyzną i miałem dość rozumu, by posłuchać serca, które podpowiadało: bądź z siostrą w jej ostatnich chwilach. Nadal byłem szalony i bardzo tęskniłem za Anglią. Chciałem znaleźć się tam, gdzie tętni życie, a ludzie na ulicy mówią po angielsku. Znalazłem w sobie dość odwagi, bo nęcił mnie smak i zapach niebezpieczeństwa.

- Jakiego niebezpieczeństwa? - spytałam drżącym głosem.

Ale John nie zwracał na mnie uwagi; przeniósł się w przeszłość.

- Przekupiłem pewnego człowieka i on zaniósł list... Wpuszczono mnie... Elizabeth przebywała w apartamentach królewskich w Tower... Leżała na łożu, była trupio blada. Miedziane włosy lekko jej posiwiały, oczy miała podkrążone, a wokół nich zmarszczki. Utyła, więc pewnie nie poznałbym w niej dziewczyny, którą ostatni raz widziałem dwadzieścia lat wcześniej w opactwie westminsterskim, gdyby na jej obliczu nie pojawił się uśmiech, który w jednej chwili ją odmłodził. Była podobna do ojca... twarz piękna, nieco pulchna, zmysłowa, z małymi, śmiejącymi się, różanymi usteczkami. Właśnie taka stała się znów w tamtym momencie. Na mój widok uniosła głowę i powiedziała: „Ryszardzie... nie myślałam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę... Bóg cię tu przywiódł”. Rozjaśniła się jakimś wewnętrznym światłem. Widać było, że intensywnie myśli, jej dłonie poruszały się niespokojnie, w oczach pojawiło się napięcie. Poleciała służącej przynieść szkatułkę z listami. „Chcę ci coś pokazać, zanim umrę”. Poglądziła mnie po policzku. „Nie sądziłam, że cię zobaczę i że będziemy mogli spokojnie porozmawiać”. Nie spodziewałem się, że mój przyjazd sprawi jej tyle radości. Gdy przyniesiono szkatułkę, odesłała wszystkich i kazała mi odszukać pewien list, bo sama nie miała już siły. „Przeczytaj to, Ryszardzie” - poprosiła, a w jej słabym głosie zabrzmiała nuta nadziei.

Był to dość stary dokument i dopiero po chwili, gdy oczy przywykły do półmroku, zdołałem odczytać wyblakłe pismo. Kiedy zaczęła do mnie docierać jego treść, krew uderzyła mi do głowy. W pewnym momencie zrobiło mi się słabo. Całe szczęście, że wtedy siedziałem, bo chyba bym nie ustał.

List ten napisała do mnie wiele lat wcześniej, w pierwszych latach panowania Henryka. Co chwila wybuchały wtedy bunty i Elizabeth spodziewała się, że któreś z obcych wojsk lądujących na naszych wybrzeżach mnie przywiezie. Choć Henryk zaklinał się, że stryj Ryszard zamordował i Edwarda, i mnie, nie była pewna, czy mówi prawdę. Nie ufali sobie. Miała wątpliwości, czy chce, bym żył. Mógłbym rościć pretensje do tronu, i co wówczas stałoby się z jej dziećmi? Napisała do mnie zatem zupełnie prywatnie, tak na wszelki wypadek, nie pokazując listu mężowi. Zwracała się w nim do brata powracającego do kraju, pałającego żądzą zemsty. Prosiła o mądrą, sprawiedliwą decyzję.

Ponadto donosiła mi o czymś, co zdarzyło się dawno temu, jeszcze przed naszym urodzeniem. Otóż podobno na własne oczy widziała dowód na to, iż ojciec w sekrecie zobowiązał się do małżeństwa z inną kobietą, zanim, również potajemnie, zaślubił matkę. O to właśnie oskarżył go stryj Ryszard, kiedy odsuwał od władzy Edwarda, ale ja zawsze byłem przekonany, że stryj wymyślił tę historię. Tymczasem Elizabeth twierdziła, że stryj mówił prawdę. Sama czytała ten dokument: było to ważne w świetle prawa zobowiązanie do poślubienia lady Eleanor Butler, noszące datę 1462 roku, a więc na kilka lat przed ślubem naszych rodziców. Sporządzone i podpisane przez Roberta Stillingtona oraz dwoje świadków. Gdy biskup Stillington składał przysięgę w parlamencie, dowód już nie istniał i nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić lub zaprzeczyć. Lady Eleanor dawno umarła w klasztorze. Zamknięto ją tam, ponieważ ojciec szybko się nią znudził i rozglądał się za inną miedzianowłosą damą, której cnota nie wymagałaby aż takich zachodów; mógł się też obawiać, że lady Eleanor zechce go zmusić do wypełnienia obietnicy. Tak czy inaczej to Stillington sprawił, że dokument ów został spalony.

John był teraz daleko ode mnie i terazniejszości. W jego oczach pojawił się lęk.

- Wprost nie mogłem oderwać oczu od listu - szeptał. - Powiedziałem: „Ależ Elizabeth... to znaczy... to znaczy”... Jąkałem się jak półgłówek... a ona spokojnie potwierdziła. W końcu miała za sobą lata refleksji i przemyśleń.

„Owszem. To znaczy, że ojciec nie miał prawa poślubić matki. A zatem popełnił bigamię i my wszyscy jesteśmy bastardami, jak utrzymywał stryj Ryszard”. „Jak to się stało, że widziałeś ten dokument?” - spytałem. „Po śmierci ojca Stillington przyniósł go matce”. Zaśmiała się. Ach, ten rodzinny śmiech, przypominający wycie wilka wyzywającego los! „Sugerował, żeby modliła się o światło boże, bo pewnie myślał, że w imieniu dzieci zrezygnuje z ich praw do tronu. Nie znał matki. Oczywiście natychmiast spaliła dokument. Byłam tego świadkiem. Ale nie próbowałam powstrzymać Henryka, gdy po swym zwycięstwie ponownie udowadniał moje prawo pochodzenie. Po co? Chciałam być królową Anglii. Wszyscy wiedzieli, że Henryk tak naprawdę nie ma praw do tronu i aby na nim zasiąść, potrzebował mojego królewskiego pochodzenia. Nie wzięłyby sobie żony z nieprawego łoża”.

Spytałem ją, dlaczego teraz mi o tym mówi. „Ponieważ wiem, że tobie wciąż marzą się dawne czasy - odparła. - Edward jest bezpieczny, inni nie żyją. Przechowywałam ten list dla ciebie, gdyż nie wiedząc o nim, mógłbyś uważać, że masz prawo rościć pretensje do korony. Wtedy w niebezpieczeństwie znalazłby się mój syn i tego najbardziej się bałam. Moje dzieci są inne, niż byliśmy my. Nie są takie zawzięte, urodziły się w spokojniejszych czasach. Mój drogi Artur byłby wspaniałym królem, prawdziwym władcą Camelotu, z którego Anglia byłaby dumna. Ale nie żyje”. Nawet nie drgnęła, mówiąc te słowa. Twarda z niej była kobieta. „Ale pozostał mały Harry. Ma dopiero dziewięć lat. Uparty jak jego ojciec, choć to jeszcze dziecko. Nie chcę, by stała mu się krzywda. Proszę cię, opiekuj się nim. Obiecasz mi to, Ryszardzie? I pomódlmy się teraz razem o błogosławieństwo boże dla panowania Harry'ego”.

Obiecałem, pomodliliśmy się, a potem zrobiła się senna. Niewiele sił już miała. Ucałowałem ją i wyszedłem z listem.

Nie pamiętam, jak wracałem. Wszystko, czym żyłem od najwcześniejszego dzieciństwa, nagle stało się dalekie i obce. Zupełnie jakbym zapadał w otchłań, gdzie nie ma czego się uchwycić i przytrzymać. W jednej

chwili przestałem być którymś tam w kolejności pretendentem do tronu i stałem się zwykłym człowiekiem - tyle że w znacznie gorszym położeniu niż inni ludzie, bo swoim postępowaniem doprowadziłem do tego, iż zostałem sam na świecie.

Chciałem zostać z Elizabeth, najbliższą mi istotą, ale naturalnie nie mogłem. Chciałem jechać do Edwarda i błagać go o przebaczenie, ale nie miałem pojęcia, gdzie go szukać. Ciągnęło mnie z powrotem do Burgundii, ale nie mógłbym powiedzieć ciotce Małgorzacie, czego się dowiedziałem. Nie wiedziałem, co robić.

W takim stanie znalazłem się w gospodzie niedaleko Walbrook, gdzie bez sensu upiłem się sam, nie zdjawszy nawet płaszcza. Robiło się późno, byłem bardzo pijany i bardzo nieszczęśliwy, wyjąłem z kieszeni list i podpaliłem. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, i nim list spłonął, zostałem powalony na ziemię przez dwóch osiłków z pokiereszowanymi gębami, którzy siedzieli przy sąsiednim stole. Wykrzykiwali, że wyglądam podejrzanie i że pewnie spaliłem broszurę lollardów. Nie umieli czytać, ale porwali niedopalone skrawki listu i nazwali mnie odstępca wiary bluźniącym Bogu. Było to tak absurdalne, że zacząłem się śmiać i zawołałem do tego wyższego: „No, to wołaj sędziego”. Wtedy otrzeźwieliśmy nieco. Zabrali mi wprawdzie sakiewkę, ale zaprowadzili do sędziego, który mieszkał niedaleko. Miałem podbite oko i złamany nos.

Twój ojciec był jeszcze młody, dopiero zaczynał karierę i między innymi rozpatrywał sprawy ulicznych i pijackich burd. Nie poznałem go, gdy wszedł do stajni, gdzie mnie zamknęto. Ostatni raz widziałem go w domu Mortona, kiedy był chłopcem. On natomiast poznał mnie od razu. Puścił mnie wolno i odesłał tamtych. Nawet pożyczył mi pieniądze na powrót do Burgundii. Długo ze mną rozmawiał, zaprosił do swego domu, do tej właśnie bawialni, i pół nocy przegadaliśmy przed tym kominkiem. Ciekaw był, co się ze mną działo. Morton go zobowiązał, by śledził moje losy i w miarę możliwości mi pomagał. Erazm sporo mi o nim opowiadał (Erazma poznałem w Burgundii, gdzie przebywał w domu kochanka mojej ciotki), a z jego opowieści wyłaniał się ciekawy obraz młodego prawnika i humanisty. Z twoim ojcem dobrze się rozmawiało, więc choć był dla mnie obcym człowiekiem, otworzyłem przed nim swoje serce. Naturalnie nie zdradziłem sekretu powierzonego mi przez umierającą siostrę. Tyś poznała go pierwsza. Natomiast mówiłem o wielu innych rzeczach, które przemyślałem w gospodzie: że tęsknię za ojczyzną; że jestem Anglikiem, a nie Burgundczykiem i że nie mogę całego życia spędzić w obcym kraju; że nabrałem rozsądku i teraz już wiem, iż ani ja, ani Edward nigdy nie zasiądziemy na tronie; że chcę żyć w spokoju i naprawić stosunki z bratem; że zrobię wszystko, żeby tu wrócić.

Słuchał i przytakiwał. Odesłał mnie wprawdzie do Burgundii, ale obiecał, że postara się, bym wrócił do Anglii. Umowa była taka, że złożę swój los w jego ręce i nigdy nie będę się mieszał do polityki. Miałem też nie narażać się na żadne ryzyko i nie mieć innych wymagań od życia prócz czysto osobistych.

Ponad dziesięć lat spędziłem na uniwersytecie w Lowanium. Miałem szczęście. Był to prężny ośrodek nauki już w czasach, gdy ciotka Małgorzata poślubiła księcia Burgundii, i nawet moja nieokrzesana, wiecznie skłócona ze sobą rodzina uważała burgundzki dwór za ósmy cud świata i nazywała go Camelotem. Tak więc znalazłem się w świecie ksiąg i wiedzy. Prowadziłem dorosłe życie; zajmowały mnie studia i pasje badawcze. Przeszłość nie była mi potrzebna. W nowym świecie nauki zyskałem przyjaciół, dla których nieważne było pochodzenie i którzy nadawali sobie nowe imiona na znak, że zrywają z przeszłością. Kto dziś wie, że Erazm tak naprawdę nazywał się Gerrit Gerritszoon? Kiedy More zaproponował mi pomoc, nagle uświadomiłem

sobie, że takie życie w zupełności mi wystarczy i szczerze zapragnąłem pozostać na zawsze Johnem Clemen-Clementem - Janem Łagodnym, nowym człowiekiem w nowym świecie.

Z ulgą porzuciłem sen o Plantagenetach. Zrozumiałem, że mit monarchy-pomazańca bożego, w jakim się wychowałem, był po prostu przykrywką dla kręctw pozbawionych skrupułów władców: jeden król bigamista, drugi uzurpator, a królowa z nieprawego łoża. Królowie i królowe oszukiwali Boga i naród nie gorzej niż flandryjscy awanturnicy podający się na europejskich dworach za Ryszarda księcia Yorku. A choć szczerze pogardzałem brakiem skrupułów u własnej rodziny, nie miałem złudzeń co do tego, że po zwycięstwie nad nimi sam zapewne zacząłbym postępować w sposób równie godny pogardy. Poza tym teraz nauczyłem się znacznie bardziej cenić przyjaźń i osobiste znajomości w świecie - a więc byłem gotów przyjąć propozycję twego ojca. I tak zostałem „chłopcem Morusa”.

Udało się. Dokonali tego obaj z Erazmem. Trwało tak aż do śmierci starego króla. A nowego króla Henryka zdołano przekonać, że jestem zwolennikiem monarchii Tudorów, nie interesuje mnie polityka i nigdy nie będę dla niego zagrożeniem. Wtedy Erazm i twój ojciec dali mi nowe życie w Anglii. Zniszczyłem to, co pozostało z mojej rodziny, a oni dali mi samych siebie. I dali mi ciebie.

Widzisz więc, Meg - ciągnął John, przesuwając delikatnie palcem po moich ustach. - Zwykła przyzwoitość nie pozwala mi krytykować poczynań twego ojca. To szlachetny człowiek. Umie współpracować z najmniej prawdopodobnymi sojusznikami i rozwiązywać niemożliwe problemy. Ma naturę polityka i miłuje pokój, co doceni każdy, kto, jak ja, przeżył burzliwe dzieje. Nie twierdzę, że zawsze go rozumiem. Ale on jest gwarancją, że możemy spokojnie żyć, kochając się nawzajem, kochając nasze dziecko i naszą pracę. Winniśmy mu za to wdzięczność. A jemu zostawmy politykę.

Tommy poruszył się niespokojnie. Spojrzałam na synka, potem na doświadczonego przez życie, ukochanego męża, popatrzyłam mu w oczy pełne bolesnego cierpienia oraz nadziei, że go zrozumiem. Serce wezbrało mi opiekuńczą serdecznością wobec bezradności jednego i drugiego. Pogłaskałam ramię Johna.

- Och, mój biedaku... To cud, że przetrwałeś - wyszeptałam z podziwem. - Teraz lepiej rozumiem twój stosunek do ojca.

Rzeczywiście, uświadomiłam sobie, dlaczego zdecydował się bezwzględnie zaufać ojcu, nawet jeśli sama nie byłam przekonana, czy tak zrobię.

- Wezmę Tommy'ego - powiedziałam i siedzieliśmy jakiś czas przed kominkiem, ja tuląc synka, John tuląc mnie, a kiedy ukradkiem spojrzałam na męża, dostrzegłam na jego szczupłej twarzy błogi wyraz wyciszenia. Historia, którą usłyszałam, była zbyt zaskakująca, bym mogła wszystko od razu ogarnąć, ale na szczęście nie musiałam się natychmiast nad tym zastanawiać i z nim zgadzać. Miał tak skromne wymagania wobec życia, że wszystko, czego w tej chwili potrzebował, to spokoju i pełnego miłości bycia razem.

- Tak sobie nas wyobrażałem, Meg - rzekł cicho, patrząc na mnie serdecznie. - Oddających cesarzowi, co jego, a Bogu - co boskie. I szczęśliwych.

Jakże radosne nagle wydało się moje życie, jakie proste i beztrioskie. W głowie szumiało mi jeszcze od sensacji z przeszłości; pocałowałam go lekko w usta, a potem dotknęłam wargami dziecięcej główki, pokrytej ciemnym jedwabistym puchem i pachnącej mlekiem.

- Wiesz, doktor Butts mocno zaangażował się w pomoc dla ludzi sprowadzających angielskie Biblię. - John mówił z bezgraniczną ufnością. - Często chodzi do Anny Boleyn i przekazuje od niej wiadomości przemytnikom. Nie masz pojęcia, ile razy musiałem go kryć. Martwię się o niego. Oczywiście nie uważam, by przez takie postępowanie stawał się sługą szatana. Nieraz się przekonałem, jaki to mądry i dobry człowiek. Ale moim zdaniem postępuje nierozsądnie. Nie rozumie, że nie powinien się narażać. O wiele więcej dobrego zrobiłby, lecąc, niż zadając się z tymi ludźmi. To byłoby wielkie głupstwo z jego strony, gdyby dał się złapać.

Mruknęłam coś na potwierdzenie, że słucham, i kołysałam dziecko. Czułam się dobrze i bezpiecznie w ramionach męża, ale pewne rzeczy z jego przeszłości nie przestawały mnie niepokoić. Deklarował lojalność wobec ojca, ale nie poinformował go o poczynaniach doktora Buttsa (byłoby to zrozumiałe, gdyby równie jak ja był przerażony religijnym fanatyzmem ojca, natomiast zupełnie nie pasowało do jego zapewnień). Przebiegałam w myślach jego historię od początku i odkryłam, że nie był to jedyny przypadek, kiedy nie powiedział swemu protektorowi całej prawdy. Dlaczego?

- John - odezwałam się ostrożnie, nie mając pewności, czy wszystko zrozumiałam. - Nigdy nie przyszło ci na myśl, żeby powiedzieć ojcu... albo Erazmowi... o tym, że dowiedziałeś się o swoim nieprawym pochodzeniu?

Nie widziałam jego twarzy; pochylił się nade mną i pocałował mnie w głowę.

- A po cóż miałbym to robić? - odparł tak zwyczajnie, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. - Wtedy i tak nie miało to znaczenia. Zgodnie z biegiem historii, którą Morton zaczął pisać, od dawna byłem Johnem Clementem.

Dotknął mego ramienia, a gdy odwróciłam się w jego stronę, musnął palcem mój nos. Był całkowicie odprężony; oczy patrzyły niewinnie.

- Co by to zresztą dało? - ciągnął. - Nadal potrzebowałam opieki Mortona i Erazma, ponieważ istniało ryzyko, że ktoś odkryje moją prawdziwą tożsamość. Królewskość to głównie pozory, niewiele w niej prawdy. Czy obchodziłoby tłum domagający się Plantageneta, co powiedziała mi siostra na łożu śmierci, bez świadków? Ludzie i tak widzą to, co chcą zobaczyć.

Wstałam i przytuliłam dziecko, potakując, jakbym go doskonale rozumiała. Uważałam jednak, że ojciec powinien znać prawdę; z pewnością odczułby to jako bolesną zdradę, że zatajono przed nim tak ważny fakt. Ale skoro John jest innego zdania, to może nie powinnam się wtrącać. Zresztą i bez tego miałam sporo trosk i spraw do przemyślenia.

Mąż też się podniósł i znów objął nas oboje.

- Z jeszcze jednego powodu nie powinienem o tym mówić. Sekret był nie tylko mój, ale także Elizabeth. Nie mogłem kłaść jej pamięci - dodał. Słysząc było w jego głosie, że szczerze w to wierzy.

Poszliśmy na górę, wtuleni w siebie czule i tak mocno, że niemal stanowiliśmy jedno ciało o wielu kończynach. W głowie miałam zamęt: martwiłam się o ojca, przeżywałam te okropności i poruszona byłam do głębi tym, co usłyszałam przed chwilą. Czułam się rozdarta między żalem do ojca, którego John nie podzielał, a podziwem dla jego dobroci i wdzięcznością, że bardzo dopomógł memu mężowi. Dręczyło mnie także to, że John go oszukiwał, manipulował prawdą.

Może dlatego John przetrwał, myślałam, kładąc ostrożnie Tommy'ego do kołyski. Nauczył się wkładać trudne fakty ze swego życia do oddzielnych przegródek.

Dopiero gdy zgasły świece i leżeliśmy w ciemności, moje wzburzone myśli znalazły ujście w słowach. Nagle wszystko stało się proste. Wiedziałam już, o co chcę spytać.

Aż usiadłam pod wrażeniem tego odkrycia; John poruszył się niespokojnie.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego przedtem? - spytałam.

Mruknął coś uspokajającego, ale nie dałam się zbyć.

- Dwa lata oswajałam się z myślą, że byłeś kiedyś księciem. Że gdyby twoje życie potoczyło się inaczej, mógłbyś nawet zostać królem. Czy możesz sobie wyobrazić, jak trudne to było dla mnie? A teraz nagle mi mówisz, że wszystko, co powiedziałeś przedtem, mija się z prawdą...

John też usiadł i objął mnie.

- Meg, posłuchaj - wyszeptał głosem pełnym miłości, ale nie działał już na mnie tak jak przedtem.

Cała wiedza zdobyta w tym długim dniu powróciła jak lodowata fala wzburzonej Tamizy; właściwie dwie fale, zlewające się ze sobą w momencie, gdy uderzyły we mnie z impetem, niweczając zaufanie, które dotąd było fundamentem naszego małżeństwa. Kiedyś wierzyłam Johnowi i ufałam ojcu. W obu przypadkach się zawiodłam. Zadrzałam na tę myśl.

- Meg - odezwał się cicho, próbując mnie przytulić. Siedziałam skulona, odgradzając się od niego podciągniętymi kolanami. - Naprawdę wiesz już wszystko...

- Powinieneś powiedzieć mi od razu - rzekłam twardo. - Wtedy...

W jego głosie dźwięczał smutek, gdy odpowiadał.

- Dopiero teraz zrozumiałem swój błąd. Widzę, jaki to dla ciebie szok. Przepraszam. Ale kiedy na zawsze zamyka się w sobie dawne sekrety, mając głębokie przekonanie, że nigdy nikomu nie można ich zdradzić, bywa, że człowiek o nich zapomina. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę z kimś tak blisko, by móc się zwierzyć. Od dawna żyłem samotnie i przyzwyczailem się do samotności. Długo trwa potem, nim człowiek pozbędzie się pewnych nawyków, nim odważy się wydobyć na światło dzienne dawno pochowaną przeszłość, nim nauczy się ufać. Po prostu musiałem ci wyznać prawdę. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Masz oto dowód, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy. Więc nie czuj się urażona. Wybacz mi, proszę.

Skuliłam się, mocniej obejmując kolana, i powiedziałam bezlitośnie:

- Twierdzisz, że nie powinniśmy mieć sekretów, i powtarzasz to ciągle jak modlitwę. A sam masz ich tyle, aż się w głowie kręci. Skąd mam wiedzieć... czy wyjawileś już wszystko. Skoro zapomniałeś o jednym, może jutro lub pojutrze znów sobie coś przypomnisz. Kim dla mnie będziesz i w co każesz mi wierzyć, na przykład, w przyszłym tygodniu?

- Och, Meg... - szepnął, pieszcząc moje niechętnie ramiona. - Nie chcę, byś myślała, że ukrywam jakieś straszne rzeczy... Ostatniej rzeczy, jakiej bym pragnął, to zranić ciebie... Chyba widzisz... Nie gniewaj się... Powiedz, że mi wybaczasz.

Potrząsnęłam głową w ciemności. Potrzebowałam więcej czasu na przemyślenie.

- Jeszcze nie - odparłam cicho. - Za bardzo mnie to poruszyło. Zaczekaj, niech się trochę z tym oswoję.

- Powiedz, że jeszcze mnie kochasz.

- Kocham cię... - odpowiedziałam szeptem. Potraktował te słowa jak pakt pokojowy, najlepszy, jakiego mógł się spodziewać w tych okolicznościach. Pociągnął mnie na poduszkę obok siebie i pocałował, a potem zapadł w sen. - ...Kimkolwiek jesteś - dokończyłam, wiedząc, że mnie już nie słyszy.

Moje galopujące myśli pełne były obrazów Johna, jakby w jego dobrze mi znaną osobę za każdym razem wcielał się inny upiór z przeszłości: mój mąż trzymający w ramionach umierającą królową, walczący z osiłkami w gospodzie, wkładający koronę na głowę i krzywiący się pod jej ciężarem; zdejmujący koronę z głowy, oddalający się wolno i pogwizdujący pod nosem. Ciekawe, o czym teraz śni ten mężczyzna leżący spokojnie obok mnie. Dotąd wydawało mi się, że go znam.

Może po prostu nie mogłam poradzić sobie z natłokiem wrażeń. Niespodziewanie pojawiła się przed moimi oczami kanciasta, solidna twarz Hansa Holbeina. Uchwyciłam się kurczowo tego obrazu z ulgą, z jaką tonący chwyta się kawałka drewna. Hans Holbein może był prostym człowiekiem, ale nie bał się prawdy. Miał odwagę namalować ojca tak, jak go widział, z okrutnymi oczami, które teraz patrzyły z portretu wiszącego nad naszym kominkiem. Umiał okazać zdecydowanie, którego Johnowi brakowało. Pozwoliłam sobie na chwilę nostalgii, zastanawiając się, czy mistrz Hans jeszcze kiedyś do nas przyjedzie z dalekiej niemieckiej ojczyzny, aby uzupełnić nasz portret naszkicowanymi już lutniami i violami oraz podnieść jejmość Alice z klęczek i namalować ją na krześle, tak jak chciała. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale pragnęłam, by przyjechał. Chciałam, by tu był i bym mogła z nim porozmawiać o niektórych rzeczach, o jakich się właśnie dowadywałam. Był najbardziej prostolinijnym człowiekiem, jakiego znałam; jedynym z mojego pokolenia, który - jak mi się zdawało - umiał odnajdywać sens w świecie wywróconym na opak.

Moje myśli skierowały się teraz na nowe tory: czego jutro dowiem się od Szalonego Davy'ego.

13

Pokazał mi dziwne miejsce, nędzne, w ruderze obok kościoła Wszystkich Świętych. I przy tym wszystkim pełne Boga.

- Zapewne chętnie zobaczylibyście, pani, jak sporządzam moje leki - powitał mnie niemal urągliwie, gdy otulona płaszczem przeszłam z koszem między straganami i przystanąłam przy jego towarze. Wyszczерzył zęby w uśmiechu do jakiegoś przechodnia. - Zapewne nie widzieliście, pani, nigdy prawdziwego rogu jednorożca?

Stojący w pobliżu ulicznicy zachichotali i tręcili się łokciami. Zignorowałam ich i wyraziłam zgodę. Zastanawiało mnie, czy Szalony Davy rzeczywiście jest szalony, czy tylko tak udaje. Od razu ruszył w kierunku wschodnim, oglądając się, czy za nim podążam.

Cały czas mrucał coś do siebie. W szumie wiatru wychwytywałam jedynie pojedyncze słowa, nic jednak, co by się składało na sensowną całość. Raz się odwrócił i z obłąkanym chichotem pomachał pustą butelką wyciągniętą z kieszeni.

- Eliksir prawdy! - krzyknął wesoło. - Wypijmy! - Zanurzył się w małą uliczkę, kiwając na mnie kościstym palcem, i po chwili niemal wepchnął do swego domu.

Było tu duszno i smrodliwie. Pod ścianą leżało zwinięte posłanie; na krześle siedziała niechlujna stara kobieta i bez większego zapału coś szyła. Pod oknem stał stół, a na nim kilkanaście brudnych flaszek do połowy napełnionych szarym lub żółtawym płynem oraz miseczki przypominające dziecięce zabawki, z tą samą nieokreśloną cieczą, częściowo nakryte szmatkami. Zajęcie Davy'ego. Kobieta podniosła głowę, zdziwiona moim widokiem. Szybko jednak zdziwienie ustąpiło i nawet nie odłożyła robótki.

- Witajcie, pani - odezwała się grzecznie.

Gdy tylko Davy znalazł się w czterech ścianach, obłęd opadł z niego jak stary płaszcz.

- Pójdziemy na zaplecze, matko - rzekł spokojnym głosem. - Wpuścisz ich, dobrze?

Przeszliśmy przez podwórze, gdzie dwa koty syczały na siebie wściekle, i znaleźliśmy się w niewielkiej suterenie. Pod ścianami aż pod sufit ułożone było drewno na opał; znajdowały się tu także narzędzia, puste butelki i zapasy jedzenia, a na półkach z tyłu - kwadratowe przedmioty owinięte w płótno. Na środku pomieszczenia stały dwie długie ławy na krzyżakach.

- Siadźcie, proszę - zachęcił mnie Davy. - Może coś podać? Wino? - zaśmiał się; tym razem był to śmiech normalnego człowieka, choć nieco gorzki. - Elixir prawdy?

- Właśnie prawdę chcę poznać - odparłam poważnie i poprosiłam, by też usiadł. Przycupnął na drugiej ławce. - Pewnie domyślacie się dlaczego. Chciałabym wiedzieć coś więcej o tych kobietach, które wtedy do mnie przyszły. I o tamtym człowieku, który był z nimi. O ludziach od Pisma Świętego i dlaczego mój ojciec ich nienawidzi. Coś mi się zdaje, że możecie mnie w tym względzie oświecić.

W zadumie pokiwał głową. W niespokojnych oczach pojawił się błysk, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam.

- Ale najpierw ja zadam pytanie - rzekł. - Co mówicie, modląc się?

Chwilę milczałam. Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Cóż za dziwne pytanie.

- To ważne. Pomyślcie dobrze - nalegał. - Jakimi słowami się modlicie?

Przypomniał mi się chłodny, rozświetlony świecami mrok kościoła i pełne mocy słowa pochodzące od Boga:

Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibilium omnium et invisibilium. Et in unum Dominum, Jesum Christum, Filium Dei unigenitum, et ex Patre natum ante omnia saecula. Deum de Deo, lumen de lumine, Deum verum de Deo vero. Genitum, non factum, consubstantialem Patri; per quem omnia facta sunt... Pater noster, quis es in caelis; sanctificetur nomen tuum; adveniat regnum tuum; fiat voluntas tua, sicut in caelo, et in terra. Panem nostrum quotidianum da nobis hodie; et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris; et ne nos inducas in tentationem.

- Pewnie w tej chwili powtarzacie sobie *paternosterquisincaelis*, prawda? - powiedział, przyglądając się mojej twarzy. - Myślicie *nenosinducasintentionem*.

Bez słowa wstał i odszedł w głąb pomieszczenia. Myślałam, że pokaże mi książki, które owinięte jak sery leżały na półce. Ale nie o nie chodziło. Wyciągnął spod półki polano, a zza niego jakieś przedmioty zapakowane w płótno. Przyniósł mi jeden, rozwijając po drodze.

- Spójrzcie.

Książka była tak mała, że mogła zmieścić się w sakwie lub w kieszeni. Pod okładkę miała wsuniętą luźną kartkę papieru. Wyjął ją i pokazał mi.

- To też jest *Patemoster* - rzekł ochryple. - Nie znam łaciny. Niewielu też znam takich, co by ją rozumieli. Oto słowo boże dla tych, co nie znają łaciny. Oto słowo boże dla tych, co im księży zagradzają drogę do nieba. Poznajecie te słowa?

Tekst, znajdujący się na jednej stronie, wydrukowany był ładną niemiecką czcionką. Zobaczyłam proste angielskie słowa: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...” i opuściłam kartkę na kolana. Miałam dziwne uczucie, że zapędziłam się za daleko w poszukiwaniu prawdy; aż słabo mi się zrobiło na myśl o niebezpieczeństwie, z jakim igrałam. Ale czułam także radosne uniesienie - bicie serca, lekkość członków. Gdybym dotąd nie rozumiała słów Kościoła, to przeczytane przed chwilą zdanie przeobraziłoby mnie całkowicie.

- Pokażcie mi więcej - zażądałam.

Spojrzał na mnie bystro niczym czujny wróbel i otworzył książkę. „Jam narcyz Saronu, lilia dolin... Jak jabłoń pośród drzew leśnych tak ukochany mój wśród młodzieńców. W upragnionym jego cieniu usiadłam... Miły mój odzywa się i mówi do mnie: «Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! Bo oto minęła już zima, deszcz ustał i przeszedł... Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! Gołąbko ma, w zagłębieniach skały, w szczelinach przepaści...»”.

-, „Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! Gołąbko ma” - powtórzyłam na głos, zdziwiona, jak niespodziewanie pięknie brzmią te najzwyczajniejsze angielskie słowa.

Był wyraźnie zadowolony.

- Widzę, że się wam podoba - zauważył. - Czułem, że tak będzie. Od dawna was obserwuję. Wiem, kim jesteście: znacie łacinę i grekę, a choć należycie do nich, macie dobre i niewinne serce. Za chwilę zobaczycie tu innych ludzi o czystych sercach, którzy dotąd nie rozumieli Pisma Świętego, bo nie znają łaciny. To ludzie prości, którzy całe życie chodzili do kościoła, nie pojmując słowa z tego, co mówią księży. Stali tylko i powtarzali posłusznie: „Amen” albo „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu”, a w hostii widzieli coś magicznego. Wmawiano im, że trafią do piekła, jeśli nie będą postępować tak, jak każe im ksiądz. Musieli płacić i płacić, i płacić raz jeszcze, by ocalić duszę przed tym, co duchowni nazywają wiecznym ogniem piekielnym. Angel za mszę, marka za ślub*. Zawsze żywili nabożny lęk przed duchownymi, ponieważ jedynie ci rozumieli słowo boże. A księży stale domagali się więcej, niż oni mogli dać. Teraz przychodzą do mnie po książki, które uczą, jak poznawać prawdę i stawać się lepszymi. Słowo boże odkryłem dawno. Mój ojciec był lollardem. Wierzył, że gdy się mówi po angielsku, to powinno się mieć angielskie Pismo Święte. Nie znałem ojca, bo spalono go na stosie jeszcze przed moim urodzeniem. Wtedy też czasami palili ludzi, zanim nastał wasz ojciec. Ale przynajmniej nie rosłem w takiej jak oni nieznajomości słowa bożego. Znałem list świętego Jakuba. Przepisał tekst, ale strażnicy nie znalazły rękopisu. Matka go dobrze ukryła. Umieliśmy go na pamięć.

Kościół jest dobry dla ludzi bogatych i wykształconych - dla biednych i prostych jest tajemnicą i zagadką. Oraz ciężarem. Za chwilę się przekonacie, co znaczy słowo boże i ile może zdziałać. Poznawszy prawdę zawartą w Piśmie Świętym, ludzie uwolnią się od tyranii Kościoła.

* Angel („anioł”) moneta mająca w czasach elżbietańskich wartość 10 szylingów. Marka (13 szylingów 4 pency) nie była monetą, ale jednostką przeliczeniową, mającą zastosowanie w rozliczeniach.

Zapalał się coraz bardziej.

- Chwileczkę... - zaprotestowałam słabo, przerażona logiką i siłą jego argumentów. - Mój ojciec walczy z takimi ludźmi, ponieważ uważa, że sprowadzają na świat diabelskie zło. Czy sądzicie, że Kościół to zło? Że mój ojciec to zło?

Skrzywił się na wzmiankę o ojcu, ale szybko się opanował.

- Widzicie, pani, ja sądzę, że w tej walce nikt nie jest naprawdę zły. Po prostu są dwie strony. Wasz ojciec i podobnie myślący ludzie są po stronie tradycji, która każe wierzyć, że papież i książęta Kościoła, a więc i beneficja, i ściągane opłaty - wszystko to członki Ciała Chrystusowego na ziemi. Namiestnicy rzymscy mogą sobie hodować pantery, lamparty i słonie, utrzymywać wielkie pałace i armie, mianować swoich bękartów kardynałami i nic złego nie ma w tym, że za to płacą, zdzierając z biedaków słone datki za odpusty i fałszywe relikwie. A tymczasem z drewna zebranego ze wszystkich relikwii krzyża świętego dałoby się zbudować okręt wojenny. Po drugiej zaś stronie są tacy jak ja... którzy twierdzą, że chrześcijanin ma prawo rozmawiać z Bogiem bezpośrednio, nie płacąc księdzu za ten przywilej. I że najważniejsze to prawdziwie i szczerze wierzyć, a grzechy zostaną przebaczone bez tych wszystkich rytuałów uprawianych przez księży. Dla nas kościelne obrzędy z winem, chlebem, woskiem, wodą, solą, olejem, kadzidłem, ornatami, mitrami, krzyżami, laskami pielgrzymimi, co tylko zechcecie... to nic innego jak tylko czarodziejstwo. Papież jest zwykłym człowiekiem i nie ma mocy czynienia ludzi świętymi, a kościół pełen amuletów nie jest lepszy od synagogi szatana. Po tej stronie jestem. Nie wiem, co w tym może być złego. No bo skoro nie rozumiem łacińskich słów, to co za sens odmawiać *Paternoster*, równie dobrze mogłoby to być „tralalala”. A jeśli nie rozumiem, o czym mówią w kościele, a w dodatku ksiądz grozi mi potępieniem, gdy nie dam mu pieniędzy, to czy nie lepiej modlić się na polu? Albo tutaj?

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Zakryjcie głowę - mruknął Davy, a ja posłusznie naciągnęłam kaptur na czepek. W pomieszczeniu było zimno. Do środka wszedł niski starzec w oberwanym, szmatławym płaszczu. Wystraszył się na mój widok.

- Nie bójcie się - uspokoił go Davy. - Znam tę niewiastę.

Stary przyjął wyjaśnienie i przycupnął na samym końcu ławki, mocno zaciskając ręce na piersi. Od czasu do czasu spoglądał na mnie nieufnie.

Zaczęli się schodzić po dwoje, troje naraz. Sami biedacy, opatuleni szczelnie, w połatanym nędznym przyodziewku. Ostatnia przyszła starsza z dwóch kobiet, które były u mnie w domu. Gdy mnie ujrzała, najpierw się złękła, po chwili jednak spojrzała dumnie i lekko skłoniła głowę.

- Witajcie, pani - powiedziała, a wtedy starzec się uspokoił i opuścił ręce.

Nie rozmawiali ze sobą, tyle że się przywitali. Kiedy się zebrali, Davy zamknął drzwi i zaczął czytać z małej książeczki skrzekliwym głosem ulicznego przekupnia:

- „Przyjdźcie wszyscy z czystym umysłem i zdrowym okiem do źródła słów życia wiecznego. Bowiem, gdy uwierzemy w Słowo i okażemy skruchę za grzechy, narodziemy się na nowo, by jako nowe stworzenie cieszyć się owocami krwi Chrystusa. Ta krew nie domaga się pomsty jak krew Abła. Nabyte jest nią dla nas życie wieczne, miłość, łaska, błogosławieństwo i wszystko, co obiecano zostało w Piśmie tym, którzy wierzą i są posłuszni Jedynemu Bogu”*.

* Jest to fragment przedmowy Williama Tyndale'a do przełożonego przezeń Pisma Świętego.

Spojrzałam na kobietę, która przyniosła do mnie umierającego chłopca. Po jej poszarzałych policzkach spływały łzy. Choć przeżyła niedawno tak bolesną stratę, jej twarz była dziwnie rozpromieniona; płakała z radości.

- „Nie popadajcie zatem w rozpacz, lecz zwróćcie się do Boga jak do dobrego i miłosiernego Ojca, a Jego Duch w was zamieszka i będziecie nim silni, a na końcu zostanie wam dana obietnica”.

Niski starzec, zapomniawszy o obawach przede mną, wysunął się naprzód, a twarz jego jaśniała szczęściem.

- Kiedy poczułem słodką woń słowa bożego - zaczął cicho, a zgromadzeni przysłuchiwali mu się z wielką uwagą - rozradowało się moje serce... dotąd poranione ciężarem grzechów i pogrążone w rozpacz... Odczułem wielką cudowną pociechę i spokój duszy, a moje umęczone ciało z radości stało się lekkie. Księża mówili, że straciłem wiarę. A ja powiem, że Pismo słodsze jest niż plaster miodu, dowiedziałem się z niego, iż wszystkie umartwienia, posty, czuwania, msze i żal za grzechy bez zawierzenia Jezusowi Chrystusowi, który sam tylko jeden może zbawić ludzi, to nic innego, powtarzam, jeno zgubne odejście od prawdy. - Rozległo się kilka westchnień, więcej łez pojawiło się w oczach zebranych, a starzec podszedł i z czcią ucałował książkę w rękę Davy'ego.

Poza targowaniem się na ulicy albo wydawaniem poleceń służącym w domu niewiele rozmawiałam z prostymi ludźmi, zwłaszcza w ten sposób. Patrząc teraz na twarze płonące uniesieniem, zdałam sobie sprawę, że nigdy dotąd nie przyszłoby mi do głowy, iż potrafią tak pięknie mówić. Gdy opatrywałam ich rany i leczyłam dolegliwości, widziałam, że krew prostaczka ma taki sam kolor jak krew mędrca. Ale nigdy nie spodziewałabym się takiej głębi uczuć, tak żarliwego umiłowania prawdy. Poczułam się zawstydzona i upokorzona.

Zebranie dobiegło końca. Gdy jedyna świeca dopaliła się do oznaczonego nacięcia, zawinęli książki w płótno i schowali na powrót za stosem drewna, po czym wyszli kolejno, tak samo cicho jak przybyli, i z podwórza rozeszli się w różne strony.

- Odprowadzicie mnie do domu? - poprosiłam Davy'ego.

Siedziałam na ławce, mocno poruszona tym wszystkim.

- Nie odpowiedziałem na wasze pytania - rzekł, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. - Ale za to pokazałem wam inną odpowiedź.

- Całkiem wystarczającą - zgodziłam się, uznając ostatecznie, że jest on zdrow na umyśle.

- Teraz prosto, potem w lewo i jeszcze raz w lewo do Walbrook. Lepiej, jeśli nie pójde z wami. - Zarzucił worek na ramię. - Mam jeszcze swoje sprawy. Róg jednorożca. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo, po czym skrzywił się dziko jak człowiek niespełna rozumu i oddalił w podskokach, chichocząc głupkowato.

Jeszcze tego samego dnia zapukał do nas. Otworzyła mu służąca.

- Był ten szaleniec, co tak wywraca oczami - powiadomiła mnie, odnosząc się do Davy'ego z wyraźną pogardą. - Ten od rogu jednorożca. Usiłował sprzedać mi lekarstwo. Kazał oddać to i wziął ode mnie pensa za fatygę. Ze Steelyard.

List miał na wosku pieczęć Steelyard (mówiono, że wszystkie zakazane książki przemycane są do Anglii przez Niemców) i był od Hansa Holbeina z Bazylei. Zaskoczył mnie zarówno podpis, jak i list napisany niewyrobionym pismem i kulawą francuszczyzną. Po chwili przekornej tęsknoty za mistrzem Hansem doznanej zeszłej nocy oraz po pełnym wrażeń biblijnym zebraniu u Davy'ego liścik był niczym znak od Boga. Wymówiłam szeptem imię mistrza, a wtedy wróciło wspomnienie jego twarzy i żarliwie wpatrzonych we mnie oczu, nim po ostatnim spotkaniu odwrócił się i odszedł. Szczerłość w jego spojrzeniu była wręcz bolesna.

Ale zdaje się nie był stały w uczuciach. List zawierał niewiele - zaledwie kilka nieporadnie napisanych zdań, pasujących do tego dość prostego człowieka, który podczas pobytu w naszym domu tak łapczywie wpychał chleb i mięso do ust, że chyba wędrowały prosto do potężnego brzucha, a po każdym popisie iście gargantuicznego folgowania sobie w jedzeniu bekał cichutko, osłaniając usta. Mistrz Hans pisał:

Wielmożna Pani Meg!

Proszę wybaczyć, iż nie piszę po angielsku. Zapomniałem wiele słów. Po francusku łatwiej. Mistrz Erazm prosi, by pogratulować narodzin syna i spytać o zdrowie Wasze i Męża. Mistrzowi Erazmowi podobał się obraz Rodziny. Napisał o tym do Waszego Ojca. Ja próbuję przyzwyczaić się na nowo do Bazylei i do swoich. To teraz protestanckie miasto! Niebawem znów będę malował Mistrza Erazma. Napiszcie do mnie, proszę. Przekażę mu wieści od Was.

Zamyśliłam się. Wspomniałam chaos, jaki miał w swoich rzeczach - obrazy przemieszane ze szkicami i rysunkami pierwszych pomysłów - jego bezpośrednią serdeczność, z jaką odnosił się do ludzi, których polubił, a także (nie bez silnego zażenowania) incydent w ogrodzie, kiedy broniłam się przed jego pocałunkami. Schowałam list do kieszeni fartucha, zastanawiając się, czy odpisać. W końcu lubiłam mistrza Hansa, i to bardzo. Ale czy rzeczywiście zrozumiałby moje położenie i mógłby mi pomóc? Idealizowanie jego osoby na podstawie wspomnień było dziecinne i niemądre. Zdecydowałam, że nie odpiszę. Sama musiałam znaleźć dla siebie drogę wybawienia.

Wybawienie znalazłam dzięki sekretom, i to moim własnym, a nie cudzym. W ten sposób usiłowałam się bronić przeciwko temu, czego jeszcze mogłam dowiedzieć się o najbliższych mi ludziach. Zima przeszła w wiosnę, lato w zimę, a ja prowadziłam podwójne życie. Pierwszym aktem buntu była ponowna wyprawa do domu Davy'ego na modlitewne spotkanie ludzi prześladowanych za czytanie Pisma Świętego.

Okazało się to dziecinnie łatwe. Johnowi wyraźnie ulżyło, gdy znów zaczęłam witać go w progu z uśmiechem i pytać o pracę, nie wracając do niedawno ujawnionych rewelacji. A ojciec się cieszył, że nie było już więcej takich scen, jak z powodu egzekucji Hittona. Jednak ta pozorna uległość miała swoją cenę. Unikałam wizyt w Chelsea, chyba że zjeżdżała się cała rodzina, a rozmowy z ojcem ograniczałam do relacji z

postępów ciemnowłosego, rumianego Tommy'ego, który zaczynał chodzić i mówić. Ojciec też zachowywał dystans; nie obejmował mnie i nie całował, a w jego oczach pojawiła się chłodna czujność. Jakbyśmy stąpali po lodzie, sprytnie omijając trafiające się to tu, to tam szczeliny i pęknięcia i poruszając się wyłącznie po bezpiecznym gruncie. Nikt nie zadawał kłopotliwych pytań.

W niektóre popołudnia zostawiałam Tommy'ego na godzinę ze służącą i wychodziłam z domu. U Davy'ego słuchałam czytać z Pisma Świętego, a potem wyznań ludzi; i widziałam ich szczere ły radości. Sama nie zabierałam głosu. Davy nie komentował mojej obecności, ale widziałam z pełnego zadowolenia błysku w jego oczach, że dla niego jest to rodzaj sekretnego tryumfu.

Ojciec zapewne uznałby wizyty u Davy'ego za odwet z mojej strony (może tak było, choć raczej wyrażałam w ten sposób protest przeciwko jego okrucieństwu). John stwierdziłby, że jestem niewybaczalnie lekko-myślna. Sama czułam się winna, ryzykując tak wiele, skoro miałam małe dziecko, dla którego powinnam żyć. Ale było to silniejsze ode mnie.

Z jednej strony bardzo pragnęłam modlić się razem z tymi biedakami. Chciałam słyszeć, że najważniejsze w życiu to wiara, nadzieja i miłość. Chciałam wzbudzić w sobie szczery żal za grzechy i uwierzyć, że nasza niewielka kongregacja - a nie możni dostojnicy Kościoła - jest prawdziwym Ciałem Chrystusowym na ziemi. Wychodziłam stamtąd podniesiona na duchu i wewnętrznie oczyszczona: słaba ludzka istota kochana przez dobrego Boga.

Ale z drugiej strony nie przestałam chodzić na mszę - choć tak dobrze znane od dzieciństwa dźwięczna łacina i uroczysta powaga śpiewu gregoriańskiego teraz wydawały się zbrukane okrucieństwem - gdyż wśród prostych ludzi u Davy'ego nie umiałam odnaleźć mego Boga. Gromy ciskane przez Lutra nie przekonywały mnie bardziej niż nienawiść ojca do heretyków. W potajemnych spotkaniach pociągały mnie przede wszystkim szczerość i prostota wiary tych kobiet, garbarzy, farbiarzy i tkaczy, narażających się na niebezpieczeństwo w poszukiwaniu prawdy. Chciałam wierzyć, że ich żarliwy bunt przeciwko temu, co uważali za odwieczne kłamstwa Kościoła, podobny był do tego, który sama przeżywałam, kiedy odkryłam kłamstwa moich bliskich; choć oczywiście były to dwie różne sprawy.

Zdawać by się też mogło, że sam Pan Bóg zesłał mi kolejny sekret. Pewnego razu, gdy wychodziłam od Davy'ego, ktoś delikatnie pociągnął mnie za suknię. Nie zdążyłam się odwrócić, gdy usłyszałam cichy kobiecy głos powtarzający słowa Davy'ego, jakby to był tajny kod wiążący nas ze sobą:

- „Bóg jest jak miłość albo jak wiatr, wymykający się naszemu poznaniu i zrozumieniu, nieskończony na tyle, by Go chwalić na nieskończenie wiele sposobów, i tak miłosierny, że nie zważa, czy ludzie modlą się do niego w kościele czy na łące, po łacinie, angielsku czy grecku, płacząc czy się śmiejąc”.

Była to matka tamtego zakatowanego nieszczęśnika. Nie znałam jej imienia. Bolała jeszcze nad stratą, to rzecz pewna, ale oczy odzyskały żywość i bystrość, które kiedyś musiały dodawać jej sporo wdzięku.

- Od dawna chcę was o coś zapytać. Czemu tu, pani, przychodzicie? - rzekła wprost, jakbyśmy były dawnymi znajomymi, lecz nieco ściszym głosem. - Wiem, kim jesteście. Więc co was tutaj sprowadza? - Po czym, bojąc się, że odbiorę to jak powątpiewanie w moje uczciwe zamiary i poczuję się urażona, dodała śpiesznie: - Nie to mam na myśli. Nie mówię wcale, że nas szpiegujecie.

Rękę wsunęła lekko pod moje ramię.

- Wiem, że macie szlachetne serce - ciągnęła. - Pewnie są jakieś powody, dla których tu przychodzicie. Ale że mam dorosłe dzieci... - Przez jej twarz przemknął cień, zapewne na wspomnienie Marka. Uśmiechnęła się jednak, nie po to przecież tu przyszła, by o nim rozmawiać. - ...to wiem, jak szalone pomysły potrafią im przyjść do głowy i ile czasem potrafią zadać sobie trudu, byle tylko zrobić na przekór rodzicom. Patrząc na was, zastanawiam się, czy nie jest tak i w waszym przypadku. Czy przychodzicie tu ze względu na *Ojciec nasz*, czy na waszego ojca?

Obie zaśmiałyśmy się z żartu (choć byłam zaskoczona jej śmiałością i niezbyt zadowolona, jako że w jej słowach dźwięczało sporo prawdy). Wskazała palcem moją rękę, którą przed chwilą poruszyłam, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Przeżegnaliście się - zauważyła. - Już kilka razy widziałam, jak to robicie. Nie należycie do nas, prawda?

Uśmiechnęłam się niewyraźnie. Patrzyła na mnie z wielką powagą.

- To prawda - przyznałam. - Nie pomyślałam...

- Nie przychodźcie tu więcej. Tak będzie lepiej dla was i waszego synka. Myślcie o rodzinie. - Cały czas mi się uważnie przyglądała. - Ale jest coś, co możecie dla nas zrobić. Coś bardzo ważnego.

Nie wiedząc jeszcze, o co chodzi, obiecałam jej pomóc. Polubiłam ją. Teraz uświadomiłam sobie, że od początku do tego zmierzała. Miałam jednak przeczucie, że mogę jej zaufać.

- Pomóżcie naszym chorym - poprosiła. - Umiecie leczyć. Ja was do nich zaprowadzę. Bardzo nam pomożecie.

W tajemnicy zaczęłam więc leczyć i pielęgnować londyńskich heretyków. Zamiast do Davy'ego, chodziłam pod katedrę Świętego Pawła, gdzie spotykałam się z moją nową znajomą (wiedziałam tylko, że na imię ma Kate, ze względów ostrożności nie zdradziła nic więcej). Zagłębiałyśmy się w ubogie uliczki; w wilgotnych izbach usiłowałam leczyć chorych olejkami goździkowymi i naparami ziołowymi, a samotnych i opuszczonych - po prostu garnuszką pożywej polewki i chwilą życzliwej rozmowy.

John nie wiedział, kim są moi pacjenci. Często spotykaliśmy się wieczorami w bawialni i razem ucieraaliśmy korzenie i zioła w moździerz. Był zadowolony, że znalazłam sobie zajęcie.

Przez następne miesiące udawaliśmy, że jesteśmy szczęśliwi. Przy stole rozmawialiśmy o tym, jak miął dzień, i cieszyliśmy się, że mały Tommy rośnie zdrowo. Ale przestaliśmy być mężem i żoną. Najczęściej brałam dziecko do łóżka i kładłam między nami, a gdy John próbował mnie dotknąć, uskarżałam się na bóle głowy i krzyża. Niby wszystko było tak jak zawsze, on zachowywał się, jak dotąd, czule i serdecznie, ale wciąż nie byłam go pewna; nie umiałam otworzyć się przed nim i kochać go jak kiedyś całą sobą. Gdyby jakieś inne wstrząsające sekrety wyszły na jaw, byłabym strasznie upokorzona, że znów mu zaufałam. On bez słowa protestu przyjmował moje wykręty i tylko tulił mnie czule, jak kochający ojciec.

- Jesteś bardziej krucha i delikatna, niż myślisz, mała Meg - szeptał, utwierdzając mnie w przekonaniu, że czuje się winny skrywania prawdy i spodziewa się odzyskać moje uczucia cierpliwością i dobrocią.

Kiedy jednak dyskutowaliśmy o dolegliwościach moich biednych i jego bogatych pacjentów lub wspólnie szukaliśmy w księgach odpowiedzi na różne pytania albo się spieraliśmy, czy wyciąg ze skorpiona rzeczywiście leczy ból głowy stawaliśmy się sobie bliżsi i milej płynęły ponure zimowe dni.

Znów zaczęłam przesiadywać w bawialni podczas wizyt doktora Buttsa. Ku własnemu zdziwieniu niemal polubiłam tego człowieka mimo jego próżności - przejawiającej się zwłaszcza wtedy gdy opowiadał o bogatych pacjentach i kosztownych kuracjach - i wrażenia, że wcale nie jest tak dobrym lekarzem, za którego się uważa. Moją sympatię zjednały mu raczej opowieści Johna o opiece, jaką roztoczył nad swoimi protegowanymi, zwolennikami nauki Lutra, oraz o wizycie u chorego kardynała Wolseya. Był na swój sposób odważny; ceniłam też jego dobroć. Pokazywałam mu moje mikstury i chętnie słuchałam, udzielanych życzliwie, czasem nawet przydatnych rad. John był zadowolony, gdy wyrażałam doktorowi wdzięczność.

Idąc za przykładem Margaret, starałam się czerpać jak najwięcej radości z codziennego życia. Po tamtej z nią rozmowie zawstydziłam się moich wątpliwości, toteż starałam się zwalczyć je w sobie i pragnęłam odbudować zaufanie do Johna. Choć nasze stosunki dalekie były od doskonałości - mieszając lecznicze mikstury, powtarzałam sobie, że przecież moje marzenia się spełniły: miałam męża, którego sama sobie wybrałam, miałam dom, który naprawdę kochałam, i Tommy'ego, słońce mego życia, niewysłowione wprost szczęście. Na pewno istniał sposób, by móc żyć w rzeczywistości, która okazała się różna od marzeń. Przecież musieliśmy w końcu znaleźć jakiś kompromis.

Jeśli zatem złościło mnie, że John i doktor Butts niewiele robią, by poznać nowe naukowe teorie - prowadzili jedynie korespondencję z włoskim uczonym, co właściwie ja im podsunęłam - to starałam się tę złość w sobie tłumić. Co by na moim miejscu zrobiła Margaret? Długo nad tym myślałam i wpadłam na pomysł, z którego byłam bardzo dumna. Postanowiłam poddać im nowe tematy do wymiany poglądów z Vesaliusem. Doktor znacznie się ożywił i aż zatarł ręce, kiedy pewnego wieczoru zaproponowałam jakby mimochodem:

- A może poprosić, żeby sprawdził, w jakim stopniu Galen znał anatomię człowieka? Co będzie, jeśli okaże się, że w znacznie mniejszym, niż nam się zdaje?

John był mile zaskoczony, jakbym powiedziała coś niebywale odkrywczego (choć powszechnie wiadomo było, że teorie Galena, które dotrwały do naszych czasów, opracowane zostały na podstawie sekcji świń, a nie ludzi).

- Burzysz uznane autorytety, Meg - roześmiał się John. - Ale masz rację. Czemuśmy sami na to nie wpadli?

Kiedy znów zaczęłam się lepiej czuć w małżeństwie, łatwiej godziłam się z uniżonością Johna wobec jego mentora. Szczerze też uśmiechałam się z ich opowieści o służącym w Królewskim Kolegium Lekarzy, niejakiem Eddym. Gdy przyjmowano go do pracy, utrzymywał, iż jego żona zmarła w Worcester przed dwoma laty, nawet opowiadał długo i barwnie, jak to modlił się przy jej grobie. Tymczasem rzekomo zmarła żona zjawiała się niespodziewanie, i to w momencie, gdy Eddy szykował się do następnego ożenku. Obaj, doktor Butts i John, prześcigali się w relacjonowaniu, zrećnie przejmując od siebie wątek.

- A on na to: „Mam wielkie szczęście, że żyje, bo to bardzo dobra kobieta” - śmiał się Butts.

- A doktor Butts odparł mu wtedy: „Ale niezbyt to ładnie, że byłeś gotów znów się ożenić. I że twierdziłeś, jakoby nie żyła” - dopowiedział John. - Eddy bynajmniej nie dał zbić się z tropu. Z kamienną twarzą, zupełnie tym niewzruszony, odpowiedział: „Tak mówili ludzie w Worcester”. Tu doktor się już nieco zdenerwował i rzekł: „A czemu kłamałeś, że widziałeś jej grób?”.

- I wiecie, pani, co odparł? - wszedł w słowo Butts, po czym obaj zaczęli się śmiać. - „Bo go widziałem, ale w zbyt silnej pograżony byłem rozpacz, by zajrzeć do środka”.

Zdarzało się, że wieczorem byliśmy sami. Pomału znów jak dawniej John dzielił się ze mną opowieściami i plotkami o dworskich układach i intrygach. Ludzie z otoczenia królowej, żarliwi katolicy, a zarazem przyjaciele ojca - księżę Norfolk, ambasador hiszpański Chapuys, biskup Fisher i biskup Stokesley - coraz bardziej tracili na znaczeniu. Rosły za to szeregi jego wrogów, a wpływ urodziwej Anny Boleyn na monarchę był z dnia na dzień większy, choć sprawa rozwodu króla nadal się odwlekała. John wręcz z niepokojem opowiadał, że Anna Boleyn w obecności hiszpańskiej dwórki królowej Katarzyny wyraziła życzenie, by wszystkich Hiszpanów jak najszybciej pochłonęło morze. I dodała, że królowa jej nie obchodzi i prędzej da się powiesić, niż uzna w niej swoją panią. Najważniejszą postacią z coraz liczniejszego kręgu popleczników Anny był Thomas Cromwell, syn kowala z Putney, który, nim nastał na służbę do kardynała Wolseya, walczył jako najemnik we Włoszech, handlował wełną w Anglii i bogato się ożenił. Przetrwał aresztowanie i śmierć Wolseya, miał duże wpływy w królewskiej radzie, choć nie otrzymał jeszcze oficjalnych tytułów świadczących o politycznej władzy. Sympatyzował z tymi, co sprowadzali Pismo Święte, podobnie jak Anna Boleyn, i bez namysłu dopomógłby Henrykowi uwolnić się spod władzy i jurysdykcji papieża, gdyby przyspieszyło to rozwiązanie kwestii małżeństwa króla (i pchnęło naprzód jego własną karierę).

- Ma małe oczka, przenikliwe jak u jastrzębia - mówił John. - Sprytny z niego człowiek i potrafi doskonale manipulować ludźmi. W polityce może skutecznie rywalizować z twoim ojcem. A już na pewno chętnie przejąłby jego stanowisko.

Pewnego chłodnego kwietniowego wieczoru, kiedy w ogrodzie rozbrzmiewały już ptasie śpiewy, doszłam do wniosku, że przez te wszystkie sekrety i nieufność za bardzo oddaliłam się od męża. Co gorsza, zaczęłam go oszukiwać, podczas gdy on, mimo dawnych mrocznych sekretów, żywi do mnie jedynie szczerą miłość. Przeszliśmy się razem pod obsypaną pączkami jabłonią, on przyniósł pęk pierwiosnków i rozsypał je na naszym łożu. Przytulił mnie, a ja wprawdzie powiedziałam jeszcze, że jestem zmęczona, ale już bez większego przekonania. Zbyt długo żyliśmy w oddaleniu, myślałam sobie, odpowiadając w końcu na jego uściski. Czas zawrzeć pokój. Później dziękował mi czule. A wstając rano, dłużej niż zwykle okazywał serdeczność, opatulał mnie kołdrą i całował, cały czas jednak z zatroskaną twarzą.

- Zostań dziś w domu, moja najmilsza żono - wyszeptał. - Taka jesteś zmęczona. Ostatnio schudłaś. Wypocznij. Nabierz sił.

Pewnie bym tak zrobiła, ale jakiś instynkt - powątpiewanie w tę troskę - nakazał mi wyjść. Serce podpowiadało, że ominie mnie coś ważnego, jeśli zostanę w domu. Zaraz po wyjściu Johna, gdy Tommy dreptał już po kuchni pod opieką piastunki, ubrałam się i wyszłam. Na ulicy natknęłam się na Davy'ego, który czekał, by mi pokazać zło trawiące Londyn.

Ulica była pusta, zupełnie jak w jakieś święto. Zielarze zniknęli, tylko Davy siedział przy drzwiach kościoła ze swoimi flaszkami.

- O, jesteście - odezwał się na mój widok, jakbyśmy byli umówieni na spotkanie. - No, to chodźmy.

Poszliśmy. W powietrzu wyczuwało się ożywienie, mnóstwo ludzi szło po Cheapside, a wszyscy w tym samym kierunku. Przy katedrze Świętego Pawła, kiedy skręciliśmy w stronę wieży kościoła Świętego Bartłomieja i szpitala, zrobiło się jeszcze tłoczniej. Nagle ogarnął mnie lęk, że w ten ciepły, słoneczny, wiosenny dzień wydarzy się coś bardzo niedobrego.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

Nie odpowiedział. Zresztą było to głupie pytanie. Kierowaliśmy się w stronę Smithfield.

Tłum stawał się coraz gęstszy. Musieliśmy łokciami przepychać się między mieszczanami i pacholkami. Widziało się jeźdźców na koniach podzwaniających ostrogami; ława dla szlachty była przepelniona. My trzymaliśmy się z pospólstwem. Od razu zrozumiałam, o co chodzi, gdy ujrzałam beczkę, łańcuchy i przygotowany stos.

- Kto taki? - spytałam.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Bainham - wyjaśnił takim tonem, jakby dziwiła go moja ignorancja. - Sir James Bainham. Przyjaciel waszej, pani, rodziny*.

* Występujący już wcześniej w powieści James Bainham, był prawnikiem i męczennikiem protestanckim; spalony na stosie w 1532 r. za to, że nie chciał wyrzec się poglądów głoszonych przez Tyndale'a.

Odwróciłam wzrok. Przypomniałam sobie spotkanie z sir Jamesem, jak zdenerwowany czekał na ojca i z wielkim trudem dobierał słowa, chcąc pochwalić moje dziecko. Przez moment wydało mi się, że zaszła potworna pomyłka, ale dobrze wiedziałam, że tak nie jest. Wszystko się zgadzało. Cóż mogłam powiedzieć? Nie patrząc na Davy'ego, potrącana przez napierający tłum, pokiwałam tylko głową. Oczywiście.

Bainhama przywieziono na wozie, skutego łańcuchami i pod zbrojną strażą. Nie towarzyszył mu ksiądz. Na nagich plecach widoczne były blizny i czerwone pręgi. Głowę spuścił nisko i nie widać było ani oczu, ani twarzy, tylko skórę szarą jak popiół. Wóz zatrzymał się z głośnym skrzypnięciem. Strażnicy musieli podepchnąć go nieco do przodu, pokrzykując, żeby zrobiono miejsce.

- Hańba! - zawołał kobiecy głos, kiedy prowadzono skazańca na stos. Zewsząd rozlegały się gwizdy i syki.

- Doktor Simons ze strachu nawet z nim nie przyjechał. - Stojący przede mną gruby mężczyzna, który to powiedział, splunął zajadle. - Nie udało mu się go nawrócić. Pewnie się bał, że polecą kamienie. Przeklęci tchórze, wszyscy co do jednego!

Tłum był mocno wzburzony. Podobno śmierć popularnego człowieka może nawet wywołać rozruchy.

Sir James stanął na beczce i objął drewniany słup. Z góry spoglądał na ludzi szykujących stos. Nie walczył, nie stawiał oporu. Opanowany i spokojny, gotował się na śmierć. Zaczął coś wołać, ale choć staliśmy blisko, wiosenny wiatr porывał słowa i unosił daleko, więc tylko te pierwsze dotarły do nas w całości. Zgromadzeni zamarli w ciszy, kiedy głośno krzyknął:

- Zostałem uznany za winnego herezji i skazany na śmierć. Oskarżył mnie i osądził sir Thomas More!

Ogarnął mnie piekący wstyd, a on dalej publicznie składał swe wyznanie.

- Legalnie... każdy człowiek... słowo boże w ojczystym języku... - Oskarżający głos dobiegał do mnie falami. Od czasu do czasu wznoszono w tłumie okrzyki. - Biskup Rzymu... Antychryst... - Gwar coraz większy. - ...nie ma nic takiego jak czyściec, dusza idzie prosto do nieba i spoczywa na zawsze w Jezusie Chrystusie! - Aplauz. Gwizdy.

Podniosłam głowę i przeraziłam się, widząc, że patrzy prosto na mnie. Był opanowany. Nasze oczy się spotkały. Staralam się oddychać równo. Nie chciałam zemdleć niczym wrażliwa panna na balu, podczas gdy on w obliczu śmierci zachowywał stoicki spokój.

Ktoś z tłumu podjął wyzwanie i z silnym londyńskim akcentem wykrzykiwał oficjalnie obowiązującą prawdę:

- Łżesz, heretyku! Bluźnisz, przecząc Najświętszemu Sakramentowi!

Nie rozpoznałam tego głosu, bo zagłuszyły go inne.

- To Pave, urzędnik miejski - mruknął do mnie Davy. - Solidnie się wystraszył. Sam nie wierzy w to, co mówi.

- Nie zaprzeczam sakramentom! - odkrzyknął sir James, jak na logicznie myślącego prawnika przystało.

- Zarzucam wam jedynie bałwochwalstwo. Czemu Chrystus, Bóg i Człowiek miałyby przebywać w kawałku chleba? - I dodał donośniej: - Chleb nie jest Chrystusem. Ciało Chrystusa nie gryzie się i nie połyka. Chleb to tylko chleb!

Śmiech. Głośne tupanie. Okrzyki.

- Podpalić stos! Spalić go! - pośpiesznie zarządził Pave.

Płomień zaczął wolno pięć się po ścieżynce prochu.

Bainham spojrział w dół na ogień. Zbladł jeszcze bardziej. Wzniósł oczy i ręce do nieba i zawołał do Pave'a:

- Niech ci Bóg wybaczy i okaże więcej łaski niż mnie.

Znów wyłowił mnie wzrokiem z tłumu, albo może mi się tak zdawało.

- Oby Bóg wybaczył Thomasowi More! Módlcie się za mnie wszyscy dobrzy ludzie. - W tym momencie buchnął ogień, ogarniając go niczym pomarańczowy kwiat.

Rozkrzyczany tłum naparł na mnie i straciłam widok płomieni. Jednocześnie na plecach poczułam mocne ramię Davy'ego.

- Chodźmy stąd! - polecił, niemal krzycząc, a mnie się wydało, że mówi szeptem, taki był tumult dokoła. Zaczął przepychać mnie przez ludzkie morze. Myślałam, że zemdleję, twarz miałam mokną.

- Idźcie, nie zatrzymujcie się! - nakazał, naciągając mi kaptur. - Zakryjcie twarz, inaczej ludzie was poznają.

Kiedy dotarliśmy na Cheapside, zapytał cicho:

- Naprawdę nie wiedzieliście? - Spojrzał mi w oczy i zrozumiał, że nie kłamię. - Świeć, Panie, nad jego duszą - westchnął, ale się nie przeżegnał. - Mam wam o tym opowiedzieć? - Moje milczenie uznał za przyzwolenie.

Ojciec kazał aresztować Jamesa Bainhama wkrótce potem, gdy ten poślubił wdowę po Fishu. Oskarżono go o zaprzeczanie transsubstancjacji* i o utrzymywanie, że Turek, Żyd lub Saracen może być dobrym chrześcijaninem, wystarczy, że wierzy w Boga i zachowuje przykazania. Zawieziono go do Chelsea i właśnie wtedy go spotkałam: czekał na ojca, który miał nakłaniać go do wyrzeczenia się błędów. Kiedy ojcu nie udało się wydobyc od Bainhama nazwisk innych heretyków z Middle Temple, kazał przywiązać go do drzewa morwowego w ogrodzie i wychłostać, a potem odesłał do Tower na tortury. Sam też się tam udał, by wziąć udział w przesłuchaniu. Katowany więzień nie przyznał się do winy.

** Czyli przeistoczeniu chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa podczas mszy świętej.*

W końcu uległ z powodu żony. Gdy zaprzeczyła, że Bainham ma w domu Biblię Tyndale'a, zamknięto ją w więzieniu przy Fleet Street. Myśl, że przez niego została uwięziona, była dlań nie do zniesienia. Wyparł się zatem swojej wiary, ze wstydem przyjął ocalenie i stanąwszy przed biskupem Londynu, błagał o wybaczenie błędu herezji i wypuszczenie małżonki na wolność.

- Dawniej przychodził do nas - opowiadał Davy, rzucając na mnie spojrzenia z ukosa. - Podobnie jak wy. Czekałem tylko, aż się spotkacie któregoś dnia. Potem przestał i nagle pojawił się znowu jakieś dwa miesiące temu. Bez żony. Z nisko pochyloną głową, wstydząc się tchórzostwa przed Bogiem, płacząc, błagał o wybaczenie swojego postępu i zapewniał, że przyjmie ten krzyż na swoje ramiona.

Davy pokręcił głową.

- Sam tego nie widziałem, ale ludzie opowiadali, że tydzień później przyszedł do kościoła Świętego Augustyna. Stał na środku, podniósł do góry Biblię Tyndale'a i wyznał przerażonym wiernym, że wyparł się Boga, aby ocalić życie. Już samo posiadanie angielskiej Biblii było wyrokiem śmierci - on posunął się dalej, by nie było dla niego ratunku*. Z płaczem błagał, by wybaczone mu tchórzostwo i udawanie powrotu na łono Kościoła. Oświadczył, że prawda musi zwyciężyć, albowiem inaczej w dniu Sądu Ostatecznego zostanie potępiony z duszą i ciałem. Po powrocie do domu napisał list do biskupa Londynu i poinformował o swoim postanowieniu, żeby, nie mając wyjścia, musieli go spalić.

** Od 1530 r. obowiązywało prawo zabraniające kupowania i posiadania Pisma Świętego w języku angielskim.*

Davy nie spuszczał ze mnie wzroku. Patrzałam przed siebie, usiłując zapanować nad emocjami. Starałam się nie myśleć o sir Jamesie piekącym się na stosie. Próbowałam odrzucać wspomnienie o tym, jak chodził po naszej wiosce z Johnem i razem zastanawiali się nad pomocą ludziom uciekającym przed gorączką potową; nie pamiętać jego zakłopotania, kiedy niezręcznie zachwytał się Tommym. A najbardziej rozpaczliwie usiłowałam wymazać z pamięci twarz i głos ojca. Doznałam takiego wstrząsu, że mogłam jedynie iść i słuchać, rów-

nocześnie myśli nie przestawały gorączkowo krążyć wokół niezliczonych pytań, a wśród nich jedno wydało mi się nagle niepokojące: czego właściwie Szalony Davy chciał ode mnie, od sir Jamesa i innych szukających prawdy, gdy nas gromadził u siebie na czytaniu słowa bożego. Czy śmierć sir Jamesa nie była przypadkiem po jego myśli? Czy nie popychał swojej trzódki w kierunku męczeństwa - przynajmniej tych z nas, których śmierć, dzięki wysokiej pozycji społecznej, zwracała powszechną uwagę? Czy na swój sposób nie był żądny krwi, podobnie jak ojciec?

- Co się stało po napisaniu tego listu? - spytałam.

Wedle relacji Davy'ego biskup Stokesley i ojciec przesłuchali sir Jamesa, a on samobójczo pogrążał się coraz bardziej. Twierdził, że nie istnieje żadne wstawiennictwo świętych i modlenie się do nich nie ma sensu. Dowodził, że Pismo Święte zostało zawłaszczone przez Kościół i od ośmiuset lat pozostaje niedostępne dla ludu. Wygłaszał coraz radykalniejsze poglądy, utrzymywał, że teraz są dwa Kościoły: jeden to Kościół Żołnierzy Chrystusa, który nie może się mylić, a drugi to pełen błędów i kłamstw Kościół Antychrysta, do którego należą ojciec i biskup Stokesley.

Co prędzej wróciłam do domu. Brzuch miałam ściśnięty jak kamień, krew pulsowała mi w skroniach, ręce i nogi drżały. Kiedy zadzwoniono na nieszpory, otuliłam ciepło Tommy'ego i pobiegłam na drugą stronę ulicy do kościoła Świętego Stefana.

Poczułam się bardziej osamotniona niż zwykle. Mój lęk pogłębiała świadomość, że z nikim nie mogę o tym porozmawiać. Potworności, których byłam świadkiem, oddalały mnie od jejmości Alice i Margaret - niewinnych i nieświadomych niczego. Nieznośne było to, że John namawiał mnie do pozostania tego dnia w domu, bo nie chciał, bym się dowiedziała o egzekucji. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, czy moje podejrzenia są słuszne, czy nie, i tak nie będzie chciał poruszać tej sprawy. Szukałabym pociechy w zgromadzeniu u Szalonego Davy'ego, gdyby nie to, że naprawdę zaczęłam się bać, iż zależy mu tylko na publicznym wyrażeniu przeze mnie poparcia dla jego przekonań, bez względu na konsekwencje, co napawało mnie przerażeniem. Byłam sama z dzieckiem ufnie śpiącym w moich ramionach i nie miałam przy sobie nikogo, komu mogłabym zaufać. Pozostał mi jedynie Bóg. Mój własny Bóg. Prawdziwy, żywy Bóg, który na pewno nie jest winien, że ludzie są tacy okrutni. Nagle gorąco zapragnęłam znaleźć się w ramionach tego dobrego Boga, zanurzyć się w wierze i miłości, przed czym nazbyt długo się broniłam.

Tommy poruszył się niespokojnie, ale się nie obudził. Ogarnęła nas przyjazna, wypełniona obecnością ludzi ciemność i owiało powietrze ciężkie od kadzidła. Blask świec odbijał się w obrazach świętych. Z tyłu unosił się szmer modlitw, z przodu rozlegały się łacińskie słowa intonowane przez kapłanów w bogatych liturgicznych szatach, stojących tyłem do wiernych. Był to najmilszy memu sercu rytuał, sławiony przez świętego Augustyna, łączący mnie i moje dziecko z wszystkimi wierzącymi od czasów Męki Pańskiej. Nieważne było, czy ludzie modlą się po swojemu, własnymi słowami, w domach, na polu czy na ulicy obok mnie. Niech każdy rozmawia z Bogiem, jak potrafi najlepiej. Dla mnie dom boży był tutaj. A gdy zaczęłam wymawiać zapamiętane słowa: *Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibilium omnium et invisibilium* - moje serce wezbrało nadzieją. Była to nadzieja abstrakcyjna, daleka od życia poza świątynią, ale zawsze nadzieja, że na świecie znów kiedyś zapanuje radość i pokój.

Deum de Deo, lumen de lumine, Deum verum de Deo vero. Genitum, non factum, consubstantialem Patri; per quern omnia facta sunt - szeptałam. A kiedy zadzwonił dzwonek i wszystkie oczy zwróciły się na hostię uniesioną nad głową księdza, na tę obecność Boga wśród wiernego ludu, przestałam się przejmować tym, że wielu widzi w tym magię chroniącą przed nieszczęściami. Cieszyłam się z ludzkiego uniesienia i zachwytu. Była to rzecz od zarania dobrze znana - słodki majestat Słowa Pańskiego. Tak jak innych przepełniała mnie radość oraz cześć i uwielbienie dla pradawnych, od dziecka powtarzanych słów, nawet jeśli nie wszystko rozumiałam. Nie musiałam rozumieć - musiałam wierzyć.

Wzruszenie to, dające nadzieję, trwało we mnie, gdy wracałam do domu. Tommy zaczął trzeć oczy zaczerwienionymi z zimna piąstkami, jakby miał zaraz się obudzić.

Piastunka wzięła go ode mnie z tajemniczym uśmiechem.

- Chodź, chodź, malutki - zagruchała czule, tuląc do siebie główkę śpiącego dziecka. Służący, który udał się za nią do kuchni, też miał jakąś dziwną minę.

Johna zastałam w sypialni. Odświeżony po dniu pracy, stał przy oknie. Zatrzymałam się w progu. Nie spodziewałam się, że wróci tak wcześnie. Zasłane białą haftowaną pościelą łóżko obsypane było wiosennymi kwiatami, a przy kominku czekała przygotowana gorąca kąpiel. W pachnącej lawendowym olejkiem wodzie unosiły się kwiatowe płatki. Mąż przywitał mnie radośnie.

- Moja niespodzianka - odezwał się pełnym czułości głosem, wyraźnie sugerującym, że najpierw się wykapiemy, potem będziemy ze sobą jak mąż i żona, a następnie zaśniemy wtuleni w siebie wśród kwiatów i białych koronek.

Ogarnęła mnie taka złość, że cały mój podniosły nastrój wyparował w jednej chwili.

To było nie do zniesienia: przecież ulice zasnuwał jeszcze dym i swąd palonego ludzkiego ciała. John nie mógł o tym nie wiedzieć. Dlatego piastunka tak tajemniczo się uśmiechała. Pewnie służący długo nosili wodę po schodach i jak najciszej, by przedwcześnie nie zdradzić, że pan zamierza dziś posiąść swą uległą żonę. Teraz w kuchni być może padają niestosowne żarty, jak to sobie wygadza. A w tym samym czasie pod kościołem Świętego Bartłomieja strażnicy zabierają z miejsca kaźni zwęglone ciało Jamesa Bainhama i zmiatają popioły, które rozdmuchuje wiatr.

- Nie prosiłam cię o to - rzekłam chłodno. - Niepotrzebnie się trudziłeś. Nie chcę się myć. Jestem zmęczona. - Odwróciłam się i wyszłam. Dochodząc do szczytu schodów, powiedziałam: - Widziałam dziś, jak na stosie palono człowieka.

Pobladł, usta bezgłośnie wyszeptały: „A więc tam byłeś?”. Patrzyłam mu w oczy, ciekawa jego reakcji. Cisza trwała tak długo, iż wydawało się, że nigdy się nie skończy.

Nagle błyskawicznie znalazł się przy mnie i porwał w ramiona. Zaczął okrywać pocałunkami moją głowę, którą uparcie trzymałam spuszczoną.

- Moja biedna, moja kochana. Biedna, biedna - powtarzał, jakbym była dzieckiem potrzebującym pocieszenia, bo otarło sobie kolano. Stałam jak skamieniała. W końcu z wielkim bólem i wyraźną bezradnością powiedział cicho: - To musiało być straszne. Tak mi przykro. Bardzo nie chciałem, żebyś się dowiedziała. Żebyś się martwiła.

Na te słowa znalazłam w sobie dość sił, by się od niego odsunąć.

- Najwięcej się martwię, że ukrywasz przede mną prawdę - odparłam zimno, wysuwając się z jego objęć. Cofnęłam się i spojrzałam mu w twarz. Nie chciałam współczucia. Wreszcie powiedziałam na głos to, co mnie najbardziej dręczyło. W głębi duszy czułam, że się tego spodziewał. Odwrócił wzrok. - Wiedziałeś o wszystkim - rzuciłam oskarżycielsko. - Czemu to przede mną skrywałeś?

Bezradnie rozłożył ramiona.

- Bałem się powiedzieć - rzekł takim tonem, jakby błagał o litość. Patrzył na mnie, ale unikał spojrzenia mi w oczy. - Byłaś taka drażliwa... ledwo zaczęłaś wracać do siebie... nareszcie znów my oboje... - Urwał, westchnął i spróbował raz jeszcze: - Co miałem ci powiedzieć? I co dobrego by z tego przyszło, gdybyś się jeszcze bardziej zadręczała?

- Życie w kłamstwie jest złe - odparłam gniewnie. - Człowiek, którego oboje dobrze znaliśmy, został zakuty w kajdany i spalony żywcem. Gdy podpalano stos, krzyczał, że umiera przez ojca.

Przerażony przeżegnał się. Ręce opadły mu i zwisły wzdłuż ciała. Zapanowało milczenie.

- Chodziliście razem po Chelsea - przypomniałam mu z rozmyślnym okrucieństwem. Chciałam nim wstrząsnąć, zmusić do jakiejś reakcji. Podniosłam głos, nie dbając, czy służba nas słyszy. - Już nie pamiętasz?

Wierzył w to samo, co doktor Butts. Na tym polegała jego zbrodnia i za to ojciec go zabił. Dobrze o tym wiesz. Więc jak możesz udawać, że nic się nie stało? Jak możesz wracać do domu i jakby nigdy nic kazać przygotować kąpiel?!

Uciszył mnie, wciągnął do sypialni i zamknął drzwi.

- Posłuchaj - rzekł stanowczo. - Przynajmniej mnie wysłuchaj. Rozmawialiśmy już o tym, więc wiesz, co czuję. Chcę bronić naszego życia przed wszelkimi okropnościami tego świata. Sam nie wiem, co myśleć o tej egzekucji. I co sądzić o twoim ojcu. Ale na szczęście nie muszę nic myśleć. Jestem lekarzem, mam żonę i syna, których kocham. To jest dla mnie najważniejsze. Stąd moja niespodzianka. Pragnę okazać ci miłość, pragnę być z tobą i odgrodzić się od okrucieństw. Najistotniejsze jest to, że mamy siebie. Że możemy wzajemnie dawać sobie szczęście.

Pewien był, że mnie przekonał. Próbował pochwycić moje spojrzenie, a ja nie dałam mu dokończyć.

- Nie będzie żadnego szczęścia - odrzekłam stanowczo - jeśli nie zaczniemy żyć w prawdzie.

Zostawiłam go, wyszłam do ogrodu i siedziałam tam jakiś czas, patrząc na zachód słońca.

Dalsza dyskusja nie miała sensu. Mogliśmy spierać się w nieskończoność, on i tak nie zrozumie, o co mi chodzi. To już nie przeszłość Johna stanowiła problem; ani to, że nie wiedziałam, kim jest naprawdę i czy czegoś jeszcze nie skrywa przede mną. Problem tkwił w tym, że mój mąż uważał, iż zło można z siebie zmyć lawendową kąpielą.

Mimo wszystko miałam cichą nadzieję, że przyjdzie do mnie. Nie przyszedł. Gdy wróciłam na górę, woda już wystygła. Pod drzwiami sypialni stała taca z nietkniętym jedzeniem i winem. Johna nie było. Położył się spać gdzie indziej.

O szarej godzinie wyciągnęłam moje medykamenty.

Wyjęłam butelkę z polejem i przygotowałam dozę wystarczającą, by wywołać miesięczne krwawienie. Przełknęłam gorzką, oleistą ciecz i mocno zacisnęłam usta. Nie chciałam ponosić konsekwencji wczorajszych

uścisków miłosnych. Nie chciałam czuć, jak rośnie we mnie dziecko Johna. Myślałam się, sądząc, że możemy znaleźć szczęśliwy kompromis.

Potem otworzyłam szufladę, w której trzymałam pamiątki po mistrzu Hansie, i wyjęłam jego list sprzed miesiący.

Myślałam o nim tego popołudnia, gdy stałam w mrocznym kościele. Wróciło wspomnienie lata i zieleni. Przypomniał mi się nie tylko moment pod drzewem morwowym, gdy mnie całował i tulił, lecz także jego wielkie dłonie, które uwolniły więźnia cięciem malarskiej szpachelki. Ta myśl o rękach malarza dających wolność była niczym światełko w ciemności. Mnie nie przyszło do głowy, żeby uwolnić więźnia. Natomiast on to zrobił, a ja dopiero później pomyślałam, że przecież też mogłam tak postąpić.

Nagle owa szpachelka stała mi się miłsza od męża lekarza i jego wykrętów. Może to nie wina Johna, może to przeszłość uczyniła z niego tchórza; jednak nie potrafiłam już żywić do niego dawnego szacunku.

Mistrz Hans był jedynym znanym mi odważnym człowiekiem. Nadszedł zatem czas, by odpowiedzieć na jego list.

15

- Czy pamiętacie? - zaczął Hans Holbein. Jego oczy znajdowały się na linii górnej krawędzi stojącego przed nim obrazu. - Co napisaliście w tej pierwszej książce, którą ilustrowaliśmy razem z Prosym?

Erazm siedział cierpliwie, zwrócony półprofilem do malarza, i spoglądał w stronę bladego światła padającego z okna. Nie poruszył się, gdy słowa Hansa dotarły do jego świadomości.

- ...jak wyśmiewaliście uczonych nadających sobie imiona wielkich ludzi starożytności? - ciągnął dalej Holbein.

Erazm wydał pomruk zachęcający do dalszej wypowiedzi. Malarz zauważył, że filozof schudł i zmizerniał w porównaniu z zeszłym rokiem. Cierpiał też na różne bóle i dolegliwości, dlatego - choć posłusznie starał się siedzieć nieruchomo - nieco się wiercił, by zmienić pozycję ciała. Holbein doceniał szacunek sędziwego uczonego dla wymagań sztuki i był szczerze wzruszony, że jego model nie skarży się na ból i niewygodę. Zresztą to i tak cud, że Erazm jeszcze z nimi jest. (Stan swego zdrowia sam skomentował następująco: „Jeden z doktorów przepisał mi pigułki na oczyszczenie żółci, a ja go posłuchałem... jak głupiec. Najlepiej rozgonić medyków na cztery wiatry i poddać się woli Pana, a człowiek zaraz będzie zdrow". Ale nie był zdrow. Gasł).

- Całym sercem zgadzałem się z wami. To głupia pycha.

Erazm kiwnął głową i znów zastygł nieruchomo. Oczywiście, że to tylko wstęp. Należy dać czas młodemu człowiekowi na uporządkowanie myśli i sformułowanie wypowiedzi.

Holbein obwiniał fanatyków za pogorszenie stanu zdrowia sędziwego uczonego. Nienawidził ich szczerze, a już najbardziej chyba protestantów, będących główną przyczyną zmartwień Erazma. Przez te zgryzoty nie odżywiał się należycie i nie wysypiał jak powinien. W zimie ogromnie przeżywał dysputę religijną w Marburgu, kiedy usiłowano doprowadzić do porozumienia między niemieckimi reformatorami brata Marcina a radykalnymi odłamami szwajcarskimi. Każde z państw przyjęło własną wersję religijnej prawdy i odrzucało formy

wybrane przez innych. A z kolei przez całe lato przejmował się spotkaniem na sejmie w Augsburgu protestantów i katolików, którzy chcieli powstrzymać dokonujący się na oczach wszystkich rozłam chrześcijańskiego świata. Oczywiście za każdym razem nic z tego nie wyszło, bo czyż można powstrzymać szaleńców pędzących ku przepaści? To przez nich Erazm nie jadł i nie spał. Jednak ten wybitny człowiek nie mógł przyglądać się temu beczynnie. Postanowił zlecić namalowanie swojego portretu i rozesłać go do wszystkich europejskich korespondentów; przypomnieć o swoim istnieniu i autorytecie oraz nawoływać do pojednania i jedności. Holbein uważał, że jest na to za późno. Ale podziwiał trud podjęty przez filozofa, którego pierwsze zamówienie przed laty zapoczątkowało jego karierę i którego szanował od tamtej pory jak mało kogo. Był naprawdę szczęśliwy, mogąc wrócić do Fryburga i uwiecznić dla potomności zapadłe policzki, przenikliwe oczy i chude ramiona otulone futrzanymi rękawami. I czuł się wyróżniony, słuchając zwierzeń i obaw starego człowieka.

- A jednak jest jedno takie imię, które chciałbym nosić - wyznał.

Zawstydzony spuścił wzrok, twarz mu pokraśniała. Poprosił o przysługę najdelikatniej, jak umiał, ale w duszy był przekonany, że zepsuł wszystko. Dyplomacja nigdy nie należała do jego mocnych stron.

Erazm mrugnął zachęcająco.

- Tym mianem nazwaliście Albrechta Dürera, kiedy polecaliście jego prace. Apelles. Też chciałbym, by uważano mnie za Apellesa naszych czasów.

Aż gorąco mu się zrobiło z ulgi, kiedy Erazm uśmiechnął się nieznacznie, tak by nie poruszyć głową, i odpowiedział dobrotliwie:

- Nie przypuszczałem, że jesteś aż tak ambitny, młody Hansie.

W jego głosie Holbein wyczuł prawdziwą życzliwość. Serce wypełniła mu radość. Nie trzeba było się bać. Prośba nie wywołała kpiny. Powinien wiedzieć, że Erazm go lubi i ufa mu. Inaczej nie opowiedziałby mu zeszłego wieczoru tylu niezwykłych rzeczy.

Holbein wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od Erazma, kiedy siedzieli przy wieczerzy do późna, dopóki nie zgasła ostatnia świeca. Może się troszkę upił, co każdemu mogło się zdarzyć po całym dniu męczącej podróży łodzią, natomiast Erazm był trzeźwy jak zawsze, jego kielich stał nietknięty, a talerz z jedzeniem odsunięty na bok. Ten człowiek żywił się chyba powietrzem; jego zaskakujących wynurzeń nie można było złożyć na karb Bachusa. A więc to prawda, nawet jeśli rzecz wydawała się niemożliwa.

Po wstępnej wymianie nowin Erazm opowiedział o próbach przemówienia do rozsądku religijnym zapaleńcom. W pewnym momencie Holbein wyciągnął list od Meg Clement, a wtedy twarz filozofa zmieniła się zupełnie. Malarz wiedział, że sprawi Erazmowi przyjemność, spełniając jego prośbę, by nawiązał kontakt z Clementami, ale nie spodziewał się aż takiej niecierpliwości, niemal głodu najświeższych wieści.

- Aaa, znakomicie! Pokaż! - Filozof wyciągnął rękę.

- Nie jest tego wiele. - Niechętnie rozstając się z listem, Holbein pieszczotliwie przesunął palcami po kartkach, których dotykała Meg. Przypuszczał, że jej proste, acz wielce trafne słowa rozczarują kogoś, kto wiele się spodziewa.

- Nie szkodzi. - Erazm położył blisko świecy wygniecioną od wielokrotnego czytania kartkę i wygładziwszy ją dłonią, chłonał każde francuskie słowo. Aż syknął na sam koniec.

- Clement dostał się do Królewskiego Kolegium Lekarzy... - mruknął i pokiwał z aprobatą głową. - Dziecko nazwali Thomas... I mieszkają w Old Barge. - Przez chwilę utkwiał wzrok w płomieniu świecy i pograżył się w myślach. - Sam przed laty spędziłem długi czas w tym domu - dodał niespodziewanie. Odwrócił kartkę.

- A to? - Pokazał palcem linijki, które Holbein znał na pamięć, jako że od otrzymania listu kilka tygodni temu codziennie godzinami się w nie wpatrywał. - Spójrz na ten fragment: *Tego zawsze chciałam, albo też tak mi się zdawało. Życie w Londynie jest teraz trudniejsze niż dawniej, zwłaszcza gdy ojciec objął tak odpowiedzialne stanowisko. To dziwne, ale czasami marzę, by znów znaleźć się z całą rodziną w ogrodzie w Chelsea i snuć domysły, jak też będzie wyglądać obraz. Dziś wydaje się, że kiedyś wszystko było o wiele prostsze. A więc ona wyczuwa i dostrzega obecne zagrożenie.*

Erazm znów patrzył na świecę i w zamyśleniu kiwał głową. Holbein bał się poruszyć, choć miał wielką ochotę nalać wina i podrapać się po nodze, gdzie pchła zadawała mu piekielne katusze.

W końcu sędziwy uczoney otrząsnął się z zadumy. Zaśmiał się cicho:

- Cóż ty sobie o mnie pomyślisz! Strasznie kiepski ze mnie gospodarz. - Napelnił kielich Holbeina. Spojrzał malarzowi w oczy. - Dziękuję - rzekł po prostu.

Minął pełen napięcia moment i Holbein z ulgą wychylił kielich. Zdziwiło go, że Erazm tak wielką wagę przywiązuje do słów Meg, skoro pewnie ledwo ją pamięta. Nalewając ponownie gościowi, Erazm rzekł:

- Cieszę się, że napisałeś. Nie sądziłem, że to zrobisz.

Martwię się o nich. Obawiam się, że wkrótce będą potrzebować pomocy. Od dawna się zastanawiałem, jak znaleźć dyskretny sposób, żeby być z nimi w kontakcie na wszelki wypadek...

Wtedy opowiedział mu o rzeczach, w które trudno było uwierzyć. Z jego słów wynikało, że John Clement, nauczyciel greki i lekarz o nader wykwintnych manierach, patrzący chłodno na świat niebieskimi oczami - w którego towarzystwie Holbein czuł się zawsze jak ostatni niezgrabiasz i prostak - był kimś innym: księciem z królewskiego rodu, najszlachetniejszej angielskiej krwi; wychował się w Lowanium pod fałszywym nazwiskiem i opieką księżnej Burgundii, po czym - kiedy obecny król wstąpił na tron - nieznany nikomu osiadł w Anglii. Następnego ranka malarz czuł się wprawdzie nieco znużony trudami wieczoru, ale pewien był, że sobie tego nie uroił. Wciąż miał przed oczami Erazma pochylonego nad stołem i z płonącymi oczami szepczącemu mu do ucha: „Ryszard, książę Yorku, oto kim był kiedyś”. A zatem to prawda! Wedle słów Erazma sprawę powierzono dwóm młodym ludziom z pokolenia reprezentującego nową epokę. Jednym z nich był Thomas More, dawny paż arcybiskupa Canterbury, świetnie zapowiadający się londyński prawnik i królewski urzędnik.

- Drugim - ciągnął Erazm, mrugając wesoło - sierota, były augustianin, który nie zasmakował w modłach i obrzędach, w związku z czym znalazł posadę u doradcy księżnej Burgundii, biskupa Cambrai. Do usług. - Tu skłonił się lekko.

Obaj młodzi ludzie zostali wybrani do tego zadania ze względu na swoje dyplomatyczne zdolności i dyskrecję. Mieli chronić człowieka znanego jako John Clement do końca jego życia. Erazm sam kiedyś studiował w Lowanium, więc znał już młodego Anglika (domyślano się powszechnie, że Clement pochodzi ze szlachetnego rodu i sporo osób podejrzewało, że jest synem biskupa Cambrai i księżnej).

Podobnie jak biskup i księżna Erazm należał do *devotio moderna**, toteż szybko zyskał wpływowych przyjaciół. Po raz pierwszy pojechał do Londynu na polecenie biskupa dość dawno, bo w 1499 roku; w tym czasie John Clement w Niderlandach zgłębiał tajniki greki i astronomii. W Anglii Erazm poznał swojego współpracownika w tajnej misji.

* *Devotio moderna*, czyli „nowa pobożność”, kierunek duchowości religijnej w Niderlandach w XIV-XV w., będący reakcją na formalizm, nadmierne rozbudowanie liturgii i skomplikowane spekulacje teologiczne. Jego celem było kształtowanie indywidualnej pobożności i pogłębienie religijnych myśli i uczuć, a zasady wyrażone są w przypisywanym Tomaszowi à Kempis dziele *O naśladowaniu Chrystusa*.

- Pewnego dnia poszliśmy piechotą z Greenwich do królewskiego pałacu w Eltham. Morus zabrał mnie, bym poznał obecnego króla Henryka, który wtedy był jeszcze młodszym księciem, rudym, ośmioletnim chłopakiem - wspominał Erazm. - Morus wielokrotnie miał okazję obcować z książętami, od razu było to widać. - Sędziwy uczoney mówił z uśmiechem zabarwionym lekką goryczą. - Już jako młodzieniec posiadał cenną umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji, dzięki czemu stał się wielkim człowiekiem. Nie przyszedł z pustymi rękami. Przyniósł ze sobą wiersze, by je odczytać księciu. Gdy zaczął deklamować, głupio mi się zrobiło, że sam o czymś takim nie pomyślałem. Zrozumiałem wtedy, że człowiek ten robi karierę, bo jest ambitny.

Tak wyglądały nasze pierwsze kontakty - zakończył Erazm i zapatrzył się w świecę, jakby w jej płomieniu widział dawno minioną przeszłość. - A później... zaprzyjaźniliśmy się. Nowa nauka, którą tak kochaliśmy, rozeszła się na cały świat. Szczęśliwsi byli, mając skromny wpływ na to, jak ludzie teraz uczyli się myśleć. Ale moje więzi z Morusem były znacznie głębsze. Nawet to, co dzieje się w tej chwili w sprawach religii, nie zburzyło naszej przyjaźni, choć przyznaję, że niektóre z obecnych jego poglądów uważam za... cóż... kontrowersyjne.

Holbein wychylił się do przodu. Od dawna chciał o to spytać.

- Czy on bardzo się zmienił? Jaki był kiedyś?

Erazm przez chwilę zbierał myśli, spoglądając na swoje pokryte brązowymi plamami ręce, jakby im się dziwił.

- No cóż - odparł w końcu. - Kiedy go poznałem, był jednym z nas. Humanista. Nikt dowcipniej od niego nie prześmiewał bezsensownych logicznych i teologicznych spekulacji, jakie uwielbiali scholastycy. Tego, co nazywam spekulatywnymi subtelnosciami i formalnymi zawilościami... tych wszystkich nieskończenie trudnych pytań typu, czy Chrystus mógł zjawić się na ziemi jako kobieta albo muł, lub też czy muł mógłby zostać ukrzyżowany. Kiedyś More pierwszy głosił konieczność uporządkowania pewnych spraw w Kościele, wprowadzenia większej jasności, kierowania się zdrowym rozsądkiem. Niepomiernie byłem zatem zdumiony zajadłością niektórych jego ataków na Lutera. - Erazm westchnął bez cienia gniewu, za to z wyraźnym smutkiem. - A także ich prostactwem... Czasami myślę nawet, że się pomyliłem, uważając go za człowieka nowego świata. Morus pod niektórymi względami był zawsze staroświecki. Pamiętam, że przechodził dziwny okres. Postanowił zostać zakonnikiem i zamknął się w klasztorze z oderwanymi od rzeczywistości mistykami. Nie mogłem zrozumieć, co go w czymś takim pociąga. Na szczęście oprzytomniał. Ale nadal głęboko wierzy we wła-

dzę. Jest prawnikiem starej szkoły i postrzega prawa boskie i ludzkie jak dwa ostrza tego samego miecza - oba równie nietykalne. Nie znosi też, gdy się podważa któreś z nich. Więc może i nie dziwota, że z takim strachem reaguje na Lutra i jemu podobnych myślicieli, wedle których liczy się jedynie osobisty kontakt człowieka z Bogiem, a wszystkie kościelne ceremonie są niepotrzebne. Idei tych Morus boi się o wiele bardziej niż większość z nas. Dostrzega w nich nadciągającą ciemność. Jego przerażenie... jego reakcja... są dla nas niezrozumiałe, póki uważamy go za humanistę poszukującego prawdy. Tłumaczy go tylko to, że nigdy nie był nowoczesny. Jego umysł i osobowość są na wskroś dawne.

Holbein kiwał głową, uderzony słowami „na wskroś dawne” i rozczarowaniem w głosie filozofa. Erazm otrząsnął się.

- Tak czy owak - rzekł raźniej - chodzi raczej o to, że przez te religijne swary i mój coraz bardziej zaawansowany wiek... nikt z nas przecież nie młodnieje... trudno by mi było, nie zwracając na siebie uwagi, przejechać pół Europy, odwiedzić rodzinę Morusa i wypełnić zobowiązania wobec Johna Clementa. Nie chcę krytykować mego przyjaciela, ale listy, które od niego dostaję, budzą we mnie niepokój. Jego spojrzenie na świat jest inne niż kiedyś. Ale napisanie do Johna Clementa też nie rozwiąże sprawy, bo nie wiadomo, kto przeczytałby taki list. A ja chcę wiedzieć, co się z Johnem dzieje. Nie będzie mu łatwo, jeśli król i Morus poróżnią się w sprawach religijnych. A moim obowiązkiem jest dopilnować, aby młody człowiek był bezpieczny. Więc wdzięczny ci jestem, mój Hansie. - Uśmiechnął się; w świetle świecy zmarszczki na jego twarzy wydawały się znacznie głębsze. - I to bardziej, niż ci się wydaje.

Następnego ranka nie wracali do tej rozmowy. Hans Holbein miał ciężką głowę, jak mu się to często zdarzało na początku dnia. Erazm był spokojny, uprzejmy i trochę nieobecny duchem, gdy mościł się i kręcił w swoim futrze, przyjmując odpowiednią pozę. Holbein chwilami aż się bał, że sam sobie to wszystko wymyślił. Długo układał fałdy szat modela i znacznie staranniej niż zwykle mieszał farby. Uparcie wracały do niego wspomnienia ubiegłej nocy - słowa, spojrzenia, uczucie dumy z tego, że spełnił życzenie Erazma, i bolesnej zazdrości o to, że Meg poślubiła człowieka, który mógł być królem. Odganiał je uparcie, usiłując skupić się na dniu dzisiejszym. Trzeba cieszyć się każdą chwilą spędzoną z Erazmem. Powinien odrzucić wszystkie inne myśli kłębiące się w głowie.

Ani to czas, ani miejsce, by przypominać sobie o tęsknocie Meg za ogrodem w Chelsea i to, że gdy przeczytał list, od razu chciał spakować manatki i pierwszym statkiem płynącym Renem ruszyć w kierunku Londynu. Nie chciał też pamiętać o harówce w drukarniach Bazylei ani o Elsbeth, która miała do niego wieczne pretensje, zwłaszcza gdy się dowiedziała, ile ze swoich zarobków wydał w gospodach i ile zapłacił za nieduży dom, który nabył dla rodziny.

Wolał raczej zastanawiać się, co zrobić, by zyskać sławę największego malarza swoich czasów. Wprawdzie szczególnie wiodło mu się w Bazylei po tych trzech nader pomyślnych latach w Londynie, lecz za to we Fryburgu cieszył się przyjaźnią największego autorytetu Europy. Czas przestać być wyrobnikiem, któremu wszyscy chodzą po głowie: duchowni, żona i cały świat. Trzeba mieć coś wreszcie z życia dla siebie.

A zatem, wyraziwszy głośno swoje najgorętsze pragnienie, nie wiedział, jak pociągnąć sprawę dalej. Malował, pogwizdując pod nosem, nieco zażenowany, że ma tak wygórowane ambicje. Erazm zaś, pogrążony w marzeniach, zapatrzył się w dal.

- Może macie ochotę odpocząć? - spytał Holbein. Nie chciał, by sędziwy filozof się zmęczył. Ten z wdzięcznością skinął głową i zaczął poruszać rękami zdrętwiałymi od bezruchu. Wstał i spojrzał malarzowi w oczy; Holbein z ulgą dostrzegł uśmiech na jego twarzy.

- Nie myślałeś, żeby znowu pojechać do Anglii? - spytał Erazm, przesywając go szarymi, świetlistymi oczami. - Całkiem dobrze ci szło. Jeśli pragniesz sławy, tam najpewniej ją znajdziesz.

Holbein nieśmiało pokręcił głową.

- Musiałem wrócić do domu. Do rodziny. I moje pozwolenie na podróż się skończyło. - Urwał. Nic z tego nie było prawdą. No, może trochę, ale nie w takim stopniu, by musiał opuszczać Londyn. Tak naprawdę wyjechał z powodu Meg. A teraz ona napisała, że tęskni za spacerami po ogrodzie w Chelsea w jego towarzystwie. Czy coś trzyma go w domu? Erazm miał rację.

- Sporo się zmieniło - rzekł żywo Erazm. - Jesteś tu trzy lata. Myślę, że bez trudności dostaniesz nowe pozwolenie.

Uczonemu wyraźnie podobał się ten pomysł. Oczy mu zalśniły entuzjazmem. Holbein niczego bardziej w tym momencie nie pragnął, jak tego, by go ktoś przekonał, że ta ponowna podróż do Anglii leży w interesie wszystkich.

- W końcu masz tam wysoko postawionych przyjaciół - mówił dalej Erazm. - Przede wszystkim Morusa. Na królewskim dworze pojawiły się teraz nowe twarze. Na przykład Thomas Cromwell. Nie należy do przyjaciół More'ów, ale jest bystry i przenikliwy. Bierze czynny udział w działaniach parlamentu. Możliwe, że poprowadzi Anglię w kierunku bezkrwawej, pokojowej reformacji... bez tak okrutnej jatki jak tutaj. Łatwo zdobędziesz zlecenia. Są też przyjaciele Anny Boleyn... Koresponduję z jej ojcem, hrabią Wiltshire; to człowiek mądry i wykształcony. Zresztą portretowałeś już osoby z jej otoczenia, bez trudu zatem znajdziesz chętnych.

Uśmiechnął się zachęcająco do malarza, który kiwał głową, chłonąc te upragnione słowa. Przypomniała mu się rozkoszna chwila, gdy pod drzewem morwowym pochwycił w ramiona biegnącą Meg. Prawie zapomniał o nurtującym go pytaniu, dlaczego Erazm tak bardzo chce, aby wyjechał. Przecież musiał się domyślać, że uczucia malarza do Meg nie należą do tych, które należałoby pochwalać, gdy ma się na względzie dobro jej męża. A może już tak bardzo odległe stały się dla niego sprawy cielesne, że nie miał pojęcia, jakie emocjonalne zawirowania przeżywał Holbein w Anglii. Czy możliwe, by Erazm nie wiedział, co znaczy być zakochanym?

- Potrzeba ci jedynie odpowiedniej rekomendacji - dodał filozof, a w szarych oczach zapłonął figlarny ogień. Zbliżył się do Holbeina. - Mogę zobaczyć twoje dzieło? - spytał jakoś tak dziwnie i obszedł dokoła sztalugi.

Nim malarz zdążył zareagować, starzec stał już przed obrazem. Po chwili podniósł ołówek.

- Coś na przykład takiego... - Z uśmiechem pochylił się i zaczął pisać na dole obrazu.

Holbein chciał wyrwać mu ołówek z ręki. Nikt nigdy nie ośmielił się zrobić czegoś takiego z jego pracą. Jednak się powstrzymał. W końcu Erazm miał prawo niszczyć własny portret. Stoczywszy ciężką walkę z samym sobą, nie zaoponował, tylko z obawą zajrzał Erazmowi przez ramię.

Widniały tam cztery łacińskie wersy. Wstrzymując oddech, odczytał niewyraźne litery początku: *Pallas Apellaeam nuper mirata tabellam...* Szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Erazm napisał: „Pallas, widząc ten

obraz godny Apellesa, mówi, że powinien być zachowany na wieki. Holbein pokazał Muzom sztukę godną Dedala, tak jak wielki Erazm pokazuje bogactwo swego intelektu".

Aż zabrakło mu tchu. Nazwał mnie Apellesem, pomyślał. Mnie nazwał Apellesem. Z trudem wypuścił powietrze z płuc.

- Naprawdę tak napiszecie? - spytał, ledwo wierząc własnemu szczęściu. - Na obrazie? O mnie?

- Chcesz się przekonać? - spytał Erazm, mrugając porozumiewawczo. - A pojedziesz do Londynu?

16

Po egzekucji Bainhama wydarzenia potoczyły się szybko. Pod koniec kwietnia wrogowie ojca przygotowali się do zadania mu ciosu.

W tych niespokojnych dniach w naszym domu panowała cicha wojna. W twarzy Johna nie dostrzegałam już piękna, które dawniej przyciągało mnie w jego ramiona, niczym księżyc fale morskich pływów. A tak bardzo kochałam kiedyś jego dobroć, łagodność i smutek. Teraz burzyło się we mnie wszystko; tak samo buntowałam się na myśl o wstąpieniu ojca w szeregi zła. W obliczu Johna widziałam jedynie obojętność, głupotę, tchórzostwo i bierne godzenie się z postępowaniem ojca. Więc starałam się na niego nie patrzeć.

Przestaliśmy razem jadać, by uniknąć wspólnych obiadów i wieczerzy, zabierałam posiłki do siebie pod pretekstem, że źle się czuję (co nie do końca było kłamstwem, gdyż cierpiałam na silne skurcze brzucha będące wynikiem działania poleju; dokuczały mi też krwawienia, za sprawą których dziecko powinno wypłynąć ze mnie). Codziennie rano chodziłam do kościoła oddać cześć memu Bogu. Zabierałam ze sobą Tommy'ego, który dreptał sennie obok; starałam się, by przed wyjściem nie natknąć się na Johna. Po mszy, zostawiwszy Tommy'ego w kuchni lub w ogrodzie pod opieką piastunki, wychodziłam z domu na spotkanie z coraz bardziej bladą i mizerną Kate, której towarzystwo podnosiło mnie na duchu. Razem robiłyśmy obchód domostw jej współwyznawców. Myślę, że tylko Kate zdołałaby mnie zrozumieć, gdybym się jej zwierzyła. Postępowanie moje wydawało mi się najuczciwszym kompromisem, na jaki mogłam się zdobyć, odkąd dowiedziałam się o tych strasznych rzeczach. Może by mi dobrze zrobiła rozmowa z kimś bliskim, ale Margaret, jedyna nadająca się do tego osoba, była daleko w Esher. Pocieszałam się w duchu, że Bóg mnie jeszcze natchnie, co robić. Na razie chodziłam na łacińską liturgię, a jednocześnie po kryjomu opiekowałam się wrogami Kościoła.

Dzięki tym ludziom znałam wszystkie londyńskie plotki. Moim głównym źródłem informacji był George, drobny, kruchy starzec, który podczas mojej pierwszej bytności u Davy'ego tak pięknie mówił, że Pismo jest dla niego słodsze niż plaster miodu - dlatego starałam się przynosić mu jakiś smakołyk z miodem. Mieszkał na strychu nad mieszkaniem zameżnej córki przy Cheapside od strony katedry i chodząc po ulicach, słuchał plotek. Często bywał w Greenwich, gdzie przysłuchiwał się burzliwym teologicznym debatom, w jakie przekształcały się kazania w kaplicy królewskiej. Raczej nie wiedział, kim jestem. Nawet teraz byłam dla niego tylko „panią Meg”; na szczęście dawno przestał się mnie bać. Gdy nie był zajęty modlitwą, lubił prowadzić długie rozmowy o najnowszych wydarzeniach. Odwiedzałyśmy go regularnie, gdyż miał wrzód na nodze i

trzeba było zmieniać opatrunki. W starczych zmętniałych oczach błyskały często radosne iskierki nadziei, rzecz zaskakująca u członka prześladowanej sekty.

To od George'a się dowiedziałam, że ojciec przegrywa wojnę ze swoim rywalem na dworze, Thomasem Cromwellem, który w przeciwieństwie do niego gotów był zrobić wszystko, łącznie z doprowadzeniem do zerwania z Rzymem, aby król mógł poślubić Annę Boleyn.

W piękny majowy poranek, pojadając ze smakiem chleb z miodem, George opowiedział nam o pewnym więźniu, którego ojciec przesłuchiwał jako heretyka, a który okazał się człowiekiem Cromwella. Uciekł on za granicę i publicznie oskarżył ojca o torturowanie ludzi. Dla ojca stało się jasne, że jego dalsza współpraca z Cromwellem jest niemożliwa, zbyt silna była między nimi niechęć. Próbował więc podać się do dymisji, lecz król Henryk jej nie przyjął, uznając, iż sławnemu Thomasowi More'owi nie można pozwolić na okazanie braku zaufania do królewskiej polityki. Cromwell był za sprytny, by otwarcie atakować; namawiał za to króla do zniesienia sądów kościelnych, w których zasiadali życzliwi ojcu biskupi popierający królową Katarzynę. Argumentem było to, że gdyby Henryk przejął władzę sądowniczą, mógłby przeprowadzić sprawę swego rozwodu. A bez sądów kościelnych nie byłoby też stosów. Biskupi nie mogliby oskarżać o odstępstwo od wiary i walka ojca z heretykami stałaby pod znakiem zapytania.

- Skończy się na tym, że Cromwell gładko załatwi przekłętą More'a - zakończył George, ze smakiem oblizując palce z resztek miodu. - A wtedy będziemy bezpieczni.

Nadzieja ta sprawiła, że członkowie bractwa stali się odważni jak głodne kruki; ich przeciwnicy zachowywali się podobnie, ale powodowani strachem. Podczas niedzielnego kazania w Greenwich w obecności króla padły słowa popierające otwarcie jego powtórny ożenek. Rozgniewało to innego kaznodzieję, Henry'ego Elstowa, który zareagował tak ostro, że George, jego córka oraz reszta zgromadzonego tłumu aż wspięli się na palce, żeby zobaczyć, co uczyni król. „Chcecie zapewnić sukcesję tronu, posługując się cudzołóstwem! - krzyczał Elstow. - Narażacie zatem króla na wieczne zatracenie”.

- Cisza była jak makiem zasiał - wspominał z wyraźnym zadowoleniem George. - Król nawet nie drgnął. Tylko siedzący obok hrabia Essex wstał i zawołał: „Ty bezwstydnym mnichu! Trzymaj język za zębami, albo zaszyty w worku znajdziesz się w Tamizie!”. Elstow nie dał się zastraszyć. „Zachowajcie swe groźby, panie, dla dworzan! - odkrzyknął. - Nie zatrwożycie naszych braci. Wodą równie łatwo dostaniemy się do nieba jak po ziemi”. Odważny, trzeba przyznać.

- No, no - mruknęła Kate, zwijając stary opatrunek i chowając do koszyka. - Ale mają stracha, co?

Pewnego majowego poranka obudziły nas okrzyki Davy'ego.

- Nawet król ich nienawidzi! Nawet król uważa, że są bardziej rzymscy niż angielscy! - wydzierał się, a przekupnie dokoła odpowiadali mu ochryplymi wrzaskami.

Podeszłam do okna, a jednocześnie w sąsiednim ukazała się głowa Johna. Był zaspany i miał wyraźną ochotę złać kogoś za te poranne hałasy. Nagle dotarł do niego sens wypowiedzianych przed chwilą słów.

- O co chodzi, Davy?! - zawołał.

- Rozkaz królewski, doktorze Johnie - doleciał w odpowiedzi ochryply, zuchwały głos Davy'ego. - Biskupi mają znieść swoje sądy. Koniec książąt Kościoła! Koniec stosów! Najwyższy czas, niech to licho!

John podrapał się w głowę.

- Aha - uśmiechnął się niby spokojnie. - A uważaj z tą czapką, bo ci wpadnie do rynsztoka.

Jednak nie do śmiechu mu było, gdy po chwili bez zaproszenia wszedł do naszej sypialni. Mocno się przejął. Milczał. Ja też się bałam. Wzajemna wrogość poszła w niepamięć. Ubraliśmy się i zbiegliśmy na dół. Razem wyszliśmy z domu i skierowaliśmy się wzdłuż Cheapside do St Paul's Cross. Nigdzie nie było widać księdza, ludzie tłumnie walili do gospód przy Cheapside i Ludgate Hill. Śmieli się, żartowali, wznosili okrzyki radości i pili piwo.

- A wiecie, co Anna Boleyn kazała wyhaftować na swojej bieliźnie?! - zawołała radośnie jedna z prze-kupek. - „Będzie jak ja chcę!” Ta to umie się zakręcić.

Gdy wychodziliśmy z domu, Davy ironicznie mi się uklonił. W rękę trzymał kufel piwa.

John nie poszedł do doktora Buttsa, ja nie wyszłam z Kate. Zostaliśmy w domu. Siedzieliśmy w ogrodzie, osobno przeżywając niepokoje i smutki, choć mogło się zdawać, że jesteśmy razem. Pograżeni każde w swoich myślach, przyglądaliśmy się Tommy'emu bawiącemu się pod kwitnącą jabłonką. W południe dziecko zostało nakarmione, lecz my nie zjedliśmy nic. Wtedy przyniesiono wiadomość od ojca, że wstąpi do nas później, przed powrotem do Chelsea.

John wrócił do siebie i udawał, że czyta, a ja w dość dziwnym nastroju spędziłam kilka godzin w kuchni, pilnując przygotowań do obfitej letniej wieczerzy, na którą składały się: drób, udziec wieprzowy, świeże warzywa, omlet, polewka migdałowa i budyń serowy. Wyszłam na ulicę i kupiłam obwarzanek dla Tomm-y'ego. Lubił ciasto twarde, suche, posypane ziarenkami i bardzo się ucieszył, że mamy jakieś święto.

Miało to być pierwsze spotkanie z ojcem od egzekucji Jamesa Bainhama. Przypuszczałam, że przyjdzie blady, zmęczony i będzie miał podkrążone oczy. Chwilami mu współczułam; znalazł się w wyjątkowo trudnym położeniu. Spodziewałam się, że będzie zgnębiony i poprosi nas o radę. Oczyma wyobraźni widziałam siebie, jak ze łzami w oczach błagam go, by zrezygnował z urzędu, a on spokojnie się zgadza, po czym tuli mnie jak prawdziwy ojciec. Aż dziw, ile ciepła budziły w moim sercu te obrazy.

Tymczasem, gdy się zjawił, jego twarz rozjaśniał taki jak zwykle ciepły uśmiech, któremu nie można się było oprzeć. Biła od niego pewność siebie, która udzieliła się i nam. Trudno wszakże było dociec, co naprawdę się za tym kryje. Służący pomógł mu zdjąć wierzchnie okrycie, a John, przygotowawszy napoje - dla ojca wodę, dla nas wino - zaproponował, byśmy poszli na chwilę do ogrodu. Gdy zostaliśmy we troje, ojciec przestał się uśmiechać, co przyjąłam z ulgą. Mocno zacisnął usta i dopiero wtedy zwróciłam uwagę, że jest nie-ogolony.

- Straszna rzecz się stała - odezwał się mój mąż i położył mu dłoń na ramieniu. Ja szłam za nimi.

Ojciec skinął głową. Milczał i patrzył w dal; ręka Johna cały czas spoczywała na jego ramieniu.

- Nasz Zbawiciel mówi, że dzieci ciemności zręczniejsze są niż dzieci światła - odezwał się po chwili cichym głosem, pozbawionym emocji. - Tak właśnie teraz to widzę. Dwór pełen jest zdrajców - dodał z goryczą. - A konwokacja to głupcy*. Nie zdarzyło się jeszcze, by biskupi tak bardzo zaniedbywali obowiązki. Obejmując urząd, myślałem, że będę mógł zrobić coś dobrego dla całego chrześcijaństwa. A teraz... - Był mocno przygnębiony. - A teraz... - powtórzył raz jeszcze i zamilkł.

* Konwokacja nazywano w XVI-wiecznej Anglii synod prowincji kościelnych obradujący nad sprawami kościelno-państwowymi.

Opanował się i nie patrząc na nas, zawrócił w stronę domu. Wyraźnie starając się zapanować nad łamiącym się głosem, oznajmił:

- Chyba się starzeję.

Nie oczekiwał odpowiedzi, więc się nie odzywaliśmy. Posiłek spożyliśmy w ciszy. Służba ciekawie przyglądała się ojcu.

- Pyszne - odruchowo pochwalił pieczone i szynkę, choć mięsa nawet nie tknął.

Dopiero gdy zostaliśmy sami w bawialni, bez zbędnych świadków, John odezwał się ze współczuciem, które budziło we mnie niesmak.

- Jesteśmy z tobą, cokolwiek postanowisz.

Zacisnęłam usta. Na pewno nie mówił w moim imieniu. Mnie zależało tylko na jednym - nawet jeśli dzisiejsza klęska ojca oznaczała, że nie będzie więcej palenia heretyków - żeby przestał być kanclerzem.

- Tyle jest jeszcze do zrobienia - westchnął ojciec.

Znów w jego oczach pojawił się ten błysk, którego szczerze nienawidziłam. Widać było, że nie zniechęci się i nie odejdzie z urzędu.

- Powinieneś zrezygnować, ojciec - przerwałam nagle zapadłą ciszę, zaskoczona własną śmiałością. Ojciec i John spojrzeli na mnie zdumieni. - Dość już! Czy sumienie ci tego nie mówi?

John skierował się w moją stronę, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie. Ale ojciec wyminął go, podszedł do mnie i spojrzał mi w oczy.

- Meg - rzekł z lekkim wyrzutem, uśmiechając się, choć wzrok miał poważny. - Co ty wiesz o polityce?

John westchnął.

- Meg ostatnio nie czuje się dobrze - pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Owszem. Bardzo źle się czuję, odkąd patrzyłam na śmierć Jamesa Bainhama - odparłam buntowniczo. Aż trzęsłam się w środku, policzki mi płonęły. Zrobiłam krok do przodu, gotowa do walki.

Przyglądali mi się w napięciu, jakbym nagle stała się ich wrogiem.

Ciekawe było to ich zachowanie. John się cofnął, ojciec wystąpił naprzód z wysoko podniesioną głową. Ręce oparł na biodrach - lustrzane odbicie mego gestu. Nie łączyły nas więzy krwi, więc to pewnie na skutek wspólnie spędzonych lat; gdy się rozgniewał, niezwykle przypominał mnie samą. I podobnie jak ja nie cofał się przed walką.

- Bainham musiał zginąć! - wykrzyknął. - Szerzył zło, narażał dusze na ogień piekielny.

- Nikogo nie narażał - sprzeciwiłam się stanowczo. - To jego sprawa, w co wierzył! To raczej ty się narażasz na piekło, uważając siebie za Boga!

Oboje patrzyliśmy twardo. Jego zmęczone oczy nabiegły krwią. Żadne z nas nie miało zamiaru ustąpić. Nie mieliśmy dokąd się wycofać.

- Wznosili okrzyki przeciwko tobie, gdy ze stosu zawołał, że przez ciebie ginie - rzekłam zimno. - Londyńczycy. Twój lud zaczyna cię nienawidzić.

Kątem oka dostrzegłam, że John daje mi jakieś znaki, lecz ta walka toczyła się tylko między nami dwójkiem.

- Wcale nie muszę się znać na polityce, by widzieć, że lada moment królowi też się narazisz. - Spiesznie wyrzucałam z siebie słowa. Serce biło mi szaleńczo i nie panowałam nad językiem. - Usiłujesz powstrzymać go przed tym, co chce zrobić. Czy tak postępuje lojalny sługa? Sam zawsze mówiłeś, że gniew króla to śmierć. - Mimo rozgorączkowania i wzburzenia do mego głosu zakradła się błagalna nuta. - Nie chcę twojej śmierci. Zrezygnuj, póki czas.

- Król mi nie pozwoli. Próbowałem już. - Odparł tonem, w którym pojawiło się zmęczenie. Ale zaraz wyprostował się dumnie i podjął swój ciężar. - I całe szczęście - dodał stanowczo. - Głęboko wierzę, że Bóg chce, bym pozostał. Nie tylko po to, by walczyć z herezją. Są też inne powody. Między innymi sprawa Johna.

Była to kropla przepełniająca kielich. Moment słabości minął i ogarnęła mnie wściekłość.

- Czy ty naprawdę wierzysz, ojcze, że wszystko zależy od ciebie?! - krzyczałam. - Myślisz, że ty możesz każdego ocalić? Uważasz, że obaj z Mortonem uratowaliście Anglię przed pretendentem-Plantagenetem i stworzyliście nową prawowitą dynastię, która jest miła Bogu? Wydaje ci się, że ratujesz Anglię, powstrzymując króla przed poparciem tego, co określasz mianem herezji? Sądzisz, że chronisz Johna przed niechcianą odpowiedzialnością? Że masz w ręku wszystkie tajemnice państwowe? To się mylisz!

Znów kątem oka zobaczyłam, jak dłonie Johna rozpaczliwie trzepoczą i usłyszałam jego szept: „Meg” - wyraźnie chciał mnie powstrzymać. Nawet na niego nie spojrzałam.

Ojciec wpatrywał się we mnie z najwyższą uwagą.

- John, nie powiedziałeś o czymś, prawda? - Chciało mi się śmiać, że wiem coś, czego nie wie ojciec. Smażałam ich obu słowami jak biczem. - Nie zwierzyłeś się z sekretu swego nieprawego pochodzenia. No tak, więc skąd ojciec miał wiedzieć, że przez te wszystkie lata chronił iluzję? I wiesz co? Jesteś naprawdę... - wręcz z furią zaakcentowałam następną słowo - głupi, że nie pomyślałeś nawet, jakie to dla niego ważne.

- Meg... - John podszedł i objął mnie mocno, jakby chciał mi zamknąć usta. Broniałam się i wyciągając głowę nad jego ramieniem, nie przestawałam mówić.

- Tak, tak, ojcze. John jest bękartem i wie o tym od dawna. Sam mi to powiedział. Nigdy nie miał żadnych praw do tronu ani on, ani jego brat, ani siostra. Ich ojciec popełnił bigamię, a Ryszard Plantagenet wcale nie był uzurpatorem. Cała wasza strategia opierała się na błędnych założeniach. A twój arcybiskup Morton ożenił Henryka Tudora nie z księżniczką, ale z córką z nieprawego łoża. Czyli nasz król jest takim samym bastardem jak John. Sądziłeś, że wiesz dużo, a wiedziałeś niewiele i tak naprawdę nikogo przed niczym nie ocaliłeś. Nie wiedząc nic o tym, lawirowałeś między dwoma bastardami, zastanawiając się czasem, czemu Bóg tak

ciężko doświadcza nasz kraj*. Nie jesteś ani Bogiem, ani mieczem bożym. Jesteś zwykłym człowiekiem. Słabym i nędznym jak wszyscy. Twój trud był niepotrzebny...

* W Anglii Henryka VIII różne nieszczęścia, takie jak głód, susza czy choroby, przypisywano temu, że król żyje niezgodnie z prawem bożym.

Przerwałam i odetchnęłam z tryumfem. John przestał mnie uciszać i schował twarz w moim ramieniu. Policzki mi płonęły. Nagle uświadomiłam sobie, że przed chwilą zdradziłam wielką i ważną tajemnicę. Nowa fala gorąca zalała mi twarz, szyję i ramiona. Czyżby ze wstydu?

Ojciec patrzył na mnie jak oniemiały. Zapadło długie milczenie. Wreszcie zapytał niemal szeptem:

- John, czy to prawda?

Mój mąż uniósł głowę. Po policzkach spływały mu łzy. Zdemaskowano go jak nędznego oszusta, choć wcale się nim nie czuł. Usiłował coś wyjaśnić, lecz zabrakło mu słów.

Ojciec odczekał chwilę, przyglądając mu się uważnie, jakby powoli oswajał się z tą nową sytuacją.

- Rozumiem - rzekł, o dziwo, z wielką łagodnością. Współczująco położył Johnowi dłoń na ramieniu. - Mój biedny, drogi Johnie.

Następnie z nieprzeniknioną twarzą zwrócił się do mnie.

- Dziękuję ci - powiedział cicho. - Zwróciłaś mi wolność. Nie mam już zobowiązań wobec króla. Nareszcie mogę pójść za głosem serca. - Wyszedł z domu i oddalił się ciemną ulicą, a ja zostałam z mężem, którego sekret zdradziłam.

Dwa dni później dowiedziałam się od jejmości Alice, co się potem wydarzyło w Chelsea.

Ojciec nie spał całą noc. Następnego ranka przy śniadaniu powiedział coś dziwnego, a mianowicie, że jeśli człowiek uzna, iż źle wypełnia swoje obowiązki, to powinien zrezygnować i poświęcić się służbie Bogu.

- Zobaczyliśmy się znów dopiero po południu, gdy wrócił z miasta - mówiła jak na nią bardzo cicho, kiwając głową z niedowierzaniem. - Właśnie wychodziłam z kościoła, kiedy się zjawił. Był u króla, podał się do dymisji i nie wiedział, jak mi przekazać tę wiadomość. Tyle lat spędził w publicznej służbie i musiał radzić sobie w najróżniejszych sytuacjach, a nie nauczył się rozmawiać szczerze z własną rodziną. Nie powiadomił mnie zatem wprost, tylko posługując się jednym z tych swoich żartów. Odkrywszy głowę, skłonił się przede mną i rzekł: „Odtąd moja pani zajmie miejsce opuszczone przez mego pana”. Od razu się domyśliłam. - Ciąg dalszy zrelacjonowała z gorzkim uśmiechem. - Znam go dobrze i wiem, że gdy zaczyna stroić takie żarty, to znaczy, że pojawiły się problemy. Domyśliłabym się nawet, gdyby obecny przy tej rozmowie Henry Pattinson nie wykrzyknął jak to błazen: „Kancelarz Morus poznał mores!”.

Nazajutrz oboje z Johnem zostaliśmy zaproszeni do Chelsea, dokąd zjechała też reszta rodziny. Po zwróceniu przez ojca pieczęci kanclerskiej król wygłosił krótką oficjalną mowę, w której dał przyzwolenie, by sir Thomas More odtąd poświęcał się wyłącznie zbawieniu swojej duszy. Ojciec zawsze mówił, że tego pragnie. Ale Henryk umiał okazać swoje niezadowolenie. Ojciec nie dostał żadnej nagrody za lata służby, pałac przy York Place opuścił z pustymi rękami. Zostaliśmy wezwani do Chelsea ze względów praktycznych - aby omówić rodzinne finanse.

Ostatnie dwie noce John spał osobno, a dni spędzał na modlitwie w kościele Świętego Stefana, nie zawsze przychodząc do domu na posiłek. Widząc mnie, usuwał się bez słowa, a jego oczy były jak u zranionego zwierzęcia.

Długo trawiły mnie wyrzuty sumienia i przerażenie tym, co zrobiłam. Zdradziłam sekret męża i zniszczyłam mu życie. W imię czego? Żeby odegrać się na kimś innym? Teraz, gdy zastanawiałam się nad tym głębiej, szczerze bolałam nad moim postępkami. Okazałam się nie mniej okrutna niż ojciec. I nie mniej głupio bezmyślna niż John. Mściwa i niewyrozumiała, po prostu podła.

- Zrobiłabym wszystko, żeby tylko dało się cofnąć to, co powiedziałam - płakałam, skrobiąc cichutko do jego drzwi. - Wszystko. Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie chciałam cię zranić. Kocham cię.

Nadaremne były jednak przeprosiny, błagania i skrucha.

- Nie szkodzi - odpowiadał, ale drzwi nie otwierał. - Sam powinienem był powiedzieć, bo i tak wydałoby się wcześniej czy później. Nie zadreńczaj się.

Był wyrozumiały znacznie bardziej ode mnie, nawet gdy ogarniała go rozpacz. Ale mi nie przebaczył. Głos miał zdławiony i domyślałam się, jak ciężko mu jest na sercu.

Nie dostałam też odpowiedzi na swój gorączkowy list do ojca. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy, więc napisałam:

Ojcie, przepraszam, miałeś rację. Niewiele rozumiałam. Jestem głupią dziewczyną. Wybacz mi.

Nikt poza nami nie wiedział o kłótni w moim domu. Gdy zeszedliśmy z łodzi w Chelsea po godzinnej podróży, która minęła w milczeniu, spotkaliśmy Willa Ropera. Mąż Margaret miał zaczerwienione oczy, jasne włosy rozwiewał mu wiatr, a zwykle pogodna twarz była bardzo poważna. Wziął nas oboje pod rękę i tak ruszyliśmy. Zachowywał się na poły statecznie, jak na posła przystało, a na poły po dawnemu dziecinnie. Nie przeszkadzało mi to. W jego obecności łatwiej było znieść tę ciężką atmosferę, jaka się wytworzyła między mną a Johnem.

- Chce się naradzić z nami przy wieczerzy. Bądźcie wyrozumiali - mówił cicho Will. Zresztą wszyscy rozmawiali szeptem, o ojcu mówili albo bezosobowo, albo „on”. - Dzielnie to znosi, ale ogromnie przeżywa. Mówił nawet o zostaniu męczennikiem. Że byłby szczęśliwy, gdyby żona i dzieci zachęcały go, by umarł w dobrej sprawie. Że z ochotą powitałby śmierć. - Will ze smutkiem pokiwał głową. Mimo młodzieńczego wyglądu mówił w sposób rozsądny i dojrzały. - Trochę go rozumiem - dodał, ale chyba nie do końca był o tym przekonany.

Przy stole zebrali się wszyscy (oprócz Elizabeth, która była w Shropshire z dziećmi, ale przyjechał William Dauncey zasiadający teraz w parlamencie; zajął miejsce na końcu stołu, jak zwykle czujny i ostrożny, z niezbyt mądrą miną). Wszyscy mieli zaczerwienione oczy, na poblądłych twarzach malowało się napięcie. Nawet Cecily się nie śmiała, tylko ścisnęła mocno rękę Gilesa Herona. Był też młody John, który choć już się ożenił z piękną Anną, nadal mieszkał w domu, jako że ojciec, zbyt pochłonięty kłopotami, nie miał czasu zając się odpowiednią karierą syna. Gdy myślał, że nikt nie widzi, lekko masował czoło, próbując zmniejszyć ból. Wzruszyło mnie, że siedząca obok Anna, zauważywszy ten gest, sięgnęła do małej sakiewki, w której nosiła werbenę; sama ją uczyłam, jak leczyć jego dolegliwość. Nastrój daleki był od wesołości, lecz dzięki temu mniej rzucał się w oczy rozdźwięk między mną a Johnem.

Na widok ojca ścisnęło mi się serce. Siedział u szczytu stołu, mając po obu stronach Margaret i jejmość Alice. Był jak zawsze szarmancki w stosunku do innych. Przez te nasze kłótnie zapomniałam już, ile w nim jest siły, godności i wdzięku, także w trudnych chwilach. Uprzejmie rozmawiał z Margaret, dopytując o dzieci, i podsuwał półmiski jejmości Alice, nim usługujący pachołek zdążył sięgnąć w ich stronę. Dopiero gdy skierował twarz w naszym kierunku, ujrzałam w jego oczach znużenie i pustkę. Przynajmniej, pomyślałam, czepiając się kurczowo tej jedynej pociechy, nie wzdrygnął się na mój widok, czego się obawiałam.

Wstał i podszedł do nas.

- Witajcie - rzekł uprzejmie i uśmiechnąwszy się serdecznie, poprowadził nas na miejsce. - Moje drogie dzieci. Dziękuję wam, że przyjechaliście. - Pomógł mi usiąść i rzekł cicho: - Dziękuję ci za list. Nie musiałaś go pisać. Pomogłaś mi podjąć decyzję, która powinna była zapaść dawno. Czasem trzeba, by ktoś z boku zwrócił nam uwagę, co jest naprawdę dla nas dobre. Doceniam twoją szczerość.

Chwilę opierał dłoń na moich plecach, pomagając usadowić się Johnowi. Powiedział mu coś cicho do ucha, a w słowach tych musiało się znaleźć przebaczenie i rozgrzeszenie, bo kiedy wrócił na miejsce, mąż ujął mnie pod stołem za rękę. Odpowiedziałam serdecznym uściskiem, pierwszym od bardzo dawna, i wtedy w oczach Johna ujrzałam błysk, który - miałam nadzieję - oznaczał, że mi darował.

Posiłek był prosty, skromniejszy niż zazwyczaj. Zamiast wina podano piwo i wodę, a do jedzenia nie więcej niż trzy czy cztery potrawy. Ojciec odchrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę - co było łatwe, jako że cały czas panowało milczenie i tylko wszyscy rzucali w jego stronę ukradkowe spojrzenia - i po odmówieniu modlitwy dziękczynnej rzekł tak zwyczajnie, jak tylko on to potrafił:

- Zapewne już wiecie, jaką podjąłem decyzję, a to oznacza, że moje dochody znacznie się uszczuplą. Zebrałem dziś wszystkie moje dzieci... wszystkich was uważam za swoje dzieci... bo chcę się z wami naradzić, jak mamy dalej żyć i być razem.

Dotąd ani przez chwilę nie myślałam o pieniądzach, tymczasem był to problem. Otrzymywaliśmy od ojca pewne kwoty, a obaj Willowie przez część tygodnia mieszkali w Chelsea. Nie wiedzieliśmy, jak zareagować. Spojrzałam na Margaret i zobaczyłam, że ona spogląda z ukosa na Willa Daunceya, on zaś patrzy na Willa Ropera, który zwrócił wzrok na Johna. Jejmość Alice - w skromnej ciemnej sukni bez ozdób, które zawsze tak lubiła - ugniatała w palcach kawałek chleba. Ojciec popatrzył na nasze smutne miny z czułością, a ja przez chwilę miałam wrażenie, iż z pewną ulgą przyjmuje rozwój sytuacji.

- A zatem pozwólcie, że podzielę się z wami swoimi przemyśleniami - ciągnął. - Nie martwcie się. Nie będziemy chodzić i zbierać suchych liści na opał. Tyle że trzeba będzie żyć oszczędniej. Może ci, których na to stać, zechcą uczestniczyć w kosztach prowadzenia domu. Powinniśmy zacząć jadać skromniej. - Kątem oka ujrzałam, jak Will Dauncey odsuwa łokciem półmiskę z mięsem. - W każdym razie zamierzam prowadzić spokojniejsze życie - ciągnął ojciec. - Miewam czasami bóle w piersi. Doktorzy radzili, żebym mniej pracował.

Will Dauncey zareagował z istic dworską uprzejmością.

- Mogę spytać, jakie macie plany? - Mówiąc te słowa, uśmiechnął się i skłonił głowę.

- Będę... - ojciec zawiesił głos na chwilę, jakby zbierał myśli - ...modlił się więcej i więcej pisał... I jak dawniej nosił krzyż w procesji w kościele w Chelsea... no i mam nadzieję, że będę was częściej widywał.

Uśmiechnął się i odklonił Willowi Daunceyowi, posyłając swój cudownie promienny uśmiech.

Margaret wyszła wcześniej, udałam się do niej na chwilę rozmowy, a pewna byłam, że ona również wyrazi taką chęć. Zapukałam do drzwi i weszłam, nie czekając na odpowiedź.

- Kto tam?! - zawołała ostrzej, niż się spodziewałam. Klęczała przy kominku i prała szmatę w zabarwionej na różowo wodzie. - Ach, to ty, Meg - rzekła, śpiesznie zasłaniając sobą misę.

Odwrociłam wzrok.

- Przepraszam. - Poczułam się niezręcznie, przekonana, że to z jej krwawienia miesięcznego. Zdziwiło mnie tylko, że nie kazała służącej, tylko prała sama. - Nie powinnam była tak wchodzić.

- Nie szkodzi. Przed tobą nie mam tajemnic - odparła. - Zawsze pomagałam w ten sposób ojcu. A teraz w tej bezradności, jakiej doświadczam, jest to jedyna rzecz, jaką mogę dla niego zrobić. Tylko proszę cię, nie mów nikomu. Byłby zażenowany.

Spojrzałam raz jeszcze. Z wody sterczał kawałek szorstkiej tkaniny, mogącej podrapać skórę. Włosienica ojca. Chciało mi się płakać. Nagle zrobiło mi się żal, że nie jestem dobrą, łagodną Margaret, że nie wspieram go w umartwianiu się, oddając tak bardzo osobistą przysługę, a zamiast tego zakradam się do jego gabinetu i wzdrygam się ze wstrętem na widok bicia i zjadliwie pisanych ataków.

- Och, kochana moja! - wykrzyknęłam. Objęłyśmy się serdecznie. Trudno było potem powiedzieć, do której należą łzy na naszych policzkach.

- Czy myślisz, że on rzeczywiście martwi się o pieniądze? - spytałam, kiedy usiadłyśmy przed kominkiem.

- Nie wiem - odparła. - Ale chyba nie jest to dla niego aż takie ważne. Will mówił, że biskupi zaproponowali mu sporą sumę... cztery tysiące funtów... za to, by bronił duchownych w parlamencie. Ojciec odmówił. Willowi powiedział, że woli, by te pieniądze wrzucili do Tamizy. Dodał, że chce służyć Bogu, nie biskupom, i że wykonuje swoją pracę na chwałę bożą, nie biskupią. Wiesz, Meg, co myślę? - ciągnęła dalej. - Że to dla niego ulga. Pragnie wieść proste, skromne życie, ponieważ uważa, że swoje już zrobił. Zawsze chciał się poświęcić Bogu. Dopiero teraz, gdy uwolnił się od spraw tego świata, stało się to możliwe.

Rozmarzyła się, a ja pokiwałam głową, zgadzając się z nią. Obie bardzo chciałyśmy, żeby to była prawda.

Jednak kiedy poszliśmy z Johnem do komnaty, w której mieliśmy spać (wprawdzie nie protestował, ale nie byłam pewna, czy zechce ze mną dzielić łożę, bardzo się więc ucieszyłam, że będziemy razem), opuściło mnie przekonanie, że życie ojca stanie się teraz proste. Stojąc w oknie, patrzyliśmy na migoczący płomyk świecy, którą ojciec oświetlał drogę do Nowego Pawilonu, udając się na długą noc modlitw i rozmyślań.

- Jak sądzisz, co on tam dziś będzie robił? - spytałam.

Sucha, ciepła dłoń Johna spoczęła na mojej, a mnie zalała fala szczęścia. Byłam mu wdzięczna, że w tę smutną, cichą, majową noc niczego mi nie wyrzuca, jak zapewne ja zrobiłabym na jego miejscu. Nie mówi, iż mogę winić tylko siebie i że mam to, czego chciałam.

- I co on naprawdę myśli?

- To samo, co przedtem - odparł John, a w jego głosie nie zabrzmiał nawet cień wyrzutu. - Nic się nie zmieniło. Pytałem go. Ma zamiar zacząć następny tom pism krytykujących Tyndale'a. To jego pasja, Meg. To w życiu znaczy dla niego najwięcej. Rozpoczyna nowe polowanie na heretyków.

W ciszy zapadłej nagle w tej bezgwiezdnej i bezksiężycowej letniej nocy moje myśli poszybowały do innej ważnej sprawy, o której powiedziała mi Margaret. Siostra poważnie się obawiała, iż wielu dotychczasowych przyjaciół ojca z kręgów dworskich zaczną teraz nas unikać.

- Obawiam się, że będziemy bardzo samotni - szeptała Margaret. - Ludzie po prostu przestaną u nas być... nawet ci, którzy wiele ojcu zawdzięczają. Tak jak... Pamiętasz mistrza Hansa?

Pokiwałam w milczeniu głową.

- Mówiła mi służąca, że jest w Londynie. Widziała go wczoraj w okolicach Smithfield. Podobno mieszka w Steelyard. Chciałabym się mylić, ale coś mi się zdaje, że prędko go nie zobaczymy.

TLR

CZEŚĆ CZWARTA

Ambasadorowie

17

Hans Holbein śledził wzrokiem szurzy ogon śmigający pod ścianą i małe szare ciało uciekające od światła świecy. Pokoje były małe i nędzne: w pierwszej izbie podłoga z desek, stół z surowego drewna, ława i dwa siedziska przy ogniu, a w drugiej napchany słomą siennik na drewnianej ramie obok starej, toczonej przez robaki komody. Ale w końcu czego się spodziewać po Maiden Lane i okolicy pełnej szewców. Dlatego łatwiej było tu o mieszkania niż gdzie indziej. Nie ma co narzekać. Dom ten, bezpieczny i położony niedaleko Steelyard, polecił mu Davy, znana postać na rynku zakazanych książek, człowiek, którego darzyli zaufaniem kupcy z hanzeatyckiej enklawy. Tyle że można tu było liczyć - i to gdy szczęście dopisało - najwyżej na pół godziny dobrego dziennego światła.

- Nie ma nocnika - stwierdził. Staruch smutno pokiwał głową. - Nie ma dywanu. - Bezzębny przepraszający uśmiech. - Nie ma żadnych naczyń. Na czym będę jadł?

- Wszystko się wytłuło i przepadło - wyjaśnił gospodarz. Miał irytująco piskliwy głos i zupełnie nie przeszkadzała mu kapka wisząca na czubku nosa. - Czyż jest sens kupować nowe rzeczy, gdy koniec świata blisko?

Holbein się roześmiał i swój tobolek położył na ziemi.

- Nim nadejdzie dzień Sądu, muszę gdzieś załatwić swoje potrzeby i mieć na czym jeść. - Dumny był z siebie, że tak sprawnie posługuje się angielskim.

Z twarzy starucha natychmiast zniknął wyraz niechęci, gdy tylko Holbein położył na zgrubiałej dłoni ciepłe jeszcze, odliczone przed chwilą monety. Malarz skorzystał z okazji i zadysponował:

- Kupcie wszystko, czego nie dostaje. A chłopaka przysyłajcie codziennie. Posprząta, poda mi jeść. Biorę to mieszkanie na rok.

Stary śpiesznie się wycofał, nim lokator zmieni zdanie. Jego ruchy przywiodły malarzowi na myśl szczura.

Zadziwiające, jak szybko parę groszy potrafi uciszyć gładzenie o końcu świata, pomyślał Holbein. W ciągu czternastu dni było w Londynie czternaście samobójstw. Z Tamizy wyłowiono dwie ogromne ryby. Kościół Wszystkich Świętych przy Bread Street został zamknięty, a dwaj tamtejsi księża uwięzieni, gdyż pobili się przed ołtarzem Pańskim, aż krew splamiła obrus. Krążyło mnóstwo złowieszczych historii, ludzie kiwali ponuro głową, padały złowróżbne przepowiednie: „Nadchodzą złe czasy. Tak, tak, wszak nie dziwota. Na wiosnę będzie tysiąc pięćset lat od ukrzyżowania Chrystusa Pana. Bóg gniewa się za nasze grzechy. Zetrze w proch również tych dobrych i prawych. Tak, tak, to dlatego że niedobre rzeczy się dzieją”. Holbein chyba by wołał żyć bez nocnika i talerzy niż wysłuchiwać tego wszystkiego. Żył jedynie nadzieję, że kiedy już się urządzi w

nowej kwaterze, a stary zacznie regularnie dostawać pieniądze, to humor mu się poprawi i przestanie snuć apokaliptyczne wizje. I bez końca świata miał wystarczająco dużo własnych problemów.

Na razie jednak staruch nie przestawał jęczeć i narzekać. Holbein nieraz słyszał, jak zadręczał swoim gadaniem młodego chłopaka o wyglądzie wystraszonego królika. Co dzień była jakaś nowa, straszliwa historia, której opowiadaniem gospodarz wyraźnie się rozkoszował: a to wielka czerwona kula nad klasztorem kartuzów; a to pojawiające się co noc komety; płonąca końska głowa; płomienisty miecz; niebieski krzyż na księżycu. Gdyby stary i chłopak należeli do rzymskiego Kościoła, pewnie by się bez przerwy zegnali nabożnie. Ale w tym domu nie czyniono znaku krzyża, uważając to za przesadę. Holbein uznał za ironię losu, że prześladowani londyńscy luteranie są równie zabobonni i fanatyczni, jak wojujący z nimi katolicy ze stronnictwa biednej królowej Katarzyny, powtarzający sobie na ucho rewelacje Mniszki z Kent*, która ponoć usiłowała powstrzymać króla przed małżeństwem z ladacznicą. Przepowiedziała mu: „Miesiąc natenczas nie przetrwasz na tronie, a przez ten jeden miesiąc nawet jedną godzinę nie będziesz królem w oczach Boga. I umrzesz śmiercią nikczemną”.

* Elizabeth Barton, zwana Mniszką z Kent, była zwykłą służącą, która nagle zaczęła wpadać w trans i prorokować. Opiekowali się nią zakonnicy z Canterbury. Nie tylko prości ludzie jej wierzyli; wywarła wrażenie nawet na biskupie Fisherze, który sprzeciwiał się królewskiemu rozwodowi.

W gospodzie o niczym innym się nie mówiło przez miesiąc po przyjeździe malarza wiosną do Londynu, kiedy dostał pierwsze zamówienia na portrety kupców ze Steelyard. Rzecz wydarzyła się jesienią. Król w towarzystwie Anny Boleyn pojechał na spotkanie z królem Francji, którego chciał nakłonić, aby poparł u papieża unieważnienie małżeństwa z Katarzyną. Po drodze Henryk i Anna zatrzymali się w Canterbury. Gdy spacerowali po ogrodzie, Mniszka z Kent (gospodarz Holbeina nazywał ją Szaloną Mniszką, pociągając przy tej okazji z oburzeniem wiecznie zasmarkanym nosem) wdarła się tam - była akurat w pobliskiej kaplicy, gdzie zazwyczaj wpadała w trans, podczas którego duchowni opiekunowie zapisywali każde jej słowo, i zaczęła wykrzykiwać swoje przepowiednie.

- Może i ze mnie zakuty niemiecki łeb, ale ją podziwiam - powiedział Holbein, gdy pewnego wieczoru wdał się w dyskusję ze starcem. - To jasne, że ta wasza mniszka nie jest żadną świętą. Ze zwykłej dziewczynki kuchennej stała się ho, ho! Wszyscy o niej mówią, nawet biskup Fisher jej uwierzył. Nieźle, jak na kilka wizji.

Staruch jednak wyrażał się o niej z pogardą. Sam zresztą nie miał nic przeciwko powtórnemu ożenkowi króla, bo wtedy pewnie zostałaby złagodzona polityka wobec heretyków, a to znaczyło, że mógłby uczęszczać na spotkania u Davy'ego, nie lękając się pojmania i stracenia.

- Ta Barton jest szalona, wszyscy to wiedzą - twierdził z uporem. - Opętana przez diabła. Stanowi zagrożenie. Takie powinno się palić!

Słyszając te słowa, chłopak, podobny do zalęknionego królika, poruszył się niespokojnie w swoim kącie i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wystraszonego.

Holbein szybko się przekonał, że londyńczycy żyją w takim samym lęku jak mieszkańcy Bazylei, kiedy wrócił tam po swojej pierwszej podróży do Anglii. Jediną różnicą było to, że tu nikt nie wiedział jeszcze, jak

potoczą się sprawy. Bali się wszyscy, strach ścisnął wnętrzości, jeżył włos na głowie, jakby gdzieś w pobliżu czaiła się bestia.

Ostatnio wiele myślał o strachu, gdy siedział wieczorem przy jedynej świecy, jaką dał mu stary. Słuchając bajęd o Merlinie, krowie z Dunsmore Heath* i Bóg wie czym jeszcze, usiłował skupić się na przygotowaniu materiałów do pracy na następny dzień. Atmosferę zagrożenia podsycaly nie tylko apokaliptyczne plotki z ulicy. Strach czaił się wszędzie. Nawet wśród kupców Hanzy malowanych przez niego za wysokim murem Steelyard. Wprawdzie nie było widać lęku na twarzy Georga Gisze** na ukończonym niedawno portrecie, ale malarz wiedział, że pod maską spokoju kryła się świadomość, czym grozi sprowadzanie zakazanych ksiązek, gdyby go strażnicy królewscy na tym przyłapali.

* Tzw. Dun Cow, ogromna krowa z legendy, należąca do olbrzyma, dająca niewyczerpane ilości mleka, pewnego dnia wpadła w morderczy szał. Zabił ją Guy of Warwick, bohater popularnych romansów rycerskich.

** W polskim piśmiennictwie znany jako Jerzy Giese (1497-1562). Był to kupiec gdański.

Spotkania z ludźmi, którzy się nie bali, przynosiły prawdziwą ulgę. Ale takich było niewiele. Poza Kratzerem poznał w minionym roku tylko dwóch. Jednym był Thomas Boleyn, hrabia Wiltshire - ojciec pięknej Anny - humanista i korespondent Erazma, o pogodnej twarzy dziecka, które czeka na prezent, doskonale wiedząc, że go dostanie. Zawiózł mu od filozofa książkę. Drugi to Thomas Cromwell, postać nowa w otoczeniu króla, potężny i wpływowy wróg Thomasa More'a, czujnie patrzący na świat spod zmrużonych powiek. Ten nie bał się niczego. Miał zamiar zostać królewskim sekretarzem, nawet jeśli by trzeba było w tym celu wymordować pół Anglii i udusić Morusa własnymi rękami. Kiedy Holbein zjawił się u niego z polecenia Boleyna, aby mu złożyć uszanowanie, co mogło być pierwszym krokiem do otrzymania zamówienia, Cromwell od razu napomknął o sir Thomasie.

- Hans Holbein. Owszem, pamiętam. Malowaliście More'a. - W ziemistych oczach pojawił się niezdrowy błysk, a Holbeinowi przyszło na myśl, że może już znalazł się na liście osób przeznaczonych do inwigilacji.

- Tak - odparł śmiało.

Zaprzeczył, gdy Cromwell zapytał:

- A widzieliście się z nim po przyjeździe?

Cromwell poklepał go po ramieniu i skwitował to krótko:

- Bardzo mądrze. Dziś tego człowieka lepiej unikać.

Holbein się uśmiechnął, jakby był tego samego zdania, i wcale nie wyrzucał sobie, że nie odwiedził swego dobroczyńcy, gdy ten wypadł z łask. Nie uważał siebie za człowieka, którego łatwo można by zastraszyć, ale nie był też całkowicie pozbawiony strachu.

Dlatego mrozące krew w żyłach opowieści gospodarza coraz bardziej działały mu na nerwy. Wyśmiewał bzdury, odmówił też pójścia na modły do domu Davy'ego. A jednak od czasu do czasu przyłapywał się na wypatrywaniu komet na niebie.

- Powinieneś zamieszkać u mnie - wymawiał mu Kratzer, gdy zasiedli nad szklanicami piwa w ciepłej bawialni astronoma. Na honorowym miejscu nad kominkiem wisiał namalowany przez Holbeina portret, z któ-

rego uczony poważnie spoglądał znad swoich astronomicznych przyrządów. Opijali właśnie ukończenie największego, jak dotąd, zamówienia: na malowidło do sali biesiadnej w Steelyard. Malarz zilustrował motto kupców: „Złoto jest ojcem ułudy i dzieckiem smutku, komu go brakuje, jest smutny, kto je ma, jest niespokojny”. Dwa olbrzymie obrazy przedstawiały *Apoteozę bogactwa* i *Apoteozę ubóstwa*. Podczas pracy Kratzer często go odwiedzał. Kipiał energią, miał mnóstwo pomysłów, ciągle coś nowego proponował, przynosił jedzenie i piwo; słowem - najlepszy przyjaciel.

- Nie wiem, co cię trzyma w tej piekielnej norze - ciągnął astronom. - Choć muszę ci powiedzieć, że twój gospodarz niezupełnie się myli. Na niebie jest pełno znaków. Czasami, kiedy patrzę na gwiazdy, zaczynam wierzyć, że koniec świata bliski. Ale nie o to chodzi. Przecież tam są szczury, na miłość boską. Pchły. Pluśki. A do tego stęchłe piwo i stary chleb.

Holbein pokręcił głową.

- Zawsze można spojrzeć na to z dwóch stron - rzekł sentencjonalnie (tego wieczoru zdążył już wypić sporo piwa). - Z jednej strony święta racja, że nie jest to najlepsze mieszkanie na świecie. Z drugiej...

- Co? - dopytywał się astronom, a na jego pełnej ekspresji twarzy zagościł sarkazm. - Co z drugiej strony?

- No, więc... - Holbein nachylił się, by dolać przyjacielowi piwa. - Powiedzmy, że pewne rzeczy bardzo mi odpowiadają.

Nie mógł powiedzieć Kratzerowi, co mu odpowiada; nikomu by tego nie powiedział. Jego obsesja była jak choroba - zbyt intymna i wstydliva, by o niej mówić.

Wszystko przez dręczące go myśli, gdy w nędznym pokoiku rzucał się i kręcił na łóżku całą noc, nie mogąc zasnąć; nie opuszczające go, gdy drapiąc się i trąc oczy, wstawał rano z brudnego worka słomy zarzuconego byle jakimi szmatami; towarzyszące mu, gdy opróżniał pecherz na podwórku, a potem ochlapywał twarz wodą i szorował ręce poplamione farbą. A także przez marzenia snute każdej minuty, każdego dnia, dopóki nie zaczynała mu pękać głowa. I jeszcze przez ten poranny spacer cichymi uliczkami i zaułkami, trasą pozornie przypadkową, jakby sam przed sobą nie przyznawał się, dokąd idzie. Przystawał na rogach, schodził ludziom z drogi, unikał patrzenia im w oczy. Codziennie rano szedł do publicznego wychodka, znajdującego się pięćdziesiąt kroków od kościoła Świętego Stefana. Zjawiał się tam zawsze o tej samej porze, kiedy Meg Clement wychodziła z domu po drugiej stronie ulicy i ze spuszczonej skromnie oczami szła do kościoła. (Gdy w myślach pojawiała się jej nazwisko po mężu, krzywił się, ale nie uciekał przed nim, bo nie zwykł uciekać od rzeczywistości). Następnie czekał. Udawał, że korzysta z wychodka, albo włóczył się po ulicy, oglądając towar ulicznych kramarzy, i pogwizdywał dla dodania sobie animuszu, dopóki nie wyszła w oparach kadzidła, z małym ciemnowłosym chłopcem drepczącym u boku. Wtedy znów patrzył na nią, równie boleśnie krótko jak za pierwszym razem, po czym wracał do siebie, do codziennego życia.

Czuł się tym zbrukany. Przerażało go własne zachowanie: chyłkiem skradał się ulicami, niczym jego gospodarz po swoim niechlujnym domu, jakby był rzezimieszkiem napastującym małe dziewczynki w ciemnych uliczkach, okradającym przechodniów albo rzucającym się z nożem na starców i zabierającym im ostatni grosz. Jednocześnie te dwa krótkie momenty wprowadzały go w stan takiego uniesienia, że w żaden sposób nie potrafił się ich wyrzec. Obraz jej twarzy widziany z rana był jak światełko w ciemności. Nie odstępował go

przez cały dzień: ładnie zarysowane kości policzkowe, teraz wydatniejsze, bo twarz jej zeszczuplała; kilka przedwcześnie posiwiiałych włosów wypatrzonych wśród czarnych pasm wystających spod czepka; płynne kołysanie bioder. Widok synka sprawiał mu ból, podobnie jak pełne miłości spojrzenia, którymi obdarzała malca. I ta mała rączka w jej dłoni! Próbował o tym nie myśleć, jednak zbyt mocno zapadało mu wszystko w pamięć. Podpatrywanie nieosiągalnej Meg, jakby oddzielonej od niego szybą, stało się najjaśniejszym promykiem w jego życiu.

Zgadzał się z pełnymi goryczy słowami o nim w liście, który Erazm napisał do Kratzera. Był niewdzięcznikiem, nie okazując uszanowania człowiekowi, który kiedyś przyjął go pod swój dach i tak wiele zrobił dla jego kariery. Był tchórzem (choć przekonywał siebie, że jest tylko biednym malarzem i musi myśleć o przyszłości, o reputacji, o zamówieniach, o rodzinie, nie może więc pozwolić sobie, by widziano go w towarzystwie człowieka, który popełnił polityczne samobójstwo, czym tak naprawdę było wymówienie przez sir Thomasa dalszej służby królowi; w końcu z jakiej racji ma ponosić winę z powodu wyboru dokonanego przez ekskanclerza). Wmawiał sobie, że Erazm nie czułby się tak bardzo rozczarowany, gdyby wiedział, że on przynajmniej w ten sposób wypełnia obietnicę czuwania nad Meg i jej rodziną. Jednak był też na tyle wobec siebie krytyczny, by rozumieć dobrze, iż jego działania nie usatysfakcjonowałyby filozofa. Robił to wszystko tylko dla siebie. Miłość okazała się pułapką; była jak choroba lub szaleństwo.

Nie takie miał plany, jadąc do Londynu: nie przypuszczał, że utknie w tej otchłani i będzie zwlekał, dopóki Bóg nie wskaże mu drogi. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Meg. Miał szczerzy zamiar spełnić prośbę Erazma i złożyć wizytę najpierw w domu sir Thomasa, a potem u niej. Jednak gdy znalazł się w Steelyard, Davy, „człowiek od książek” (bacznie przyglądając się malarzowi - co obecnie robili wszyscy - jakby w zależności od jego reakcji gotów był zdradzić mu jakiś sekret), poinformował go, że More zrezygnował z urzędu. Wówczas Holbein postanowił najpierw rozeznac się w sytuacji. Poruszał się po nieznanym gruncie. Uznał, że roztropniej będzie poszukać kwatery przez kontakty nawiązane w Steelyard. Nie chciał ryzykować utraty dobrych stosunków z wysoko postawionymi osobami, co mogłoby się zdarzyć, gdyby zaraz po przyjeździe spotkał się z sir Thomasem. Gdy się urządzi w Londynie, przyjdzie czas na odwiedzenie dawnego dobrodzieja. A tymczasem dziwnym zrządzeniem losu jego gospodarz już na samym początku powiedział:

- Podobno mieszkaliście przedtem u Thomasa More'a. Jego córka wyleczyła mojego chłopaka z gorączki potowej.

Holbein dotąd nie słyszał, by chłopak słowem się odezwał. Teraz nagle, jękając się, opowiedział swoją historię. Jego ojciec zmarł na gorączkę potową w Deptford, a matka i siostra w Chelsea; on przeżył. Pewien był, że jego Bóg też zabierze, ale zajęła się nim młoda, ciemnowłosa pani i zaprowadziła do kordegardy. Okryła go ciepło, zostawiła butelkę z lekarstwem, była serdeczna i bardzo przejęta. Lekarstwo pomogło. Zażył je, a potem zrobiło mu się bardzo gorąco i rozboleła go głowa. Zrzucił z siebie nakrycie; był przekonany, że nadeszła jego ostatnia godzina. Rano obudził się z ogromnym pragnieniem, lecz żył. Tego samego dnia powlókł się do dziadka do Londynu. Teraz chodzą na spotkania modlitewne dziękować Bogu. To dobra pani. Nieśmiała, ale miła. Patrzyła niby surowo, ale serce miała wielkie. Potem zamieszkała w Londynie ze swoją rodziną. Czasem popatrzył, jak idzie do kościoła, i modlił się za nią.

- Mogę wam pokazać, gdzie mieszka - zaproponował w przypływie zaufania. Nagle się zawstydził, wbił wzrok w podłogę i oblał się rumieńcem.

- Jutro rano - zgodził się Holbein i dał chłopcu złotego angela, a ten poczerwieniał jeszcze bardziej.

Odszukanie Meg okazało się proste. A gdy ją zobaczył, kompletnie stracił głowę. Nie mógł tak zwyczajnie podejść. (A jeśli go poprosi, by złożył wizytę ojcu? Albo spyta, jak dawno tu jest? A jeśli wie o jego różnych grzeszkach?). Ale nie mógł się już od niej uwolnić. Pułapka się zatrzasnęła. Słaba była nadzieja, że któregoś dnia obudzi się wyzwolony od tego uczucia i znajdzie w sobie dość siły, by nie iść i nie czekać tylko po to, żeby ją zobaczyć. Co wieczór, przed snem, obiecywał sobie, że nazajutrz pozostanie w domu. I co wieczór doskonale wiedział, że sam siebie oszukuje. Prawda była taka, że budził się wcześniej i leżąc bezsennie, nie mógł się doczekać, kiedy tam pójdzie. Jakżeby mógł się stąd wyprowadzić? Między nim a starym i jego wnukiem nawiązało się ciche porozumienie. Obaj wiedzieli, dokąd lokator co rano chodzi. Kiedy chłopak kładł na jego stole chleb i piwo, od razu poznawał, czyją twarz Holbein dopiero co oglądał. Nic nie mówił, ale malarzowi robiło się przyjemnie na myśl, że ma towarzysza niedoli w swojej tajonej miłości. Tylko dzięki temu wytrzymywał mieszkanie pod jednym dachem ze śmierzącym starcem, który codziennie dowodził zrzędlwym tonem, że Henryk rychło zostanie wypędzony z królestwa, a księża będą potem rządzić jeszcze tylko trzy dni i trzy noce; albo że króla zabije biały lew; czy też że papież zechce przyjechać do Anglii. Z trudem jakoś to znosił. Nikomu innemu nie mógł nic powiedzieć. Był unieruchomiony, uwięziony jak mucha w bursztynie.

Kratzer często przyglądał mu się bacznie.

- Nie dam się zwieść - mówił. - Wiem, że coś się święci. - Ale nie posuwał się dalej. Przy całej swej szczerości i otwartości Kratzer był człowiekiem subtelnym i wiedział, kiedy nie należy pchać nosa w cudze sprawy.

To Kratzer wkrótce po koronacji królowej Anny załatwił Holbeinowi zamówienie na podwójny portret.

Pierwszy raz napomknął o tym podczas wspólnej wieczery jeszcze przed Wielkim Tygodniem. Malarz nie miał jednak wtedy ani chwili, by pomyśleć o nowym zleceniu, tak wiele pracy było między Wielkanocą (dwunastego kwietnia 1533 roku w kaplicy królewskiej w Greenwich Anna została ogłoszona królową, gdyż biskupi ulegli i poświadczyli, iż pierwsze małżeństwo Henryka było nieważne, a Cromwell, kończąc erę jedności chrześcijan, przeprowadził w parlamencie prawo uniemożliwiające królowej Katarzynie odwołanie się do Rzymu przeciwko tej decyzji*) a Zielonymi Świątkami, gdy w Londynie odbyła się koronacja. Całkowicie pochłonęły go przygotowania do uświetnionych fajerwerkami czterodniowych uroczystości, którym przyglądali się niezbyt licznie przybyli i mało entuzjastycznie nastawieni londyńczycy.

* Był to tak zwany Akt Apelacyjny, zakazujący apelacji do Rzymu i uprawniający do mianowania i konsekracji biskupów bez odwoływania się do papieża.

Zielonoświątkowe dekoracje rogu Gracechurch finansowali - bez większego zapachu - kupcy Hanzy i zlecieli to zadanie Holbeinowi.

Dumny był ze swego projektu. Znalazła się tam góra Parnas z białą marmurową fontanną Helikonu, w której spotykały się cztery strumienie. Wino reńskie lało się do późna w nocy (prosto do ust albo do kielichów -

kto przezornie zabrał takowy ze sobą). Na szczycie góry stał złotowłosy Apollo z piękną Kaliope u stóp; po czterech bokach fontanny znajdowały się Muzy grające na instrumentach i sławiące nową królową. Kratzer, który od dawna mieszkał w Londynie i znał tu prawie wszystkich, znalazł najpierw bezrobotnego poetę, a ten ułożył odpowiednie na tę okazję epigramy i fraszki, a potem skrybę, któremu zlecił wypisanie złotymi literami co celniejszych fragmentów, aby ci, którzy posiadli sztukę czytania, mogli zachwycać się poezją także w piśmie.

Nazajutrz rano, zanim uprzątnięto miasto zaśmiecone przez niechętny królowej tłum gapiów, Kratzer zaprowadził go na spotkanie z nowymi klientami. Radośnie uśmiechnięty, niósł sakwę wypchaną rekwizytami do obrazu. Francuzi, których Holbein miał malować, byli młodszy od niego, zbliżali się do trzydziestki. Szlachetni panowie, o pięknym brzoskwiniowym kolorzycie arystokratycznych twarzy, odziani w aksamity, batysty i jedwabie, mówili wykwinną francuszczyzną, a ich tytuły były długie i wiele mówiące. Holbein byłby zapewne mocno onieśmielony splendorem gospodarzy - i nieznanym mu dotąd wnętrzu pałacu Bridewell, pełnym najpiękniejszych dzieł sztuki i sprzętów, łącznie z misternie cyzelowanymi pucharami na wino stojącymi na stole - gdyby nie Kratzer i jego przekonanie, że potęga nauki i wiedzy niweluje wszelkie nierówności stanów. Astronom, który przywdział odświętne szaty, skłonił się nisko, po czym dał oratorski popis, jakby od dawna znał Francuzów, Po francusku mówił płynnie i z równie okropnym akcentem jak po angielsku. Nie przejmował się tym; treść wypowiedzi była dla niego znacznie ważniejsza niż jakiś tam akcent. Na Francuzach zrobił dobre wrażenie i choć prawie go nie znali, zrewanżowali mu się dwornym komplementem. Mógł sobie być synem rzemieślnika z Monachium, ale teraz stał przed nimi człowiek wykształcony i cieszący się powszechnym szacunkiem; astronom, który służył od piętnastu lat na królewskim dworze, który studiował w Kolonii, nauczał w Oksfordzie i był przyjacielem Erazma z Rotterdamu, Pietera Gillisa, Morusa oraz wielu innych uczonych.

- Łączy nas umiłowanie nauki. - Tak elegancko ujął to przybyły niedawno do Londynu ambasador Jean de Dinteville, pan na Polisy, bailiff Troyes i marszałek francuskiego dworu. - Prawdziwy to zaszczyt poznać was, panie.

Holbein nieco się rozluźnił, odprężył i omal nie zapomniał się uklonić, nim zdjął sakwę z ramienia i rozpoczął przygotowania.

- Mam kilka pomysłów - szepnął dyskretnie Kratzer. - Przypomnij mi potem. Przyniosłem rzeczy, które mogą się przydać.

Holbein skinął głową i położył szkicownik z ołówkiem na stole obok przyniesionych przez siebie rekwizytów. Ręce już mu się nie pociły. Zdenerwowanie ustąpiło.

Drugi Francuz, Georges de Selve, dwudziestopięcioletni biskup Lavaur, niedawno przybył z Paryża, by wspomóc ambasadora, którego głównym zadaniem było łagodzenie gniewu króla Henryka, gdy król Francji odmawiał udzielenia poparcia w rozmowach z papieżem w sprawie małżeństwa angielskiego władcy. („Ach, te królewskie humory - mówił z żalem de Dinteville, podkreślając wypowiedź wykwinnym gestem pięknej dłoni. - Jakież to trudne. Od lutego, gdy przyjechałem, nie ma tygodnia spokoju"). Pragnęli godnie upamiętnić swoją misję, do czego portret naturalnej wielkości bardzo dobrze się nadawał, i gotowi byli sownie zapłacić. Aby sprostać ich wymaganiom, Holbein przygotował podobrazie z dziesięciu dębowych desek i teraz na sztalugach

stał wielki kwadrat o boku długości osiemdziesięciu cali; Kratzer wcześniej wysłał go do rezydencji ambasadorów.

Holbein chwilę przyglądał się trzem mężczyznom pijącym wino i pogrążonym w rozmowie, zastanawiając się nad kompozycją. Biskup miał różowe policzki, ciemną brodę, czarne nakrycie głowy i szaty w kolorze morwy; ambasador o przejrzystych oczach ubrany był w futro narzucone na jedwabny strój w kolorze głębokiego różu, a piękne dłonie wychylały się z koronkowych mankietów. Nosili się dumnie, od lat nawykli do wydawania rozkazów i żądania odpowiedzi na pytania. Oblicza ich zdradzały wiedzę i inteligencję. Byli ludźmi uczonymi, wykształconymi, znawcami sztuki. Takie odniósł wrażenie na pierwszy rzut oka, ale gdy robiąc próbne szkice, podszedł bliżej, wyczuł kryjący się w nich strach.

Rozmawiali o koronacji. Obaj dyplomaci należeli do bezpośredniego otoczenia króla. Młody biskup przyjechał do Londynu, by reprezentować Francję podczas uroczystości. Jeśli dziecko, które nowa królowa nosi w łonie, okaże się synem - co zabezpieczy królewską dynastię - wydarzenie to będzie pamiętane jeszcze przez następne pokolenia. Francja, pośrednicząca w nieudanych, jak dotąd, negocjacjach między królem Henrykiem a papieżem, musiała mieć stosownych przedstawicieli. Holbein słuchał niezbyt uważnie. Francuskie słowa mu umykały, gdyż ostatnio miał do czynienia głównie z angielskim. Próbował skupić się na elementach kompozycji: ambasador z lewej, biskup z prawej, twarzami zwrócenie do widza; wokół oznaki i atrybuty szlacheckiego pochodzenia, wiedzy i wykształcenia (jeszcze nie obmyślił, w jakim układzie - nie wiedział, co przyniósł Kratzer). No i oczywiście *memento mori* pośrodku. Jednak to wszystko wydało mu się zbyt oklepane. Zapragnął namalować coś całkiem nowego.

- Zauważyliście, że go nie było? - usłyszał i natychmiast podniósł głowę. Szybko pochylił się znowu nad kreślonymi na papierze liniami. - Mówiono mi wcześniej, że nie przyjdzie, ale nie wierzyłem. Że też odważył się na taki afront wobec królowej.

Rozmawiali o sir Thomasie. Holbein niemal wstrzymał oddech.

- Biskupowi Tunstallowi powiedział, że nie stać go na nowe szaty - rzekł francuski dostojnik Kościoła, a Holbein dostrzegł zdziwienie na jego twarzy; panu de Selve nie mieściło się w głowie podawanie ubóstwa jako przyczyny czegokolwiek. - Tunstall i dwaj inni jego przyjaciele posłali mu pieniądze na stosowny ubiór, uznając to za naprawdę ważne, by się zjawił. Dostał od nich dwadzieścia funtów.

Kratzer dobrze wiedział, jakie znaczenie mogą mieć pieniądze. Sam handlował tuluzańskim barwnikiem indygo i gaskońskim winem (dostarczone przez niego mogło być właśnie to, które popijali), miał udziały w złożach rud metali w Kornwalii. Ale pokiwał głową, doskonale rozumiejąc sir Thomasa.

- More jest bogatym człowiekiem - rzekł z silnym niemieckim akcentem. - Nie stawiał się na koronacji, bo wolał pozostać wierny swoim zasadom. Znam ciąg dalszy tej historii. Może panowie słyszeliście?

Zaprzeczyli i z ciekawością pochylili się w stronę astronoma.

- Wiem od Willa Ropera, którego przypadkiem spotkałem - rzekł Kratzer i aż pokraśniał z zadowolenia, że może im opowiedzieć. - Otóż More odpisał Tunstallowi, przypomniał mu, że podobny dylemat miał cesarz Tyberiusz, gdy skazał na śmierć dziewicę, bo dziewicy nie wolno było zabijać; doradcy podszeptali cesarzowi, żeby skazaną najpierw pozbawił dziewictwa, a potem ją zabił. Radził więc Tunstallowi, by uważał na swoją cnotę. Napisał: *Nie wiem, czy rzucą mnie na pożarcie. Ale nawet jeśli tak, to przynajmniej cnoty nie stracę.*

Trzej mężczyźni zaśmiali się, po czym westchnęli.

- Prawdziwy człowiek honoru - orzekł biskup de Selve.

Dlaczego Kratzer mi o tym nie powiedział? - pomyślał Holbein. - Przecież wie, jak bliski jest mi sir Thomas i jak szczerze podziwiam jego uczciwość i prawość. Potem naszyły go wątpliwości. Kratzer wiedział, że Holbein nie złożył wizyty w Chelsea. Przecież sam czytał mu krytyczne słowa z listu Erazma, być może pragnąc zasugerować, że Holbein powinien tam pójść. Może astronom bywał u More'ów? Może uważa go za tchórze, tylko z grzeczności tego nie mówi? Podszedł bliżej, zasłaniając się szkicownikiem jak tarczą.

- Żyjemy w niebezpiecznych czasach - dowodził jeden z Francuzów. - Skoro takich ludzi jak More prześladowuje się tylko dlatego, że nie zgadzają się z tym, w co każe wierzyć władza... a w dodatku dzieje się to w jednym z bardziej tolerancyjnych, moim zdaniem, krajów... Chyba rzeczywiście bliski jest koniec tego świata, w którym się urodziliśmy.

Kratzer mu przytaknął.

- Zwyciężają fanatycy - rzekł ponuro. - I to po obu stronach...

- ...A przegrywają uczeni i mędracy - dokończył ambasador.

Pokiwali smutno głowami.

Holbein spojrział na szkic, potem na siedzących przed nim ludzi. Zrobiło mu się gorąco ze wstydu. Nagle zrozumiał, że się skompromitował, nie idąc do sir Thomasa zaraz po przyjeździe. Okazał się małym człowieczkiem, bezdusznym niewdzięcznikiem. Jednym z tych, którzy się boją. Wszystko się w nim w tym momencie wzburzyło. Zdradził człowieka, któremu tak wiele zawdzięczał: mądrego, szlachetnego i dobrego przyjaciela, jedyne Anglika, z którym rozmowa o artystycznych przemyśleniach i koncepcjach była prawdziwą przyjemnością i intelektualną przygodą. Być może wyrzuty sumienia obudziło w nim wypowiedziane przed chwilą przekonanie, że niepewna przyszłość More'a jest symptomatyczna dla tych czasów. A może poruszyła go wyrażona przez biskupa w szatach koloru morwy obawa, że oto mogą doświadczać kresu nauki, wiedzy i myśli ludzkiej.

- Czy wiecie, która z astronomicznie wyliczonych dat końca świata jest najważniejsza? - spytał Kratzer.

Morwa - gorączkowo myślał Holbein, nie uświadamiając sobie, co go tak twórczo pobudziło. Jednym uchem słuchał francuszczyzny Kratzera. Morus. Tuż obok leżała czaszka, którą Meg ukryła kiedyś pod stołem wraz z niebezpiecznymi szkicami. Nie miał jeszcze gotowej koncepcji, ale zaczynał czuć przypływ euforii, która oznaczała, że się narodziła. Gdzieś poza zasięgiem jego zmysłów zaistniał już kształt wiedzy i kształt strachu oraz kształt tego, co kryją gwiazdy. Całkiem możliwe, że tym razem powstanie naprawdę wielki obraz.

- Żadna z tych, o których mówi ulica. Te są fałszywe. Sprawa jest znacznie prostsza. To tegoroczny Wielki Piątek - ciągnął Kratzer, spoglądając na nich uważnie i z powagą, ale też figlarnie, jak zawsze, kiedy wpadnie mu do głowy jakiś pomysł. Niecierpliwie chce wtedy podzielić się nim z innymi i usłyszeć, co o tym sądzą. - Półtora tysiąca lat po śmierci Chrystusa wszystkie kościoły okryte żałobnym kirem. Ostatni dzień Kościoła powszechnego, dzień przed ogłoszeniem Anny królową Anglii i zerwaniem z Rzymem. Nieważne, w jakiego Boga ja sam osobiście wierzę; chodzi o to, że był to dzień, w którym wpuszczono ciemność. I tylko jeden Pan nasz raczy wiedzieć, co z tego wyniknie.

- Kratzer - przerwał niecierpliwie Holbein. Zaczerwienił się z powodu swego grubiaństwa i grzecznie przeprosił, po czym dokończył tym samym podekscytowanym tonem: - Czy mogę wziąć rzeczy z twojej sakwy?

Astronom machnął przyzwalająco ręką, pochłonięty czym innym. Właśnie zamierzał opowiedzieć, co niebo mówi o sprawach ziemi.

Holbein wyjął zawartość sakwy na stół i jego myśli zaczęły przybierać konkretniejsze kształty; nie zauważył nawet, że robi przy tym sporo hałasu. Astrolabium i biały dziesięciokątny zegar słoneczny, które już malował, portretując Kratzera; globusy: ziemski i niebieski; różne astronomiczne instrumenty, których nie znał. I książki. Tak. I lutnia na krześle. Wszystko, czego potrzeba, aby ukazać quadrivium nauki: astronomię, geometrię, arytmetykę i muzykę, czyli cztery matematyczne sztuki harmonii i precyzji. Wszystko, czego potrzeba, by przedstawić kulturę i erudycję.

Zgromadził przedmioty w jednym miejscu. Przyjrzał się. Otworzył sakwę, w której miał owinięte w kawałek tureckiego dywanu buteleczki, słoiczki i pudełeczka z farbami. Wyciągnął tylko dywan - buteleczki, słoiczki i pudełeczka spadły na dno sakwy - i rozłożył go na stole, ciesząc oczy głęboką nasyconą czerwienią. Zaczął układać na nim przedmioty - a wszystko pod pełną dobroci umęczoną twarzą Chrystusa na krzyżu wiszącym na ścianie - instrumenty do pomiarów nieba w górnej części, a na dole instrumenty związane z ziemskim życiem: lutnia, globus (oczywiście namaluje go tak, by widać było Francję), podręcznik arytmetyki Kratzera i luterkańska księga hymnów. Widział już obraz jako całość; strefę nieba i strefę ziemi wyrażoną nie tylko za pomocą tych przedmiotów, lecz również w bardziej subtelny sposób, w czym pomoże mu Kratzer. Zdziwią najteższe umysły Europy.

Ręce mu drżały. Jeśli obraz spełni jego oczekiwania - jeśli uda mu się oddać to wszystko, co teraz chodziło mu po głowie - to może nie zdobędzie sławy i fortuny, ale za to otworzy sobie drogę do odnowienia przyjaźni z More'ami. Istniała szansa, że dzięki obrazowi zobaczy się z Meg. Podniósł głowę, jego wzrok padł na lutnię, przez którą miał właśnie przestąpić, chwycił ją i dodał do obrazu. Kompletnie zapomniał o reszcie towarzystwa. Aż się zdziwił, kiedy zobaczył, że trzy pary oczu wpatrują się w niego z zaciekawieniem.

Kratzer wrócił z nim do domu i cichutko wszedł na górę. Przez całą drogę malarz milczał, pogrążony w myślach. Szedł wielkimi krokami, niosąc sakwę.

- Spójrz! - Podsunął szkic Kratzerowi pod nos. Astronom siedział przy oknie, za którym już szarzało. - Mam taki pomysł. Musimy wspólnie nad nim popracować.

- A nie dasz mi czegoś do picia? - spytał Kratzer na wpeł zartobliwie. Nie spojrzał jeszcze na rysunek, nie traktując serio powagi malarza. - Żeby się lepiej myślało.

Holbein zdusił niecierpliwie słowa i westchnął. Kratzer był tak zadowolony, iż oddał przysługę przyjacielowi i przyjemnie spędził popołudnie w towarzystwie świątłych ludzi, że nawet do głowy mu nie przyszło, iż to dopiero początek tego, co go jeszcze czeka.

- No dobrze. - Holbein postanowił zachować spokój. Podeszedł do drzwi i ryknął głośno. - Przynies no kilka placków z mięsem i piwo - Wrócił, stanął za plecami Kratzera i spojrzał na surowy szkic. Widnieli na nim obaj Francuzi: de Dinteville z lewej, de Selve z prawej, a między nimi znajdował się stół zastawiony różnymi

przedmiotami. Mimo że był czerwiec, światło dzienne już się kończyło i szkic wyglądał szaro i niewyraźnie. Zapalił świecę.

- Przypatrz się dobrze, Nicolasiu, zanim zrobi się całkiem ciemno - poprosił. - Zaraz będzie jedzenie i picie.

Ku jego radości astronom wreszcie posłuchał i w skupieniu zaczął przyglądać się rysunkowi.

Gdy chłopak przyniósł jedzenie, obaj byli pochłonięci zupełnie innymi sprawami. Pochyleni nad szkicem, głośno rozprawiali po niemiecku. Nie zauważyli, kiedy wszedł, i na jedzenie też nie zwrócili uwagi. Wszedł również niepostrzeżenie, kręcąc z niezadowoleniem głową. To prawda, co mówią o cudzoziemcach: Oni wszyscy są jacyś dziwni, nawet nic mu nie dali za usługę.

- Jeśli to ma być Wielki Piątek, trzeba pożyczyć z pałacowej kaplicy rekwizyty związane z Wielkim Postem - mówił Kratzer szybko. - Jest czerwiec, więc nie będzie kłopotu. Na przykład wielkopostną zasłonę. Zawiesimy ją za stołem. Wystarczy.

Holbein pokiwał głową, nie myśląc w tej chwili o głównym swym celu.

- Odpowiednio udrapowana, mogłaby sugerować koniec Ciemnej Jutrznii - podchwycił myśl Kratzera. Ciemna Jutrznia, czyli oficjum rozpoczynające Wielki Piątek, po Wielkiej Środzie i Czwartku, kiedy to kapłani, odmawiając brewiarz, gaszą kolejne świece. W Wielki Piątek, będący najciemniejszym z dni tego Triduum, ksiądz stopniowo odsłania krucyfik; czyni to, po zgaszeniu świec i przed adoracją Krzyża. Potem klęka przed krucyfiksem i całuje go, a za nim podchodzą wierni. Kiedy adoracja Krzyża - nawiedzenie Krzyża, jak mówią w Londynie - dobiega końca, odbywa się pogrzeb Chrystusa. Krucyfiks obmyty wodą i winem zostaje złożony w grobie urządzonej w kościele. Pozostaje tam do świtu Wielkanocnej Niedzieli, do uroczystości Zmartwychwstania. Ukazanie zasłony tak jak pod koniec Ciemnej Jutrznii, to znaczy odsuniętej tylko tyle, by widać było krucyfiks, uświadomi widzowi, jaki to dzień.

Niemal zaśmiał się z radości, zaraz się jednak opanował.

- Ale to nie wszystko, czego chcę od ciebie - rzekł niby surowo. W tym momencie zauważył stojące piwo, zdziwił się, skąd się wzięło, po czym wypił cały kufel duszkiem i przez chwilę nie mógł złapać tchu. - Tylko ty możesz mi pomóc - dodał. - Chcę przedstawić astrologicznie ten dzień i godzinę. Najczarniejszą godzinę, kiedy Chrystus umarł na krzyżu. - Kratzer pokiwał głową, jakby mówił, że to nic trudnego. - Chcę też pokazać na obrazie układ nieba z obecnego roku, z tego samego dnia i godziny... czyli półtora tysiąca lat później - ciągnął Holbein.

Kratzer spojrział znad kufła. Miał zabawną piankę z piwa na górnej wardze, ale Holbeinowi nawet przez myśl nie przeszło, by się roześmiać. Twarz astronoma pozostała nieruchoma. Intensywnie się zastanawiał, jak najlepiej ten pomysł zrealizować.

- Chciałbyś zrobić horoskop tej daty? - zapytał z namysłem Kratzer. Humanieści nie wierzyli w horoskopy. Jednak przez swoje racjonalistyczne podejście i wyśmiewanie się z horoskopów jak z zabobonów, Thomas More, a przed nim Pico Della Mirandola, niezamierzenie i skutecznie przypomnieli o nich. Kratzer, podobnie jak większość ludzi, uwielbiał zagadnienia związane z astrologią, co Holbein zapamiętał z czasów, kiedy pracowali razem nad astronomiczną dekoracją sklepienia dla króla; pełno tam było astrologicznych odniesień. To też się nie dziwił, kiedy na twarzy Kratzera zobaczył uśmiech. Astronom chwycił rysunek.

- Ołówek! - polecił.

Na rysunku naszkicował kształt dobrze znany każdemu astrologowi sporządzającemu wykres: kwadrat, w nim drugi kwadrat umieszczony ukośnie, a w jego środku trzeci, znowu prosty, o boku równym połowy długości pierwszego. Powstawało w ten sposób dwanaście pól wyznaczających dwanaście domów, przez które przechodziły planety: dwanaście domów, z których planety mogły wpływać na ludzkie życie.

- Będziesz musiał dodać jeszcze jedną deskę - oświadczył Kratzer, rysując bok kwadratu nieco za blisko. - Krucyfiks powinien się znaleźć poza kwadratem horoskopu.

Holbein się zgodził. Argument był poważny. Nie godziłoby się umieszczać Chrystusa w astrologicznym wykresie. Kreski naszkicowane odręcznie przez Kratzera pokazywały pierwszy dom przy ascendencie - linii zaczynającej się przy sztylcie de Dinteville'a.

- Patrz - rzekł Kratzer i nanosił jakieś znaki na swoje kreski. - Tu były najważniejsze planety. Na razie rysuję z pamięci, potem poprawię. To miałem na myśli, mówiąc, że na niebie pełno jest znaków.

Holbein przyjrzał się bliżej. Nic nie zrozumiał z tych oznaczeń.

- Powiem ci tylko to, co jest istotne. Mamy początek Wagi, drugi stopień. - Kratzer wskazał mocno uproszczony rysunek szalek wagi. - Pierwszy stopień dotyczy walki. Przedstawia się go w postaci mężczyzny z oszczepem w obu rękach. Drugi stopień rysuje się jako kapłana z kadzielnicą, ponieważ uważa się, że Chrystus urodził się w drugim stopniu Wagi. Był to czas, kiedy ludzi najbardziej pochłaniała religia i walka. Teraz Jowisz. Też wiązany z Chrystusem, jako największa i najbardziej dobroczynna z planet. I widzisz, gdzie jest? - Palec przesunął w dół kwadratu. - Tu na dole, w trzecim domu, trzy stopnie od najniższego i najciemniejszego miejsca; najbardziej złowróźbna pozycja. W końcu Saturn - ciągnął Kratzer. - Planeta nieszczęścia i niepomyślności. Tutaj. - Palec wskazał górę. - W dziewiątym stopniu Raka. Wysoko, blisko środka nieba, czyli punktu kulminacyjnego. Dokładnie w czasie, kiedy planeta Chrystusa jest najniżej. - Wyprostował się, oczekując słów uznania. - Najgorszy układ, jaki można sobie wyobrazić - dodał niemal radosnym tonem.

Holbein się przyglądał i potakiwał; aż kręciło mu się w głowie od tych nowych pomysłów.

- Jest też mnóstwo innych rzeczy - powiedział Kratzer i pochyliwszy się, wyciągnął kolejną kartkę z sakwy Holbeina. Zaczął szkicować sześcioboczną figurę: heksagon.

Kiedy chłopiec się zjawił, by zabrać talerze i przynieść więcej piwa, na stole znajdowało się pół tuzina rysunków, z czego część oparta była o kufle: heksagony, szkice czaszek, zbieżne linie tworzące klin z nanieśioną w środku liczbą dwadzieścia siedem. Tym razem Holbein usłyszał kroki, oderwał się na chwilę i sięgnął do sakiewki po monetę dla chłopca. Ten z wdzięczności przyszedł po raz trzeci, żeby sprzątnąć kufle. Obaj mężczyźni w ubraniu spali już przy stole, chrapiąc donośnie; wokół nich i na podłodze walało się pełno rysunków, tak że pokój wyglądał, jakby przeszła przezeń burza śnieżna, zjawisko nienaturalne w lecie. Chłopak pokręcił głową, zgasił świecę i wyszedł z kuflami.

O wczesnym letnim świcie Kratzera i Holbeina obudził śpiew ptaków. Filozof jęknął i zakrył oczy dłońmi. Malarz pociągnął nosem, zrobił dwa chwiejne kroki w kierunku łóżka i upadł na materac, żeby jeszcze dospać.

Ale się nie dało. Dziesięć minut później, zdrętwiali i obolali, patrzyli na siebie mętным wzrokiem.

- Zgadza się, już rano - odezwał się Kratzer. - Nic na to nie poradzimy. Chodźmy rozejrzeć się za czymś do jedzenia. - Z trudem się pozbierali i wstali. Wtedy zobaczyli rysunki. Holbein aż się rozjaśnił na wspomnienie wczorajszego wieczoru.

- Warto było siedzieć do późna - pokiwał głową. - Dobra robota.

Tak głośno pogwizdywali, schodząc z papierami w rękach, że obudzili chłopca drzemiącego przy kuchennym palenisku. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Malowanie szybko posuwało się naprzód i nie było czasu na myślenie o innych sprawach. Kratzer tak często przychodził do Holbeina, że stary przyniósł drugie posłanie. O świcie wstawali i ochlapawszy się wodą na podwórzu, szli po chleb i piwo, po czym posilając się po drodze, wędrowali obok rozstawianych właśnie kramów do pałacu Bridewell. Skończyło się wystawanie pod kościołem Świętego Stefana i czekanie na Meg. Za późno szła się modlić; po prostu Holbein miał za wiele roboty. Rzadko też wracał pamięcią do tamtych ranków, zanim rozpoczął pracę nad obrazem. Czuł teraz niezwykłą lekkość, był szczęśliwy i tak pochłaniało go malowanie, że często zapominał o jedzeniu. Dopiero, kiedy z Kratzerem wracali w upalne popołudnie, a żołądek zaczynał boleć z głodu, nagle ogarniał go przemożny apetyt na chleb, ser i piwo. Ambasadorowie byli zachwyceni malarzem, astrologicznym wątkiem i niezwykłymi pomysłami. Wypożyczyli zieloną zasłonę, którą rozwieszono w tle. Mimo przynależności do stronnictwa katolickiego zgodzili się na umieszczenie w obrazie księgi hymnów Kratzera, otwartej na niemieckim tłumaczeniu Lutra *Veni Sanctus Spiritus*. Miało to zwrócić uwagę na ważną kwestię, jaką w tych czasach stanowiły różnice religijne.

Ambasadorowie zafascynowani byli opowieściami Kratzera przy kolejnych pucharach wina, kiedy malarz i jego modele odpoczywali między sesjami, o znaczeniu heksagonów i sześciokątnych figur, które Holbein wykorzystał w swoim dziele. Heksagony były szczególnie lubiane przez astrologów (pokazywały planety w harmonijnej koniunkcji) i przez alchemików (oznaczały harmonijną jedność z jednej strony Słońca, złota i Lwa, czyli królewskiej władzy, z drugiej - Księżycy, srebra i Kraba-Raka, czyli kobiecości; małżeństwo wyobrażały postaci króla i królowej, którzy trzymali kwiaty, a ich łodygi, wraz z trzecią łodygą w dziobie ptaka, tworzyły sześcioramienną gwiazdę, i taka sama, tylko większa gwiazda znajdowała się na górze obrazka). Heksagramy i gwiazdy pod stopami ambasadorów były namalowane w duchu dekoracji marmurowej posadzki w Opactwie Westminsterskim. Heksagon w centralnym punkcie posadzki w Westminsterze - gdzie król stoi podczas koronacji i zstępuje na niego Duch Święty - symbolizował sześć dni, podczas których Bóg stworzył wszechświat i wszystko, co go wypełnia. Heksagony Holbeina nawiązywały więc do istoty aktu stworzenia. W ten sposób malarz przedstawił działanie Ducha Świętego, głosząc nadzieję, iż rodzaj ludzki może dostąpi w końcu łaski jednakowego pojmowania Boga.

Ambasadorowie uśmiechali się, podziwiając pomysłowość Holbeina i Kratzera, z jaką zaakcentowali na obrazie liczbę dwadzieścia siedem i kąt dwudziestu siedmiu stopni, czyli wysokość Słońca w chwili śmierci Chrystusa owego pierwszego Wielkiego Piątku. Zażądali jedynie dokupienia jeszcze jednej deski do podobrazia, aby krucyfiks przy lewej krawędzi znajdował się z dala od astrologii. Malarz sam zamocował deskę, coraz bardziej dumny z kształtu, jaki przybierał obraz, a w duszy grało mu głośniejsze, niż śpiewały ptaki na dworze i krzyczeli chłopcy sprzedający na ulicy pierwsze truskawki.

Praca trwała kilka tygodni, drewno zostało już pokryte kolorem, a czerwony podkład pod szatę biskupa prawie wysechł, kiedy wpadli na kolejny pomysł. Holbein nie umiał powiedzieć, kto był jego autorem: na pewno nie de Dinteville, bo on akurat został wezwany do króla, a może gościł u niego medyk, co się czasem zdarzało; bez wątpienia jednak mieli w nim udział pozostali trzej. To była wielka przyjemność pracować z tymi ludźmi: inspirowali się wzajemnie i pobudzali do myślenia, zupełnie jak za dawnych czasów bywało z sir Thomasem i Erazmem. Można więc stwierdzić, że wszyscy byli twórcami tego projektu. Za to on wymyślił, w jaki sposób pokaże, iż ten świat to marność.

- A co z *memento mori*? - spytał Francuz, rozprostowując kości po stanowczo za długim staniu nieruchomo. - Czego tutaj użyjecie?

Wzrok Holbeina padł na czaszkę leżącą na stole wśród flaszeczek, papierów, słoików i kawałków tkanin. Czaszka to klasyczne przypomnienie śmierci i rozkładu; uświadomienie, że niczym są wiedza i władza wobec nieuchronności zgonu. Widz oprócz zachwyty powinien czuć także bojaźń bożą i respekt wobec końca, który nadejdzie. „Byłem tym, kim ty jesteś, ty będziesz tym, czym ja jestem - brzmiało przesłanie *memento mori*. - Módl się za mnie". Więc może jednak czaszka?

Nie był całkiem do tego przekonany. W jego uszach brzmiał jeszcze głos Meg, zachęcający go przed laty, aby zaskoczył ojca umieszczeniem mniej oczywistego *memento mori*; w portrecie Morusa do tego celu posłużył sznur wiszący obok zielonej zasłony. Kiedy portret ambasadorów zostanie ukończony, zamierzał pokazać go More'owi i Meg, aby w ten sposób usprawiedliwić się i przeprosić za to, że nie przyszedł do nich. Powinien zatem czymś ich zadziwić. Czy czaszka nie jest zbyt oczywista i czy ambasadorowie nie będą kręcić nosem na tak wyświechtane pomysły?

Wahał się i wtedy odezwał się biskup. To malarz zapamiętał.

- Mniemam, iż artysta o tak płodnej wyobraźni wymyśli coś naprawdę przejmującego jako *memento mori* - rzekł grzecznie. Była to wyraźna zachęta do wyjścia poza konwencjonalność, co Holbein postanowił wykorzystać.

- Mimo wszystkich sekretnych treści... bo wiele mówimy tu o religii i sprawach ducha... jest to obraz bardzo doczesny - zaczął Holbein. Czuł się dość niezręcznie, gdyż miał wrażenie, że posuwa się w stronę tabu; starannie więc dobierał słowa. - Jego temat... - tu skłonił się lekko - ...to szlachetni panowie piastujący wysokie stanowiska... Każdy, kto nań spojrzy, będzie pod wrażeniem zarówno ogromnej wiedzy, jak i wybitnej rangi...

Sam nie bardzo wiedział, do czego zmierza.

- I nie wiecie, jak nam przypomnieć, że nawet my, odziani w aksamity, szlachetnie urodzeni, też musimy kiedyś umrzeć? - zauważył de Selve: na jego młodej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. - Ależ, mistrzu Hansie, nie dajcie się zwieść próżnym splendorom doczesnego życia. Trudno mi mówić za mego znakomitego kolegę, ale zapewne czuje podobnie. A ja nigdy nie zapominam, iż pewnego dnia stanę przed moim Stwórcą. Przecież nasze ziemskie życie to nic innego jak uwięzienie w jaskini, gdzie cienie odbite na ścianie uważa się za rzeczywistość. Pragnąłbym, byście byli jako ten filozof, który wydobywa nas z jaskini i pokazuje prawdziwy świat.

Zaśmiał się, widząc zaskoczenie Holbeina.

- Tak, tak, mistrzu Hansie! Dotąd wasze dzieło pokazuje dwóch ludzi wpatrzonych w bardzo piękny cień w jaskini i biorących go za rzeczywistość. Spójrzcie tylko! - Podszedł z poszumem bogatych szat i stanawszy przy sztalugach obok malarza, wskazał kolejno wspaniałe aksamity, misternie cyzelowany sztylet de Dinteville'a i klejnoty zdobiące ubiór.

Zdobywszy się na śmiałość, Holbein też się uśmiechnął i rzekł z ulgą:

- To prawda. Obaj, panie, wyglądacie pięknie i godnie.

- A więc - ciągnął dalej biskup - przydałoby się *memento mori*, które usunie nas w cień i zepchnie na plan dalszy. Niech nam przypomina, że na nic te wszystkie ziemskie błahostki, że najważniejszy dla nas jest Bóg. Wykonaliście znakomitą robotę, ukazując nas jako ludzi w jaskini. Teraz wymyślcie coś naprawdę niezwykłego, by zgasić ziemską chwałę.

Wrócił na swoje miejsce.

- Bardzo jestem ciekaw, co wybieriecie - dodał. - Zapewniam was, że nie obrazimy się, cokolwiek to będzie. Nie mogę się doczekać przyjemności, jaką jest śledzenie toku waszych myśli.

Kratzer niecierpliwie wychylił się do przodu, zupełnie jak Holbein, kiedy przychodził mu do głowy ważny pomysł.

- Wiem - rzekł, biorąc do ręki czaszkę. - Chyba wiem. Trzeba znowu odwołać się do dwudziestu siedmiu stopni. Posłuchajcie! - Nie umiał rysować, ale był mistrzem matematycznych wyliczeń. Sięgnął po notatnik Holbeina i po chwili naszkicował postacie ukazane na obrazie - obu ambasadorów przy stole zapełnionym różnymi przedmiotami. Następnie grubszą linią poziomą podzielił rysunek na pół.

- Tu będzie dolna część - wyjaśnił. - A tu górna.

Za pomocą odpowiedniego przyrządu wyznaczył drugą linię, odchodzącą w lewo w górę od tej pierwszej - razem tworzyły zarys klina. Kończyła się ona przy lewej krawędzi obrazu, dokładnie w miejscu, gdzie na wpół zakryty zasłoną znajdował się krucyfiks.

- Doskonale - stwierdził z satysfakcją. - Już tłumaczę, o co chodzi. Stojąc z prawej strony obrazu i wiodąc wzrokiem w górę wzdłuż tej linii, dochodzi się do krucyfiks... nadziei na Boga, na wieczność i na zbawienie... mimo że jest częściowo zasłonięty i ledwo widoczny. *Memento mori* powinno być tego przeciwstawieniem; należy je umieścić na linii biegnącej pod tym samym kątem, ale w dół. Przeciwiństwo nadziei zbawienia. To coś... powinno być tutaj. - Narysował linię w dół, wtedy powstał drugi klin; kończyła się ona w miejscu poniżej stóp jednej z postaci.

- Mówiąc szczerze - odezwał się Holbein, coraz lepiej pojmując zamysł przyjaciela i w nagłym przebiegu geniuszu rozumiejąc, jak można tego dokonać. - Nie umiem wymyślić tu nic lepszego niż czaszka.

Ale czaszka nienamalowana w zwykły sposób. Malarz był już niemal pewien, co należy zrobić. W młodości wiele czasu poświęcał na ćwiczenie rysunku i wypróbował każdą niemal perspektywiczną sztuczkę. W duchu podziękował za to Bogu i ciepło pomyślał o ojcu, który zmusił go do długiego terminowania.

Przerwali malowanie i posłali służącego po kawałek dobrego, cienkiego szkła. Biskup mógł w tym czasie wrócić do swoich spraw, ale za bardzo był zaintrygowany rozgorączkowaniem Holbeina, aby ich opuścić.

Gdy służący wrócił, Holbein zmieszał farby potrzebne do namalowania dobrze mu znanego rekwizytu: czaszkę tworzyły brzozy, szarości i cienie. Aż go ręce świerzbiły, żeby zacząć. Nakreślił na szkłe linie - cienie

oczodołów, świętego nosa i szczęki. Niemal kłął pod nosem ze zniecierpliwienia, że musi czekać, aż farba wyschnie. Kratzer i biskup, nie chcąc przeszkadzać i zakłócać twórczego procesu, stali przy oknie, obserwując, co się dzieje na zewnątrz; tylko od czasu do czasu odwracali się, by spojrzeć na malarza.

- Potrzebna mi jest świeca - powiedział Holbein.

Podszedł do okna, ale nie po to, by dołączyć do tamtych, tylko żeby zasunąć zasłony.

W komnacie zapadł półmrok. Malarz wrócił do sztalug; za nim podeszli biskup i astronom. Odmierzył kąt dwadzieścia siedem stopni i wytyczył linię biegnącą od prawej strony obrazu do krucyfiksu. Zaczynała się ona poniżej połowy wysokości malowidła, mniej więcej na poziomie kolan biskupa. Z tego samego punktu odmierzył dwadzieścia siedem stopni i pociągnął odręcznie cieniuteńką (w końcu tak za nic nie nazywali go Apellesem), idealnie równą linię kończącą się w lewym dolnym rogu obrazu. Zapalił świecę.

- Trzymaj! - rzucił szorstko. Kratzer wziął od niego świecę, Holbein pod odpowiednim kątem ustawił przed obrazem szkło z narysowaną czaszką. - Przysuń świecę do szkła! - polecił, a wtedy podświetlona czaszka rzuciła na obraz wydłużony cień pod kątem dwudziestu siedmiu stopni. Biskup podeszedł bliżej.

- Patrzcie! - rzekł Holbein.

Aż westchnęli. Oto najbardziej niezwykle *memento mori*, jakie można sobie wyobrazić: zniekształcony cień czaszki, padający pod kątem dwudziestu siedmiu stopni. Tajemniczy, połyskliwy, nieco złowrogi kształt, robiący na widzu niesamowite wrażenie. Gdy wzrok i umysł oswoiły się z tym widokiem, należało stanąć nieco z boku i spojrzeć pod odpowiednim kątem; wtedy widziało się czaszkę, natomiast pierwsza tematyczna warstwa obrazu - ambasadorowie - schodziła na plan dalszy; świat realny stawał się nieistotnymi płaskimi plamami kolorów, które niemal dosłownie znikwały z pola widzenia, tak silnie przyciągała oczy dziwna, prowokująca zagadka *memento mori*. Stało się w obliczu świętych tajemnic, niezależnie od tego, czy wzrok biegł w górę, do zakrytej, pełnej cierpienia obecności zwiastującej życie wieczne, czy też w dół, do zniekształconego pewnika śmierci.

- Namaluję to tak, dobrze? - Znał już odpowiedź.

- Tak - krótko odparł Kratzer.

- Genialne! - stwierdził biskup.

- Chodź, przytrzymaj świecę, żebym ja też mógł spojrzeć! - polecił niecierpliwie Kratzer. Zamienili się miejscami. Zasłoniwszy jedno oko, astronom podnosił i schylał głowę, aż trafił na odpowiedni punkt. Oglądana stąd czaszka przybierała swą prawdziwą postać i wtedy stawała się jedynym realnie odwzorowanym przedmiotem na obrazie.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Tak - rzekł. - *Oui, oui, oui!* To jest to! Będzie to najbardziej niezwykły obraz, jaki kiedykolwiek powstał. Jesteś geniuszem, mój przyjacielu!

Przez jeden cudowny moment Holbein tak właśnie się czuł. Każdy starannie przemyślany, przedyskutowany z Kratzerem detal zawierał to samo poważne przesłanie: świat, niegdyś połączony religijną harmonią, rozrywany jest teraz bratobójczymi walkami i sporami politycznymi. O tym rozdarciu bożego wszechświata mówią przedmioty związane z życiem doczesnym. Malarz dojrzał najgłębszą prawdę i ukazał ją.

Znacznie później tego popołudnia - po wstąpieniu z Kratzerem do piwiarni dla uczczenia sukcesu - Holbein wracał w stronę Ludgate Hill do swojej kwatery. Sam. Kiedy wychodzili, Kratzerowi odbiło się sennie i oznajmił, że najwyższy czas choć raz przespać się we własnym łóżku; pachniał też niezbyt zachęcająco, co by się wiązało z koniecznością zmiany bielizny. „Dziś wieczorem nie musisz już ze mną gadać - wybełkotał. - Obraz jest gotowy”. I powędrował uliczką w stronę rzeki. A Holbein szedł brudnymi ulicami, odprowadzany pijackimi wrzaskami i śpiewem słowików. W sercu też mu śpiewało. Nikt nie wpadł na ukrytą symbolikę, którą obmyślił na początku, a przecież to takie proste. Mocno zaakcentowane linie diagonalne, tworzące kompozycję, zbiegały się w szatach de Selve'a, a te były w kolorze morwy. Bo właśnie chodziło o morwę - po łacinie *morus*, jak drzewo, które sir Thomas miał w swoim ogrodzie i w swoim herbie, oraz o jego łacińskie miano. A zatem obraz powinien wywoływać skojarzenia z More'em, bo *memento mori* można tłumaczyć nie tylko jak „pamiętaj o śmierci”, lecz także „pamiętaj o Morusie”. Do tego zmierzał od samego początku, dopiero potem podjął tę niezwykle intelektualną grę z Kratzerem i Francuzami. Ponieważ przybyło wiele nowych warstw znaczeniowych i obraz wzbogacił wspólny wysiłek czterech wybitnych umysłów, tryumf zapowiadał się wspaniały. Uśmiechnął się, obchodząc dokoła katedrę, i z radością wciągnął w płuca ciepłe, wonne powietrze. Trzeba więcej się ruszać, pomyślał. Niedobrze, gdy się traci oddech przy podejściu pod taką małą górkę.

Skrećając w Maiden Lane, zauważył wysoką, szczupłą postać w płaszczu, która nagle oderwała się od muru niedaleko jego domu. W letnie wieczory chodziło tu wiele osób, z początku więc nie zwrócił uwagi na lekkie kroki szybko podążające za nim.

Po jakimś czasie się zaniepokoił. Ulica była pusta i żadnej szansy na pomoc, gdyby śledził go jakiś opryszek. Odwrócił się, gotów do walki.

Gdy zobaczył, kto patrzy spod kaptura szeroko otwartymi oczami, stanął jak wryty. Była to twarz osoby dobrze urodzonej, twarz z jego marzeń, choć dziwnie obca; twarz kobiety mającą niewyraźnie w świetle zmierzchu.

Zamarł, serce głośno mu biło. Nagle usłyszał własny chrapliwy głos. Kiedy powietrze weszło do płuc, uświadomił sobie, że w ogóle nie oddychał przez kilka długich sekund.

Całkowicie bezwiednie wyartykułował jedno słowo:

- Meg...?

Nim zdążył się poruszyć i chwycić ją za ramię, nieznajoma z twarzą Meg obróciła się na pięcie i uciekła; po chwili zniknęła w mroku. Hansowi Holbeinowi zawirowało w głowie. Przecież to nie mogła być ona! Jakim cudem? A może ma zwidy - umysł płata mu figle? Tego się nigdy nie dowie. Był lekko pijany, samotny na Maiden Lane pod rozgwieżdżonym niebem i jedyne, co mu zostało - to niepewność.

Kiedy zobaczyłam go pod domem następnego ranka, jakby wcale nie przestał przychodzić, moje serce przeszła niezwykła radość, a dusza skąpała się w żywym słońcu.

Chciało mi się śmiać: przekonany, że znalazł świetną kryjówkę, podglądał mnie, jak idę do kościoła. Typowe dla mistrza Hansa. Wydawało mu się, że gdy stanie przy publicznym ustępie, jakby miał zaraz załatwić naturalną potrzebę, to dama go nie zobaczy, bo jakże by mogła patrzeć na tak przyziemną i fizyczną czynność. Pierwszy raz ujrzałam go tam prawie rok temu, śledzącego mnie ukradkiem spod jasnych rzęs, i tak bardzo mnie tym rozbawił, że musiałam zasłonić twarz modlitewnikiem. Możliwe, że ten śmiech wynikał także z ulgi, iż wreszcie się zjawiał, choć niezdecydowany, pełen rozterek i wahań; tak był wystraszony niełaską, w jaką popadła nasza rodzina, że bał się do mnie podejść i przywitać. Jednak przynajmniej miałam sygnał, że pragnąłby kontynuować dawną przyjaźń z czasów, zanim niebezpieczne się stało nawet wystawanie pod naszym domem. Jego widok, choć zabawny, sprawiał mi dziwną radość. Zapewne nie przyznałabym się do tego przed sobą, ale widząc go co rano na posterunku, zaczęłam staranniej się ubierać, wychodząc do kościoła. Nie tylko bardziej dbałam o strój, lecz także przybierałam wyraz smutnego zamyślenia; chciałam mu się wydać szczuplejszą, bledszą niż dawniej i nieszczęśliwą. Mijając go, wdychałam. Nie musiałam zresztą za bardzo udawać; miałam w końcu powody, żeby wdychać i zamyślać się. Nie wiedzieć czemu, przyjemnie mi było, że ktoś na mnie patrzy, gdy jestem w nie najlepszym nastroju.

Pewnego wiosennego poranka nie pojawił się, w co trudno było mi uwierzyć. Nie zobaczyłam go ani następnego dnia, ani przez kilka kolejnych dni. Po prostu przestał przychodzić. Codziennie szukałam go wzrokiem, przerażona uczuciem pustki, jakie budziła myśl, że odszedł. I choćbym nie wiem jak uważnie się rozglądała, nie było go, i tyle.

Może nie powinno mnie dziwić, że Davy go znał. On bowiem wiedział wszystko. Któregoś dnia podszedł do mnie na ulicy, gdy po wyjściu z kościoła jak zwykle się rozglądałam.

- Wasz wielbiciel przestał przychodzić. - Przechylił głowę i spojrzał na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami, jakbym nie wiedziała, o czym mówi, ale patrzyłam na niego życzliwie. Ostatnio rzadko z nim rozmawiałam - nie kupowałam lekarstw i bez pilnej potrzeby nie wychodziłam z domu, niewiele więc było okazji do spotkań; ze względu na niełaskę, w jaką popadła nasza rodzina, wołałam trzymać się z dala od ludzi, żeby nie usłyszeć czegoś nieprzyjemnego. Davy też nie starał się podtrzymywać naszej znajomości. Przypuszczałam, że gdy ojciec przestał pełnić swój urząd, Davy uznał, iż nie warto już - tak jak przedtem - nawracać mnie na herezję. Widząc mnie na ulicy z Kate, nigdy nie dał po sobie poznać, że wie coś o pomocy niesionej jego współbraciom. Wprawdzie wychodziłam z domu rzadziej niż kiedyś, ale nadal odwiedzałam chorych luteran, bo oni teraz mniej bali się władz, tak że nawet nie kryli się po domach wśród bliskich. Poza tym nie chciałam narażać rodziny na kolejne niebezpieczeństwa; i bez tego sprawy miały się źle. Ale że nie chciałam zrywać kontaktu z moją pomocnicą Kate o dobrych szarych oczach, gotową do prawdziwych poświęceń, leczyłam też ludzi spoza kręgu współwyznawców Davy'ego. Zabierałam Kate ze sobą, gdy szłam opatrywać wrzody biedaków w kościele Świętego Stefana czy zanosić rosół biednym staruszkom. W mojej sytuacji dobrze było zasłużyć sobie na

ludzką wdzięczność, a mając tak niewielu przyjaciół, lepiej nie traktować za bardzo z góry ulicznych kramarzy, nawet jeśli byli zuchwali.

- Mówię o mistrzu Hansie Holbeinie - ciągnął Davy, kiwając lekko głową i uważnie mi się przyglądając. Nawet nie drgnęłam na wzmiankę o malarzu; pomyślałam tylko, że Davy przypomina miejskiego ptaka, wróbla lub kruka. Ćwierka, stroszy brudne piórka, łypie sprytnie spod oka i nagle okazuje się, że jest niezwykle mądry. - Mieszka przy Maiden Lane - machnął ręką w kierunku katedry. - Nie dziwota, że nie ma teraz czasu. Maluje francuskich ambasadorów. Od samego rana.

Francuski ambasador mieszkał w pałacu Bridewell, jeszcze dalej na zachód niż Maiden Lane.

- O! - powiedziałam z ulgą i poczułam, że się czerwienię.

Davy tajemniczo się uśmiechnął, spoglądając na swoje stopy.

- Miło się rozmawiało, pani Meg - stwierdził i oddalił się, nie oglądając się za siebie. Później sporo myślałam o tej rozmowie, rozważając, co za interes miał Davy - jeśli działał jako prowokator któregoś z wrogów ojca, o co można go było podejrzewać - przekazując mi tę jakże ważną dla mnie informację. Jedyнным możliwym wyjaśnieniem wydawało się to, że po prostu był mi życzliwy. Czyżby rzeczywiście mi współczuł? A może byłam naiwna?

Dużo rzeczy było wtedy dziwnych i trudnych do wytłumaczenia. Być może to wiosna tak na mnie działała, a może też lęk o ojca i rodzinę wyciskał na wszystkim swoje piętno. Niedobrze, że nie miałam z kim porozmawiać, ale dawni przyjaciele trzymali się na dystans, a służący łatwo się obrażali i odchodzili szybciej, niż nadażałam z zatrudnieniem nowych. John zaś wiele czasu spędzał poza domem, zresztą nasza miłość straciła dawną niewinność: staliśmy się przewrażliwieni i nieufni. Na szczęście skończyły się już te wiosenne tygodnie wrogości i staraliśmy się być dla siebie mili i uprzejmi. Dręczyły mnie jednak wyrzuty sumienia i usiłowałam wynagrodzić mu jakoś moją zdradę. Sama nie wiedziałam, co robić, by smutek zniknął z jego twarzy. Kiedy go przeproszałam, uśmiechał się łagodnie i mówił: „To nieważne, nie przejmuj się, Meg. Tak musiało się stać prędzej czy później”. W jego słowach była dobroć i życzliwość, ale brakowało dawnego ciepła. Próbowалам więc subtelniejszych sposobów. Ucierałam dla niego lekarstwa, haftowałam mu bieliznę, wkładałam lawendę do jego szuflad. Za każdy taki gest dziękował mi zamyślonym, nieobecny uśmiechem i zaledwie serdecznym pocałunkiem w czoło lub policzek. Ale choć od powrotu z Chelsea znowu spał ze mną, leżał zawsze na samym skraju łoża, jak najdalej ode mnie, odwrócony plecami. Zupełnie nie wiedziałam, co czuje. Wymiana zdań przy posiłkach, których przygotowania doglądałam z większym staraniem niż kiedykolwiek, była sporadyczna i krótka. Znacznie wcześniej niż kiedyś wychodził do doktora Buttsa i nigdy nie zapraszał go do nas. Jak mogłam go kiedyś tak oskarżać? Gdy minął strach, że mój mąż ma jeszcze jakieś sekrety, które mogą sprawić mi ból, z całego serca pragnęłam uciec od problemów w świat naszej miłości, ale najpierw musiałam go odzyskać. Często beznadziejne wydawało mi się to usiłowanie, by znaleźć jakieś wyjście, by wreszcie zostawić za sobą żal, skruchę, pokutę i zniechęcenie; tak niewielka była szansa na powodzenie i tak trudna do zniesienia myśl, że przez własną głupotę doprowadziłam do tej sytuacji.

Nadzieją natchnęła mnie usłyszana przypadkiem rozmowa Johna z doktorem Buttsem pod moim oknem, gdy pewnego wieczoru, stojąc przy koniach, żegnali się przyciszonym głosem.

- Przekaż pozdrowienia swej uroczej żonie, drogi chłopcze - usłyszałam przyjazne słowa doktora, więc nastawiłam uszu, ciekawa odpowiedzi Johna. Podeszłam nawet bliżej okna, tak jednak, by oni mnie nie widzieli. - Mam nadzieję, że miewa się dobrze?

Pewnie się dziwił, że go już nie zapraszamy, i chciał wybadać, dlaczego. Może ten dobry, szlachetny człowiek obwiniał za to siebie, bo na przykład myślał, że kogoś uraził. Myśl ta raniła mi serce.

- Owszem, dziękuję - odparł cicho John. - Oczywiście nikomu teraz nie jest łatwo. Takie czasy. - Zaśmiał się, bardziej do siebie niż do doktora Buttsa, ale autentycznie ciepło. - Uczę się, doktorze, że małżeństwo przypomina nieco sztukę medyczną - ciągnął. - Otwarcie serca, zarówno przed żoną, jak i przed lekarzem, przynosi nieunikniony ból, wstyd i rozczarowanie. Na szczęście proces leczniczy jest bardzo podobny w obu przypadkach. Jeśli się wierzy w lekarstwo i naprawdę stara wyzdrowieć, to w końcu może się udać. - Obaj się zaśmiali, a Butts poklepał Johna po ramieniu i odjechał. Z bijącym sercem zastanawiałam się, czy to znaczyło, że John mi przebaczy, kiedy rana się zagoi. A może gojenie już się zaczęło i trzeba tylko czekać?

- Musimy cię zaprosić, doktorze, na wieczerzę! - zawołał za nim John, gdy doktor się oddalał. - Niebawem.

W tym czasie wielką pociechą był dla mnie Tommy, słodki czterolatek o brzoskwiniowej cerze, zgrabnym nosku - który kiedyś będzie tak duży jak orli nos ojca - i o ładnych rękach, też po Johnie; sepleniący i biegnący żywo po ogrodzie. Ale czy będą następne dzieci, jeśli John znów mnie zapragnie, nie mogłam wiedzieć. Choć dawka poleju, którą zażyłam, gdy w gniewie próbowałam pozbyć się z łona jego dziecka, była nieduża, wywołała spore krwawienie i utrzymujący się potem ból. Nie miałam takiej wiedzy medycznej, żeby siebie z tego wyleczyć. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że dolegliwość ta, podobnie jak wiele innych rzeczy w moim życiu, sama przejdzie. Nic więc dziwnego, że wszystko wtedy wydawało mi się trudne. Analiza faktów stała się zbyt skomplikowana dla mego przemęczonego umysłu.

I może dlatego tak bardzo brakowało mi widoku mistrza Hansa, zerkającego na mnie nieśmiało spod oka. Toteż pewnego wieczoru zaryzykowałam i poszłam na Maiden Lane. Tęskniłam za prostotą i radosną pasją życia, którą on miał w sobie. Jeśli mam być szczerą, udałam się tam kilkakrotnie. Wiosna przechodziła właśnie w lato; mówiłam służącej, że idę rozprostować nogi, gdyby pan spytał, gdzie jestem, i wymykałam się o ciepłym zmierzchu.

Dopiero za trzecim czy czwartym razem dojrzałam w mroku jego plecy i w ten sposób dowiedziałam się, gdzie mieszka. Kiedy tylko udało mi się wymknąć z domu, niby przypadkiem chodziłam tamtędy. Czasami widziałam z daleka jego barczystą, budzącą zaufanie postać. Nigdzie mi się nie śpieszyło. Miałam przynajmniej zajęcie, coś, co trzymało mnie przy życiu.

Tamtego wieczoru zrobiłabym wszystko, by uniknąć naszego niespodziewanego spotkania. Naprawdę wszystko. Pobiegłam potem do domu z sercem bijącym tak, jakby za chwilę miało mi wyskoczyć, i z gardłem zdławionym wstydem. Nie położyłam się spać, tylko dopóki miasto nie ucichło - nie licząc rozlegających się od czasu do czasu niepewnych kroków jakiegoś pijaka - spacerowałam po ciemnym ogrodzie, przemykając oczy z zażenowaniem na wspomnienie dotyku jego rąk, spojrzenia jego oczu i głosu, nieco bełkotliwego i pijanego, szepczącego: „Meg...?”.

A jednak dzięki temu stało się coś dobrego. Następnego ranka przyszedł. Zobaczyłam go z okna, jak stał przed kościołem, jeszcze zanim dzwony zaczęły bić na jutrznię. Nie chował się i nie zamierzał udawać, że mnie nie widzi. Wyglądał dokładnie tak jak kiedyś: rudy, barczysty, silny, gotów do działania, ale i trochę nie-swoj. Ujął mnie tą nieśmiałością za serce, które i tak ostatnio zachowywało się jak oszalałe.

- Tommy dziś zamiast iść ze mną do kościoła pobaw się w ogrodzie. Taki piękny poranek. - Wyjęłam mego ślicznego ciemnowłosego synka z łóżeczka i mocno przytuliłam. Jakże kochałam tę drobną, najmilszą istotkę.

- Ale ja lubię iść z tobą na jutrznię, mamusiu - zaseplenił z oburzeniem ciekim głosikiem. - *Pater noster quis es in caelis*. Umiem to.

Pocałowałam go w główkę, postawiłam na ziemi i wsunęłam jego rączkę w dłoń piastunki.

- Wiem, kochanie. Ale dzisiaj zostaniesz z Jennet i podlejecie jabłonie. Zobacysz, jaki pyszny placek z jabłkami upieczemy jesienią. - Kiedy wyszli, dręczona poczuciem winy spojrzalam w lustro wiszące na ścianie. Zniknęła bladeść i skrywany strach trawiący mnie przez ostatnie dni, a na policzkach pojawił się rumieniec, zapewne - jak się obawiałam - z podekscytowania. Błyszczące oczy, różowe usta - tak ładnie nie wyglądałam od miesięcy.

Nim wzięłam modlitewnik, skropiłam dłonie wodą różaną. Zrobiłam to odruchowo, przysięgam, nie miałam takiego zamiaru. Pobiegłam na mszę, ledwo stopami dotykając ziemi. Sama nie umiałam sobie wytłumaczyć, dlaczego czuję się, jakbym płynęła w powietrzu.

Idąc do kościoła, udałam, że go nie widzę. W promieniach porannego słońca, w ślicznym białym koronkowym czepku, ze skromnie spuszczonego wzrokiem musiałam wyglądać jak uduchowiona. Wcale nie było to udawane. Naprawdę chciałam się skupić i zebrać w sobie przed spotkaniem z Bogiem.

Właśnie wtedy, w zaciszu kościoła, wśród świateł, cieni i oparów kadzidła, w atmosferze sacrum i spokoju, postanowiłam podjąć wyzwanie. Gdy wyszłam, nieco oślepią słońcem blaskiem, na ulicy było znacznie więcej przechodniów, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Spojrzałam w kierunku czekającej postaci. Malarz zaczerwienił się mocno, co szczególnie rzucało się w oczy przy jasnych włosach.

- Mistrz Hans! - wykrzyknęłam, trochę zbyt obcesowo i nieco teatralnie, ale z przyjacielskim błyskiem w oku zaprzeczającym wszelkiej złośliwości. - Jesteście znów w Londynie! Co za niespodzianka!

Stał jak rażony gromem, jakby się zamienił w kamień. Tylko że jego duża, mięsista twarz - podobna do twarzy dziecka, przypominająca dorosłą wersję buzi Tommy'ego - była zbyt szczerą i otwartą, aby ukryć emocje szalejące w sercu. Zobaczyłam na niej lęk i zażenowanie. Oczy miał szeroko otwarte, był spięty, nerwowo zagryzał wargę.

Było mi wszystko jedno. Dzięki strachowi i życiu w mroku królewskiej niełaski dowiedziałam się prawdy o tym, jak ludzie starannie kalkulują, z kim należy utrzymywać stosunki, a z kim nie, gdy chce się do czegoś dojść. Niemal każdy stara się utrzymać na fali, aby nie padł na niego cień cudzego nieszczęścia, mogący zaszkodzić. Póki nie zaczęły się nasze kłopoty, w ogóle o tym nie myślałam; jakież spokojne wiedliśmy życie! Teraz, patrząc na mistrza Hansa, serdecznie współczułam mu rozterek.

A jednak przewyciężył strach i ruszył w moją stronę, wyciągając ręce, jakby chciał mnie objąć, a na jego obliczu wykwitła czysta, niewinna radość.

- Pani Meg! - zawołał, szeroko otwierając ramiona. Stał tuż przede mną tak blisko, że poczułam dobrze mi znany zapach farby. Jednak nie odważył się mnie uściskać. - Przyszedłem... - zamilkł, znów się zaczerwienił i niepewnie przestąpił z nogi na nogę. - Jestem tu...

Kiedyś, jak sobie z nostalgią przypomniałam, uważałam jego niezbyt dworną bezpośredniość za nieokrzesanie, czasem w sposób niezamierzony zabawne. Ale żyjąc wśród sekretów we własnej rodzinie, ukrywanych za pomocą gładkich słówek i płytkich rozmów, a także mając świadomość, jak wiele osób odsunęło się od nas, cieszyłam się, że spotkałam szczerego, a przy tym mądrego człowieka, który w dodatku nie boi się okazać swoich uczuć.

- Przyznam się wam do czegoś, mistrzu Hansie - odezwałam się łagodnie. Jego zmieszanie pozwoliło mi poczuć się panią sytuacji do tego stopnia, że ośmieliłam się dotknąć jego ramienia. Sprawilo mi to przyjemność, zwłaszcza że lekko drgnął, a więc mój dotyk wywarł na nim wrażenie. - Widziałam was na ulicy. Wiedziałam, że tu jesteście.

Kolejna fala purpury. Znów otworzył usta i tylko wciągnął powietrze. Czyżby uświadomił sobie, że od miesięcy go śledzę, podobnie jak przedtem on mnie? Nabierałam coraz większej pewności, wręcz czułam się lekko rozbawiona, patrząc na niego.

- Zeszłej nocy, tak? - spytał szybko, a wtedy mnie z kolei ogarnęła gorąca fala. Zupełnie zapomniałam o ostatniej nocy. Albo może nie spodziewałam się, że on tak otwarcie o tym powie. - Na Maiden Lane? To byliście wy?

- Ja... zeszłej nocy? - Staralam się zyskać na czasie. - Na Maiden Lane?

Zamierzałam zaprzeczyć. Udawanie weszło mi już w krew. Ale wpatrzone we mnie oczy i tak wiedziały. Wymigiwanie się od prawdy zupełnie nie pasowało do naszego spotkania.

- Wielkie nieba! To byliście wy? - Próbowałam uśmiechnąć się lekko. - A ja myślałam, że to jakiś rzeźmieszek. Tak się wystraszyłam, że uciekłam, nie oglądając się za siebie... - Nie brzmiało to przekonywająco. Oboje pamiętaliśmy ten moment, kiedy nasze oczy się spotkały. - Wracalam ze mszy u Świętego Pawła - ciągnęłam z wahaniem, ostrożnie zmierzając w kierunku prawdy. Też niezbyt fortunnie, wypaliłam więc z pełnym zakłopotania pośpiechem: - Dowiedziałam się, że mieszkacie gdzieś w tej okolicy, więc pomyślałam, że rzucę okiem...

Dosłownie zamarłam, widząc radość na jego twarzy.

- Przyszliście zobaczyć, gdzie mieszkam? - Zapomniał ściszyć głos, aż obejrzał się za nami jakiś przechodzień. - Naprawdę?

- Zaintrygowało mnie, że od roku mieszkacie tak blisko, a nie pokazaliście się jeszcze! - Wpadłam w lekką panikę i poczułam się bezpieczniej, przechodząc do ataku.

Pokiwał, potem pokręcił głową i czubkiem jednego buta potarł o drugi.

- Tak. - Widać było, że jest mu wstyd. - Wiem. Zaraz wyjaśnię... pewnie myślicie... Erazm mówił, żeby przyjsć od razu... Najpierw chciałem się urządzić... dokonać czegoś... żebyście dobrze o mnie myśleli...

Mówił już lepiej po angielsku. Miał nawet lekko londyński nosowy zaśpiew. I angielskiej hipokryzji też się nauczył: ani słowem się nie zająknął o kłopotach ojca. Starannie omijał ten bolesny temat, jak również kwestię, w jakim stopniu kłopoty te miały wpływ na odkładanie wizyty u nas.

- Ale przyszedłem teraz - rzekł ochoczo jak rozhasany szczeniak i aż rozjaśnił się cały. Nagle przypomniał sobie, co natchnęło go śmiałością, by przyjść. - Chcę wam coś pokazać. Moje nowe dzieło, z którego jestem dumny. Myślę, że się wam spodoba. - Zamilkł na chwilę. - I waszemu mężowi też, oczywiście - dodał niechętnie. Wziął głęboki oddech i wyprostował się. - Proszę... wszystkich... do mnie. Pokażę obraz.

Byłam mu szczerze wdzięczna za zaproszenie.

- Z wielką chęcią przyjdziemy - zapewniłam, licząc na to, że mój uśmiech i ciepłe słowa znów wywołają na jego twarzy wyraz błogości. - Naprawdę.

Rozpromienił się jeszcze bardziej, a jego oczy błyszczały radością. Po chwili się opamiętał, jakby nasza rozmowa była jakimś rozkosznym snem na jawie, w który się zaplątał, i teraz był czas wracać do rzeczywistości. Rozejrzał się, spojrzął w niebo, zrobił krok do tyłu i skłonił się, jakby śpieszno mu było odejść.

- Mistrzu Hansie... - Rozumiałam, co zamierza, a nie chciałam jeszcze kończyć rozmowy, która przypominała mi dawne dobre czasy i budziła za nimi tęsknotę. - Może zechcecie wejść i wychylić ze mną szklaneczkę czegoś dobrego? Mamy tyle do opowiadania po tak długim niewidzeniu. Bardzo chciałam was spytać o wszystko, co robiliście przez ten czas. - Zawiesiłam głos z nadzieją. (Czy zawsze umiałam tak flirtować, czy też dopiero teraz się tego nauczyłam?).

- Powinienem iść - zażenowany rzucił szybko, co wypadło dość gburowato. Niespokojnie spojrzął na drzwi mego domu. Uraził mnie tą odmową, lecz nagle zrozumiałam, że on po prostu nie chce się znaleźć w mojej małżeńskiej rzeczywistości. Poczułam ucisk w gardle. - Praca - dodał niepewnie. - A i tak zająłem wam sporo czasu.

Z ociąganiem zbierał się do odejścia, mrużąc oczy w słońcu.

- Cieszę się z naszego spotkania, pani Meg - rzekł niezręcznie. - Niedziela w południe? - I zanim zdążyłam odpowiedzieć, odwrócił się i odszedł niemal biegiem.

Bardzo starannie obmyśliłam niedzielną wizytę. Johnowi oznajmiłam, że idę z ojcem na mszę do Świętego Pawła, więc mój mąż został z dzieckiem w domu. Ojca przekonałam, że John nie może pójść z nami. O wizycie u mistrza Hansa poinformowałam go dopiero na Maiden Lane w drodze powrotnej z kościoła. Nie chciałam oszukiwać Johna, ale uznałam, że mistrz Hans będzie się czuł swobodniej, jeśli przyjdziemy tylko z ojcem.

- Nasz stary dobry przyjaciel Hans Holbein! - powiedział ojciec cicho, ale z wyraźną przyjemnością. - Co za niespodzianka! - Musiał wiedzieć, że wykonał portret nie tylko zaprzyjaźnionego z nami Thomasa Elyota*, ale także niemal wszystkich naszych wrogów z kręgu Boleynów, jako że nastała moda na portrety. Ale nie poruszył tego tematu, tylko nucił sobie coś pod nosem, idąc w ciepłym czerwcowym słońcu. Wyglądał blade i przypominały mi się słowa jejmości Alice zaniepokojonej jego bólami w piersi i bezsennością. Nie ośmieliłam się jednak spytać ojca o to wprost, bo uraziłabym jego dumę.

* Sir Thomas Elyot (ok. 1490-1546), humanista, tłumacz, polityk, autor dzieł o sztuce rządzenia, wychowaniu i medycynie, bywał gościem w domu Morusa.

Mistrz Hans, który czekał na nas na rogu ulicy, był nieco skrepowany. Na nasz widok twarz mu się rozjaśniła i głęboko skłonił się przed ojcem (ciekawe, czy zauważył, że ojciec skurczył się w sobie, schudł i zeszcupłał na twarzy, a w gęstych ciemnych włosach pojawiły się siwe nitki). Rozpromienił się też, widząc uśmiech ojca - jak zawsze dobrotliwy i uroczy. Szybko wprowadził nas do środka, a ja pomyślałam, że pewnie woli nie pokazywać się z nami na ulicy. Mieszkał na piętrze, dokąd docierało się ciemnymi, brudnymi schodami. W domu panowała cisza, nie czuło się też kuchennych zapachów.

- Wszyscy wyszli - wyjaśnił, prowadząc nas na górę. - To znaczy gospodarz i jego syn, który mi służy. Ale zostawili jedzenie.

Na stole czekał chleb, ser i wołowina na drewnianych półmiskach oraz dzban piwa. Cyna była świeżo wypolerowana, w osobnym dzbanku stał bukiet małych polnych kwiatów na patykowatych łożkach; ktoś w tym męskim gospodarstwie zadał sobie sporo trudu. Jedzenia było dużo jak na trzy osoby. Mistrz Hans wprowadził mógł wiele pochłonać, natomiast mnie z tego napięcia apetyt odszedł całkowicie, a ojciec zawsze był powściągliwy przy stole.

Ale tylko ja dostrzegłam te wszystkie szczegóły i zastanawiałam się, jak będzie przebiegało nasze spotkanie. Mistrz Hans był całkowicie zaabsorbowany obrazem.

- To właśnie chciałbym pokazać - rzekł niecierpliwie. Nie powiedział żadnych grzeczności ani komplementów, tylko ujął ojca pod łokieć i zaprowadził do ściany, na którą słońce o tej porze dnia padało z ukosa. Obraz był duży, prostokątny, wyższy od człowieka. Postawiony na ławie, odbijał się wyraźnie żywymi barwami na tle brudnej ściany. Przedstawiał stojących przy stole dwóch mężczyzn w dworskich szatach.

W ciszy patrzyliśmy na obraz. Technicznie wydał mi się znacznie doskonalszy niż wcześniejsze dzieła mistrza. Ale było w nim coś nowego, co nie bardzo mi się podobało: brakowało dawnej bezpośredniości i prostoty; ich miejsce zajęła jakaś wyrafinowana mądrość kryjąca sekrety. Wyczuwałam je, ale nie wiedziałam jeszcze, czego one dotyczą. Kompozycja robiła wrażenie przeładowanej; środkowa część zatłoczona była szczegółami, a do tego dochodził jeszcze tajemniczy ukośny kształt przypominający bliznę.

Ojcu się podobał. Dał się wciągnąć w łamigłówkę i począł rozszyfrowywać sekretne treści. Podeszedł do prawej krawędzi malowidła i nachyliwszy się, spojrzął z ukosa wzdłuż tej niby blizny, po czym, przesuwając się powoli, znalazł miejsce, z którego należało patrzeć. Mruknął coś z zadowoleniem, rozwiązawszy zagadkę.

- Rozumiem - rzekł do siebie. - Gdy stanie się dokładnie w tym miejscu, widać, że jest to czaszka. - Chwilę milczał. - A wtedy reszta obrazu znika. Francuzi stają się cieniem na ścianie, jak w paraboli Platona. - Przypomniał mi się Erazm i jego ulubiona przypowieść o ludziach w jaskini, przekonanych, że cienie widziane na ścianie to rzeczywistość. Tylko mędrzec, po wydostaniu się z jaskini, może zobaczyć prawdziwy świat.

Cofnąwszy się nieco, by lepiej się przyjrzeć instrumentom astronomicznym leżącym na stole, ojciec zapytał:

- Chodzi o kąty, prawda? To obraz astronomiczny. - Znow z bliska przyjrzał się czaszce. Zmrużył oczy i powiódł wzrokiem w górę, po ukośnej linii kompozycji biegnącej pod tym samym kątem, pod jakim nachylona była czaszka, od ręki jednego z dostojników, wzdłuż różowego jedwabnego rękawa drugiego aż do... Zaraz, zaraz, co kryje się za zieloną zasłoną na końcu diagonali? Ojciec zrobił parę kroków w lewo. Podążałam za nim, też pochłonięta tym rebusem.

Był tam krucyfiks. Schowany w cieniu, na wpół zakryty zasłoną, jakby to był Wielki Piątek i ksiądz właśnie zaczął go odsłaniać.

Ojciec przystanął. W spojrzeniu skierowanym na malarza było coraz więcej podziwu i uznania.

- A więc zostaliście astronomem, mistrzu Hansie. - Głos miał tak spokojny, jakby nie dzieliło nas pięć lat od ostatnich dysput o sztuce i jakbyśmy nie znajdowali się w dość niezręcznej, pełnej niedomówień sytuacji. Z powagą spozjrzał na malarza. - A także teologiem i być może astrologiem.

Mistrz Hans skinął głową. Ojciec podszedł do środka obrazu. Przyglądał się kątowni, pod jakim otwarta była, założona trójkątem kreślarskim, książka matematyczna, ukazująca działanie dzielenia poniżej niemieckiego słowa *dividirt*. Podobny kąt był między okładką opartej na czterech fletach niemieckiej księgi hymnów a powierzchnią stołu.

- Ten sam kąt - orzekł, lecz oczekiwał jeszcze potwierdzenia. Mistrz Hans przytaknął. Bacznie przyglądał się ojcu szybko rozwiązującemu poszczególne zagadki. - Ten sam, co w przypadku linii prowadzących od czaszki... waszego *memento mori*... do krucyfiksu?

Mistrz Hans znów pokiwał głową, był niemal wniebowzięty. W zapamiętaniu obaj podnieśli głos, tak bardzo wciągnęły ich te zagadki.

- Jaki to kąt?

- Dwadzieścia siedem stopni.

- Do tego smutek i żałoba. Mamy Wielki Post, Wielki Piątek i krucyfiks za zasłoną...

Jedną rękę ojciec założył do tyłu, drugą ujął się pod brodę. Zamyślił się głęboko.

Mistrz Hans dłużej nie wytrzymał.

- Dwadzieścia siedem stopni to wysokość Słońca w Wielki Piątek w chwili śmierci Chrystusa - wyjaśnił. - Czaszka jest jak cień, który powstaje przy takim jego położeniu. To nie tylko *memento mori*. - Zaczerwienił się odrobinę i uśmiechnął ukradkiem do mnie, wymawiając ostatnie dwa słowa.

Ojciec też się uśmiechnął. Jakoś tak inaczej niż zwykle - równie radośnie jak radośnie ożywiony był mistrz Hans.

- Wielki Piątek. Wielkanoc, kiedy lady Anna została obwołana... - Nie był w stanie dokończyć zdania słowem „królową”. A więc dojrzał ukryte znaczenie obrazu. Mistrz Hans opłakiwał klęskę Kościoła powszechnego i ciemności, które ogarnęły świat. Przedstawił moment wyniesienia Anny Boleyn na tron jako koniec cywilizacji.

- Tak! - wykrzyknął mistrz Hans niecierpliwie. Zachowując się jak niesforny uczeń, któremu właśnie wybaczone złe zachowanie, podszedł do ojca i może nawet nieco zbyt poufale położył wielką dłoń na jego ramieniu. - Byłem pewien, że odgadniecie.

Jak mogłam choć przez chwilę uważać mieszkanie mistrza Hansa za nędzne? Powietrze rozbrzmiewało gruchaniem gołębi, piwo było złote niczym miód, w dodatku okazało się, że znów rozmawiamy ze sobą jak dawniej. Obraz bił w oczy żywością barw, a my tropiliśmy kolejne zagadki mistrza, który był niesamowity w pomysłowości. Bardzo poważnie potraktował nasze czasy, trudne i rozdarte religijnymi wojnami, pełne znaków i wróżb. Marmurowa posadzka na obrazie przypominała tę z Opactwa Westminsterskiego, gdzie namaszczano królów, a więc odbywały się zaślubiny nieba z ziemią. Mówiły o tym magiczne heksagony, matematycznie

wyliczone figury oznaczające sprawy tajemne. Mistrz Hans pokazał nam, gdyż sami na to nie wpadliśmy, kwadrat złej konfiguracji planet z tego dnia, kiedy ważył się los ojca. Co chwila odkrywałam kolejne szczegóły. Mistrz Hans był wprost wniebowzięty, a ja w pewnym momencie, aby nie zdradzać swoich uczuć, niby to zakztusiłam się chlebem i musiałam popić piwem. Zachwycił mnie miły gest wobec Francuza, który zamówił obraz: Polisy, gdzie leżały dobra Dinteville'ów, zostało zaznaczone na globusie jako ważne miejsce Francji. Rozczuliłam się, widząc błędy w pisowni nazw geograficznych, wynikające z niemieckiej wymowy. „Pritania” zamiast „Britannia” i „Baris” zamiast Paris.

- Czy pamiętacie, mistrzu Hansie, że mieliście do nas przyjechać i wprowadzić zmiany do rodzinnego portretu? - spytał ojciec, zasiadając wygodnie. - Tak dawno to było, iż trudno mi teraz was do tego namawiać. Wiem, że ostatnio wiele pracujecie. Pewno nie znajdziecie czasu...

Wszyscy wiedzieliśmy doskonale, że do obrazu nic nie trzeba dodawać: ani lutni, ani krzesła dla jejmości, o czym kiedyś mówił ojciec. Była to raczej nieśmiała prośba o kolejne spotkanie i odnowienie przyjaźni. Mistrz Hans aż się rozpromienił z radości. Obaj inspirowali się wzajemnie, poddawali sobie nowe pomysły; w swoim towarzystwie natychmiast się ożywiali. Niemal kochałam malarza za to, że ojciec - teraz jakby mniej zamknięty w sobie, mniej ponury, mniej wyobcowany - znów nabiera ochoty do życia.

Jednak po chwili mistrz Hans posmutniał. Zapewne sobie uzmysłowił, jaka jest obecnie nasza sytuacja.

- Bardzo tego chciałbym - rzekł, może nieco zbyt ostrożnie. - Naprawdę.

Nie zaproponował jednak konkretnego terminu. Ojciec więcej nie nalegał, a ja od razu wyczułam, że zraniony znów się cofnął.

Sama tym zaskoczona, przejęłam inicjatywę.

- Proponuję, byśmy ustalili termin między sobą - zwróciłam się do malarza. - Nie będziemy obciążać ojca niepotrzebnymi szczegółami. Napiszę do was. Pewnie macie całe mnóstwo zamówień, ale może pod koniec lata... - Holbein sprawiał wrażenie wewnętrznie rozdartego. Był zamyślony i niespokojny. Przyszło mi wówczas do głowy, że nie chce, by się dowiedziano, iż złożył wizytę w Chelsea albo w moim londyńskim domu. Tu wszyscy widzieli wszystko, a ściany miały uszy. Powinnam była wcześniej o tym pomyśleć. - Może wybralibyśmy się do Roperów? Margaret mieszka teraz w Eltham, niedaleko pałacu - dodałam w przypływie natchnienia. - Jest tam pięknie. Miejsce to nazywa się Well Hall, a Margaret urządza właśnie ogród. Sądzę, że się wam spodoba.

Miałam rację, że on się bał. Ale też bardzo chciał się jeszcze z nami spotkać. Rozpromienił się, a i ojciec nieco się odprężył.

- Doskonale, zatem Eltham. Ustalimy to listownie - obiecał mistrz Hans i pochylił się, jakby miał zamiar poklepać mnie entuzjastycznie po ramieniu. - Znajdę dwa tygodnie. Z wielką przyjemnością.

Dopiero później, gdy ojciec poszedł w stronę rzeki, a ja wróciłam do domu i stałam w płaszczu i kapturze naciągniętym na głowę, uświadomiłam sobie, że jest jeszcze jedno *memento mori* w obrazie. Tak wyrafinowane, a zarazem tak proste, że nie mogłam wprost uwierzyć, iż od razu go nie zauważyłam. Hołd złożony ojcu. Dwie silnie zaakcentowane linie kompozycji biegnące ukośnie - jedna od krucyfiksusa w dół, druga wzdłuż czaszki przecinały się w prawej części obrazu, w fioletowych brązach aksamitnego stroju francuskiego biskupa. A więc wszystko spotykało się w szatach koloru morwy z wzorem przypominającym ten owoc. *Morus*: ulu-

biony żart ojca z własnego nazwiska. Holbein nie zapomniał o nas, nawet jeśli zaczął budować swoją przyszłość w innym obozie, z ludźmi, do których należało jutro. A więc jego *memento mori* to także *memento Mori*: Pamiętaj o Morusie.

Nie widział w ojcu tego zła, które ja dostrzegałam: nakazującego palić na stosie heretyków. Miał znacznie szersze spojrzenie i był bardziej wyrozumiały. Wyraził swój żal za odchodzącym w przeszłość światem, gdzie rządziły mądrość i tolerancja - światem, do którego ojciec kiedyś należał. Mistrz Hans, mimo długiej nieobecności i milczenia, był naszym prawdziwym przyjacielem.

Tak byłam podniesiona na duchu, że bez najmniejszych oporów opowiedziałam Johnowi o naszym spotkaniu i o obrazie. Spokojny i taktowny jak zawsze, nie zadawał kłopotliwych pytań, na przykład: jak to się stało, że nawiązałam kontakt z mistrzem Hansem.

„Cieszę się, że sprawiło to radość ojcu” - powiedział, kiedy skończyłam zdawać relację, a w jego błękitnych jak niebo oczach malowało się autentyczne zadowolenie. John kochał ojca i bardzo się cieszył, że pozbyłam się wątpliwości co do postępowania człowieka, który mnie wychował, i znów czuję się przy nim szczęśliwa. Dlatego chętnie mi wybaczył - bądź też pominął milczeniem - że nie wtajemniczyłam go w plany doprowadzenia do spotkania ojca z malarzem. Dręczyło mnie teraz poczucie winy, że nie umiałam być wielkoduszna. Johna wykluczałam z moich planów już dawno, właściwie od chwili, gdy rozgniewał mnie dążeniem za wszelką cenę do spokojnego i bezproblemowego życia; brakiem energii i ambicji; niechęcią do kwestionowania rzeczy, które budziły mój sprzeciw. Teraz nagle wszystko wydało się prostsze. Wystarczyła jedna chwila prawdziwej radości, by w naszym życiu znów zaświeciło słońce. Choć zaledwie był to moment, jednak wyraźnie zapoczątkował zmianę na lepsze. Tej nocy John przyciągnął mnie do siebie i pieścił moje włosy i piersi, szepcząc, jak bardzo za mną tęsknił, a ja odpowiadałam pocałunkami, drżąc z rozkoszy. Kiedy - zdawałoby się wiele godzin później - rozdzieliliśmy się, w jego oczach ujrzałam odbite światło gwiazd. Całował mnie, szepcząc: „moja ukochana”, a ja również szeptem odpowiadałam: „kocham cię”, i to wystarczyło, by natychmiast wszystkie dni milczenia, chłodu i wątpliwości stały się nieważne - wręcz jakby ich nigdy nie było. Odebrałam to jak obietnicę nowego początku, zapowiedź, że znów mi zaufa, choć tak podle zdradziłam go przed ojcem. Tamtej nocy po raz pierwszy od bardzo dawna spałam naprawdę głęboko.

Następnego dnia przed wyjazdem do Chelsea napisałam do Margaret i mistrza Hansa w sprawie wizyty w Well Hall. Nagle poczułam w sobie tyle ożywczej werwy, że zaczęliśmy się z Tommym ścigać w korytarzu, aż oboje, roześmiani i rozkrzyczani, przewróciliśmy się na posadzkę. Najlepszym terminem byłby wrzesień, pomyślałam, kiedy pogoda zacznie się zmieniać, a lato pełne niespokojnego czekania wreszcie się skończy. Wyjazd do Eltham odwróci uwagę ojca od spraw publicznych w tym najtrudniejszym dla niego czasie: kiedy urodzi się dziecko, które nosi w łonie świeżo poślubiona królowa, kiedy pierwszy krzyk małego księcia oznajmi przedłużenie dynastii Tudorów i król wreszcie wygra tę szaleńczą grę o przyszłość chrześcijaństwa - wtedy legnie w gruzach ostatnia nadzieja ojca, że nieprawemu małżeństwu i wszystkim wynikającym z niego implikacjom można jeszcze zapobiec.

Musimy nauczyć się żyć z nową przyszłością, myślałam często. Im mniej będziemy oczekiwać, tym łatwiej unikniemy rozczarowań. Uda się nam. Może nawet ojcu się uda.

Jejmość Alice urządziła dla nas wieczerzę na dawną modłę. W wielkiej sali w Chelsea ustawiono drugi stół dla służby. Tak bardzo już przywykłam do posiłków w ściśle rodzinnym gronie, że trudno mi było jeść w obecności wielu. Wołałam prywatność i domowe zacisze. Ale z drugiej strony miło było znaleźć się w objęciach jejmości, zobaczyć jej błyszczące oczy i wesołą, dzielną twarz.

Ojca jeszcze nie było. W lekkim zdenerwowaniu, jakie ostatnio nam towarzyszyło - objawiającym się przygryzaniem paznokci i pustymi uśmiechami - czekaliśmy wszyscy: my z Johnem, młody John More z Anną oraz Cecily z Gilesem. Biedny młody John nie miał teraz żadnej nadziei na karierę polityczną i mieszkał w domu rodzicielskim, choć skończył dwadzieścia lat i był żonaty. Zachowywał stoicki spokój i ciągle nad czymś pracował. Ojciec wymyślał dla niego zajęcia. Zlecił mu przetłumaczenie cudzoziemskiego traktatu o jedności Kościoła katolickiego i konieczności przywrócenia znaczenia Eucharystii w życiu sakramentalnym. Mieli je wydać Rastellowie. Nikt nie dokuczał Johnowi, że trzeba będzie poprawiać jego mocno niedoskonałe tłumaczenie; był tak spięty, że nie można było z nim się droczyć. Teraz, gdy sama byłam w lepszym nastroju, wyraźniej dostrzegałam niewyraźne miny i wymuszoną wesołość innych członków rodziny.

- Jeszcze pisze - oznajmiła niby to surowym tonem jejmość Alice, starając się rozładować napięcie. - Wszystko przez tę książkę. Od tygodni ojciec zajmuje się pisaniem w jej obronie. Ale człowiek musi jeść. Zaraz po niego poślę.

Zanim zdążyła to zrobić, zjawił się. I nawet jeśli pisał do ludzi Cromwella jeden z tych licznych listów, w których drobiazgowo wyjaśniał, dlaczego jego najnowsze antyheretyckie teksty wydane na Wielkanoc nie są wcale ukrytym atakiem na politykę rządu, bardziej teraz tolerancyjnego wobec herezji - nie było po nim nic widać, nawet najłżejszego wzburzenia. Jego pogodny uśmiech od razu poprawił nam humor.

- Witajcie - rzekł z prostotą. - I siadajmy do stołu.

Robił na mnie dziwne wrażenie. Spotkanie z mistrzem Hansem nie podziałało na niego w taki sposób jak na mnie. Usiedliśmy, a on wziął Pismo Święte, aby wybrać fragment do przeczytania. Samo otworzyło się na psalmach. Zawahał się.

- No, dobrze, skoro tak! - Pochylił głowę, a w jego oczach dostrzegłam coś, co sprawiło, że dostałam gęsiej skórki.

- *Posuisti tenebras et facta est nox in ipsa pertransibunt omnes bestiae silvae. Catuli leonum rugientes ut rapiant et quaerant a Deo escam sibi* - przeczytał cicho. Przysunęliśmy się bliżej, by lepiej słyszeć. („Mrok sprowadzasz i noc nastaje, w niej krąży wszelki zwierz leśny. Lwiątko ryczą za łupem, domagają się żeru od Boga”).

Jejmość Alice, która zazwyczaj dość wolno nadążała za łaciną, tym razem nie miała problemów ze zrozumieniem, jakby wielokrotnie już słyszała te wersety. Być może czytał je dla uspokojenia, gdy w nocy budził się z krzykiem po koszmarnym śnie. W jej oczach malował się niepokój, gdy jak zwykle zaczęła go dobrodusznie łajać:

- Dość już, mężu. Wystarczy tych smutków! Zważy się od nich śmietana!

Wszyscy w tym momencie zastygli w uprzejmych uśmiechach, jakby bali się powiedzieć coś niewłaściwego lub popełnić jakiś nietakt. Coś wyraźnie źle się działo. John ścisnął moją rękę pod stołem.

Nagle rozległo się pukanie do głównych drzwi. Najpierw jedno stuknięcie, potem cała salwa; hałaśliwa i uparta, jak ciosy zadawane żelazną pięścią. Nie wiem, co było głośniejsze, czy to walenie, czy bicie mego serca. Duże oczy Anny Cresacre zrobiły się jeszcze większe i bardziej okrągłe, tak że zaczęła przypominać wystraszoną sowę. Niemal ogłuszona biciem własnego serca, zastanawiałam się, czy też nie wyglądam głupio.

Jeden ze służących śpiesznie wstał, by otworzyć.

Usłyszeliśmy jego szybkie kroki, potem szcęk zasuw i rygli, a po nim bardzo donośne stąpanie.

W progu stanęli dwaj mężczyźni w płaszczach, zupełnie nam nieznani.

- Sir Thomas? - gromkim głosem odezwał się jeden, sięgając do sakwy. Podszedł bliżej.

Ojciec się podniósł. Jak na człowieka w służbie publicznej przystało, przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. Natomiast my dosłownie skamienieliśmy.

Przybysz zbliżył się do podwyższenia, na którym stał stół, i wyciągnął zapieczętowany dokument.

- Od Jego Królewskiej Mości - oznajmił tonem nazbyt głośnym. Ojciec wziął papier, lecz go nie przeczytał. Pytające spojrzenie, które skierował na posłańca, było jak nieme wyzwanie.

- Macie, panie, stawić się przed urzędnikami króla - oznajmił ów człowiek, a kiedy ojciec nie odpowiedział, dodał surowo, jakby czytał wyrok śmierci. - Natychmiast.

To przez tę książkę, pomyślałam zrezygnowana, ze ściśniętym z bólu sercem. Ostatnia walka ojca z nowym politycznym porządkiem i o jedną potyczkę za wiele w jego samotnej wojnie. Cromwell mu nie wybaczy. Nadszedł początek końca.

Ojciec wolno skłonił głowę. Na jego twarzy wciąż się błąkał lekki uśmiech. Mimo paraliżującego lęku przyszła mi do głowy nieznośna myśl, że wręcz nienawidzę tego wiecznego uśmieszku, pod którym skrywał prawdziwe uczucia.

Jejmość Alice też wstała, wracając do życia, jakby zdjęto z niej zaklęcie. Na jej twarzy malowała się najwyższa determinacja.

- Zaczekajcie, panowie - z zadziwiającym spokojem zwróciła się do posłańca oraz jego towarzysza stojącego przy stole dla służby. - Spocznijcie chwilę. Muszę przygotować rzeczy dla mego męża. W tym czasie może zechcecie się posilić.

Człowiek, który rozmawiał z ojcem - zapewne ważniejszy - zawahał się. Ojciec skinął głową.

- Ale zjemy w kuchni - oznajmił przybysz i obaj udali się za służącym.

W sali zapadła martwa cisza zakłócana jedynie odgłosem oddalających się kroków. Przenosiliśmy niepokojny wzrok z talerzy na sąsiadów przy stole, na ojca wciąż stojącego z nieobecnym uśmiechem na twarzy i na jejmość Alice, która sprawiała wrażenie, jakby chciała, by wszyscy zachowali spokój w obliczu katastrofy; urywane oddechy odmierzały czas biegnący ku przyszłości, której tak bardzo wszyscyśmy się bali.

Oprócz bicia własnego serca i oddechu usłyszałam nagle odgłos łkania, ciche historyczne skomlenie, a potem bezradny, drżący płacz. Popatrzyłam dokoła, szukając źródła tego dźwięku, i ujrzałam nieruchome twarze skierowane w moją stronę.

Minęły, zdawałoby się, całe wieki, nim uświadomiłam sobie, że odgłos ten dobywa się z mojej piersi, niezależnie od mojej woli. Że najbliżsi patrzą na mnie, ponieważ ja jedna jawnie okazałam smutek i ból.

- Meg - odezwał się ojciec, przyciągając spojrzenia zebranych. Jego uśmiech zniknął. W oczach pojawiła się dziwna łagodność, której nie rozumiałam. Ale był też twardy błysk. - Moja kochana córeczko, nie płacz.

Próbowałam opanować bunt nieposłusznego serca, zakrztusiłam się i w końcu umilkłam. John puścił moją rękę, sięgnął po chusteczkę i bardzo delikatnie otarł mi łzy z policzka.

- Meg i wy wszyscy... - zaczął znowu ojciec, a wtedy zrobiło się jeszcze ciszej. Wyprostował się dumnie. - Nie wolno wam ulec strachowi. Na nasz dom przyszły ciężkie czasy. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się odwaga, którą musimy z siebie wykrzesać.

Umilkłam, jakby walczył sam ze sobą, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

- Ale jeszcze nie teraz - ciągnął, nadal niesamowicie spokojny, choć z wyraźnym nerwowym napięciem. - To nie było naprawdę, to tylko próba. Ci ludzie nie są od króla, lecz aktorzy Johna Rastella.

Przy stole służby zapanował szum i zamęt. Jejmość Alice ogarnęła furia. Wszyscy mówili naraz. To znaczy wszyscy oprócz mnie, bo ja zastygłam z przerażenia.

- To znaczy, że... nie jesteś aresztowany, ojciec? - Młody John niemal bez tchu zadał to pytanie.

- Sprowadziłeś aktorów? - jęknęła Cecily.

- Przeraziłeś Meg! - rozległ się głos mojego męża, ale jakby obcy, tak nieznana mi była dźwięcząca w nim wściekłość. - I po co to wszystko? - Poczulałam pęd powietrza i ze zdumieniem ujrzałam, że John rzuca się w stronę ojca z pięściami, sycząc gniewnie: - Zetrę ci ten uśmiech!

Cios wymierzony prosto w szczękę rozległ się głuchym echem. Ojciec zatoczył się, trzymając się za twarz. Splunął krwią, na podłogę upadł zęb. John cofnął się, kryjąc pięść w dłoni. Ze zdziwieniem oglądał krew na palcach.

Zapadła martwa cisza. Ojciec pierwszy odzyskał panowanie nad sobą. Trzymając rękę przy opuchniętych wargach, bez cienia złości powiedział do Johna:

- A więc zostało w tobie jeszcze coś z tamtego chłopca.

John nie odpowiedział, stał, patrząc na własną pięść.

- Zasłużyłeś sobie, wiesz! - pisnęła jejmość Alice, nagle odzyskując głos, a my wszyscy jak na sygnał wyrwaliśmy się z odrętwienia. - Śmiertelnie nas wystraszyłeś! Nie waż się mówić, że to jeden z twoich figli!

- Ciii, żono - odparł uspokajająco, a jednocześnie ostrzegawczo.

Oderwał rękę od szczęki, objął sztywną z gniewu jejmość i przy wszystkich pocałował w zaczerwieniony policzek. Z jakąś chorą fascynacją patrzyłam na krwawy ślad, jaki pozostał na jej twarzy, i na jego spuchnięte wargi, siniejące już z jednej strony. Nie przejął się swoimi obrażeniami, a ja pomyślałam, że nasz wybuch gniewu jest dla niego łatwiejszy do strawienia niż uprzedni smutek i ból. Z gniewem lepiej sobie radził. Teraz mógł już zachować się jak na sali sądowej: wykorzystując nasze uczucia, przekazać nam coś ważnego.

- To nie żaden figiel. Jak powiedziałem, była to próba. Nader łatwo zapominamy, jak niepewne jest nasze życie tutaj - ciągnął, ogarniając spojrzeniem obecnych, łącznie z jejmością. - W tym, co może nas spotkać, nie ma nic z figla. Naprawdę krążymy w mroku i w nocy. I naprawdę słyszymy lwy domagające się żeru. W każdej chwili może przyjść prawdziwe cierpienie. Trzeba być gotowym na najgorsze, by umieć znieść swój los z godnością.

Twarz miał pobladłą, mówił ze spokojem. W jego głosie nie było śladu wesołości. Po chwili z wyrzutem spojrzął na mnie i na wciąż oszołomionego Johna.

- Jak to się stanie, nie chcę żadnych łez. Nie chcę rozpaczy. Zachowajmy się godnie. Szukajmy pociechy w Bogu i Jego miłości. - Złagodniał nieco i podszedł do mnie. - Nie odbieraj mi odwagi, Meg - poprosił dobrotliwie. - Obiecujesz?

Skinęłam głową w milczeniu. Szalała we mnie taka burza uczuć, że nawet nie umiałabym tego wyrazić.

- Pamiętaj! - rzekł. - Dziękuję ci.

Skłonił się i ruszył w stronę drzwi.

- Dziękuję wam za to, że wieczerzaliście dziś ze mną - dokończył w progu, powracając do swej zwykłej dworności. - A teraz czeka mnie pilna praca, zatem zechciejcie wybaczyć.

Po jego wyjściu nikt nie wiedział, co powiedzieć. Przez okno widziałam chybotliwy płomyk świecy, coraz bardziej oddalający się w stronę Nowego Pawilonu. Jedzenie stało nietknięte na stole; nikt z nas nie miał apetytu.

- No i tak! - odezwała się jejmość Alice. Nawet jej zabrakło słów. Popatrzyła na stojącą w osłupieniu czeladź. - Spożyjcie spokojnie posiłek - rzekła łagodnie, po czym zwróciła się do nas: - A my przejdźmy do mojej bawialni.

Z ulgą oddaliliśmy się od spojrzeń służby i pełnych podniecenia rozmów, jakie rozgorzały, gdy wstaliśmy od stołu. Po drodze John objął mnie i przytulił.

- Oboje się zbłąźniliśmy! - szepnął niby żartobliwie, ale dostrzegłam surowy błysk w jego oczach i czułam, jak bardzo jest spięty. Wprost nie mogłam uwierzyć, że ten spokojny, opanowany człowiek ma w sobie tak silny instynkt walki. - Miałas pełne prawo płakać. Ale teraz oboje się uspokójmy.

Odrobinę pocieszona, pociągnęłam nosem, starając się uśmiechnąć. Z trudem nadążałam za jego długimi krokami.

- Dziękuję, że ująłeś się za mną... Nikt dotąd nie stanął tak w mojej obronie... Czy boli cię ręka? - Dumna byłam z mego dzielnego rycerza. John zaś nie przejmował się ręką; wciąż przeżywał tamte emocje.

- Jeszcze nie - odparł, uśmiechając się zawadiacko; takiego go nigdy nie widziałam. - Pewnie rozboli później.

- To szczyt wszystkiego! - odezwała się jejmość Alice, kiedy zamknęliśmy drzwi. Na kominku płonął ogień, zajmowaliśmy miejsca, szepcząc do siebie niepewnie i ze strachem. - Nie przypuszczałam, że może być taki okrutny! Oświadczam, że ten człowiek postradał rozum!

- Nie byłbym tego taki pewien - rzekł John, siadając obok niej przy kominku. Przepelniała go energia i mówił z taką pewnością siebie, że wszyscy zamilkli, czekając na dalsze wyjaśnienia. - Chyba domyślam się, dlaczego to zrobił. Ale najpierw - spojrzął na zachmurzoną jejmość - proszę mi powiedzieć, czy mówił, co mu się ostatnio śniło?

Chętnie odpowiedziała na to pytanie. Wcześniej napomykała, że ojciec od tygodni źle sypia, ale nikt z nas tym się nie zainteresował.

- Już sama nie wiem, co robić. We śnie krzyczy, a potem cały spocony budzi się z otwartymi szeroko oczami. Czasami mówi straszne rzeczy, zanim się jeszcze na dobre rozbudzi. O torturach. To on jest męczony.

Śni mu się, że idą do niego z nożami, żeby mu wydzierać wnętrzności. Wyrrywają mu serce z ciała i podsuwają pod nos. Za dnia w ogóle nie chce o tym mówić. Udaje, że nic się nie dzieje.

To sprawka Elizabeth Barton - ciągnęła. - Zakonnicy, zwanej Mniszką z Kent. Wiecie, tej, co to niby prorokowała. Wszystko się zaczęło, kiedy do niej pojechał. Cały dzień u niej spędził i modlił się. A potem nie chciał zdradzić, o czym rozmawiali. Podobno twierdziła... że gdy diabeł przychodzi do niej, to trzepie skrzydłami jak ptak. Wtedy właśnie to się stało. Przyjechała tu dwa razy i chciała się z nim zobaczyć. Oczywiście pokazałam jej drzwi. Nie miałam zamiaru wpuszczać jej do domu. Nie chciałam, żeby go niepokoiła. Ale on cały czas miewa te sny.

Wymieniłyśmy z Cecily pełne przerażenia spojrzenia. Jak na mieszkanki Londynu przystało, żywiłyśmy wiele sceptycyzmu wobec Mniszki z Kent: zwykła awanturnica, może trochę szalona, ale na pewno oszustka. Nie miałam pojęcia, co skłoniło ojca, że się z nią spotkał. Wizje dawnej służącej niewiele miały wspólnego z bliskim sercu ojca katolickim mistycyzmem, zbliżone były do zabobonów, którymi uczył nas pogardzać. Odwróciłam wzrok, nie chcąc, by Cecily wyczytała coś z moich oczu, ale jeszcze zdążyłam zauważyć, że przeżegnała się ukradkiem.

Jejmość niecierpliwie czekała, co powie John.

- No więc, dlaczego on to zrobił? Mam na myśli tę dzisiejszą historię... z aktorami. - Złość na ojca nieco jej przeszła, gdy opowiedziała o jego koszmarnych snach, ale w jej spojrzeniu nadal płonęło wojownicze światło. - Twierdzisz, że się domyślasz?

- Wydaje mi się, że chciał nam przekazać, iż się boi, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów - wyjaśnił John z prostotą. - W głębi duszy to człowiek dawnej epoki. Wtedy żyło się na widoku, cały czas trzeba było grać swoją rolę, i czynić to dobrze. Wszyscy tak robili. Jedyńm miejscem, gdzie pokazywano prawdziwe uczucia, był teatr. Przedstawienia, przebieranie i maski dawały pretekst do chwili szaleństwa i zapomnienia. A teraz... tak sądzę... gdy stracił swą wielką rolę w życiu publicznym, został sam ze swoimi myślami i strachem, o którym nie potrafi rozmawiać. Uciekł się zatem do jedyne go znanego mu sposobu, aby okazać uczucia: spro wadził komediantów.

Odpowiedź ta wprawiła nas w osłupienie. Ale nie jejmość. Kiwała głową, jakby brzmiało to dla niej bardzo sensownie. Oboje z Johnem też byli ludźmi tamtej epoki.

- Uważasz... - odezwała się, wyraźnie mięknąc - że w ten sposób pokazał nam, co skrywa w głębi swego serca...?

Do tej pory nie słyszeliśmy, by jejmość wyrażała się tak poetycznie.

- Tak - odparł John z przekonaniem i nikt mu nie zaprzeczył. - Żałuję, że go uderzyłem. W pierwszej chwili myślałem, że to okrucieństwo z jego strony, a tymczasem on był w rozpacz y.

W oczach Cecily pojawiły się łzy, twarze pozostałych wyrażały wielki smutek i współczucie.

- Mądre słowa - mruknął Giles Heron, a w jego głosie wytrawnego polityka zabrzmiał szacunek dla Johna. - Nigdy by mi to do głowy nie przyszło.

- Ach, biedny ojciec! - szepnęła Anna.

- Może mu dać środek nasenny? - John od razu podszedł do sprawy praktycznie.

Jejmość pokręciła głową.

- Nie zażyje - odparła. - Wiele razy mu proponowałam. Zaczyna wtedy mówić o woli bożej; jest niemożliwy.

Przeżegnała się.

- Cóż, w takim razie nic nie poradzimy - orzekł John z rezygnacją. Przeczuwał zapewne, że taką odpowiedź dostanie. - Ale zachowywałby się rozsądniej, gdyby wypoczął.

Kiedy wróciliśmy do domu, John pozwolił mi opatrzeć sobie dłoń. Położył się w sypialni, a ja długo przemyślałam i bandażowałam jego rękę.

- Wiesz, to niezwykle, że najpierw rzuciłeś się na niego, a zaraz potem tak dobrze go zrozumiałeś - rzekłam z czułym podziwem i wdzięcznością. Chciałam pogłodzić go po twarzy i wtedy okazało się, że zasnął.

Nazajutrz przyszedł list od mistrza Hansa. Zgodził się przyjechać do Well Hall na ostatni tydzień września.

Upuściłam list na stół. Wiele nadziei wiązałam z poprawianiem portretu i odnowieniem przyjaźni z mistrzem Hansem. Ale po wydarzeniach ostatniego wieczoru trudno mi było wierzyć (nawet jeśli wciąż miałam nadzieję), że wyjazd ten będzie oznaczał dla ojca nowy początek. Wcale nie miał zamiaru usuwać się w cień ani poprzestawać na nawiązywaniu nitczek dawnych przyjaźni - nielicznych teraz, gdy był zwykłym obywatelem - ani też robić tego, co zapowiadał, gdy pierwszy raz zrezygnował z urzędu: modlić się i służyć Bogu. Nie umiał żyć w domowym zaciszu. John nam to uświadomił. Zrzeczenie się urzędu kanclerskiego potraktował jak wyzwolenie od wykonywania poleceń króla, co nie oznaczało, że zamierza wycofać się z życia publicznego. Obudziła się we mnie ponura pewność, że choćby bardzo się bał, dalej będzie walczył o Kościół katolicki. Będzie krzyżowcem do końca.

W tak pesymistyczny nastrój popadłam podczas podróży łodzią do domu, kiedy siedząc przytulona do Johna - dumnie wyprostowanego - od czasu do czasu spoglądałam na niego. Nie wiem, czy to ciepła noc, czy też trzepot ptasich skrzydeł i szelest nietoperzy sprawiły, że przyszedł mi na myśl diabeł nachodzący Elizabeth Barton; może po prostu moje myśli ciężkie były od wina i przeżyć tego wieczoru. I kiedy powieki Johna zaczęły sennie opadać, obejrzałam się, by jeszcze raz popatrzeć na nocne niebo nad domem w Chelsea. I gotowa byłam przysiąc, że widziałam nad domem kometę: krwistoczerwoną kulę z długim świetlistym ogonem. Tylko ja ją dostrzegłam. Przewoźnik mrucał coś do siebie pod nosem, wpatrzony w rytmicznie zanurzające się wiosła. Trąciłam śpiącego Johna, ale on dopiero po chwili zareagował. Szepnęłam mu prosto do ucha: „spójrz tylko” i pokazałam niebo, ale zanim się odwrócił, wszystko zniknęło. Został jedynie niewinny księżyc w pełni, smuga chmur i mroczne cienie.

Liście już czerwieniały, a drogi stawały się coraz bardziej błotniste, gdy Hans Holbein z niespokojnym sercem opuszczał Londyn na koniu pożyczonym w Steelyard; tobołki przytroczył z tyłu na grzbiecie zwierzęcia. Wyruszył do Well Hall wcześniej, niż pierwotnie planował, ale i tak jesień zbliżała się już wielkimi krokami, a w powietrzu czuło się pierwszy chłód.

Całe lato myślał o tej podróży. Zaprzestał chodzenia na Bucklersbury by z dala patrzeć na Meg - mężczyzna powinien umieć panować nad sobą - lecz co wieczór snuł marzenia o tryumfalnym przybyciu do Well Hall dwudziestego pierwszego września, kiedy to ona wybiegnie mu na spotkanie, promieniejąc z radości.

Duma nie pozwalała mu widywać się z Meg. Była na tyle silna, że ilekroć przyłapywał się na niesfornym pragnieniu, by przyspieszyć spotkanie, surowo siebie karmił. Koniec września ma wystarczyć. A potem się zobaczy. Najważniejsze - to jak najlepiej namalować obraz.

Im dalej jednak, tym trudniej było mu się zdobyć na cierpliwość. Ostateczny wpływ na przyspieszenie wyjazdu miała rozmowa, jaką odbył z Thomasem Cromwellem siódmego września w Londynie.

Holbein już wcześniej prosił dostojnika o spotkanie, gdyż chciał omówić kwestie związane z malowaniem jego portretu. Tego dnia obudził się o świcie; udając się na audiencję, był tak podekscytowany tym zamówieniem, że nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Dopiero gdy dopuszczony przed oblicze Cromwella kłaniał się nisko - co ćwiczył w myślach od wyjścia z domu - uświadomił sobie, że chyba od godziny z wszystkich wież kościelnych Londynu i Westminsteru rozlega się donośne bicie dzwonów.

Wąskie oczy gospodarza, osadzone w kłocowatej twarzy, spoglądały na niego - jak mu się zdawało - z jakimś rozbawieniem. Siedzący przy stole dygnitarz przerwał pisanie i odłożył pióro. Ale nie wstał ani nie odpowiedział na ukłon Holbeina, tylko wskazał palcem okno, za którym szalały dzwony.

- A więc Bogu niech będą dzięki - stwierdził sucho z chytrym uśmiechem. Holbein się wyprostował, zmieszany tym zlekceważeniem jego uprzejmości, i bacznie spojrzął na dostojnika, chcąc odczytać z jego twarzy jakąś wskazówkę, jak powinien się zachować. - Bóg pobłogosławił królewskiej parze, mistrzu Hansie - rzekł Cromwell wolno i wyraźnie, a wtedy malarz zrozumiał, że ma to być przytyk do jego niewiedzy. - Chyba słyszycie dzwony?

- Czy to znaczy... że urodził się królewicz? - spytał Holbein i szybko przywołał na twarz możliwie najszczęśliwszy uśmiech.

Cromwell wzbudzał w nim teraz taką samą nerwowość jak podczas ostatniego spotkania. Malarz podświadomie czuł, że człowiek ten nigdy nie przepuści okazji, by okazać innym, że jest od nich mądrzejszy, potężniejszy i ważniejszy. Kiedyś mistrz Hans często spotykał takie agresywne typy w gospodach i zdecydowanie wolał trzymać się od nich z dala. Bezsensowne siłowanie się na rękę nie wzbudzało jego entuzjazmu. Jednak jako że ta wiadomość z punktu widzenia Cromwella powinna być pomyślna i mógł na zawsze skojarzyć łaskawość fortuny z obecnością jego, Holbeina, więc chyba jest się z czego cieszyć.

- No, więc nie - stwierdził Cromwell jeszcze bardziej kwaśno, a malarz dostrzegł coś wilczego w jego uśmiechu. Nie był to radosny uśmiech, raczej odsłonięcie zębów. - Dzisiaj świętujemy narodziny... królowy. Królowy Elżbiety.

- Bogu niech będą dzięki! Niech żyje królowa Elżbieta! - malarz wykrzyknął śpiesznie i znowu się skłonił. W duchu przeklinał swój pech. To, że zjawił się w domu dygnitarza w dniu, w którym królowi urodziła się córka, nie wróżyło dobrze dalszej jego pracy. Mimo zerwania z Kościołem rzymskim i skłócenia całej Europy monarsze nie udało się splodzić dziedzica i zabezpieczyć następstwa tronu Tudorów, a to oznaczało, że Cromwell, który nie szczędził starań, by wesprzeć władcę w tym przedsięwzięciu, musi się teraz ogromnie niepokoić, czy jego dotychczasowa polityka nie okaże się za chwilę ze wszech miar niesłuszna.

Cromwell znów odsłonił zęby.

- A więc do rzeczy - powiedział bezceremonialnie i od razu przeszedł do konkretów. Podał rozmiary obrazu, jaki chce mieć, oraz datę, kiedy będzie mógł rozpocząć pozowanie. - Pierwszy dzień października - zarządził. Czemużby malarz nie miał rzucić wszystkiego, żeby go malować?

Holbein przełknął dumę, skinął głową na znak zgody i spojrzął na papiery leżące na stole. Zatem będzie musiał skrócić swój pobyt w Well Hall.

- Stawię się niezawodnie - rzekł z większym entuzjazmem, niż rzeczywiście odczuwał. Wszystko zostało ustalone. Cromwell sięgnął po papier, napisał mu nową przepustkę i wysuszył piaskiem. Holbein się skłonił, wymamrotał podziękowanie i wyszedł.

Dopiero gdy znalazł się na dworze i nasłuchując bicia dzwonów, złożył papier, aby go schować do sakwy, zauważył, że na odwrocie jest coś napisane. Cromwell odwrócił kartkę, kiedy Holbein wszedł, chcąc ukryć przed nim treść, a potem o tym zapomniał i użył drugiej strony. Było tam tylko jedno zdanie: *Pilnie sprawdzić kontakty sir Thomasa More'a z Mniszką z Kent.*

Czy w ten sposób Cromwell zamierzał odreagować rozczarowanie narodzinami królewskiej córki, który to fakt mógł postawić pod znakiem zapytania jego karierę? Holbein chwilę się nad tym zastanawiał. Odpowiedzi nie znał; po krzyżu przebiegł mu dreszcz, gdyż uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo zagrażające More'owi coraz bardziej się zbliża. Ale wiedział już, co uczyni. Po powrocie do domu śpiesznie napisał do Margaret Roper z zapytaniem, czy może przyjechać zaraz i zacząć przygotowania do malowania obrazu, jako że będzie musiał wracać do miasta wcześniej, niż pierwotnie myślał. Nie tak to sobie wyobrażał: Meg dopiero za kilka dni przybędzie do Well Hall. Ale przynajmniej będzie miał czas dla Roperów i na rozpoczęcie pracy nad portretem. Dziełem tym wyrazi swój szacunek dla sir Thomasa. Miał nawet pomysł, jak to zrobić. Pożyczył konia, zapoznał się z trasą podróży, kupił dodatkowe materiały - w tym kilka sporych desek - i gdy przyszła odpowiedź od Margaret Roper, był spakowany. Nie pozostało nic innego, jak ruszać w drogę.

Margaret Roper była drobnej budowy, o ciemnych włosach i przyjemnej twarzy, skromna i miła w obejściu. Choć zaokrągliła się nieco po urodzeniu trzeciego dziecka (drugiej dziewczynki nazwanej Alice na cześć macochy), sprawiała wrażenie mizernej. Miała lekko żółtawą cerę. Poważne, myślące oczy (otoczone teraz pajęczynką cieniutkich zmarszczek, których wcześniej nie było) i prosty nos przypominały trochę Meg, ale Margaret nie miała w sobie nic z wyrazistości swej smukłej siostry: ani takiego blasku w oczach, ani bólu

skrywanego w sercu, z wyjątkiem ostatnich nieszczęść, jakie spadły na rodzinę. Grzeczna, uprzejma, z pewnością dobra żona, ale dla Holbeina nigdy nie była atrakcyjną kobietą.

Szczerze się z jego przybycia ucieszyła. Wybiegła mu na spotkanie do cienistego, zielonego ogrodu okalającego nowy, solidny dom z cegły. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest wygodny do mieszkania. Na rękę trzymała dziecko. Dostrzegła go wcześniej z okna dzieciennego pokoju.

- Jakże dobrze was widzieć, mistrzu Hansie! - wykrzyknęła miłym, łagodnym głosem, mrużąc oczy w popołudniowym słońcu; a on starał się jak najzgrabniej zeskoczyć z końskiego grzbietu, co nie było proste, jako że nogi miał zdrętwiałe po długiej jeździe. - Bardzo cieszymy się z waszego przyjazdu. Choć przez chwilę będzie jak za dawnych dobrych czasów.

Zsiadając, ściągnął od razu jeden z tobołków, w którym coś zagrzechotało. Roześmiała się z sympatią.

- Ileż to lat już będzie? O wiele za dużo... Ale wyglądacie tak samo. Tyle że dostojniej i zamożniej. Pewnie zmęczony po podróży? Zaraz ktoś zajmie się koniem i weźmie rzeczy, a potem was nakarmimy. Na pewno jesteście głodni.

Zaprosiła go do mrocznego wnętrza domu, gdzie rozchodziła się miła woń pieczonego mięsa, aż mu ślinka pociekła. Margaret była tak gościnna i serdeczna, że od razu poczuł się swobodnie i swojsko, nawet nie przejmował się tym, że w natłoku nowych wrażeń nie dociera do niego wszystko, co mówi gospodyni. Rejestrował tylko niektóre zdania, na przykład: „Podać wino czy piwo?” albo: „Jak tylko Alice zaśnie, Tommy i Jane zaraz chcą ją potrzymać, tak bardzo ją kochają, a ona się budzi” oraz: „Czy lubicie pieczone gołębie?”.

Dali mu piękną bawialnię z ogromnym oknem o wielu małych szybkach - ocienionym z jednej strony kaskadą pnącza rzucającego drżący deseń na posadzkę; przez okno wpadało do środka łagodne światło późnego lata. Z bawialni wchodziło się do sypialni, a obok była wygodka: wszystko czyste, wygodne i proste. Westchnął z ukontentowaniem. Pobyt zapowiadał się bardzo miło.

- Jakiś czas może wam tu być nawet za cicho, mistrzu Hansie - usprawiedliwiała się Margaret, pokazując mu jego lokum; pacholek właśnie wniósł pakunki. - Na razie jesteśmy tylko my z Willem, a on wiele czasu spędza w mieście. Ojciec z jejmością... - mówiąc o macosze, uśmiechnęła się z wyraźną sympatią, aż pokazały się dołeczki - ...zjawia się za jakiś tydzień. Uradowali się, że przyjedziecie teraz. Cecyli i Meg też będą chciały przybyć wcześniej, ale nie mogą ręczyć za swoich mężów. Mój brat John niestety musi pozostać w mieście. I nie jesteśmy jeszcze pewni co do Daunceyów, choć Elizabeth twierdzi, że przyjadą, jeśli tylko będą mogli. Nie widzimy ich teraz często... - Umilkła, jakby zafrasowana.

Holbein domyślał się, dlaczego. Niezbyt ciepło wspominał Williama Daunceya z czasów Chelsea: skwaszony młokos o pretensjonalnych manierach, skupiony wyłącznie na sobie; nie raczył się zniżać, by zamienić choćby słowo ze skromnym malarzem, który na nic by mu się nie przydał, zatem nie warto się do niego odzywać. Trudno wyobrazić sobie, by ktoś taki chciał ryzykować, utrzymując częste kontakty z teściem, który popadł w niełaskę - choć to przecież sir Thomas umożliwił mu karierę w parlamencie. Malarz słyszał, że Dauncey, jedyny z kręgu nazywanego szyderczo przez Cromwella „ugrupowaniem z Chelsea”, nie wypowiedział się przeciwko Aktowi Apelacyjnemu - prawu zrywającemu jedność z Kościołem katolickim i uniemożliwiającemu królowej Katarzynie odwołania się w Rzymie od orzeczenia unieważnienia małżeństwa. Ta nielojalność budzi-

ła w malarzu szczerzy gniew. Nic dziwnego, że piękna żona Daunceya - dobrze to sobie zapamiętał - podkochiwała się w Johnie Clemencie.

- To dlatego, że mieszkają poza Londynem - pośpiesznie tłumaczyła Margaret. - Sama wiem, jak niełatwo jest żyć z dala od miasta, a w dodatku z małymi dziećmi... Staram się utrzymywać z nimi kontakty. Czasami ich odwiedzam, ale oni rzadko tu przyjeżdżają. Meg mówi, że ostatni raz widziała ich przed swoim ślubem, tylko czasem spotyka Williama, gdy ten odwiedza Chelsea podczas posiedzeń parlamentarnych. Trudno się dziwić - westchnęła. - Elizabeth ma teraz trójkę. Podobnie jak ja - jeszcze jednego Tommy'ego i jeszcze jedną Jane, a teraz też małego Henry'ego. Nie widzieliście żadnego z nich, prawda? Nie było ich jeszcze przed waszym wyjazdem. No to wszystko przed wami. Dość hałaśliwa chwilami gromadka, nic więc dziwnego, że Elizabeth nie lubi z nimi podróżować.

Urwała i uśmiechnęła się, ukazując dołeczki na policzkach.

- Gadam i gadam, pewnie was zanudzam rodzinnymi ploteczkami - dodała przeprasząco. - Ale zapewniam was, że gdy wszyscy się zjadą, będzie to dla nas ogromna radość. Pierwsze spotkanie po tylu latach!

- Ja też bardzo się cieszę - szczerze zapewnił Holbein, ujęty i oczarowany miłą atmosferą, jaką Margaret Roper wokół siebie roztaczała. Coraz bardziej ją lubił.

Nagle przez jej twarz przemknął cień. Z niepokojem spojrzała na stosy rzeczy, które znosił pacholek: pudełka z farbami, skrzynka z narzędziami zawierająca młotki, piły i gwoździe, worek z ubraniami, sakwa ze szkicownikami, ołówkami i kredkami, turecki dywan. Przywiózł niemal wszystko, co miał, z wyjątkiem czaszki. Gospodarz, widząc, ile rzeczy malarz pakuje, tak się zląkł, że kazał lokatorowi zapłacić za następny miesiąc z góry na potwierdzenie, iż zamierza wrócić. O wybieloną ścianę stały oparte deski: wielkie, solidne, zamówione u tego samego kupca, który sprzedał mu bałtycką sosnę na podobrazie do *Ambasadorów*. Jak on zdołał przewieźć tyle na grzbiecie jednego konia?

- Ale wiecie, mistrzu Hansie, że obraz jest jeszcze w Chelsea? - odezwała się Margaret z wyraźnym poczuciem winy, zawstydzona, że zawiodła w tak ważnej sprawie. - Dopiero ojciec go przywiezie. Tak byłam podekscytowana waszym przyjazdem, że zupełnie wyleciało mi z głowy, dlaczego tu przybędziecie. Więc pewnie uznacie, że to strata czasu... choć zapewniam, że wiele mam do pokazania w ogrodzie, a i tutejsza okolica jest przepiękna. Boję się jednak, że nie będziecie mogli zabrać się do pracy przed przyjazdem ojca.

Holbein zaśmiał się radośnie, co nie było tylko zwykłą uprzejmością i chęcią rozwiania jej troski. Stojąc w blasku słońca obficie zalewającego piękny pokój, który mu tak szczerze przydzieliła, miał już pomysł na ten obraz. Będzie to tryumf prawdy, czystej, nieustraszonej prawdy. Dość już tego krycia się z własnym strachem wśród tchórzy. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie pracować.

- Nie frasujcie się tym, pani - rzekł serdecznie, jakby była miłym, grzecznym dzieckiem, z którym chciał się zaprzyjaźnić. - Spójrzcie - wskazał deski oparte o ścianę. - Długo nad tym myślałem i coś mi przyszło do głowy. Jestem teraz bardziej doświadczonym malarzem niż kiedyś, nauczyłem się wielu nowych rzeczy. Potrafię wierniej uchwycić podobieństwo do prawdziwego życia. Chciałbym wykorzystać całą moją wiedzę i umiejętności i nie wprowadzać zaledwie kilka drobnych poprawek. Mam, co trzeba, by namalować nowy obraz. To znaczy, że od razu zabieram się do roboty. Oczywiście prościej byłoby poprawić stary portret, a resztę czasu spędzić na miłych rozmowach, ale zapragnąłem namalować nowy i jestem pewien, że tym razem zrobię

to o wiele lepiej. Muszę się jeszcze zastanowić i dobrze przygotować. Więc będę miał sporo zajęcia, nim się wszyscy zjadą.

Zaskoczył ją. Nie wiedział, czy jest zadowolona, czy nie. Może odkąd rodzina popadła w niełaskę, zdążyła odwyknąć od tego, że ktoś zadaje sobie trud, by im wyświadczyć uprzejmość? A może chodziło o zapłatę?

- Mieszkałem w Chelsea przez wiele miesięcy - dorzucił śpiesznie. - Wszyscy byli dla mnie uprzejmi i gościnni. Tylko w ten sposób mogę się odwdziżyć. A więc - lekko się zakrztusił, mówiąc te słowa, bo czyż nie było to szaleństwem w jego sytuacji? - nowy portret nie będzie nic kosztować. Dwa obrazy w cenie jednego: jeden może być tutaj, drugi tam. To moje podziękowanie. Prezent.

Nie miał pojęcia, na jakie właściwie pytanie odpowiedział tą dość niezręczną przemową. Ale widząc słodki uśmiech i zaróżowione wdzięcznością policzki, doszedł do wniosku, że wielkoduszny gest się opłacił. Musi iść śmiało naprzód, jeśli chce bronić swoich przekonań i oddać sprawiedliwość ludziom, których pokochało jego serce, zanim spotkał ich los, jakiego się dla nich obawiał.

Obmyślał w szczegółach swoją koncepcję w czasie piłowania i łączenia desek, a potem podczas heblowania, wygładzania powierzchni i gruntowania. A także wtedy, gdy bawił się z dziećmi Roperów albo słuchał cienkich radosnych głosików, kiedy niewidoczne z jego okna bawiły się w ogrodzie. Rozmyślał o portrecie, gdy przypatrywał się małej kopii pierwszego obrazu i gdy szedł z Margaret i jej rozbawioną dzieciarnią pod baldachimem złotych liści ciągnącym się wzdłuż ścieżki prowadzącej do budynku gospodarczego, a ona pokazywała mu kwiaty i zioła, które sama zasadziła; wreszcie wówczas, gdy robił szkic do nowego swego dzieła.

Idea była tak porywająca, iż chwilami miał wrażenie, że wokół niego trwa burza, która zagłuszała świat wyładowaniami iskier energii i dudniącymi w uszach grzmotami - i to nie tylko w sytuacji, gdy zastanawiał się nad obrazem, ale także wtedy, gdy spacerował, jadł i rozmawiał. Obraz miał powiedzieć strachowi: nie! Holbein zamierzał włożyć weń całą swą wiedzę i umiejętności, pokazać prawdę w sposób zarówno otwarty, jak i zawołowany, tak jak się tego nauczył, malując ambasadorów; przedstawi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Sportretuje ludzi bliskich jego sercu, do których w końcu odważył się przyjść, i pokaże w nim znacznie więcej niż w tamtej pierwszej, w sumie dość prostej scenie. Wyrazi ból duszy cierpiącej nad tym, że świat oszalał, a zgodna z duchem humanizmu harmonia, o którą walczył Erazm - oparta na uczonych dysputach, wzajemnym zrozumieniu i poszanowaniu, kwestiach tak bardzo kiedyś dla malarza ważnych i budzących nadzieję - została odrzucona zarówno przez protestanckich fanatyków, którzy w jego oczach grzeszyli brakiem umiaru, jak i teraz przez angielskich polityków, gotowych zrobić wszystko i uwierzyć we wszystko, a także zaspokoić żądze króla, byle tylko zapewnić sobie dobrobyt.

Nawet jeśli More dawniej brał udział w tej politycznej walce jako lord kanclerz - a przegrał przez swoją pasję, z którą bronił dawnej wiary - nadal pozostawał człowiekiem zasad i trzeba przyznać, że wycofał się z polityki bez skazy na honorze. Człowiek ten wciąż należał do Erazmowego świata; rozumny i dowcipny myśliciel, doskonały prawnik, którego sławy człowieka sprawiedliwego, budowanej całymi latami, nie zdołały przyćmić nawet drastyczne prokatolickie wystąpienia. Na ulicach Londynu wciąż dobrze się o nim wyrażano. Holbein nie wyobrażał sobie, by More kiedykolwiek mógł się zachować z taką butą i wyższością jak Cromwell - ten łotr z krwi i kości, który prędzej dałby się posiekać, niż zrezygnowałby z władzy w imię jakichś tam zasad. Malarz doskonale wiedział, że More ma subtelniejszą naturę niż przeciętny człowiek; nie może być inaczej w

odniesieniu do kogoś, kto z wielkim oddaniem i zapałem grywa duety z żoną i obserwuje ruchy gwiazd na niebie. Cokolwiek myśleć o zasądzanych przez niego stosach, nie da się zaprzeczyć, iż ci, którzy popierali drugie małżeństwo króla - a teraz sam Bóg pokrzyżował ich plany, zsyłając królowej córkę, przez co dynastia Tudorów odchodziła w przeszłość - też nie działali tak całkiem w duchu chrześcijańskim.

Holbein postanowił dać wyraz swojemu rozczarowaniu. Postawi sprawę jasno, że przez agresywną politykę król skazał Tudorów na niebyt, podobnie jak wcześniej intrygi Plantagenetów zemściły się na nich samych. Pokaże, jak humanizm niszczone jest przez szaleństwo i jak trudne są losy Morusa i Anglii, gdy zwycięża fanatyzm. Powie wprost, że wybitny, godny najwyższego podziwu polityk i człowiek jest lekceważony i pomniejszany. Przypomni, jak wielką niszczycielską siłę ma strach. Namaluje portret wspaniałych ludzi, którzy przyjęli go do swojej rodziny i w sposób dla nich tylko zrozumiały wyrazi im swą wdzięczność i szacunek. Sir Thomasowi i jego niezwykłym dzieciom... w tym oczywiście także Meg.

Meg, którą zobaczy za kilka dni. Meg, która nie urodziła trójki dzieci - jak jej siostry - w ciągu pięciu lat małżeństwa, być może dlatego, że w jej związku nie było już miłości (myśl tak dziko nęcąca, że ledwo ją do siebie dopuszczał). Meg, której podziwu pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie. Meg, o której od lat marzył nieustannie. Jeśli rzeczywiście ma szczerze wyrazić swoje uczucia, to obraz musi być także miłosnym przesłaniem dla niej. Ale nad tym na razie bał się zastanawiać. Zajął się opracowaniem ogólnej koncepcji, którą zamierzał złożyć u jej stóp. Nie należy za bardzo się śpieszyć.

Czuł się wszechmocny, niewyciężony i nie posiadał się ze szczęścia. Nie przeszkadzało mu nawet, że nie ma tak rozległej wiedzy jak Kratzer, aby obmyślić całe mnóstwo subtelnych aluzji, które spośród innych obrazów wyróżniały wizerunek ambasadorów. Głęboko wierzył, że znajdzie natchnienie. Tak był tego pewien, że wcale się nie zdziwił, gdy rzeczywiście przyszło - zupełnie przypadkowo, w postaci okruchów potrzebnej mu wiedzy.

Tego dnia wieczerzał z Willem Roperem, który na niedzielę wrócił z Londynu. Mąż Margaret wyglądał dużo poważniej teraz, gdy jego młodzieńczą urodę skrywała długa, krzaczasta broda. Kiedy Holbein spytał go, jak w stolicy przyjęto narodziny królowej, w oku pana posta, który w tym momencie przypominał nieco psotnego chłopca, pojawił się iście katolicki błysk satysfakcji („a nie mówiłem!"). Po chwili jednak westchnął i znów przybrał minę człeka statecznego i dojrzałego.

- Dla ojca to i tak zbyt późno - rzekł, wzdychając ciężko. - Zdażył już wznieść się zbyt wysoko, za blisko słońca.

Szczerzy smutek w oczach Ropera uświadomił Holbeinowi, jak szlachetne są dzieci More'a, które kochają ojca tak samo prosto i bezwarunkowo, jak kochają własne potomstwo, oraz nigdy, przenigdy nie kwestionują słuszności jego poczynań - może z wyjątkiem impulsywnej, krytycznej i bezkompromisowej Meg.

- Ikar... - zamyślił się malarz, postanawiając głębiej rozważyć tę koncepcję.

Nieco później rozmawiał w ogrodzie z Margaret.

- Jakże bym chciała, by ojciec zgodził się żyć spokojnie z dala od ludzkich oczu - rzekła w zamyśleniu, patrząc na pierwsze liście sfruwające z drzew. Jak na miłośniczkę ksiązek przystało, natychmiast znalazła odpowiedni wyjątek z klasyki i zacytowała Holbeinowi: - „O, gdybym mógł tylko odmienić los wedle woli, pę-

dziłbym moje żagle łagodnym zefirkiem, a wtedy maszty nie łamałyby się pod naporem wiatru. Spokojny wie-
trzyk owiewałby lekko rozkołysany statek..." - tu głos jej zamarł.

- Piękne słowa - pochwalił Holbein, po raz tysięczny zachwycony erudycją tych młodych kobiet. -
Skądże to?

- *Edyp Seneki* - odparła, nie dodając: „oczywiście”, ale z lekko zdziwioną miną, jakby uważała, że każ-
dy musi je znać.

Poczuł dreszcz biegnący po krzyżu. Instynkt podpowiadał mu, że to coś dla niego.

- Podoba mi się - rzekł. - Poczytacie mi więcej Seneki po wieczery?

Zatem wieczorem przy ogniu opowiedziała mu o Senece, antycznym filozofie i retorze, który popadł w
niełaskę u Nerona i został odsunięty od władzy, po czym zajął się pisaniem. W swoich *Listach moralnych do*
Lucyliusza Seneka poruszał kwestię postawy stoickiej w życiu publicznym. Ale te gorzkie myśli były nie w
smak kapryśnemu władcy, który przysłał mu rozkaz popełnienia samobójstwa*.

Przy tym kominku podczas podobnej pogawędki tego samego wieczoru lub może innego - dni zaczyna-
ły się już zlewać ze sobą w zaaferowanej głowie malarza - dowiedział się o kolejnym filozofie, który zginał z
ręki swego władcy: Boecjuszu, patrycjusza i konsulu z czasów króla Teodoryka**. Uwięziony za zdradę stanu i
dodatkowo oskarżony o bezbożność, w więzieniu napisał dzieło *O pocieszeniu, jakie daje filozofia*. Poruszał w
nim problem dobra i zła, pisał o sławie i fortunie, o cierpieniu i niesprawiedliwości, konkludując, że człowiek
może osiągnąć szczęście jedynie w spokojnej kontemplacji Boga. Ale i tak go stracono. Holbein zanotował
sobie te nazwiska.

* Neron rzeczywiście polecił Senece Młodszemu (ok. 4 p.n.e. - 65 n.e.) popełnić samobójstwo, ale oficjalną przyczyną było
podejrzanie o udział w spisku Pizona.

** Boecjusz (ok. 480-524), rzymski filozof, matematyk, polityk i teoretyk muzyki.

Wprost nie mógł oderwać oczu od drobnych dłoni Margaret, kiedy opowiadała mu o tych dwóch mędr-
cach. Niby była opanowana, od czasu do czasu tylko przerywała wątek opowieści, aby pogłaskać lub przytulić
dziecko, które trzymała na kolanach, albo siedzące obok. Bardzo chciała być spokojna i szczęśliwa. Nie zamie-
rzała ulegać rozpaczom ani zdradzać smutku przy dzieciach. Jednak jej ręce mówiły co innego: stale były czymś
zajęte, ruchliwe, nerwowe i miały obgryzione paznokcie, co świadczyło, że córka martwi się, iż ojca spotka los
starożytnych filozofów, którzy rozgniewali swoich władców. Potrafiły też szarpnąć: splecione dziecięce włosy,
sznur dzwonka na służbę, chwasty w ogrodzie. A kiedy kończyła opowiadać o Boecjuszu, tak mocno ścisnęła
książkę, którą mu chciała pokazać, że aż pobielaly jej kostki palców.

Wreszcie zaczął nakładać farbę na dużą deskę, która miała stać się obrazem. Mógł sporo zrobić, nim
wszyscy się zjadą, bo doskonale pamiętał poprzednią wersję, korzystał także ze starych rysunków i szkiców.
Postacie rozmieścił podobnie jak przedtem. W najbliższym otoczeniu More'a zachował ten sam układ; sir Tho-
mas teraz też miał spoglądać serdecznie na siedzącą Margaret Roper. Ale inaczej namalował ręce. Nowy obraz
miał być studium rąk: ręce wskazujące, popychające, szturchające, sięgające po coś tworzyły długą linię dia-

gonalną, która z natury jest dynamiczna - wszystko to dawało wrażenie ruchu przebiegającego od lewego górnego do prawego dolnego rogu. Ręce te były zajęte, poruszone i zdradzały strach.

Niespokojne dłonie Margaret Roper, umieszczonej w centrum obrazu, wskazywały stronę książki otwartej na słowach mówiących o pragnieniu More'a, by poświęcić się nauce i modlitwie, gdy pozbawiony został urzędu. Malarz dał tam przytoczony przez Margaret pełen tęsknoty cytat z *Edypa* Seneki. A na stronie obok, jako drugi komentarz do losu More'a, znalazły się słowa o Ikarze i próżnych marzeniach: *...szaleńczo pędzi ku gwiazdom i zawierzając nowym ramionom, usiłuje wzbic się wyżej niż prawdziwe ptaki. Chłopiec ten za bardzo ufa swym fałszywym skrzydłom.*

Następnie Holbein cofnął zegar, przywracając czas powstania pierwszego rodzinnego portretu, i to dosłownie. Na starym obrazie też był zegar, ale teraz malarz umieścił go na ważniejszym miejscu, bo pośrodku. Ten nowy miał otwarte drzwiczki, jakby przed chwilą został nakręcony czy nastawiony, co miało sugerować zmianę czasu. Wskazówki zatrzymały się tuż przed dwunastą; malarz chciał przez to powiedzieć, że wszystko dzieje się przed obecnym dniem. Aby pokazać, o ile cofnął czas, namalował niższy ciężarek zegara dokładnie nad liczbą pięćdziesiąt: pierwszym obrazem sir Thomas More uczcił swoje pięćdziesiąte urodziny. Holbein chciał, by odczytano to jako spojrzenie na dom More'ów „sprzed dwunastej”, czyli sprzed lat, zanim zaczęły spadać na rodzinę nieszczęścia.

Utratę królewskiej łaski łatwo było pokazać. Wystarczyło przesunąć nieco w prawo wisior z różą Tudorów i odwrócić połowę ogniów kanclerskiego łańcucha mających kształt litery „S”. Malarz dodał też inne elementy stanowiące aluzję do zmiany przyrodzonego porządku natury: wazon z odwróconym jednym uchem, małpkę tulącą się do sukni jejmości Alice.

Miał więcej krotocwilnych pomysłów. Syna Johna (mówiąc delikatnie, nie najmądrzejszą z pociech sir Thomasa) namalował wpatzonego pustym wzrokiem w książkę, jakby młodzian nie bardzo rozumiał tekst. Zachichotał, robiąc specjalnie w napisie nad głową młodzieńca jeden z typowych dla niego błędów: „Joannes Morus Thomae Filuis”*. Kiedy do Well Hall przybyła Cecily z trójką dzieci - jej czarnowłosa Tommy był dokładnie w tym samym wieku co Tommy Margaret - wspomniał, że siostry zawsze były sobie bliskie. Teraz tak samo zgodnie bawiły się ich dzieci, a z komnaty, gdzie spały, w wieczornej porze rozlegały się nieustanne piski i okrzyki. Wykorzystał zatem zręcznie francuską grę słów, którą jego zdaniem doceniliby subtelni ambasadorowie: *Etre dans la manche de quelqu'un* i aż zaśmiał się do siebie. Znaczy to: „być w wielkiej przyjaźni”, ale dosłownie można przetłumaczyć jako: „być w czyimś rękawie”. Więc pozamieniał rękawy bogatych sukni sióstr siedzących obok siebie. Każda z nich - na obrazie są to kobiety dojrzałe, matki - ma rękawy z materiału, z którego uszyto stanik sukni tej drugiej.

* „Joannes Morus syn Tomasza” - powinno być: „Joannes Morus Thomae Filius”.

Uznał, że sprawi im przyjemność, uwieczniając w ten sposób ich siostrzaną więź.

- Nie sposób was stąd wyciągnąć, mistrzu Hansie - oznajmiła ze śmiechem Cecily, wnosząc dzban piwa oraz talerz z chlebem i serem. Miała taką samą trójkątną twarz jak siostra, a kiedy się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się podobne dołeczki. - Siedzicie w zamknięciu od trzech dni, w ogóle nie zażywacie świeżego

powietrza. Ale gdy jutro przybędzie ojciec, chyba wyjdziecie ze swego matecznika? A może przyslibyście teraz do nas coś zjeść?

- Później - odparł Holbein, patrząc z roztargnieniem na swoje dzieło. Po chwili, uświadomiwszy sobie, że musiało to zabrzmieć niegrzecznie, z poczuciem winy oderwał wzrok od obrazu i spojrzął jej w oczy. - Później bardzo chętnie - dodał uprzejmie.

Ale później nie dołączył do nich. Zbyt zaabsorbowała go własna odwaga w głoszeniu prawdy. Poza tym zajęty był kwestią najważniejszą i najbardziej ryzykowną: jak metaforycznie opowiedzieć o tragediach, które sprowadziły na siebie domy Tudorów i Yorków i o wynikłych z tego nieszczęściach, jakie spadły na głowę More'a. Zamierzał wyrazić w obrazie myśl, że naród wcale nie znalazł się w lepszej sytuacji od czasów rozlewu krwi za Plantagenetów. Henryk, starając się spłodzić następcę tronu, przez zbytne folgowanie żądom skazał swój ród na wymarcie i teraz wszystko przepadło. Holbein chciał jak najwięcej namalować jeszcze przed przyjazdem More'a, żeby mieć co pokazać. Posłużyły mu do tego osoby z najbliższego kręgu sir Thomasa.

Na pierwszym obrazie był błazen, Henry Pattinson, umieszczony w centrum między More'em a Margaret; patrzył wprost na widza, jakby go prowokował do skomentowania podobieństwa swej przysadzistej sylwetki i rudego zarostu do wyglądu króla. Tym razem Holbein ubrał go jak Henryka Tudora. Dumny i wyniosły, ogromnie przypominał monarchę. Na jego czapce malarz umieścił białe i czerwone róże Tudorów, a przy pasie miecz (dzięki temu jeszcze jedna ręka, ściskając głównię, wprowadzała element ruchu i niepokoju).

Henricius Pattinson uosabiał Tudorów, a zatem musiał być jeszcze ktoś, kto reprezentowałby Plantagenetów. Była taka twarz, która się wyśmienie do tego nadawała.

W prawej części pierwszego obrazu znajdowało się przejście prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie nad stołem pochylał się sekretarz. Teraz ta partia malowidła została rozbudowana. W zagadkowej przestrzeni iluzjonistycznie namalowanej struktury architektonicznej - która mogła być zarówno otwartymi drzwiami, jak i framugą drzwi - w przemyślany sposób umieścił Holbein nową postać, jedyną, której nie było w pierwszej wersji.

Malując śpiesznymi posunięciami pędzla, tchnął życie w ukazanego w trzech czwartych mężczyznę, stojącego w zamyśleniu w tym niby progu. Wychylony lekko do przodu, bacznie przyglądał się członkom rodziny, do której nie należał. Artysta ubrał tę postać w ciemny staroświecki ubiór, dodał jej miecz i tarczę - elementy symbolizujące krwawe walki związane z królewskim panowaniem, na koniec włożył do ręki zapieczetowany zwój oznaczający tajemnicę. Twarz tej postaci miała wyraz niepokoju, wręcz bólu, zupełnie jak na portrecie będącym ilustracją do książki More'a o okrutnym Ryszardzie III, a jej bladość wyraźnie kontrastowała z żywą karnacją innych osób. Aż dłoń mu zadrżała, gdy dawał upiornemu Plantagenetowi czarne włosy, orli nos i błękitne jak niebo oczy Johna Clementa. Mając w pamięci nocne wyznania Erazma, wtedy we Fryburgu, o prawdziwej tożsamości Clementa, zestawił w ten sposób nieco groteskową i pełnokrwistą postać Tudora z widmowym potomkiem Plantagenetów, który nigdy nie zostanie królem, o czym wiedzieli jedynie nieliczni członkowie tej rodziny.

Miał świadomość, w jak ryzykowną wdał się grę i jaką wiedzą się chełpi. Sir Thomas i Meg mogli się przestraszyć, widząc, że ich tajemnica została ujawniona. Ale pędzel biegł po desce niemal bez udziału jego woli; towarzyszyło mu przy tym butne przeświadczenie, iż w ten sposób pokaże More'om, że należy do ich

grona i dorównuje im intelektem. Też jest jednym z wybranych. Człowiekiem szlachetnym i przyjacielem Erazma, na tyle godnym zaufania, by powierzać mu ważne sekrety. Toteż Meg może mu zawierzyć nawet największe troski.

Niemal tańczył między stołem z farbami a prostokątem drewna, spocony z wysiłku, pragnąc co prędzej wprowadzić swoją ideę w życie, nim światło całkiem zamrze. Nad głową bladej postaci namalował słowa „Johannes Heresius” - „Jan Następca”. Czy to wystarczy, by zrozumiano? Ręka znów ruszyła do pracy. Na stole, obok drzwi wiodących do świata będącego domem Johannes Heresiusa, namalował wazon z kwiatami. Nie były to prawdziwe kwiaty, lecz kwiatowy rebus. Nieistniejące w naturze purpurowoniebieskie peonie stanowiły dodatkową wskazówkę, łącząc francuskie słowo *peon*, czyli lekarz (od greckiego Pajeona - lekarza bogów), z purpurą i niebieskim - kolorem królewskiej krwi. Teraz dobrze? Ręka - drżąca w szaleństwie natchnienia - powędrowała znowu do niespokojnych dłoni Margaret Roper. Wytarł je i jeszcze raz namalował tak, że palec wskazywał słowo „Edyp”. Historię Edypa poznał dzięki wieczornym czytaniom na głos przy kominku. Człowiek ten, który nieświadomie zabił ojca, po czym zdobył koronę Teb i rozpętał całą falę straszliwych tragedii, w oczach Holbeina był takim samym uzurpatorem-mordercą jak Plantagenetowie i Tudorowie. Za pomocą niespokojnych dłoni Cecily dał do zrozumienia, że ma na myśli obie przeklęte dynastie - prawa ręka odliczała liczbę dwa na palcach lewej. Posuwając się dalej wzdłuż linii diagonalnej, dotarł do sir Thomasa. Ubrał go w zwykłe szaty, dodając do nich strojne rękawy z czerwonego aksamitu, co miało ilustrować inne francuskie powiedzenie, które rozbawiłoby ambasadorów. Nawiązywało ono do pogorszenia się finansów Morusa po odejściu z królewskiej służby. *Il fait le richard* oznacza „pozuje na bogatego człowieka”, a więc słuszne było doczepienie czerwonego aksamitu do zwykłego sukna. Ale można je też inaczej odczytać - ze wszech miar trafnie w odniesieniu do autora dzieła o uzurpatorze Ryszardzie III - jako „tworzy Ryszarda”.

Aby podkreślić to drugie znaczenie, Holbein zmienił układ rąk More'a w stosunku do pierwszego obrazu: trzy palce wystające z czarnej futrzanej mufki były aluzją do „trzeciego” - Ryszarda.

Niewiele już było widać. Światło z wolna zamierało i ciemniejący obraz pograżał się w coraz większym mroku. Malarz się odwrócił, by zapalić świecę, i wtedy poczuł, że jest ogromnie zmęczony, głodny i spragniony. Od wielogodzinnego stania bolały go nogi, a od nieustannego podnoszenia pędzla jeszcze bardziej ramiona. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak intensywnie pracował. Sięgnął do tacy z jedzeniem zostawionej przez Cecily i wtedy uświadomił sobie, że już wiele godzin temu wszystko zjadł. Została jedynie odrobina piwa. Wypił je i znów zaczął obsesyjnie, z zachwytem i wręcz miłośniczo wpatrywać się w obraz. Przesuwał chybocliwy płomień świecy w górę i w dół, przyglądając się każdemu szczegółowi powstałemu w gorączce pracy twórczej. Obraz ogromnie mu się podobał, zachwycał go. Był niedokończony, zawierał puste plamy. Ale szybko się wypełnią. No i jest już co pokazać sir Thomasowi.

Wyszedł z pokoju i wtedy z bawialni dobiegły go senne głosy sióstr, rozmawiających przy kominku. Nie miał siły, by do nich iść. Wykrzesawszy z siebie resztki energii, cicho udał się do kuchni i posilił chlebem świeżo upieczonym przez Margaret oraz solonym serem. Do tego wychylił wielki kubek czegoś przyjemnie alkoholowego, po czym wrócił do siebie i w ubraniu rzucił się na łóżko, żeby odpocząć po pracowitym dniu.

Thomas More długo stał przed obrazem. Inaczej niż podczas oglądania poprzedniego, kiedy chodził przed nim w podnieceniu i rozwiązywał kolejne zagadki, teraz tylko stał i patrzył.

Holbein, ledwo ośmielając się oddychać, rzucał z ukosa spojrzenia na jego nieruchome oblicze, a wtedy widział, że oczy ekskanclerza krążą po obrazie, biegną wzdłuż diagonalnej linii rąk, czytają teksty, patrzą na rumianego Henryka VIII i upiornie bladego Ryszarda III z twarzą Johna Clementa.

Z każdą sekundą ciszy malarz czuł się coraz bardziej niewyraźnie. Ręce mu się spociły, żołądek zaciskał i coś się w nim burzyło. Miał wielką ochotę skryć głowę w ramionach i walić nią o ścianę, by zagłuszyć dudnienie w skroniach. Jak mógł pójść spać taki zadowolony z siebie? Co mu się stało? Dlaczego w swoim pomysle nie dojrzał nic niewłaściwego? Ależ z niego głupiec!

More wreszcie odwrócił się do niego; jego twarz wciąż była pozbawiona wyrazu. Holbein gotów był wymamrotać jakieś przeprosiny, a potem wybiec z pokoju, opuścić ten dom i zniknąć na zawsze.

Z trudem dotarło do niego to, co More powiedział szeptem:

- A więc zrozumieliście wszystko.

Następnie zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Nagle znalazł się w niezręcznym, szorstkim uścisku sir Thomasa.

Po dłuższej chwili More się cofnął. Pochylił głowę i ujął palcami nasadę swego wydatnego nosa. Starał się ukryć łzy. Holbein nie mógł uwierzyć, że kanclerz płacze, dopóki sir Thomas nie odezwał się nieco drżącym głosem:

- Wino aniołów... Czy wiecie, że tak bracia kartuzi nazywają łzy?

Holbein pokręcił głową, starając się nie okazywać zadziwienia. Patrzył na sir Thomasa, pragnąc dodać mu ducha i jakoś pocieszyć.

- Za młodu spędziłem rok u kartuzów - ciągnął More, a jego głos stopniowo odzyskiwał dawną siłę. - Zdawało mi się, że pragnę zostać w zakonie. Nawet teraz czasem myślę, że popełniłem błąd, nie zdecydowawszy się na ten krok. Erazm nazywał to szaleństwem. Wizje i ekstazy to nie dla niego. Łzy też nie. - Zaśmiał się, ale jakoś smutno. - Albo ryba na obiad. Zawsze powtarzał: „Uważasz, że to po bożemu, aby po jedzeniu pachnieć jak wydra?”.

Holbein doskonale mógł sobie wyobrazić wąski nos Erazma marszczący się z niesmakiem, kiedy filozof wygłaszał tę uwagę. Wybuchnął śmiechem, uświadomiwszy sobie, że jeszcze przed chwilą spodziewał się wyrzucenia z domu, a tymczasem został serdecznie przytulony do piersi jak ktoś bliski. Co za niezwykła ulga!

- Wiecie... tęsknię za nim - wyznał More z uśmiechem, nadal mocno wzruszony. - To ostatni z moich przyjaciół z tamtych czasów. Rzadko teraz mieszkam od niego wiadomości. A człowiek czuje się bardzo samotnie, strzegąc cudzych sekretów.

Umilkł i zebrał się w sobie. Wrócił jego dawny, działający na wszystkich urok.

- Cóż, mistrzu Hansie, na tym poprzestańmy oświadczył. (Holbein zauważył nagle, jak bardzo sir Thomas schudł i posiwiiał. „Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważyłem - pomyślał. - On się starzeje”). - Powiniennem zrobić z tym porządek. - More ze skrucą wskazał swoje zabłocone buty. - Poza tym nie chcę odrywać was od pracy. Macie obraz do skończenia!

W progu zatrzymał się jeszcze.

- Cieszę się, że Erazm wam powiedział - rzekł na koniec, patrząc malarzowi prosto w oczy.

Powróciwszy do pracy, Holbein ze zdziwieniem stwierdził, że tak mu się trzęsą ręce, iż nie jest w stanie utrzymać pędzla.

Musiał się trochę uspokoić, zajął się zatem postacią starego sir Johna More'a, który zmarł kilka lat temu. Czegoś takiego teraz potrzebował: wyzwiań intelektualnych nie większych niż odwzorowywanie kształtów i nakładanie kolorów.

Niemal z ulgą przyjął wtargnięcie dzieci: roześmianej, krzykliwej gromadki kruczowłosych Tommych i Jane oraz ich młodszego rodzeństwa.

Pracując w absolutnej ciszy, nagle poczuł, że jest obserwowany. Odwrócił się i ujrzał wesołe, psotne buźki w progu. Dzieci natychmiast rozpierzchły się z piskiem, niby to w wielkim strachu, ale naprawdę wcale się go nie bały; doskonale wiedziały, że jest niegroźny.

W ciągu paru sekund wszędzie było ich pełno: włożyły pod stół, wchodziły na stolek, dotykały obrazu, ciągnęły zasłony, zaglądały do worków, wsadzały palce do farb i smarowały się nimi, wystawiały brzuszki, żeby je łaskotał, i serdecznie się zaśmiewały.

- Hej! - krzyczał niby groźnie, machając szmatką. - Nie róbcie tego! Ach, wy nieznośne małpisonki! - A one piszczwały z uciechy.

Nie przeszkadzały mu. Niech się bawią. Popatrzył na igrającą dziatwę i przyszło mu do głowy, że chyba jest ich więcej, niż było przy śniadaniu. Nie słyszał, by ktoś nowy przybył, ale widocznie się zjawił, kiedy zajęty był rozmową z More'em.

Przyjrzał się chłopczykowi, który usiadł i chwycił go za łydkę, wyraźnie w nadziei, że malarz wstanie i pociągnie go po podłodze. Malec miał czarne, równo przystrzyżone włosy i ciemne oczy oraz podłużną szczupłą twarzyczkę jak jego mali kuzyni. Ale w przeciwieństwie do nich jego nosek nie był szczupły i prosty, jaki młodsze pokolenia odziedziczyły po sir Thomasie, lecz zdecydowanie orli.

Holbein mógłby przysiąc, że skądś zna to dziecko. Gorączkowo przebiegł w myślach wszystkie twarze zapamiętane malarskim okiem. Coś mu zaczęło świtać. To pewnie ten chłopczyk, który chodził z Meg do kościoła. Syn Johna Clementa. Tommy.

Zadrżały mu ręce. Czyżby przegapił przyjazd Meg?

Ujął chłopca pod pachy i uniósł. Ten piszczwał i wił się.

- Masz na imię Tommy? - spytał. Dzieciak zachichotał i kiwnął główką. - Tak myślałem! - orzekł Holbein z tryumfem. - Przyjechałeś dziś rano? - Następny promienny uśmiech oznaczający potwierdzenie. - Z mamą?

Małe nóżki zamachały w powietrzu z uciechy.

- Tak! Psyjechałem z mamą! - wyseplenił radośnie.

Holbein postawił malca.

- No to chodźmy się przywitać - zarządził. - Tommy, zaprowadzisz mnie do mamy. A wy wszyscy, siostąd!

Wygonił rozbawione dzieciaki, starannie zamknął drzwi i ruszył w stronę bawialni za rozkrzyczaną gromadką. Serce waliło mu w piersi.

W bawialni unosił się szmer kobiecych głosów, wszystkie siedzące panie zwrócone były tyłem do drzwi.

Margaret Roper pierwsza się odwróciła, słysząc nadejście rozbawionej dzieciarni.

- Ciii, dzieci! - skarciła łagodnie. - Za bardzo szalejecie.

Wtedy zobaczyła Holbeina stojącego w progu.

- Mistrz Hans! - wykrzyknęła, a pozostałe trzy czepki natychmiast zwróciły się w jego stronę. Usłyszał jeszcze głos: - Ależ proszę wejść, zapraszamy do nas.

Głos ten jednak dochodził z bardzo daleka, gdyż cała uwaga malarza skupiła się na twarzach pod czepkami. Oto Cecily i jejmość Alice; dwukrotnie skłonił się w ich stronę, po czym z wielką, bolesną wręcz niecierpliwością spojrzął na ostatnią damę.

Zamrugął z niedowierzaniem. Może to serce walące zbyt głośno zakłócało jego myśli i zaburzyło wzrok, bo miał wyraźne trudności z rozpoznaniem Meg.

Po paru sekundach zrozumiał. To nie była Meg, choć dziecko, wyglądające jak miniaturka Johna Clementa, podbiegło właśnie do niej, ale Elizabeth.

Nagle wszystko zaczęło pasować. Doskonale pamiętał, że Elizabeth kochała się w Clemencie. Ale aż dotąd nie zdawał sobie sprawy, że on mógł być ojcem jej dziecka.

Przemierzając ogród, płonął gniewem i ogromnie współczuł Meg. Złościł się na tego wiarołomcę, którego w naiwności swej poślubiła, a także czuł pewną nie do końca sprecyzowaną i może niezbyt stosowną ekscytację z powodu nieprzewidywalnych na razie możliwości, jakie to odkrycie mogło przed nim otworzyć. Jakże musiała się poczuć zraniona, poznawszy prawdę, rozważał, chodząc niespokojnie. Jakże musiała nienawidzić męża i jak wielką niechęć żywić do Elizabeth. Kobieta uczciwa jak Meg nie pozwoliłaby się więcej dotknąć mężczyźnie, który tak ją upokorzył. Nic dziwnego, że miała smutne oczy gdy rano szła do kościoła. Nic dziwnego, że jej małżeństwo po pierwszym dziecku nie przyniosło więcej potomstwa.

Z głową ciężką od podobnych myśli wrócił do domu i cicho, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, poszedł do siebie - jakby miał już dosyć odkrywania kolejnych rodzinnych sekretów.

Nie mógł jednak namalować Meg i Elizabeth tak samo jak przedtem. Ostatnie wydarzenie sprawiło, że one też znalazły się w obszarze tej jałowości i pustki, o których zamierzał opowiedzieć. Przekleństwo nieubłaganego losu. Pędzel trzymany w dłoni zaczął żyć własnym życiem i zmienił układ dwóch postaci z lewej strony. Smutna Meg stała na samym skraju kompozycji, trzymając otwartą książkę z niezapisanymi stronami. Przebiegła Elizabeth, pragnąca za wszelką cenę dopiąć swego, ściągała z dłoni rękawiczkę - co miało oznaczać symboliczne odrzucenie siostry - patrząc porozumiewawczo na Johna stojącego w drzwiach.

Wyszło doskonale: element ten był bardzo potrzebny. Dwie stojące z lewej strony postaci, wyrażające niezgodę i dysharmonię, stanowiły przeciwwagę dla dwóch szczęśliwych, zadowolonych z życia sióstr, siedzących po drugiej stronie rodzinnego zgromadzenia w sukniach z zamienionymi rękawami. Jeszcze silniej zaznaczył dysonans między Meg a Elizabeth, malując na półce za nimi wiołę odwróconą gryfem do tyłu. Między ich głowami umieścił talerz, nawiązując do kolejnego francuskiego powiedzenia: *pas dans la meme assiette*, co oznacza: „być w sporze”, a dosłownie można przetłumaczyć: „nie na tym samym talerzu”.

Co jeszcze? Domalował książki. Na półce w pobliżu Meg umieścił *O pocieszeniu, jakie daje filozofia* Boecjusza. A na samym końcu dodał łaciński tytuł dzieła Seneki - *Listów moralnych do Lucyliusza* - na okładce tomu, który wiarołomna Elizabeth Dauncey miała wsunięty pod ramię.

Przerwał pracę i podrapał się w głowę, zastanawiając się, co jeszcze zrobić. Był zupełnie wyczerpany z energii i stwierdził, że chyba to już koniec. Znużony, wylał wodę i olej i zaczął czyścić pędzle. Nie chciało mu się ani jeść, ani pić, ani w ogóle nic. Nawet spać. Chciał tylko, żeby Meg wreszcie przyjechała.

O zachodzie słońca przybył ostatni konny orszak. Na przedzie jechali młody John z Anną i trójką dzieci, a Meg i Tommy zamykali pochód.

Holbein czekał w ogrodzie pod drzewem morwowym, które Margaret Roper zasadziła na cześć ojca. Cierpliwie obserwował coraz bardziej wydłużające się cienie.

Gdy na dziedzińcu rozległ się stukot kopyt i parskanie koni, cała rodzina wyległa na powitanie przybyszów. Holbein nie dał się nikomu ubiec i to w jego ramiona wdzięcznie zsunęła się z konia Meg - szczupła i zgrabna, w skromnej brązowej sukni. Choćby jedną jedyną nagrodą dla niego za przybycie tutaj miał być jej nieśmiały uśmiech i spojrzenie spod rzęs - tak zapamiętał się w tym szczęściu, że nieco za długo ścisnął ją w talii - wystarczyłoby mu to w zupełności. Roześmiała się cicho i uwolniła z jego rąk.

- Cieszę się, że was widzę - rzekła, a potem odwróciła się do sennego dziecka z orlim nosem Johna Clementa, dzielnie siedzącego na koniu. - Chodź, Tommy. - Pomogła chłopcu zsiąść. Idąc za nimi do domu, malarz pomyślał, że między nim a Meg wytworzył się pewien dystans. Ale też pojawiło się coś nowego, promiennego w jej spojrzeniu - jakby dojrzała wreszcie szansę na wybawienie, które dotąd wydawało się niemożliwe. Budziło to nowe nadzieje, jakich nie odważał się jeszcze ująć w słowach.

Trzymał się na uboczu, gdy Meg witała się z rodziną, odpowiadając na uściski i serdeczności. Chłonał ją oczami, serce radowało się tak bardzo i tak wrywało się do niej, że ze szczęścia już sam nie wiedział, co począć. Usiłował od czasu do czasu odwracać wzrok, ale chyba mu to nie wychodziło.

Wreszcie skończyła się witać i podeszła do niego. Jej twarz promieniała.

- Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów, prawda? - Spojrzawszy uważniej, dodała: - Tacy jesteście zamyśleni, mistrzu Hansie.

Milczał dłuższą chwilę, brakowało mu tchu. Nic to jednak przy tej wielkiej radości, jaką sprawiała mu jej obecność.

- Ach, bo sporo pracowałem - odparł niezręcznie i popatrzył na jej ręce, nie ośmielając się spojrzeć jej w oczy. - Wiecie, pani, jak to jest. Chyba po prostu jestem zmęczony. - Zawsze chciałby być taki zmęczony!

- Margaret mówi, że zaczęliście malować od początku - powiedziała, patrząc mu w twarz. - Nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę wasze dzieło.

Ogarnęła go szalona nadzieja, że zaraz ją zaprowadzi do obrazu. Ale szybko porzucił tę myśl. Pewnie wolałaby pobyć z rodziną.

- Sporo już wykonałem - rzekł z wahaniem. - Pomyślałem sobie... że jutro dobrze będzie zrobić przerwę. Bardzo chętnie w waszym towarzystwie...

Czy to słowa zbyt śmiało? Wyczuł, że spuściła wzrok. Rzucił na nią ukradkowe spojrzenie, bojąc się, że teraz całkiem się przed nim zamknie. Dostrzegł słaby rumieniec, pod którym jej policzki jeszcze wypiękniały. Ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Prawie nie mógł uwierzyć. Zgadzała się!

- Podobno jest niebywale dużo jabłek - dodała szybko cichym głosem. - Tak mówi Will. Cecily powiada, że odkąd tu przyjechała, w ogóle nie opuszczacie swojego pokoju. Pewnie chętnie odetchnęlibyście trochę świeżym, wiejskim powietrzem. Wybierzmy się z rana na jabłka. Wrócimy na podwieczerek. Zaraz poproszę Margaret o kosze.

Uśmiechnęła się, na moment ich spojrzenia się spotkały. Wróciła do sióstr, a Holbein udał się na spacer pełen oczekiwań i nadziei na jutrzejsze długie godziny spędzone z nią w sadzie. Do woli będzie mógł chłonąć widok złotych promieni słońca zaplątanych w jej włosach. Zасыpiając, niemal słyszał cichutkie brzęczenie os i czuł woń przejrziałych jabłek zapowiadającą wyśmienity jablecznik.

Obudziłam się szczęśliwa jak dziecko. Przez okno wpadało światło świtu, na dworze ktoś cichutko gwizdał. Wyrzłam i zobaczyłam mistrza Hansa pod drzewem morwowym. Cekał z koszami oraz naszykowanymi przez Margaret zapasami chleba, sera i piwa. Mieliśmy przed sobą cały dzień, który można było spędzić, jak nam się podobało.

- Już idę! - zawołałam, a na jego twarzy pojawiła się radość.

Zbiegłam szybko po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Z mistrzem Hansem wszystko było proste i jasne. Niecierpliwie wyglądałam chwili, gdy się znajdę z moim przyjacielem i będziemy rozmawiać o wszystkim, co tylko przyjdzie nam do głowy.

Zdawało się, że ten dzień będzie trwał zawsze. Było gorąco jak w sierpniu, bez najmniejszego powiewu wiatru. Tylko cichy brzęk owadów i ptasie trele. Na ziemi kładły się jeszcze długie cienie, a oni wciąż onieśmieleni, idąc po zroszonej trawie, zbierali jabłka. Większość była przejrząta, fermentująca już albo nadjedzona przez robaki. Hans Holbein ujmował konary swoimi wielkimi dłońmi i potrząsał, zasypując ich gradem dojrzałych owoców. Czuł, że ona patrzy na niego. Czasem postękiwał z wysiłku, a owoce pac, pac padały wokół niego.

- Grad jabłek! - cieszyła się jak dziecko, a raz z oburzeniem wykrzyknęła: „o!”, kiedy jedno spadło prosto na nią. Przestał trząść i śmiejąc się, absurdalnie szczęśliwy, patrzył, jak ona rozciera sobie głowę.

W pewnym momencie zdjęła buty, podkasła suknię i na bosaka wdrapała się na drzewo. Podskakując, huśtała gałęzią. Teraz on musiał się chronić przed deszczem jabłek.

- No to już wiecie, jak to miło - słyszał jej rozbawiony głos, gdy usiłował łapać owoce.

Nie miałby nic przeciwko temu, żeby to trwało cały dzień, ale szybko napełnili kosze, jeszcze zanim słońce stanęło w najwyższym punkcie. Zmartwił się, że pewnie będzie chciała zaraz wracać. Popatrzył na nią wyczekująco. W odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie.

- A może byśmy coś zjedli? - zaproponowała. Podzieliła ser i z uśmiechem podała malarzowi butelkę piwa, a on w tym czasie opowiadał o przejęciu Bazylei przez protestantów.

- Straszni fanatycy - podsumował, przeżuując kęs chleba. - A tyle się po nich spodziewaliśmy.

Zaśmiał się ponuro na wspomnienie własnej naiwności. Pochłaniając wielkimi kęsami trzeci już kawał chleba z serem, zauważył, że ona przygląda mu się ukradkiem.

- Przy was wszystko wydaje się takie łatwe, mistrzu Hansie - westchnęła.

Zaniepokoił się, czy sobie z niego nie drwi. Zawstydzony opuścił rękę z chlebem i ukrył w trawie. A może jadł zbyt łąpczywie?

- Naprawdę tak jest - dodała łagodnie. Podciągnęła nogi i objęła je ramionami. Bose stopy wystawały spod jej sukni. - Macie w sobie coś takiego, że ludzie dobrze się przy was czują. Ot, choćby ojciec. On... - spojrzała w dół, jakby szukała właściwego słowa, i poruszyła bosymi palcami - staje się inny w waszym towarzystwie. Młodszy. Przy nas nigdy taki nie jest. Myślę, że obaj macie podobne umysły.

Zapłonął się, a w środku rozpierała go duma.

- Ach, jak dobrze... - zaczął. Wyglądała tak pięknie i tak radośnie. Za nią falowała wdzięcznie trybula i w powietrzu unosił się śpiew ptaków. Podciągnął nogi i objął kolana, zapominając o porzuconym w trawie chlebie. Przysunął się bliżej. - Macie ładnego synka - dodał niezręcznie, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o jej małżeństwie. - To wielkie szczęście.

- Mhm... - Spuściła oczy, jakby zmagająca się z trudnymi myślami. - Mielicie wtedy rację, dawno temu. Dzieci to najlepsze, co się człowiekowi w życiu może zdarzyć. - Zaśmiała się, ale dość wymuszenie. - Natomiast małżeństwo jest trudniejsze, niż myślałam. To znaczy, gdy już się zacznie żyć długo i szczęśliwie.

Znow zabrakło mu tchu, zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył na nią, rozkoszując się ciepłem złotego światła spływającego z góry.

- Ale wszystko jakoś się układa - zakończyła, jakby żałując poprzednich słów. Chyba nie miała ochoty poruszać tego tematu. Położyła się na plecach i spojrzała w błękit nieba. - Ależ gorąco - dorzuciła leniwie. - Naprawdę piękny dzień.

Westchnęła, wyraźnie lekko senna, i wyciągnąwszy się wygodnie, podłożyła ręce pod głowę i zamknęła oczy. Hans Holbein z trudem się powstrzymywał, by nie rzucić się na nią i nie zasypać jej deszczem pocałunków. Ale wiedział, że nie wolno mu ulec pierwotnym instynktom, choćby nie wiadomo jak silnym. Siedział więc tylko, z zachwytem podziwiając jej wdzięczną postać, a gdy uznał, że zasnęła, wstał i zostawiwszy ją śpiącą pod drzewem, podszedł na palcach do żywopłotu, aby opróżnić pęcherz.

Kiedy się obudziłam, on siedział obok, wpatrując się we mnie. Zauważył, że otworzyłam oczy i wtedy odwrócił wzrok. Cienie znacznie się wydłużyły, więc pewnie było późno. W czasie gdy spałam, posprzątał po naszej uczcie. Usiadłam i szukając butów, znalazłam obok na ziemi dużą wiązanekę polnych kwiatów.

- Ależ śliczne! - Byłam tak wzruszona tym gestem, że miałam wielką ochotę przytulić się do niego. - Dziękuję. Przepraszam, że zasnęłam. Ale to tak dobrze... być z kimś, z kim można czuć się swobodnie i słowa są niepotrzebne. Brakowało mi tego.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że gdzieś już to słyszałam. Przez całą drogę powrotną usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie.

Holbein pierwszy zobaczył sir Thomasa More'a. Ekskanclerz stał pod drzewem morwowym i patrzył na zapadające coraz niżej słońce. Był ogorzały jak mieszkaniec wsi.

- Piękny wieczór - rzekł dobrotliwie, zaglądając do koszy. - Ale podobno w nocy ma być burza. Niezły plon niesiecie.

Holbein zauważył, jak serdecznie Meg spojrzała na ojca. Tak różne to było od ponurych, zatroskanych spojrzeń, jakie zapamiętał z ogrodu w Chelsea, kiedy jeszcze nikt nie mógł pojąć zmian zachodzących w świecie. More uśmiechnął się do niej.

- Ciekaw jestem, Meg, czy mistrz Hans pokazał ci już nasz nowy obraz - rzekł. Holbein zrozumiał, że sir Thomas nie po to wyszedł przed dom, by rozkoszować się pięknem wieczoru, lecz czekał na nich. - Zapewne chciałby, byś zobaczyła go przed wszystkimi - dodał. Objął wychowanicę, wyraźnie zaskoczoną tymi słowami, i powiodł ją w stronę domu. Idący za nimi Holbein ze zdziwieniem pomyślał, że przez cały ten długi i szczęśliwy dzień w ogóle nie pamiętał, by choć raz wspomnieć o obrazie. Poczuł też jakiś nieokreślony niepokój.

More na razie powstrzymał się od dalszych wyjaśnień. Gdy weszli do bawialni malarza, starannie zamknął drzwi. Holbeinowi, jeszcze nieco oślepienemu słońcem, wydało się, że w pokoju jest ciemno, zaczął zatem zapalać świece, aby jak najlepiej zaprezentować swoje dzieło. Za jego plecami rozległ się głos prawnika:

- Może światło jest nie najlepsze, by w pełni docenić kunszt naszego mistrza. Ale zaraz zrozumiesz, dlaczego chciałem, abyś pierwsza zobaczyła ten obraz.

Malarz zapalił kinkiety i świecznik na stole i podał gościom dwa cynowe lichtarze. W kręgu złotego światła twarz Meg była niewinna i szczęśliwa jak buzia dziecka czekającego na coś radosnego. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegła w obrazie zmiany. Zaskoczona, podniosła świecę wyżej, przyglądając się uważnie nowemu elementowi - wizerunkowi Johna Clementa. Zauważyła też czerwone i białe róże Tudorów na czapce błazna. Podchodziła bliżej i oddalała się, stawała to z lewej, to z prawej strony, starając się jak najwięcej zobaczyć w małym kręgu światła świecy, która była niczym broń przed ciemnościami.

Trwało wieki, nim odwróciła się do przybranego ojca z niemym pytaniem.

- Erazm mu powiedział - rzekł More spokojnie, a oczy Meg natychmiast poszybowały w stronę malarza, jakby pierwszy raz w życiu przyszło jej do głowy, że może być niebezpieczny.

- To dobrze, że wie - uspokoił ją sir Thomas. Jego głos brzmiał prawie tak kojąco jak za dawnych czasów. - Mistrz Hans jest naszym przyjacielem. Możemy mu zaufać. Nie chciałem, byś się nagle dowiedziała i przestraszyła.

Patrzyła na ojca szeroko otwartymi oczami, z których nie znikły wątpliwości.

- Niewątpliwie źle by się stało, gdyby obraz zobaczył ktoś spoza rodziny - ciągnął More. - Ale że jest nasz, nikt się o nim nie dowie; pozostanie w Well Hall.

Malarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie był zachwycony, ale nie mógł odmówić słuszności tej decyzji. Meg zgodziła się z ojcem, choć - jak ocenił Holbein - nie do końca była przekonana.

- A jeśli ktoś prócz nas zauważy, co wtedy, ojczy? - spytała. Dopiero teraz Holbein uświadomił sobie, że sekret przeszłości Johna Clementa nie był znany reszcie rodziny.

- Powiemy, że to przypadkowe podobieństwo - odparł More. Widocznie wszystko sobie dobrze przemyślał. - Twarz Johna przypomina nieco znany portret Plantageneta, więc mistrz Hans „pożyczył” ją. Czemu nie? Tak samo jak w przypadku Henry'ego Pattinsona. - I sir Thomas się zaśmiał.

Meg nieco się uspokoiła. Holbein odetchnął z ulgą.

- Rzeczywiście, po co martwić się na zapas - stwierdziła. - Pewnie zresztą nikt nie spyta. Dziwne, że ludzie nie zauważają oczywistych rzeczy, nawet mając je tuż pod nosem. Dawno się o tym przekonałam.

Obaj mężczyźni całkowicie się z tym zgadzali. A Meg pierwszy raz zwróciła się bezpośrednio do Holbeina, przypomniawszy sobie, że nie pochwaliła obrazu, a przecież sama namówiła go do malowania.

- Zagłądacie prosto w nasze dusze, mistrzu Hansie - rzekła, po czym dodała serdecznie, kładąc mu dłoń na ramieniu: - Jesteście zadziwiającym człowiekiem.

Holbein cieszył się, że jest ciemno i nie widać potężnego rumieńca, który zabarwił mu twarz. Znowu nie mógł znaleźć słów. Pochylił jedynie głowę w lekkim ukłonie.

- Wszyscy już pewnie siadają do stołu - przypomniał ściśniętym głosem, udając opanowanie. - Może dołączymy do towarzystwa?

W jej oczach zapalił się figlarny błysk. Obraz wyraźnie ją fascynował.

- Ach, proszę, jeszcze chwilę. - Ścisnęła go za ramię, tym razem błagalnie. - Chcę spróbować odgadnąć coś więcej z waszego dzieła.

Podeszła teraz nie do królów, lecz tam, gdzie spodziewała się znaleźć swój wizerunek.

Holbein czekał w napięciu. Cień czepka znieruchomiał na tle jasnej plamy światła rzucanego przez świecę.

- Ach! - wykrzyknęła i umilkła. Znacznie poważniejszym głosem dodała: - To też zmieniliście, mistrzu Hansie. Elizabeth jest teraz na moim miejscu, a ja z samego brzegu. I jak smutną mnie namalowaliście...

- Każdy zawsze patrzy przede wszystkim na siebie, Meg - odezwał się zniecierpliwiony sir Thomas. - Więc tego też nikt nie zauważy. Chodźmy, mistrz Hans ma rację. Trzeba coś zjeść.

Posłusznie opuściła pokój. Ale nawet w ciemnościach Holbein dostrzegł, że na jej twarz powrócił niepokój, jakby stary lęk został zastąpiony nowym.

Ten wyraz lęku i niepewności nie opuszczał jej przez całą wieczerzę. Jeden jedyny raz Holbein nie mógł oddać się rozkoszy jedzenia i ledwo skubał mięso i chleb. Za bardzo pochłaniało go obserwowanie tego, co się wokół dzieje.

- O, Meg! - wykrzyknęła Elizabeth z drugiego końca komnaty i lekko wydeła przy tym piękne usta. Podeszła do siostry i pocałowała ją w policzek. Nie jest to serdeczne powitanie, przemknęło Holbeinowi przez myśl; coraz lepiej pojmował wiele rzeczy. To tylko na pokaz. - Jakże dawno cię nie widziałam! - dodała Elizabeth uprzejmie, jak na żonę polityka przystało. Smukłe, białe palce bawiły się perłami krótkiego naszyjnika, którego ozdobny wisior przesunięty był asymetrycznie, zgodnie z nową modą ustanowioną przez Annę Boleyn (podobno po to, by ukryć ciemne znamię na szyi). Holbein pomyślał niechętnie, że chciała pochwalić się perłami. Elizabeth była ubrana o wiele staranniej niż reszta rodziny zgromadzonej w bawialni wiejskiego dworu. Żółta brokatowa suknia miała krój łagodzący krągłości będące rezultatem macierzyństwa. - Cudownie wyglądasz - ciągnęła dalej, uważnie taksując siostrę wzrokiem. - Jesteś taka smukła, zupełnie jak młoda dziewczyna.

Holbein aż się skrzywił na tę oczywistą złośliwość. Towarzyszyło jej niby pełne ubolewania wymowne spojrzenie Elizabeth na własne ciało, zaokrąglone po urodzeniu trójki dzieci. Przecież to oczywisty przytyk, że rywalka ma tylko jedno dziecko. Podziwiał spokój i opanowanie Meg, która nie zareagowała na zaczepkę, tylko odpowiedziała z uśmiechem i bez cienia napastliwości:

- To ty wciąż jesteś rodzinną pięknoscią, Elizabeth.

Nawiązała się rozmowa, w której prym wiodła Elizabeth, cały czas mówiąc o sobie (o spokojnym życiu na wsi, o postępach w grze na wioli i wyszywaniu, o trudach wychowawczych sprawianych przez niesforną trójkę) i popatrując na siostrę. Malarz zwrócił uwagę, że nie wspomina o mężu ani o jego politycznej karierze, którą ten wszelkimi sposobami starał się ratować z katastrofy dotykającej rodzinę - głównie szukając porozumienia z Boleynami, Cromwellami i Cranmerami tego świata, szybko pnącymi się teraz w górę. Nachyliwszy się do Meg, powiedziała za to wyraźnie, choć tak cicho, że nikt poza podsłuchującym Holbeinem nie usłyszał:

- Aż tak nie zagrzebałam się na wsi, by nie słyszeć, jak świetnie John radzi sobie u doktora Buttsa. Królewski lekarz! To wielki honor dla twojej rodziny, Meg. Jesteśmy z was dumni. Zwłaszcza że doskonale wiem, jak trudno musi być Johnowi wśród tych wszystkich intryg. - Tu spojrziała z wyraźnym zainteresowaniem. - Oczywiście, nie należy wierzyć plotkom... ale słyszałam, że podobno doktor Butts został jednym z owych „nowych ludzi”... Zdarzało mu się ponoć dostarczać wiadomości od podejrzanych o herezję uczonych z uniwersytetu... -

Głos Elizabeth, i tak ledwo już szemrzący, opadł do szeptu przy następnych dwóch słowach: - ...królowej Annie. - Umilkła znacząco. - Ciężko mu zapewne jednocześnie przyjaźnić się z doktorem i podążać własną drogą. - Elizabeth, poczawszy od uniesionych pytająco brwi, cała płonęła ciekawością.

- John nigdy się nie interesował polityką - odrzekła Meg spokojnie, jakby nie pojęła, o co siostrze chodzi. - W naszym domu się o tym nie mówi. Zajmuje się wyłącznie leczeniem. - Ożywiła się nieco, więc Holbein się nachylił, chcąc usłyszeć coś więcej. - Ostatnio prowadzi badania nad Galenem. Stara się ustalić, w jakim stopniu dzisiejsi lekarze powinni się opierać na jego traktatach. Chodzi głównie o upuszczanie krwi przy każdej okazji... - Holbein zauważył, że Elizabeth, słysząc te słowa, lekko cofnęła się z niesmakiem. Nie to chciała usłyszeć rodzinną pięknoscią. - Obaj z doktorem Buttsem nie do końca zgadzają się z Galenem - ciągnęła Meg. - John sądzi, że nie jest on całkiem wiarygodny... bo jego wiedza jest w znacznej mierze wynikiem krojenia świń i w sumie, zdaje się, niewiele wiedział o ludzkiej anatomii. John i doktor widzieli włoskie rysunki anatomiczne. Otóż we Włoszech, nie tak jak w Anglii, są teatry anatomiczne, gdzie robi się sekcje zwłok przestępców, czemu malarze mogą się przyglądać. John z doktorem czytają też fragmenty powstającego właśnie traktatu sławnego Vesaliusa z Padwy i uważają, iż dzieło to dokona prawdziwego przewrotu w medycynie. To jest chyba jedyny rodzaj „nowego człowieka”, jaki interesuje Johna.

Elizabeth kiwała głową, ale widać było, że nie jest to dla niej atrakcyjny temat. Holbein dumny był z Meg, że tak zręcznie umiała wybrnąć z sytuacji - jeśli to była dyplomacja, bo wyraz twarzy miała tak niewinny, że sam skłonny był uwierzyć, iż pasjonuje się medycznymi teoriami, którymi zajmuje się jej mąż.

- Wam to zapewne jest nieobce, mistrzu Hansie. - Meg odwróciła się do Holbeina, jakby wiedziała, że on słucha. - Widzieliście przecież rysunki Leonarda albo Buonarroto.

Tak wielką radość sprawiło Holbeinowi samo to, że ona na niego patrzy, iż ledwo zauważył, jak Elizabeth odwróciła się z wyraźną ulgą i rozpoczęła rozmowę z młodym Johnem More'em.

Atmosfera przy stole robiła się senna. Część osób udała się już na spoczynek. Po wyjściu sir Thomasa i jejmości wszyscy odnieśli wrażenie, że nagle pociemniało i powiało chłodem. Rozpanoszyły się cienie, w okna uderzył wiatr. Roperowie zdmuchnęli świece na pustym końcu stołu, dając dyskretnie sygnał pozostałym bie-

siadnikom; dotyczyło to głównie Elizabeth rozmawiającej z Cecily o dzieciach, a także Meg, która dyskutowała z Holbeinem o włoskich badaniach nad anatomią człowieka oraz o problemach natury religijnej i moralnej związanych z dokonywaniem sekcji zwłok, mającej na celu poznanie funkcjonowania mięśni, żył i organów. Przez cały czas na twarzy Meg malował się niepokój, jakby była nieobecna myślami.

Niespodziewanie od strony drzwi dobiegły jakieś tłumione chichoty. Holbein od razu się domyślił, co się za tym kryje. Obejrzawszy się, ujrzał w progu błyszczące oczy i ciemne czupryny. Dzieci w nocnych koszulach cicho zeszły na dół, żeby podglądać dorosłych. Gdy ich obecność wyszła na jaw, wpadły z krzykiem i hałasem do środka. Wśród radosnych pisków biegały dokoła, chwytając po drodze ze stołu chleb i jabłka, i uciekały od usiłujących ich pochwycić dorosłych. Chowały się za krzesłami i pod stołem.

Zrobił się zgiełk i rwetes. Rodzice trafnie wytypowali na prowodyrów najstarsze pociechy i starali się je wyłapać.

- Tommy! - krzyknęła Margaret Roper.

- Tommy! - krzyknęła Cecily Heron.

- Tommy! - krzyknęła Elizabeth Dauncey.

- Tommy! - krzyknęła Meg Clement.

Po krótkim pościgu Will Roper połapał swoje pociechy i zaniósł - zgięty wpół pod ich ciężarem - do dziecinnego pokoju. Holbein słyszał jeszcze, jak pokonując po dwa stopnie naraz, ze śmiechem mówi: „Jestecie okropni!”. Za nim zaprowadzili na górę swe latorośle Anna i John More'owie. Cecily i Margaret połapały większość pozostałych i zagoniły w tym samym kierunku; niby je strofowały groźnie, ale tak naprawdę były mocno rozbawione.

W jadalni zrobiło się pusto. Holbein przyglądał się Elizabeth i Meg goniącym dwóch ostatnich winowajców. W końcu Meg chwyciła obu. Nie opierali się, zabawa wyraźnie była skończona. Zwisali z jej rąk jak dwa szczeniaki; podobne do siebie rumiane buźki, niemal takie same oczy i identyczne orle noski.

- Tommy - surowo zwróciła się do starszego. Urwała i z zaskoczeniem spojrzała na mniejszego... - Tommy - odezwała się i doznała szoku.

- Przepraszam - odpowiedział młodszy Tommy, spuszczać głowę.

Zapadła martwa cisza. Elizabeth też była przerażona. Wzrok Meg wędrował od jednego dziecka do drugiego. Gdy chłopcy znaleźli się obok siebie, nie sposób było nie zauważyć uderzającego podobieństwa.

Malcy nie rozumieli, dlaczego nagle zrobiło się cicho. Na wszelki wypadek obaj się rozplakali.

- To nie ja - chlapał synek Meg.

Drugi chłopiec zaczął wołać cienkim głosikiem do matki, która zastygła nieruchomo przy kominku.

- To był pomysł Tommy'ego Ropera.

- Ciii - uspokoiła go Meg i ucałowała swego jedynaka, po czym uważnie przyjrzała się im obu.

Skierowała wzrok na przerażonego Holbeina i w jego twarzy wyczytała odpowiedź na pytanie będące przyczyną niepokoju, który jej nie opuszczał, odkąd zobaczyła obraz.

Zachowała zimny spokój.

- Mistrzu Hansie, czy moglibyście zaprowadzić ich na górę? - Był to raczej rozkaz niż prośba.

Chętnie oddalił się z dziećmi, uciekając od tej nader niezręcznej sytuacji. W ostatniej chwili usłyszał jeszcze spokojny, mocny głos Meg rozlegający się w ciszy:

- Nasi synowie wyglądają jak bracia. Mój mąż jest ojcem twojego dziecka, prawda?

W tym momencie drzwi się zamknęły i malarz został w ciemności.

Przyszła do niego. Stał po ciemku przy oknie, patrząc na targane wiatrem pnącza, chmury przewalające się po niebie jak przerwane sterty siana i częściowo tylko widoczne gwiazdy. Nadchodziła burza. Nie odwrócił się, słysząc szmer przy drzwiach: wiedział, kto przyszedł.

- Odrzekła: „Nie mam ci nic do powiedzenia” - odezwała się Meg.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ona tymczasem postawiła na stole lichtarz i podeszła do obrazu. Uważnie obejrzała fragment, na którym Elizabeth symbolicznie ją odpychała, ściągając rękawiczkę, i posyłała Johnowi Clementowi porozumiewawcze spojrzenie. Wolno pokiwała głową, jakby jej podejrzenia zostały potwierdzone.

- A więc wiedzieliście o wszystkim. - Stała do niego plecami. - Zobaczyliście dzieci i dlatego zmieniliście obraz. - Odwróciła się. Przyszło jej do głowy coś jeszcze gorszego. Rozgorączkowane oczy zawisły na jego twarzy. - A może Elizabeth sama powiedziała? - rzekła oskarżycielsko. - Przecież się wam zwierzała.

Ogarnęło go poczucie winy. Liczył się z tym, że obraz może okazać się groźny, ale nie tego sekretu najbardziej się obawiał.

- Tutaj w Well Hall zobaczyłem syna pani Elizabeth. Wtedy się domyśliłem - wyrzucił z siebie z rozpaczą. - Myślałem, że o tym wiecie.

Zamilkł i pod wpływem neodpartego impulsu porwał ją w ramiona i zamknął usta pocałunkiem.

Wreszcie miał ją blisko. Niemal miażdżył jej ciało w uścisku, zgarniając ją w siebie. Za jej głową widział ciemne, poruszane wiatrem pnącza oraz niebo pokryte chmurami i gwiazdami. Przypomnił mu się ich pierwszy pocałunek dawno temu pod drzewem morwowym. Tym razem nie uciekała. Tuliła się do niego, tak że czuł nacisk jej piersi i słyszał przyśpieszony oddech.

Oczy miała pełne obietnic, a jemu serce poczęło mocno walić. Wziął lichtarz i nie wypuszczając jej z objęć, wolno poprowadził w stronę łóża; po drodze całował dziko i mruczał jakieś bezsensowne słowa, płonąć pożądaniem. Łokciem zamknął drzwi sypialni.

Jakiś czas później - zaspokojony i szczęśliwy ponad wszelkie wyobrażenie, tuląc tkliwie w wielkiej dłoni białe dziewczęce piersi - szepnął niewyraźnie: „Kocham cię”. Zawsze chciał jej to powiedzieć, odkąd sięgał pamięcią. Dlatego po raz drugi odjechał od żony, dlatego przez ostatni rok żył jak mnich. I oto marzenie się spełniło. W dającej poczucie bezpieczeństwa ciemności, spoza której dochodziły odgłosy słabnącej burzy, niemal tracił zmysły z radości i ulgi.

Coś wyszeptala w odpowiedzi, pocierając pieszczotliwie nosem jego szyję. Nie zrozumiał słów, ale ponieważ bardzo pragnął, by wyznała: „Ja też cię kocham”, wydawało mu się, że to właśnie usłyszał. Dopiero po dłuższej chwili przyszło mu do głowy, że przecież równie dobrze mogła powiedzieć: „Nienawidzę go”. Za późno już było, żeby spytać: czy miała zamknięte.

Nim zrobiło się jasno, cichutko wymknęłam się z pokoju mistrza Hansa. Ostrożnie wysunęłam się z jego ramion, jakbym poruszając się zbyt szybko, mogła zadać mu ból, i w miarę możliwości po ciemku, doprowadziłam się do porządku. Kiedy otworzyłam oczy, nie zdziwiło mnie, gdzie jestem; przyjęłam to ze spokojem. Miałam świadomość, że popełniłam grzech, ale czułam się niezwykle lekko. Wszystko, byle tylko uciec od bolesnej prawdy o przeszłości - że John przyjechał do Chelsea nie dla mnie, ale po to, by kontynuować potajemny romans z Elizabeth. Ja byłam tylko ta druga - jako jedyna wolna z córek dobrodzieja i opiekuna dawałam szansę wejścia do jego rodziny. Chyba oszalałabym, gdybym zaczęła teraz myśleć o tej zdradzie. Wołałam pozostać w rozkosznym, pełnym słońca świecie odkrytym w sadzie. Po latach zmagania ze smutkami życia i cieniami przeszłości romans z Hansem Holbeinem rysował się jak piękna idylla i wprawiał w euforię. Po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią, poczułam się wolna: piękna, niebezpieczna i wolna!

Świt miał dopiero nadejść. W szarym świetle schyłku nocy szłam prawie po omacku, starając się nie nastąpić na skrzypiące deski. Na sobie niosłam zapach ciała kochanka, rozgrzewało mnie wspomnienie nocnych uścisków. Trzeba było się jednak otrząsnąć z błęgiego rozleniwienia i oderwać od podsuwanych przez pamięć obrazów; przestać porównywać pełen czułości spokój pieścizot Johna z płomienną pasją mocnych ramion malarza. Trzeba się umyć i odświeżyć, nim Tommy się obudzi. Potrzebowałam czasu: różne sprawy musiałam spokojnie przemyśleć.

Ujrzałam światło w uchylonych drzwiach. To w kaplicy paliła się świeca. Ojciec wstał już na modlitwę.

Ostatnich kilka stopni pokonałam biegiem, uświadomiwszy sobie nagle, że czepek trzymam w ręku, włosy mam rozpuszczone i splątane, a suknię niezasznurowaną. Nikomu nie powinnam pokazywać się w takim stanie.

Odetchnęłam z ulgą, gdy znalazłam się u siebie i zamknęłam drzwi na zasuwkę. Aż musiałam się oprzeć o ścianę, tak bardzo drżały mi nogi. Skóra na szyi i piersiach była rozpalona. Serce śpiewało z radości.

Thomas More wszedł do pracowni Hansa Holbeina zaraz po wschodzie słońca. Malarz, w wymiętym przyodziewku i ze spuchniętymi oczami, siedział pod oknem i patrzył na obraz. Światło nie było jeszcze tak dobre, by zacząć malować. Po nocnej burzy niebo się chmurzyło. Na widok sir Thomasa mistrz Hans zerwał się z miejsca. Skłonił się nisko, niechcący przewracając pusty kubek stojący na stole.

Klnąc pod nosem, podniósł go i postawił obok czystych pędzli.

- Od dziecka straszny był ze mnie niezgrabiasz - wyznał ze wstydem. - Ojciec zawsze mi to powtarzał.

- Przepraszam, jeśli w czym przeszkodziłem - rzekł More dobrotliwie. - Miałem nadzieję, że pozwolicie mi jeszcze rzucić okiem na wasze arcydzieło. Myślę o nim, odkąd dziś otworzyłem oczy.

Holbein, już i tak pełen poczucia winy, zmartwiał zupełnie, gdy More podszedł do lewej strony obrazu i zaczął się przyglądać postaciom Elizabeth i Meg.

Po chwili się odezwał, odchodząc nieco od malowidła. W jego głosie brzmiał smutek.

- Za każdym razem, gdy człowiek nań patrzy, obraz mówi coś nowego. Macie godny pozazdroszczenia talent ukazywania prawdy.

Holbein spuścił głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Zauważył, że tego ranka sir Thomas wygląda znacznie starzej. Mimo że sam pochłonięty był licznymi troskami, nie mógł nie zauważyć pogłębionych zmarszczek i wyrazistszej faktury twarzy. Ciemna karnacja straciła swój zwykły blask, a kształtne rysy wyglądały ostrzej, jakby gładka plama olejnej farby zmieniła się w szkic będący siateczką cieniutkich kreseczek. Może to zimne szare światło dawało takie wrażenie. A może to wina nastroju, że nachodziły go takie myśli. Obudziwszy się, chciał wziąć Meg w ramiona, a jej już nie było. Zastanawiał się, czy jest człowiekiem najszczęśliwszym na świecie, czy najbardziej godnym pożalowania. Czuł na sobie zapach jej skóry, miał w ustach smak jej piersi, ale czy kiedykolwiek będą razem? Rozpaczliwie pragnął się z nią zobaczyć i przekonać, jak zareaguje na jego widok. Nie miał jednak w sobie dość odwagi, by udać się na śniadanie i spokojnie w jej obecności ze wszystkimi zasiąść do stołu - choć w brzuchu burczało mu z głodu. Chodził niespokojnie po swoich pokojach, głowiąc się, co ze sobą zrobić, i wtedy spojrzął na obraz. Znow przyszło mu na myśl - mimo radości z wydarzeń ubiegłej nocy - że może zgrzeszył pychą, opowiadając w nim wszystko, co wiedział o rodzinie More'ów. Umiał dostrzec prawdę, ale - jak dopiero teraz sobie uświadomił - niewiele z niej rozumiał. Być może popełnił największy w życiu błąd, wywołując całe to zamieszanie.

- Czy byliście kiedyś zakochani, mistrzu Hansie? - spytał niespodziewanie sir Thomas, znow patrząc na obraz. Holbein aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia, ale gość nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej, właściwie do siebie: - Nie wiem czemu, ale gdy obudziłem się dziś rano, przypomniała mi się moja pierwsza miłość.

Holbein nie wierzył własnym uszom. More był osobą publiczną, mężem stanu i nigdy nie mówił o osobistych sprawach. To niebywałe.

- Miałem szesnaście lat... Zaraz po skończeniu uniwersytetu... zacząłem pracować w New Hall jako prawnik... niezłe się zapowiadający. Wtedy ją poznałem. Były tańce i naprzeciwko mnie stanęła najpiękniejsza panna, jaką sobie można wyobrazić, o najbardziej promiennym na świecie uśmiechu. Przyjechała z Norfolk do swego wuja. Jakby mnie poraził grom. Płonąłem żywym ogniem. Ożeniłbym się z nią natychmiast, gdybym tylko mógł.

More urwał, może zastanawiał się nad dalszymi słowami.

- Oczywiście nic z tego nie wyszło - ciągnął. - Skradłem jedynie parę całusów. Było kilka spotkań i listów. Wuj mojej ukochanej wkroczył do akcji, skoro tylko zauważył, co się święci. Przyjechała do Londynu, żeby się zaręczyć. Znacznie lepsza partia ode mnie, młody sąsiad z Norfolk, który właśnie skończył pobierać nauki. Memu ojcu powiedziano wprost, że ma zakazać mi widywania się z ukochaną. Myślałem, że serce mi pęknie, ale wytrzymałem. Nigdy jej więcej nie zobaczyłem, ale... - tu skinął głową w stronę wizerunku Elizabeth Dauncey na obrazie Holbeina, jakby jej postać stanowiła wyjaśnienie, dlaczego teraz opowiada tę historię - wiele lat później moją drugą córkę nazwałem jej imieniem. - Oderwał wzrok od obrazu i spojrzął malarzowi prosto w oczy. - Byłem jeszcze bardzo młody i głęboko to przeżyłem. Chciałem nawet wstąpić do klasztoru. Ale rok później ożeniono mnie i tak się stało, że pokochałem moją żonę. A także później drugą żonę. Jako młodziak nie miałem jeszcze pojęcia, czym jest rodzina, jak wiele daje szczęścia. - Zaśmiał się cicho, ale jednocześnie jakoś tak dziwnie, co dla Holbeina zabrzmiało wręcz złowieszczo, tym bardziej że sir Thomas miał w tej chwili spojrzenie jak drapieżnik wpatrujący się w królika. - Nie sądzicie, że z namiętnych uczuć nigdy nie

wynika nic dobrego? Skąd jednak miałem to wiedzieć, będąc niemal jeszcze dzieckiem? Trzeba dorosnąć i przekonać się, że tylko uczciwe życie i postępowanie daje człowiekowi prawdziwe zadowolenie.

Nagle w okno uderzył deszcz, a zawstydzony Holbein co prędzej odwrócił wzrok i popatrzył na strugi wody spływające wśród pnączy. Marzył, by z jego rozgorączkowanych policzków zniknął zdradziecki rumieniec. Z równie marnym skutkiem starał się zdusić w sobie wspomnienie pocałunków Meg i jej cudownego ciała na wzburzonej pościeli, widocznej teraz za plecami gościa w otwartych drzwiach sypialni, które zapomniał zamknąć. Gdyby nie to, że sir Thomas po prostu nie mógł wiedzieć o ostatniej nocy, pomyślałby, że wszystko się wydało i że właśnie otrzymał subtelne ostrzeżenie. On nie wie, powtarzał sobie. Nie może wiedzieć. Jednak łatwiej byłoby mu udawać niewinnego, gdyby nie świadomość, że More równie trafnie jak on sam potrafi intuicyjnie wyczuć sekrety innych ludzi.

- Dobrze jest móc otworzyć przed wami serce, mistrzu Hansie. - Podobnie jak Holbein sir Thomas patrzył na strumienie deszczu. - To dobrze, że nie ma między nami sekretów. - Po czym dodał uprzejmie: - Jedlicie już śniadanie?

Holbein skłamał. Raczej umarłby z głodu, niż poszedł na rodzinne śniadanie z tym człowiekiem, który zdaje się wiedzieć wszystko, mówi tak, jakby stawiał zarzuty, i wywołuje poczucie winy. Żołądek mu się ścisnął, ale sto razy wolał spokój i samotność niż chleb i piwo.

Już w progu More wygłosił ostatnią, enigmatyczną uwagę.

- Wiecie, że rodzina Meg pochodzi z Norfolk? Między innymi dlatego się nią zaopiekowałem. Jest mi bardzo bliska.

Po jego wyjściu Holbein usiadł przy oknie. Oparł gorący policzek o szybę i niewidzącym wzrokiem patrzył na krople deszczu, czując, jak odpływa z niego całe ciepło, a chłód wody płynącej po drugiej stronie szkła wsącza się w jego ciało zupełnie jak strach.

Wychynęła nagle z mokrej od deszczu zieleni i zapukała w zaporowane okno, budząc go z rojeń. Była bez płaszcza, mokre włosy przylegały jej do głowy, śmiała się. Pomachała zachęcająco, żeby wyszedł na dwór.

Holbein wybiegł do ogrodu, po drodze porywając płaszcz.

- Jesteś tak samo mokry jak ja - wyszeptła roześmiana, żartobliwie ciągnąc za płaszcz, który miał przewieszony przez ramię.

Nawet nie zdążył go włożyć. Cały szczęśliwy i też roześmiany, rozpostarł go nad nimi jak namiot. W ciemności potarł pieszczotliwie nosem o jej nos.

- Meg - szepnęła z błogim uśmiechem, podziwiając piękno ukochanej twarzy, jakby widział ją po raz pierwszy. - Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko wymownie spod nieruchomych powiek, aż dotknął ich pocałunkiem. Zbliżył usta do jej ust i zaczął całować z całej mocy.

Zadrzał, a wtedy ona, mocno tuląc się do niego, jakby ich ciała miały się zaraz stopić w jedno, poprowadziła go w stronę zarośli czarnego bzu za starą opuszczoną stodołą. Rozłożyła płaszcz na względnie suchej ziemi i pociągnęła go za rękę. Położył się obok; przywarła do niego, jakby tonęła, i naciągnęła go na siebie. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć. Był rozdarty: z jednej strony targało nim rozkoszne pragnienie, a z drugiej tak wiele miał jej do powiedzenia. Szepnęła niecierpliwie:

- Nie teraz. Nie mów nic. - I zamknęła mu usta pocałunkiem.

Kiedy oddech znów stał się zbliżony do normalnego, Holbein wsparł się na łokciu i spojrzał na nią rozmarzony. Delikatnie wyjął liść, który zaplątał się jej we włosach. Deszcz już ustał; liście opadały cicho. Świat był idealnie spokojny.

- Mógłbym tak leżeć z tobą cały dzień - zaczął, nie mogąc myśleć o niczym innym poza jej bliskością. - Kocham cię...

Przerwała mu.

- Tommy może mnie szukać, muszę zaraz iść - rzekła w zamyśleniu. Nagle twarz jej stężała. - John przyjeżdża wieczorem.

Wysunęła się z jego ramion, usiadła, wygładziła włosy i poprawiła suknię. Odzyskała swe zwykłe panowanie nad sobą.

- Przyjdę do ciebie znowu, gdy pobędę trochę z Tommym - zapewniła. - Po obiedzie. Wtedy porozmawiamy. Obiecuję.

- Ale... - Poczuł, że zaraz się rozplacze, zupełnie jak małe dziecko. - ...przecież Clement przyjeżdża - szepnął. Nie wyobrażał sobie siebie pod jednym dachem z tym człowiekiem. Jej też nie, skoro teraz należy już do niego.

- Tak. Ale teraz nie mogę podjąć decyzji. Sama jeszcze nie wiem, co zrobię - odparła z rozpaczą w głosie. - Zostawmy to na razie. Mamy przed sobą kilka godzin.

- A potem? - Nie mógł nie zadać tego pytania, choć zły był na siebie, że zmusza ją do poruszania bolesnego tematu.

- Naprawdę nie wiem... - Pokręciła głową, a on pożałował, że nie umie czytać w jej myślach. - Cokolwiek się stanie, możemy się czasem spotykać - dodała, a jemu się zdało, że usłyszał nutę prośby w jej głosie. - Mogłabym cię w tajemnicy odwiedzać w Londynie. Wiesz, że nie tego chcę. Ale to jedyna rzecz, jaka mi w tej chwili przychodzi do głowy.

Wstał i w odruchu gniewu chciał odrzucić tę propozycję, po czym błagać ją, by z nim wyjechała, wyrwała się z nieszczęśliwego związku, zostawiła męża i rodzinę, opuściła Anglię, rozpoczęła z nim nowe życie gdzie indziej, wszystko jedno gdzie. Przybył tu, by odkryć tajemnice More'ów, a nie po to, by stać się sekretem. Ale sprzeciw nie miał sensu. Co mógł jej zaoferować oprócz rojeń? Na pewno odrzuciłaby jego propozycję. Nagle obraz proponowanej przez nią przyszłości wydał się całkiem pociągający: Meg, bosa i z włosami w nieładzie, wstająca z łóżka w mieszkaniu na Maiden Lane, idąca do okna, by przyjrzeć się z bliska obrazowi na sztalugach, a potem całująca go i szepcząca pochwały do ucha. Przyszłość składałaby się z jasnych chwil szczęścia rozświetlających ciemności. Na pewno lepsze to niż całkowita ciemność życia bez Meg.

Wracali, zachowując ostrożność i trzymając się z dala od siebie. Jediną pociechą dla Holbeina było to, że im bliżej domu, tym wolniej szła. Jemu też się nie śpieszyło.

- Czy pamiętasz swoją prawdziwą rodzinę? - Chciał opóźnić rozstanie, a poza tym liczył na to, że dowie się czegoś więcej o niej i będzie miał o czym rozmyślać w samotności. - Swoich rodziców? Norfolk?

Przystanąła i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Niezbyt dobrze - odparła ostrożnie. - Właściwie tylko ojca, bo matka umarła przy moim narodzeniu. Dlaczego pytasz?

Opowiedział jej o porannej wizycie sir Thomasa. Relacjonował szczegółowo, starając się jak najdłużej ją zatrzymać.

- Poprosił, czy może jeszcze raz obejrzeć obraz, a potem ledwo na niego spojrzął i od razu zaczął mówić o miłości. Podobno w młodości zakochał się w jakiejś pannie z Norfolk, która była zaręczona z innym. Bardzo wyraźnie podkreślał, że wielka miłość bywa niebezpieczna, aż zacząłem podejrzewać, iż domyślił się prawdy o nas.

Czekał, że Meg zaraz rozwieje jego obawy, ale ona milczała.

- Przecież nie mógł się niczego domyślić - bąknął niepewnie. - No bo jak?

Tymczasem ona głęboko się zadumała, wyraźnie poruszona jego słowami. Odpowiedź, która w końcu padła, była niejasna i niezrozumiała.

- W tej rodzinie, mistrzu Hansie - rzekła, uśmiechając się dziwnie - najtrudniejsze jest to, że człowiek wciąż się natyka na nowe sekrety.

Mocno ścisnęła go za rękę.

- Dziękuję - rzekła jakimś dziwnym głosem i po chwili już jej nie było. Oddaliła się szybko, niemal biegiem, a on został sam, z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Ojciec? - szepnęłam. W dusznej kaplicy panował półmrok i widziałam jedynie zarys figury Matki Boskiej w niebieskim płaszczu. Ojciec klęczał i modlił się. Słyszac mnie, natychmiast się odwrócił. Nigdy dotąd nie ośmieliłam się przerwać jego modlitewnego skupienia, więc bałam się, że się na mnie rozgniewa. Ale on ozięźale wstał, jakby się mnie spodziewał.

Nie mogłam czekać ani sekundy dłużej. Nim zdążył się wyprostować, słowa same wyrwały mi się z ust. Było to pytanie, które mogło odmienić całe moje życie.

- Czy jesteś moim prawdziwym ojcem?

Niewiele widziałam przez łyzy, a do tego czułam mokre ślady również na jego policzkach, bo oto nagle po wielu latach trzymania się na dystans trwaliśmy w gorącym uścisku pod figurą Matki Boskiej, zapłakani i szczęśliwi.

Myśli moje biegły równie chyżo jak przed chwilą stopy. Ostatni fragment doskonale pasował do łamiągłówki, jaką zawsze stanowił dla mnie ojciec. Wskoczył w puste miejsce między życzliwą ironią, z jaką ojciec zawsze traktował rodzinę i cały świat, a surowymi karami wymierzonymi sobie i innym w imię Boga. Przez cały czas miał swój własny sekret - miłość, której nie mógł usankcjonować. Ukochana za jego sprawą zaszła w ciążę, gorąco pragnął się z nią ożenić, ale mu ją zabrano. Nigdy sobie nie wybaczył, nigdy też nie miał odwagi, by znów uwierzyć w miłość.

- Wiesz, jesteś jej żywym obrazem - szepnął. - Aż boli... czasami... gdy jesteś blisko. Nie umiem wyrazić, jak bardzo ją kochałem.

Ta nowa prawda przyćmiła wszystkie inne wstrząsające rewelacje ostatnich dni i nocy. Nagle zrozumiałam, że zawsze byłam przez niego kochana i bliska jego sercu.

Na usta cisnęło mi się tyle pytań, że nie wiedziałam, które najpierw zadać.

Mogłam się jedynie domyślać, ile starań i trudu włożył w to, by zabrać mnie do siebie, kiedy miałam dziewięć lat i umarł mój domniemany ojciec. Wiedział o śmierci mamy i od tego czasu regularnie zdobywał wiadomości, co się dzieje w Norfolk. Gdy zginął mój oficjalny ojciec, natychmiast zwrócił się do króla z prośbą, by uczynił go moim opiekunem. Zapłacił niebagatelną sumę, jaką uiszczano się za prawo wychowywania bogatej sieroty, która później mogła przez małżeństwo wejść do rodziny i, stanowiąc posażną partię, w ten sposób zwrócić dług.

Zawsze byłam przekonana, że dlatego nie mogę wejść do rodziny More'ów, bo jedyny syn, jakim Bóg obdarzył ojca, był sporo ode mnie młodszy. Okazało się teraz, że byłoby to niemożliwe, nawet gdyby miał tuzin synów, gdyż wszyscy byliby moimi przyrodnimi braćmi. Ojciec musiał znaleźć dla mnie męża poza rodziną. Uświadomiłam też sobie, że zatrudnił Johna jako nauczyciela wkrótce po moim przybyciu; jednak myśl o Johnie była zbyt bolesna, by się teraz nad tym zastanawiać.

- Jaka była moja matka? - Jako dziecko zawsze wyobrażałam ją sobie klęczącą w kościele, zapewne dlatego, że jej posąg na nagrobku w małym kościółku w Norfolk przedstawiał kobietę z dłońmi złożonymi w wieczystej adoracji.

- Taka jak ty: ciekawska, impulsywna, trochę samotniczka; chętnie zadawała kłopotliwe pytania.

Uśmiechnęłam się przez łzy. Czułam się taka szczęśliwa, że jego niebieskie oczy wprost promieniają, patrząc na mnie, i że nareszcie ojciec przytula mnie serdecznie, na co tak długo czekałam. Wszystkie inne uściski bladły przy tym - nawet pełne pasji objęcia Hansa Holbeina, co to zaledwie przed chwilą wydawały się tak ważne w moim życiu.

- Dlaczego, ojczu, nic mi nie powiedziałeś? - szepnęłam.

Chwilę zbierał myśli, spoglądając na mnie z wielką czułością i dobrocią.

- Dawniej rzeczy tego świata były dla mnie o wiele istotniejsze, niż są teraz... - mówił z wahaniem, jakby z wolna przedzierał się w stronę trudnej prawdy. - Pozory. Zachowanie przy ludziach. Zewnętrzna maska. Mistrz Hans pokazał nam, jak ważna jest uczciwość. Teraz już wiem, że pragnę z całego serca, by moja rodzina była szczęśliwa w prawdzie i postępowała w zgodzie wobec Pana.

Umilkł znowu, czekając, że coś powiem. Cofnął się nieco, ale wciąż trzymał mnie za ramiona i patrzył w oczy.

Nagle pojęłam, o co mu chodzi. Ujawniając, że domyślałam się jego sekretu, jednocześnie zdradziłam się. Przecież tylko mistrz Hans mógł mi opowiedzieć o przeszłości ojca. Ojciec był o wiele mądrzejszy, niż sądziłam. Wyznał swój grzech, a w tej sytuacji ja musiałam wyznać mój.

Pokiwał łagodnie głową, widząc moje przerażenie.

- Nietrudno było się domyślić - rzekł z dobrocią, po czym dodał znacznie poważniejszym głosem: - Proszę cię, Meg, nie rób tego. Mnie udało się odzyskać ciebie i otrzymać drugą szansę. Ty możesz nie mieć tyle szczęścia. Mistrz Hans to dobry człowiek, ale nie jest twoim mężem. Nie pozwól, aby grzech zniszczył twoje życie, tak jak niemal zniszczył moje.

Słowa te wydały mi się niesprawiedliwe i zgasiły moją radość.

- To co innego! - zaprotestowałam. - Nie ja pierwsza złamałam przysięgę, tylko John.

Sądziłam, że go zaskoczę. Ale nie. Wciąż się uśmiechał, trzymając mnie na odległość ramienia; patrzył przy tym tak, jakby się mnie uczył na pamięć.

- Widziałeś, ojczu, syna Elizabeth? - spytałam z gniewem.

Pragnęłam mu uświadomić, jak wielki to dla mnie ból. Tymczasem on zachował spokój. Dotarło wtedy do mnie, że doskonale wie o Johnie i Elizabeth, a co najdziwniejsze, jakoś mnie to nie zdziwiło.

Pokiwał głową, jakby mówił, że rozumie moje uczucia. Objął mnie, przytulił i powiedział:

- To nic nie znaczy. Dopiero teraz, gdy moje dzieci popełniają te same błędy, widzę, jak bardzo są one nieistotne.

- To jest istotne! - wykrzyknęłam, nie panując nad sobą. Moja ręka zamknięta w jego dłoni drżała i chciało mi się płakać wobec tej jawnej niesprawiedliwości. - Mój mąż jest ojcem dziecka mojej siostry! Jak możesz mówić, ojczu, że to nieistotne!

Uśmiechnął się jak wiekowy mędrzec.

- Ciii - rzekł jakby z roztargnieniem, kładąc mi palec na ustach. - Krzywdzisz Johna. Powiem ci, co się naprawdę stało. Oboje mamy już dość sekretów, prawda?

Zaczekał na moją zgodę, po czym wyjął chusteczkę i podał mi, żebym wytarła oczy. Odwrócił twarz w stronę okna i wtedy na jego blade, poszarzałe oblicze padło niewyraźne światło. Zaczął mówić, jak to on, z niezwykłą dobrocią.

- Źle wydałem Elizabeth za mąż. Popełniłem błąd, gdyż wybrałem dla niej mężczyznę, którego nie kochała. Gdy dowiedziałem się, co zaszło, natychmiast odesłałem ją z dworu. John z początku nie wiedział, kim ona jest. A potem już było za późno.

Widziałam opisywaną przez niego scenę tak wyraźnie, jakbym przy tym była. Bał maskowy, John flirtujący z piękną mężatką, zmięte odzienie na dywanie, płatki róż we włosach. A przedtem John trawiący jałowo czas na dworze w oczekiwaniu na miejsce w Królewskim Kolegium Lekarzy, codziennie proszący ojca o pozwolenie na złożenie wizyty w Chelsea („Dręczył mnie całymi miesiącami, Meg, nie było wątpliwości, z czyjego powodu" - rzekł ojciec ze skrucą). Aż nadszedł wieczór śmiechów i szeptów po kątach, czas szaleńczej zabawy, jak to na królewskim dworze. John przeraził się, gdy dama, której wdziękowi uległ, ze śmiechem wyszeptała: „Nie zdejmuj maski, i tak wiem, kim jesteś". Po czym sama odsłoniła twarz, a wtedy okazało się, że jest to córka sir Thomasa More'a, ale nie ta. Moja siostra Elizabeth.

- Nigdy by tak nie postąpiła, gdybym jej wybrał odpowiedniego męża - rzekł ojciec smutno. - On też by tego nie zrobił, gdyby wiedział, że to twoja siostra. Dla niego była damą w masce. Takie rzeczy działy się często na dworze młodego króla. I nic nie znaczyły.

- Jak się dowiedziałeś? - szepnęłam.

- John się przeraził. Zaprowadził ją do ogrodu różanego i tam zaklinał, by nikomu nie mówiła. Wyznał, że wrócił do Anglii, bo chce się ożenić (nie zdradził z kim), i błagał o litość. Powiedział mi potem, że przyjęła to ze spokojem i obiecała dyskrecję. Przecież sama była mężatką. Odprowadził ją do męża i uciekł.

Twój ojciec zmarszczyła się lekko w ironicznym uśmiechu.

- Więc ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, była moja wizyta nazajutrz rano i żądanie wyjaśnień. Ja usłyszałem coś zupełnie innego. Elizabeth przyszła do mnie rozhisteryzowana, mówiąc, że nie nadaje się na

zonę dla Daunceya. Chciała unieważnić swoje małżeństwo i wyjść za Clementa. Twierdziła, że są kochankami, zarzekała się, że obiecał, iż będzie ją zawsze kochał. Był to grom z jasnego nieba. Po latach starań, upewniania się, że jest to mąż odpowiedni dla ciebie, nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego. Miałem wielką ochotę obić go szpicrutą. Tymczasem John był bardziej ode mnie wstrząśnięty. Bał się, że dowiedziawszy się o wszystkim, rozdzielię go z tobą. Zresztą o tym myślałem. Uspokoiliam się nieco.

- Ale w końcu tak nie zrobiłeś.

- Nie. - Spojrzał w bok, potem znów na mnie. - Bo sam doświadczyłem, czym jest grzech, wiem coś także o pokucie i zadośćuczynieniu. Poznam, gdy ktoś chce rzeczywiście naprawić wyrządzone zło. John Clement naprawdę cię kochał. Prędzej by umarł, niż się ciebie wyrzekł. Więc postarałem się to jakoś uładzić. Elizabeth oznajmiłem, że musi dalej żyć z mężem, którego sobie wybrała przed Bogiem. Przypomniałem jej, że nie wejdziemy do Królestwa Niebieskiego, dbając wyłącznie o przyjemności i wygody. Kazałem jej wracać do Chelsea, zamierzając odesłać ją dyskretnie do rodziców Daunceya, zanim John się u nas zjawi. Ale on mnie uprzedził, tak bardzo chciał się z tobą zobaczyć. Prawdę mówiąc, zaskoczył mnie wtedy. Myślałem, że po różnych burzliwych życiowych doświadczeniach będzie mnie we wszystkim słuchał. Okazało się, że gdy sprawa dotyczyła ciebie, umiał wykrzesać z siebie iskrę dawnego ognia.

Targały mną sprzeczne emocje, jakbym w środku miała potężny wir.

- Spotkał się więc z tobą i zdobył twoją rękę. - Ojciec mówił tak, jakby znajdował się gdzieś daleko. - Postępował uczciwie jako mąż i kocha cię.

Ostatnie słowa były jak promień słonecznego światła przebijający się przez szary jesienny mrok. Na twarz ojca padł cień strumyczków wody spływających po szybie, co sprawiało wrażenie, jakby płakał.

- Nie myśl, że Elizabeth nie cierpiała - rzekł smutno. - Nosila pod sercem dziecko mężczyzny, który był zakochany w tobie, a ona na to wszystko patrzyła. Chcąc dalej żyć, musiała pójść na ustępstwa, o jakich ty nie masz pojęcia. I do końca będzie nieść swój grzech wraz z jego konsekwencjami. To Elizabeth straciła na tym, że zakochała się w Johnie, nie ty. Źle by się stało, gdybyś teraz miała o to pretensje.

Zgodziłam się z nim i, o dziwo, bez większego oporu. Powróciły strzępy wspomnień: Elizabeth opuszczająca wielką salę w Chelsea, gdy dowiedziała się, że John wyjechał, a potem rzucająca się w nocy ze schodów; kradzież buteleczki z polejem, aby pozbyć się dziecka noszonego w łonie; rozmowy z mistrzem Hansem o miłości macierzyńskiej. Choć w przeszłości wiele było między nami wzajemnych podejrzeń i momentów rywalizacji, wspomnienia te budziły teraz we mnie przede wszystkim litość.

Moje wzburzenie opadło, a jego miejsce zajął zupełnie nowy, nieznan mi dotąd spokój: kojące wyciszenie.

Spojrzałam ukradkiem na ojca, spodziewając się podobnej reakcji, i zdziwiłam się, widząc, że spuścił wzrok i niespokojnie wpatruje się w posadzkę kaplicy, jakby szukał odpowiednich słów.

- Tych dwoje starało się odpokutować swój grzech - rzekł wolno. - A ty co uczynisz?

Pokręciłam przecząco głową. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Zbyt piękne było wspomnienie bliskości Hansa Holbeina i wizja niewyraźnej jeszcze, wspólnej przyszłości. Ale ojciec nie dał się tak łatwo zbyć.

- Posłuchaj mnie uważnie, Meg. Fascynuje cię geniusz mistrza Hansa, pociąga mocniej niż spokojne życie, którego pragnie John. Doskonale cię rozumiem. Mieliliśmy za dużo sekretów i dlatego upodobanie mi-

strza do mówienia prawdy tak bardzo ci odpowiada. Zgadzam się z tobą, że to niezwykle przeżycie, gdy widzi się, jak pracuje jego umysł... On nie zawsze rozumie samego siebie. Ale pod jednym względem nie masz racji. Nie warto dla przemijających doznań porzucać dotychczasowego życia. Trudno jest obcować na co dzień z geniuszem, tak jak nie da się trzymać ręki w ogniu czy długo ścisnąć bryły lodu. Geniusz bywa okrutny. Sama zobacz, co się stało w ciągu zaledwie kilku dni. Mistrz Hans nie wahał się opowiedzieć w swoim obrazie o twoim sekrecie, choć przecież wiedział, że cię tym dotknie. Na tym polega ów płonący w nim ogień. Rozgrzewa i pobudza do myślenia, ale też spali każdego, kto zanadto się do niego zbliży. Nie wątpię, że cię kocha, ale czy ta miłość dobra jest dla jego rodziny w Bazylei? Jeśli wyjedziesz z nim, przez krótką chwilę zapewne będziesz szczęśliwa. Lecz jakże kruche to szczęście, za które płaci się niesławą i wstydem. A w końcu on i tak cię zrani, a może nawet zniszczy... bo największą pasją Hansa Holbeina jest malowanie.

John to co innego. On też był kiedyś człowiekiem gwałtownym, lecz poskromił swoją naturę, by zasłużyć na ciebie. Choć ona jeszcze czasem się ujawnia. Byłaś tego świadkiem, ja poczułem na własnej skórze... - Ze skrucą potarł podbródek. - Ale największą jego pasją jesteś ty, Meg. Zawsze byłaś. Zginąłby marnie, gdyby cię stracił.

John Clement zmienił się dla ciebie, a to jest cenniejsze od geniuszu. Jeśli nauczysz się tak samo ponosić ofiary dla niego, razem zaznacie wiele szczęścia. Możecie wspólnie odbudować wasze życie tak, że będzie piękne i szlachetne. Musisz tylko znaleźć w sobie dość odwagi, a przemienisz was oboje. I jestem przekonany, że los ci wynagrodzi.

To nie był cień deszczu na szybie - ojciec naprawdę płakał.

- A już na pewno zawsze będziesz ważniejsza dla Johna, niż kiedykolwiek byłabyś dla Holbeina - mówił cicho, patrząc na mnie; chyba nie zdawał sobie sprawy, że płacze. - Co istotniejsze, jeśli wytrwasz w małżeństwie, zostaniesz sobą. John od początku popierał twoje medyczne zainteresowania, nigdy też nie przestanie kochać dzieci i rodzinę. Nie przytłoczy cię, nie zdominuje. Z twojej strony nie będzie to ani poświęcenie, ani gorszy wybór.

Wciąż robiło mi się gorąco na myśl o bliskości Hansa Holbeina: na wspomnienie silnych dłoni, szorstkich policzków, gładkiej wilgoci ust, lecz pomału wszystko to zaczynało przypominać nierealny sen.

Ojciec objął mnie i staliśmy nieruchomo, przytuleni do siebie.

- Łatwiej ci będzie niż Elizabeth - szepnął, nie zdając sobie sprawy, że niepotrzebne są już dalsze argumenty. -

Wybacz Johnowi i wybacz sobie. Wróćcie do dawnego życia. Naucz się kochać kogoś, kto nie usiłuje nieustannie walczyć jak ty.

- Dobrze - odpowiedziałam szeptem. - Tak zrobię.

Znow poczułam na policzku jego łzy; westchnąwszy głęboko, szybko starł je z twarzy.

- Wino aniołów - rzekł z uśmiechem. Słowa te, dobrze znane z dzieciństwa, zawsze grzały mi serce. - Głupiec ze mnie. Ale już najwyższa pora, byśmy byli uczciwi wobec siebie, inaczej zginemy marnie. Dziękuję ci, Meg.

Zdawało się, że minęły wieki, gdy wreszcie, wsłuchana w szum deszczu, zapytałam cicho:

- Ojcie, czy nie możesz odpuścić sobie tamtych spraw? Twojej walki, twojego pisania? Czy nie możesz po prostu być z nami i cieszyć się szczęściem?

Kiedy podniósł wilgotne oczy, przekonałam się, że proszę o zbyt wiele. Nigdy tego nie zrobi. Nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko pogodzić się z losem.

- Może się okazać, że nie zostało nam wiele czasu - odparł z wielką dobrocią, ścierając mokre ślady na moich policzkach. - Cieszymy się zatem tym, co mamy.

Holbein czekał cały ranek u siebie, dopracowując detale obrazu, i cierpiał coraz większe męki niepewności. Za każdym razem, gdy zdawało mu się, że słyszy pukanie w okno, podrywał się z nadzieją, ale twarz Meg nie pojawiała się w jasnym prostokącie światła. Były tam jedynie pnącza winorośli, połamane i pozrywane przez nocną burzę.

Nigdy nie narzekał na brak apetytu, a teraz nie mógł patrzeć na jedzenie. Mimo to w południe opuścił swą kwaterę i stawiał czoło rodzinie zebranej przy obiedzie. Musiał zobaczyć Meg, nawet jeśli oznaczało to znoszenie obecności wiarołomnej Elizabeth czy niepokojących, enigmatycznych uwag More'a. Ale Elizabeth nie było. Sir Thomasa też nie. I Meg nie było.

- Nic nie jecie, mistrzu Hansie - z troską zauważyła Margaret Roper. - A zawsze chwaliliście naszą kuchnię. Nie lubicie flaczków? Może każę wam podać coś innego?

Uciekł do siebie jak zranione zwierzę, stanął w oknie i nerwowo spoglądał na ogród. Gdy zjawiły się dzieci - spokojniejsze niż poprzedniego dnia, ale równie skore do figli, domagające się noszenia na barana i buszujące w farbach - próbował wykrzesać z siebie choć odrobinę energii, żeby się z nimi pobawić. Nawet jednego z Tommych wziął na barana. Ale nie było to tak jak zwykle. Szaleńcze na początku chichoty ścichły, dziatwa niepewnie popatrywała na siebie. Sytuację rozładował stukot kopyt końskich na dziedzińcu.

- To ojciec! - pisnął radośnie Tommy, który przed chwilą siedział jeszcze na ramionach Hansa, i wszystkie dzieci z głośnym krzykiem wybiegły z pokoju. Holbein poszedł za nimi aż na ganek. John Clement, zmęczony po podróży, zsiadał właśnie z konia. Malarz z niechęcią popatrzył na jego orli profil, ale nareszcie zobaczył Meg.

Spodziewał się, że powita męża z rezerwą, a tymczasem, wsparta na ramieniu ojca, szła do niego, wprost promieniejąc szczęściem. Jeszcze jej takiej nie widział.

- John! - Puściwszy ramię sir Thomasa, podbiegła i rzuciła się w ramiona małżonka, który zdziwił się nieco tą wylewnością, ale bez wahania przytulił ją i pocałował w czoło. Całe zmęczenie w jednej chwili znikło z jego przystojnej twarzy, a pojawił się wyraz szczęścia i zachwyty.

Holbein umiał rozpoznać spojrzenie wyrażające miłość i nie mógł dłużej znieść tego widoku. Szybko oddalił się do ogrodu i ruszył ścieżką, którą - zdawałoby się w innym życiu - siedł razem z Meg. Dotarł do zarosli czarnego bzu i tu rzucił się na ziemię; wtedy dojrzał małą lśniąca perelkę, która pewnie oderwała się od jej czepka. Wstrząsnęło nim łkanie. Ukrył twarz w dłoniach, skulił się i dał upust rozpacz.

Nie wiedział, ile czasu tak spędził; w pewnej chwili poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie. Przez ułamek sekundy żywił szaleńczą nadzieję, ale okazało się, że pochyła się nad nim śliczna i smutna twarz Elizabeth. Nie ona! Jęknął i znów zakrył oczy dłońmi.

- Czy coś wam dolega, mistrzu Hansie? - spytała ze współczuciem. - Mogę jakoś pomóc?

Próbował się uspokoić. Zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Instynkt mówił mu, że właśnie poniósł totalną klęskę.

- To nic... - wymamrotał. - Jakież skurcze w żołądku... nic takiego.

Przyłożyła miękką dłoń do jego gorącego policzka.

- Wyszłam na spacer - rzekła cicho. - Usłyszałam was, idąc ścieżką.

- To nic - powtórzył, rozpaczliwie pragnąc zostać sam.

Nie mógł się opanować, wciąż wstrząsały nim łkania.

Po chwili się pochyliła i serdecznie pocałowała go w czoło.

- Bardzo wam współczuję z powodu tego bólu, cokolwiek jest jego przyczyną - powiedziała. - Wiem też, że wiele potraficie wytrzymać, mistrzu Hansie. Podobnie jak ja. Zrozumiałam to dzięki wam... kiedyś, dawno temu. Będę się za was modlić.

Podniósł głowę wzruszony tą obietnicą i wtedy się przekonał, że piękne ciemne oczy, patrzące na niego, dobrze wiedzą, czym jest prawdziwy smutek.

- A ja za was - rzekł cicho do oddalającej się śpiesznym krokiem.

Stojąc nieruchomo w cieniu schodów, sir Thomas More zobaczył Meg i Johna Clementów wychodzących razem z pokoju malarza.

- Czy mi przebaczysz? - spytał królewski medyk i wziął żonę w ramiona.

- Czy ty mnie przebaczysz? - szepnęła w odpowiedzi, przytulając się do niego.

Ekscanclerz Anglii odczekał jeszcze trochę, po czym pokiwał głową i odszedł na palcach. Całująca się para nie zwróciła na niego uwagi.

Margaret Roper zajrzała do bawialni z niepewną miną.

- Nie mogę znaleźć mistrza Hansa, a zaraz będzie wieczerza - powiedziała. - Nie mam pojęcia, dokąd mógł pójść.

- Wyjechał - odparł ojciec, odwracając się od okna. Oczy miał zaczerwienione, jakby płakał, ale mówił pogodnym głosem. - Musiał wracać do Londynu.

- Ależ zostawił wszystkie swoje rzeczy! - wykrzyknęła zaskoczona. - I nawet nie pokazał nam obrazu!

- Śpieszył się - wyjaśnił More lakonicznie, znów patrząc w okno.

Odprawiał wzrokiem małą postać na koniu idącym wolnym truchtem, dopóki nie zniknęła za grzbietem wzgórza. W ten sposób żegnał się nie tylko z Hansem Holbeinem, którego szanował, cenił i miał go już więcej nie zobaczyć, ale też z odchodzącym w przeszłość światem wiedzy i rozumu, gdzie żył kiedyś z całym pokoleniem wielkich humanistów i uczonych.

Ujął palcami nasadę nosa i starł gromadzącą się w kącikach oczu wilgoć. Nie czas na wino aniołów. Postąpił tak, jak było najlepiej dla jego córki.

Hans Holbein zatrzymał konia na grzbiecie wzgórza i obejrzał się w kierunku Well Hall. Kierował się w stronę zachodzącego słońca, więc niebo za jego plecami było niemal czarne, pokropione niewyraźnymi jeszcze gwiazdami.

Było mu zimno i ogarnął go równie lodowaty spokój, będący całkowitym przeciwieństwem niedawnych burzliwych emocji. Nie wyobrażał sobie, by jeszcze kiedykolwiek miałoby mu być ciepło. Jakby w nim umarło serce.

Przynajmniej łatwiej było podróżować bez pakunków, które wiozł z Londynu. Teraz jedyny bagaż stanowiła spora sakiewka z pieniędzmi. Godzinę wcześniej znalazł ją u siebie wraz z listem od sir Thomasa More'a. *Mój Drogi Holbeinie - przeczytał. - Zbyt szczodre to, by ofiarowywać nam obraz w prezencie. Zechciej zatem przyjąć tę niewielką sumę jako zapłatę. I proszę, wspomnij o mnie Erazmowi. Wiesz, jak bardzo go cenię.*

List utrzymany był w serdecznym, przyjacielskim tonie, ale malarz od razu pojął, że jest to polecenie wyjazdu. Z wahaniem zbliżył się do obrazu i spojrzął nań spod napuchniętych od łez powiek. Wszystko skończone. Dzieło spełniło zamierzenia twórcy. Poszedł prosto do stajni i nie zważając na zdziwione spojrzenia stajennego, osiodłał konia i odjechał.

Teraz ostatni raz obejrzał się za siebie, zastanawiając się, kiedy zauważą, że go nie ma.

Po chwili skierował konia w stronę zmierzchającego światła i w kierunku Londynu.

Wjeżdżając do sąsiedniej doliny hrabstwa Essex, nie otrząsnął się jeszcze z przygnębienia, ale już zaczął myśleć o kształcie oczu Thomasa Cromwella i jego rumianej twarzy. Zastanawiał się, na jakim tle najlepiej go namalować.

Dlatego nie zauważył krwistoczerwonej kuli unoszącej się nad dachem domu, który za sobą zostawił, ani długiego ogona płonącego złowieszczą na rozgwieżdżonym niebie.



Od Autorki

Książka oparta jest na faktach historycznych.

Pierwszym publicznym zajęciem Thomasa More'a była funkcja pazia w domu arcybiskupa Johna Mortona, lorda kanclerza Henryka VII. Lubił on powtarzać swoim gościom, że rezolutny chłopak wiele w życiu osiągnie.

Po ukończeniu studiów prawniczych w Londynie młody Morus zaprzyjaźnił się z wybitnym holenderskim humanistą Erazmem z Rotterdamu oraz dziekanem Johnem Coletem i innymi humanistami angielskimi. Wszyscy oni brali udział w zakładaniu szkoły dla chłopców przy katedrze Świętego Pawła (która istnieje do dziś, tyle że w Barnes i Hammersmith) i wspólnie opracowali program nauczania dla uzdolnionych dzieci. More podobnie kształcił w domu własne dzieci, a ich erudycja stała się potem sławna w całej Europie.

Koniec jego błyskotliwej kariery politycznej nastąpił w 1532 roku, kiedy zrzekł się urzędu kanclerza. Wiele pisał. Najsławniejszym jego dziełem jest *Utopia*; mówi w niej o nieistniejącym państwie, gdzie żyje mądrze zorganizowane społeczeństwo. Autorowi oraz „chłopcu Johnowi Clementowi” opowiada o nim w Antwerpii portugalski żeglarz. Drugą ważną książką More'a jest *Historia Ryszarda III*, ostatniego króla z dynastii Plantagenetów; zginął on w bitwie z rąk Henryka Tudora, gdy More miał pięć lat. Posłużyła ona Szekspirowi za kanwę sztuki o Ryszardzie III, podstępny stryju-garbusie: aby zagarnąć tron, zamordował bratanków, zwanych potem książętami z Tower. Obecnie wiadomo, że nie jest to wiarygodna wersja wydarzeń, niemniej ukształtowała pokutujące do dziś wyobrażenie o Ryszardzie III.

Wrogie nastawienie Morusa do herezji i heretyków jest udokumentowane w pismach Marcina Lutra i innych wybitnych przedstawicieli protestantyzmu, jak również we współczesnej literaturze przedmiotu.

Przybrana córka sir Thomasa, Meg Giggs, interesowała się medycyną i naprawdę wyleczyła swego ojca z zimnicy trzeciacki po przeczytaniu traktatu Galena. Wyszła za mąż za Johna Clementa, który był nauczycielem w domu Morusa, a następnie wykładał grekę w Oksfordzie i studiował medycynę we Włoszech. Clementowie zamieszkali w Old Barge przy Bucklersbury Street, w londyńskim domu More'a. Tutaj Morus został w 1534 roku aresztowany (John Clement również, ale na krótko) i rok później stracony.

Clementowie - wraz z najbliższymi przyjaciółmi More'ów Rastellami - w obawie przed prześladowaniami opuścili zmierzającą w stronę protestantyzmu Anglię i wyjechali do katolickiego miasta Lowanium, gdzie mieszkali do końca życia.

Najstarsza córka Morusa Margaret poślubiła Williama Ropera, który po śmierci swego teścia napisał jego pochwalną biografię. Cecily wyszła za Gilesa Herona, też adoptowanego przez More'ów; został on stracony wkrótce po sir Thomasie. Tylko Elizabeth zdołała uniknąć konsekwencji śmierci ojca i kariera jej męża Williama Daunceya rozwijała się dalej gładko.

Niemiecki malarz Hans Holbein pierwszy raz przyjechał do Anglii w 1526 roku. Wykonał wtedy portrety wielu znanych osobistości. Kilka miesięcy spędził w domu More'ów w Chelsea, gdzie namalował portret rodziny. Po powrocie do Bazylei w 1528 roku nie mógł znaleźć pracy i utrzymać rodziny, gdyż protestanckie kościoły były wtedy masowo ogołacane z wyposażenia i bielone. W 1532 roku ponownie przybył do Anglii.

Drugi portret rodziny More'ów, dziedziczony przez kolejne pokolenia Roperów, wisi obecnie w Nostell Priory w Yorkshire. Przypisywany jest Holbeinowi, choć ma sygnaturę „Rowlandas Jockey”.

Hans Holbein zmarł w Anglii dziesięć lat po ostatnich wydarzeniach opisanych w tej książce. Był nadwornym malarzem królewskim i wziętym portrecistą. Umarł w 1542 roku, prawdopodobnie na zarazę; pochowany jest w jednym z kościołów przy Bishopsgate we wschodniej części City.

Gorączka potowa pierwszy raz wystąpiła w Anglii w 1485 roku po zwycięstwie Henryka Tudora nad Ryszardem III, co zostało odczytane jako znak, że Tudorowie nie są prawowitymi władcami. Za ich panowania epidemia powracała kilkakrotnie, po czym zniknęła.

Do dziś nie wiadomo, co się stało z księżętami z Tower.

TLR

Tło historyczne powieści

1485 - Henryk VII wstępuje na tron po pokonaniu Ryszarda III w bitwie pod Bosworth.

1509 - Koronacja jego syna - Henryka VIII.

1516 - Początek reformacji w Europie. Anglia i Szkocja odrzucają poglądy Lutera i pozostają wierne Kościołowi katolickiemu.

1521 - Henryk VIII otrzymuje od papieża Leona X tytuł *Fidei Defensor* - obrońcy Wiary.

1526 - Henryk VIII zakochuje się w Annie Boleyn i dąży do unieważnienia małżeństwa z Katarzyną Aragońską. Doprowadziło to do przyjęcia reformacji i rozwiązania klasztorów, a Henryk VIII został głową Kościoła Anglii.

1526 - Do Anglii przyjeżdża Hans Holbein Młodszy, który zaszczerpił na gruncie angielskim malarstwo renesansu europejskiego. Rekomendowany przez Erazma z Rotterdamu, nawiązał kontakt z przyjaciółmi filozofa, między innymi z sir Thomasem More'em, zaufanym człowiekiem króla i obrońcą wiary katolickiej. Holbein sportretował wiele osób z kręgu dworu królewskiego.

1527 - Morus odmawia poparcia działań Henryka podjętych w celu unieważnienia małżeństwa z Katarzyną.

1529 - Po upadku kardynała Thomasa Wolseya Morus zostaje kanclerzem.